

WOJCIECH ZEMBATY

GŁODNE SŁOŃCE

Dymiące zwierciadło



powergraph

WOJCIECH ZEMBATY

GŁODNE SKOŃCE
DYMIĄCE ZWIERCIADKO



powergraph

Warszawa 2016

GŁODNE SŁOŃCE
Dymiące zwierciadło
ISBN: 978-83-64384-56-1

Wydawca:
Powergraph
ul. Ceglowska 16/2
01-803 Warszawa
tel. 22 834 18 25
e-mail: powergraph@powergraph.pl
www.powergraph.pl

Copyright © 2016 by Wojciech Zembaty
Copyright © 2016 by Powergraph
Copyright © 2016 for the cover illustration by Sławomir
Wolicki
Copyright © 2016 for the cover by Rafał Kosik

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Michał Cetnarowski, Kasia Sienkiewicz-Kosik
Korekta: Maria Aleksandrow
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na okładce: Sławomir Wolicki
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik



Wyłączna dystrybucja:

Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp.j.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00 / 11

*Tylko spać przychodzimy.
Tylko marzyć przychodzimy;
nie jest prawdą, nie jest prawdą,
że żyć przychodzimy na ziemi.
W wiosenną trawę się zmieniamy;
zielenią się te trawy,
otwierają się korony naszych serc,
ale ciało nasze jest jak krzak różany;
zakwita na nim kwiat i usycha.*

Nezahualcoyot

Prolog

Delores otworzyła oczy i odruchowo złapała się za ciężki, wypukły brzuch. Jasną skórę miała napiętą jak bęben. Nasłuchiwała, skupiona na drgnieniach ciała. Kiedy wreszcie poczuła kopnięcie, na jej bladych, zsiniałych ustach pojawił się słaby uśmiech. Ulga wywiała z niej przerażenie i ból, na chwilę obmyła jej świat z koszmaru.

To nie był sen, raczej bezdenne studnia krzyków i czerwonych fal, tupotu bosych stóp i gasnących, zdmuchniętych jak świece twarzy. W tej studni raz po raz przeżywała atak na ich wioskę, panikę i bezładną ucieczkę. Była dalej od rozprutych wnętrzności ich domu: mebli rozrzuconych w błocie i wirujących kłaczków bawełny, pierza i włosów, które właśnie zmieniły się w skalpy. Była dalej od trzaskania płomieni i syku ludzkiego tłuszczu, od ohydneho odgłosu, z jakim upadł po ciosie jej mąż, z czerwoną szczeliną wykwitłą w brązowych włosach, jakby to on zaraz miał zacząć rodzić, nie ona. Deloras płakała, ale życie w jej wnętrzu wzywało, by wzięła się w garść.

Zoetal porwała ją, dźwignęła i pociągnęła za sobą w dżunglę. Ciernie kaleczyły jej wykrzywione, opuchnięte nogi, kiedy stąpała z wysiłkiem, podtrzymując brzuch. Jak ona to w ogóle zrobiła? Wczoraj pół dnia miała skurcze. Myślała, że nie jest w stanie zwlec się z posłania za potrzebą, dreptać w krzaki jak koślawa kaczka. Prosiła Zoetal, żeby przyniosła jej chociażby wiadro. Ale wczoraj było tysiące lat temu.

Na początku łudziła się, że napastnicy nie będą ścigali ich w lesie. Że to zwykli rabusie, których zwabiła zdobycz: metalowe narzędzia i broń, z których wyrobu słychać jej lud. Bezcenne i zakazane edyktami kruzańskich królów. Ale tamci nie przyszli ich łupić i od razu rzucili się w pościg. Miotane za pomocą *atlatli* pociski świszczały jak pikujące jastrzębie, szukając ich brzuchów i serc. Delores nie pierwszy raz była zwierzyną, ale

dawniej kruzańscy siepacze przynajmniej celowali w nogi. Cenili sobie jeńców, żywe naczynia na Drogocenną Wodę, którą później wlewali w płonąca, czerwoną gardziel ich wiecznie głodnego słońca.

Ale dawniej było tysiące lat temu.

Potem był korzeń, trzaśnięcie skręconej kostki i pierwsza lepsza kryjówka, leśny wykrot pełen opadłych, rozłożystych liści, które w tym tropikalnym lesie spadały właściwie bez przerwy. Kojący szept Zoetal.

W dole leżały ciała. Delores zrozumiała, że atakujący znaleźli też inne wioski, że to nie przypadkowy rajd, lecz zorganizowane i metodyczne działanie. Dla nich dwóch było to nawet dobre. Grasujący po lesie Kruzowie przegapili upchnięte między zwłokami i liśćmi kobiety i pobiegli dalej. Delores poruszyła ustami, odmawiając bezgłośnie modlitwę, wtuliła się mocniej w przyjaciółkę i zamarła. Ktoś znów nadchodził.

Spojrzały sobie w oczy, objęte jak kochanki, którymi nigdy nie były. Głosy Kruzów rozbrzmiewały coraz bliżej, ochryple i oczadziałe przemocą, wstrząsane drgawkami śmiechu. Ciała nad nimi zadrgały, popłynęła krew. Delores patrzyła w zielone oczy Zoetal, a potem ujrzała, jak gasną z cichym syknięciem, bąbelkiem powietrza i krwi na pełnych, ładnie wyciętych ustach.

Kruz, który przebił Zoetal włócznią, zatrzymał się i otarł sziadek oblicze z potu. Miał prostoduszną, zwyczajną twarz spracowanego ojca rodziny. Uczciwego, takiego, który nie mitręży, nie miga się od roboty. Robił to machinalnie, widziała, że nawet nie patrzy gdzie dźga. Wiadomo, Białoskórzy. Deptał ich jasnoskóre ciała - zdaniem Kruzów, niebędące ciałami ludzi - tak jak wiejskie dziewczyny miażdżyły winogrona po zbiorach w jej zamorskiej, dawno straconej ojczyźnie. To była tylko robota. Patrzyła na zdobiące jego kościany hełm pasy cieniutkiej skóry, szarej i jasnej na słońcu, i nagle poczuła w sercu szaloną, zrodzoną z udręki radość. Wiedziała, że zdarta była z takich jak ona, wiedziała, że może jej wioska nie była ostatnia. Ukrytych w dżungli enklaw Białoskórych, takich jak jej osada, musiało być więcej.

Szary Pas pchnął raz jeszcze, poczuła szklisty chłód kamiennego ostrza, które zraniło ją w bok. Nie krzyknęła, wiedziała, że odgłos zaalarmuje oprawców. Ostrze wyszło z niej z miękkim plaśnięciem i wtedy wróciły skurcze. Zagryzła wargi do krwi, której i tak za dużo spłynęło, teraz czuła ją też między nogami. Kłapnęła zębami, chwytając coś, co mogło być ludzkim nadgarstkiem, patykiem, korzeniem, gównem. Delores wczepiła się w to i jakimś cudem zagryzła budzący się w krtani wrzask; przeżuła go i przełknęła wraz z falą strasznego bólu. Słabła, lecz wiedziała, że nie wolno jej teraz odpłynąć.

Znów targnęły nią skurcze, wielkie, bezwzględne łapy próbowały rozerwać ją żywcem. Ciało rozlało się miękko, jakby całe stawało się krwią, biodra można było zgniatać jak ciasto. Nie wydała z siebie nawet szeptu, choć ból był niewyobrazalny i wiedziała, że następna sekunda nadejdzie za tysiąc lat.

Potem na jej zaciśniętych powiekach zachrząścił piach. Idący za katem sprzętacz niedbale zasypał grób.

Powiadają że matka urodziła go, gdy opuszczało ją życie. Że agonalny dygot złał się ze skurczami narodzin, że los przechylił szalę na rzecz jego chybotającego się życia, pchnął na stronę istnienia i światła. Czasem czuł, że to wszystko wyrzyło się w nim, zapisało gdzieś na dnie pamięci. I znów wdychał smród tamtego dołu z trupami, wymieszany ze słodkim odorem zgnilizny i ropy. Już nigdy nie polubił słodczy.

Zostały mu zgrzytające, jątrzące gdzieś w trzewiach duszy fragmenty. Przemieszczały się w nim jak drzazga albo urwany grot strzały, który wędruje w ranie, sprowadzając gorączkę i dreszcze. Choć nie mógł tego pamiętać, pamiętał śniadą, oszpeconą poparzeniami rękę mężczyzny, który pomógł mu wyjść na świat. Na wierzchu owiniętej krwawymi szmatami dłoni znajdował się tatuaż, zatarte kontury psa. Wojownik musiał być dobrym człowiekiem, zatrzymał się, słysząc płacz dziecka.

Wydobył go szorstkimi rękoma. Noworodek rozwrzeszczał się. Zamilkł, przestraszony, gdy ujęły go silne, stwardniałe od

miecza dłonie. Żołnierz patrzył na niego w zadumie, przeżuując jakąś niełatwą decyzję. Kręcił głową, mruzczał coś i splotował ponuro. Po chwili westchnął, sprawnie przeciął i podwiązał pępowninę. Odłożył noworodka na kupkę łachmanów i zajął się własnymi ranami.

Chłopiec czekał. Choć ciążyło na nim przekleństwo pamięci, nie szedł za nim, na szczęście, dar wczesnego rozumienia. Leżał więc, łapiąc powietrze, oślepiiony słońcem, zapatrzony w tarczę nieba i wędrujące chmury. Obok jego policzka fruwała mucha, odwrócił główkę, żeby nie łaziła po oczach. I wtedy ją zobaczył. Musiała być piękna, nawet po latach opowiadał o tym z uczuciem poety. Miała niebieskie oczy, klejnoty, przez które umarła. Jej własny Znak Białoskórych. Ale chłopiec rozpoznał ją sercem. Powitał swoją matkę i pożegnał, zbyt szybko ucząc się śmierci.

Rozdział 1

Starożytni Białoskórzy czcili Niebiosą i wznosili ku nim modły.

Stanowiły siedzibę ich Boga. Jest to jedno z wielu świadectw ich demonicznej natury.

Prawdziwy człowiek wie, że od Nieba, Planet i Gwiazd trzeba się trzymać z daleka.

I tak kiedyś po ciebie przyjdą.

Ykszuppin Młodszy, Baśnie o krajach ludzi

Haran nienawidził cotygodniowych kąpiei. Rozebrał się już do przepaski biodrowej, rzucając wokół gniewne, pełne urazy spojrzenia.

- No, na co czekasz? Na zaproszenie od króla? - ponagliła chłopca Heza, wlewając do balii kolejną partię ukropu. Pęcherzowi zrobiło się żal młodego, czuł się, jakby topił kocięta. Wywar Hezy przypominał mieszaninę garbarską, a nie coś, w czym dobrowolnie kąpią się ludzie. Zawierał łupiny orzecha *uixachin*, korę dębu i hennę; cuchnął taniną i wypalał skórę. Ale przy okazji nadawał jej też pożądaną śniadą barwę, coś między odcieniem gliny i polerowanej miedzi. Właśnie ten kolor w krajach Prawdziwych Ludzi wytyczał czerwoną linię, granicę życia i śmierci. Pęcherz słyszał, że w nadmorskich miastach żyją ludzie żółtoskórzy albo tacy o wełnistych włosach i skórze czarnej jak węgiel, ale nigdy ich nie widział. Prawdziwy Człowiek miał skórę koloru miedzi i rdzy albo kończył z głową nabitą na pal.

Z zamyślenia wyrwało go przekleństwo. Młody wlaź już do balii i odgarnął z czoła włosy, jasne mimo brudu i tłuszczu. Bogowie, jaki był brzydki! Jego budowie zupełnie brakowało

proporcji. Już teraz, w dwunaste urodziny, wydawał się nienaturalnie wysoki, długonogi i niezgrabny jak czapla. Twarz miał odpychająco pociągłą, wyciosaną, złożoną ze zbyt ostrych kątów.

Zamiast ładnego, płaskiego nosa wyrastało z niej wydatne haczykowate coś w kształcie orlego dzioba. Prawie nie miał kości policzkowych. Ale najgorszy pozostawał kolor.

Nie, żeby blade, demoniczny odcień był stale obecny. Oboje z Hezą robili, co mogli, żeby ochronić dzieciaka. Nigdy nie powiedzieli mu prawdy, fabrykując na jego użytek powiastkę o rzadkiej chorobie skóry. To było tchórzliwe, zgoda, ale lepiej żyć w kłamstwie, niż być pomiotem demonów. Orzechowy specyfik barwił skórę i pozwalał jej złapać solidną opaleniznę. Pozwalał przeżyć.

Wciąż pamiętali, co stało się kilka lat temu, gdy Pęcherz brał udział w wyprawie wojennej, a Heza zachorowała. Haran, pozostawiony pod opieką ciotek, całymi dniami pluskał się w rzece. Szybko stracił ochronną barwę i cętki bladej skóry wyłoniły się spod złuszczonej warstwy kamuflażu. Heza musiała czekać, aż zapadnie noc, i zawiniętego w koc przemycić znad brzegu, unikając wścibskich spojrzeń sąsiadów.

- Chcę się wykąpać sam. To takie dziwne? Czemu zawsze się na mnie gapiecie? - burknął Haran. Pęcherz westchnął. Bo ktoś może cię zabić, synku. Na szczęście od gadania miał żonę.

- Czemu, czemu? Bo znowu za szybko wyskoczysz. Masz się porządnie natrzeć, inaczej będzie nieszczęście.

Młody wyczuł zdenerwowanie, nieodmiennie towarzyszące ablucjom, i wpatrywał się w rodziców w napięciu. Pęcherz wzdrygnął się pod tym rozszarżonym spojrzeniem. Szare oczy Harana przypominały stal, zakazany metal, który przywieźli ze sobą Białoskórzy. Popatrzył na swoją ciężarną żonę i przełknął ślinę. Czy popełnili świętokradztwo i czy bogowie odpłacą im właśnie teraz? Jak długo można żyć w grzechu?

Dobrze, że szczeniak nauczył się mrużyć ślepią i chodzić zgarbiony, nie patrząc w twarze rozmówców. Dzięki temu miał jakieś szanse.

Teraz prychał, a Heza szorowała go energicznie, wcierając w

skórę maskujący specyfik. Nie powinna tego robić, w ogóle nie powinna nic robić w tym stanie, pomyślał Pęcherz, ale nie ruszył się z miejsca. Jego żona dreptała po izbie kołyszącym się krokiem ciężarnej, niosąc swój wielki brzuch, ale nie stała się przez to łagodniejsza.

Po kąpieli posadził syna na stołku i wplótł mu we włosy kawałki króliczych kości. Bagienny królik był pierwszym stworzeniem, które Pęcherz wytropił i zabił. Jeszcze zanim w lasach rozpleniła się szara choroba. Teraz miał wspierać jego przybranego syna. Haran rozpromienił się.

- To znaczy, że zostanę wojownikiem, prawda? Prawdziwym Druazzi?

Dorośli spojrzeli po sobie. Ściągnięta twarz Pęcherza miała dziwny wyraz. Z ojcowską dumą sąsadował smutek, niczym burzowy mrok, który nagle zasnuwa część nieba. Heza w milczeniu zmieszała w misce trochę popiołu, węgla drzewnego i kurzego tłuszczu. Wtarła mieszanekę w jasne włosy chłopca. Były krótko ostrzyżone, poza ocalałym kosmykiem z tyłu głowy - zapowiedzią dumnego czuba wojownika, który będzie mógł nosić, gdy pojmie pierwszego jeńca.

- Nigdy bez tego nie wychodź. Pamiętaj, że jesteś chory - przypomniała. Chłopiec wzruszył ramionami. Mówiła tak za każdym razem, przeświadczona, że na ulicy ukatrupią go za sam wygląd. Ale w ich bandzie to on był przywódcą. I nigdy nie spotkało go nic złego.

Jednak w spojrzeniu Hezy kryło się coś jeszcze. Kobieta ścisnęła starą zabawkę, drewnianego, malowanego na niebiesko jelonka, którego wystrugał Pęcherz. Gładziła ją, jakby była czymś bezcennym i zaraz miała to oddać.

Dorośli są naprawdę dziwni, pomyślał.

*

Haran obudził się w środku nocy. W brzuchu burczało mu z głodu, ale do tego zdążył się ostatnio przyzwyczaić. Chodziło o coś innego. Była w tym dziecięca ekscytacja przed świętem, radość okraszona niepokojem. Pęcherzowi i Hezie także udzielił się ten stan.

Jeszcze nie spali, słyszał, jak ojciec krąży po glinianym klepisku, wypełniając ciszę żołnierskimi bluzgami. Heza zaklinała go przyciszonym głosem, zatrzymywała i błagała. To nie dziś, uspokajał Pęcherz. Nie dziś. Najpierw muszę... i znów przerwał mu jej zduszony płacz.

Haran uznał, że sytuacja jest w normie. Gdy wymykała się spod kontroli, ojciec krzychał i ciskał o ścianę pustymi dzbanami po *pulque*. Niszczył też różne przedmioty, a potem śpiewał tęskne, wojenne pieśni. Chłopak nawet nie zauważył, kiedy usnął.

O świcie obudził go ojciec. Pęcherz lubił bezceremonialne pobudki, komendy i szorstki dryl, które przypominały mu młodość. Czasy, gdy znany był jako Pijany Miecz, słynący z brawury dowódca Leśnego Kontyngentu Druazzi. Musztrowany przez niego Haran nie dzielił tych sentymentów i z dwojga złego wołał, jak budził go własny pęcherz. Stary kazał chłopcu się ubrać i wyprowadził go na wąską ścieżkę, która zagłębiała się w las.

Zwykle Heza przygotowywała im na drogę zapasy; gotowane kukurydziane ciasto *tamalli* i ostrą pastę z fasoli. Teraz prowiantu prawie nie było i musiały im wystarczyć placki z mieloną korą. Mimo to Haran dreptał za ojcem uśmiechnięty, ciesząc się ze wspólnej wyprawy. Pęcherz od dawna już nie zabrał go na polowanie, a i sam rzadko zapuszczał się do lasu. Za bardzo absorbowano go picie.

Pijany Miecz nie robił bowiem niczego na pół gwizdka. Zatracał się w *pulque* z takim samym talentem i pasją, z jakim kiedyś zatracał się w łowach, miłości i wojnie. Bywało, że cały dzień siedział rozparty na ganku, wpatrzony w wirujące na wietrze wstążki i kolorowe gałgany, mające chronić dom przed złośliwymi duchami. Ale jak magia mogła cokolwiek pomóc, gdy złe moce gnieździły się w jego własnym sercu?

Czasami zabierał Harana do wzniesionego na palach budynku z długich bali, będącego Domem Wojownika ich plemienia.

Przesiadawali tam dumni, zabiedzeni starcy, z wytatuowanymi, malowanymi indygo i ochrą twarzami i

zębami spiłowanymi starym, zakazanym przez Kruzów zwyczajem. Zdaniem ich władców tylko członkowie kasty wojowników mogli się naznaczać w ten sposób. Status plemiennych barbarzyńców był niejasny, co prowadziło do licznych napięć, które regularnie dostarczały kruzańskim wojownikom rozrywki.

Wielu młodych Druazzi wyśmiewało puszczańskie tradycje i tabu, uznając je za niezyciowe przeżytki i zawadę w nowych, wspaniałych czasach. Pęcherz był inny. Zaszczepił przybranemu synowi dumę i gorzką, doprawioną szyderstwem miłość do tego, co utracone i piękne. Patriarchowie plemienia uczyli Harana polować, walczyć i opowiadać, a gdy skończył siedem lat, uroczyście spiłowali mu zęby.

Bolało jak diabli, mimo uśmierającego naparu z powojów, ale Haran dałby sobie uciąć rękę, żeby zdobyć uznanie tych ludzi. Byli inni, wyrzeźbieni z twardszego i szlachetniejszego drewna. Dębiny albo cennego mahoni, a nie cienkiej, sosnowej sklejki. Świadkowie lepszego czasu wędrówek, polowań i walk, zanim lasy zbutwiały i zgniły, a zwierzęta rozpierzchły się w ciszy. Opowiadali Haranowi o leczniczych duchach, które połykali szamani Druazzi, i magicznych, widmowych dmuchawkach, którymi właczali je w rany. O śpiewie wodospadów i wyczekiwaniu na wizje, a także o preparowaniu zdobycznych głów. O sztuce gromadzenia magicznej esencji wrogów, która dostarczona do wioski, wywierała zbawienny wpływ na piwowarskie wysiłki kobiet. „Chcesz uwarzyć dobre maniokowe piwo? Zabij co najmniej trzech wrogów”.

Pęcherz wciąż opowiadał chłopcu historie, ale w miarę upływu lat jego opowieści stawały się coraz bardziej posępne, przesycone cynizmem i trunkiem. Przeszłość... W tym kraju wszystko było naznaczone przeszłością, niczym zaszczane gacie. Niech Haran nigdy nie da sobie wmówić, że byli tępymi, parszywymi dzikusami, jak zawszeni Otomi z Równin czy inne koczownicze łąchudry. Owszem, dla Kruzów i innych szczy pawek z kamiennych domów Druazzi pozostawali barbarzyńcami, ale przecież byli też wojownikami,

czarownikami i myśliwymi, poetami i artystami.

Ich los odmienił się podczas Wielkiej Wojny.

Wraz z innymi uciskanymi plemionami poparli zamorskich najeźdźców. Marzyła im się zemsta na władcach Pierwszego Przymierza, którzy co roku najeżdżali ich ziemię. To był błąd. Dziś ich podbity kraj stanowił część kruzańskiego imperium, Odrodzonego Przymierza, a niedobitki Druazzi gniły w nadrzecznych bagnach.

Pijany Miecz rozpamiętywał tę klęskę każdego dnia, w jakiś sposób współgrała z jego prywatnym cierpieniem, goryczą zrodzoną z porażek. Czasami zaś wracała mu wiara, i to było jeszcze gorsze. Zrywał się wtedy i krzyczał, że wkrótce odzyska majątek. A potem znów wracał z niczym, nie licząc sińców i guzów. Czasem wołał wówczas do siebie syna, a jego mamrotanie brzmiało jak zduszona kłątwa.

Teraz znowu szli razem, nareszcie. Haran był bardzo szczęśliwy. Każdy chłopak wierzy, że jego ojciec jest mądry i silny, to pierwotny monoteizm dzieciństwa. Nawet pijackie ekscesy nie zdołają podkopać tej wiary. Zwłaszcza w słoneczny dzień, kiedy razem idziecie polować.

Całą dzielnicę, kwartały glinianych chałup między rzeką a wzgórzem, zamieszkiwali Druazzi. Wywodzili się z licznych szczepów, które głód, rugowanie z ziemi i szara choroba lasów zagnały w końcu do miasta. Stali się kundlami, które żerują w pobliżu śmietnika.

Wrogowie nazywali ich barbarzyńcami, ale błotniste, cuchnące rybami uliczki zamieszkaney przez nich Dzielnicę Leśnej były znacznie czystsze i bardziej praworzędne niż wielkomiejskie slumsy zajęte przez osadników z ludu Kruzów.

Nad okolicą dominowało płasko ścięte wzniesienie z porowatego wapienia. Po zboczach pięły się dzielnice rzemieślników i kupców, na szczycie wznosiły się schodkowe piramidy świątyń i dumne pałace szlachty. Przechadzali się tam wyniośli synowie kruzańskich rycerskich rodów: Złotego Psa, Orła, Turkusowej Włóczni. Druazzi nie mieli tam wstępu, poza dniami świątecznymi, gdy kapłani odgrywali przed ludem

Yugal swe uroczyste spektakle.

Haran znalazł się tam raz. Wciąż pamiętał przepych pierzastych szat w czerwieni, błękitach i o barwie cieniastej zieleni morza. Święto ku czci starego azteckiego Tezcatlipoki było feerią woni i barw, klejnotów, kadzidła i krwi. Szczyt wzgórza należał do bogów, zwykli ludzie pokornie gnieździł się pod nim.

Pośród licznych społeczności Yugal Druazzi odznaczyli się najbardziej niejasnym statusem, wyłamując się z kastowego porządku imperium. Prześladowani za swoją rolę podczas Wielkiej Wojny, wciąż byli cenionymi wojownikami. W ostatnich dziesięcioleciach kruzańscy królowie Przymierza uchronili Druazzi przed całkowitą zagładą, wiedząc, że leśne szczepy stanowią znakomite źródło żołnierzy. Ocalili myśliwych, ale nie zdołali uratować puszczy, która ich karmiła. Zagarnęło ją wiecznie nienasycone Yugal.

Miasto rozlało się niczym spuchnięta ropucha, dysząc pośród błotnistych, wyjałowionych pól, moczarów i resztek puszczy, wykarczowanej, spalonej albo zgniłej od szarej choroby. Gdyby nie pieniądze zarabiane przez najemników i emigrantów, plemię dawno wymarłoby z głodu.

Nad rzeką z mgieł wyłoniło się dwóch ludzi: stary Hon i jego syn Yora. Hon miał dziką, nieprzeniknioną twarz. Jak wszyscy Druazzi starej daty ozdobił ją tatuażami, które przecinały zmarszczki. Szeroki kapelusz z palmowych włókien chronił przed deszczem i leśnym robactwem. Podobnie jak Pęcherz, uzbrojony był we włócznię i dwa rytualne sztylety, z których jeden, Jasny, służył do codziennych czynności, drugi zaś, Ciemny, dobywano jedynie wtedy, gdy musiano kogoś zabić.

Kiedy wyszczerzył się w uśmiechu, resztki spiłowanych zębów błysnęły zielenią nefrytu. Wojownicy Druazzi chętnie wzmacniali uzębienie płytkami drogocennych kamieni, co nie miało nic wspólnego z kanibalizmem, o który oskarżali ich słabi i kłamliwi ludzie z miast. Jego potomek, Yora, wyglądał przy Honie jak postać z kukielkowych jasełek, wredny, wieczne błaznujący diablik z chudą twarzyczką szczura i wielkimi oczami, z których wyzierała jakaś ponura tęsknota.

Mężczyźni powitali Pęcherza z szacunkiem, na jaki zasługiwał wódz, mimo że ich plemię było teraz tylko kroplą w ludzkim morzu, które rozlało się wokół starożytnego Yugal. Zagłębili się w las. Haran milczał, bo oni milczeli. Był dumny, że sunie przez poszycie puszczy tak cicho jak reszta, nadrabiając brak doświadczenia lekkością. Bardzo chciał zasłużyć sobie na pochwałę Pęcherza i Hona. Las ustąpił miejsca nadrzecznym rozlewiskom Mys. Szli gęsiego, miejscami brodząc po pas w mule, przedzierając się przez trzciny, bagniska i hałdy odpadków.

Aż dziw, czego ludzie nie wyrzucą do wody. Najbardziej śmierdziały ciała, tutejsi zawsze powierzali swych zmarłych rzece. System sprawdzał się, gdy zamieszkiwali niewielkie wioski, ale teraz, w zatłoczonych slumsach, powodował potworny fetor.

Chłopiec sądził, że idą na polowanie. Ale oni skierowali się w górę zbocza.

Kiedyś była to zwyczajna dzielnica, z domami z wewnętrznym dziedzińcem, warsztatami, placem targowym i szkołą świątynną. Dziś ulice roiły się od uchodźców. Przeważnie byli to chłopcy z okolicznych wiosek, których szara choroba zmieniła w nędzarzy, ale trafiali się też przybysze z południa, uciekający przed nasilającą się wojną. W apatycznym tłumie krążyli handlarze i kurwy. Haran widział sprzedawców kukurydzy i myśliwych odganiających muchy od jelenich półtuszy. Jakiś łotrzyk przyglądał im się z namysłem, ale na widok Pęcherza zrezygnował.

Bez przeszkód dotarli przed wrota Górnego Miasta. Tłoczyli się tu łowcy z dobrami zdobytymi w lesie. Znosili poroża jeleni i skóry niebezpiecznych gadów: iguan i jadowitych, czarno-żółtych jaszczurów *tecueh*. Inni taszczyli ziarna czekolady, drewno na strzały oraz najcenniejszy z towarów: pióra barwnych ptaków, kwezali. Chłopcy z koszami fasoli, papryki i kukurydzy odprawiani byli z kwitkiem, takie transakcje załatwiano na targu wiejskim.

Haran zadzierał głowę, wpatrzony w zdobiące mur rzeźby skrzydlatych węży. Zwieńczenia starych baszt miały kształt

czaszek, z demonicznymi twarzami o grubych rysach. W ich rozdziawionych, głodnych ustach mieściły się mosty zwodzone, z których wojownicy mogli kontratakować, zbiegając po pomostach z plecionej trzciny, niczym po wywalonych jezorach. Jeżeli wrogów było zbyt wielu, demony unosiły kłapy powiek, a z „oczu” baszt wylewały się olej i wrzątek.

Wokół panował grozący wybuchem, nerwowy nastrój, właściwy dla okresów głodu, choroby i suszy. Strażnicy - rośli mężczyźni w zbrojach ze skóry, bawełny i filcu, z pierzastymi insygniami w zielonym kolorze Yugal, obrzucili ich grupę pogardliwymi spojrzeniami.

- Tylko z wartościowym towarem, śmierdziele. Nie trzeba nam tutaj żebraków i chorób.

Pęcherz i Hon stężeli. Druazzi stosowali *masztak*, oczyszczające kadzidło chroniące przed złymi duchami. Nie wszyscy lubili ten zapach, choć chłopiec wolał go od preferowanego przez Kruzów kopalu.

Haran ujrzał, jak ojciec rozprostowuje prawicę. Na serdecznym palcu widoczne było pasmo jaśniejszej i czystszej skóry. W tym miejscu znajdował się kiedyś zielony jadeitowy pierścień. Chłopiec pamiętał, że Pęcherz otrzymał go za wojenne zasługi. Pierścień był czymś w rodzaju nadania szlachectwa i uprawniał go do wchodzenia na teren Górnego Miasta.

Pamiętał też dzień, gdy ojciec zastawił go u lichwiarza i przez cały wieczór kurczowo zaciskał dłoń. To był dopiero początek wstydu i jasnych plam. Znaczyły ściany ich chaty, w miarę jak Pijany Miecz wyprzedawał gobeliny, trofea wojenne i broń, naczynia kuchenne i meble. Heza powiedziała mu kiedyś, że ojciec wpadł w dług, żeby wspomóc Druazzi zrujnowanych przez szarą chorobę. Haran podejrzewał, że głównym winowajcą były jednak *pulque* i kości.

Drugi strażnik był tłusty i miał lepkie, błyszczące usta. Mrugnął do Harana i uśmiechnął się słodko.

- Za to chętnie wpuścimy tu wasze córki. Jakoś się je domyje. Chłopaczkę też się nada, he, he... - Śmiech tłu-ściocha przeszedł w zduszony kwik, gdy Pęcherz dzielił go pięścią w

splot słoneczny. Strażnik padł, daremnie łapiąc powietrze, a drugi Kruz zastygł z uniesioną włócznią.

Wpatrywał się w starego Hona, który bez zmużenia oka podpierał jego podbródek sztyletem.

- Myśleliście, że możecie zabawić się moim kosztem? Dla waszej wiadomości, służyłem u boku Starego Księcia. Pan miasta z pewnością ucieszy się, słysząc, że takie spasioone pacholki porywają się na jego dawnych przyjaciół.

- Stary Książę pojechał na wojnę, dzikusie. Każdy szmaciarz może wycierać nim gębę - wystękał grubas.

- W takim razie załatwimy to sami. Skoro wam życie obrzydło... - Pęcherz przerwał wywód i nastąpił grubasowi na rękę, którą ten już sięgał po świstawkę alarmową. Drugi strażnik ostrożnie przełknął ślinę.

- Upiekło się wam, Druazzi. Przechodźcie - mruknął.

Przyspieszyli kroku. Pęcherz prowadził ich, rozpychając tłum. Ulice pełne były woni, których Haran nie znał, i widoków, których nie miał czasu podziwiać. Stary Hon złapał Pęcherza za rękę.

- Może to przemyślisz. To naprawdę nie jest mądre, *aszkatli*.

Chłopiec nadstawił uszu. *Aszkatli* oznaczało przyjaciela i brata krwi, tak zwracali się do siebie mężczyźni, którzy razem walczyli. Haran słyszał to słowo, ilekroć przyjaciele Pęcherza schodzili się na popijawę. Gdy wino łagodziło napięte twarze i przywracało blask oczom, wędrowało w powietrzu jak zakłęcie dumy i wsparcia. „Jeszcze im pokażemy, *aszkatli*. Będzie dobrze”.

Pęcherz zbladł i gniewnie wyrwał druhowi rękę. Haran przyglądał się temu, zdumiony. Ojciec lubił wypić, lecz przeważnie upijał się w domu. Rzadko pozwalał sobie na utratę twarzy przy ludziach.

- Nie mam wyjścia - warknął, uderzając się po udzie.

- Mógłbyś prosić o pomoc w pałacu. Jesteś zasłużonym żołnierzem...

- Nie mógłbym. Ten spasiony sukinsyn miał rację. Dopóki nie wróci Stary Książę, moje imię nic nie znaczy.

Hon pokręcił głową. Poklepał Pęcherza po ramieniu.

- Zawsze będziesz moim wodzem. Zaopiekuję się Hezą.

- Martw się lepiej o swoich. Z tymi głodnymi gębami i suszą...

- To nie potrwa długo, *aszkatli*. Gdy Książę wróci, upomnimy się o ciebie.

Rozmowę przerwał im Yora. Syn Hona poklepał Pęcherza i objął go, ale unikał jego wzroku. Za to nie przejmował się Haranem. Jego oczy są pełne radości, pomyślał chłopiec. Normalnie ich spojrzenie było zimne, Haran go nie lubił. Nie nadążało za skwapliwie uśmiechniętym, szczurzym obliczem i przymilnym głosem. Jedyne dziecko Hona nie było wojownikiem i Pęcherz często okazywał mu wzgardę. Twarz Yory przeważnie pozostawała zresztą posępna, toczona jakąś upartą zgryzotą. Dziś Haran pierwszy raz zauważył w niej radość, za którą kryło się coś wstrętnego, zjadliwa emocja, mroczniejsza niż u grubego strażnika.

Hon zaprowadził ich do niewielkiej szopy. Była ciemna, stłoczeni ludzie zastygli, otepiali upałem i tylko muchy wykazywały jakąkolwiek aktywność. Dwóch mocno zbudowanych nadzorców zajęło najlepsze miejsce przy drzwiach, obdarzone śladowym powiewem. Grali w kości, dbając o to, by ludzki towar się nie uszkodził. Teraz obszukali nowo przybyłych i przywiązali ich do specjalnej żerdzi, ostrożni i bardzo grzeczni. Jakby to oni byli w tej sytuacji skrupowani. Haran zobaczył, jak Pęcherz oddaje Honowi swoją włócznię i dwa święte noże. Tego było dla chłopaka za dużo. Chciał czmychnąć, ale Pęcherz przyciągnął go i mocno objął.

- Słuchaj uważnie. Jesteś już duży, ale nie mogłem ci powiedzieć. Ani Hezie. Ma w łonie dziecko i nie należy jej martwić.

Haran nie rozumiał i gapił się na niego zdumiony. Pęcherz westchnął.

- Jeszcze raz. Chodzi o to, że nie mam pieniędzy. Ale mam długi, i to spore. Jako niewolnicy wywinimy się naszym wierzycielom.

- Nie wiedziałem - wy szeptał chłopiec. Pęcherz uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Armia skupuje teraz niewolników. Budują jakąś fortecę na północy. Przepracujemy rok, dwa, najwyżej kilka lat. Gdy Stary Książę wróci z wojen, Hon opowie mu o wszystkim i wykupi nas. Znam go, a on nie zostawi swojego żołnierza na pastwę losu. Robię to wszystko dla Hezy... oraz twojego nowego braciszka lub siostry.

Haran milczał, w oczach zbierały mu się łzy. Pęcherz pogłaskał go.

- Nie bój się. Nie rozdziela nas. Idziemy tam jako własność Hona. Zadba o to, żeby kupili nas obu. Razem.

Stłoczeni w dusznej, cuchnącej szopie czekali na hurtownika. Haran wciąż nie mógł uwierzyć w to, co go spotkało. Pęcherz drzemał na kukurydzianej macie. Nie wydawał się przesadnie zasmucony, nie dręczyły go wyrzuty sumienia. Chłopiec usiłował pójść w jego ślady, ale w głowie nadal huczały mu myśli. Dlaczego ja? Pęcherz jest silny, może dobrze pracować. Walczyć. Ludzie zapłacą, żeby go oglądać. Ale ja? Opiekowałbym się Hezą i maleństwem. Dlaczego się mnie pozbyli?

Zapłakał, obejmując głowę. Zduszony jęk ocucił go z ponurych rozmyślań. Rozejrzał się po szopie, w kącie podrygiwały splecione ciała. Zafascynowany tak, jak może być tylko dwunastoletni dzieciak, patrzył na brązowe piersi kobiety wijącej się pod chudym, wytatuowanym zbirem. Widząc, że Haran patrzy, opryszek ścisnął i ugryzł miękkie ciało, drugą ręką zatykając ofierze usta. Wyszczerył zakrwawione zęby. Lewe ramię, którym knebliwał kobietę, kończyło mu się opalonym kikutem.

- Tym też można wyruchać, synu. - Pomachał nim z dumą.

Kobieta łapała powietrze uwolnionymi ustami. Z jej oczu płynęły łzy, ale Haran zauważył, że szybko zagryzła wargi, nie wydając dźwięku. Jednoręki przyglądał się chłopakowi nad morzem skamieniałych ciał, wreszcie jego wzrok zatrzymał się na Pęcherzu. Z grymasem dziecka pozbawionego zabawki szturchnął kobietę, która zmieniła pozycję, ustawiając się na czworakach. Haran odwrócił wzrok. Lepiej się przyzwyczajaj, pomyślał.

Zasypiał już, gdy zbudził go szelest. Yora wyslizgnął się z szopy. Haran uchylił skrzypiące drzwi i wyjrzał ostrożnie. No tak, Yora po prostu lał. Potem wytarł ręce w spodniczkę i rozejrzał się czujnie. Człowiek, który wyłonił się z mroku, miał granatowy, bawełniany płaszcz, który nosić mogli tylko weterani. Ozdobił go turkusową broszą w kształcie włóczni. Szeptali, usłyszał brzęk monet. Nie zaniepokoiło to zbytnio Harana. Yora zawsze robił jakieś szemrane interesy.

Chłopak ułożył się na posłaniu z kukurydzianych badyli, poprawił zwinięty pod głowę płaszcz. Z przymkniętymi oczami rozpamiętywał miniony dzień. Czuł, że przestaje być dzieckiem, że otwiera się przed nim los kogoś starszego, kogo jeszcze nie zna.

Będę dzielny, nie będę się bał.

Z półprzytomnego stanu pomiędzy, dzielącego krainy jawy i snu, wyrwał go odgłos stąpania. Chłopiec powściągnął zwierzęcy odruch, nakazujący mu zerwać się, i ostrożnie otworzył oczy. Nie chciał spłoszyć intruza.

Drobny, przykurczony mężczyzna pochylał się nad Pęcherzem i mruczał coś cicho z zębami wyszczerzonymi jak ostrza. Przez otwór w palmowym dachu chlusnęła poświata księżyca, wypłukała z ciemności udręczoną, wykrzywioną nienawiścią twarz.

To był Yora.

Rozdział 2

Czasy były ciężkie, ale ze szczytu wzgórza zamieszkanego przez szlachtę wszystko wyglądało lepiej. To tutaj mieszkali przedstawiciele kruzańskich wysokich rodów, napływowa elita Yugal, która podbiła miasto w zamierzchłej epoce Kłatwy.

Chłopiec imieniem Tennok zamknął książkę i przeciągnął się w trawie ze zwierzęcą rozkoszą. To była dobra lektura. Awanturnicza opowieść z któregoś z minionych, zapomnianych Cykli, opracowana przez Mykotła Starszego. Bohater opowieści, toltecki arystokrata o wdzięcznym imieniu Ka'ban, właśnie prowadził zbuntowany lud na bramę fortecy swojego ojca tyrana. Uciśnieni brali odwet na złych, a słabi wygrywali z silnymi. Sprawiedliwości dziarsko stawало się zadość. Tennok miał niejasne wrażenie, że prawdziwy bieg dziejów wyglądał nieco inaczej. Mimo to fabuła fantastycznego romansu była na tyle wciągająca, że Tennok postanowił zostawić sobie trochę na później.

Odłożył książkę i ziewnął. Promienie słońca leniwie pełzały po jego skórze, a żołądek nieśmiało sugerował, że pora podwędzić z zamkowej kuchni obiad, a raczej trzecie śniadanie. Uwielbiał czytać i jeść, a najlepiej łączyć te przyjemności.

Wrażenie psuł nieco smród zwłok wiszącego nieopodal skazańca, który miał wystarczająco dużo szczęścia, że zamiast trafić do Dołów, został ukrzyżowany na miejscu. Kruzowie uwielbiali krzyżować. Stara legenda głosiła, że nawet nazwa plemienia pochodziła od cudzoziemskiego słowa, jakim starożytni Białoskórzy określali znak swojego Martwego Boga. Podobno dzicy przodkowie Kruzów krzyżowali każdego schwytanego najeźdźcę, oddając mu tym samym szyderczy hołd.

Niedaleko stąd, na należącej do ich rodu arenie gladiatorskiej, młodsi bracia Tennoka uprawiali się w

szermierce. Stary Cahuotl, mistrz miecza klanu Turkusowej Włóczni, dawał im niezłe w kość. Na pewno spływali potem, a i krew by się pewnie znalazła. Ci z synów Maczuraia, którzy nie towarzyszyli mu na wojennych wyprawach, szkolili się do nich w domu. Tennok słyszał ich skargi, okrzyki bólu i złości, lecz na szczęście nie musiał ich wachać. Powinnował sobie udanej ucieczki z zajęć i leniwie obwachał i ugryzł mlecz, który właśnie prze-kwitał w dmuchawiec. Po raz kolejny doszedł do wniosku, że jest prawdziwym szczęściarzem.

Był synem Maczuraia z rodu Turkusowej Włóczni, jednego z najlepszych szermierzy epoki. Urodził się w pałacu, ale to wcale nie gwarantowało spokoju. Wręcz przeciwnie. To, że ominął go morderczy trening, jaki stał się udziałem rodzeństwa, zawdzięczał wyłącznie sobie.

Słabego zdrowia, powiedział lekarz, gdy okazało się, że w wieku trzech lat kwęka, nie je i nie kwapi się zacząć chodzić. Te same słowa padały przy wielu okazjach. Gdy nie mógł udźwignąć miecza ćwiczebnego i nie potrafił nim machnąć. Gdy niezdarnie wraził miecz w oko kuzyna, gdy płakał i narobił w majtki. Ale to nie wystarczyłoby, żeby klan machnął na niego ręką. Niezręczność przypisano jego młodemu wiekowi, zwłaszcza że szczeniak odznaczał się przy tym ładną buzią, melodyjnym głosem oraz wdzięczną, miłą dla oka sylwetką. Wnet jednak się okazało, że Tennok jest także urodzonym, ostentacyjnym wręcz tchórzem, a to dyskredytowało każdego z kruzańskich zdobywców świata. W stadzie wilków urodziła się owca.

Tennok szybko przekonał się, że bycie Kruzem zobowiązuje. Człowiek musiał być twardy lub przynajmniej sprawiać takie wrażenie. Dorosnąć do reputacji zdobywców. Każde zwycięstwo Kruzów obnażało i pomnażało jego słabość.

Jego lud był sojusznikiem i spadkobiercą wymarłych Azteków. Przyczynił się do odparcia Białych Diabłów, osławionych zamorskich najeźdźców, i wyszedł cało z przeklętej epoki Kłatwy, gdy plemiona, narody i rasy kurczyły się jak bryłki wyschniętej gliny, kruszone palcami bóstw. Później, już w nowym Cyklu, Kruzowie wypełnili lukę po wymordowanych

Aztekach, wskrzeszając na ruinach ich świata nowe, jeszcze wspanialsze imperium. Tak powstało Odrodzone Przymierze.

Tennok od maleńkości znał tę historię. Wiedział i to, że władca Przymierza rezydował w Tollan, Mieście Trzciny, a dziesiątki plemion i dumnych miast-państw składały mu hołdy, płaciły trybuty i walczyły dla Kruzów w świętych wyprawach po Drogocenną Wodę. Wiedział też, że głównym zadaniem i misją Kruzów było karmienie bóstw. Ich piramidy i wieże spływały posoką jeńców, pokrzepiając tym samym bogów w odwiecznych, kosmicznych zmaganiach. Wiedział to, i nienawidził wszystkiego, co wiązało się z tą wiedzą.

To jednak król Kruzów, zwany *tlatoanim*, odpierał najazdy barbarzyńskich nomadów z północnych równin. To on przewodził krucjatom przeciwko obmierzłym Tlaskalanom i Tikalczykom oraz innym starożytnym odszczepieńcom, sojusznikom zamorskich demonów. I nawet Tennok, z jego buntem i żarliwym cynizmem odmienca, musiał przyznać, że Kruzowie byli olbrzymami. Tym bardziej zgrzytało, gdy rodził się wśród nich karzeł.

Szybko pojął, że nawet upokorzenie i hańba mogą się stać puklerzem człowieka. Świat oczekuje od oferny pokory. Dobrze widziany jest wstyd, poczucie zakłopotania. W końcu wybrakowany, bezużyteczny nieszczęśnik nie ma powodu do dumy. Tennok nauczył się usuwać z drogi i potrafił sprawiać wrażenie osowiałego. Mimo to, w głębi serca, był przeszczęśliwym dzieckiem. Świat machnął na niego ręką. Kiedy inni tyrali i zbierali sińce, on mógł robić to, na co miał ochotę.

Nie, żeby odpuścił mu każdy. Podejrzewał, że ojciec, osławiony, otoczony powszechną bojaźnią wojownik, dawno spisał go na straty. Gorzej było z matką. Irdana pogodziła się co prawda z tym, że jej syn ma wąskie ramionka i zajęcze serce, lecz nadal wierzyła w zdolności jego umysłu. Podświadomie zakładała, że sprawiedliwi bogowie zrekompensują Tennokowi braki cielesne i wychowa go przynajmniej na wielkiego kapłana, następcę Szurukana z Czerwonej Świątyni. Niestety, w przypadku rozmarzonego, rozmamłanego Tennoka ten

kierunek też okazał się ślepą uliczką.

Zawodził na polu astronomii i matematyki. Nie wytyczyłby kanału przez grządkę, irygacja budziła w nim tylko irytację. Wpajaną przez kapłanów logikę łapał gorzej niż kauczukową piłkę, boleśnie ciskaną przez braci. Ratowała go jedynie wrodzona smykałka do słów. Oraz pamięć. Z jakichś niejasnych powodów potrafił dukać raz przeczytane lekcje jak nieprzytomna papuga.

Przystania okazała się dla niego wyobraźnia. Ostatnia deska ratunku, z której poeci i głupcy nieopatrznie sklecają swój szafot. No i książki. Siedziba Turkusowej Włóczni nie miała bibliotek, w poszukiwaniu lektury Tennok przeczesał już całą fortecę. Najchętniej plądrował zapomniane magazyny na łupy wojenne, w których butwiały zwoje i papierowe kodeksy złupione przez jego przodków w bogatych, majańskich miastach. Jego ojciec dawno przeznaczyłby te zbiory na opał, gdyby nie to, że w ich południowej krainie zwykle było gorąco. Niczym zapobiegliwa wiewiórka, Tennok znosił te łupy do licznych zakamarków i schowków, z których obserwował codzienne życie fortecy.

Dziś zaszył się ze swoimi łupami w sekretnej kryjówce na wzgórzu, z solennym postanowieniem, że przebimba tu cały dzień. Uwielbiał to miejsce. Nie zapuszczali się tutaj nawet strażnicy, nie mówiąc o zwykłych dworakach i sługach. Czasami mógł stąd widzieć, jak do Dołów schodzą kolejne transporty więźniów, wydobywających spod ziemi bryły skał, w których zbierał się tajemniczy *braazatal*. Podobno ten dziwny kopal zaczął przynosić zyski, które prawie zrównały się z profitami z tradycyjnego surowca Dołów, czyli szlachetnych kruszców.

Tennok westchnął. Teraźniejszość była co prawda przyjemna, ale przyszłość rysowała się przed nim coraz wyraźniej i przybierała niepokojące kształty. Los kruzańskiego szlachcica był wytyczony jak tor jaguara skaczącego człowiekowi do gardła.

Najbardziej obiecujący trafią do Szkoły Rycerskiej, przeznaczony dla młodzieńców z najlepszych rodów

imperium. Ci obdarzeni dobrą pamięcią pójdą do Szkoły Kapłańskiej zgłębiać wiedzę o bogach i gwiazdach. Tennok nie bardzo miał ochotę na posty i puszczanie krwi, ale i tak wolał to od wojaczki i ćwiczeń. Na pewno nie miał nic przeciwko temu, że ominą go wojenne przygody i chwała. W końcu zawsze mógł poczytać o nich w książkach, a nieokrzesany wojownik już na zawsze zostanie półgłówkiem. Czasami zastanawiał się, czy gdyby bogowie obdarzyli go silnym, zręcznym ciałem i odważnym, kipiącym energią sercem, nie angażowałby się chętniej w gry i rywalizację. Pewnie próbowałby. Ale przy jego „nieoczywistych” zaletach? Nie bardzo było czym grać.

Maczurai zauważał go bardzo rzadko. Nawet nie tyle nim gardził, ile w ogóle zapomniał o jego istnieniu. Na przykład kilka tygodni temu, gdy nauczyciel rachunków pochwalił pamięć chłopaka. Podczas wieczery zdawało mu się, że ojciec przygląda mu się uważnie. Tennok podejrzewał, że to posępne spojrzenie wyczerpywało ich tegoroczne kontakty.

Cóż, przynajmniej mam więcej czasu na książki, pomyślał i wrócił do lektury fantastycznego utworu Nazahuotla, Króla Kojota, starożytnego autora sprzed Kłątwy. Nagle usłyszał za sobą płaskanie ciężkich i płaskich stóp. Chiapanari, monstrialnie otyły eunuch, który strzegł ojcowskiego haremu, wyłonił się z cieni jak larwa.

- A, więc tu się ukryłeś. Przysyła mnie pani Irdana. - Kastrat rozejrzał się czujnie.

- Stało się coś? - zaniepokoił się chłopiec. Nie zjadł dzisiaj obiadu i nie chciałby, żeby z powodu głupich awantur dorosłych ominęła go także kolacja. Matka lubiła karać za byle co.

- Dużo ludzi tu przychodzi?

- Tu? To dobra kryjówka. - Dzieciak roześmiał się z wyższością.

- Czyli nikt tędy nie chodzi. To dobrze - głos eunucha był uspakajający i kojący.

Gładził włosy chłopca palcami w kształcie kielbasek. Zadziwił go tym, w krótkim życiu Tennoka nikt nigdy nie okazywał mu przesadnej sympatii. Był na to zbyt nieważny.

Nagle sługa pchnął go na mur. Chłopak otworzył usta do krzyku i zakrzuszył się, gdy eunuch wepchnął w nie zrolowaną szmatę.

- To nieprawda, że my nie możemy - szeptał okaleczony mężczyzna. - Żądza siedzi w człowieku do końca. Jego najgłębsza osnowa. Jak ogień, który wciąż się tli... ale nie sposób go rozdmuchać i rozpalic. - Mężczyzna jęknął i poślinił mu policzek.

Pachniał zgniłymi owocami, trzcina i ptasim gównem. Chłopiec wierzgnął, brakowało mu powietrza. Rzezaniec upajał się jego strachem.

- Musisz zginąć, ale szkoda, żeby taki ładny chłopaczek się zmarnował. Też kiedyś byłem ładny - poskarżył się.

Tennok próbował odepchnąć napastnika. Opasłe policzki nad nim zaróżowiły się z podniecenia, ohydne męskie cycki zafalowały w uniesieniu.

- Nie wrywaj się, bo sprawię ci ból - ostrzegł Chiapanari, cierpliwie wzbudzając swoje uwiędłe prace. Zwolnił uścisk i chłopiec zdołał wypluć knebel, gorączkowo zaczerpnąć powietrza.

- Nic ci nie zawiniłem. Dlaczego to robisz?

- Bez urazy, mały. Jak dla mnie zawsze byłeś sympatycznym dzieciakiem. Po prostu jego matka zapłaciła mi więcej niż twoja.

Matka? Dalby wiele, żeby Irdana tu była. Ona nie pozwoliłaby się zastraszyć tej kupie sadła. Chłopiec, który właśnie przestał być dzieckiem, zakwilił cicho. Potrafił tylko uciekać. Uciekać, zawodzić, kryć się. Raz pewna dziewczyna z klanu Purpurowego Strumienia zobaczyła go zatopionego w lekturze. Była ładna, stanowczo zbyt ładna. Spytała, co czyta, a on wykrztusił, że to opowieść o człowieku, który zawsze ucieka.

I czmychnął.

Ale teraz nie było już dokąd biec.

Tennok odprężył się, uległ. Eunuch wyczuł, że jego ofiara słabnie i zasapał, rozochocony. Puścił go i zaczął podkasywać tunikę. Wtedy chłopak wbił mu w oko kciuk. Na szczęście miał ostre paznokcie.

Ryk.

Tennok szarpnął się, zamachał rękami. Wymacał przy pasie grubasa coś twardego.

Na szczęście u kastratów podniesienie masztu zabiera sporo czasu. Chłopiec chwycił obsydianowy nóż. Ostry, piekielnie ostry, tak że nawet on, słynny niezdara, bez trudu rozplątał eunuchowi brzuch. Gorąca krew i wnętrzności pociekły mu po nogach. Chiapanari, który nie spuścił się od czasu, kiedy równie bezlitosne ostrze ukształtowało jego życiową kondycję, zaskrzeczał, zdumiony. Bezsilny, na pół pobudzony członek sterczał z buchającego krwią krocza jak łebek przerażonego pisklęcia. Ręce eunucha łapały powietrze, nogi tańczyły w agonii.

Padając, pociągnął Tennoka za sobą w cierpienie i dygot. Chłopiec nie miał siły wydostać się i zemdłał, przygniety górami trupiego mięsa.

Właśnie tak odnalazła go matka. Sinego, jakby próbował urodzić się po raz drugi, wypełzając na zimny, okrutny ład z otchłani gówna i krwi. Irdana krzyknęła, a potem kazała sługom przeturlać ścierwo eunucha. Sprowadziła syna ze wzgórza i ruszyła z nim korytarzem pałacu, asekurowana przez ochroniarzy z tarczami. Z oddali dobiegały wrzaski, płacz kobiet i odgłosy walki.

Kiedy Tennok się ocknął, Irdana wpatrywała się w niego z dumnym, matczynym uśmiechem.

- Mój synek - szepnęła i pocałowała go we włosy. - Poradziłeś sobie z nim. Jestem z ciebie dumna.

- Ale dlaczego? Dlaczego ktoś chciał mnie zabić? - wybełkotał.

- To nieważne. Synowie, następcy twojego ojca, nie żyją.

- Cohtemoc i Valapuri? Ich też ktoś zabił? - Tennok poderwał się z oczami rozszerzonymi strachem.

Cohtemoc i Valapuri, jego starsi, przyrodni bracia, mieli kiedyś objąć władzę nad rodem. Dlatego zawsze byli oczkiem w głowie ojca. Ich matka, Hakatli, uchodziła za ulubioną żonę Maczuraia. A skoro ktoś zdołał uśmiercić ich, czujnie chronionych faworytów... to on musiał się czym prędzej ukryć.

Tutaj nie było bezpiecznie.

- Siedź - głos Irdany potrafił chlasnąć niczym lodowy bic. - Zabiła ich woda z kałuży i niedopieczono mięso. To od tego w wojsku szerzy się obozowa czerwonka. Twoi starsi bracia właśnie wypadli z kolejki. Rozumiesz, co to oznacza?

Tennok rozpromienił się i szybko pokiwał głową. Tak! Nie będzie więcej kuksańców i razów, kopania po kostkach i bolesnego szczypania po przedramionach i udach. Cothemoc i Valapuri byli draniami. Nigdy nie przegapili okazji, żeby go dręczyć.

Auuu!

Irdana trzepnęła go w głowę zgiętymi kostkami dwóch palców. Bolało jeszcze bardziej, kiedy matka miała na palcu napałek.

- Skup się! Teraz to ty jesteś najstarszym synem Maczuraia, wodza rodu Turkusowej Włóczni. Moim synem! Rozumiesz, co to oznacza? Żaden wysoki ród w Yugal nie dorównuje nam bogactwem i siłą. Nawet Stary Książę liczy się ze zdaniem twojego ojca! - słowa Irdany brzmiały żarliwie i niemal nabożnie. Jakby recytowała święte wyznanie wiary. - Pamiętaj też, że Stary Książę nie spłodził dotąd dziedzica. Ma tylko córki. Nikt nie wie, kto po nim obejmie władzę nad Yugal...

Głos matki wznosił się na jakieś mistyczne wyżyny. Tennok skrzywił się, głośno zaburczało mu w brzuchu. Przez to dynastyczne szaleństwo przegapił kilka posiłków. Irdana jednak niczego nie zauważyła. Wpatrywała się w niego jak nigdy. Jakby nagle zaczął coś dla niej znaczyć.

- Słyszałem walkę i krzyki... coś się dzieje? Czy to przewrót? - wymamrotał głosem stłumionym, jakby ktoś owinał mu język watą.

Przewroty pałacowe w kruzańskich wysokich rodach zazwyczaj kończyły się krwawo, a zwycięzcy nie zwykli pozostawiać nikogo przy życiu. A już zwłaszcza dzieci płci męskiej, potencjalnych mścicieli i wrogów.

Irdana spojrzała na niego zimno. Zawsze umiała wywęszyć w nim strach, jakby była to zasikana przepaska biodrowa.. Cóż,

niekiedy te sprawy się ze sobą łączyły.

- Przewrót? Skąd. Nikt nie ośmieliłby się podważać władzy twojego ojca. Powiedzmy, że niektórzy zwietrzyli szansę i trochę się pospieszyli. A krzyczała i zawodziła Hakatli. Biedaczka jest już skończona - w głosie matki Tennoka było mniej więcej tyle współczucia, ile mięsa na kości, którą wycmokał i porzucił kojot.

Oficjalne żony zawsze zajadły ze sobą rywalizowały, a krucha równowaga między nimi sprowadzała się do bezustannych intryg i podjazdów. Tylko wobec młodych nałożnic i licznych wojennych niewolnic potrafiły zjednoczyć się w pogardzie i nienawiści.

- A moi starsi bracia... czy naprawdę zabiła ich obozowa choroba? - zapytał, przestępując z nogi na nogę.

Nie patrzył matce w oczy. Tennok nigdy nie brał udziału w dorocznych wyprawach wojennych ojca, ale wiedział, że Maczurai słynął z utrzymywania w wojsku żelaznej dyscypliny. Nie dopuściłby, żeby jego dziedzice pili wodę z rowu czy jedli zepsute mięso. W takim razie... ktoś pomógł im pożegnać się z światem. Zapewne za pomocą trucizny, która wywołuje podobne symptomy jak obozowa czerwonka. Tłumaczyłoby to także eunucha, brutalny kontratak żon.

Ktoś właśnie posunął się o krok za daleko.

Irdana podeszła i przytuliła go, pogłaskała po włosach. Jej głos słyszał jakby z oddali. Jej ramiona były takie bezpieczne. Tennok wiedział, jak kruche było to szczęście, jak łatwo w matce zapalał się gniew.

- Twoi przyrodni bracia zginęli. Twoi rywale. Wrogowie. Tylko to się liczy. Powinieneś się z tego cieszyć, synku. Maczurai jest ważnym człowiekiem, Tennoku. I wierz mi, stanie się jeszcze ważniejszy. Ludzie nawet nie wiedzą, jak wzrosło znaczenie naszego miasta, odkąd pojawił się kopal. Stajemy się jedną z ważnych prowincji Przymierza. Przygląda się nam sam Quinatzin!

Tennok pomyślał, że matka jak zawsze przesadza. I chyba nie zna historii.

Czy nikt w jego rodzinie nie czytał ksiązek? Młody Quinatzin,

tlatoani Odrodzonego Przymierza, wielkiego imperium Kruzów, władał setkami zhołdowanych miast-państw, z których wiele było równie starożytnych i dumnych jak Yugal. Stary Książę i Maczurai mogli być sławnymi dowódcami polowymi, ale byli także nieokrzesanymi prowincjuszami, dalekimi od intryg stolicy. Nuworyszów nie dopuszcza się do stołu. Jeszcze by się zorientowali, że to oni, a nie elity z Tollan, dysponują bitnymi armiami.

Tennok był dziwnie pewien, że w Tollan, Mieście Trzcina, wyperfumowani i śliscy dworzanie śmieją się z ambicji lokalnych rodów, takich jak Turkusowa Włócznia. Śmieją... i boją się ich. „Jesteśmy jak pchły, którym roi się, że kierują krokami psa”. A jego ojciec nie był nawet największą z tych pcheł.

- Jeżeli Quinatzin kogokolwiek wywyższy, prędzej będzie to Stary Książę - mruknął.

Irdana stężała, wyczuł jej dezaprobatę nawet w sposobie, w jakim gładziła mu włosy. Jakby czuła, że syn nagle postanowił jej się wyrwać, a ona nie zamierzała mu na to pozwolić.

Skuilił się odruchowo, w oczekiwaniu na uszczypnięcie lub zabębnienie kłykciami po głowie. Irdana nie znosiła, gdy robił się przemądrzały. Czytaj, mądrzejszy od niej. Ale matka wyczerpała już dziś chyba całą krwiożerczość.

- Znowu się mądrzymy? Zapominasz, że Quinatzin to człowiek zmiany. *Tlatoani* otacza się nowymi ludźmi i chętnie wymienia kadry. A Stary Książę... to wielki wojownik, lecz każdy wie, że nie ma męskich potomków i nie będzie panował wiecznie. Jestem pewna, że któregoś dnia Quinatzin przyzna Maczuraiowi tytuł księcia. Wtedy ty też nim zostaniesz.

Tennok zamrugał. Kręciło mu się w głowie. Książę! Nigdy nie liczył na taki zaszczyt. I chyba o nim nie marzył. To wszystko robiło się trochę przerażające i czuł, że zaraz porzyga się z tego napięcia i strachu.

- Niestety, ta przeklęta suka Mirante dowiedziała się o wszystkim przede mną. I postanowiła, że przeskoczy nasze miejsce w kolejce do władzy. Gdyby nie to, że od dawna oplacam służbę i śledzę każdy jej krok... To byłby nasz koniec,

Tennoku.

- Ale dlaczego? - Chłopiec pociągnął nosem. Wciąż tego nie pojmował. Dlaczego ktokolwiek miałby obawiać się takiego tchórza jak on?

- Mirante kazała cię zabić, żeby to jej synalek Izumtli został nowym dziedzicem. Ja miałam być następną. Zaraz potem pozbyłaby się także twoich młodszych braci. Diablica uznała, że zdoła nas wyeliminować, zanim Maczurai wróci, a potem omota go swoimi kłamstwami. Zrzuciłaby winę na nas, znam ją. Ale już jej odpłaciłam. Nigdy więcej nie zrobi nam krzywdy. Spójrz.

Zaprowadziła Tennoka do okna. Wyjrzał niepewnie. Wciąż miał zawroty głowy.

Dziedzinię jak zawsze pokryty był szarym pyłem dobywającym się z kopalń. Ale dziś pył zmieszał się z czymś czerwonym i lepkiem. Kobięce ciało leżało pośrodku placu, nagie i pohańbione.

Za zwłokami ciągnęła się smuga czerwieni, jakby zdeptany ślimak czołgał się resztką sił. Niczym złamana strzała wskazywały na zejście do kopalń, desperacki wysiłek, przerwany dopiero przez śmierć. A przecież Doły, do których zsyłano najgorszych zbrodniarzy, nie były miejscem, gdzie ktokolwiek kierował się z własnej woli.

W tym nagim, bezwstydnie ciśniętym ciełe było coś nieludzkiego. Krzątający się zbrojni i słudzy omijali je szerokim łukiem. Tennok wzdrygnął się. Dobrze pamiętał tę twarz. Pani Mirante. Matka zręcznego Izumtli, czwartego syna Maczuraia, który w kolejce do dziedziczenia plasował się zaraz po Tennoku. Nagle uświadomił sobie, że aż do dzisiaj ją lubił. Izumtli nie był najgorszy, a i ona zdawała się miła. Lubiała mu dawać łakocie, dwa dni temu poczęstowała go kukurydzianym ciasteczkiem.

- Ten mały tchórz, Izumtli, na torturach przyznał się do wszystkiego. Gdy z nim skończyli, kazałam go spuścić do Dołów. Zadbalam o to, by Mirante słyszała, jak wrzeszczy. Głupia dziwka, myślała, że zdoła mu pomóc - zamruczała Irdana z satysfakcją. - Stoimy przed wielką szansą, synku. Nie

zawieź mnie. Słyszysz?

Tennok pokiwał głową. Oczy miał suche i obawiał się, że już nigdy nie znajdzie w nich łez.

Ciesz się. Wychodzisz na prowadzenie.

Rodzina, najpiękniejsze są sceny rodzinne. Ciepło, nie mylić z palącym żarem. Objęcia, nie mylić z dławieniem. Zachęty, nie mylić z szantażem. Irdana ściska go i zaklina, jej ramiona są mocne i zimne. Nagle Tennok staje się dla niej niezwykle ważny. Oczyszczimy ten owoc z pleśni. Matka szepce, kiedy krzyk nie skutkuje, wtedy szepce:

- Musisz być bardzo silny. Inaczej umrzesz. Zabiją cię, słyszysz?

Chłopiec pociąga nosem. Strach, który nie dotarł do niego podczas starcia z siepaczem Mirante, teraz bierze go we władanie.

Musisz się starać. Zawsze.

Musisz być najlepszy.

Albo umrzesz.

Rozdział 3

U stóp wzgórze nie ustawała gra w zakupy, sprzedaż i śmierć. Rano nadzorcy rozdali im kaszę i gliniaste placki kukurydziane, gorsze od tych, które Haran jadł w domu. Mimo to poczuł gwałtowny głód i rzucił się na swoją porcję z zapalem. Żując, zastanawiał się, co ich czeka.

Niewolnicy, których dotychczas spotykał, wyglądali nad wyraz nędznie. Czy jego też czeka taki żalosny los? A może nowi właściciele poznają się na ich ukrytych talentach? Pęcherz zostanie ochroniarzem wielkiego pana albo nadwornym mistrzem miecza, a on, Haran, zaprzyjaźni się z jego uroczą i delikatną...

Ciężka ręka wylądowała na jego przegubie, sprawiając, że puścił miskę. Pałające oczy smagnęły Harana jak bat.

- Zapomniałeś się - warknął Pęcherz. Chłopiec ze wstydem zapatrzył się w swoją miskę. No tak, już dawno przekroczył połowę. Ojciec patrzył na niego z pogardą. Nie, to było coś gorszego. Rozczarowanie. Smutek. - To ja zjadam jedzenie, a nie ono mnie - rzekł.

To było niesprawiedliwe. Haran powtórzył za nim słowa Napomnienia, ale w sercu czuł palącą złość, podsyconą poczuciem zawodu i krzywdy. Pewnie, tato. Nie ma to jak honor i stare zwyczaje z lepszych czasów. Tylko że teraz stał się to honor żebraków. A nie ma nic bardziej żalosego niż fochy zgrai obdartusów. A tak w ogóle to szkoda, że nie byłeś tak powściągliwy i nie panowałeś nad sobą, gdy ostatnio rzygałeś po *pulque*.

Do ich na pół opróżnionych misek rzuciło się kilka wynędzniałych, żalosenych postaci. Pierwszy dopadł je Jednoręki, ale nagle popchnął go krępy, posiwiał mężczyzna w fartuchu rzemieślnika. Haran widział go wcześniej przy grupce dzieci i kaszlącej, omotanej w długą szatę kobiecie. No tak.

Dzielny tatuś. Jednoręki dogonił go, przewrócił i przycisnął do ziemi sandałem. Jego kompan wykręcił ręce, mężczyzna zawył bezsilnie. Jednoręki uśmiechnął się do niego pogodnie.

- A mówiłem, co będzie, jak jakaś pizda wychyli się przed szereg? Powiedzcie, czy nie mówiłem? Za karę wyjebię ci dzieci.

- Przestańcie - poprosił Pęcherz cichym, znużonym głosem. Jednoręki zarechotał z pogardą, ale wypuścił ofiarę.

- Co my tu mamy? Dzielny wojownik Druazzi postanowił powstrzymać złoczyńców? Ale gdzie twoja włócznia, *aszkatli*? Gdzie twoje święte nożyki? Pokażesz nam je?

Pęcherz wstał i powoli pokręcił głową, zaczynając krążyć po pustym kręgu, który uwolnił dla nich tłum więźniów. Haran, zafascynowany, obserwował dziwny, drobiaźcy krok ojca i to, jak nie spuszczał wzroku z trzech przeciwników.

- Straciłeś je? Szkoda. Bo widzisz, ja wciąż mam ostrze. - W dłoni Jednorękiego błysnęła krzemienna klinga.

Haran dostrzegł, jak jego kompan zakłada paskudnie wyglądający kastet. A potem już wszystko zmieniło się w furkoczący wir.

Chłopak skoczył i zdołał podciąć jednego z tamtych, a w każdym razie zatrzymać go własnym ciałem. Za karę zarobił niezłego kopa, w żebrach eksplodował mu ból.

Kątem oka dostrzegł, że Pęcherz odepchnął trzeciego zbira i zakręcił nim w okrutnej parodii tańca. Mężczyzna jęknął i opadł na ziemię jak łachman, prawe ramię zwisało mu pod nienaturalnym kątem. Pęcherz odskoczył i w ostatniej chwili zablokował atak jednorękiego.

Typ obalony przez Harana zaczął się dźwigać, ale na karku wylądował mu siwowłosy rzemieślnik. Pęcherz i Jednoręki zmagali się. Nagle opryszek przekręcił się, oswobodził i uderzył z tryumfalnym skrzykiem. Ale tam, gdzie celował, rozpościerała się pustka.

Atakował nożem raz po raz, w jego oczach gorzało szaleństwo. Haran patrzył jak urzeczony, chyba nigdy nie był tak dumny z ojca. Tak dumny, że jest jednym z Druazzi. I mimo że ruchy Pęcherza przypominały swobodnie płynącą wodę, krew chlusnęła z gardła Jednorękiego, od niechcienia rozerwanego

palcami wojownika Druazzi.

- Na takich jak ty jeszcze nie trzeba mi ostrza - mruknął Pęcherz, klękając przy konającym. Potem dobił charczącego mężczyznę jego krzemiennym nożem. Pozostali dwaj opryszkowie gdzieś się ulotnili. Haran gapił się na to z rozdziawionymi ustami.

- Dobrze się sprawiłeś. Ale co widziałeś? - zapytał go ojciec.

Chłopak milczał. Pęcherz wskazał na swoją ofiarę.

- Ten człowiek kierował się arogancją i zestawem zwierzęcych odruchów. Dlatego zginął. My, wojownicy Druazzi, zwierzę w człowieku zastępujemy czymś lepszym. Zwalniamy miejsce. Rozumiesz?

Haran poważnie pokiwał głową. Pęcherz uśmiechnął się. Zrobił niepewny, dziwnie nieśmiały ruch ręką i zatrzymał się, żeby otrzeć ją o tunikę trupa. Zmierzył synowi włosy.

- Kiedyś cię tego nauczę. Zobaczysz.

Tego dnia wybuchło jeszcze parę bójek o jado, krótkich z powodu wyczerpania walczących. Po południu powrócił Hon. Odprowadził Pęcherza na bok i tłumaczył mu coś, zaaferowany. Kupiec zgodził się dać zadatek. Z dumą pokazał im woreczek ziaren kakao, które Pęcherz starannie przeliczył.

- Daj to Hezie - powiedział.

Weteran skinął głową. Wydobył z sakwy stary, oficerski hełm, zdobiony wyblakłymi piórami.

- Przechowałem go dla ciebie, *aszkatli*. Jak go włożysz, te szlachetne skurwiele z armii zorientują się, jaka się im nadarza okazja. Okazją ci trochę szacunku. - Stary wojownik przerwał i splunął gniewnie, jakby chciał trafić jakiegoś bogacza. - To draństwo i straszne łajdactwo, że ludzie, którzy przelewali za to miasto krew, nie dostali tego, co im się należy. Po co nam był Leśny Kontyngent? Figuruje tylko wciąż na świątynnych tabliczkach, żeby jakiś chujek pobierał na niego fundusze. Na jednego uczciwego człowieka przypada w tym kraju dwóch kapłanów i ich cztery kurwy! I ośmiu pedałów! - poskarżył się gniewnie. Pęcherz pokiwał głową.

- Uważaj mnie za przekonanego - powiedział. - Jak spotkam króla albo inną szychę, na pewno im wszystko powtórzę.

Hon zarechotał i splunął raz jeszcze.

- Czas na mnie, są jakieś kłopoty w wiosce. Za dużo przyjezdnych i za mało żarcia. Zostawiam tu Yorę. Wiele mu można zarzucić, ale na interesach się zna. Zobaczymy się, jak wróci Stary Książę.

- Oby wcześniej nie wrócił Maczurai - mruknął Pęcherz, a Hon zatrzepotał sękatymi dłońmi w geście odczyniającym klątwę.

- Skurwiela tu nie ma, walczy na południu z Tikalczykami.

I modłę się, żeby tam został.

Uściskał ich mocno i odszedł, przeklinając pod nosem. W małych, sprytnych oczach Yory zamigotało coś twardego. Otworzył usta, zerknął na Pęcherza i zamilkł.

- A co z targiem? - spytał Haran.

Pęcherz odsunął miskę z niedojedzoną fasolą.

- Tym zajmie się Yora. Targuje się lepiej niż Hon! Będzie dobrze.

Chłopak odwrócił się, by ukryć szczeniackie łzy, które mu napływały do oczu.

- Musisz mi coś powiedzieć. I nie chodzi mi tylko o targ - Haran urwał, żeby odkaslnąć. Coś zaległo, dławilo go w gardle, niczym gliniasty kęs placka zlepionego z zawodu i łez. Wojownik patrzył na niego ponuro jak dzieciak przyłapany na psocie. - Dlaczego tak wyglądam? Biały jak rybi brzuch? I skąd się wzięłem, skoro jestem inny niż ty czy mama? - zapytał z napięciem. Pęcherz upuścił miskę.

- Jesteś moim synem i zabiję każdego, kto twierdzi inaczej.

- To dlaczego wszyscy pierdolą, że wyglądam jak demon? Dlaczego rodzona matka nagle wypędza mnie z domu?

- Heza nie wiedziała. To... - Ojciec przekrzywił głowę, co czynił zawsze, gdy szukał jakiegoś trudnego słowa. Zazwyczaj bez powodzenia. - To tylko choroba, synu - powtórzył z uporem. Jego twarz miała dziwny wyraz, trochę wstydu, a trochę żalu.

Wie, że wciska mi głodne kawałki, pomyślał Haran i zapłonął gniewem.

- Może matkę pocieszał niewolnik? Albo rzeźnik? Jebany

nieczysty?

Ojciec uderzył go w twarz. Chłopak zwinął się w kłębek, ale to Pęcherz płakał. Potem zaczął mówić i Haran stężał ze strachu. W głosie mężczyzny, którego zawsze uważał za ojca, nie było gniewu i to przeraziło go bardziej niż perspektywa niewoli.

- Oni tu byli, Haran. Żyli wśród nas. Ta krew... krąży... wraca. Na zawsze będzie częścią naszego świata. Częścią Mesziku. A ty zawsze będziesz moim synem - rzekł.

- Mówisz o krwi demonów - szepnął chłopiec. Mojej krwi?, głos wypełzał z niego oporny i lepki, jakby słowa zmieniły się w czarną maź i kleiły do krtani i warg.

- Nie zawsze musi być zła. Nie powiem ci nic więcej. Nie dziś.

Po posiłku spędzono ich na zewnątrz. W innych okolicznościach bazar niewolniczy w Starym Yugal wydawałby się chłopcu ponętny i upajający. Przy stoiskach z nagimi niewolnicami, które bogaci smakosze obmacywali sumiennie, jakby badali świeżość owoców, zaświeciły mu się oczy. Minęli też kramik sprzedawcy afrodyzjaków i przypraw, nieodzownych przy cieszeniu się nałożnicami. Nie zdążył pomyśleć, że sam znajduje się po złej stronie sklepowej lady, gdy przed oczami przeleciał mu żywy, purpurowy kwezał. Trzepotał skrzydłami, uwięziony na złotym łańcuszku, trzymany przez spacerującą arystokratkę. Zaraz potem w nozdrza buchnęła mu woń papryki, kardamonu i pieprzu.

Więc tak żyją bogacze!

Dalej było już gorzej. Smród potu, odchodów i ropy unosił się nad zagrodami dla jeńców wojennych. Ci z południowych dżungli byli tłustsi niż ci pojmani na północy, gdyż mieli do przebycia krótszą drogę. W wilgotnych lasach dręczyły ich jednak pijawki i robactwo, stąd ciała południowców znaczyły paskudne, paprzące się rany. Byli apatyczni i cisi, skuleni na splecionych nogach jak sparszywiałe posągi. Słyszał, że wielu pochodziło z tajemniczych, odciętych od świata miast, które lśniły w parnej dżungli lub na nadrzecznych równinach.

Ci brańcy mówili starożytnymi dialektami, które znane były tylko kapłanom i skrybom. Ich los został przesądzony, tak wynędzniałych ludzi kupowały już tylko świątynie. Jeńcy

wojenni byli najliczniejsi, gdyż Yugal toczyło wojnę i do miasta spływały rzeki pojmanych wrogów.

Potykali się, związani konopnymi pętami, które przechodziły przez kościane obręcze przebijające nosy więźniów. Nad wychudzonymi ciałami świszczały bicze, przerywając ucztę tłustych, włochatych much. Właśnie te ludzkie cienie najczęściej oddawano bogom, choć słudzy świątyń woleliby otrzymywać zdrowszy towar. Haran szedł między nimi z brzuchem targanym skurczami. Wreszcie smród zelżał i znaleźli się w starszej części targu, przeznaczonej dla miejscowych dłużników i zwykłych przestępców.

Drapiący się pod pachami nadzorca kazał im usiąść w obranej, cuchnącej zagrodzie. Zdesperowany wieśniak protestował, tłumacząc, że trafił tu w wyniku pomówienia, cios batem zakończył jednostronną dyskusję. Słońce prażyło niemiłosierne, a oni czekali, co jakiś czas wywoływani przez potencjalnych klientów.

Tęga, spocona matrona obmacywała mężczyzn, szukając kogoś do obracania żaren. Zwróciła uwagę na Pęcherza, ale zakłopotany handlarz w zielonej spódniczce, z amuletem kupieckiego bożka na piersiach, wyjaśnił, że ten niewolnik został już zarezerwowany. Pęcherz uśmiechnął się do syna.

- Widzisz? Mówiłem, że Hon wszystko załatwi.

Haran odetchnął z ulgą. Wyglądało, że plan Pęcherza nie był aż tak beznadziejny. Niejeden uciekł w ten sposób przed dłużnikami. Uspokojony, chłopak zaczął obserwować otoczenie. Wtedy przed zagrodą pojawił się Granatowy Płaszcz. Przyglądał im się z uwagą i po chwili wskazał na Pęcherza. Stojący obok Yora skinął głową.

Wojownik wstał, ciągnąc ze sobą Harana. Ruszyli za człowiekiem w płaszczu, pilnowani przez strażników. Ich nabywca nie żałował grosza i opuścił targ w grupie kilkudziesięciu niewolników, na oko jeńców wojennych. Yora zaczął, aż przymocują ich do wielkiego drąga. Podszedł do Pęcherza i zerwał mu z głowy hełm.

- Nie będzie ci już potrzebny, *aszkatli* - parsknął z szyderczym uśmieszkiem.

Pęcherz milczał, zdumiony. Yora przymierzył hełm, ale jakiś strażnik wyrwał mu go bezceremonialnie.

- Sprzedałeś go. Ze wszystkim - przypomniał.

Yora spochmurniał, ale zaraz znowu się rozpromienił. Odsunął się od Pęcherza, zachowując dystans, i starannie splunął mu w twarz.

Wojownik szarpnął się, ale teraz przytrzymała go żerdź, do której uwiązano wszystkich niewolników. Yora zbliżył do niego rozedrganą, rozjaśnioną tryumfem twarz, strzykając słowami jak trucizną, zbieraną w gruczołach jadowych i wstrzymywaną przez lata:

- Szkoda, że piękna Heza nie może cię teraz zobaczyć. Pożałuje, że nie chciała za mnie wyjść. Pamiętasz? Odbiłeś mi ją... *aszkatli*. Byłeś obrońcą wszystkich, wszystkich Druazzi poza mną. Ale nie przejmuj się. Zaopiekuję się nią, kiedy ty będziesz zdychał. Może nawet nie zabiję twojego bękarta? Co prawda wzdyma i szpeci jej pięknie ukształtowany brzuch... Skąd wiem? Pokazała mi, nie wiedziałeś? Dzieliliśmy wiele rozkoszy, bohaterze. Tak mało było cię w domu. Może tego bękarta także spłodziliśmy wspólnie...

Pęcherz rzucił się na niego. Szarpnięty sznurem, padł twarzą na bruk, krew z rozcięcia na czole mieszała się z szarym pyłem. Gdy podnosił się z widocznym trudem, wyglądał jak bezsilny, wygnany na światło upiór.

Zagrała piszczałka i kawalkada pociągnęła ich ze sobą, zostawiając w tyle rozpromienionego Yorę. Ich przemarsz zatrzymał oddział żołnierzy, którzy płazowali tłumy, uwalniając Jaszczurzy Trakt, największą ulicę miasta. Stojący na murach heroldowie dęli w trąby z gigantycznych muszli. Haran przyglądał się temu, zdumiony. To, co dziś rano wziął za chaos, okazało się zaledwie leniwą i senną sadzawką w słoneczny dzień. Musieli usunąć się na bok.

Wybuchł rejwach, handlarze rwali włosy z głów albo tańczyli z radości. Ceny niewolników spadały na łeb na szyję, ceny żywności i kobiet szybkowały na spotkanie żołnierskiego apetytu i żądzy. Z głuchym jęknięciem rozwarły się miejskie bramy.

Armia Starego Księcia powróciła z wojny.

Kolumna zbliżała się, tupot tysięcy stóp zagłuszył gardłowe buczenie konch. Yugal wpuszczało swych synów w obręb murów, tłum wiwatował i obrzucał wojowników kwiatami. Nie obchodziła ich odległa, imperialna wojna, kruzański król ani wrogowie z opływającego w bogactwa Tikal. To byli ich chłopcy, mężowie, synowie i bracia.

Dźwignięty przez ojca Haran spoglądał ponad głowami tłumy.

Malutkie sylwetki żołnierzy niosły na plecach włócznie. Kruzański kontyngent, w którym służyli potomkowie osadników wojskowych, wyróżniał się butnym krokiem. Żołnierze w pikowanych, bawełnianych pancerzach trzymali obsydia-nowe miecze i okrągłe tarcze, obite piórami i skórą. Tam, gdzie maszerowali oficerowie i elitarni wojownicy, łopotały przytroczone do pleców czerwone sztandary *pamitl*.

Pęcherz pochylił głowę, jego twarz była ściągnięta wstydem. Haran milczał. Nigdy go takim nie widział. Przyszło mu do głowy, że nie wie, dlaczego Pęcherz opuścił wojsko. A teraz tajemnicza przeszłość ojca nagle się objawiła. Życie Pęcherza było niczym jaskrawa tkanina, ilustrująca chwałę żołnierskiego rzemiosła, imponująca, ale już mocno wytarta, zszargana winem i krwią. Ten piękny ścieg rwał się, druga połowa gobelinu była już zgrzebnym płótnem. Chłopiec musiał przyznać, że ojciec, jakiego znał dziś, nie miał pewnie nic wspólnego z człowiekiem, którego kiedyś znał Hon. Było to dwóch różnych ludzi.

Co cię złamało, ojcze? Co może tak bardzo zniszczyć człowieka?

Przez tłum niewolników i kupców przetaczały się plotki. Podobno kampania była zwycięska, ale skoro tak, to czemu tak szybko wrócili?

Pęcherz liczył pod nosem, zaciskał i prostował pięść.

- Bogowie, wystarczy przeliczyć rodowe znaki. Dziesiątkowali ich, to musiał być istny pogrom. Wróciła mniej niż połowa. Nie mówią ludziom prawdy, żeby nie było zamieszek! To ten nowy *tlatoani*, kurwa. Król szczeniak.

Haran często słyszał, jak Pęcherz pomstuje na Quinatza, na

młodego króla Odrodzonego Przymierza. Bo czy godziło się, by taki nieopierzony pisklak jak Quinatzin przewodził ludziom legendom, takim jak Inakotl, Stary Książę? Tylko dlatego, że stolica wielkiego imperium Kruzów mieściła się w Tollan, nie w Yugal? *Tlatoani* Odrodzonego Przymierza wydawał rozkazy wielu pomniejszych władcom. Imperium było mozaiką Zapoteków, Totonaków i dzikich Otomi, Huasteków i podbitych nomadów z północnych równin. Mozaiką albo płaszczem pozszywanym ze skrawków. Oto król Kruzów wynosił ich wszystkich na trony, nagradzał i odwoływał według własnego kaprysu.

Chłopiec zawsze myślał, że ojciec jest uprzedzony, ale chyba tym razem Pęcherz miał rację. W Przymierzu nie działo się dobrze. Nawet z tej odległości można było dostrzec, że wielu żołnierzy jest rannych i obandażowanych. Zwłaszcza tubylcze pułki zostały zdziesiątkowane. Z ubezpieczających straży tylną harcowników z plemion, w tym Druazzi, pozostała zaledwie garstka wycieńczonych łuczników.

Nieliczni byli także jeńcy, główny cel każdej wojennej wyprawy.

Dumni Majowie o zdeformowanych, spłaszczonych czołach i nosach z pogardą ignorowali swoich wrogów, których uważali za barbarzyńców. Ich wasale z południowych puszczy trwożliwie gapili się na mury i wielkie gmachy miasta. Było nawet kilku górali z niezdobytej, na poły legendarnej

Tlaskali. Ci potykali się, otepiali i nieobecni, jakby nie mogli sobie wyobrazić, że opuścili swoje ukryte królestwo.

Pojawiła się starszyzna niesiona w specjalnych palankinach, zbudowanych w kształcie pierzastych, rozdziawionych węży. Dźwigane przez niewolników konstrukcje sunęły niczym lądowe okręty, podobni bogom wojownicy spoglądali na tłum z ich wysokich grzbietów. Haran gapił się na nich z nabożnym uniesieniem.

Po raz pierwszy zobaczył imperialne siły Kruzów, słynnych zdobywców świata. Nadludzi z rycerskich zakonów Orła i Jaguara. Heroldowie zapowiadali wojowników z wysokich rodów i nawet on, chowany na uboczu odludek, znał te imiona,

powtarzane na targach i placach, w kolejkach do studni i w czasie dziecięcych bijatyk na kije. Jechali na wielkich platformach, nieludzczy, pożądani, boscy. Najwięksi zdobywcy jeńców, szafarze Drogocennej Wody. Karmiciele Słońca. Muhaag Słoneczny Szpon, młody Szary Czapla i Boztemoc Siwe Oko panowali nad ich wyobraźnią.

Gdy pojawił się Maczurai Turkusowa Włócznia, najsłynniejszy szermierz w Yugal i w całym imperium, Pęcherz zaklął i skulił się.

- Ten chuj wyrzucił mnie z wojska. To przez niego.

- Co zrobiłeś, tato? - zaciekawił się Haran.

Zafascynowało go, że ten imponujący heros, z potwornie zdeformowanym nosem i dumną, brutalną twarzą, spierał się kiedyś z jego ojcem.

Oczy Pęcherza rozbłyły.

- Złamałem mu jego szlachetny kinol. Pierdoloną łopatą, a co!

Chłopiec wyteżył wzrok, ale palankin Maczuraia oddalił się już, ustępując miejsca kolejnej platformie. Pojawił się za to władca Yugal.

Sędziwy wojownik zasiadał w lektyce, ogromnej niczym łądowy galeon, niesionej przez setkę spoconych tragarzy.

Haran przyglądał mu się z zaciekawieniem, zapominając o własnych kłopotach. Stary Książę był dla niego czymś niewzruszonym i wiecznym... jak skała albo wiekowy dąb. Zasiadał na tronie książęcym Yugal od tak dawna, że większość poddanych zapomniała, jak brzmi jego prawdziwe imię. Zasłynął jako jeden z najważniejszych lenników Odrodzonego Przymierza, wielkiego imperium Kruzów. Był też niegdyś dowódcą Pęcherza i Hona.

- To on! Skoro wrócił, to wykupi nas, gdy tylko się dowie. Mówiłeś, że cię pamięta! - krzyknął do ojca.

Ale Pęcherz pokręcił głową.

- Patrz na to, co jest, a nie na to, co chciałbyś zobaczyć - warknął.

Haran zmrużył oczy i przyjrzał się boskiej postaci uważnie.

Zobaczył, że władca miasta ma twarz barwy pożółkłej gliny, wychudłą i popękaną jak nadpalony papier. Pozdrowiał tłumy

drżącą, bezsilną ręką, w ogóle nie podnosząc się z tronu.

Haran umiał rozpoznać śmierć - z twarzy tego człowieka krzyczała jaskrawym pismem afiszów. Witał poddanych, nie widząc ich i nie słysząc, jakby jego wątłymi członkami poruszały tylko niewidzialne nici.

*

Pęcherz nie mylił się, pan miasta Yugal umierał. Jego wzrok wciąż błędził po zebranych, lecz zmęczone oczy widziały już inny horyzont. W głowie wciąż kołatała się myśl, uporczywa jak bzyczący moskit. „Czy to już wszystko?“. Koniec wcale nie zdawał mu się końcem i to właśnie wydawało się w tym umieraniu najgorsze. Ciało odchodziło, ale umysł nie chciał w to uwierzyć.

Był dzielnym człowiekiem, poświęcił życie imperium. Z pewnością zasługiwał na bohaterską śmierć w boju, lecz przecież nie wojował podczas dziesiątek kampanii z małostkowej dumy. Nie pragnął już aplauzu i wywyższenia; tylko młodość wciąż musi się przeglądać w oczach innych. A nic tak dobrze nie robi na próżność, jak zmarszczki i wątrobiane plamy na rękach, pomyślał i zachichotał świszcząco. Będzie jak będzie. Nagle jego zapadłą klatkę piersiową przeszył ból, ogniskujący się w sercu, niedopuszczający powietrza. Zapanował nad nim jak nad wszystkim innym, nie pozwolił uśmiechowi spełznąć z trupio pobladłej twarzy. Szponiaste palce wczepiły się w poręcz palankinu. Zostało mu jeszcze kilka chwil, ale wiedział, co powiedzą ludzie.

Stary Książę wyzionął ducha, rozdając całusy podczas oszukanej parady po klęsce.

*

Rozpacz tłumów często przeradza się w krwawe zamieszki, mieszkańcy Yugal byli jednak zbyt zdruzgotani i zawiedzeni, by zdecydować się na przemoc. Zgon księcia Yugal udało się zatuszować, cywilni agenci rozpuszczali pogłoskę, że zasnął. Gapie niechętnie rozeszli się do domów i świątyń, wznosząc modły za zdrowie władcy.

Targ wrócił do zwykłych zajęć, niewolnicy podjęli swój marsz. Zamiast do bramy miejskiej, ludzie nowego właściciela prowadzili ich w górę zbocza, w stronę świątynnych tarasów i pałaców szlachty. Dowódca roztrzącał przechodniów, a jego zastępca podniósł nad głowami tłumu sztandar na drewnianym stelażu. Nie było to szkarłatne słońce na tle gwiazdnej czerni, widniejące na proporcach imperium, lecz znak jednego z lokalnych kruzańskich rodów - turkusowa włócznia na czerwonym tle.

Wtedy po raz pierwszy w życiu Haran zobaczył na twarzy Pęcherza lęk. Chciał mu powiedzieć, że widział już człowieka w płaszczu, ale tłum rozdzielił ich. Wtedy ojciec zatrzymał się. Ten w płaszczu szarpnął powróż, obalając uwiązane na ziemię. Pęcherz poderwał się szybkim, wyćwiczonym ruchem, unosząc skrupowane dłonie w pojednawczym geście.

- Nie chcę kłopotów. Jak się nazywa twój pan?

Człowiek w płaszczu uśmiechnął się drwiąco.

- Spotkał cię zaszczyt, psie. Kupił cię sam Maczurai z Turkusowej Włóczni. Jestem u niego zarządcą. Podobno dobrze się znacie, raczył o tobie wspominać. Stąd ta... niespodzianka. Ty i twój syn na pewno umilicie mu powrót. A on, zaręczam ci, że będzie miał dużo czasu. - Zarządcą oblażał się, jakby planował ucztę.

Twarz Pęcherza zszarzała, ale opanował się, uśmiechnął zdawkowo.

- Mylisz mnie z kimś, panie. Ja nie mam syna.

Majordomus skrzywił się z politowaniem.

- Zapamiętałem go, głupcze. Twój bękart będzie gwoździem programu. Zobaczysz. Oj, zobaczysz, bo to on będzie umierał pierwszy.

- Nie Haran, słyszysz mnie, skurwysynu?! Nie on!

Człowiek w płaszczu oddalił się, rozradowany, niczym kot uskrzydłony psotą. Pęcherz szarpnął się za nim, ale pochód nagle zatrzymał się, bo któryś z niewolników upadł i nie potrafił się podnieść.

Przestraszony Haran przysunął się do ojca, uśmiechającego się do niego znużonym uśmiechem człowieka, który stracił

wszystko. A potem go odepchnął.

- Przekłęte sieroty. Nie znam cię, chłopcze. Przestań za mną łazić! - zawołał głośno.

Chłopiec upadł, w ustach poczuł smak krwi. Ktoś rechotał, a wysoki strażnik od niechcienia przykopał młodemu w zębra.

Pęcherz odwrócił wzrok. Na moment zapadł się w siebie. Potem przywarł do ziemi i cisnął strażnikowi w twarz piachem. Zaskoczony mężczyzna zamrugął, a Pęcherz kopnął go w krocze.

Haran patrzył na to, zdumiony. Zapomniał już, jaki ojciec potrafił być szybki. Błysnęło czarne szkliwo miecza, przecinając konopne sznury krepujące najbliższych więźniów.

Skazańcy rozproszyli się, krzycząc, lecz Pęcherza już przy nich nie było. W okamgnieniu pokonał kilka kroków i zacisnął sznur na gardle człowieka w granatowym płaszczu, który zacharczał, daremnie próbując poluzować pętlę.

Strażnicy zatrzymali się, zdezorientowani. Każdy z nich ścisnął włócznię albo *macuahuitl*, drewniany miecz nabijany niewielkimi, obsydianowymi ostrzami, które przylegając do siebie, tworzyły krawędzie tnące. Haran zawsze marzył o takiej broni. Wulkaniczne ostrza tych mieczy były kruche i przez to niezbyt przydatne do zastaw, lecz z łatwością przecinały kończyny i ścięgna.

Wokół zaciskał się pierścień gapiów, kolejnych strażników i ludzi zaprzysiężonych świątyniom. Inni jeńcy, korzystając z zamieszania, także zaczęli uciekać. Na zatłoczonej ulicy rozpętało się piekło.

Haran rozejrzał się jak zaszczute zwierzę. Jeden z wartowników ocknął się i zamierzył na Pęcherza włócznią. Niewiele myśląc, chłopak zanurkował i uderzył go głową w brzuch. Wojownik zwałił się jak wór, a Haran podniósł jego broń i zakreślił nią zręcznie. Tak, jak nauczył go ojciec. Ręce związane miał luźno, wciąż mógł walczyć. Stał obok Pęcherza, odcinając wrogom dostęp do jego pleców. Wojownik skrzywił się wściekle, ale Haran miał to gdzieś. To był naprawdę piękny dzień.

Nad głową miał wściekle niebieskie niebo, okna glinianych

domów porastało ukwiecone pnącze, barwne jak pióra kwe-
zala. Dostrzegł młodą dziewczynę z pieprzykiem, wyglądała
przez okno, zaciekawiona i podekscytowana. Chłopiec widział
wszystko niezwykle wyraźnie. Ale nie dostrzegł procarzy.

Pierwszy pocisk ominął jego głowę o włos. Drugi trafił i
zgruchotał mu lewy bark. Haran osunął się na ziemię. Wtedy
strażnicy ruszyli do ataku. Ktoś przydeptał mu kark, leżał
wśród rannych i konających z policzkiem przyciśniętym do
bruku. Ale Pęcherz wciąż walczył. Żołdacy kłębili się wokół
niego jak mrówki wokół skorpiona. Przekonywali się na
własnej skórze, że bicie chłopów i sklepikarzy to nie to samo, co
walka z zaprawionym *aszkatli* Druazzi. Dwóch odpełzało już z
rozbitymi głowami. Inni usiłowali spacyfikować uciekających
więźniów. Ale jeńcy, kupieni przez świątynię, nie mieli już nic
do stracenia. Z desperacją zaatakowali strażników.

Od strony wzgórza nadeszły posiłki, prowadzone przez
mężczyznę w lektyce z flagami Turkusowej Włóczni. Wydawał
rozkazy, błyskając jadeitowymi zębami.

Gdy zeskoczył na ziemię, okazało się, że jest naprawdę
ogromny. Utykał na jedną nogę. Miał krzywy, złamany nos, a
raczej dziurę po nosie. Pęcherz musiał go naprawdę skatować.
W ręku trzymał dziwną broń z połyskliwego, błękitnawego
kamienia, jakiego Haran jeszcze nigdy nie widział.

Przybysz zanurkował w tłum i chłopiec nagle stracił z oczu
ojca, którego głowa zapadła się pod naporem przeciwników.
Wszystko zakłębiło się, rozległ się zduszony ryk, a potem
Pęcherz pojawił się ponownie. Haran krzyknął z radości i ulgi.
Wtedy głowa powędrowała w górę, ale zamiast na szyi,
podrygiwała na ostrzu długiego miecza. Zwycięzca krzyczał
tryumfalnie, niewolnicy w popłochu rzucali broń, a zbrojni
skandowali.

- Maczurai! Maczurai! Maczurai!

Zbir z zakrwawioną, obwiązaną szmatami głową odgrażał się,
że każdy niewolnik, który próbował ucieczki, zostanie
zachłostany na śmierć. Ostatnią rzeczą, jaką zauważył Haran,
był trup drania w granatowym płaszczu, który w agonii właśnie
przestał wierzcgać nogami. Dobre i to.

Nie czuł bólu. Kopniaki i ciosy pałek uderzały w coś miękkiego i słabego, co na pewno nie mogło być nim.

Jego łzy były czerwone od krwi.

Pojawił się kapłan - sędzia, który odczytał im z kolorowego zwoju, jak strasznych dopuścili się zbrodni. Bunt, bunt, to słowo dudniło w uszach chłopca jak oszalałe serce. Kobiety i ci, którzy nie przystąpili do rozruchów, powędrowali dalej, daremnie nawołując bliskich. Buntowników spędzono do schodów wyrytych w skale.

Haran szedł, potykając się, obojętny i głuchy na wszystko. Wewnętrzny dziedziniec cytadeli przypominał ogromne urwisko.

Świat dygotał, chłopiec miał wrażenie, że cała ziemia się trzęsie. Sztandary w kolorach czerwieni i czerni, z szyderczym słońcem Kruzów, łopotały jak skrzydła ścierwników. Kołowały pod niebem powiek, nad martwą pustynią serca. Kamienne stopnie, śliskie od gówna i krwi. Gdzieś z dołu bił dziki, niehumaniczny smród, przy którym wyziewy niewolniczego targu były wonią baśniowych pachnideł. Jeden z ludzi Maczuraia, pomarszczony wojownik z wygolonym czubem weterana, gapił się na niego, jakby chciał coś powiedzieć. Haran odwrócił głowę. Czy widział go razem z Pęcherzem?

- Zaskoczony? To nieprawda, że pieniądze nie śmierdzą. Dlatego nikt nie wie, co tu się wyrabia. Skąd płynie bogactwo Yugal! - odezwał się pomarszczony. Nosił barwy Turkusowej Włóczni. Nie był nadzorcą, w jego podpuchniętych, znużonych oczach kryło się zrozpaczone, niedające za wygraną współczucie, daremnie tłumione chlaniem. - Żal mi cię, mały. Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś zginął. I na co się opierałeś? Stary rzeczywiście miał jakieś plany co do tego słynnego Pęcherza, lecz reszta z was miałyby znośne życie. Ale teraz...

Mężczyzna wzdrygnął się i pociągnął z bukłaka.

- Mój syn ma tyle lat, co ty... a Dołów nie życzyłbym nawet wrogowi.

Stanęli na podwórzu pełnym warsztatów i magazynów, z których dobiegało stukanie kilofów i młotów. Ozdobne kontury pałaców i rezydencji, kruche i błękitne od fresków, wznosiły się

nad nimi nierealne jak piękność ze snu.

Na szarej od pyłu ziemi piętrzyły się stopy kamieni i skał, które wychudli, brudni niewolnicy taszczyli do dalszej obróbki. Pośrodku ziała ogromna dziura, wokół której leżały platformy uwiązane na grubych linach. To kopalnia, pomyślał chłopiec, szukając w pamięci zasłyszanych strzępków rozmów. Ale dorosli zawsze znacząco milkli, gdy tylko przy stole pojawiał się temat Dołów.

Między skalnymi okruciami wały się czaszki i kości.

Ogryzione do czysta. Golenie i kości udowe były skruszone, jakby jakieś drapieżne stworzenia usiłowały się dobrać do szpiku. Niedobitki buntowników gapily się na to ze zgrozą.

Chudy chłopak z drewnianym kolczykiem w nosie zaczął płakać, nadzorcy bili go pośród wrzasków i przekleństw. Szybko kopalni zawtórował im makabrycznym echem, chrapliwym, stęsknionym wyciem. Jest głodne. Cokolwiek tam żyje, jest głodne i nie jest człowiekiem, pomyślał Haran i włosy zjeżyły mu się na karku. Chciał uciec, ale nadzorcy popychali już jeńców na wielkie platformy. Po chwili pierwsza „tratwa” z jękiem przekładni i kołowrotów zaczęła pogrążyć się w czeluść.

Głosy z dołu przybrały na sile, przypominały psie ujadanie i zgłodniałe, ohydnie namiętne jęki. Wojownik, z którym chłopak rozmawiał, wzdrygnął się i podał mu bukłak z kaktusowym winem.

- Wyniuchali zabawę, przekłęci. Kochają dostawy nowych. Może jeden z dziesięciu przeżyje. A reszta... módl się, żeby *hikku'tai* zechcieli cię tylko zeżreć.

Niektórzy skazańcy woleli dać się przebić włócznią, niż zjechać w łapczywy mrok. Innych zrzucano do szybu kopniakami. Haran nie stawiał oporu. Był dziwnie pusty, wydrążony jak sucha trzcina. Gdy nadeszła jego kolej, by stanąć na śliskiej od ludzkich wydzielin platformie, pomarszczony szybko wcisnął mu coś pod bluzę. Było to krzesiwo i hubka do rozpalania ognia. Chłopiec spojrział na niego zdumiony.

- Znałem twojego ojca, synu. Walczyliśmy razem w Labiryncie. Był dzielnym człowiekiem - szepnął żołnierz.

- Nie wydam cię, zresztą teraz niewiele by to zmieniło.

- Co mam robić? - zakwilił Haran.

Odrobina nadziei i człowieczeństwa naruszyła w nim jakąś tamę, przez którą przelał się strach. Nagle tak bardzo zachciało mu się żyć.

Potem szarpnęły liny i winda z jękiem zsunęła się w mrok.

Rozdział 4

*Gliniane pale pomostów, dławione sznurami alg.
Strażnicze forty sztuk pięćdziesiąt osiem.
Czternaście z pełną załogą, dwadzieścia z niepełną obsadą.
Trzynaście wież opuszczonych.
Okręty obtoczone w muszlach, leniwie pluszczący ocean.
Dotyka spienionym językiem spęczniałe podbrzusze brzegu.
Dwanaście eskadr pełnych, gotowych wypłynąć na morze.
Ślina wód jest słona, ich rozkosz głęboka i słodka.
Zachłannie rzucam się w ciemność...*

... dyskretne szturchnięcie doradcy wyrwało Quinatzina z podstępnej drzemki na jawie. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje. Dopiero słona bryza znad oceanu i widok powiewających na wieży flag, czarnego słońca Odrodzonego Przymierza i złotego delfina Totonaków, przywróciły mu poczucie rzeczywistości.

Znajdował się w oficjalnej, zagranicznej podróży, w zhołdowanym państewku Totonaków. Prowincji może i zapyziałej, skorumpowanej i biednej, ale ważniejszej niż wiele bogatszych krain. Bo to właśnie tutaj, w praktyce na łasce Totonaków, stacjonowała imperialna flota Kruzów. Z militarnego punktu widzenia ten kraj był dla Przymierza kluczowy.

Monotonny głos urzędnika portowego w dalszym ciągu wymieniał liczby, obrazujące morską potęgę imperium. Quinatzin ziewnął dyskretnie. Odetchnął morskim powietrzem i odegnał senność, oplatając jego umysł jak macki wodorostów. Drzemki na jawie były naturalną reakcją obronną na potężną, królewską nudę, nieuchronnie wiążącą się z zarządzaniem rozległym imperium.

Odnutowany na papierze z agawy, fikusa i morwowej kory

stan floty Odrodzonego Przymierza przedstawiał się imponująco i dumnie. Jednak rzeczywistość zhołdowanego, totonackiego portu, w którym te siły butwiały, przedstawiała się znacznie pokraczniej. To nie była „baza morska” imperium. To była kpina.

Na redzie kołysało się raptem kilkanaście jednostek, raczej czółen niż prawdziwych statków. Perła floty, okręt flagowy „Yagotl”, znajdował się w doku naprawczym i podobno miał opuścić go w możliwie najkrótszym czasie. Gdy tylko naprawią dok i oceni to specjalna komisja. Ale Quinatzin wiedział już, w jakim stanie są jego statki. Obejrzał je sobie wczoraj, na dzień przed oficjalną inspekcją. Były zapuszczone, ich kadłuby pokrywały skorupiaki i pąkle. Nie to, co gęby urzędników, upasione i lśniące od tłuszczu.

Jak zawsze podczas takich wizyt *tlatoni* Przymierza zasiadał na eleganckim, przenośnym tronie, chroniony okapem parasola przed prażącym słońcem. Parasol był rozłożysty i raczej sfatygowany, wyglądał jak kapelusz robaczywego grzyba. Quinatzin podejrzewał, że ktoś w Ministerstwie Inspekcji celowo zaprojektował go tak, by skutecznie utrudniał widzenie. Otaczali go kruzańscy gwardziści i tłum urzędników, a także liczna gromada tubylczych notabli. Dalej, na obrzeżach zgromadzenia, kulilo się kilku wynędzniałych szkutników i majstrów.

Quinatzin był dziwnie pewien, że ma przed sobą współników w przestępstwie. Ze to miejscowi kupcy i urzędnicy imperium odpowiadają za obecny upadek floty, a zbyt długie zadomowienie się imperialnych kadr nieuchronnie doprowadziło do korupcji. Od dawna frapowało go, dlaczego nadzorcy i koordynatorzy zawsze przeważają liczebnie nad tymi, którzy rzeczywiście pracują. Przy całym swoim bezwładzie urzędnicy mieli w sobie jakąś niesamowitą żywotność. Trzeba ich wymienić, pomyślał. Albo ściąć. W przeciwnym razie te pasożyty rozplenią się i spuchną na grzbietach żywicieli jak polip i zaduszą ich własnym...

Nad tronem przefrunęła mewa, bryzg guana zastukał o pierzasty parasol króla. Quinatzin z trudem powstrzymał się od

zirytowanego warknięcia. Teoretycznie był szefem tych darmozjadów, jednak kontakt z biurokracją imperium zawsze budził w nim wściekłość. Ci ludzie żyli we własnym świecie. Nie zauważaliby faktów, nawet gdyby nasrały im na głowę.

I mnożyli się, mnożyli uparcie jak pąkle na dnach jego tonących statków.

Władca Odrodzonego Przymierza stłumił kolejne ziewnięcie i wyprostował się, cofając obwieszone bransoletami ramiona i wypinając pierś. Doradca od spraw prezencji pokazał mu kiedyś ryciny przedstawiające starożytnych, azteckich królów sprzed Kłatwy, obalonych przez własne wojsko. Każdy z tych głupców notorycznie garbił się na odprawach, inspekcjach i defiladach. To mowa ciała. Nie powinno się mówić nikomu „jestem bezbronny i słaby”.

Teraz zrób krok, zdecydowany i dumny. To nic, że zdrętwiały ci nogi, a na stopach masz te idiotyczne koturny, dzięki którym górujesz nad śmiertelnikami, ale stąpasz jak pijany pajac na szczydłach. Liczy się tylko majestat.

Wiecznie zatroskany Mazatlan, który pełnił w jego świecie doniosłe funkcje osobistego sekretarza, doradcy i wrzodu na tyłku, przyglądał się dyskretnie, gotowy powtórzyć kuksańca.

Quinatzin dobrze wiedział, co Maz powie, kiedy inspekcja się skończy, w tej specyficznej manierze usłużnego, lecz bezczelnego dworaka. Eksperta od bycia ekspertem. Jego doradca miał wiele powodów do troski.

Nim starożytny rytuał królów stał się jego udziałem, Quinatzin był po prostu przemądrzałym, może trochę radykalnym młodzieńcem, który przypadkiem urodził się w rodzinie panującej w imperium. Był synem słynnego Azgatlina, który u boku wielkich rzeźników swojego pokolenia, takich jak Maczurai z Yugal, Szyggu i Stary Książę, zamęczył i wymordował rzeszę ludzi dla chwały Odrodzonego Przymierza. Quinatzin nie zachwycał się tym, ale wiedział, na czym stoi i leży. Nie miał żadnych rewolucyjnych zapędów.

Królowie Przymierza, *tlatoani*, pełnili przede wszystkim funkcję reprezentacyjną. Jeżeli nie byli kulawi i potrafili samodzielnie doczłapać do ofiarnego ołtarza z minimalnym

dostojeństwem i wdziękiem, radującym zapatrzone pospólstwo, a nóż do składania ofiar nie wypadł im przy tym z rąk, wszyscy pozostawali zadowoleni. Dopóki nie rzucali w zagranicznych posłów przyciskami do papieru, jak osławiony Ymoczkini Wilcza Łapa, subtelne defekty ich charakteru nikogo nie obchodziły. Gdy zasiadasz na tronie w masce i w pióropuszu, a sztandar z jenieckich skór wyrasta ci z barków jak skrzydła, nikt nie widzi twojej prawdziwej twarzy. A naprawdę istotne rozkazy i tak wydają inni.

Przez większą część swego życia także Quinatzi idealnie wpisywał się w pożądaną rolę następcy tronu, lalusia bez właściwości. To po koronacji zaczęły go nawiedzać przedziwne, jadowicie wyraźne sny. Przedstawiały jego wieczne imperium jako chodzącego trupa, który maskuje smród rozkładu kadzidłem i pobożnością.

Sny były zadziwiająco konkretne. Wskazywały na biurokrację i nieefektywne rządzenie, pasożytnictwo kapłanów i ich brak politycznej wyobraźni. Domagały się wielkich zmian, a od czasu Klątwy to właśnie zmiany pobożni Kruzowie lękali się niczym powrotu Białoskórych.

Co najgorsze, był w swoich przeczuciach samotny jak uczciwy człowiek w burdelu dla polityków. Przymierze wydawało się silne, bo chwilowo nie miało potężnych wrogów. Ale wystarczyłoby, żeby wrogi sąsiedzi z Tikal albo Haszkali nieco zmienili taktykę, by przy kolejnym najeździe koczowniców z Północy imperialni Kruzowie znaleźli się w potrzasku.

Wiedza płynąca z jego snów stała w jaskrawej sprzeczności z oficjalnym nauczaniem historii, a często bywała bluźniercza. Quinatzi dowiedział się, że pierwsze Przymierze zginęło przez zadufanie i butę, zaślepienie i niechęć do zmian. Ktokolwiek zsyłał te wizje, bóg czy demon, to nie jego okadzano w kruzańskich świątyniach hipokryzji.

Quinatzi nie wiedział, czy inni *tlatoani* Przymierza borykali się z podobnymi wizjami. Jego ojciec zmarł, gdy chłopak był dzieckiem, a oficjalne kroniki zostały tak wyretuszowane, że problemy psychiczne królów-bogów nie odbijały się w nich nawet słabym echem. Nie mógł też zasięgnąć rady żadnego

medyka, każdy z nich był bowiem związany z jedną z najważniejszych świątyń. Wystarczyłby urywek jego nocnych wizji, by kapłani w całym imperium sami pożegnali się ze snem. Dzikie obrazy miały jeden wspólny motyw, powracający jak czkawka. Czerwona Świątynia runie, a wraz z nią potęga kapłanów. Przymierze wreszcie rozegna spowijający je cień, dławiące rozwój dekrety obowiązujące od setek lat.

Całe pokłosie Klątwy.

Choć Quinatzin nie zdradził się z tymi wizjami przed nikim, szybko zraził do siebie Czerwonego Kapłana, Szurukana, który wyczuwał w człowieku herezję, jak matka wyczuwa na dziecku zasraną pieluchę. Bez poparcia Szurukana jego władza stała się niepewna, ale Quinatzin się zawziął.

Pierwsze, najtrudniejsze lata panowania przetrwał bez zamachów, przewrotów i wybuchu wojny domowej. Cena nowej wiedzy okazała się bardzo wysoka. Mimo to Quinatzin za nic nie wyrzekłby się tej słodkiej trucizny. Koszty nie grały roli, w porównaniu z tym, czym obdarzyły go wizje.

W tej przemianie nie chodziło tylko o panowanie i władzę. Jego ojciec rządził dwadzieścia lat, a pozostał słabym i chwiejnym człowiekiem. Quinatzin już teraz bił go na głowę poczuciem pewności i celu. Misji. Źródło siły było głęboko w jego wnętrzu. Teraz moc domagała się ujścia, skrobała umysł od wewnątrz jak pies, który z nabrzmiałym pęcherzem skamle i drapie o drzwi. Tak, jego dusza była obrzmiała jak wrzód. Nie wystarczało mu już, że dowiedział się, dokąd chce dotrzeć. Teraz zamierzał pchnąć w tym kierunku świat.

Wczoraj byłem szaleńcem, dzisiaj stanowią prawo.

A jutro dam wam bogów.

Na przegnilej kolumnie pomostu przysiadła mewa i zaskrzeczała, zirytowana obecnością ludzi. Quinatzin potrząsnął głową i skierował uwagę z powrotem na niekończące się wyliczenia. Trochę tego było. W papierach Straż Wybrzeża liczyła pięć tysięcy piechurów i łuczników obsadzających forty; drugie tyle było ich na morzu. I o ile forty wciąż stały, o tyle flota, a raczej jej brak, stanowiła wielką bolączkę imperium.

Po raz kolejny przeklął pustawę jak opróżnione kokosy lby

swoich przodków. Podczas Kłątwy mieli Białoskórych na kolanach - tych, którzy jeszcze nie zdechli. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby wyciągnąć na ląd jeden z ich wielkich okrętów. Przepytać sterników i kapitanów, pozyskać solidną żeglarską wiedzę. Podobno okręty Białych były skrzydlate jak ptaki i żeglując, unosiły się ponad wodą. Podobno potrafili płynąć po obranym kursie nawet wtedy, gdy stracili brzeg z oczu, kierując się ruchami księżycy i gwiazd.

Aż zadrżał na myśl, jakie to otworzyłyby przed nimi możliwości. Przecież ich wrogowie nie pojawili się znikąd. Świat, który zrodził tak potężne istoty, musiał obfitować w bogactwa i wiedzę. Niestety, ślepy, zwierzęcy lęk przodków kazał im potępić i zniszczyć wszystko, co przynieśli ze sobą najeźdźcy. Roztrwonić i pogrzebać szansę.

- Czy przyszła odpowiedź na mój list do Czerwonego Kapłana? - zapytał.

Mazatlan skręcił się jak ukłuty robak.

- Tak, panie. Niestety, chyba nie zdołamy go przekonać.

- Liczby były w porządku. Tak przynajmniej mówiłeś.

- Czcigodny Szurukan uważa, że Imperium nie potrzebuje kolejnych formacji wojskowych i wywiadowczych. Piszę, że w czasach pokoju winniśmy szukać oszczędności, nie zbyteków. Zamieścił też zawołowane, ale mało wybredne aluzje do twojego wieku, rozrzutności i wymogu pokornego słuchania starszych.

- Co na to Zgromadzenie? - Rada starych kruzańskich arystokratów, sojuszników i wodzów plemion była, przynajmniej w teorii, ciałem ustawodawczym Odrodzonego Przymierza.

- Nie poprą nas, panie. Nowe pułki to nowe podatki. To, czym dysponujemy, wystarcza na coroczne wyprawy po Drogocenną Wodę. Zgromadzenie nie zgodzi się tak długo, jak utrzyma się pokój. Zgadzą się z Szurukanem.

Quinatzin zapatrzył się w odległy horyzont. Pierwszy, różowy blask zmierzchu rozkładał styk morza i chmur, jak krzemienisty nóż tnie klatkę piersiową jeńca. Bóg Słońce opuszczał ich z delikatną sugestią. Nie spać! Macie znowu dostarczyć mi krwi.

Nagle Quinatzin roześmiał się i poczuł, że odzyskuje apetyt.

- Tak długo, jak utrzyma się pokój... Niech im będzie - mruknął.

*

Po wizytacji umocnień portowych zaproszono ich na kolację do pałacu Iczkali, miejscowego kacyka, który dzielił władzę z kruzańskim namiestnikiem prowincji. Dzielił jedynie w teorii, gdyż na stanowisku namiestnika był wakat. W większości prowincji imperium zachowano lokalne dynastie, władza kruzańskich przedstawicieli oscylowała zaś między rzeczywistym nadzorem a pozycją obserwatorów i ambasadorów Przymierza, czuwających nad trybutami i handlem.

Niesiony w szczelnej lektyce z drewna tekowego, izolowanej od upału, hałasu i smrodu, Quinatzin zastanawiał się, jak rozegrać dzisiejszą partię. Atutów miał niezbyt wiele. Był młodym królem, który jeszcze nie zdobył szacunku poddanych, dochrapał się za to niechęci kapłanów oraz sporej części starej arystokracji w armii. Uchodził za radykała i marzyciela, a wszyscy rozsądni i zadowoleni z obecnej sytuacji co rusz podstawiali mu nogę.

Wizytacja Kraju Totonaków była testem. W teorii prowincja została ujarzmiona i zhołdowana przez Kruzów. Ale jeden lud, nieważne jak wojowniczy i chobry, nie był w stanie skolonizować całego imperium. To miejscowa ludność pracowała w warsztatach i na polach, Kruzowie mogli pozostawać co najwyżej nadzorcami i strażnikami podbitych. Większość odległych prowincji Odrodzonego Przymierza funkcjonowała właśnie tak. Wroga, a w najlepszym razie obojętna ludność, trzymana w ryzach strachem przed wyprawą odwetową.

Do tego dochodził kruzański kapłan Tezcatlipoki, czuwający na miejscu nad świętami państwowymi i lokalnymi kultami. Poza tym namiestnik, garnizon i tłum urzędników, którzy szybko się korumpują i wplątują w siatkę lokalnych układów i szwindli. Biurokratów na żołdzie imperium było więcej niż szeregowych żołnierzy, przynajmniej w każdej odwiedzonej

przez Quinatzina prowincji. W niektórych ważnych rejonach osiedlano też osadników wojskowych, lecz Kraj Totonaków uchodził za malaryczny i splugawiony długą obecnością Białych Diabłów, którzy właśnie tutaj przybili do brzegów Prawdziwych Ludzi. Kruzańscy koloniści osiedlali się tu niechętnie, już łatwiej było ściągnąć ich na dzikie równiny północy.

Dotyczące prowincji raporty oficjalnego wywiadu imperium, Tysiąca Oczu, były dziwnie enigmatyczne i skąpe. Na szczęście Quinatzin dysponował też meldunkami swoich Zabójców Gwiazd. Była to nowa i jeszcze nieprzeżarta dworskim zepsuciem formacja, jego gwardia przyboczna i organizacja kontrwywiadowcza w jednym. Quinatzin powołał Zabójców dopiero rok temu, przy potężnym oporze opozycji. Tak nazywano w imperium kapłanów i starą szlachtę, choć gdyby porachować zasoby i realne wpływy, opozycją w tym układzie był on.

Zabójcy Gwiazd byli może mniej liczni i doświadczeni od Tysiąca Oczu, ale za to bardziej godni zaufania, gdyż nie składali meldunków w Czerwonej Świątyni. Główny wywiad imperium zawsze był lojalny wobec kapłanów, których uważał za wieczny fundament państwa, w przeciwieństwie do zmieniających się na tronie *tlatoanich*. Powiadano, że Oczy zawsze chadzają przekrwione.

Tym samym w krainach Odrodzonego Przymierza ścierały się teraz wpływy dwóch nieznoszących się nawzajem tajnych służb. Ludzie króla stopniowo zdobywali przychylność, korzystając z pomocy wszystkich tych, którzy nienawidzili kapłanów. Na szczęście dla Quinatzina, w Odrodzonym Przymierzu, które było w praktyce teokracją, istniało takich naprawdę wielu.

Pałac kacyka okazał się rozległą, drewnianą budowlą, która tu i ówdzie zaczęła już butwieć. Rzeźbione ściany pociemniały ze starości, a wypolerowane i wyslizgane podłogi skrzypiały niemiłosiernie, jakby celowo przygotowano je do alarmowania w ten sposób przed najściem intruzów. Drewniane budowle należało regularnie rozbierać i odbudowywać na nowo, król Iczkala najwyraźniej oszczędzał na drewnie. Czyżby wołał przeznaczać swoje dochody na broń?

Quinatzina i jego świętę powitała jazgotliwa muzyka piszczałek i konch. Hałas zatryumfował nad melodią, *tlatoani* miał nieprzyjemne wrażenie, że w tle słyszy umęczonego kocura. Ładne niewolnice, których piersi kołysały się w lepkim upale jakby wolniej niż piersi jego niewolnic w stolicy, przystroiły ich kwietnymi wieńcami i podsunęły misy z uperfumowaną wodą do orzeźwienia się i obmycia rąk.

Kacykowi towarzyszyło dwóch dumnych, naburmuszonych synów i kilku posępnych dworzan. Kolacja okazała się tłusta i ciężka jak atmosfera w pałacu. Po ośmiornicach w chrupiącej panierce z ludzkich powiek, smażonych na smalcu z wyjców, Quinatzinowi samemu zachciało się wyć. Nie znosił małego smalcu. Mimo to gdy służące w białych sukniach z wyszytym motywem drzewa podały im cygara i fajki, od razu przeszedł do rzeczy. Kiedy tylko wygaśnie rozejm, zamierzał wszcząć wojnę z sąsiednim państwem, bogatą federacją miast-państw, znaną jako Wielkie Tikal, i potrzebował do tego totonackich oddziałów pomocniczych. Szkopuł w tym, że jego poprzednia próba prawie skończyła się klęską.

Starszy syn Iczkali, Merduk, ośmielił się nawet wspomnieć o poległych na majańskim południu arystokratkach, takich jak synowie Maczuraia z Yugal oraz suweren tego sławnego miasta, Stary Książę. Z tym ostatnim to była zwyczajna potwarz, stary pierdziel wykorkował na defiladzie, jak, kurwa, w barze z nagimi tancerkami, ale Quinatzin nie zamierzał się spierać z tymi ludźmi. Lepiej uderzyć pięścią w stół. Totonacy muszą pamiętać o powinnościach wobec swojego imperium. A on raczej nie słyszał, żeby to ich wojownicy ginęli w wilgotnych, majańskich lasach. Poza tym, kampania wcale nie została przegrana. Ponieśliśmy znaczne straty, choć tylko tchórze i zdrajcy ośmielają się nazywać je klęską.

Przybrawszy wyraz stosownej troski, *tlatoani* napomknął coś o honorze i prawie do zemsty na zdrazieckich Tikalczykach i ich sługusach z Tlaskali. Czy polityczni przeciwnicy Quinatzina pragną ich tego pozbawić? Ich, czyli wszystkich lojalnych synów imperium? Czy aż tak bardzo się boją?

Służba wniosła kolejną przekąskę, słonawy mus z małych mózgow, mięszu młodej palmy i tłustego mleka z kokosa. Do tego kruzańska czekolada, gorzka, mocna i z domieszką chilli, jak lubią ją pić wojownicy. Rozmowa toczyła się dalej, dotykając coraz drażliwszych kwestii.

Jako *tlatoani* Przymierza, Quinatzin miał prawo zażądać od Totonaków rekruta. Miał też świadomość, że jego poprzednicy rzadko egzekwowali to prawo. Kraj Totonaków był pierwszą prowincją imperium, którą w tym celu odwiedził. Jego poletkiem doświadczalnym.

Totonacki kacyk usiłował roztoczyć przed imperatorem skromny, wręcz deficytowy wachlarz wrodzonego wdzięku. Zalewał Quinatzina potokami pretensjonalnej, nadmiernie kwiecistej mowy, wymawiając się, schlebiając i kręcąc. Typ człowieka, który zawsze bawi się najlepiej i umiera z niepokoju, czy wszyscy wokół są równe beztroscy i uchachani jak on. W ogóle sprawiał wrażenie swojego chłopca, z tych co dobrze się czują na średnio wysokich stanowiskach. Na pewno nie zżerała go żadna skrywana ambicja czy wielka nienawiść.

Quinatzin szybko zaklasyfikował go jako nieudolnego i nieszkodliwego kretyna. O takich jak on imperialni szpiedzy mówili, że był to „człowiek bez żadnej dźwigni”. Dużo ciekawsi zdali mu się synowie Iczkali. Ojczulek co rusz nadskakiwał im, kadził i ewidentnie liczył się bardzo z ich zdaniem. Quinatzin nie był pewien, czy widzi przykład wzruszającej, ojcowskiej miłości, czy haniebny pokaz starczego strachu.

Starszy syn, Merduk, szczupły wojownik z ciałem naznaczonym rytualnymi bliznami, nie był już tak rozmowny i raczej słuchał, niż mówił, uważnie obserwując otoczenie. Jadł mało i stronił od *pulque*, za to chętnie popijał mleko z kokosa. *Tlatoani* uznał, że musi cierpieć na wrzody żołądka.

W porównaniu ze spiętym, dystygowanym Merdukiem młodszy syn Iczkali robił wrażenie osiłka. Nabzdyczony i ponury, z jednakowym wysiłkiem tłumił w sobie nienawiść i czkanie. Nerwowe skurcze sunęły po jego zaciśniętych, masywnych szczękach jak podziemne bestie. Pewnie był notorycznym kanibalem, Totonacy uwielbiali słodkawe

pieczone z człowieka. Jako Kruz, Quinatzin przyglądał się temu z odrazą. W przeciwieństwie do Totonaków Kruzowie spożywali ludzkie mięso jedynie podczas ważnych, państwowych świąt. Pieczone z człowieka obwarowane było licznymi tabu, choć podobno wielkowiejska biedota w Tollan traktowała te sprawy swobodniej.

Syn Iczkali wyłapał to spojrzenie, ale jego tępa, okrutna twarz nawet nie drgnęła. Quinatzina niepokoiły oczy i dłonie osiłka. Oczy, bo mimo zwierzęcej dzikości były uważne i czujne, zimno kalkulujące. Dłonie, bo zapowiadały biegłego, doświadczonego zabójcę. Dostrzegł, że Merduk poświęca młodszemu bratu niemal tyle uwagi, ile kruzańskim gościom. „Postrzega go jako zagrożenie. To ważne, może da się to wykorzystać. Jak on się nazywa? Muszę to sprawdzić w raportach”.

Quinatzin uśmiechnął się, otarł usta z brunatnego, czekoladowego sosu *mole* i wydłubał z zębów kawałek kości. Jacy ludzie podają gościom pieczonego w ostrygach flaminga? Upstrzonego ohydnyimi, różowymi kępkami? Nawet dziecko wie, że ptaki, które żywią się rybami, zostawia się co najwyżej dla niewolników i psów. Zaczynał nabierać podejrzeń, że menu dzisiejszej uczy też stanowiło obrazę. Pięknie. Lista zniewag wydłużała się z każdą chwilą.

Przy pozorach odprężenia umysł młodego króla pracował gorączkowo jak więzień z Dołów, harujący na głodowe racje żywności i wody. Ci ludzie musieli mieć słaby punkt. Wyłom, przez który zaatakuję.

Z zamyślenia wyrwały go odgłosy sprzeczki. Iczkala i Merduk kłócili się o coś zajadle. Mówili w totonackim dialekcie, a nie w *nahuatl*, oficjalnym języku Przymierza, co było kolejną obrazą. Młodszy syn przyglądał im się posepnie, dłubiąc w opróżnionej czaszce. Nienawiść w jego wzroku zatruwała powietrze. Quinatzin rozbudził się, nadstawił uszu. To było obiecujące.

Dzięki raportom Quinatzin wiedział, że Iczkala i jego synowie nie żyją ze sobą dobrze. Zdarzyło się nawet, że Merduk publicznie nazwał ojca „ugodowcem” i „małą Kruzów”. Pytanie, czy książkę odgrywał przed ludem teatryk, namaszczone przez Iczkalę na nowego, sprawiedliwego

następcę, kanalizując w ten sposób gniew ludu, czy rzeczywiście pogardzał ojcem i krytykował go z pozycji ideologicznych. To drugie byłoby znacznie groźniejsze.

Stronnicy Szurukana, mocni poparciem Czerwonej Świątyni, bywali fanatyczni i targowali się lepiej niż zwykli złodzieje i aferzyści.

Oczywiście wszystkim arystokratom zawsze chodziło o to samo: władzę i bezkarność dla swojej kliky. Problem polegał na tym, że dzisiaj członków tej kasty najłatwiej było zjednoczyć pod sztandarem nienawiści do Quinatzina Pierwszego. Do uczoności, zniewieścienia i wszelkich przypisywanych mu cech. Szlachetnie urodzeni Kruzowie i ich lokalne odpowiedniki nie należeli do stworzeń przesadnie bystrych. Najbardziej nienawidzili go za to, że myślał. Drugim powodem na liście mogła być niechęć do łowów.

Władca musi nad sobą panować, pomyślał, rejestrując kolejną impertynencję gospodarzy. Tym razem popisał się drugi syn Iczkali. Ten, którego imię wyleciało Quinatzinowi z głowy. Totonak zignorował protokół i przyciągnął do siebie steatytową misę z pieczonymi świnkami morskimi, dopiero co przyniesioną przez służbę. Misę króla. Quinatzin uśmiechnął się krzywo. Krótkim gestem powstrzymał porucznika gwardii, Hirikana, który wyglądał, jakby miał zaraz zawlec szczeniaka do lochu. Nie byli u siebie, jego honor musi troszeczkę zaczekać.

Opuścili salę tronową Totonaków szybciej, niż to było wskazane, ale Quinatzin pragnął okazać tym draniom niezadowolenie. Testowali go, to już wiedział, ale skala ich nienawiści zaskoczyła go. Ci ludzie, a zwłaszcza następca tronu, byli gotowi do buntu.

Mazatlan też to wyczuwał. Sekretarz zerkał na władcę z niepokojem. Była to bowiem jego ulubiona emocja, sprawiało mu satysfakcję zarówno odczuwanie niepokoju, jak i jego wzbudzanie.

Miał niezdrową, żółtawą cerę malarycznego wdowca. No i zawsze pierdział, kiedy się frasował lub lękał; szczerze mówiąc, rzadko zdarzało mu się nie wonieć. Medycy sugerowali zmianę

diety, ale w świecie Kruzów unikanie wzdymającej fasoli było mniej więcej tak łatwe, jak unikanie powietrza.

- Nie rozumiem, dlaczego wciąż tu jesteśmy? I dlaczego wzięliśmy tylko stu wojowników eskorty? - zaskamlał urażonym tonem.

- Stu gwardzistów to nie w kij dmuchał, Maz. Miałem okazać lęk?

- Przecież raporty były oczywiste. Totonacka dynastia wraz z opozycją kapłańską spiskuje przeciwko tobie.

- Opozycja to my, przyjacielu - zarechotał niewesoło król. Mazatlana to jakoś nie śmieszyło.

- Co gorsza, Iczkala utrzymuje kontakty handlowe z Tikal. Mimo naszego embarga. Twoja obecność prowokuje ich. Naprawdę musieliśmy tutaj przyjeżdżać?

- A nie przyszło ci do głowy, że nie ufam żadnemu z raportów?

Maz zamarł, Quinatzin przyglądał się mu z ciekawością.

Gdyby umysł jego doradcy dał się przedstawić za pomocą kólek i trybów Białych, król mógłby ujrzeć, jak gorączkowo się kręca. Czy Zabójcy Gwiazd ich zdradzili? Choć powołany w celu uniezależnienia tronu od kapłanów, królewski wywiad musiał toczyć grę z potężną Czerwoną Świątynią. W tym kraju uprawianie polityki bez ingerencji kapłanów było równie owocne, co sranie z zarosłym zadkiem.

Sekretarz przełknął ślinę, nerwowo poruszając grdyką. Posłał *tlatoaniemu* spojrzenie pełne czystej, urażonej niewinności.

- Czy mnie też podejrzewasz, panie?

Quinatzin nie odpowiedział i dworak zamilkł, bardziej naburmuszony niż przestraszony. Jak na dyplomata i polityka Mazatlan nosił serce na dłoni. Ale ja wiem, pomyślał Quinatzin, że nie jest to serce prawdziwe.

- Mazatlan ma rację, panie. Na tę wyprawę i tysiąc gwardzistów nie byłoby dość - wtrącił Hirikan, nadzorujący wieczorne przeszukiwanie komnaty.

Był to cichy, wysoki mężczyzna, który poruszał się płynniej niż większość ludzi. Na jego obłej, beznamietnej twarzy rzadko

gościły uczucia, sprawiał wtedy wrażenie rekina głodnego krwi. Hirikan łączył obowiązki ochroniarza Quinatzina z koordynowaniem działań jego tajnego wywiadu.

Teraz był święcie przekonany, że gospodarze coś knują. Quinatzin miał taką nadzieję. Właśnie po to zabrał ze sobą tak małą eskortę.

Zabezpieczenie przydzielonej im części budowli było zadaniem karkołomnym. Tak samo jak wiele starych fortec, toto-nacki pałac obfitował w tunele i tajne przejścia, ukryte klapy w podłogach i stropach. Podobno w latach Kłątwy ludzie tak bardzo zwątpili w zdobycze cywilizacji, że woleli odwoływać się do świata natury. Stare przekazy wspominały o plemionach, w których zanikła mowa. O gehennie całych narodów uciekających się do zwierzęcej adaptacji. Stąd miasta kopce, kretowiska i ule, mrowiska i termitiery. Na kilkaset lat zaprzestano wznoszenia piramid, w obliczu bogów sama idea takiej konstrukcji, będącej próbą wyniesienia i zbliżenia się do nich, wydawała się bluźnierstwem.

Dopiero za czasów dziadka Quinatzina w państwie Kruzów zaczęto ponownie stawiać piramidy. Odbudowano dawną stolicę Azteków i przemianowano ją na Tollan. Kapłani oczywiście cały czas biadolili i zalecali bogobojną pokorę, lecz Quinatzin widział te sprawy inaczej. Rozumiał grozę i strach przed bóstwami, ale skąd miała się brać pierdolona wdzięczność?

Bogowie mogli po prostu wygubić Białoskórych i ocalić Prawdziwych Ludzi. Jednak oni poszerzyli swoją morderczą ofertę. Prawie cała ludzkość wymarła w wielkiej zarazie, która pochłonęła Białe Diabły.

Udzielona w ten sposób lekcja mogła się stać lekcją ostatnią. Kapłani niechętnie tłumaczyli motywy działania swoich bogów, ale dla Quinatzina rzecz wydawała się oczywista. Kłątwa była karą, a nie wybawieniem. Bogowie próbowali, chcieli ich wszystkich wybić. Nie udało im się i my, ludzie, nic nie jesteśmy im winni.

Mazatlan i Hirikan wycofali się, zgięci w ukłonach. *Tlatoani* wyciągnął się na łożu z bawełnianym materacem, przymknął

oczy. Zastanawiał się, co dalej. Plan, by czekać na jakieś potknięcie Totonaków, dyplomatyczny afront, który dałby mu pretekst do wojny, nagle wydał mu się idiotyczny. Niepotrzebnie ryzykował.

Mimo to jakaś siła przyciągnęła go na to przeklęte wybrzeże. Miał wrażenie, że wspomnienia Białoskórych przesyły ten kraj, pogardzany przez resztę imperium. Jakby wciąż ciążyło na nich tamto pradawne odium. Quinatzin znał to uczucie. Też nie cieszył się sympatią poddanych, a nawet własnego dworu.

Istota pojawiła się nagle, smok wykuty z zakazanego żelaza, długi i pełzający po ziemi. *Tlatoani* wyciągnął szyję i spostrzegł, że jego ciało stało się niepokojąco przewiewne. Musiał zasnąć, lecz nie był to zwyczajny sen.

Jego umysł unosił się w dziwnej przestrzeni pokrytej lodem i śniegiem. Smok zaryczał, krzesząc iskry i buchając dymem. Na jego grzbiecie zasiadał człowiek o twarzy białej jak włókna bawełny. Karmił smoka złotem i roślinami, ptakami, księgami i garściami wijących się drobnych istot, w których Quinatzin z przerażeniem rozpoznał ludzi. Stwór był nienasycony, twarz jeźdźca wykrzywił okrutny, stęskniony grymas.

- W tym świecie nas zatrzymali! Musisz poruszyć kołem!

- Ale jak? Nigdy nie mówicie mi jak! Kazaliście mi tu przyjechać, ale to wciąż za mało - poskarżył się Quinatzin.

Człowiek na smoku uśmiechnął się do niego oczami jak okruchy lodu i nieba. Podkarmił ogień swej bestii bryłami czarnego kamienia. Jego głos dobiegał jakby z oddali, sen rozwiewał się, choć Quinatzin wczepiał się w niego co sił.

- Pamiętaj o *braazatalu*. Smaaar...

Tlatoani zamrugnął i zbudził się. Na twarzy miał bezradne zdumienie. Na Krew i Ołtarz, co to takiego „koło”?

Ktoś załomotał do drzwi. Quinatzin odsłuchał umówione hasło i otworzył. Zobaczył warującą w pobliżu eskortę w stanie ekscytacji niebezpiecznie sąsiadującej z paniką. Wietrzą krew, pomyślał. Potem Hirikan wprowadził do komnaty człowieka, dla którego Quinatzin przedsięwziął tę podróż.

Nadworny medyk władcy Totonaków zrzucił kaptur bawełnianego płaszcza i przyglądał się władcy z ciekawością.

Odwzajemnioną. Alvaratl był blady jak rybi brzuch, w jego żyłach z pewnością płynęła nieczysta krew Białoskórych. Tu, na wschodnim wybrzeżu, ludzie szybko poddali się obcym i nie ucierpieli tak bardzo jak reszta Mesziku. Powojenne prześladowania Białoskórych nigdy nie były tu też tak totalne, jak w innych regionach kraju. Ojciec Quinatзина, Azgatlin, wysyłał tu wprawdzie zagony łowców skalpów, zwanych Szarymi Pasami, ale najwyraźniej nie wszyscy mieszkańcy zostali wytepieni.

- Nie sądziłem, że ujrzę jednego z was - zadumał się król. Czuł się tak, jakby rozmawiał ze starożytną legendą.

Alvaratl uśmiechnął się gorzko.

- Nie pokazujemy się często. Zwłaszcza Kruzom.

- I całe szczęście. Zniszczylibyście wiarę maluczkich, którzy są święcie przekonani, że bogowie wyplenili wasz rodzaj całkowicie.

- Cóż... prawie im się udało. - Alvaratl skrzywił się jak człowiek, który kontempluje smak ugryzionej przez pomyłkę cytryny.

- Słyszałem, że prowadzisz ciekawe badania? - zapytał Quinatzin.

- Zajmuję się wieloma rzeczami, panie - odparł uczonego.

- Mam na myśli eksperymenty z *braazatalem*. Znanym też jako kopal, żywica albo smar, zależnie od stanu skupienia. A także próby odtworzenia za jego pomocą starożytnej broni z czasów Wielkiej Wojny. Zdajesz sobie sprawę, że za coś takiego grozi śmierć?

Alvaratl zmieszał się, ale nie robił wrażenia przestraszonego.

- Nie przybyłeś tu na moją egzekucję - stwierdził, patrząc na króla uważnie.

Quinatzin uśmiechnął się.

- Masz rację. Przyjechałem tu, żeby zaproponować ci pracę.

Rozdział 5

Po długiej, zbyt długiej drodze w dół kopalnianym szybem winda wreszcie stuknęła o ziemię. Więźniowie wysypali się z niej, złorzecząc i przeklinając. Było ciemno, ale nie duszno, co zaskoczyło Harana, który słyszał od swoich krewnych to i owo o pracy w kopalniach. Z drugiej strony, nie miał pojęcia, co tutaj wydobywano.

Wyczuwalna rozległość komory miała w sobie coś złowieszczego, wokół rozpościerała się szeleszcząca kurtyna ciemności. Kiedy inni badali nowe otoczenie, Haran przywarł do platformy plecami, nie ruszając się nawet o krok. Instykt podpowiadał mu, że jaskinia jest ogromna i na pewno nie pusta. Pochodnia, trzymana przez jednego ze skazańców, łaskawy ochłap ich katów, kurczyła się nieubłaganie, wprawiając w drżenie otaczającą ich wąską komorę światła.

Demony nie czekały, aż zgaśnie.

Gdy rozległ się pierwszy ryk, Haran przypadł do ziemi i jak zwinna jaszczurka wślizgnął się w wąską szczelinę pod windą, która spoczywała na nierównych kamieniach i skałach. Przed sobą widział małego chłopca, kurczowo trzymającego się smukłej, brązowej łydki matki. Chłopiec uśmiechnął się z uznaniem, rozbawiony działaniem Harana, które uznał za wspaniałą psotę. Zamrugał do niego szelmowsko. Wtedy coś ostrego przecięło powietrze nad jego głową i nogę, której się trzymał.

Haran wrzasnął, złapał krzyżącego dzieciaka i wciągnął go pod deski. Przez ułamek sekundy popatrzył w otchłań - kłębowisko szarych, łuszczących się ciał, tryskającej krwi i ludzi rozdzieranych na strzępy. Istoty, które zabijały, były bezgłośnie i bezlitosne.

I nieprawdopodobnie szybkie.

Zapadła cisza. Haran słyszał sapanie i węszenie, zagłuszone

przez dzikie dudnienie jego serca.

Przytknął dłoń do klatki piersiowej, usiłując ukoić drzenie i hałas, uspokoić świszczący oddech. Czuł, że odkrycie jego kryjówki to kwestia paru chwil. I rzeczywiście - istota nagle przypadła do ziemi, wciskając się pod platformę. Jej twarz, a może maska, rzeźbiona była w zawile, spiralne wzory. Długie, blade ramię sięgało po niego, kurczowo zaciskając palce. Brakowało mu cali, ale Haran nie miał się już dokąd cofać. Zdołał się tylko obrócić, raniąc kolana i łokcie, by istota złapała go za nogi, a nie twarz. Demon syknął, poirytowany, i zagruchał jak gołąb. A potem uchylił maskę.

To, co uczynił Haran i co najprawdopodobniej ocaliło mu życie, było niewyjaśnionym odruchem. Demon był jak ucieleśniony dysonans, jego widok, woń i dźwięki, jakie wydawał, szarpały duszę małego Druazzi na strzępy, dławily i odbierały siły. Nie miało to nic wspólnego ze zwykłą odrazą i strachem, lecz raczej było podważeniem realności. Każda z tych istot wprowadzała zjadliwy dysonans w znajomą melodię świata. Były obce i prudy otaczającą ich rzeczywistość jak starą, zetlałą szmatę. Haran czuł, że nie zniesie już nic więcej. Zamknął zatem oczy, by nie widzieć wroga, i kopnął, trafiając potwora w szczękę.

Rozległ się wściekły ryk, a potem tupot licznych stóp i nowe odgłosy walki. Wrzaski wyblakłych bestii zmieniły się, teraz rozbrzmiewało w nich oburzenie, uraza i strach. Po chwili wszystko ucichło.

- Możecie już wyjść - powiedział chropawy głos.

- Szybciej! *Murgha* odeszły, ale zaraz zleć się *hikku'tai!*

Haran uznał, że lepiej nie czekać na powrót demonów i posłusznie wyczołgał się spod platformy, ciągnąc za sobą chłopca. Dziecko płakało, bezskutecznie szukając matki; Haran kurczowo zaciskał palce na podniesionym kamieniu. Jeden z przybyszów zbliżył się ostrożnie i dał znak, by chłopiec opuścił broń. Był człowiekiem, a to znaczyło już wiele.

Jego towarzysze trzymali pochodnie i gliniane lampki wypełnione oleistą substancją, więc Haran mógł się rozejrzeć po nowym otoczeniu - a przynajmniej jego fragmencie

opromienionym skąpą banieczką światła.

Inni skazańcy zniknęli. Zniknęły też ciała zabitych, zjadacze nie porzucali łupu. Pomyślał, że dzięki temu chłopczyk, którego ocalił, uniknie widoku śmierci najbliższych. Widoku, który jemu nie został oszczędzony. Przypomniał sobie Pęcherza i do oczu napłynęły mu łzy. Pociągnął nosem.

- Kurwa, znów te płaczące bachory. Kiedyś zsyłali tu mężczyzn - warknął krępy mężczyzna ze spiłowanymi zębami.

- Dzisiaj też paru przysłali, Flak. Ale nie dali im broni - powiedział cicho szczupły mężczyzna o wielkich, płonących oczach poety. Albo całkowitego pojeba.

Później Haran dowiedział się, że Flak zyskał swoje przezwisko po tym, jak udusił młodego zjadacza jego własnym jelitem, wyprutym z chudego brzucha. Zjadacze mocno trzymali się życia.

- Wal się, Blask. Broń? Od dawna tego nie robią. Boją się, że zgromadzi się tutaj za dużo uzbrojonego robactwa, które w końcu wybiję jak gówno w latrynie i zepsuje szlachetnie urodzonym zabawę. Dwudziestu desperatów nie sforsuje umocnień Maczuraia. Kilka setek miałyby szansę.

- Kilka setek? Musielibyśmy się żywić mrokiem. I strachem. Na razie zdychamy z głodu. - Typ nazwany Blaskiem z ponurą miną uklęknął przy zapłakany trzylatku i zwichrzył mu włosy.

Malec przestał płakać i spojrzał z nadzieją na mężczyznę, który puścił do niego oko. Zszarzała od pyłu dłoń opadła na szyję chłopca. Mały uśmiechnął się ufnie, zapominając o zaginionej mamie. Nie było z tym wiele hałasu. Kiedy Blask to zrobił, z karku małego wydobył się ni to szelest, ni szept. Jakby pękło skrzydełko motyla.

Haran rzucił się do ucieczki. Dogonili go po kilku krokach.

Jeden z mieszkańców podziemi złapał go za ramiona. Cuchnął tak, że targ niewolników woniał przy nim jak kram perfumiarza. Blask cofnął się. Przepuścił wyprostowanego człowieka o smutnych, uważnych oczach. Chłopcu wydał się stary, poruszał się z ociężałą sztywnością.

- Sam z nim pogadaj, Moros, bo mnie już brak cierpliwości - wyszeptał Blask. Nigdy nie podnosił głosu. Mężczyzna o

smutnych oczach przykucnął i wbił w Harana zatroskany wzrok. W świetle latarni jego znużona twarz była porowata jak bryła wapienia.

- No już, już. Stój spokojnie - powiedział z cudzoziemskim akcentem. Haran spojrział na niego przez łyzy.

- Skręcił mu kark!

- To kwestia człowieczeństwa - odpowiedział Moros.

Chłopiec nagle przypomniał sobie, gdzie słyszał ten dziwny akcent.

- Zabijanie dzieci? Może u was w Tlaszkali coś takiego uchodzi za dobroć. Ale my...

- Nie wiesz, co zrobiliby z nim zjadacze. Albo inne klany. To złe miejsce, synu - tłumaczył tamten, zabawnie przeciągając zgłoski.

- Mnie też zabijecie?

- Nie jestem głupcem. Zraniłeś zjadacza, synu. Wybiłeś mu pieprzone kły, więc od teraz będziemy cię nazywać Kieł. Widziałem mężów dwa razy większych od ciebie, takich, co niby wzięli tuziny jeńców, a moczyli się, gdy bestie podeszły bliżej. Potrzeba nam takich jak ty.

- Ale ja... nie chcę. Nie chcę być taki jak wy - wyszeptał Haran.

Mężczyźni spojrzeli po sobie. Ten, którego zwali Morosem, skrzywił się i potarł nogę.

- Bogowie stworzyli Doły, by żywi zaznali pokuty. By dostąpili oczyszczenia. Tak mówi Blask i ja mu wierzę, synu.

- Pokuty?! - w głosie chłopca zabrzmiała histeria. - Pokuty?

Nim rozpadł się na kawałki, Blask zatkał mu usta dłonią wilgotną od krwi.

- A może to wielki dar? Może bogowie umarli, a po śmierci czekają nas tylko płomienie? Może z całej nadziei zaświatów zostało nam tylko to?

Blask puścił go i Haran pokiwał głową. W ostatnich dniach słyszał zbyt wiele obietnic. Obrócił się płynnie i wbił obcas w stopę typa, trzymającego go z tyłu.

Mężczyzna śmierział potem i starym moczem w stopniu skutecznie niwelującym współczucie. Haran nie miał żadnych

oporów przed wyrwaniem mu noża zza pasa i zadaniem chamskiego, rzeźnickiego cięcia w górę tułowia, takiego, jakie jego ojciec stosował na schwytych w sidła dzikich świnia. Może i Haran był małym chłopcem, ale zadał wykurwisty cios. Rozpruł drania od krocza po... nieważne, rozpruł go tak wysoko, jak sięgał. I uciekł, wbiegł prosto w znieawidzoną ciemność.

Jego wzrok przyzwyczał się już do niej na tyle, by unikać nagłych skrętów korytarza, rumowisk i skalnych załamów. Gdzieś z prześwitów w sklepieniu sączyła się odrobina światła. Pojawiło się klucie w boku i kłopoty z oddechem, ale Haran zaciskał zęby i biegł. Nie przypuszczał, że te podziemne kopalnie mogą być tak ogromne. Najwyraźniej łączyły się z rozległym kompleksem jaskiń.

Nagle, rozświetlona mdłym blaskiem płynącym z odległego sufitu, rozwarła się przed nim paszczyka kolejnej skalnej wnęki. Ziemia pod jego stopami zaskrzypiała z wyrzutem. Biegł po czymś szarym i szeleszczącym jak liście. Może były to niespalone papierki modlitewne, może skrzydła umarłych motyli. Po chwili zorientował się, że stąpa po kruchych szkieletach nietoperzy, które wybrały dla siebie tę grootę na leże łęgowe i cmentarzysko, wymoszczone w ich własnym guanie. Podłoże pod jego stopami roilo się od robactwa, ale on nie dbał o karaczany i pluskwy. Nie bał się nawet skorpionów, tego dnia wyczerpał swój limit strachu.

A potem napotkał zjadaczy.

Byli bezgłośni. Wtedy Haran nie wiedział jeszcze, że zjadacze z Yugal dzielili się na kilka gatunków, czy raczej kast. Najczęściej spotykało się *hikku'tai*, czyli Skundlonych, zwanych też Śmierdzielami. Były to człekokształtne, hałaśliwe i wstrętne istoty, przypominające niechciane owoce pożycia kojota i małpy. Ich oficerowie, *murgha*, okryci maskami, zwani Wędrującymi przez Ból, pozostawali opanowani i karni. Nie wydawali odgłosów i nie komunikowali się ze sobą, jeśli nie było to absolutnie potrzebne. Wyczekiwali cierpliwie, gotowi zatopić kły w przypadkowej ofierze. W starciu z nimi najlepszym alarmem był węż. Zjadacze wonieli czasem

nadgniłym mięsem i piżmem, ale nie był to szczególnie potężny odór. Nie o to chodziło. Ich nadejście zawsze znamionowało nowe, zmienione powietrze, przesycone unikalną wonią żywicy: *braazatalu*.

Mienili się rdzawymi kolorami Prawdziwych Ludzi i w pierwszej chwili Haran uznał, że podziemni drapieźcy są nadzy. Potem spostrzegł, że owijali się we wstęgi cienkiej skóry wydartej z ich ofiar, łopoczące przy gwałtownych ruchach niczym upiorne proporce.

Poczuł w żołądku bolesny, rozpaczliwy skurcz. Rzadko bywał w kruzańskich świątyniach, ale każde dziecko z Przymierza umiało rozpoznać ludzką skórę. Była najdroższym surowcem, objętym licznymi tabu. Żaden kapłan nie paradował w ludzkim okryciu na co dzień. Zastrzeżone było na specjalne okazje, takie jak Ofiara Kamienia, podczas której ludzką skórę wdziewał uhonorowany wojownik. Haran przysiągł sobie, że nigdy w życiu nie dotknie takiego okropieństwa.

W pierwszej chwili zjadacze wydawali mu się senni. Drapieźcom, oszczędnie gospodarującym energią, zawsze grozi stagnacja i senny bezwład, więc natura musiała to jakos wyrównać.

Rozbudzeni, poruszali się szybko i bezszelestnie, wirując wstęgami skóry. Ich przepaski biodrowe składały się z kępek skalpów, twarze pokrywały czarne, obsydianowe maski. Popularne przysłowie z Dołów głosiło, że zjadacz przypomina Boga Śmierci. Jego twarz dojrzy tylko ten, którego demon pożera.

O ile *hikku'tai*, szeregowi żołnierze i niewolnicy w szeregach Zjadaczy, byli hałaśliwymi i popędliwymi dzikusami, arystokrację *murgha* cechowała chorobliwa wręcz wrażliwość. Dźwięki i silne bodźce zadawały tym delikatnym istotom katusze. Niektórzy uczeni uważali nawet, że w przeciwieństwie do wiecznie głodnych i bardziej zwierzęcych *hikku'tai*, *murgha* zabijają, bo tylko w ten sposób potrafią okiełznać hałas.

Jeden z nich złapał Harana za nogi, drugi przydeptał mu kark. Unieruchomili go szybko. Ich szczelnie zakryte ciała okazały się niezwykle silne i gibkie. Chłopak przypomniał sobie legendy o

demonicznych istotach, które zstąpiły na ziemię w czasach Kłątwy. W opowieściach tych roilo się od zaklęć, cudownych przedmiotów i bohaterских czynów.

Gorzej było z poręcznymi wskazówkami dla bezbronnego, śmiertelnie przerażonego dzieciaka.

Niektóre legendy, z tych, które rodzice niechętnie opowiadali dzieciom i które te powtarzały z wypiekami na twarzach, wskazywały na notoryczną pożądlivość tych istot; zjadacze z powodzeniem wiedli na pokuszenie drwali i ich żony, pustelników i nieuważnych myśliwych. W niektórych wersjach demon wyrzekał się własnej natury, by wieść bogobojne życie u boku rybaka czy puszczańskiego bartnika, do czasu aż nieufność i wścibstwo teściowej lub zawiść sąsiadek ujawniały jego prawdziwą naturę, co nieodmiennie prowadziło do krwawej tragedii.

Wszystkie te historie, znane mu z szeptanych dziecięcych opowieści i ocenzonej relacji dorosłych, przemknęły przez głowę Harana, gdy jeden z milczących zjadaczy pochylił się nad nim, dotykając jego policzka palcem w obcisłej rękawiczce. Chłopak zadrżał, czując, że ta istota może uczynić coś strasznego. I pewnie już o tym myśli.

Były ciche jak leśne zwierzęta. Jednak gdy zaczęły się zwoływać, ich głosy zaskoczyły go swoją melodią. Stworzenia odnosiły się do siebie z niezwykłą delikatnością. W ramach powitania, a może i dalszej komunikacji, przesuwwały palcami po swoich pachwinach i twarzach. Nikt nigdy nie słyszał, żeby wyżsi zjadacze z Dołów walczyli ze sobą, czy choćby głośno się spierali. Haran pomyślał, że górują nad ludźmi pod każdym względem. Nie wiedział, że różne plemiona tych istot miały rozmaite zwyczaje, a siła i majestat szczepu wiązały się z potęgą jego matki, Królowej Roju.

Delikatne palce na jego barku zaczęły wędrować w stronę szyi, stworzenie oddychało chrapliwie, z ohydny, wilgotnym poświsem. Rozległo się obrzydliwe siorbnięcie, jakby demon go spijał przez słomkę. Coś poruszyło się w nim, grzęzawisko z pamięcią, zgnitym mięsem i najskrytszymi myślami, szczątkami marzeń i wspomnień.

Chłopiec zwiotczał, spowiała go żywiczna woń. Nagle przypomniał sobie dziecięcą wyliczankę, jedną z tych, w których odległym echem sprzed wieków skowyczała i krzyczała Kłątwa.

*Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy
Mroczny sekret zdradzę ci!
Cztery, pięć, sześć, teraz wiesz
Siedem, osiem, idzie kres
Słyszysz własnej śmierci zew?*

Wtedy pojawił się Moros.

Haran jeszcze nie wiedział, że jest on najlepszym wojownikiem klanu dowodzonego przez Blaska. Że szanowali go wszyscy skazańcy, którzy wciąż trudzili się, żeby pozostać ludźmi. W tej chwili był dla niego nierealnym rozbłyskiem, który wyrwał go ze śmiertelnego snu.

Zaatakował zjadaczy umiejętnie, milcząc tak samo jak oni. Ale i tak spóźniłby się w wyścigu po życie chłopca, które właśnie wystawiono na sprzedaż.

W chwili gdy wąskie, zwodniczo delikatne palce zjadacza zacisnęły się na szyi małego Druazzi, wzrok chłopca napotkał niehumaniczne spojrzenie stwora. Miał ciemne, wilgotne oczy zwierzęcia, gdzieś w głębi płonące złośliwą, nieprzejednaną żółcią jaguarów i wściekłych psów. Haran nie wiedział, co takiego zobaczył w nim stwór, który drgnął i odskoczył ze świszczącym piskiem. W jego oczach pojawiło się coś nowego, co mogło być zarówno lękiem, jak i czułością i smutkiem.

Chwilę później głowa demona gwałtownie odpadła od ramion, zmieciona zamachem miecza.

Jego wybawiciel zranił jeszcze jednego napastnika. Trzeci odbił się od ściany i przez moment zawisł nad nimi jak monstrualny karaluch. Skoczył, celując zębami w kark Morosa. Mężczyzna jakimś cudem zrzucił go z siebie, ale akcja wybiła go z rytmu. Nie zablokował ciosu dziwnej maczugi z kości, która zahaczyła go o prawy bark i z impetem cisnęła o ścianę. Potwór skoczył w ślad za nim, Haran widział jego blady, gruzłowaty

kark. Wąskie palce dotknęły skroni i zjadacz zdjął swoją maskę.

Haran nie dojrzał twarzy. Widział za to reakcję mężczyzny. Nogi Morosa zadygotały jak w agonii, w powietrzu rozległ się zapach amoniaku. Ofiary demonów często bezwiednie puszczały mocz. Ten akt destruktywnej hipnozy nie wynikał, bynajmniej, tylko z absolutnej harmonii i piękna, rzekomo skrywanego pod maską przez blade demony. Analogie z barwnymi kielichami storczyków i innych morderczych dandysów świata przyrody narzucały się natrętnie, lecz mogły być bezpodstawne.

Według Koreotla Dwójnasób Ślepego, bluźnierczego poety z czasów Kłątwy, autora niesławnej *Trującej słodyczy*, skrywana pod maskami wyższych zjadaczy harmonia rysów była czymś znacznie potężniejszym niż powab. Siegała dalej niż zmysły, zapuszczając się na tajemnicze obszary Nieznanego i dając ofierze przedsmak śmierci. Nawet ta odrobina otchłani wystarczy, by rozerwać ci duszę, bo przecież bogowie, odpowiedzialni za naszą kreację, celowo obwarowali nasze kalekie umysły ignorancją. Z miłosierdzia stworzyli nas tak tępymi, byśmy nie mogli nawet przeczuć tego, co czyha na nas po drugiej stronie. Na tej zasadzie, według Koreotla, kapłani zawiązują swoim ofiarom oczy albo dają im do wypicia odurzające napitki. Tyle poezja. Ludzie z Dołów powiadali, że na widok gołego *murgha* zesrasz się nawet na czczo.

Zjadacz zaskrzeczał tryumfalnie i nachylił się nad człowiekiem. Podobno najchętniej zjadali twarze, może pozyskując w ten sposób kolejne kamuflujące i wabiące wzory. Widać było, że ten moment pochłania go całkowicie. W swoim zapamiętaniu nie zauważył Harana, który rozpedził się i pchnął potwora na ścianę, jeżąc się ostrymi, skalnymi naciekami.

Przyszpilony demon zaskrzeczał jak ohydne trofeum, wijąca się na kolcu ofiara dzierzby. Haran wrzasnął. Krew demona zachlapała mu twarz, jej smak był zaskakująco znajomy.

Ludzki.

Wtedy doskoczył do niego Moros.

Musiał mieć tęgą duszę, większość ludzi znajdowała się pod wpływem hipnotycznego obrazu znacznie dłużej, niektórzy w

ogóle tracili zmysły. Amnezja pourazowa i wygryziona część twarzy były najlepszą rzeczą, na jaką mogły liczyć ofiary zjadaczy. Moros miał zamknięte oczy i po omacku pochwycił demona za pysk. Łeb istoty obrócił się z trzaskiem, świergocąc bełkotliwą skargę. Chude ciało zadygotało we wstrętne owadzi sposób.

Wojownik odetchnął ciężko i odwrócił się do chłopca. Umazany mieszką glinki, brudu i krwi, wyglądał jak gniewne piekielne bóstwo, które zstąpiło ze świątynnego fresku. Haran chciał uciec, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Potknął się i upadł na plecy, boleśnie skręcając kostkę.

Przerażony, wsparł się na łokciach i cofał się, szorując plecami po ziemi. Po chwili uspokoił oddech na tyle, że zdołał się podnieść, choć nadal chwiejnie, jakby podtrzymywały go słomki. Moros kołysał się, wciąż pogrążony w transie. Chłopiec pociągnął go za sobą w rozpaczliwym biegu spod znaku płonących płuc i morderczych niedoborów oddechu. Zabójca zjadaczy milczał, oszczędzając powietrze.

Słyszeli za sobą pościg, bezgłośny tupot, niekiedy przerywany tęsknym ni to zawodzeniem, ni śmiechem przypominającym wycie kojota. Haran wiedział, że myśliwi są coraz bliżej. Zorientował się, że jego towarzysz celowo kluczy, wybierając kręte, wijące się korytarze i przejścia, w których stado nie mogło rozwinąć prędkości. Przykurzeni, biegnący na czworakach prześladowcy tracili na zakrętach, klinując się i walcząc ze sobą, ale w prostych korytarzach i otwartych jaskiniach szybko skracali dystans. Na plecach czuł ich pragnienie, nienawiść i smród.

W Dołach było cieplej niż na górze, ale zjadaczy otaczał zateęchły chłód, wyziewy z zatopionej rzeźni. Łapiąc oddech, chłopak zerknął na swojego towarzysza. Wojownik biegł jak wilk, oszczędnie i równomiernie, oczy płonęły mu ponurym blaskiem. Gdy Haran potknął się po raz trzeci, mężczyzna kucnął i wtarł mu w usta coś, co cuchnęło i smakowało jak gorzka żywica.

Poczuł mdłości, ale jednocześnie całe ciało wypełniła adrenalina, pęczniejąca w palcach i cebulkach włosów,

szczękająca zębami, trzaskająca w stawach jak polana w ogniu. Nieznajomy także posilił się odrobiną żywicy i obaj pomknęli jak wiatr, zostawiając za sobą pościg.

Zatrzymali się w lesie stalagmitów, wyrastających z podłoża niczym kamienne drzewa. Jego przewodnik stanął przed jedną ze skalnych form i pokazał Haranowi ukryte wycięcia, dające oparcie dłoniom i stopom. Wspinali się szybko. Chłopak czuł, że zbliża się coś straszego. Coś, co w jakiś nienawistny sposób rezonowało ze skałami, ciemnością i przemienionym powietrzem.

- *Mo'qun* - wyszeptał nieznajomy i gwałtownie przycisnął twarz Harana do zimnej skały. - Nie patrz.

Cokolwiek nadeszło, było ogromne. Wprawiło w ruch całą jaskinię. Ściany drżały, osypując się kawałkami skał. Wiszący nieopodal stalaktyt spadł, wbijając się w podłoże jak włócznia rzucona przez gniewne bóstwo. Towarzysz Harana zaklął i złapał chłopca za ramię.

- Nie mamy dużo czasu. Gdy będziesz na szczycie sopła, skocz w górę, wyciągając ręce - poinstruował.

Mówił z dziwnym, cudzoziemskim akcentem, którego chłopiec nigdy nie słyszał na ulicach Yugal. Coś w wyrazie twarzy chłopaka rozbawiło go, bo nieznajomy po raz pierwszy uśmiechnął się.

- Nie bój się, jeszcze nie oszalałem. Jest tam drabina z powrozów. Musisz się tylko podciągnąć.

Druazzi posłuchał go i zaczął się szybko przemieszczać w górę. Wspinał się szybciej i sprawniej niż ludzie z miast. Nie darmo godzinami trwał, przyklejony do gałęzi, czatując na coraz rzadziej spotykaną zwierzynę.

Im trudniejsze jest życie, tym lepsi musimy się stawać, mawiał Pęcherz i był w tym gorzki, szyderczy patos. Jego głupi ojciec, do końca wierny przebrzmiałym i nadgniłym prawdom. Ostatnia generacja myśliwych z ludu Druazzi, zwińczenie prastarej kultury łowców, których puszcze przez szarą chorobę zmieniły się w nędzny ugór albo, wykarczowane, stały się bryzgami wyschniętych pól, uprawianych przez niewolników. Tropiciele, którzy nie mogą napotkać dzikiej kaczki czy

samotnego jelonka, nie wspominając już o dzikich świniach czy jaguarach.

Skalny sople skończył się wreszcie, ucięty, obrobiony ręką człowieka. Haran wyciągnął ramiona. Pod nim kotłował się chaos, nad głową szczyrzyła się ciemność. Skacz! Przypomniał sobie ostatnie dni życia i splunął w mrok jak dorosły mężczyzna. Pierdolić to, nie było się czego bać.

Zebrał pod językiem ślinę i strzyknął mieszanką pogardy, znużenia i dumy, trzech amuletów przeciwko szaleństwu istnienia. I skoczył.

Stare liny nie zbutwiały i wytrzymały jego ciężar. Jakimś cudem nie odpadły mu ręce. Moros wkrótce pomógł mu piąć się w górę. Po chwili znaleźli się w wąskim kominie, wspinając się, pomagali sobie grzbietem, kolanami i łokciami. Haran zaczynał rozumieć, że świat Dołów jest przewrotnie trójwymiarowy, że drogi ucieczki można tu szukać pod sobą, z boku, a także ukryte nad głową. Ucieczki, ale i strasznej śmierci.

Gdy znaleźli się w niewielkiej komorze, jego towarzysz skrzesał ogień i zapalił pochodnię z kości i starych szmat. Poruszał się teraz swobodniej, najwyraźniej znajdowali się w bezpiecznej części podziemi. Haran przyglądał mu się podejrzliwie. W końcu zabił tamtego dzieciaka. Czy planuje zrobić to samo z nim? To nie miało sensu, nie zadałby sobie tyle trudu, aby uratować go przed zjadaczami. Czy powinien mu podziękować? Błagać? Tylko o co?

Znów wrócił pamięcią do zabitego dziecka i aż zatrząsł się z bezsilnej wściekłości. Wspomniał szyderczą twarz Yory i odrąbaną głowę Pęcherza. Jego zabójcę, olbrzyma imieniem Maczurai. Ten świat roił się od złych ludzi, ale prędzej gwiazdy spadną Haranowi na kark, niż wrogowie zobaczą jego strach.

Mężczyzna wyciągnął do niego rękę.

- Musimy iść dalej. Chodź.

Chłopak splunął. Chciał powiedzieć draniowi coś, co by mu poszło w pięty. Coś twardego i brutalnego, budzącego respekt. Obrażliwego w pozytywny sposób, który na ulicy budował szacunek. Coś w stylu: „Słuchaj, gnoju. Spotkało mnie dziś

wiele niefajnych rzeczy. Zbyt wiele jak na jeden dzień. Naprawdę musimy dorzucić na tę stertę twoje truchło?"

Zamiast tego milczał przez całą drogę. I dopiero gdy zamknęły się za nimi drzwi do siedziby klanu, uplecione ze ścięgien i żółtych kości, jedyne go budulca podziemi, spytał:

- Ocaliłeś mnie. Muszę wiedzieć dlaczego.

Wojownik odwrócił się i spojrzął na chłopca z szacunkiem, z jakim chyba nie patrzył na niego nikt. Na pewno nie Heza i Pęcherz, dla nich był tylko smarkiem, źródłem utrapień, drażniących pytań i psot. Na pewno nie dzieciaki z sąsiedztwa. Nie ma nikogo, kto mógłby ciebie szanować, właśnie gdy jesteś mały i najbardziej tego potrzebujesz. To też jest do dupy, pomyślał chłopiec. To też. Popatrzył na Morosa wyzywająco, gotowy wrzeszczeć i pluć. Wojownik skłonił przed nim głowę i Haran nagle zrozumiał, że od tej pory będzie szukał okazji, by oddać za niego życie.

- Ostatni zrzut z góry to było... bo ja wiem, czterdziestu ludzi? Z całego zsuwu ty jeden zachowałeś zimną krew. Takich osób nie zostawia się zjadaczom. Przetrawanie klanu zależy od tego, ilu zdatnych rekrutów przejmujemy. Ile wykopujemy żywicy. Kto nie ryje, ten nie je, synu.

- Wysłał cię za mną Blask? - Haran wzdrygnął się na wspomnienie człowieka o jedwabistym głosie.

- Nie. Wódz uznał, że strach poplątał ci rozum. Uważałem inaczej, a on pozwolił mi spróbować - wyjaśnił jego towarzysz. W chwili, gdy wymówił imię przywódcy, w jego głosie zadrgała sztuczna, fałszywa nuta, oznaka starannie skrywanej niechęci.

- Nazywam się Haran. Powiedz mi, komu zawdzięczam życie - poprosił Druazzi poważnie.

- Możesz nazywać mnie Moros. Zaprowadzę cię teraz do starszyny naszego klanu. Jesteś młody, ale przyjmą cię, jeśli nie okażesz słabości.

Chłopak milczał. Skalne sklepienie zwieszało się nad jego głową, za nisko, zawsze za nisko. W wyschniętych na żużel ustach czuł popiół i skrzepniętą krew. Jego łzy były brudne, jakby płakała w nim ciemność. Czuł w sobie ściśniętą pustkę, w której nie było nic z przestrzeni i ciszy.

Raczej martwota zgłiszczy, kruchość postępującego rozpadu. Nie chciał tu być, nie chciał oddychać ciepłym powietrzem, czuć nieustający smród, mozolić się i przymuszać. Nie chciał czuć, jak skały zabierają mu oddech, jak piętrzą się nad nim usypiskiem dławiącego nadzieję ciężaru. Po kiego grzyba żyć w piekle?

Może ci ludzie mieli rację, zabijając dzieci, może było to najlepsze, co mogło go tutaj spotkać. W oczach zadrgało mu szaleństwo, otworzył usta do krzyku. Wtedy Moros ukląkł przed nim i wcisnął coś do ręki. Chłopak poczuł kojący dotyk metalu. To był nóż, zrobiony z dziwnego, szarego metalu, lżejszego niż ciemny obsydian. Moros poprowadził jego rękę i wbił ostrze w ziemię. Przytrzymał dłonie Harana i przycisnął je do rękojęści. Mocno.

- Życie za życie, chłopcze. Teraz należy do ciebie. To zacna broń.

Haran chciał jakoś wyrazić mu swoją wdzięczność, obiecać szacunek i wierność. Zamiast tego rozplakał się. Szlochał jak dziecko, dławiąc się ohydnyymi spazmami, nie mógł wykrztusić słowa. Opuściło go wszystko, myśli, uczucia i słowa. Nic, czasem nic jest o niebo fajniejsze niż coś. Moros uśmiechnął się.

- Nie powiem ci żadnego „wszystko będzie dobrze”, bo nie wyglądasz mi na idiotę. Będiesz darł skałę jak głodne zwierzę, w zamian za kroplę wody i najędzniejsze ochłapy. Ale witaj w Dołach.

Rozdział 6

Alvaratl pracował sumiennie i szybko, zachwycony, że w sakwach kruzańskiego poselstwa odnalazł więcej *braazatalu*, niż kiedykolwiek widział na oczy. Quinatzin dostarczył mu także metalowe rury, pozostałość po starożytnych zbrojowniach najeźdźców. Większość artefaktów Białoskórych zniszczono, ale ludzie króla przyłożyli się i sumiennie przeczesałi skarbcę świątyni i trofea pułków.

Podczas gdy Alvaratl pracował, Quinatzin objeżdżał wybrzeże i testował nerwy gospodarzy. Powołał na stanowisko nowego gubernatora, który przynajmniej w teorii, powinien patrzeć na ręce lokalnej dynastii. Według dekretów administracyjnych gubernatorowi powinien towarzyszyć też kruzański garnizon, ale mieszkańcy regionów centralnych nie palili się do służby na odległych placówkach.

Gotowość bojowa floty też okazała się fikcją, podobne jak jej lojalność. Skala korupcji była przeważająca. *Tlatoani* z każdym dniem umacniał się w przekonaniu, że zamiast reformować stare, spaczone struktury, powinien powołać nowe. Jego gospodarze musieli być świadomi rozkładu królewskiej armii i floty, bo gdy wracał z inspekcji, witały go drwiące, niedbale maskowane uśmieszki. I co nam zrobisz, papierowy królu? Co znaczysz w tym całym imperium? Tizok jest generałem, Szurukan rozmawia z bogami? A ty?

W wolnych chwilach sadowił się w lektyce i zwiedzał uliczki miasta. Rozmyślał, dlaczego w kraju Inki porty kwitną, a Kruzowie tak bardzo boją się świata.

Aszinko, stolica Totonaków, składała się z nowych, obskurnych budowli, podobnie jak większość gmachów na wybrzeżu. Nawet obowiązkowa świątynia Tezcatlipoki, z nieodłącznymi klatkami na jeńców, robiła przygnębiające wrażenie.

To przeklęty kraj, pomyślał Quinatzin. W końcu to tu wylądował Cortes. A przodkowie Totonaków padli przed nim na twarz i zgodzili się dla niego walczyć. Skuleni w wiszących klatkach jeńcy byli chudzi i wynędzniali, choć kapłani pewnie tuczyli im uda na ucztę. Na palmach skrzeczały bezczelne małpy, czepiaki i wyjce, które choć odrażające, i tak były sympatyczniejsze od ludzi. Quinatzin słyszał, że Wielka Wojna prawie spustoszyła te ziemie, a Kłątwa miała tu bardzo burzliwy przebieg.

Główne skupiska epidemii ogniskowały się na terenach najwcześniej opanowanych przez Białoskórych. Na lekcjach historii starożytnej, tych mniej retuszowanych, adresowanych do biurokratycznej elity imperium, uczono go, że region nadmorski był pierwszym obszarem, który opanowali najeźdźcy. Białoskórzy przez lata sprowadzali tędy posiłki i kolonistów.

W pierwszych dekadach Kławy, gdy nie było jeszcze wiadomo, czy bogowie oszczędzą Prawdziwych Ludzi, czy wytepią ich za haniebną klęskę Montezumy, gniew Azteków i i ich sojuszników, wśród których byli także migrujący z północy Kruzowie, zwrócił się przeciwko kolaborantom i zdrajcom, którzy wspierali podczas wojny Białoskórych. Wśród prześladowanych znaleźli się też To tonący.

Quinatzin rozumiał to jako polityk, ale przeklinał krótkowzroczność tych rozszalałych ataków. Lepiej byłoby znaleźć inne kozły ofiarne, posłać żądny krwi motłoch przeciwko Tlaszkanom albo dzikim szczepom, jak Otomi czy leśni Druazzi. Kraj Totonaków miał w sobie ogromny potencjał, który Przymierze zaprzepaściło. Dlaczego to inkaskie statki zawijały do imperialnego portu w Aszinko, a rybackie czółenka Kruzów nie zapuszczały się poza Jukatán i Przesmyk? Dlaczego jego kraj znowu skazał się na izolację, na łaskę nieznaną potęg?

Tlatoani słyszał, że Inka zakładają faktorie handlowe wzdłuż obu wybrzeży kontynentu, aż po północne krainy śniegów i puszczy. Świat znów gdzieś pędził, wprawiany w ruch przez niewidzialne sprężyny i dźwignie, a oni, Kruzowie, oddawali się

pod opiekę bogów, którzy już raz ich zawiedli. Quinatzin nie mógł sobie na to pozwolić.

*

Wieczorem król udał się do koszar, które przydzielono jego kruzańskiej eskorcie. Zamieniwszy kilka słów z Hirikanem, medytował nad możliwym scenariuszem wydarzeń. Jego osobisty ochroniarz i mistrz szpiegów był mocno sfrustrowany. Dobrze wiedział, że w razie jawnego wystąpienia Totonaków nie będzie w stanie obronić swojego władcy. Quinatzin zgadzał się z jego analizą. Wiedział też jednak, że Iczkala nie zaryzykuje odwetu Przymierza. Nawet jeśli miał jakieś konszachty z Szurukanem. Czerwony Kapłan musiał strzec prestiżu i dobrego imienia Kruzów i tym samym w razie zdrady zostawiłby z wasalnego królestwa Totonaków kupkę popiołu rozrzuconą po plaży. I właśnie na tym polegał problem.

W sali do fechtunku ktoś ćwiczył. Quinatzin rozchylił drzwi z grubego papieru z drzewa *amate*. Zobaczył szczupłą, zmordowaną treningiem sylwetkę. W gwałtownych ruchach ćwiczącego znać było wrodzoną niezdarność. Nie popełniał żadnych ewidentnych błędów, lecz wpajane mięśniom techniki wciąż były zbyt wolne, uderzenia czytelne i pozbawione płynności. Dokładnie tak, jak sugerowały raporty. Książę Merduk oddawał się ustawicznym ćwiczeniom, w przeciwieństwie do młodszego rodzeństwa. Raporty Tysiąca Oczu były też zgodne co do tego, że to ten drugi zabiłby Merduka, zanim ten zdążyłby unieść miecz. Hirikan wytłumaczył mu to kiedyś. Urodzony morderca zawsze przewyższy świetnie wytre-nowanego szermierza, któremu brakuje naturalnego talentu. Ikry. Hirikan nie ośmielił się brnąć w wyjaśnienia i przykłady, ale *tlatoani* zrozumiał aluzję. „Uważaj, kogo wyzywasz”.

Merduk odwrócił się, słysząc chrząknięcie gościa. Na twarzy księcia kroplił się pot. Otarłszy twarz ręcznikiem, podszedł i stanął przed *tlatoanim*.

- Też ćwiczysz, żebyś mógł zasnąć, władco Świata? - zapytał zaskakująco uprzejmie.

Quinatzin uśmiechnął się.

Podobał mu się ten książę. W imię polityki prowokował go niedawno jak najgorszy awanturnik i cham, ale teraz mógł pokazać inne oblicze. Gdy zdjął maskę, niewiele w nim było buty.

Quinatzin odnotował obgryzione paznokcie, pokąsane palce, jakby właściciel próbował się nimi nakarmić. Napięte, ściągnięte usta, ciemne obwódki po oczami. Klimat totonackiego wybrzeża mógł być rajski, ale następca tutejszego tronu z pewnością nie miał łatwego życia.

- To nic nie da, książę - powiedział spokojnie. - Twój brat wyzwie cię i zabije, gdy tylko wasz ojciec wyzionie ducha. Dziwię się, że nie zrobił tego wcześniej.

Merduk odwrócił się i skulił głowę w ramionach. Piłka trafiła w cel. Ale, zgodnie z zasadami prastarej azteckiej gry, grający miał szansę ją jeszcze odbić. Biodrem.

- Iczkala zabronił mu. Ojciec... On bardzo mnie kocha.

- To niezwykle szlachetnie. Obawiam się jednak, że działa to w obie strony, prawda? Ty także nie możesz się pozbyć zagrożenia.

Merduk milczał. Quinatzin wziął ze stojaka ćwiczebny *macuahuitl*, nabijany tępymi ostrzami dla osiągnięcia ciężaru prawdziwej bitewnej broni. Zamachnął się nim niedbale.

- Kiedy jeszcze ćwiczyłem szermierkę, mój nauczyciel nie ukrywał, że nie mam do tego talentu - stwierdził Quinatzin.

- Jestem mu za to wdzięczny. Za dużo myślisz, powtarzał.

Merduk pokiwał głową. Musiał to często słyszeć.

- Twój brat to porywczy półgłówek, prawda? Ciało i mózg drapieżnika. Nie będzie miał żadnych skrupułów. Nie będzie niczego planował, zabije cię kierowany instynktem przy pierwszej dogodnej okazji. Kubkiem, kawałkiem kości. Na tym polu przemocą nie zniwelujesz jego przewagi.

Merduk wzruszył ramionami. Młodzieniec nie był głupi i Quinatzin wiedział, że nie zamierza zaufać obcemu.

- Z pewnością dużo już o tym myślałeś. Twoja sytuacja przywodzi mi na myśl wojnę. Opowiadałem ci o mojej pierwszej potyczce?

Punkt. Ciemne oczy księcia rozbłysły. W tej sytej, rajskiej prowincji, obsadzonej gnijącymi imperialnymi fortami, młodzieniec musiał marzyć o egzotycznych wyprawach.

- Służyłem wtedy w kompanii piechoty pod dowództwem kapitana Tizoka, który potem został sławnym dowódcą. Zaskoczyli nas koczownicy. Była ich setka, tylko trochę więcej od nas. Ale mieli konie i łuki, a my, Kruzowie, w naszej bezprzykładnej arogancji nie lubimy ani tego, ani tego. Jak myślisz, w jaki sposób zdołaliśmy ich odeprzeć?

- Miotacze oszczepów? - Merduk zapomniał już o uprzedniej rezerwie.

Quinatzin pokręcił głową.

- Ci dranie strzelają z siodła. W galopie. Nasze *atlatle* są dla nich bezużyteczne. Dlatego na całej Północy Przymierze okopuje się w fortach i zasypuje im studnie, żeby nie mieli gdzie poić koni. I tylko czasami wysyłamy ekspedycje karne na ich osady i miażdżymy skurwieli samą przewagą liczebną. Ale wtedy liczebność była podobna.

- Wilcze doły?

- Dobrze! Ale jak zwabić nomadów w taką pułapkę?

- Potrzebna wam była przynęta.

- Tak. Tizok dokonał oceny, a potem wszyscy ciągnęliśmy słomki. Włącznie z nim, on zawsze kieruje się zasadami. Szkoda tylko, że i mnie wciągnął na swoją moralną wyżynę. Gdy wylosowałem, kazał mi stanąć w pustym czworoboku, z włóczniami do odparcia szarży i tarczami do powstrzymania strzał.

- A pułapka?

- Była w środku! Żeby mieć pewność, że koczownicy się skuszą, wystawił im trzydziestu ludzi. Mniejszą grupkę po prostu by wystrzelali, z tyłoma można się już zabawić. Koczownicy kochają bohaterstwo i nienawidzą Kruzów.

- Zwyciężyliście?

- Zależy kto. Z trzydziestu przeżyła garstka. Koczownicy roznieśli ich strzałami, a potem dobili szarżą. Ale gdy ich szyk się rozsypał, jeźdźcy powpadali na zakopane pod ziemią pale i ostrza. Reszta oddziału uderzyła, gdy zajmowali się swoimi

rannymi końmi. Dorwaliśmy wszystkich.

Merduk pokiwał głową. Wyglądał na przejętego. Quinatzin przypomniał sobie tamten upalny dzień i oblizał zaschnięte wargi. Nie wspomniał, że to on wykoncypował tamten plan i przekonał do niego Tizoka, który zawsze niechętnie poświęcał ludzi. Quinatzin nie miał z tym żadnego problemu. Dla niego liczył się wynik. Zawsze szukał nowych i błyskotliwych rozwiązań, najlepszych, jakie były możliwe, a także niemożliwe. Oczywiście, całą jatkę oglądał tak naprawdę z bezpiecznego wzgórza i nigdy nie znalazł się w skazanym na śmierć czworoboku.

Położył królewiczowi dłoń na ramieniu.

— W bitwie błąd często polega na tym, że chcesz wygrać, nie poświęcając pionków. A prawda jest taka, że część twoich ludzi musi zginąć, by reszta przeżyła. Cokolwiek sobie zaplanowałeś, pamiętaj, że nie możesz ocalić wszystkich. Bo wtedy nie uratujesz nikogo.

*

Po północy Quinatzin wymknął się z pałacu w przebraniu totonackiego żołnierza. Skierował się na pustą o tej porze plażę, którą łodzie rybackie znaczyły jak porzucone skorupy. Fale tępo plaskały o brzeg, świat, spowity w ciszy, milczał.

Białoskóry wyłonił się z mroku jak duch potępiony. Wrażenie pogłębiał demoniczny odcień jego skóry, odbijający mleczną poświatę księżyca. Quinatzin syknął, stłumił idiotyczną chęć nakłucia się rytualnym kolcem dla odczynienia przekleństwa. Żaden kruzański bóg nie stał po jego stronie. Dzisiaj był zdany na siebie.

- Zrobiłem, o co prosiłeś - sapnął magik, wręczając mu wiązkę długich, stalowych przedmiotów.

Tlatoani zważył je w dłoniach. Były cięższe, niż się spodziewał.

- Piękne - szepnął.

Przedmioty Białoskórych zawsze go zdumiewały. Były tak inne od tego, co wychodziło spod palców Prawdziwych Ludzi. Najbardziej zadziwiła go powtarzalność. Dla Kruzów każda

tarcza, pierzasta zbroja czy miecz były odrębnym bytem. Nawet ich barwni, krwiożerczy bogowie czuli się źle w jednym kształcie. Przypominali frunące chmury kolibrów lub krople krwi wpuszczone do wody. Zmieniali się i mieszały w wiecznym, stubarwnym wirze, niechętnie kostniejąc w uświęcone i ustalone w kodeksach postaci Tezcatlipoki, Tlaloca czy Szipe Toteka.

Prawdziwi Ludzie nie umieli powtarzać rezultatów, podobnie jak niechętnie stosowali pojęcia ogólne. Umysły Białych miały tę zdolność, było w nich coś owadziego.

- Metal. Właśnie tego elementu mi brakowało. W całym kraju nie ostała się ani jedna porządna kuźnia. Z kolei wyroby Tlaskalan, nawet gdyby chcieli je sprzedać, blokuje przekłete embargo - indyczył się Alvaratl.

- Dopiero zachowane egzemplarze Najeźdźców, które dostarczyłeś, pozwoliły mi ominąć ten problem.

- Nie mogłeś zrobić rury z obsydianu? - zainteresował się król.

- Wyrzeźbić lufę w kamieniu? - Alvaratl popatrzył na niego jak na dziecko, i to nie całkiem udane. - Niewykonalne. Musiałbym obrabiać ogromne bryły. Kamienia nie sposób wykuwać. Już prędzej zastosowałbym drewno, ale ono jest zbyt nietrwałe. Nie, metal jest tutaj jedyną opcją.

Quinatzin nie odpowiedział. Przyjął nabitą broń i sprawdził, jak działa mechanizm spustowy. Muszkiet zaopatrzony w lont był ciężki i nieporęczny.

A więc to ta broń pokonała moich przodków, pomyślał. Dobrze. Teraz pokona potomków.

Przyłożył kolbę do ramienia, jak na zakazanych rycinach, i wypalił, celując w pobliskie drzewo. Huk był ogłuszający, smar zadymił zielonkawym, żywicznym oparem. W drzewie zionęła teraz rozłupana dziura. Gdyby celował w ludzką pierś, wróg rozpadłby się na kawałki. Król podziękował Planetom, Gwiazdom i innym kosmicznym demonom, że krótkowzroczny Iczkala uznał Alvaratla za marzyciela i nie interesował się jego badaniami.

- Dodany do prochu *braazatal* wzmacnia jego działanie.

Zmieszany z saletrą, pozwala go też zastąpić. Dawna broń Białoskórych nigdy nie była tak potężna. No, ale oni posługiwali się wyłącznie prochem - tłumaczył wynalazca. Quinatzin pokiwał głową.

- Gdyby Białoskórzy go znali, byłiby jeszcze silniejsi - mruknął.

Alvaratl z entuzjazmem pokiwał głową.

- Twój pomysł, by się nim posłużyć, okazał się naprawdę przełomowy. Nosisz w sobie potencjał wielkiego badacza, królu. Jak na to wpadłeś? - zapytał ochryple. Ale Quinatzin milczał. Nie mówił nikomu o swoich wizjach, już i bez tego miał reputację dziwaka.

- A ty nigdy nie badałeś żywicy? - spytał zamiast tego.

Alvaratl uśmiechnął się skromnie.

- Wszyscy się nią interesują, czcigodny. Kapłani, wolni uczeni, nawet tlaszkalańskie Krety. Nagle pojawia się substancja, która wypełnia luki tylu równań chemicznych! Kameleon, nieledwie kamień filozoficzny. I jeszcze jej właściwości zmieniają się w różnych stanach skupienia! Cudo. Przeszkodą okazał się brak funduszów. Czarnorynkowe ceny prawie mnie zrujnowały.

Quinatzin uśmiechnął się.

- O *braazatal* nie musisz się już martwić, wynalazco. Akurat jego mamy teraz pod dostatkiem. Pojawił się w samą porę. Problemem może się za to okazać dostępność metalu. Oczywiście wszystko, co uda nam się wyskrobać w Tollan, będzie do twojej dyspozycji - powiedział.

- Iczkala niechętnie się ze mną rozstanie. Pytanie, kiedy zaczniemy? - zapytał cicho Alvaratl.

Król znów uśmiechnął się drapieźnie.

- Zostaw to mnie. Rozmówię się z twoim panem.

Tak jak się Quinatzin spodziewał, Iczkala nie był zachwycony żądaniemi. Przekazanie Alvaratla było jednym z wielu postulatów Quinatzina i wszystkie razem były dla niego nie do przyjęcia. Miały takie być.

Przymierze domagało się od kraju Totonaków ośmiuset rekrutów, a także zapasów żywności, bawełny i broni. Królewicz Merduk spochmurniał i szeptał do ucha ojca słowa

ociekające jadem. Quinatzin był bardzo zadowolony. Właśnie na to liczył. Bunt.

Kluczowe wydawało się dogranie szczegółów. Quinatzin nie chciał produkować męczenników. Pozory były w tej sprawie niezwykle ważne. Z zamyślenia wyrwało go intensywne, wrogie spojrzenie siedzącego naprzeciw niego człowieka, drugiego syna Iczkali. Jeżeli to w ogóle możliwe, wyglądał na bardziej tępego od ojca.

- Wyczuwam niezdrowe napięcie. Zaczynam się obawiać, że nie w smak wam moja wizyta. Boicie się czegoś, kochani? - zarechotał Quinatzin, przepijając do lokalnego władcy.

Ten skinął mu sztywno. Merduk siedział jak skamieniały. Tylko młodszy książę uśmiechnął się i wypalił:

- Skądże. Cieszymy się z twojej wizyty, *tlatoani*. Liczyliśmy jednak, że przybędziesz tu z nowo poślubioną małżonką.

Przez salę tronową Totonaków przeszedł szmer jak wiatr burzowy sunący po kłosach nagłym oddechem burzy. Odkąd młodziutką żonę Quinatzina kilka lat temu zabrała zaraza, Władca Przymierza ponownie się nie ożenił. Imperium huczało od plotek. Podobno *tlatoani* dopiero co odrzucił atrakcyjną tikalską księżniczkę, której ręka była też propozycją pokoju. To, czy przyczyną jego decyzji było poświęcenie i racja stanu, złamane serce czy hańbiące zboczenie, pozostawało tematem politycznym, dzielącym ludzi i sędziów. *Tlatoani* uśmiechnął się uprzejmie.

Młodszy potomek Iczkali tryumfował. Quinatzin podejrzewał, że cięte riposty przychodziły mu do głowy dość rzadko. Obserwował wojowniczego Totonaka z zainteresowaniem kuśnierza projektującego futrzaną szubę. Nabiegła krewią twarz i napęczniałe żyły zapowiadały wybujały temperament i rychłe choroby serca. Quinatzin przypomniał sobie nagle, że chłopak nazywał się Chuchut, czyli po totonacku Woda. Ludzie o tym imieniu powinni być spokojni i elastyczni. Dla własnego dobra.

- Coś cię trapi, Chichit? - zapytał *tlatoani*, rozmyślnie przekręcając imię.

Młodzik poczerwieniał i zasyczał coś do pobladłego ojca. W dialekcie Totonaków *chichit* oznaczało „psa”. Quinatzin

obserwował go spokojnie. Goście wiercili się nerwowo, przytłoczeni obecnością jego gwardzistów. Zawsze dbał, by na bankietach było ich więcej niż miejscowych.

Mimo wszystko zdumiała go nienawiść w oczach Chuchuta. Była silniejsza niż strach. Toczył ze sobą walkę, którą zaczął przegrywać.

- Zamierzasz to tak zostawić, Chichit? Może jeszcze zdejmiesz spodnie i nadstawisz temu Kruzowi tyłka? - zapytał Merduk, na którego twarzy pojawił się niewinny, lecz dość jadowity uśmiešek.

Przerażenie ścięło toporne oblicze Iczkali, Chuchut poderwał się, przewracając stół.

- Zajebię was, gnoje! - ryczał, wrywając się wojownikom Iczkali.

Tlatoani bezradnie rozłożył ręce i pozwolił Hirikanowi wyprowadzić się z sali. Teraz pozosta wało już tylko czekać.

*

Tak jak Quinatzin przewidywał, zbudziły go odgłosy walki. Na szczęście jego ludzie nie dali się zaskoczyć i utrzymali przygotowaną zawczasu linię obrony. W wąskich korytarzach przewaga Totonaków nie miała takiego znaczenia. Quinatzin dałby wiele, by wiedzieć, co myśli teraz jego najważniejszy rywal, Czerwony Kapłan. Czy Szurukan wie o tych wydarzeniach, wszczął otwartą rewoltę? Czy próbuje zająć stolicę? Quinatzin podejrzewał, że nie. Szurukan już dzierżył rzeczywistą władzę. Po co miałby niepotrzebnie ryzykować?

Nie, pozory zostaną zachowane. Śmierć władcy nazwie się tragicznym incydentem, a sprawców oficjalnie potępi, umywając zbroczone krwią ręce. Ba, oskarży się ich o bezbożność i zboczenie z wąskiej ścieżki tradycyjnych kruzańskich cnót. Martwy król stanie się męczennikiem, zajmie miejsce w panteonie kamiennych posągów jako jeden z szacownych herosów. Szurukan nie lekceważył stronnictwa Quinatzina. Wiedział, ile wysiłku włożył on w reformę armii i na pewno nie ryzykowałby wojny domowej.

Nagle szcęk broni i wrzaski ustały, w zabarykadowanej

komnacie Quinatza, która stała się ich redutą, zapanowała nerwowa, nabrzmiała napięciem cisza. Strzegący *tlatoaniego* gwardziści byli zdenerwowani, nie słyszał żadnych szeptów, docinków, przekleństw ani żartów. Kilku żołnierzy odniosło rany, ale Kruzowie zdołali się wycofać w porządku i bez większych strat. Potem natarcie buntowników nieoczekiwanie ustało. Teraz krucha wojownicy podpierali wzmocnione drzwi, gotując się na ostatnią, desperacką walkę. Nie zamierzał uśmierzać ich lęków.

Quinatza nie zastanawiał się nawet, czy dobrze zrobił, zaufawszy Alvaratlowi, bękartowi przekłetej, nieludzkiej rasy. Cokolwiek miało się stać, wydarzy się już niedługo.

W pałacu było cicho jak makiem zasiał. Hirikan skrzyknął kilku ludzi i ruszył na zwiad. Wrócił zielony na twarzy.

- I co tam? Udało się? - dopytywał Quinatza, który popijał zimną czekoladę z tytkwy.

Żołnierz wzdrygnął się, jakby właśnie pogłaskał oślizgłego węża.

- Twój plan się powiódł, panie - oznajmił, patrząc na króla tą przedziwną mieszanką strachu i obrzydzenia, którą głupcy w koronach biorą za oddanie i wierność.

Quinatza nie był głupcem. Sprawdził ładunek strzelby i ruszył do sali tronowej, mijając dziesiątki ciał.

Żołnierze Totonaków zalegli pod ścianami korytarzy i wymarłych komnat. Najwięcej ciał zobaczyli w obszernej świetlicy, w której wydawano żołnierzom posiłki. Niektórzy nie zdążyli się nawet zerwać z krzesel i ław, inni wciąż kurczowo ściskali broń, której nie zdołali użyć. Wyglądali jak pogrążeni we śnie.

- Wiedziałaś, że na nas uderzą! Postawiłaś wszystko na jedną kartę? - gorączkował się Maz.

Quinatza położył palec na ustach.

- Nie krzycz. Musiałem czekać, aż zrobią pierwszy ruch. Szanowanych, lokalnych dynastii nie można mordować sobie ot tak. Wiesz, jaki podnieśliby raban inni kacykowie? Natychmiast miałbym powstanie, i to we wszystkich prowincjach. Ale próba zamachu na króla - to coś zupełnie

innego...

Alvaratl wyszedł mu na spotkanie z sali tronowej. Był podekscytowany jak dziecko.

- Nie miałem pojęcia, że *braazatal* ma taki potencjał! To aż dziwne. Jakby przyroda nagle wydała nam swój największy skarb, który skrzętnie skrywała przez wieki!

- Mów ciszej. - Quinatzina nagle zirytowała fascynacja uczonego jego ukochaną żywicą. *Braazatal* należał do niego. Czuł się z nim związany, jakby mowa była o sokach z jego własnej, najgłębszej i utajonej istoty. Żywica, czyli krew drzew. To jemu żelazni bogowie powiedzieli o jej mocy. To on budził się, dławiąc się ze strachu, to on znosił znaki i wizje, ich widmowe, jątrzące duszę ościenie.

- Jako domieszka, *braazatal* zmienia się pod wpływem głównego składnika. Doskonale wypełnia luki, a sam w sobie pozostaje przejrzysty. Dlatego udało mi się przemycić go do pałacowej kuchni. Nikt go nie wyczuł, królu.

- Jak to możliwe?

- Nie wiem, ale to naprawdę fascynujące. Pamiętasz, jak skomponował się z prochem? To samo odbyło się z moją trucizną. Nie ma smaku i nie zabarwia jedzenia! Wiedziałeś o tym? Dzięki tobie odkryłem truciznę doskonałą! - perorował uczony, prychając zarodnikami entuzjazmu, szaleństwa i śliny.

Quinatzin przysunął sztylet do jego twarzy.

- Chcesz, żebym cię zabił? Dyskrekcja, głupcze. Dyskrekcja.

- Ależ panie! To tryumf nauki. Czy naprawdę...

- Twój tryumf, chciałeś powiedzieć? Otóż muszę cię rozczarować. Ludzie boją się trucicieli. Gardzą nimi. Nie zależy mi na tego rodzaju rozgłosie. Tobie też nie powinno. I pamiętaj, że bez mojej ochrony nie minie cię kara.

Mazatlan, który zawsze wybiegał naprzód myślami o przyszłych kłopotach, zatroskany, pokiwał głową.

- Zatem jaka będzie oficjalna wersja wydarzeń?

- Doszło do ataku separatystów i próby zamachu na króla. Są świadkowie. Wielu ludzi zostało otrutych. Wszystko wskazuje, że byli w to zaangażowani agenci z Wielkiego Tikal. Schwytałiśmy też najemników z Królestwa Tlaszkali, co

dowodzi, że blokada ich przekłetej doliny jest fikcją. Jednym słowem, trafiliśmy na spisek przeciwko naszemu imperium.

- Z całym szacunkiem, panie, ale oskarżamy Tlaskalan i Tikalczyków o wszystko. Pożary, trzęsienia ziemi i złe prowadzenie się kobiet. To tutaj... to nietuzinkowa masakra. Nie wiem, czy ktokolwiek uwierzy w tę wersję wydarzeń - zaoponował Mazatlan.

Quinatzin nie zdążył mu odpowiedzieć, weszli już do sali tronowej.

Władca Totonaków też tam był, przyszpilony do tronu niczym żuk. Obok siedziały jego żony i dzieci, cała ogromna rodzina. Młodszy syn Chuchut musiał się zajadle bronić, jego odrąbana ręka nadal trzymała miecz.

Jedynym człowiekiem na sali nieprzebitym włócznią był Merduk. Szczupły książę kontemplował pobojuwisko, podrzucając oszczep. Od stóp po końcówki włosów skąpany był w świeżej krwi. Twarz miał starszą i jakby zszarzałą, ale trzymał się teraz prosto. Jak człowiek, który zdjął z barków ogromne brzemie.

- Mam nadzieję, że nie trzymasz go na mnie? - zagaił Quinatzin.

Młody Totonak zamarł i z szacunkiem pochylił głowę.

- Dziękuję za lekcję, *tlatoani*. Poświęciłem, co było trzeba, i czekam na dalsze rozkazy.

- Potrzebuję świadków, którzy zeznają, że moje poselstwo padło ofiarą ataku. Czy zgromadziłeś dowody? - zapytał król surowo.

- Tak, panie. Przekażę ci całe archiwum. Mój ojciec od dawna spiskował przeciwko tobie. Kontaktował się z Najwyższym Kapłanem Szurukanem, a także cudzoziemskimi szpiegami. Czekał tylko na odpowiednią okazję.

- A ta sama wpadła mu w ręce. Doskonale. - Quinatzin mszył do drzwi.

Czuł, że Merduk okaże się znakomitym namiestnikiem. Może za sprytnym... chociaż po tym, co zrobił, okiełznanie własnych poddanych i szlachty powinno skutecznie pochłonąć cały ten spryt. I dobrze, nie ma nic gorszego niż bystry, beczynny

namiestnik.

Na pewno świetnie się ze sobą dogadają. Nic tak nie łączy ludzi jak trucicielstwo, masowe mordy i zdrada.

- Jeszcze jedno. Jak zbadacie powiązania separatystów, wykreście z raportu generała Tizoka. Mój stary druh gotów się poczuć przyparty do muru. Tego bym nie chciał. Jeszcze nie.

Nagle rozległy się wojenne okrzyki. Do sali tronowej wpadło kilkunastu uzbrojonych po zęby Totonaków. Ich twarze wykrzywiała furia.

- Mordercy! Zabili króla Iczkałę!

Nie było się jak złożyć do strzału. Quinatzin dobył więc miecza i cofnął się przezornie, zostawiając robotę zawodowcom. Inspirującą podwładnych walkę na pierwszej linii pozostawiał osiłkom pokroju Tizoka. Część napastników zatrzymali przybocznicy Merduka, ale kilku przedarło się i ruszyło na króla. Quinatzin uśmiechnął się zimno i schował ostrze za pas. Nigdy nie był miłośnikiem szermierki. Od zabijania miał innych.

Dał rozkaz sześcioro gwardzistom uzbrojonym w nową broń Alvaratla. Wypalili jednocześnie. Gdy dym opadł, żaden z szarżujących Totonaków nie stanowił już zagrożenia. Kilku straciło nogi, które salwa rozerwała na strzępy. Jeden nie miał już głowy. W brzuchu dowódcy Quinatzin zauważył dziurę tak dużą, że zmieściłoby się w niej awokado.

Parsknął śmiechem. To wszystko sprawiły kamyki. Nie zdążył zaopatrzyć ludzi w porządne, ołowiane kule. Kamyki...

i *braazatal*. Jego cudowna żywica.

- Bogowie, chrońcie. Z tym można by podbić świat... - wybełkotał Alvaratl, wytrzeszczając wypukłe oczy. Quinatzin pokręcił głową.

- *Braazatal* jest potężny, ale wciąż nie umiemy wytwarzać dla niego stali. Z czego wykujemy kolejne strzelby? Inaczej już teraz uzbroiłbym w tę broń cały pułk. A tak będę mógł wystawić góra trzydziestu strzelców.

- Szkoda. - Wynalazca wyglądał na rozczarowanego.

Król wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wszystko stracone. Wbrew temu, co myśli

Szurukan, świat nie kończy się na Odrodzonym Przymierzu.

Uczony popatrzył na niego wyczekująco, lecz Quinatzin umilkł. Nie zamierzał nikomu się zwierzać. Sam musiał to jeszcze przemyśleć. Znał jeden kraj, którego mieszkańcy przechowali przeklętą spuściznę Białych. Tlaskala. Ukryte Królestwo, od stuleci niepokonane przez Kruzów, chronione przez sławny Labirynt i sojusz z potężnym Tikal. Żeby zdobyć ich wiedzę, musiał albo zawrzeć z tym państwem pokój, albo do końca je zniszczyć.

I na pewno nie zrobi tego sześcioma strzelbami.

- W kwestii nowych formacji wojskowych, o których rozmawialiśmy...

- Tak, panie - szczerzył sekretarz.

Gdyby miał ogonek, merdałby. Jego pan uśmiechnął się dobrotliwie. Podobał mu się ten zapal. Nie ma to jak mord albo dwa, by usprawnić motywację w zespole.

- W Tollan muszą się o tym dowiedzieć, Maz. Napiszemy do nich list.

Quinatzin uśmiechnął się i zaczął dyktować:

- Ten niewykryty na czas bunt pokazuje dobitnie, w jakiej zapaści znajdują się dzisiaj filary państwa. Tysiąc Oczu nie stanęło na wysokości zadania. Gdyby nie pomoc księcia Merduka, *tlatoani* Odrozonego Przymierza zostałyby niechybnie zgładzone. Czy czcigodny Szurukan zdaje sobie sprawę, jak wielkiego uszczerbku doznałby prestiż imperium? - kontynuował król, krążąc po komnacie. Musiał uważać, mało co, a byłby poślizgnął się na mokrej od krwi posadzce. - Dlatego potrzebny jest nowy, skuteczny wywiad, skupiony na ochronie króla. Co za tym idzie, Zabójcy Gwiazd muszą wreszcie otrzymać prawdziwe fundusze. Przedstawimy to na najbliższym Zgromadzeniu. Zapisujesz to?

- Tak, panie. - Quinatzin przysiągłby, że w głosie Mazatlana słyszy szczery, niekłamany entuzjizm. No ba. Przechodzili do ofensywy.

- Czy to już wszystko? - Sekretarz odłożył zapisany arkusz papieru z morowej kory. Władca pokręcił głową. Najlepsze zostawił na koniec.

- Potrzeba mi także lepszej, dużo liczniejszej gwardii.

I to nie do polerowania broni i dobierania piór na świąteczną paradę. Omal tu nie zginąłem, na Ołtarz i Krew! Pytam się, czy będziemy to tolerować? Czy król Kruzów powinien być pośmiewiskiem świata?

Alvaratl popatrzył na niego z podziwem, Hirikan wyszczerzył zęby.

Pewnie widzi już siebie w generalskim mundurze. Czemu nie, przecież muszę mieć własną armię. Zabójcy Gwiazd to dopiero załążek.

Quinatzin uśmiechnął się, celebrując miłe uczucie spełnienia. Sekretarz Mazatlan notował jego słowa jak w transie. Król uśmiechnął się i pogładził lufę strzelby. Wizjom należy dopomóc, świat nie odmieni się sam. Od czegoś trzeba zacząć.

Rozdział 7

Górskie królestwo Tlaszkali. Dziesięć lat później

Po wierzchu płyną śmieci. Szukajmy ukrytej prawdy.

motto Zakonu Kretów

Leyre wirowała w tańcu, ścigając się z dzikim rytmem bębenków i tabli. Chciała się dzisiaj zatracić, w czym skutecznie przeszkadzał jej widok męża. Tfu, królewskiego małżonka. Zgaszony, poważny Papan nawet w tańcu wyglądał jak człowiek, którego przygniata korona, a w dodatku heroicznie boryka się z zatwardzeniem. Jego ściągnięta twarz wyrażała najwyższe skupienie. Drobił przy żonie oszczędny, starannie zaplanowanymi krokami rachmistrza, który wprawdzie nie lubi tracić czasu, ale jeśli już, robi to porządnie i nie marnuje ruchów. Leyre założyłaby się, że jej mąż w kwestii tańca, spontanicznej zabawy i orgii także sięgnął po raport eksperta. To było beznadziejne, równie dobrze mogłaby upijać się pod dezaprobującymi spojrzeniami własnej matki. Nawet lekka, upajająca mieszanka czekolady, chilli, ziaren pewnego wyspiarskiego powoju i wiotkich, spiczastych grzybków, zwanych Ciałem Bogów, nie zmoła oporów króla.

Nad głową dziewczyny połyskiwały kamienne sopele, stwarzając wrażenie tańca w zębatej paszczęce smoka.

Sala Kryształowa, wzniesiona we wnętrzu wydrążonej góry Mi'tten, będącej letnią rezydencją królewskiego dworu, zaliczała się do dwunastu cudów świata. Rywalizowała z górskimi miastami Inków, wiszącym mostem na przełęczy Hekkatzal, słynnym smoczym akweduktem w Tikal i

gigantyczną Czerwoną Piramidą Kruzów. Ale żaden z cudów nie dorastał młodziutkiej królowej do pięt.

Tej nocy Leyre była szczególnie powabna: zarumieniona i rozkosznie nieprzytomna, niesiona spojrzeniami mężczyzn, spienionym głodem ich żądz. Powiedzieć o niej, że była piękna, byłoby obraźliwe.

Wysoka, nawet na tle mieszkankę Tlaskali, słynących z domieszki krwi Białoskórych, wyróżniała się smukłą sylwetką i pociągłą, owalną twarzą. Jej urodę sławili minstrele, pijacy i zakochani młodzieńcy. Nie lubiły jej nobliwe matrony i matowi nobile Grani, zasuszeni w swoich manierach i konwenansach. Coś w iskrzących się oczach, kapryśnych ustach i płynnym wyzwaniu gibkiego, smukłego ciała sprawiało, że konkurentki wyglądały przy niej jak ciężkie, chropawe kloce, które tylko imitują życie. Kobiety nienawidzą rywalek takich jak ona i zwalczają swe zbyt pojętne siostry, widząc w nich nieuczciwą konkurencję. Leyre doskonale o tym wiedziała i zawsze robiła z urody dobry użytek.

Imponowała jej władza nad tymi wszystkimi napuszonymi politykami, mędrkami i generałami.

To było czasami zbyt proste. Trzymała ich wszystkich za jaja, nawet nie wyciągając ręki. To ona przekonała Papaną, że mimo niepokojących doniesień z Tikal, powinni jak co roku spędzić lato w górskim chłodzie. Nie bez znaczenia były też kwestie wizerunkowe, które ostatecznie przekonały króla.

Ich poddani powinni widzieć, że wszystko toczy się starym rytmem.

Mężczyzna w powłóczystych szatach pojawił się niespostrzeżenie. Jego szarobury aksamitny strój nie licował z pstrokatym przepychem przyjęcia, osiągniętym za pomocą klejnotów, futer i ptasich piór, mieniących się wszystkim barwami tęczy. Ale wystarczyło jedno spojrzenie na jego szlachetną, zdeterminowaną twarz i kolor powłóczystej szaty, by zrozumieć, czemu gwardziści wpuścili tu tego przybłądę. Nawet najprostszy żołnierz wiedzieli, skąd biorą się zbroje i broń, ryszczunek, którego zazdrościł im świat. W ukrytym

królestwie Tlaskali niczego nie odmawiało się członkom Zakonu Kretów, a Zergos był ich przywódcą.

Leyre rozpoznała go i podeszła bez słowa, uspokajając oddech. Skłoniła się z powściągliwym szacunkiem.

- Witaj, ojciec - szepnęła.

- Witaj, Leyre. Czy pamiętasz naszą ostatnią rozmowę? - spytał Zergos, nie zawracając sobie głowy nadmierną uprzejmością i zagajaniem rozmowy. Nie było żadnych uścisków, żartów i zbędnych grymasów. Jediną namiętnością adeptów Zakonu Kretów była władza oraz służąca jej chorobliwa powściągliwość i hart, przystający bardziej głowni miecza niż duszy człowieka. Leyre kiwnęła głową.

Udała się na poufną naradę do Kretów, gdy tylko potwierdziły się niepokojące meldunki z tikalskiego frontu. Tego po niej oczekiwano, dlatego Papan ją wybrał. Była pierwszą w historii Tlaskali królową spokrewnioną z członkami tego tajemniczego Zakonu, który przy całej starożytnej mądrości i wiedzy, zbyt często i zbyt chętnie izolował się od bolączek tego świata. Lub bywał od nich izolowany. Przymusem.

Uśmiechnęła się do ojca, tłumiąc ukłucie rozczarowania. Liczyła, że ujrzy tu matkę, ale skupiona na swoich badaniach Reyła prawie nie opuszczała siedziby Zakonu, Skarbca. Leyre miała czasami wrażenie, że im bardziej zagłębia się w życie dworu, tym słabszy ma kontakt z matką. Tak jakby stera tego, co Reyła dopuszcza i akceptuje, nie obejmowała rzeczy, które Leyre musiała robić, nawet jeśli spełniała przekłete wytyczne Zakonu.

Bo przecież nie były to rozkazy, Zakon nigdy nikogo nie zmuszał. Co najwyżej sugerował... ostrzegał... czasem ganił, a raczej po ojcowsku strofował. Matka z biegiem lat zaczęła się zachowywać po prostu jak każdy Kret, ale Leyre to w jakiś sposób bolało. Spodziewała się po Reyli więcej, jej surowa, klasztorna moralność powinna obejmować choć odrobinę współczucia. Leyre nigdy nie pomyślała o tym, że matka najzwyczajniej w świecie nie potrafi sobie wyobrazić ani pojąć jej świata, wielobarwnej, koralowej rzeczywistości plotek i nowych sukien, zmiennych mód i rozżalonych, iskrzących

finezją intryg, którymi dworzanie bawili się z zapalem dzieci i małą, by je zaraz tak samo chętnie porzucić. Dla Reyli rzeczywistość nigdy nie była grą.

Zergos pozostawał bardziej pragmatyczny. Prawda nie lubi zgiełku, powiadał, ale dla córki potrafił zrobić wyjątek. A to, że z każdym rokiem oddalali się od siebie, że po omówieniu jej meldunków i jego strategii coraz częściej nie mieli już o czym rozmawiać? Czego się nie robi dla kraju.

- Pamiętam, ojciec. Przedstawiłeś mi scenariusze spodziewanej inwazji Kruzów i wszystkie kończyły się naszą klęską. Nie mamy już czym odpowiedzieć na stały wzrost możliwości militarnych Przymierza.

- Powiedziałem ci, że nic nie możemy już zrobić? Że zbadałem i przekreśliłem wszystkie alternatywy? Że nikt nie zdoła powstrzymać Quinatzina przed zniszczeniem nas?

- Tak.

- Myliłem się.

Leyre spojrzała na ojca z niedowierzaniem. Jeśli dane nagle nie zmieniły, to żaden szanujący się Kret nie mógł, ot tak, zmienić zdania. Nie byli przecież gromadą naprutyh leśnych szamanów, wróżących z dymu, bebechów i kości. To potrafią wszyscy. Marka zobowiązuje, do diabła. Chyba że...

- Mówisz o tamtym?

Zergos pokiwał głową. Było aż tak źle? Leyre pamiętała tamtą naradę, moment, gdy ze zmęczenia i frustracji zaczęli zwyczajnie bredzić. To wtedy narodził się desperacki, zupełnie szalony plan, na który nie zgodziłby się nikt, komu została w głowie choć jedna kleпка. Plan, który słusznie dostał kryptonim „Ostatni”.

- Nie znajdziecie odpowiedniego człowieka, chyba że wśród szaleńców albo śmiertelnie chorych. A oni raczej nie poprowadzą wam armii - powiedziała.

Zergos zacmokał z przyganą.

- Zacierzewiasz się. Jest ktoś, kto może to zrobić. Ktoś, kogo znasz aż za dobrze. Bo kto przewyższa Quinatzina wojenną sławą? Komu ten młody pyszałek tak bardzo chciałby dorównać? Domyślasz się, o kim mówię?

Spojrzała z przestraczem. W Tlaszkali żył jeden człowiek, przy którym Quinatzin wydawał się tylko anonimowym uzurpatorem i błaznem. Zergos przybrał swój popisowy wyraz twarzy. Dobrotliwa, ostrożna, budziła zaufanie. Leyre czuła, jak spokój autorytetu kołysze ją niczym jad węża.

- Tak, moja droga. Mówimy o twoim sławnym kochanku. Człowieku, który przyprawia rogi królom - zachichotał Zergos, ale od razu spoważniał. - Był czas, że przeklinałem cię za twoją głupotę, lecz teraz widzę, że Bóg dał nam w ten sposób szansę. To nawet zabawne.

Dla potwierdzenia tych słów mędrzec pozwolił sobie na błady, lekko skwaszony uśmiech.

- Twoja samowola i krnąbrność stały się teraz naszym największym atutem. Możesz do niego przemówić i w ten sposób naprawić swe błędy - warknął.

Leyre zarumieniała się.

Naprawić błędy, ojczy? Robiąc dokładnie to, za co przedtem odsądzałeś mnie od czci i wiary? Lecz tym razem dla dobra Zakonu? Dla kraju?

Ojciec uciekł spojrzeniem do wewnątrz, stare zagranie Kretów. Nie odwracasz wzroku, lecz kryjesz swe kłamstwa w środku, podsyłając rozmówcy puste gesty, paciorki i szkiełka. Leyre zrobiło się zimno.

Rozpracowywał ją.

- Chcecie mu zrobić coś złego? - spytała z nagłym przestraczem, który zaraz zastąpiła furia. Nigdy przedtem nie czuła do ojca tyle gniewu. Chciała zabębnić pięściami w ten jego spokój. Zamiast tego, oskarżycielsko dźgnęła go palcem w pierś. Żałowała, że nie ma stalowych szponów. - Mogłam się tego domyślić. Przysięgałeś, że pozwolicie mu odejść, a teraz? Zawsze chciałeś się na nim odegrać! - poskarżyła się gorzko.

Zergos zachował spokój, ale odsunął się nieco. Na posagowym obliczu miał wyraz lekkiego niesmaku.

- Zapominasz się. Chodzi o wyższą konieczność, a nie niską zemstę. - Nikt nie chrząkał z taką godnością jak on.

- My, słudzy Zakonu, nie mieszamy osobistych urazów i namiętności z pracą dla dobra państwa. W przeciwieństwie do

niektórych - dodał z naciskiem.

Leyre poczuła, że rumieni się jeszcze bardziej. Pewnie, wypominaj mi to, pomyślała. Zergos chciał od niej czegoś, więc dzisiaj nie będzie kazania, lecz każdy z zarzutów ojca stale rozbrzmiewał jej w sercu. Przecież to ja, Zergos, największy umysł epoki, poświęciłem własny rozwój, badania i studia, żeby cię prowadzić. Kształcić. A ty, głupia kobieto, prawie zaprzepąściłaś to wszystko, bo cię zaswędziało w kroku. Tak mi się odplącasz?

W tle, jak zawsze, majaczyła racja stanu i ponura, dziejowa konieczność. Gra o ocalenie Tlaskali. Jej małżeństwo z Papanem było szansą na zwiększenie politycznych wpływów Kretów. Tylko tak mogli się zbliżyć do noszenia korony.

To było odwieczne marzenie Zergosa i jej poprzedników - Sojusz Zakonu i Tronu, od tak dawna konieczny, przez stulecia udaremniany głupotą i uprzedzeniem. Teraz prawie zniszczony, bezcenny.

Leyre nie miała złudzeń i wiedziała, co syczą o niej „mędrcy” z Zakonu. Ci zwiędli starcy nienawidzili kobiet i obawiali się ich, a starca, przynajmniej mentalnego, miał w sobie każdy Kret. Był to warunek członkostwa.

Bo przecież kobieta to utrapienie. Niektórzy z młodych, jeszcze nieuświadomionych na ciele Kretów, szczególnie złośliwi, a może zdesperowani, chętnie jej o tym opowiadali, kiedy uczyła się w Skarbcu. Jedno wspomnienie roziskrzonych oczu, rozchylonych ust i kuszących piersi potrafiło nagle odezwać się w duszy mędrca niczym szatańska zamieć i wymieść z głowy dziesiątki godzin zasługi, modlitwy, medytacji i świętych postów. Te wspomnienia potrafiły także z człowieka zadrwić. Zapytać: a nuż źle wybrałeś, kolego? A Zakon nienawidził się mylić, nienawidził mieć wątpliwości.

Nawet jej uczoną i wpływową matkę, pochodzącą ze znakomitego i starego rodu, otaczała cokolwiek dwuznaczna aura, wynikająca z jej płci. Smrodliwa mgiełka potępienia i życzliwego zdumienia. Pojawiała się za każdym razem, gdy kobieta jednak nie okazywała się samicą, czytając: zbuntowanym zwierzęciem, tylko nieco odmiennym, acz równie inteli-

gentnym i wartościowym człowiekiem. Może delikatniejszym w sposobie bycia, może... inaczej irracjonalnym.

Leyre dobrze rozumiała ten opór. W końcu gdyby baby zajęły się kapłaństwem i wiedzą, kto gotowałby posiłki dla mędrców, kto cerował i prał im bieliznę? A przecież w początkach Zakonu jego założyciel Pannitzin powiedział jasno, że Skarbiec otwarty jest dla wszystkich, którzy szukają mądrości, niezależnie od pochodzenia i płci. Że otoczona przez wrogów Tlaskala nie może pozwolić sobie na aroganckie wykluczanie połowy najtęższych umysłów i serc.

Czasami podejrzewała, że Zergos był taki sam jak oni i w głębi ciucha ubolewał nad tym, że dynastyczne machinacje Zakonu zmusiły go do ojcostwa i małżeństwa. Postawili na niego pewnie dlatego, że był najprzystojniejszym nowicjuszem swojego rocznika, w końcu dziecko przynęta musiało być naprawdę ładne, myślała.

Leyre tylko uczyła się w Skarbcu. Chowała się u arystokratycznej rodziny, kształcona we wszystkich arkanach, jakie przystoją szlachetnie urodzonej dziewczynie, kandydatce na królewską żonę. We wszystkim, co mogło zauroczyć i uwieść Papana. Czyli głównie w plotkach i damskich robótkach, etykiecie i sztuce wdzięku, którymi szlachetnie umoczone zasypywały otchłań przeogromnej nudy, jaką kiedyś wypełni w ich płodnych brzuchach potomstwo i jurny mąż. Najważniejsze były powab i wdzięk, podstępne i zabójcze ochnięcia skrywane za gardą skromności.

Z początku Leyre z zapalem zgłębiała kroki tego miłosego tańca, przypominał jej naukę szermierki. Co roku spędzała też kilka miesięcy na studiach w siedzibie Zakonu, pod tysiącami ton skały i czujnym okiem tatusia. Nie przeszła pełnego treningu Kretów, gdyż Zergos sądził, że nadmiar ćwiczeń zrujnuje jej kobiecy wdzięk, zarówno ciała, jak i duszy. Ojciec przekazywał jej wiedzę, genealogię, schematy sojuszów i analizy ustrojów rozmaitych państw, istniejących i dawno podbitych. Czasami zapominał, że naucza małą dziewczynkę i z zapalem szkicował jej cele swojego bractwa, strategie rozpisane

na całe stulecia, owoc narad najtęższych zakonnych głów. Chyba nigdy nie była tak senna jak wtedy. Ale uczyła się dobrze, z gorliwym oczekiwaniem, że gdy zrobi coś naprawdę dobrze, Zergos i Reyla otworzą przed nią serca i obdarzą ukrytymi skarbami pieśczoć, czułości i troski.

Nie wiedziała wtedy, że w siedzibie Zakonu liczy się tylko pradawna wiedza, a uczucia i dziewczęce tęsknoty nie należą do „obszaru badań”. Dopiero potem przestało ją to obchodzić, a przynajmniej tak sobie wmówiła.

Życie Leyre zmieniło się, gdy skończyła czternaście lat i objawiła swe wdzięki elitom Grani na wielkim, dorocznym balu. Miesiąc później została poślubiona Papanowi, szesnastemu władcy Tlaszkali o tym imieniu. Jej mężem został człowiek z tak starożytnego rodu, że już przed Kłątwą jego drzewo genealogiczne musiało być spróchniałym i zmurszałym pniakiem z tysiącem splątanych korzeni. Tego dnia Reyla uśmiechnęła się do niej, a Zergos dwukrotnie nazwał „swoją dziewczynką”. Po ślubie Leyre włączyła się jawnie do rządzenia, zaskakując tym wszystkich, tylko nie Zakon.

Jej mądrość olśniła dwór, mimo intryg całkowicie zaskoczonych opozycji. Zaczęła forsować politykę Zakonu i od dawna konieczne reformy. To jej dekretem armia Tlaszkali zawdzięczała modernizację uzbrojenia i wprowadzenie, a raczej reaktywowanie niektórych urzędów Dobroczyńców, których lękali się konserwatywni wojskowi. Wszystko to przyszło za późno, lecz mogłoby ich ocalić, gdyby nie to, że u Kruzów także przyspieszył czas.

Pojawił się Quinatzin, *tlatoanii* groźniejszych od poprzednich kruzańskich władców. Jego ambicja pozostawała nienasycona, jakby on sam był tym głodnym słońcem, które czcili i poili Kruzowie. Mimo to Zergos wydawał się zadowolony. Pamiętała, jak uniósł brwi, gdy na początku małżeństwa poskarżyła mu się, że chyba nie kocha Papan. Zachrzękał z urażoną godnością i czym prędzej wrócił do przerwanej sprawdzianu. Jakby wiedza o miejscowej faunie była ważniejsza od życia. „Co proszę? Przesłyszałem się? Klasyfikujesz ambystomę drapieżną jako gada? A co ze zjawiskiem neotemii?”.

„Nie pociąga mnie”, chciała dodać, lecz oczywiście nie umiała powiedzieć tego własnemu ojcu, którego w życiu pociągały jedynie księgi i alembiki, władza i odległy cel. Zergos posłał jej to przekłete, wszystkowiedzące spojrzenie i przeczesał palcami upiętą opaską grzywę. Zawsze wyglądał godnie, nawet wyrwany ze snu. Stara skała, opoka Tlaszkali.

- I całe szczęście. Miłość jest ostatnią rzeczą, której od ciebie oczekujemy. Wystarczy, że dasz Papanowi syna, a przy tym... trochę radości - powiedział, uciekając w bok wylupiastymi oczami.

A potem spotkała Szara.

Kaszlnięcie ojca wyrwało ją z zamyślenia. Siedział z dziwnie, starczo opuszczoną głową, i nagle wydał jej się taki zmęczony i kruchy. Leyre zatroskała się i zrobiło jej się głupio, że ocenia go tak surowo. W końcu zawdzięczała mu wszystko. Ilu ojców poświęciło tyle czasu własnym córkom? Ten człowiek poświęcił życie, by przygotować ją do roli królowej. I nie robił tego wszystkiego dla siebie, kierował się dobrem kraju. Wdzięczność jak zawsze pociągnęła za sobą poczucie winy, a potem determinację.

Popatrzyła mu w zaczerwienione, wyblakłe od studiów oczy i zamiast gniewu natychmiast pojawił się wstyd. Było w nich tyle znużenia. Przywódca Kretów uśmiechnął się i przytulił ją.

Pod żadnym pozorem nie mogła go zawieść.

- Wiem, że będzie ci ciężko. Ale wszyscy ponosimy teraz ofiary. Idzie wojna i musimy wystawić na nią wszystko, co mamy. Jak wiesz, po Dolinie Czarnego Psa twój bohater wycofał się z życia publicznego. Ludzie jego pokroju niełatwo zmieniają decyzje. Być może nie obejdzie się bez odrobiny... zachęty. Zakon liczy na ciebie, córko - chrząknął.

Leyre pokiwała głową.

Nie wątpię, drogi ojcze. Nie wątpię.

Rozdział 8

*Mniej liczni od naszych wrogów,
musimy być od nich lepsi.*

powiedzenie Haszkalan

Szaratanga siedział przy pięknie zastawionym, rodzinnym stole i próbował normalnie oddychać. Niebo było błękitne, słońce nie prażyło zbyt mocno, a jego żona Enisha włożyła na siebie odświętną spódnicę *cueitl*.

Dzieci były grzeczne i cichutkie jak myszki. Na stole parowały smakowite potrawy: dzikie ptactwo z pomidorami, prażone chrząszcze i mięso z kukurydzą, obficie skropione ostrym sosem z pomidorów, papryczek i krwi. Tak jak lubił.

To był dobry dzień, rocznica jego powrotu do domu. Wszyscy starali się okazywać mu zrozumienie, szacunek i miłość. Właśnie, starali się. W tym sęk. Starali się tak bardzo, że miał ochotę rozjechać wszystko w drobny mak.

Na początek przewróciłby stół.

Nie zrobisz tego, wyszeptał, szczerząc się do najbliższych w uśmiechu, który za każdym razem wykrajał na własnej twarzy. No, uśmiechnij się ładnie. Jak zgruchotana czaszka, jak -serce nabite na nóż. Jak wąż ludzkiego robactwa, wijącego się i błagającego o łyk wody, której on, dowódca, nie mógł nikomu dać. Nie! Nie zrobisz dziś awantury, nie rozładujesz się w wariackim gniewie, który wrósł w ciebie jak trująca cysta, zastąpił nadzieję i miłość. Nie jesteś wrakiem.

Był już prawie opanowany, gdy jego rozmyślenia przerwał podmuch wiatru. Miał pecha. Górskie powietrze było krzepiące i chłodne, a wiatr, jeżeli nie sfrunął z okolic Labiryntu, wcale nie musiał nieść woni tlaszkalańskiego losu, smrodu dymu i

gówna, padliny i świeżej krwi. Odoru odwiecznej wojny.

Ale dzisiaj niósł.

Szar odłożył łyżkę i zerknął na ptaka błękitnika, który śpiewał na gałęzi jodły. Mały skurwiel miał tyle wolności, ile on już nigdy nie będzie. Mężczyzna syknął z bólu i ostrożnie rozprostował nogi. Nie był w stanie zginać zniszczonych kolan dłużej niż kilka minut, z powodu tej przypadłości musiał siadać z boku, na samej krawędzi ławy.

Nadal nie dało się jeść, ale wiedział, że wiatr zaraz się zmieni. Wtedy jego żona i dzieci zdołają zapomnieć o wojnie i radośnie spałaszują deser. Teoretycznie ciemne chmury znad Labiryntu to dobry znak. Gdyby wrogowie wygrali, nie paliliby teraz zmarłych, tylko maszerowali na stolicę. To Tłaskalanie spopielali ciała wrogów. Prawie nigdy nie brali jeńców, bo jak tu wykarmić ich w obłożonym przez Kruzów kraju, gdzie każda głodna gęba to kłopot?

Ale zawsze czyścili boisko.

Zauważył, że dzieci patrzą na niego z lękiem, i skrzywił się jeszcze bardziej. Kiedy to się stało? Nie bały się go, gdy były małe. Z wojen i z długiej niewoli powrócił do domu ktoś inny.

Wyniszczony, posepny mężczyzna, który przekroczył trzydziestkę, jakby pokonał metę. Zostawił za sobą męża, którym był wcześniej, którego kochały tłumy i którego wybrała Enisha. Człowieka, który coś mógł.

Smrody znad linii frontu przypomniały mu, że wojna go zdradziła. Nie dobiegła kresu razem z nim, tylko gniła wetknięta pod deski za tanim przepierzeniem świata, który gnał gdzieś i pędził bez niego. A jemu zostały bolące kolana.

- Idę się przejść - mruknął.

Enisha spojrzała na niego, zrozumiała.

- To ten wiatr? - spytała.

Szar skrzywił się i podźwignął niezgrabnie. Nienawidził współczucia żony, jej ciepła, na które nie potrafił odpowiedzieć. Codziennie zaciągał dług.

Pocałował ją w czoło i ruszył w górę zbocza, na tyle szybko, na ile pozwalał ból. Chciał zostać sam.

W końcu przysiadł na płaskim kamieniu, z którego

przeważnie obserwował zmierzch. Lubił wieczorne godziny. Nad kwiatami bzycały pszczoły, ta malutka, ukryta przed światem osada obłązonego królestwa słynęła ze swoich górskich pszczelarzy.

Tu wszyscy żyli swoim rytmem. Chwile skapywały niespiesznie, jak miód gęste, choć nie zawsze tak słodkie. Szaratanga całe życie gdzieś pędził, wypełniał rozkazy i je wydawał. Teraz przeznaczał dużo czasu dla siebie, a im mniej robił, tym bardziej jego „ja” się ulatniało. I całe szczęście. Nie był filozofem, lecz odbierając życie za pomocą ostrza, w jakiś sposób je zgłębił. Było ułudne i zmienne, nietrwale jak świąteczne posągi z ciasta. Jak brzuch rozerwany mieczem. Bogowie pożerają nas i właśnie tym jest życie, a może pożerają coś innego, a my jesteśmy ich głównem?

Ale to były tylko słowa, szeleszczące i śliskie jak papier. Zabawki kapłanów i polityków. On wołał pustkę. Kiedyś jawiła mu się jako śmierć i chrzęściła girlandami kości. Wołała go w bitwie i bał się. Teraz samemu jej szukał.

Z zadumy wyrwał go czyjś głos. Enisha szła do niego przez łąkę. W spódnicy w kwiaty, z gładkimi ramionami i odsłoniętymi nogami, była tak piękna jak dziewczyna, którą poślubił dziesięć lat temu.

Miała wtedy piętnaście lat i rodzina zaczynała uważać ją za starą pannę. Wszyscy mu jej zazdrościli.

Gdy podeszła, zorientował się, że coś jest nie tak. Enisha często była zdenerwowana, zwłaszcza gdy po całym dniu harówki dzieci nie dawały się zapędzić do łóżek. Szaratanga często wymyślał się wieczorami. Wiedział, jak wiele kosztuje ją ukrywanie irytacji, kiedy nie było go w domu. Jakby wciąż bała się, że mąż znowu jej zniknie, jak wtedy, przed dziesięciu laty, gdy trafił w niewolę Kruzów.

*

Jak każdy kochany mąż, Szar myślał, że świetnie rozumie swoją żonę. Założył, że ich małżeńskie relacje zostały określone na nowo, gdy jako jeden z nielicznych zdołał uciec z niewoli Kruzów. Szar przyjął wdzięczność i radość Enishy jako coś, co

mu się zwyczajnie należy. Uwierzył, że przynależą do siebie na zawsze, że od teraz żona wybaczy mu wszystko.

Mylił się, jak zwykle mężczyźni, gdy z umysłowej powolności spłaszczają pobudki swych kobiet. Przed pięciu laty powrócili z niewoli i przez jakiś czas zdawało się, że udało im się odbudować dawne życie.

Kruzowie uprowadzali co roku setki tlaszkalanskich jeńców, poidła dla Głodnego Słońca. Czasem, w wyniku układów, rozejmów i kontrybucji, rozgrywek Odrodzonego Przymierza i Federacji Wielkiego Tikal, brańcy wracali żywi. Szar nigdy nie mówił żonie o swoich jenieckich latach i dopiero znacznie później Enisha uświadomiła sobie, że do jej domu, łóżka i serca powrócił z niewoli ktoś inny.

Nie chodziło nawet o to, że mimo jej wysiłków w omijaniu nałożonego przez Kruzów embarga, mimo zdobywania najlepszych produktów, wystawiania przy garnkach i gotowania mu stale jego ulubionych frykasów, wciąż jest chudy i prawie nic nie je. Enisha spostrzegła, że mąż gromadzi pod łóżkiem i w licznych kryjówkach zapasy mąki kukurydzianej i suszonego mięsa, jakichś strasznych ochłapów i kości. Że boi się zamkniętych, nieprzewietrzonych pomieszczeń i całymi dniami wysiaduje w górach, jakby chciał wtopić się w niebo. A najchętniej przesiaduje tam w burzy i w deszczu.

W pierwszej chwili Enisha ucieszyła się, gdy Szaratanga postanowił ponownie wstąpić do armii. Sama czuła, że czegoś mu brak. Stłumiła więc lęk, zagryzła usta i prawie szczerze się cieszyła. Myślała, że jej mężczyzna wróci do siebie, odnowi dawne przyjaźnie i kontakty, odzyska poczucie godności, jednak wojna nie zdołała go uzdrowić. Skorzystał na niej ktoś inny.

Jej Szaratanga był zwykłym, normalnym mężczyzną. Dobrym i kochającym, dzielnym i honorowym, ale niekoniecznie dzielniejszym od innych. Na pewno nie był wtedy tak wojowniczy i groźny. Służył, bo wszyscy Tlaszkanie służyli, ich okrążony przez wrogów kraj nie mógł pozwolić sobie na luksus pacyfizmu.

Nowy Szar nie potrafił usiedzieć w miejscu. Był wszędzie i nie

znał zmęczenia, co więcej, inspirował innych. Nagle okazało się, że w Tlaszkali pojawił się nowy bohater.

Enisha nie mogła słuchać o jego nowych, niemalże nadludzkich przymiotach. O tym, jak potrafi wynajdywać drogę przez gąszcz Labiryntu, jak zaskakuje i niszczy coraz silniejsze wyprawy Kruzów. Widziała, jak szybko się zmieniał.

Martwiła ją wzmagająca się legenda Lwa Labiryntu, jakby czuła, że każde zwycięstwo oddała od niej ukochanego. Gdy Szaratanga odwiedzał ją w domu, zachowywał się jak ktoś całkiem obcy. Na przekór entuzjazmowi przyjaciół i krewnych Enisha zupełnie nie dbała o wojenne zasługi męża. Kiedyś powiedziała mu, że to za człowiekiem, a nie bohaterem tęskniła. Po wygranej przez niego bitwie w Dolinie Czarnego Psa, która rozegrała się dwa lata temu, pochorowała się ciężko.

Bała się, że już z niej nie wróci.

Dla Enishy liczyły się inne rzeczy. Może małe i proste, lecz dla niej na pewno ważniejsze. Rzeczy, które dzieją się na przekór tym wielkim, dziejowym ideom i sprawom. Urodziła im się dwójka dzieci, chłopiec i dziewczynka, a rok temu Szaratanga nagle rzucił swoją świetnie rokującą karierę, dwór królewski i intrygi stolicy Tlaszkali, Grani, i jak gdyby nigdy nic nagle powrócił do domu. Enisha po cichu marzyła o tym przez lata, lecz nie zdarzyło się, by go o to poprosiła. Decyzja męża zaskoczyła ją.

I tak słynny Lew Labiryntu raz jeszcze zaszył się w ich odciętej od świata dolinie, przykładny ojciec i mąż. Wciąż był krzepki, szeroki w barach i grubokościsty, ale znowu schudł. Jakby tylko na wojnie potrafił nabierać ciała. Czasem do głowy przychodziła jej całkiem szalona myśl, że Szar paś się i sycił, kiedy pożerał trupy.

Enisha zносиła dziwactwa męża, sporządzała okłady na jego bolące kolana. Dopiero później strzępy pogłosek i plotek sprawiły, że motywy jego decyzji przestały radować jej serce.

Zrozumiała, że nie zrobił tego dla nich.

Gdy Enisha stanęła przed nim na zboczu, jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, była niczym maska inkaskiej mumii.

- Przyjechał Pa'uk - powiedziała takim tonem, jakby

anonsowała krużańską hordeę albo chmarę żarłocznej szarańczy.

Szaratanga podźwignął się ciężko i objął ją, czując, jak ich serca łomocą we wspólnym rytmie.

- Stary Pa'uk? Dawno go nie widzieliśmy - rzucił możliwie obojętnym tonem. Wziął żonę pod rękę i zaczął schodzić po zboczu, ale zatrzymała go gwałtownym szarpnięciem.

- Nie pójdziesz z nim, słyszysz? Nie wolno ci.

Teraz to on się wkurzył.

- Do diabła, Enisha, przecież odmówiłem im w zeszłym roku. I wcześniej. Zrobiłem to dla was! Dla nas - poprawił się szybko.

Milczała. Dotknęła jego policzka i szybko cofnęła dłoń.

- Dla nas? - szepnęła cicho. Szar wybałuszył na nią oczy. Myślał, że zna swoją żonę. Nigdy nie słyszał w jej głosie aż tyle zwątpienia i smutku. - Zmieniłeś się, Szar. I nie ma cię tu. Siedzisz z nami przy stole jak widmo, zatopiony daleko stąd wrak. Wszystko cię drażni i męczy. Od roku czekam, aż wrócisz... i chyba już tracę nadzieję - dodała łamiącym się głosem i otarła samotną łzę.

Szar wiedział, że to pierwszy, samotny harcownik, po którym nadciągnie prawdziwy płacz, jakby znowu wyrządził jej krzywdę, czegoś nie dał, zaniedbał. Nie zasypał zatrutej studni.

Na Ołtarz i Krew, czy to jego wina, że Enisha ciągle czegoś od niego chciała, że zamiast serca zionęła w niej otchłań bez dna? To nie było w porządku i Szaratanga odwrócił się, czując słuszny, sprawiedliwy gniew. Złość zawsze dawała mu siłę, by zrobić to, co konieczne, to ona przynosiła rozgrzeszenie. Odkąd odszedł z armii, myślał tylko o swojej rodzinie i zmienił się w jakiegoś półprzutomnego odludka. Na jaja demonów!

To, że miał połamane giry, nie sprawiło, że stał się starcem. Czas wreszcie pomyśleć o sobie.

Enisha nie krzyczała już. Nie próbowała go dotknąć ani obrazić. Po prostu zaczęła płakać. Przeraziło go to - była naprawdę dumną i twardą kobietą. Zaklął. Mężczyźni biją pięściami, kobiety smagają łzami, głosiło tikalskie przysłowie.

W końcu ruszyła w dół zbocza, usiłując zostawić go w tyle, ale wyprzedził ją, sycząc z bólu, i zatarasował żonie drogę. Stał przed nią z miną skarconego psa, który nabroił. Ich spojrzenia spotkały się.

- Wiesz, że cię kocham - powiedział, usilnie udając głupca.

- Mam to gdzieś. Obiecuj, że nie pojedziesz.

To nie było uczciwe. Szaratanga zwalczył ukłucie gniewu i chęć obsztorcowania jej jak bezczelnego rekruta.

- Obiecuję, że się zastanowię. I będę na siebie uważał - dodał, i to był błąd.

Wyrwała mu rękę ze złością.

- Niech cię diabli, Szar. Niech cię diabli.

Przed spotkaniem z Pa'ukiem upewnił się, że nie zapomniał noża. Nigdy nie rozstawał się z bronią, ten zdrowy nawyk nieraz ocalił mu skórę. W ramach nowego życia usiłował paradować bez ostrza, ale czuł się nagi i dziwnie żalony. Szybko dał za wygraną, usilnie pracował jednak nad tym, by nie wbijać sztyletu w stół, nie rzucać nim w myszy i jaszczurki i nie straszyć miejscowych. Kiedyś przebił nim dłoń służącej, która bez pytania chciała uprzątnąć jego miskę. Niewinny gest kosztował go kilka dni dąsów ze strony Enishy, a wścibskiego babsztyla palec.

Idąc do domu, pomyślał, że pewniej czułby się z mieczem i tarczą. Pa'uk był starym przyjacielem, jednym z nielicznych, którzy wyszli cało z heroicznym dokonaniom Szara. Ale właśnie ci, którym ufasz, mają największą szansę cię wykończyć, prawda? Gdy jest się eksbohaterem, który kiedyś liczył się w wielkim świecie, goście ze stolicy nie wróżą nic dobrego. Przed dwoma laty podczas przewrotu frakcji kapłańskiej musiał ukrywać się z rodziną w górskiej grotcie.

Nie cierpiał awantur takich jak ta sprzed roku, kiedy grupa jego byłych żołnierzy odmówiła wykonania rozkazów, zabiła oficerów i odwiedziła Szara, aby obwołać go królem. To wtedy ostatni raz kogoś zabił. Fakt, że byli to jego wychowankowie, dawał tamtej masakrze szczególnie gorzki posmak. Wojownik nie miał najświeższych wieści, ale domyślał się, że w Radzie Grani nadal się kotłowało.

Na szczęście reżim - ten, w którym służyła większość jego przyjaciół, wierzycieli i sojuszników - został obalony lata temu, nie pociągając za sobą Szaratangi. Wówczas też nie angażował się w spiski, a jego popularność wśród wojska już wtedy była zbyt cenna.

Wiedział jednak, że czystki nie rządzą się logiką, a ich zasięg ogranicza jedynie skala paranoi spiskowców. Obleżone, walczące o przetrwanie narody rzadko wydają myślicieli, artystów i geniuszy, obfitują za to w potężnych paranoików.

A tacy potrafią nasyłać na wrogów siepaczy.

Z drugiej strony, jeśli ktoś chciałby wydać mu rozkaz honorowego samobójstwa, raczej nie posyłałby z tym Pa'uka.

Gdy dotarł na miejsce, w jego głowie kotłowało się już jak w balii. Nerwowo oblizwał wargi. Właśnie tego miał dość w czasach, gdy robił karierę. Nie chodziło o zabijanie. Zabijanie to pryszcz w porównaniu z lawirowaniem między dworskimi frakcjami, przewidywaniem życzeń zwierzchników, intrygami koterii i klik. Obrabiasz to gównem bez końca, a cuchnąca maź oblepia ci życie i dławi oddechy bliskich.

Pa'uk przybył sam, co mogło świadczyć o takcie albo szaleńczej brawurze. Na tle ich prostego domu z bielonymi wapnem ścianami jego biało-czerwona zbroja z zakazanego metalu i juty odcinała się jak chlapnięcie krwi.

Objęli się i Szar zawstydził się, że szaty wiszą na nim jak na tycze. Podczas miesięcy w domowych pieleszach schudł bardziej niż kiedyś w niewoli u Kruzów. Nawet jeśli gdzieś kryły się resztki jego kamiennych mięśni, to na pewno nie było ich widać.

- Potrzebujemy cię.

Dostaliście już dosyć, pomyślał były dowódca. Teraz potrzebuje mnie Enisha i dzieci. To była dobra myśl, ale gdy tylko ją przełknął, zrozumiał, że to kłamstwo. A czego ty potrzebujesz? Obawiał się, że zna odpowiedź, od lat napawała go wstydem.

- Wiał dzisiaj zachodni wiatr, Pa'uk. Stąd wiem, że znowu wygraliście. Po co ta cała panika?

Posłaniec ściągnął otwarty hełm i popatrzył uważnie na

byłego towarzysza broni. Okrągła, mięsista twarz Pa'uka była szara jak wapienna skała, pobrużdżona głębokim znużeniem. I lękiem, do niego niepodobnym.

- Ten dym... To była tylko dywersja. Podpucha. Imperialni wysłali dwa pułki do Labiryntu i związali nas walką, a sami uderzyli na Tikalczyków. Rozgromili ich, Szar, i pewnie niedługo oskrzydła nas i podejda pod wschodnią granicę. A my nie wysłaliśmy do Tikal żadnych posiłków, żeby „nie prowokować” Kruzów! Nawet pachółków do kopania latryn...

Szaratanga był w szoku. Zdominowane przez ludy Maya państwo Wielkiego Tikal zdawało się wieczne. Ta federacja kupieckich miast-państw, rozpościerająca się od Jukatanu po Przesmyk i południowo-wschodnie granice Tlaskali była niemal tak potężna, jak Odrodzone Przymierze, rządzone przez wojowniczy lud Kruzów. Ale Tikal, w przeciwieństwie do nieufnych, izolacjonistycznych Kruzów, bogaciło się na handlu z południowym imperium Inka. Światłe i kosmopolityczne, Tikal słynęło ze swoich artystów i kupców, wytyczało mody w sztuce, poezji i nauce. Było też wypróbowanym sojusznikiem Tlaskali, z którą graniczyło od północy i wschodu. Tylko dzięki tej umocnionej flance Tlaskala jeszcze istniała, a przekłęci Kruzowie bezskutecznie szturmowali Labirynt.

- Dobrze, że mamy z tamtej strony odnowione mury i parę porządných twierdz - powiedział nonszalancko.

Ciekawe, kiedy ktoś je naprawiał? Chyba w czasach mojego pradziada.

- Twierdze można zdobyć, a mury sforsować. Z ich liczebnością Aztekowie zaleją nas jak strumień dziecięcą tamę - odrzekł Pa'uk.

Szaratanga pokiwał głową.

Dla wielu Tlaskalan Kruzowie byli po prostu Aztekami, nową odsłoną ich dawnego wroga. Zupełnie jakby czas dreptał w miejscu. Czasem Szar miał wrażenie, że jego rodacy nazywają ich tak, bo pamięć o klęskach Azteków na wojnach z Białymi, wciąż żywa u ich dawnych wrogów, przynosi im nadzieję powtórki.

Rzeczywiście, dawnych Azteków i ich spadkobierców,

Kruzów, łączyło wiele podobieństw. Oba ludy przybyły do żyznej krainy Synn z ubogich, północnych równin. Oba były prymitywnymi, nastawionymi na grabież i podbój nomadami, którzy nie mieli nawet bawełnianego kaftana na grzbiecie i chodzili odziani w skory jeleni lub nago. Niczego nie posiadali, lecz mnożyli się jak króliki, podczas gdy starsze, osiadłe ludy wymierały w bogatych kamiennych miastach. Tak jak tysiące lat wcześniej Olmeci, Toltecy i Zapoteci, a dziś Tikalczy... I oni, obłożone termity z Tlaskali, z ich umiejętnościami, starożytną nauką i sztuką.

Znużonych zastępują płodni, ta pieśń nie zmieni się nigdy.

Oczywiście, nienawiść między Kruzami i Tlaskalanami działała też w drugą stronę, przeciwnika zawsze warto zozydzić przed rzezią. Dla Kruzów Tlaskalanie byli Zdrajcami Ludzi, Dziwkami Białych Diabłów, a także Termitami, ślepyimi insektami rojącymi się w skalnym kopcu. Szar musiał przyznać, że w ostatnim porównaniu kryła się szczypta prawdy.

- Jesteśmy skończeni. To Labirynt dawał nam przewagę i dobrze o tym wiesz, Jeżeli Kruzowie ominą go... - kontynuował Pa'uk.

Szar pokiwał głową. Labirynt był czymś więcej niż twierdzą. Zapewniał obrońcom arsenał podstępów, ucieczek i zasadzek, był dyskretną areną śmierci. Kruzowie nazywali Tlaskalan termitami, bo ich zdaniem kryli się w skalnych korytarzach niczym tchórzliwe insekty. Ale była to mądra taktyka. Przy obronie nawet najpotężniejszej fortecy decydowała matematyka, liczba obrońców, zaopatrzenie, wytrzymałość bram. I zawsze można było zamorzyć obrońców głodem. W wąwozach i tunelach Labiryntu o wyniku rozstrzygała błyskotliwość jednego człowieka, który podejmował decyzję o taktycznym odwróceniu lub o miejscu zatrzaśnięcia pułapki.

Zwykle tym człowiekiem był on.

- To niedobrze. Jeżeli Kruzowie wjadą nam tu od zaplecza... to mają nas. Trzeba coś wymyślić - powiedział.

- Dlatego przyszedłem. W stolicy już na ciebie czekają. Oczywiście, nie możesz pokazać się Radzie Grani w tych cywilnych łańkach - wyszczerzył się Pa'uk, który nawet kąpał

się w mundurze polowym. - Przywiozłem ci coś, za czym na pewno tęskniłeś.

Stała w kącie i gdy Pa'uk szarpnięciem zerwał z niej natuszczoną płachtę, zamigotała jak ła. Jego stara zbroja, świadek największych tryumfów. Szaratanga wszystkiego ważnego w życiu dokonał zakuty w te przeklęte blachy. No, może poza spłodzeniem dzieci.

Towarzyszyła mu w bitwach i zatrzymała niejednego zabójczy cios. No i ładnie się prezentowała, trzeba przyznać. Gdy ją nosił, kobiety traciły rozum, jak kotki na widok kocimiętki. Prawa Tlaskalan nie zakazały rzemiosła Białoskórych i zbroja świeciła stalowym napierśnikiem oraz elementami kolczugi, migoczącymi spod czerwono-białego, tradycyjnie pierzastego kołnierza. Na napierśniku srożył się słynny herb Lwa Labiryntu, zamorski zwierz z dumną, rozłożystą grzywą. Spódniczkę i płaszcz zrobiono ze skóry swojskiego, cętkowanego ocelota.

Była to świetna zbroja, ale kiedy ma się chore kolana, ostatnią rzeczą, o jakiej marzysz, jest dziesięć kilo żelastwa na grzbiecie.

Generał splunął i z bólem rozprostował prawą nogę. Przez wiele lat nie zdawał sobie sprawy, jakim jest pieprzonym szczęściarzem. Wystarczyło, żeby wyprostował kończyny, by ból zelżał. Teraz to przestało pomagać i cierpienie towarzyszyło mu stale.

- Myślisz, że będę w tym skakał po górach jak pierdolona kozica? - mruknął.

Pa'uk popatrzył na niego ze współczuciem, spod którego wyzierał twardy przymus.

- Chodzi o symbol. Kruzowie mają ujrzyć największego generała Tlaskali, a nie starego niedołęgę, którego nikt nie rozpozna.

- Dzięki. - Nagły gniew zabulgotał mu w sercu. A myślał, że zgasło w nim wszystko.

Pa'uk też się rozgniewał.

- Wielu z nas chciałoby być na twoim miejscu. Jeszcze raz poczuć się jak bohater, a nie rupieć.

Szaratanga popatrzył na niego ze wstydem. Posłaniec miał

rację. Nie on jeden zmęczył się, gnuśniał i cierpiał z powodu starych ran. Nie on jeden czuł się bezużyteczny. Ale, na wszystkich bogów, nie każdy miał szansę powrócić. Tylko co z tego?

Pa'uk uznał, że pora znów pomachać osiołkowi marchewką.

- Długo się o to spieraliśmy. Ale na koniec byliśmy jednomyślni. To zadanie dla najdzielniejszego. Dla ciebie, generale. Twoja obecność da naszym ludziom wiarę - dodał.

Szar zaniósł się ochrypłym, trochę zbyt desperackim śmiechem.

- Zmieniłem się, Pa'uk. Popsułem. Widziałeś moje kulasy? Na Nóz i Ołtarz, nawet mój synek mógłby mnie teraz prześcignąć, przechytryć i obić. A ma dopiero cztery latka. Mam znów biegać z chłopakami po górach? Narażać ich przez to na śmierć? Wymień mi choć jeden powód, dla którego miałbym przystać na ten poroniony plan?

- Co czujesz, gdy patrzysz na twarzyczkę swego dziecka?

Szatatanga nie odpowiedział. To było jego serce i dopóki nie wyrwą mu go z piersi zakrwawionymi łapami, nikt nie będzie go, kurwa, tykał.

- Czujesz nadzieję. I to właśnie jest powód. Tylko ona nam została.

- Jeżeli w ogóle mam to rozważyć, musisz podać szczegóły. Na przykład to, jakie oddziały dadzą mi pod komendę.

- Nie mogę ci podać konkretów, bo nie mam upoważnienia. Ale osobiście obiecałem królowej, że ściągnę cię do stolicy

- Prosiła cię to? - spytał sucho i od wrócił głowę, bo jego oczy zrobiły się podejrzenie wilgotne. Do diabła, rok i żadnych wieści, a teraz... cieszył się jak kundel, któremu rzucili kość.

Wyprostował się na tyle dumnie, na ile pozwalały łękotki. Nie był może najlepszym materiałem na bohatera, ale lepszych Tlaskala nie miała.

Popatrzył na przyjaciela ponuro. Kiedy tak sparszywieliśmy? Niegdyś zwinny i gibki, Pa'uk poruszał się teraz z gracją sniętego kraba.

I pomyśleć, że był młodym, krzepkim oficerem. gdy Szaratanga zaczynał służbę. W czasach, gdy Tlaskala i W ielkie

Tikal zadawały Kruzom klęski, a przyszłość była kusząca i nieskomplikowana jak uśmiech zawianej dziewczyny. Szar nie mógł odpędzić myśli, że głównym zadaniem starych przyjaciół jest przypominanie, jak bardzo się człowiek zestarzał. Jak mało zostało mu czasu przed nieuchronnym końcem.

Nauczył się cenić pustkę, ale nie chciał osuwać się w nią już dziś. Pieprzyć to.

- I co? Pewnie chcesz, żebym wygrał dla ciebie tę wojnę?

Pa'uk pokręcił głową, oczy zalśniły mu zagadkowo.

- Nie, przyjacielu. Na to jest już za późno. Ale chcę, żebyś przypomniał tym kruzańskim ludojadom, czego się, kurwa, boją. Co im się śni po nocach, kiedy budzą się, szcząc ze strachu. Przypomnij im, czym jest Labirynt.

Szar popatrzył na Enishę, która krzątała się przy dzieciach. Już dawno obiecał jej więcej, niż zdoła kiedykolwiek dotrzymać.

Więc chyba nie było problemu, prawda?

Rozdział 9

Zdobić was będą zalety orła i tygrysa, będziecie prowadzić Świętą Wojnę, waszymi będą strzały i tarcze, to będzie wasz chleb codzienny, tym będziecie żyć; siać strach będziecie, a wasza śmiałość będzie opłacona zwycięstwem, zniszczycie wszystkich, którzy tam już osiedli, wszystkie miejsca, do których przybędziecie, zniszczycie.

Huitzilophtli,
bóg opiekuńczy starożytnych Azteków i Kruzów

Bogowie chcą od nas krwi.

Maczurai

Tłum zawył i pożałował, że on też nie może. Zacisnął zęby, tłumiąc rozpaczliwy wrzask. Był wojownikiem Kruzów, a nie płaczącą dziewczynką, na Kamień i Krew! Znowu oberwał po żebrach.

Przeciwnik atakował go z furją, jakby nie były to lokalne zawody szermiercze, tylko coroczna gladiatorska ofiara dla boga Szipe Toteka, Naszego Pana Obdartego ze Skóry. Syn Maczuraia odbił kolejny cios, ale nie dość szybko. Drewniany miecz ciachnął go w goleń, klasyczna technika, efektowna i bardzo skuteczna. Tennok upadł na jedno kolano.

Oszło mu ból i tylko dzięki przetrenowanym odruchom zatrzymał cios spadający na głowę. Jego lewa noga już puchła. Dziękował bogom, że miecze turniejowe nie miały tnących krawędzi z krzemienia i obsydianu. Gdyby stało się to podczas

bitwy, już byłby jeńcem, sikającym krwią, przerażonym pechowcem, który wie, że prawdziwe sikanie dopiero się zacznie.

Na szczęście dziś nikt nie przelewa! krwi. Przynajmniej w szlachetnej teorii. Tennok cofał się, powłócząc przetrąconą kończyną, i z coraz, większym trudem parował uderzenia wroga. Po kolejnym ciosie przeturlał się haniebnie na plecy i splunął piaskiem.

Zgubił pióropusz w klanowych barwach, zbroja z pikowanej bawełny przesiąkła potem i nagle zrobiła się ciężka. Ktoś na trybunie tubylczej do reszty stracił głowę i wrzasnął ochryple z prostackim akcentem Druazzi:

- Kruz! Pierdolony Kruz! Zabij drania!
- Kruz ci w dupę, jebany melonie! - zaoponował ktoś.

Tennok rozpoznał ochryply bas Cahuotla, nauczyciela szermierki z jego klanu. Cahuotl mógł na treningach pomiatać i drwić nim bezlitośnie, ale wara od jego uczniów pieprzonym obcym. Gdzieś na trybunach kuksańce i ciosy zastępowały już bluzgi.

- Wypierdalaj do domu, Kruzie! - nie dawał za wygraną pierwszy krzykacz.

To dobre! Klan Tennoka żył tutaj od sześciu pokoleń, ale wciąż byli tu nieproszonymi gośćmi. Jeżeli tak wyglądała sytuacja w innych zhołdowanych krainach Przymierza... Tennok otrząsnął się.

Potrzeba ci zalet orła i jaguara, a nie snucia nadętych teorii, do chuja pana. Tu nie zasłonisz się książką.

Jego przeciwnik aż spuchł, chłonąc entuzjazm tłumu jak piasek areny krew.

Reprezentował Spopielone Serca. Był to stary, zapotecki klan, dla którego każdy, nawet osiadły tu od kilku pokoleń Kruz to rozpanoszony przybłęda, który wciąż potrzebuje nauczki. Tennok czuł, że nienawiść jego przeciwnika wykracza poza gorączkę rywalizacji w trakcie walki, że jest wieczna jak kamienie miasta. Spopielony uniósł ramiona i uklonił się zwolennikom, a potem zaczął okrążyć osłabionego rywala. Powoli, niespiesznie, dbając o dramaturgię i suspens, Tennok

skrzywił się.

Piach chrząścił mu w ustach i w oczach, ale był pewien, że jego czcigodny ojciec, zasiadający na podwyższonej, iskrzącej się od klejnotów i piór trybunie dla dostojników, krzywi się teraz bardziej. Tylko tyle, Maczurai nie kłął i nie indyczył się, gdy oglądali go obcy. Najchętniej pozostawał chłodny i nieskazitelny - zwłaszcza we własnych oczach.

Mimo to jego dezaprobata potrafiła być cholernie bolesna, a sąd bezlitosny. Tennok wiedział, co mu powie zaraz po rytualnym „Bardzo się na tobie zawiodłem”, które syn słyszał od niego tak często, że powinien to sobie gdzieś wytatuować. Tennok Bardzo się Na Tobie Zawiodłem, wasz nowy dowódca. Dzięki, tato. Otóż ojciec przypomniałby mu, że pojedynek, który przegrał, nie był jakąś tam bijatyką na kije, tylko festiwalem podkreślającym dominację takich, a nie innych rodów, subtelnym zaznaczeniem tendencji panujących w Yugal.

Od śmierci Starego Księcia miasto nie miało oficjalnego władcy. Wraz ze wzrostem zapotrzebowania na *braazatal* stało się prowincją o dużym znaczeniu strategicznym. Zarządzał nim przysłany ze stolicy kruzański namiestnik, który czuwał nad poborem rekruta i dostawami z kopalni, jednak mówiło się o tym, że *tlatoani* szuka lokalnego następcy dla nieudolnego i schorowanego zarządcy. Klany rycerskie wiedziały, że Quinatzin prędzej czy później wywyższy jeden z tutejszych wysokich rodów.

Tennok zauważył już na trybunie kruzańskiego namiestnika. znużonego mężczyznę o ciężkich powiekach i twarzy znękanej febrą. Bagienne wyziewy znad Mys nie służyły przybyszom z wyżej położonego Tollan. Obok zasiadał gibki i zwinny wojownik, w którego opanowanych ruchach znać było piętno znakomitego przeszkolenia bojowego. Ani chybi Zabójca Gwiazd, jeden z przybocznych siepaczy i szpiegów Quinatzina. Obserwują ich i sondują, zanim podejmą decyzję. Wybierają oswojone zwierzątko.

W chwili obecnej w rozgrywce liczyły się dwa rody. Spopielone Serca siedziały tu dłużej niż skały. Dumne i

nieprzejednane, Serca cieszyły się poparciem większości tubylczych wysokich rodów, co gwarantowało stabilność, choć znane były też ze starych konfliktów i wrózd z barbarzyńskimi Druazzi i innymi łowieckimi szczepami. Drugi z pretendujących rodów, Turkusowa Włócznia, był silnie związany z imperium i to on kontrolował Doły. Jednak będąc rodem dawnych osadników wojskowych, Włócznia często budziła niechęć miejscowych. Miała też inny problem. Nieco zbyt „oryginalnego” dziedzica. Takich toleruje się w charakterze zdziwaczałego domownika, gawędziarza lub nieszkodliwego wariata, lecz nie przywódcy.

Pojedynek Tennoka i jego przeciwnika był więc czymś więcej niż starciem dwójki młodzików. Klęska reprezentanta Kruzów byłaby klęską imperium, a ono nie wybaczało obrazy. Nie wybaczał jej też Maczurai.

Dlatego Tennok uchylił się przed kolejnym ciosem, którym jego przeciwnik, na imię miał chyba Osiem Jeleń, planowi zakończyć walkę. Przeturlał się i zamaszystym ruchem wymiotł spod nóg Jelenia powietrze i piach, przy okazji zahaczając o jego kostki. Teraz obaj wili się po ziemi, ale to Jeleń był bardziej zaskoczony. Tennok znalazł się nad nim, wbił mu łokieć w grdykę, unieruchomił ramiona.

- Poddaj się! - wycharczał.

Jeleń wbił w niego zaskoczony, zirytowany wzrok i Tennok uświadomił sobie z niepokojem, że sukinsyn się go nie boi i że to wcale nie koniec. W tym momencie wróg oswobodził lewą dłoń, tę, w której nie miał miecza. Wystrzeliła w górę i wczepiła się w twarz Tennoka, ledwo omijając oczy.

Nagły ból odebrał mu rozum. Zaczął bić pięścią w wykrzywioną, oszukańczą gębę. Uderzał z góry jak młotkiem, aż rozboleły go ręce. Trybuny nagle ucichły, nikt nie wznosił okrzyków ani przekleństw. Tennok odchylił głowę i zaczerpnął powietrza, gotów wydać swój zwycięski okrzyk. Wtedy poczuł spływające po twarzy stróżki.

- Przecież ja nie płacę - wyszeptał i spostrzegł, że to krew. Jego własna, czerwona czerwona. Krew. Taka jaskrawa i jasna.

Ciało Tennoka przeszedł gwałtowny prąd. Puścił przeciwnika

i zwałił się na arenę jak rażony trującą strzałą.

Jak zawsze przy tych prawie epileptycznych atakach, chłopak w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Łapał powietrze zaślinionymi ustami jak miękka, bezbronna ryba wyrzucona na zabójczy brzeg. Nie mógł drgnąć, nie mógł się bronić, nie mógł wstać. Mógł dostać kopniaka w brzuch.

Osiem Jeleń to właśnie zrobił, gdy tylko stanął na nogi. Twarz miał spuchniętą, złamany nos sikał krwią. Wyglądał gorzej niż jego przeciwnik, gorzej niż ktokolwiek powinien wyglądać na tych czysto sportowych zawodach.

Tennok powoli wracał do siebie. Dźwignął się ciężko na łokciach, ale pozostał na klęczkach, zastygły w niemym stuporze, jak pokorny suplikant w świątyni. Jeleń splunął i zamachnął się drewnianym mieczem, gotowy roztrzaskać młodemu Kruzowi głowę.

- Dość! - ostry krzyk Maczuraia chlasnął powietrze jak bicz.

Cios zatrzymał się. Nawet ptaki zamierały w locie, słysząc głos tego człowieka, a psy wstrzymywały mocz. Maczurai powiódł po zebranych spojrzeniem spod spuchniętych powiek, jednocześnie grożąc i obiecując coś starszyźnie rywalizującego klanu, ucinając śmichy-chichy i gwizdy. Gdy zatrzymał wzrok na synu, jego głos dosłownie ociekał wzdargą.

- Zwycięstwo należy do Spopielonych Serc. Turkusowa Włócznia przegrała. Znowu.

*

Tydzień później Maczurai wysłuchał raportu astrologa i uroczyste zażądał misy i świętych narzędzi. Od kilku dni członkowie i klienci rodu zastanawiali się, w jaki sposób ukarze swojego następcę. Nawet nie chodziło o to, że został upokorzony i to go rozczarowało. Niepowodzenia Tennoka nikogo nie dziwiły. Chłopak był pechowcem, niektórzy takimi się rodzą. Wielu liczyło na to, że jakiś nieszczęśliwy wypadek wyeliminuje go z wyścigu o sukcesję. Od początku był bowiem czarnym koniem i fuksem w tej grze. Wysunął się na prowadzenie, gdy jego starsi, urodzeni z innej matki bracia

umarli podczas epidemii obozowej czerwoni, gdzieś w lasach przy granicy z Tikal. Wielu podejrzewało, że to ludzie Irdany maczali palce w tej śmierci.

W ramach ustalania nowej hierarchii doszło wtedy do krwawego pałacowego przewrotu, a Tennok ocalał dzięki odrobinie szczęścia i determinacji jego matki. Ale na tym skończyła się jego szczęśliwa passa.

Chłopak mdlał. Zawodził w każdej sytuacji, która była sprawdzianem dla prawdziwych Kruzów. Nikt nie chciał służyć pod przywódca pozbawionym odwagi i szczęścia. Tylko Maczurai, który spędził ostatnie lata na wojnach, mógł się dziwić tchórzliwą postawą syna. Jednak jego decyzja była zaskakująco łagodna.

Zamiast uśmiercić Tennoka, co byłoby pewną przesadą, lub wypędzić, do czego miał święte prawo, nieoczekiwanie okazał mu łaskę.

Nakazał synowi przystąpić do Szarumnah, tradycyjnego łowieckiego obrzędu, który czynił z młodzieńca mężczyznę. Może żałował, że nie zajmował się chłopakiem i pozwolił mu wyrosnąć na mazgaja?

- Chcę wreszcie zobaczyć, jak zabijasz. Nie na niby, bez tępych mieczy i tego całego gówna. Bogowie spragnieni są krwi, rozumiesz to, chłopcze? - warknął, jakby ten chudy dzieciak z opuchniętą twarzą, który kulił się u stóp zdobionego tronu, nie zasługiwał na nazwanie synem.

Przyboczny kapłan Tezcatlipoki, imperialnego boga wojny zwycięstwa i ciemności spadającej na wroga, pojawił się z zielonym, jadeitowym szpikulcem. Wymuskani paniczycy z stolicy używali delikatniejszych przyrządów, prawie szpilek, ale Maczurai był człowiekiem starej daty. Dwa razy Przechadzał się w Skórze, w uświęconej służbie Huitzilopochtli i Szipe Toteka wyrywał z ciał jeńców dymiące, chlapiące krwią serca. Był też równie pobożny, jak odważny, dlatego odsunął na bok szpikulce i poprosił o kolczasty łańcuch.

Przez tłum jego zbrojnych, popleczników i dworzan przeszedł szmer. Część kobiet jęknęła ale niektóre - znudzone rozpustnice, których mężowie walczyli na Północy i w Tlaszkali,

a także co odważniejsze panny na wydaniu - z ciekawością wygięły szyje.

Dla Kruzów Drogocenna Woda była nie tylko świętą esencją życia, lecz także kwintesencją piękna, za której widokiem tęsknili. Podczas świąt, hołdów i publicznego składania obietnic możni regularnie ofiarowali bogom krew z wrażliwych na ból miejsc, które zwykle pozostawały ukryte. Niejeden szlachcic miał kutasa podziurawionego niczym gliniana fujarka, aż dziw, że z burdeli nie dobiegały nocami skoczne melodie. Ale najboleśniej, najszlachetniejszym, a przy tym dobrze ukrwionym fragmentem ciała był język. Właśnie w to miejsce Maczurai wbił ostry kolec przytwierdzony do sznura.

Przeciagnął go wyćwiczonym ruchem, zaciskając kłyckie na śliskim sznurze. Każda z czerwonych kropel karmiła i radowała bogów, odsuwając zwycięstwo ciemności.

Zapał przywódcy udzielił się zebranim. Kapłani i wojownicy również sięgali po kolce. Kobiety drapały sobie policzki albo, w przypadku niektórych bogatych dam, kazały kaleczyć się *ursom*. Podobnie czynili kupcy. Jakiś tłusty nuworysz ostentacyjnie poderżnął swojemu gardło, niewolnik wyzionął ducha, kopiąc nogami posadzkę, na której jego krwawy ślad rozrysował złowrogie desenie bólu. Zasługa za życie *ursa* spływała na jego właściciela, ale tylko nieliczni mogli sobie pozwolić na taką rozrzutność. Większość szlachetnie urodzonych wojowników, którym zawsze brakowało pieniędzy, wolała upuszczać własną krew. Zastępstwo przez specjalnego niewolnika zawsze było kuszące i zawsze dało się usprawiedliwić ślubami, postami albo chwilową nieczystością rytualną, spowodowaną złamaniem tabu. Mimo to wysługiwanie się nimi nie było dobrze widziane. Zwłaszcza gdy trzeba było publicznie zadeklarować oddanie, zaangażowanie i wierność.

Tennok stał pośród tej krwawej burzy z szeroko otwartymi oczami.

Jego umysł nie rejestrował i nie przetrwał obrazów, pozwalając im przepływać po samej powierzchni świadomości, jak plamy oleju w rynsztoku. Już w dzieciństwie nauczył się

wyłączać wzrok i patrzeć, pozostając ślepy. Potrafił też zachować niewzruszony wyraz twarzy. Liczne katastrofy wynikłe z okazywania uczuć nauczyły go, że lepiej nie okazywać ich wcale. Albo szybko zastępować innymi, tasować je niczym karty. Coś ciepłego kapnęło mu na policzek i chłopak wyobraził sobie, że to wiosenny deszczyk. Albo pocałunek dziewczyny.

Dziś szkarłatny kwiat rozkwitał na jego cześć. Wszyscy słudzy ojca przyjmowali jego udział w Szarumnah jako powód do radości. Było to irytujące i w jakiś sposób bezprawne.

Przecież to on, a nie przymilni dworacy, pochlebcy i głupcy, miał wejść w nową życiową rolę, do której zupełnie się nie nadawał. To on, nie ta zgraja darmozjadów i błaznów, był tym śmiertelnie przerażony. Gdy Maczurai oznajmił mu, że przystąpi do obrzędu i zostanie młodym wojownikiem, Tennok wiedział, że nie może do tego dopuścić.

- Nie - odezwał się spokojnie do ojca, który drgnął, jakby uderzono go w twarz.

Po zebranych, od strażników po niewolników i poganiaczy, przeszedł zdumiony szmer. Szarumnah, łowy na święte zwierzęta Yugał, podczas których synowie panujących rodzin potwierdzali przynależność do kasty wojowników, było obowiązkiem wszystkich szlachciców. Zwłaszcza tych, którzy stali w długiej kolejce do tronu. Zwłaszcza tych, nad którymi władzę sprawował Maczurai.

Ojciec Tennoka poczerwieniał jak purpurowe kakadu. Zacisnął wielkie, usiane bliznami dłonie na oparciu tronu i uśmiechnął się z wysiłkiem. Spiłowane zęby błysnęły w ciemnej twarzy, nozdrza w smętnej ruinie nosa rozszerzyły się jak u łapiącego trop wilka. Trudno było uwierzyć, że ten oszpecony, okaleczony mężczyzna był kiedyś idolem tłumów.

Jak każdy furiat, Maczurai wierzył w samodoskonalenie. Uważał się za człowieka, który zawsze nad sobą panuje... jeśli chce. Na nieszczęście poddanych i krewnych nieczęsto znajdował ku temu powody.

Od czasu gdy rana wojenna - ponoć zadana przez własnego, zbuntowanego żołnierza - przerwała mu karierę bożyszczka tłumów, Maczurai stał się praktykującym mizantropem. Bo

ludzie, te same stołeczne tłumy, których hołdy latami przyjmował, o których poklask zabiegał i których namiętnościami się sycił, odtrącili go.

Maczurai nie potrafił tego zrozumieć. Nie stracił przecież odwagi, zręczności i siły ani morderczego kunsztu. Przeklęty barbarzyński śmieć, tyłający się w błocie Druazzi, dodał mu raptem kolejną wojenną bliznę! Nadal mógł walczyć z najlepszymi wojownikami spośród pojmanyh przez Kruzów jeńców, udowodniać całemu światu dominację i prymat ich plemienia.

A że jego twarz nie była teraz kompletna? Nosem nie trzyma się miecza, nie jest także niezbędny przy wykonywaniu uników. Jednak to oszpecenie sprawiło, że specjaliści od wielkich widowisk, organizatorzy świątecznych igrzysk i rzezi, przestali go na nie zapraszać. Podobno widok jego beznosej twarzy straszyl dzieci bardziej niż obdzieranie ze skóry. Jak ujął to jeden z kapłanów, w wielkich widowiskach nie chodziło tylko o zabijanie. Liczyło się też, kto zabija. A ludzie chcieli widzieć w czempionach z areny doskonałość. Ucieleśnienie kruzańskich cnót oraz własnego narcyzmu, potęgę Głodnego Słońca. Czy ktoś słyszał, żeby heros solarny miał skazę?

Tennok doszedł do wniosku, że przykre zdarzenie sprzed lat było dla ojca ważne, bo pozwoliło mu raz na zawsze usprawiedliwić brak hamulców i wrodzoną skłonność do okrucieństwa. Maczurai narzekał, że postradał węch i że ze zmiażdżonym nosem wygląda jak trędowaty potwór. Robił też wszystko, by nadgonić odstręczający wygląd czynami.

Czasami z okrutnym uśmiechem wsłuchiwał się w nieludzkie wrzaski, upiorną muzykę Dołów. W inne dni krążył po pałacowych komnatach, łypiąc przekrwionymi oczami w poszukiwaniu kogoś, na kim można by wyładować wściekłość. Cierpienie nie zmieniło go na lepsze.

- W Dzień Przejścia pójdziesz nad rzekę Mys jak każdy i zabijesz swoje pierwsze zwierzę - rozkazał i splunął krwią do podsuniętej przez kapłana misy.

Nie obchodziło go, że jego syn nienawidził polować. Po kompromitującej porażce na arenie Maczurai musiał pokazać

stronnikom klanu, że jego oficjalny następca jest coś Oczywiście, ten dureń nie rozumiał tego. Szczeniak był strasznie uparty. Zupełnie jak jego matka, pomyślał wódz, spoglądając na syna niechętnie.

Wielka sala pełna była pierzastych płaszczy, kaftanów z barwnej bawełny i lamparcich futer. Nie brakowało migoczących ozdób, turkusów i jadeitu, którymi pobrzękiwali dworzanie i możni. Na tym tle ubrany w skromną tunikę chłopak wyróżniał się jak nieoszlifowany diament rzucony na kupkę błyskotek. A może: nieoszlifowany kawałek węgla.

Mimo wszystko Tennok miał w sobie coś, co przykuwało uwagę i zjednywało mu ludzi. Rodzaj uroku czy wdzięku. Nawet tyle irytowało jego ojca. To było cherlawe szczenię, a uroda jest dobra dla kobiet. Wprawdzie przekłete pedały z Tollan, kapłani i zarządcy areny zdawali się myśleć inaczej, lecz Maczurai na nich srał. Nigdy nie zakrywał swoich blizn. Strach w oczach głupców przypominał mu, jak bardzo ich nienawidzi.

Uroda to tylko mamidło. Nie pomoże na wojnie, pomyślał wódz i podrapał się po barku poszarpanym rytualnymi szramami. Prawdziwy mężczyzna poświęca wiele pieniędzy i czasu, żeby wyglądać groźnie. Ten gówniarz nie dał sobie nawet spiłować zębów na siódme urodziny i wyglądał przez to wciąż delikatnie i miękko, jak męska dziwka z Tollan. Dobrze, że nie miał cycków.

Pamiętał, że szczeniak urodził się już chorowity i zawsze były z nim kłopoty. Gdyby tylko Cohtemoc i Valapuri nie zmarli podczas tamtej kampanii. Wprawdzie to samo choróbsko dorwało Starego Księcia i pozwoliło Maczuraiowi wreszcie rozwinąć skrzydła, ale wciąż brakowało mu jego kochanych chłopaków. Od ich śmierci minęło już dziesięć lat a generał wciąż nie mógł się przekonać do swojego nowego dziedzica.

Rok temu Irdana posiała Tennoka w góry, do krewnych matki. Podobno to górskie powietrze wykurowało mu płuca, szkoda, że nie wyleczyło mu także serca i jaj. Jego syn wciąż był chuderlawym mięczakiem, mimo że nieźle biegał i potrafił strzelać z łuku. Klęska na arenie tylko to potwierdzała. Maczurai obserwował go dzisiaj podczas porannych ćwiczeń,

pozostając w ukrytym pomieszczeniu. Widział, jak od niechcienia napina łuk i zwalnia cięciwę - świetny strzał, on sam nie był tak dobry w jego wieku.

I nic, wszystko na nic. Chłopak odłożył łuk z równie znudzoną miną, jakby to zajęcie było niegodne jego czasu. Podobnie jak wszystko inne.

- Nie będę polował. To wszystko - cicho powtórzył Tennok.

Miał jednak jaja, to trzeba mu przyznać. Stoi sobie, niby pokorny i grzeczny, ugina się spłoszony, ale zdania nie zmienia. Przez moment Maczurai poczuł się dumny z syna, ale gniew, który towarzyszył mu zawsze, rozgonił tę odrobinę uznania. Skinął na sługę, który podał bicz.

Na twarzy Tennoka nie drgnął nawet jeden mięsień. To była próba sił i często się tak bawili. Trzeba powiedzieć, że testowanie cierpliwości ojca przychodziło chłopakowi dość łatwo. Jego krew była zbyt cenna, by przelewać ją przy byle skarceniu. Od tego miał *ursów*. Obecny nazywał się Sippo i był rówieśnikiem Tennoka. Blizny po ostatniej chłości jeszcze się nie zrosły i przecinały jego plecy i uda. Najgrubsza szrama powstała, gdy rzemień kańczuga dwa razy trafił w to samo miejsce. W dalszym ciągu ropiała i wydzieliała słodką woń zgnilizny.

Wtedy zdarzyło się coś niespotykanego. W akcie desperacji, a może porywającego umysł szaleństwa, niewolnik ośmielił się podnieść wzrok i zerknąć na gniewną twarz Maczuraia. Wojownik wyglądał jak Ughu, Pan Śmierci i Czarnej Wojny. Giał w dłoni drzewce ciężkiego, owiniętego skórą bicza, jakby to była trzcinka. *Urs* zatrzymał się, stopy wrosły mu w pałacową posadzkę. Co jest lepsze? Rozdrażnić drania do tego stopnia, że go po prostu zabije, kończąc to piekło, czy zacisnąć zęby i przetrwać kolejny dzień, nieważne jak podły i pełen udreki?

Ciało zdecydowało za niego. Chciało żyć, nie bacząc na cenę. Kiedy *urs* podszedł do tronu, był już ucieleśnioną pokorą. Gniew Maczuraia ulotnił się tak łatwo, jak się pojawił, zostawiając go w stanie lekkiego oszołomienia. Maczurai czuł się podobnie, gdy posiadał żonę któregoś ze swoich dworzan,

łamiąc opór kobiety i upajając się gwałtem. Po osiągnięciu celu zawsze czuł zakłopotanie.

Generał bez przekonania zamachnął się biczem. Sippo zasłonił twarz i rzemień przeciął mu skórę przedramienia. *Urs* upadł, ale nie wydał żadnego dźwięku. Odezwał się za to Tennok, który podbiegł do ojca i złapał go za lamparci płaszcz.

- Już wystarczy. Pójdę na łowy, jak każesz.

Chłopak podniósł swojego *ursa*, który poczekał na zirytowany gest władcy i oddalił się, znacząc posadzkę kroplami krwi. Maczurai stał w milczeniu, targany sprzecznymi emocjami. Cieszył się, że przekonał smarkacza. W końcu ktoś musi go wychować, do diabła! Ale wcale nie podobało mu się, że do zmiany decyzji skłoniła go litość. Szczeniak zbyt łatwo przywiązywał się do *ursów*. W ten sposób nie można walczyć ani władać.

Miękkie serce jest dobre. Ale na półmisku, wyrwane z piersi wroga. Tak głosiło popularne przysłowie Kruzów.

Wychowawca Tennoka, Cahuotl, zdziwił się bardzo, kiedy jego podopieczny podjął przerwane lekcje szermierki. Chłopak skupił się na ćwiczeniach, rozwijając w sobie wojowniczego ducha. Usiłował nie myśleć o czekającej go ceremonii' Dziś obserwował tłustego psa, który skomląc, czołgał się po kamiennej posadzce, wzbogacając czerwienią zielono-niebieski deseń jadeitu i lapis lazuli. Cahuotl, weteran wielu wypraw wojennych, pouczał go cierpliwie.

- Nie sztuka zabić, jeżeli uszkodzisz serce lub mózg. Dlatego nie celowałem w korpus, lecz okaleczyłem kończyny. Zawsze zaczynamy od ścięgien. I dopiero teraz uderzam tu. - Koniec miecza opadł na łeb zwierzęcia, które znieruchomiało. - Ogłuszam wroga i żywego zabieram do miasta. A teraz techniki bez broni. Przyda ci się to w obozie, przy pilnowaniu więźniów. Łachudry miewają różne pomysły, a nie zawsze człowiek ma w rękę miecz, choć oczywiście powinien. Głowa, spłot słoneczny, kolana. Unieruchomienie. Rozbrojenie. Opanowanie. Tylko tchórz traci nad sobą kontrolę i z lęku zabija wroga. Pamiętaj, pozycji nie zaskarbi ci pochodzenie, bogactwo ani gadanina. Musisz zdobywać jeńców. A teraz oskóruj go. No, szybko,

dopóki wciąż żyje.

Tennok zamrugał.

- Źle się czuję - wymamrotał. Odbiegł, żegnany zdziwionymi spojrzeniami.

Schodami dotarł do swej komnaty, której wesole, zielono-niebieskie ściany tylko spotęgowały mdłości. Ledwo zdążył zwymiotować do kamiennej misy. To i tak postęp, kiedyś po prostu by zemdlął.

Był na siebie zły.

Zawsze starał się unikać takich kompromitacji. Wciąż trzymał miecz ćwiczebny z rękojeścią zaopatrzoną w rzemienną pętlę. Podrzucił go bez przekonania. Był to piękny przedmiot, z dębowego drewna sprowadzonego z wilgotnych lasów Północnego Zachodu. Wystające po bokach ostrza zrobiono z przedniego obsydianu, a miękki, szlachetny rzemień na pewno nie pochodził ze skóry innej niż ludzka. Także w najlepszym gatunku.

Przesunął palcem po rzemyku. Pomyślał o futrze zwierzęca, które trener poszatkował dla niego na lekcji, i gwałtownie zwymiotował żółcią. Otarł usta i ponuro zapatrzył się w misę.

Służyła do upuszczania krwi, a na dnie leżała kula ze zgniecionego papieru. W domach pobożnych, dobrze urodzonych Kruzów był to powszechnie spotykany zestaw, coś w rodzaju modlitewnika, różańca lub poduszki do medytacji. Ich religia najbardziej ceniła uroczystości zbiorowe. Ale istniały też rytuały, które odbywano w zaciszu czterech ścian, sam na sam z bóstwami.

Właśnie taka była domowa ofiara z krwi. Upuszczona, wsiąkała w papier i stawała się kadzidłem, które podpalano, oferując dym bóstwom. Nie chodziło o ból, lecz o krew, bezcenny pokarm bogów, dający im siłę do podtrzymywania świata. O wartości człowieka stanowiło to, jak znosił pozyskiwanie substancji, ważna była stojąca za krwawym upustem intencja. W przypadku Tennoka wartość takowej była bardzo, ale to bardzo niewielka. On mógł dać bogom jedynie ofiarę strachu i wstrętu.

Pomieszczenie opanował kwaśny smród. Klnąc pod nosem,

chłopak podszedł z naczyniem do okna i chlusnął zawartością na zewnątrz. Jego komnata wznosiła się nad pałacowym ogrodem, w którym uprawiano pomidory, ziemniaki i fasolę, co teoretycznie miało zapewnić Turkusowej Włóczni samowystarczalność na wypadek oblężenia. Na razie ogród zapewniał samowystarczalność Tennokowi, który z upodobaniem zraszał go różnymi płynami. Wizja Maczuraia zjadającego warzywa podlane jego szczynami stanowiła jakieś zadośćuczynienie. Czasami miał szczęście i oblewał przy tym starego ogrodnika, Gdulę, który podskakiwał jak rozjuszony indor.

Było cicho, tylko od strony Dołów dobiegało stłumione wycie. Tennok wzdrygnął się, po krzyżu przeszedł mu zimny dreszcz. Nienawidził Dołów, które były bardzo, ale to bardzo w stylu jego ojca. Tylko naprawdę potężny człowiek ma własną namiastkę piekła.

Inne kruzańskie rody słynęły z bogactwa, urody swoich kobiet albo przepychu rezydencji. Siłą Turkusowej Włóczni był strach, a źródłem tego strachu okrucieństwo i bezwzględność Maczuraia.

Kiedyś znajdowała się tam stara, opuszczona kopalnia złota, kruszcu, który w dawnych czasach znajdował zastosowanie w rzemiośle artystycznym i zdobnictwie, choć nie zbliżał się nawet do popularności piór, turkusów i jadeitu. Tak było w zamierzchłych czasach. Dziś złoto kojarzyło się przede wszystkim z Białoskórymi i ich zagadkowym szaleństwem. Najeźdźcy mieli obsesję na punkcie tego miękkiego metalu, choć sami przywieźli ze sobą zza morza znacznie trwalsze i bardziej zabójcze kruszce. Po Klątwie i wypędzeniu obcych złoto zostało oficjalnie zakazane, podobnie jak żelazo, stal, konie, proch i inne zamorskie osobliwości. Kopalnie klanu Turkusowej Włóczni przestały być cokolwiek warte i kilka pokoleń używało ich do składowania śmieci. Aż do momentu, kiedy dziad Maczuraia założył tu ciężkie więzienie.

To wtedy na powierzchnię zaczęły docierać pogłoski o zjadaczach: *hikku'tai* i gorszych stworach. Na początku panowania Quinzina miało miejsce przypadkowe odkrycie.

Cieężko chory, umierający na gruźlicę więzień został opuszczony w jednym z odległych kopalnianych chodników. Powrócił uzdrowiony, z rękami umazanymi dziwnym, żółtawym osadom. Okazało się, że w starej kopalni znaleźć można kopal, skamieniałą, aromatyczną żywicę, którą już dawni Olmeci i Toltekowie stosowali w jubilerstwie, wyrobie kadzideł czy produkcji werniksów do utrwalania obrazów. Ale kopal spod Yugal był inny.

Okazało się, że część złóż uległa wtórnemu skropleniu: Poza bryłkami kopalu znajdowano coraz więcej płynnej żywicy. Nasączone nią sterty piachu i kawałki porowatych skał wydobywano teraz na powierzchnię. Żywicę dawało się potem wypłukać i oddzielić od żwiru, choć było to dużo bardziej kosztowne i pracochłonne niż zbieranie stałego kopalu. Wichrzyciele i malkontenci narzekali, że rzeka Mys stała się od tego jeszcze mętniejsza. Dopiero w ostatnich latach zam nia od Quinatza sprawiły, że płukanie zrobiło się opłacalne.

Z początku *braazatal* był tylko kosztownym i ekskluzywnym kadzidłem. Później okazało się jednak, jakie ma jeszcze właściwości. Znaleźisko zainteresowało bowiem miejscowego kapłana, człowieka z zacięciem badawczym, który zakupił od nadzorców próbki i przeprowadził serię eksperymentów. Ich rezultaty zostały objęte tajemnicą, a samego badacza, po tym jak udał się ze swoimi rewelacjami do stolicy, ciepło powitano w Czerwonej Świątyni i zamurowano w specjalnej celi dla szczególnie zdeterminowanych pustelników. Podobno poprosił też o odjęcie sobie języka i rąk.

Imperium Kruzów nigdy nie sprzyjało nauce, którą postrzegano jako haniebny, niktzemny relik, pozostawiony przez obmierzłych Białoskórych. W normalnych okolicznościach cenzorzy Szurukana zakupiliby trochę kopalu do wyrobu kadzideł, po czym o całej sprawie szybko by zapomniano.

O yugalskiej substancji dowiedział się jednak młody imperator Quinatzi i w Tollan zawrzało.

To właśnie z powodu *braazatalu tlatoani* po raz pierwszy

otwarciu sprzeciwił się Szurukanowi. W ramach kompromisu z Czerwonym kapłanem ustalono, że specyfik nie zostanie dopuszczony do powszechnej sprzedaży, dystrybucja ograniczy się zaś do wąskiego kręgu wybrańców.

Tlatoani udostępnił nowy surowiec uczyonym. Okazało się, że substancja nie poddaje się prawom natury i wypacza otoczenie w niepokojący sposób. Szeptano, że kopal i żywica z Yugal są „kameleonem przyrody” i wchodzą w obiecujące reakcje z innymi składnikami.

Pojawiły się też pogłoski o skutkach ubocznych zażywania specyfiku, wypadaniu zębów, wysychaniu oczu i wyczerpaniu zmysłów. Skutecznie studziło to zapędy ciekawskich i ograniczyło popyt na czarnym rynku. Największym zagranicznym nabywcą okazali się kupcy z imperium Inka. Nie było to zaskakujące, jako że elitę tego dziwnego kraju stanowiły starożytne mumie, a nowy smar, jak krążyły pogłoski, skutecznie hamował ich rozkład. Pojawiły się plotki, że *braazatal* potrafił odroczyć śmierć.

Od tamtej pory Doły stały się cenne. Niestety, dawna kopalnia zdążyła już pozyskać niechcianą sławę więzienia i miejsca kaźni. Maczurai postanowił ewakuować stamtąd więźniów i wprowadził do kopalni wojsko. Na miejscu okazało się jednak, że wszyscy więźniowie nie żyją, a zabłąkani i odłączający się od grupy żołnierze są atakowani przez istoty, w których zakłopotani kapłani rozpoznali legendarnych i ponoć dawno wymarłych zjadaczy. Nie trzeba dodawać, że mieszkańcy Yugal nie chcieli pracować jako górnicy w tej podziemnej rzeźni. Nawet głodujący w swych martwych lasach Druazzi nie palili się do schodzenia pod ziemię. Choć pierwsza partia górników rekrutowała się właśnie spośród zdesperowanych odejściem zwierzyny dzikusów.

Druazzi wydobyli partię kopalu, sami ginęli jednak jak muchy. Okazali się jednak lepszymi wojownikami niż zwykli skazańcy: drobne złodziejaski, sodomici, agitatorzy, bluźniercy i oszuści podatkwowi. Byli także niezwykle uparci. Zdołali ustrzelić kilku zjadaczy, a ciało jednego z nich wystawili na widok publiczny na głównym placu Dolnego Miasta. Oznajmili też, że za służbę

w podziemiach należy im się żołąd jak podczas wyprawy wojennej.

Maczurai miał lepszy pomysł.

Wynagrodził niedobitków sówicie i dopilnował, żeby żaden z nich nie wyszedł żywy z pożegnalnej biesiady na ich cześć. Potem stworzył system, który pomnożył bogactwo Turkusowej Włóczni i funkcjonował do dziś. Kopalnia pozostała więzieniem, ale teraz zsyłano do niej skazańców z całego imperium. Utrzymanie więźniów wypadło tanio, gdyż większość z nich nie wytrzymała pod ziemią tygodnia.

Osadzeni byli zobowiązani wydobyć określoną ilość substancji w zamian za dostarczane do Dołów jedzenie i wodę. Maczurai lubił jasne, uczciwe sytuacje. Coś za coś, nie jesteśmy rabusiami, powtarzał. Chleb za uczciwą pracę. Uciezki prawie się nie zdarzały, a głód motywował lepiej niż bicz, choć, jak można mniemać, przedłużanie upiornej egzystencji nie było szczególnie rozsądne. Niektórzy twierdzili, że więźniowie zaczęli spożywać *braazatal*, który dodawał im siłę.

Średnio co dziesięć lat wydajność kopalni spadała. Po kilku latach nawet ci, którzy zdołali się uchronić pod ziemią, byli zbyt zezwierzęceni i oszaleli, by efektywnie pracować. Przybywało agresywnych szaleńców, morderców i kanibali, którzy skutecznie eliminowali nowych, silnych i zdrowych więźniów, potencjalnych znakomitych pracowników. Wtedy Maczurai przeprowadzał czystkę. Polegała na wstrzymaniu skazańcom pokarmu. Dzięki temu po kilku tygodniach ginęli też kanibale. Nowi jeńcy lądowali w oczyszczonej, gotowej na ich przyjęcie kopalni i cały ohydny cykl zaczynał się od początku. Największe zyski czerpano w pierwszym, góra drugim roku. Mniej więcej tyle czasu zajmowała niewolnikom całkowita utrata nadziei. I znowu przychodził czas czystki.

Tennok często zastanawiał się, czy będąc na miejscu ojca, zamknąłby kopalnię. Kiedyś był pewien, że tak. Ostatnio dotarło od niego, że jego klan jest powszechnie znienawidzony, a utrata dochodów tylko zachęcałaby inne rodziny do zemsty. W pewnym sensie także byli więźniami, jeńcami minionych czynów. Ale na pewno by sprawił, żeby to przekłete

oczyszczanie trwało krócej. Inżynierowie z pewnością znaleźliby jakiś sposób. Mogliby przekopać tunel i zalać kopalnię wodą, potopić tych biednych skurwieli. Przynajmniej mieliby szybką śmierć, mniej uciążliwą dla innych. Poprzednia kara ciągnęła się tygodniami i skutecznie zatrąla życie wszystkim mieszkańcom pałacu.

Zignorował wrzaski i głęboko odetchnął parnym, nagrzanym powietrzem. Pachniało nadchodzącą burzą. Rozluźniony, wyciągnął się na materacu z bawełny.

Wiedział, że nie grozi mu nic poza publicznym upokorzeniem i ściągnięciem hańby na jego rodzinę. Do tego był już przyzwyczajony. Gdyby nie Sippo, nie przejąłby się ceremonią. Czuł jednak, że Maczurai nie odpuści i bał się kary, jaką zapłaci za niego *urs*. Wódz Turkusowej Włóczni rozgrywał teraz swoją życiową partię. Miał szansę zostać nowym yugalskim księciem, ale mógł też doczekać się hańby, wyniesienia rywala z wrogiego klanu. Wzmocnione Spopielone Serca z pewnością szukałyby odwetu na swoich starych wrogach. Tennok i Sippo stali się teraz pionkami generała, który nigdy nie lubił przegrywać.

Jednak sukces także nie był dla Tennoka korzystną opcją. Gdyby okazał się dzielny, bitny i odważny, ojciec mógłby w niego wreszcie uwierzyć. Wtedy musiałby wziąć udział w wojnie, ruszyć na górskie twierdze Tlaszkałan albo odpierać szarżę koczowników.

Dobrze jednak wiedział, jaki los czeka jeńców wojennych i na samą myśl o takim losie tracił oddech. Był tchórzem, a może czymś znacznie gorszym. Kimś słabym. Jego omdlenia miały więcej wspólnego z litością i współczuciem, niż był skłonny przyznać. Są to uczucia wrodzone większości ludzi, która uczy się, jak ograniczać je do minimum, kręgu rodziny, przyjaciół i krewnych. Tennok nie wiedział nawet, jak takie rzeczy nazwać. Niczym zwierzę, które nie widzi drapieżnika, a tylko cień sunący po pniu drzewa, wyczuwał jedynie zakłopotanie, niechęć i gniew, które zastępowały uczucia. Same płetwy ukrytych rekinów.

Znał obrazkowe glyfy kapłanów, symbolikę klejnotów i piór, a

nawet węzełkowe traktaty z krajów za Przesmykiem. W kwestii emocji był jednak wtórnym analfabetą, jedynymi uczuciami które w jakiejś mierze rozumiał, były strach, dojmujący wstręt lub skupiona na sobie rozpacz. Przecież nawet Sippo, pogardzany przez wszystkich niewolnik, traktował go znacznie lepiej niż rodzony ojciec! Poza odrazą i strachem Tennok nie znał także innych, nawet najprostszych emocji. Nie umiał ich przeżywać ani tym bardziej wyrażać. Pulsowały głębiej, zagłuszone rozgdakany umysłem, który stał się dlań przeciążoną, nadmiernie eksploatowaną proteżą.

Tennok kochał matkę, lecz Irdana nie stawała nigdy w jego obronie. Czasem myślał, że ojciec chętniej widziałby go okaleczonym niż słabym. Dobry Kruz musiał być twardy, zwłaszcza gdy znajdował się na górnych szczeblach; hierarchii. Miał robić, co do niego należy, i nigdy nie pytać o sens.

Tennok był inny. Wciąż szukał w tym wszystkim sensu, choć wiedział, że gdy zbyt wnikliwie drąży się takie tematy, człowiek zostaje z pustymi rękoma i wymiecioną duszą.

Z poczuciem, że równie dobrze mógłby odwrócić się twarzą do ściany i umrzeć. Robi się zgorzkniały.

A na to był jeszcze za młody. W dodatku na razie ominęła go cała zabawa.

Wyjrzał na korytarz i zaczął się obok schodów. Wiedział, że Salanthe po południu zbierała z pokojów zużytą pościel i odzież. Rzeczywiście, po chwili pojawiła się, ciemna i krągła, przygarbiona pod ciężarem wielkiego kosza. Pachniała praniem i trzcina.

Przechodząc, dziewczyna spojrzała na niego wielkimi, ciemnymi oczami sarny. Tennok już od kilku tygodni zauważał wymowne spojrzenia młodej służącej. Przy wszystkich najfantastyczniejszych, najbardziej wydumanych interpretacjach, ominął tę najbardziej prawdopodobną. Na co czekasz?, pytały jej oczy.

Zniknęła w jego komnacie. Z racjonalnego punktu widzenia było to przecież banalne. W końcu urodził się księciem, a ona służebną dziewczką. Nic prostszego, prawda? Ale Salanthe była śliczną, pełną werwy i temperamentu służką, a on, Tennok był

niezdarnym i tchórzliwym księciem. Skoro mdlał na widok zwyczajnej krwi, jak zachowałby się, gdyby zobaczył ją naga? Czuł, że nie zniósłby kolejnego upokorzenia i chyba właśnie dlatego niczego z nią nie próbował.

Nie chodziło tu o brak doświadczenia. Z technicznego punktu widzenia nie był już prawiczkim... chyba. W jego piętnaste urodziny Maczurai kazał przysłać do sypialni Tennoka dużo starszą i bardzo zdeterminowaną kobietę, która - jak uśmiechając się oblesnie, wyraził się Myngus, doradca ojca - „uczyni z niego mężczyznę”. Z tamtej nocy zapamiętał przede wszystkim jej katar. Musiała udawać zdrową, gdy przyszli po nią ludzie Maczuraia i potem, w zaciszu alkowy, kichała na niego z pasją. Tennok bał się, że ku rwa go czymś zarazi i oczywiście się skompromitował. W końcu, zirytowana, profesjonalistka oznajmiła mu, że jak się nie weźmie w garść to Maczurai za karę odrąbie jej głowę i zapytała, czy chciałby ją mieć na sumieniu. Po tej nocy Tennok na długo zapomniał o wszelkich amorach. I nawet nie znikły mu przyszcze.

Salanthe posłała łóżko i wyszła, obrzucając go na pożegnanie kolejnym wymownym spojrzeniem. Została po niej smużka zapachu mydlin i dziewczęcego potu oraz echo niewypowiedzianej kpiny. Czy była nr niego zła?

Zamyślony, zaczął chodzić od ściany do ściany, jak zwierzę w zbyt ciasnej klatce. Bohater powieści bez wahania wziąłby Salanthe do łóżka. Jej krnąbrne, nabite ciało, które Tennok podejrzwał kiedyś ukradkiem w łaźni parowej dla służby, było ciemne, kuszące jak słodka śliwka. Podobno dziewczyna pochodziła z plemienia Druazzi, które słynęło z hardego umiłowania wolności. Może zdołałaby nauczyć mnie, jak przestać się bać, pomyślał Tennok, przesuując po stole misę ofiarną na krew.

Czasami marzył, że wykrada Salanthe z pałacu i razem zbiegają do puszczy. Zostałby królem Druazzi i wszczął rewoltę przeciwko Odrodzonemu Przymierz! A później, gdy pobożni Kruzowie wyleją już z siebie całą krew, którą -wychłępcą żarłocznymi bogowie, jego Druazzi pozwolą ich wyniosłym pałacom zarosnąć. Do ich wspaniałych akweduktów i fontann

będą się zbliżać tylko wtedy, gdy zobaczą tam pijące jelenie.

Potem przypomniał sobie, że lasy wokół Yugał już dawno ogołocoło ze zwierzyny, a większość Druazzi głodowała, wędrując starymi szlakami, albo najmowała się do robót w mieście. Podobno sprzedawali już własne dzieci w niewolę, żeby zapewnić im wikt.

Jeśli Tennok chciał zakosztować ich puszczańskich swobód, musiał chyba przenieść się w czasie o tysiąc lat. Do poprzedniego Cyklu, gdy ludzie byli na tyle nieliczni, że nie zamienili swego życia w piekło.

I tak działo się zawsze. Każdy sposób na życie, jaki rozważał, okazywał się bzdurą lub żartem. Syn Maczuraia jasno wiedział, czego pod żadnym pozorem nie chce robić. Dużo gorzej było z opcjami na tak.

Medycy i kapłani także obcowali z cierpieniem, smrodem i krwią. Właściwie jedynym zawodem, jaki Tennok mógł i chciał wykonywać, było zajęcie wędrownego kupca. Handlarze nie celowali w świętym okrucieństwie, ale nie uznawano ich za tchórzy. Wędrowali przez ziemie barbarzyńców, przez Przesmyk do krain Inka, a także hen, poza północne pustynie, do kraju zachodnich puszczy, na bagniska wschodniego wybrzeża i bezkresne równiny, które przemierzały gigantyczne stada brodatego bydła. To było ciekawe życie. Z tego, co wiedział, kupcy nie polowali na jeńców, chociaż często rywalizowali z wojownikami o bogactwa i zaszczyty - jednocześnie starając się nie drażnić ich bogactwem.

Na dziś te plany były jednak mrzonką. Jutro rano cały klan Turkusowej Włóczni oraz przedstawiciele rywalizujących rodów Yugał zgromadzą się, by zobaczyć, jak dziedzic

Maczuraia zabija i pije krew. Jeżeli Tennok szybko czegoś nie wymyśli, beknie za niego Sippo. O wilku mowa.

Jego niewolnik pojawił się bezszelestnie. Mały *urs* łąził za Tennokiem jak pies, to było prawdziwe przywiązanie. Może dlatego, że on jeden go nie bił? Sippo niedawno skończył czternaście lat, ale nikt tego nie dostrzegł, a i on sam zapomniał o tym. *Ursowie* nie obchodzą urodzin. Chłopiec był

w dodatku przygarbiony i brzydki, co miało tę zaletę, że w jakiejś mierze uchroniło go od gwałtów.

Sippo patrzył na swojego pana z uśmiechem. Niezależnie od wrogości czy przyjaźni, ludzie zawsze odnosili się do niewolników z góry, z poczuciem, że los tych istot jest najnędnniejszy z nędznych. Ale wielu niewolników wcale tak nie myślało. Z ich życia znikł stres, związany z koniecznością podejmowania decyzji. Wbrew pozorom Sippo był szczęśliwszy od swego młodego pana, przede wszystkim dlatego, że nikt od niego niczego nie oczekiwał. On tylko zbierał za Tennoka baty. Ale rola *ursa* miała też swoje plusy. W tej służbie dostawał lepsze jedzenie. Mógł się pluskać w ogrodowych sadzawkach, a balwierz przycinał mu włosy i czyścił skórę z robactwa. To było dobre. Lubił też Tennoka, który był najłagodniejszym szlachcicem, jakiego spotkał. Nawet jeśli odziedziczył po ojcu gwałtowny temperament, udało mu się go okiełznać. Cóż, w konfrontacji z furią Maczuraia i tak nie miał szans.

Tak, jego pan naprawdę miał wiele problemów. Teraz ponuro wpatrywał się w kolec agawy i kamienną misę do upuszczania krwi.

- Nie potrafię, Sippo. Nie umiem się nawet pomodlić - Poskarżył się, odkładając kolec drżącą ręką.

Urs uśmiechnął się pocieszająco.

- Bogowie na pewno mają wobec ciebie jakiś plan, Szlachetny.

- Tak? Dadzą mi szansę się wykazać? Pokonując ogromne trudności? - zapytał Tennok ponuro. Wszystko, co wiązało się z bogami, stanowiło dla niego torturę. Niestety, w świecie Prawdziwych Ludzi wiązała się z nimi większość rzeczy.

Chłopak odchylił głowę i pozwolił myślom odpłynąć. Nie chciał pamiętać o Sippo i grożącej mu śmierci ani o gniewie Maczuraia.

Przygnębiony, poszedł zobaczyć się z matką. Jak zwykle towarzyszyli jej muzycy i tancerki, w komnacie wirowała chmara roziskrzonych kolibrów. Irdana była subtelna i wrażliwa, uwielbiała piękno. Na jego widok zasznurowała usta. Tennok stał przed nią i czekał cierpliwie, aż wypali się jej uraza.

Przynajmniej zewnętrzny naskórek.

- Znowu zmartwiłeś ojca - powiedziała.

Tennok pochylił głowę. Za każdym razem słyszał od matki to samo. Był jeszcze za młody, by pojąć, że kobieta walczy w ten sposób o życie swoje, jego samego i braci.

Odkąd jej uroda wyblakła, Maczurai skupił swą żądzę na młodszych żonach i prędzej czy później spróbuje jej się pozbyć. I może Tennoka także, jak tak dalej pójdzie. Dynastyczna stawka robiła się coraz wyższa. Mówiło się, że Spopielone Serca wysłały do Tollan poselstwo z darami. A jeśli to oni wygrają? Irdana stłumiła ukąszenie lęku, przywołała na twarz uśmiech. Chłopakowi trzeba czasem dodać otuchy.

- Cahuotl mówi, że dobrze ci idzie z włóczęgami. Ćwiczyłeś?

Dworka matki, Dyanna, z trudem powstrzymała śmiech.

Gdy upewniła się, że pani na nią nie patrzy, obciągnęła suknię, uwydatniając piersi. Biedaczek chodził strasznie napalony-To czasem bywało zabawne, a niewiele rzeczy ją bawiło w tej przeklętej rodzinie.

Tennok poczuł, że czerwienieją mu uszy, i podziękował bogom, że jeszcze nie odbył tej przeklętej ceremonii i nie przycięto mu włosów. Ćwiczył, a jakże. I przekupił Cahuotla, żeby szepnął matce to i owo. Przynajmniej tyle mógł zrobić. Gdy raz napomknął Irdanie, że mdli go na widok broni, rozpaczła, jakby słońce nagle runęło z nieba.

- Muszę już iść - powiedział.

Tak, twoja miłość jest silna, matko. Ludzie tak bardzo szanują miłość matki, ale trudno o mniej bezinteresowne i mniej zwierzęce uczucie. Każda matka to potwór, masz szczęście, gdy walczy po twojej stronie.

Oglądał dumną i okrutną linię jej podbródka. Skurcz zadźgniętych, pogardliwych ust. Stworzona, by rozkazywać i wymagać, ale niekoniecznie do tego, by odczuwać i wzbudzać cieplejsze ludzkie uczucia.

Trochę mu było jej żal. Irdana miała przecież tylko jego i nie było jej tego, kurwa, dość. Całe potężne i przejmujące uczucie, drzemające w jej trzewiach, cała ta wezbrana rzeka instynktu i namiętności, musiała skrócić swój swobodny bieg, ulokować się

w wąskim i zamulonym korycie ścieku o imieniu Tennok.

Tak, twoja miłość jest silna, mamó. Ale czy dość silna, by umościć się w takim plugawym naczyniu?

Czasem zastanawiał się, kim by został, gdyby Irdana była jeszcze silniejsza. Tak silna i uparta, jak jej tytaniczny mąż. Gdyby potrafiła się przeciwstawić Maczuraïowi i naprawdę otoczyć syna opieką jak niewzruszony sojusznik. Ale nie potrafiła. A Tennok potrzebował matki.

*

Te Matki nie miały dzieci. Przynajmniej nie miały własnych. Nazywano je tak, bo obejmowały swą miłością całe plemię. Jak każda matka, potrafiły też karać. Tennok słyszał o całych dynastiach zmiecionych z powierzchni ziemi przez potężne Matki z Tollan, stolicy Nowego Przymierza. W jego mieście nie darzono ich aż taką czcią. Yugal było starym grodem, opuszczonym przez wiele stuleci i ponownie zasiedlonym po Kłątwie, gdy Dolina Kruzów zamieniła się na wiele pokoleń w pustynię.

Kraina południowych łąsów miała własne duchy. Imperialny kult Tezcatlipoki oraz władza Matek nie przyjmowały się tu łatwo. Miejscowi nie mogli zapomnieć, że Tezcatlipoka był bogiem zmiany, ciemności i śmierci, wojny i czarnej magii. Że na jego kamienne posągi zakładano maski umierających i chorych. Był to jeden z tych bogów, których łatwiej się bać, niż kochać i których nikt nie chce w pobliżu. Ale to zakon Matek przyczynił się do zwycięstwa w Wielkiej Wojnie i wszędzie tam, gdzie trwał ład ustanowiony w tamtych dniach, pojawiały się i one.

Tennok rozsunał wilgotne, niewyprawione skóry, cuchnące ziemią i krwią. Komnata Matek leżała tak nisko we wnętrzu wzgórza, że było w niej wilgotno jak w norze Druazzi, Błotnistych czy innych dzikusów, mieszkających nad samą rzeką. Znalazł się w długim korytarzu. Na zwieszające się ze sklepienia gęste pajęczyny ktoś pieczołowicie nanizal szkielety myszy, kolibrów, pancerze owadów i migoczące łuski. Zagrały jak kastaniety, gdy przedzierał się przez szary korytarz w stronę

czerwonej poświaty.

To była obszerna komnata, pełna mrocznych zakamarków, gdzie kryły się cienie. Kobieta siedziała przy palenisku, odwrócona plecami do drzwi. Nad głową płonęły jej lampy z czerwonych czaszek, symbolizujące demoniczną naturę gwiazd, których panem był Tezcatlipoka. Dowodził tymi, którzy pożrą nas w dniu końca świata, pomyślał chłopak. Jego jedyną nadzieją był właśnie on, *Yaotl*, Wróg Obu Stron, znany też jako Nocny Wiatr oraz *Tlohue Nahaque*, Pan Tego, Co Dalekie i Bliskie.

Chłopak zadrżał.

Tezcatlipoka zawsze był bogiem sprzeczności, wyrażał morderczy chaos istnienia. Nie udawał, że jest wszechmocny i dobry, w istocie mając świat w dupie, jak wielu wszechmogących przed nim. Chociażby dobroczynni bogowie dawnych Azteków, tacy jak bóg życiodajnego deszczu Tlaloc, którzy milczeli, gdy przyplłynęli najeźdźcy. Dlatego to właśnie on zastąpił ich na szczytach panteonu. Tezcatlipoka był zawsze ambiwalentny, rozszczepiony. Mógł przywieść cię do obłędu i samozagłady, lecz mógł także przynieść odkupienie i spokój. Był mniej więcej tak przewidywalny i godny zaufania, jak życie, pomyślał Tennok.

Przynajmniej jego życie.

- Czego szukasz w Dymiącym Zwierciadle? - zapytała jęklwym głosem ukryta kapłanka.

Tennok zadrżał. Z kim on właściwie rozmawia? Matki nie miały imion ani wieku, czuł się, jakby pertraktował z ciemnością, rozdarciem w materii świata.

- Szukam pomocy Matki i jej Dzieci - powiedział.

- Pokaż się zatem Zwierciadłu - zażądał głos, tym razem dobiegający gdzieś spoza jego pleców.

Odwrócił się i dostrzegł we wnętrzu postać w kaptura zasłaniającym twarz. Zerwał materiał, odsłaniając wyszczerzoną czaszkę.

- I nie zaczepiaj naszych koleżanek!

Tennok odskoczył trwożliwie. Z ociąganiem zbliżył się do lustra. Kruzowie nie znali szkła i nie cenili zwierciadeł za

realistyczne odbicie, lecz za sugestywny mrok. Lustrzane posągi Tezcatlipoki, z obsydianu i żelaza posmakowanego metaliczną sadzą, były ciemne i deformowały odbicie. Chłopak stanął przed lustrem. Dotknął gładkiej płaszczyzny, przesuwając po niej wnętrzem prawej dłoni. Kamień był ciepły i śliski, jakby pocił się pod jego dotykiem. Tennok nabrał powietrza i szybko obszedł lustro.

Z uwagą obejrzał rewers zwierciadła, przekonany, że znajdzie dowody na sztuczkę. Że ujrzy śliniącą się, szczerzącą spróchniałe kły i cuchnącą zastałym moczem staruchę, która z ukrycia taksuje klientów jak wieczna, nieumarła dziwka. Ale znalazł tam tylko kurz, więcej pajęczyn i dumny, wzgardliwy chichot.

- Czego tu szukasz, synu księcia? - zapytał nieupostaciowiony głos z lustra, gdy z pokorą wrócił na miejsce.

Tennok pokręcił głową.

- Mój ojciec jeszcze nie został księciem. Obecnie w Yugal go nie ma - zaprotestował.

- Cisza! Nie ty jesteś przepowiadaczem przyszłości - skarcił go głos.

Własna twarz, obrzmiała i zniekształcona, łypnęła na niego z tafli. Spowijał ją siwy dym i odblask ognia płonącego w odległych głębinach.

- Odpowiedz! - zażądało odbicie.

Tennok czuł coraz mocniejszy dreszcz, przechodzący przez ciało jak wijący się pod skórą robak. Przełknął ślinę. Jego mięśnie zaciskały się, gardło miał suche i oplecione czymś wrogim. Rozmówca z lustra był coraz mniej podobny do niego.

- Szukam pomocy Matki. Szukam siły. Chcę sprostać mojemu zadaniu.

- Jakie to męskie. I jakie szlachetne - zachichotało lustro.

- Młodzieniec z dobrego rodu szuka pomocy bogów. Nawet nie po to, by ocalić własną skórę, lecz by uratować przyjaciela. Zaraz się porzygam.

- To nie tak... Chcę służyć bogom i spełniać swoje obowiązki.

- Dość! Czego chcesz? Pokaż nam, kim jesteś naprawdę! - zażądał głos.

Tennok jęknął, zrezygnowany.

Jakaś obca uważność tryumfalnie wślizgnęła się do środka i sondowała jego duszę, węsząc po ściankach czaszki jak ciekawskie zwierzę. Kształt w lustrze zamazał się, zastąpiony obrazem tłustej kobiety z okrągłym, wypiętym brzuchem.

Pod skórą wokół pępka przesuwało się gruzłowate wybrzuszenie, wędrujący siniec, ciemna plama na czaszce księżyca. Tennok zadrżał.

„Moc matek rodzi się w ich łonie”, głosiła pieśń. „Z ich łon wypływa ukryte”.

- Będę wam służył. Zapłacę, ile zażądacie - wyszeptał.

Kobieta w lustrze przesunęła dłońmi po sterczących sutkach, z których kapą gęsta, mlecznoszara ciecz.

„Obfity jest pokarm bóstw”.

Kapłanka uśmiechnęła się do niego znużonym uśmiechem, zmordowanym i wyrozumiałym jak życie.

- Zapłacisz trzy razy. Pomożemy ci. Idź już.

Rozdział 10

Szaratanga stał w drzwiach i przyglądał się, jak Enisha wraz z ich synkiem Konakoczem układają na posadzce tarasu mozaikę z kolorowych kamieni. Obok niepewnie stąpała jego ukochana córeczka Minotli. Od kilku dni chwaliła się chodem pijanego żeglarza, charakterystycznym dla pierwszych dziecięcych kroków. Stawiała je szybko i beztrzesko, nie dbając o równowagę. Jakby wiedząc, że i tak za moment padnie jak długa.

Na widok Szara mała ruszyła w jego stronę z uśmiechem. Przykleknął, rozpościerając ramiona. Dziecko wtuliło się w niego ufnie. Kolana zapiekły, a jakże, ale nie to było najgorsze. Zawsze zdumiewało go, że rodzina czuje się przy nim bezpieczna, podczas gdy w jego sercu kłębiło się tyle śmierci. Dopiero w obliczu tej radości, miłości i ciepła Szar czuł, jak coś szybko w nim umiera.

Wciąż nie powiedział Enishy, jaką podejmie decyzję. Ba, nie był pewien, czy powiedział o tym samemu sobie.

Jak kochać to, co musisz porzucić? To, co za moment przeminie? Szar nie znał odpowiedzi. Ale jego ostatnie dni w domu przesyciła jakaś dziwna słodycz. Teraz, gdy było już wiadome, że niedługo opuści rodzinę, nagle przestała go drażnić. Może pędził na każde wezwanie zwierzchników, bo lubił za nimi tęsknić? Tak jak dzisiaj, obecny, ale już bardzo daleki.

Mozaika prezentowała się świetnie, pracowali nad nią z synem od tygodnia. Przedstawiała ptaka z czubatym ogonem, który na pewno nie przypominał orła. Na samą myśl o tych dumnych padlinożercach wojownik skrzywił się z niesmakiem. Orzeł był ukochanym bydłociem Kruzów, którzy z jakichś powodów ubóstwiali to wielkie, karmiące się bezbronnymi stworzeniami ptaszysko.

Niektórzy twierdzili, że wojna, która była zadawnionym konfliktem tłącym się jeszcze przed przybyciem Białych, trwała od setek lat. Przeprowadzona w trudnych latach Kłątwy reforma i konsolidacja tego, co zostało po dawnym imperium Azteków, nie byłaby możliwa, gdyby nie częściowa amnestia dla dawnych wrogów, takich jak Taraskowie czy Otomi. Nie obejmowała ona jednak Wyklętych, czyli ludów które podczas Wielkiej Wojny udzieliły poparcia Białoskorym. Wszystkie plemiona i klany, które w Wielkiej Wojnie walczyły po stronie Najeźdźców, były bezlitośnie podbijane i „reedukowane” przez Odrodzone Przymierze.

Niewiele z nich zdołało utrzymać niepodległość. Wybrzeże Totonaków było teraz rozległym cmentarzyskiem, zabudowanymi strażniczymi fortami Przymierza. W proch obróciły się wspaniałe miasta Tazanaco i Cholula. Nawet dumni Druazzi zmienili się w sparszywiących żebraków, służących za nędzne ochłapy swoim kruzańskim panom. Tylko Tlaskala, najbardziej znienawidzona z nich wszystkich, wciąż trwała w oporze. Ale za jaką cenę?!

Synek, znudzony pieczołowitą pracą, parsknął i rozsypał kamyki zamachem brązowej łapki. Szaratanga uśmiechnął się.

Czasami udawało mu się przepędzić przyszłość i przeszłość, wtedy ich słoneczny dom stawał się naprawdę jasny. Jeżeli istnieje coś takiego jak prawda, to kryje się w sercach bliskich i w domach, w których się oni gromadzą. Nie ma nic wspólnego z wojną, polityką i przekłętymi bogami. I może więcej jest jej w tych spokojniejszych dolinach, w których trudniej o wojowników.

Szar pragnął pokoju, lecz rok spędzony w domu był dla niego trudniejszy niż lata służby. Można powiedzieć, że wyszedł z wprawy. Jego nastrój odbijał się na Enishy. Do niej także docierały złe wieści z frontu. Ta wojna nie układała się dla Tlaskali pomyślnie. Gdyby nie Labirynt, byłoby już po nich.

Odwrócił się i wszedł do składziku, w którym trzymał narzędzia i broń. Czerwono-biały pancerz wydał mu się złowieszczy i ciężki, nawet pióra posepnie stężyły i spowijała je nieuchwytna woń krwi. Przypomniawszy sobie wszystkie te starcia,

gdy wpadał w trans bojowy i dosłownie kapał się w posoce wrogów, a jego zbroja lśniła szkarłatem kolczugi i płytek pancerza. Było w tym coś szyderczego. Jeżeli Szar kiedykolwiek czuł, że naprawdę żyje, było to tylko wtedy, gdy wydzierał to życie innym.

Gdy wrócił, Enisha krzyknęła.

Zrozumiała, zawsze rozumiała go w lot. Jego córeczka przestraszyła się widoku pancerza i zaczęła płakać. Przytulił dziecko, ale blachy zbroi były zimne i zaniepokoiły małą jeszcze bardziej. Szar wiedział, że jego żona nigdy nie lubiła tej zbroi. Gdy ją nosił, oddalał się od niej, od dzieci i roli, w jakiej zawsze pragnęła go widzieć. To całe gadanie o tym, że chce, by on był szczęśliwy, stanowiło tylko przynętę na wilka. Poza tym Enisha nienawidziła jego lwiego pancerza, bo przecież był darem od tamtej.

Z okrutną satysfakcją patrzył, jak jego żona miota się i potyka. Kura z odrąbaną głową. Czasem tak miał. Gdy pojawiał się chaos, którego nie mógł powstrzymać, przechodził na jego stronę i napawał się rozpadem, zniszczeniem i klęską. Oczywiście, na końcu języka zawsze trzymał słowa o obowiązku, honorze i poświęceniu. Ładne, syjące słowa.

Takimi częstował widzów, gdy Pa'uk i generalicja zabierali go w objazdy po miasteczkach i zapadłych wioskach, a brudne, półnagie dzieciaki gromadziły się, by dotknąć, pogłaskać Lwa Labiryntu.

Płomienne opowieści Szara, jego osobiste świadectwo i przykład sprawiały, że chłopcy stawali się mężczyznami a mężczyźni wstępowali do wojska i mężnie dawali się zabić. Tłazkala nie miała oszałamiającego przyrostu naturalnego i mimo izolacji, nie groziło jej przeludnienie. Każdą ludzką nadwyżkę wchłaniały Labirynt i Wojna.

Enisha podbiegła i wyrwała mu małą Minotli, obrzucając męża gniewnym spojrzeniem. Szar westchnął i odwrócił się z posepnym grymasem. Nie miał siły na awantury, choć bywał w tym niezły, naprawdę.

Jego żona nie była zła, nic z tych rzeczy. Problem z kobietami

nie polega na tym, że są złe. Gorzej, kobiety są dobre i oczekują od mężczyzn tego samego.

Tylko że dla nich, hodowanych do polowania śmierci, dobroć jest dużo trudniejsza. Nie pomagają też, że mają zupełnie inne poczucie czasu, inną zdolność podziału uwagi. Nawet najbardziej leniwa i ślamazarna niewiasta potrafi zajmować się wieloma czynnościami naraz, wielozadaniowość, która szybko pomieszałaby zmysły każdemu mężczyźnie. Z kolei żadna, nawet najbardziej wyrozumiała i kochająca kobieta nie potrafi zrozumieć, jak piękną rzeczą jest Nic.

Jogo żona była delikatna i miła, czuła i całkiem ładna. Wspaniale troszczyła się o dzieci. Gotowała mu ulubione potrawy i kochała się z nim czasami, gdy dzieci poszły już spać. Miała tylko jedną wadę. Szaratanga jej nie kochał. A już na pewno nie tak, jak na to zasługiwała.

Usłyszał, jak staje za jego plecami, mrużąc coś pojednawczo. Jej uważne, współczujące palce zaczęły ugniatać barki Szara. To właśnie on, Szaratanga Kamienne Barki. Najbardziej upierdliwa część jego ciała, nie licząc pieprzonych kolan.

- Co się dzieje? Szar?

- Nic.

- Nie boli mnie, że odejdiesz. Zawsze to robisz, ratujesz wszystkich, tylko nie nas. Przyzwyczaiłam się. Boli mnie coś innego.

- Powiedz. No mów! - Chciał, żeby zabrzmiało to troskliwie, ale z krtani wydobył mu się wysoki, złamany jazgot Chuj z tym.

- Zostawiłeś nas dawno temu, Szar. Wtedy, gdy cię pojмали. Wróciła do nas... sama nie wiem, jakaś wydrażona skorupa.

Wkurzyłyby się, to zawsze ratowało mu skórę, ale Enisha zaczęła płakać. Wtuliła się w niego ufnie, jakby nie miał na sobie zimnego pancerza, jej łzy wsiąkały mu w kark, rozpuszczały wydrażoną powłokę. To ty nie wiesz, że skorup się nie rozpuszcza? Zostaje z nich kupka błota.

- Tłaskala potrzebuje mnie, Enisha - powiedział głosem, w którym dźwięczała duma. Dla tego jednego zdania starannie wyskrobał resztki godności. Ale Enisha zaśmiała się tylko gorzko. Jej głos miał w sobie coś bardzo kruchego, jakby

tańczyła na nitce, która w każdej chwili mogła się przetrzeć i pęknąć.

- Och, przestali. Zachowaj te frazesy na wiece i spędź z poborowymi. Przecież wiem, dlaczego chcesz wrócić do armii. Zależy ci tylko na sobie. Zabiłbyś nas, gdyby to pomogło ci rozwiązać nudę!

Szar wzruszył ramionami i rozłożył ręce. Nawet jeśli to prawda, to co z tego? Najemy się nią, kochanie? Uzdrowimy? Enisha pokręciła głową, z niedowierzaniem i wzgardą.

- Nic. Znowu nic. Jakbym żyła z widmem. Cokołem, na którym nie stoi już posąg. Na Wino Pana, najpierw nie było cię cztery lata, a gdy tylko cudem wróciłeś, od razu się zaciągnąłeś. Nie umiałeś wysiedzieć na miejscu. Lew Labiryntu, a jakże. Woląłeś uganiać się po górach i strugać bohatera, niż żyć z własną żoną. Potem nagle rezygnujesz ze służby. I znów

nic, zasklepiasz się w sobie jak żółw albo snujesz z tym kretyńskim, przeprasającym uśmiechem. „Przepraszam, że żyję”, i tak przez okrągły rok. A teraz znowu uciekasz. I jeszcze te plotki... o niej. To nie w porządku. Powiedz coś.

- Przecież wróciłem. Zrobiłem to dla was - chrząknął.

Enisha podeszła bliżej, zmuszając go, żeby się cofnął.

Jej oczy krzeszały iskry. Szaratanga miał ochotę się zaśmiać. Przecież nasz Lew nie cofa się nigdy. I zawsze znajduje drogę, jak brzmiał jeden z patriotycznych sloganów.

- Dla nas, Szar? Tylko czemu musiałeś się tak okropnie poświęcać? Człowieku, ty popatrz na siebie. Nie jesz, nie śpisz... wielu rzeczy już prawie nie robisz albo po prostu odbębniasz, odwalasz konieczną robotę.

Zamierzał zaprotestować, ale równie dobrze mógłby zagradzać rzekę Mys małym palcem. Enisha mówiła dalej, wyrzucała z siebie słowa, jakby miotała oszczepy:

- Nic, tylko siedzisz, milczący i chudy jak szczapa. Nieobecny, zapatrzony w jakąś rozwrzeszczaną otchłań, której skowyt zagłuszył, przysłonił ci świat. Najpierw myślałem, że nie jesz, bo jesteś chory, bo twoje ciało i dusza odniosły rany. Dopiero potem pojęłam, że ty wcale nie tęsknisz za wojną. Że poza zgruchotanego wojaka to tylko pierścień twoich obronnych

murów. Kolejna warstewka kłamstw.

Szar spojrział na swoją żonę z namysłem. Chyba nawet czuł ulgę... Jakby mógł się wreszcie pozbyć paskudnego zadziora, który wrósł mu w paprzące się ciało.

- Myślałem, że wszystko jest jasne. Wróciłem i jestem z tobą. A nie z nią. O czym tu jeszcze gadać? - mruknął.

Enisha zacisnęła pięści.

- Właśnie o to mi chodzi. Ty już o niczym nie gadasz. Zmieniłeś się w coś okropnego! Jakby z tamtej przeklętej niewoli powrócił zjadacz, nie człowiek. Ale zjadacze podobno nie znają strachu...

Szaratanga zamachnął się na nią pięścią i nagle napotkał spojrzenie synka. Konakocz stał w drzwiach i płakał, wpatrując się w niego uparcie. Oczy chłopca były wielkie jak spodki, niemal widział, jak on, jego dobry tata, żłobi w nich kolejne ludzkie otchłanie. Dlaczego jest zło, tatusiu? Malutka Minotli trzymała się ramienia brata i jej nic nierozumiejący, wiecznie promienny uśmiech półtorarocznej dziewczynki był gorszy niż łzy chłopca.

- Przepraszam - powiedział Szar cicho. - Wybaczcie mi.

Enisha roześmiała się tylko.

- Myślisz, że nie próbowałam? Gdy znikłeś za pierwszym razem, zrozumiałam. Rozpaczałam, ale byłam dumna, mój ukochany walczył i dostał się do niewoli. Zaginął, bo nas bronił. Modliłam się każdego dnia. Gdy wróciłeś po czterech latach, witałam cię szczęśliwa : dumna. I znów się modliłam, ale tym razem z wdzięczności. Mój dzielny mąż uciekł z niewoli Kruzów. Wszystkie przyjaciółki mi zazdrościły. Przestały, gdy po miesiącu pożegnałeś nas i wróciłeś do wojska. A potem... potem nie było już mojego męża, tylko jakiś czcigodny nieznajomy. Wielki bohater Tlaskali, zwycięzca z Doliny Czarnego Psa. Ale ja ale wychodziłam za Lwa Labiryntu. Chcę odzyskać mojego mężczyznę.

Szar podszedł do niej ostrożnie, jakby podchodził motyla. Albo kota. Zrobił kretyńską, komiczną minę, jedną z tych, którymi kiedyś ją rozśmieszał. Gdyby ci wszyscy nadęci, śmiertelnie poważni mężczyźni wiedzieli, jak bardzo to się

przydaje w małżeństwie, każdy ćwiczyłby bycie błaznem.

Enisha rzeczywiście się zaśmiała, a on delikatnie pocałował ją w usta. Patrzyli sobie w oczy. Przez moment znów połączyło ich coś, zwiewna, pajęcza nitka. Szar wdychał wietrzny, burzowy zapach jej włosów. Czuł, jak dzieci turlają się do nich, wczepiają w nogi rodziców. Chciał, żeby już tak zostało.

Po dłuższej chwili Enisha potrzasnęła głową, jak ktoś, kto budzi się z pięknego snu. Wyślizgnęła się z jego uścisku.

- Nietrudno mnie zadowolić, co? Tutaj uścisk, tam całusek, tutaj dzidzia? I myślisz, że znów się wykręcisz? Otóż nie.

Minotli zaczęła płakać. Konakocz skulił się tylko z niechęcią znużonego starca i zatkał uszy, wiedząc, co zaraz nastąpi. Szaratanga najchętniej poszedłby w jego ślady.

- Co tam się wydarzyło, Szar? Wtedy, gdy byłeś jeńcem. Nigdy o tym nie mówisz. Muszę wiedzieć, kim lub czym tak naprawdę się stałeś. Kto do nas wrócił. Nie obchodzi mnie Lew Labiryntu. Na niego nie zamierzam czekać - w głosie Enishy zadźwięczało żelazo.

Szar milczał. Bo co mógł jej na to powiedzieć? Nigdy nie opowiadał jej o tym, co przeżył u Kruzów. Do tych wspomnień nawet sam nie wracał, przekuwał je w wolę walki i impuls działania. Zamiast wspominać demony, które ścigały go, gdy był bezbronny i słaby, wołał polować na nie na własnych warunkach. Nawet jeśli Lew Labiryntu narodził się właśnie tam, w mrokach kruzańskiej niewoli.

- Pamiętasz, jak Meirei umarła na białą ospę? - spytał ochryplym głosem.

Enisha kiwnęła głową. Wyglądała jak młoda dziewczyna, odsłonięta i krucha jak listek.

Oczywiście, że pamiętała. Meirei była ich pierwszym dzieckiem. Najśłodszym i najcudowniejszym, potrafiącym jedynie radować serce i kochać. Miała półtora roku, tyle co teraz Minotli. Oczywiście kiedyś zmieniłaby się w nieznośnego, wrednego bachora... ale on i Enisha daliby sobie odrąbać po prawej ręce, żeby cofnąć tamtą przekłętą wiosnę.

To był ponury czas. Blokada Przymierza właśnie stawała się szczelna, a plony w dolinie okazały się nędzne. Wtedy także

dymią stopy umarłych, choć umierali ich bliscy. Trwała wojna, a w górach szalała zaraza. Tłaskanie zazwyczaj grzebali swoich umarłych, ale mór uśmiercił tak wielu ludzi, że musieli zacząć ich palić. Jak Kruzów.

Umarły wówczas dziesiątki dzieci, nie było to jednak nym pocieszeniem.

Enisha zadrżała, skuliła się znowu. Szar widział, że trzyma się resztką sił. Dzielna, wciąż próbowała obdarzyć czymś tę żalną, stojącą przed nią ruinę. Zawsze chętnie okazywała mu litość.

- Potrafisz o tym mówić? Umiesz? - warknął, napawając się uzyskaną przewagą.

Cisza. Szar spojrział w niebo i zamiast kobaltowego błękitu zobaczył nad sobą kamienny strop. Wiedział, że nigdy nie zapomni swojej wojennej niewoli, choćby po stokroć okrzyknięto go Lwem Labiryntu. Choćby samo Głodne Słońce posrało się na jego widok ze strachu.

Ci z jeńców, których Kruzowie zawlekli na swoje ołtarze, żeby wykrwawić ich z Bezcernej Wody, mieli szczęście. To ocalałych powinno się, kurwa, żałować. Bo każdy z nich zmieniał się w upiornego ślimaka, rozlazłego i wyzutego z ludzkich cech. I każdy z nich tylko pełzał, niosąc na własnym grzbiecie upiorną skorupę z bólu i strachu, replikę więziennej celi. A jeśli w ogóle zdołał w sobie coś odbudować i wskrzesić, był to bezwzględny nakaz kontroli nad własnym życiem.

Nikt nie będzie go szantażował.

Twarz mu pociemniała, popatrzył na żonę twardo.

- Wtedy, w niewoli... odebrano mi tysiąc Meirei. Nie wywlekaj tego ze mnie na żywca.

Zostawił ją i ruszył na wzgórze, osypując i kopiąc kamyki i kawałki skał jak szczątki własnego życia. Tam czekał spokój, dla niego znosił nawet przeklęty ból kolan.

Enisha stała nieruchomo jak posąg, z miną wyrażającą zbolale oczekiwanie. Posąg Bogini Wyrzutów.

Szar postanowił darować sobie tłumaczenia, że to wszystko dla nich, bla, bla, bla, wyświechtane od mamrotania kawałki. Po prostu odjedzie. A co. Uśmiechnął się w szelmowskim

grymasie i wciągnął orzeźwiające, przepalone pożogą powietrze
znad Labiryntu.

Spalenizna, gówno i krew, fundamenty twojego istnienia.

Spójrzmy prawdzie w oczy, nie był człowiekiem rodzinnym.
Może napisze im list? Z daleka wszystko wygląda lepiej, a
zwłaszcza dzieciaki, żona i dom.

Pora troszeczkę potęsknić.

Rozdział 11

W pewnym sensie ursowie byli technologią. Stanowili odpowiedź na kulturowe wyzwanie, przed jakim stanęła cywilizacja Krnzów. Jak kultywować ofiary z Drogo-cennej Wody, fundament imperialnej polityki Przymierza, gdy zniewieściale elity traktują religię coraz bardziej instrumentalnie? Jak ocalić tradycję, hartujące i spajające zwyczaje, którym bogacząca się, coraz delikatniejsza społeczność nie mogła już dłużej sprostać?

Uczony z dawnej Europy, ktoś pokroju Platona czy Giambattisty Vica, powiedziałby, że dzięki rozpowszechnieniu się instytucji urisa Prawdziwi Ludzie mogli kultywować twardego ducha Sparty, ciesząc się twórczą otwartością Aten. Ale po pierwsze, nie było to prawdą, a po drugie, w świecie Kruzów nikt nie pamiętał o mędrcach z pokonanych krain.

Maxitzal Starszy, *Utracona przeszłość*

W Dzień Przejścia Tennoka, syna Maczuraia, cały klan Turkusowej Włóczni zgromadził się na wewnętrznym dziedzińcu rodowej posiadłości. Czekali już tylko na Tennoka, który nie pojawiał się. Wreszcie straż przyprowadziła przed zniecierpliwione oblicze wodza klanu przerażonego *urisa*, który wyznał, że nie widział swojego pana od rana, ale jego rzeczy i broń wciąż znajdowały się w pałacu.

Maczurai, którego twarz zakrywała tego dnia złowieszcza obrzędowa maska z plecionych ludzkich włosów i piór kondora, zachował spokój.

- Jeżeli mój syn nie pojawi się do końca dnia, zostanie ukarany - oznajmił.

Goście rozeszli się, a Sippo poczuł się jak we wnętrzu tornada - w przestrzeni, z której wyszano powietrze i jakąkolwiek nadzieję. Kątem oka spostrzegł młodszych braci swojego pana: Kezelqina i Nacetuhotla, jak szepczą do siebie złośliwie. Mali drapieżcy zdążyli już zwietrzyć krew. Nawet ci z niewolników, którzy zawsze go lubili i wspierali, mijali go jak smugę nicości, niebezpieczną, bo zdolną obdarować pechem.

Tylko Zuara, kucharka z jednego z nadmorskich plemion niska kobieta z grubymi, opadającymi wargami, na jego widok nakreśliła w powietrzu znak odczyniający uroki i odsunęła się, gniewnie łkając łzy. Przeklinała swe dobre serce i tego niewdzięcznego smarkacza. Sippo był jej ulubieńcem, przynosiła mu najlepsze kąski niewolniczej strawy, młode kolby zielonej kukurydzy, kukurydzianą piankę i awokado. Egoista. Oddała temu smarkaczowi serce, a on tym swoim pechem bezczelnie wyrwał je z piersi.

Sippo snuł się bez celu, wiedząc, że może być ostatni taki dzień - ostatni dzień w ogóle. Wiatr przywiał skądś falę smrodu. Z początku pomyślał, że to znad rzeki, ze slumsów plemiennej biedoty. Jednak ta woń była gorsza, przesycona odorem zgnilizny i świeżo zadanej śmierci. Doły. Chłopiec zadrżał na myśl o kopalniach. Jeńcy żyli tam w warunkach gorszych niż najstraszniejsze więzienie.

Tennok pojawił się wreszcie. Na jego twarzy malowała się determinacja i duma. *Urs* stłumił westchnienie ulgi. Jego pan zabrał łuk i starannie wybrał sobie strzałę. Maczurai chrząknął zadowolony. Polowanie mogło się rozpocząć. Dawniej udawano się po prostu w pobliskie lasy nad rzeką Mys. Dziś tereny te zapełniały przeludnione slumsy. Wprawdzie sojusznicze plemiona nadal polowały w tamtych okolicach, ale podobno roilo się tam od chorób i bogacze ze Wzgórza nigdy nie zapuszczali się w te rejony.

Aby uniknąć uciążliwych kontaktów z pospólstwem, Maczurai kazał zasadzić minipuszcę na specjalnie usypanym tarasie, pod którym znajdowały się zwykłe pomieszczenia mieszkalne. Na chronionym obszarze Wzgórza ziemia kontowała krocie i wiele szlacheckich rodów z ledwością było stać na małe poletko

warzyw. O sile klanu Maczuraia najwymowniej świadczyło to, że Turkusowa Włócznia dysponowała całym ogrodem. Hodowano tam rozmaite zwierzęta.

Wszyscy patrzyli teraz na *koszitl*, obrotową kamienną tarczę, przy której zgromadzili się kapłani Tezcatlipoki. Machina przypominała zegary słoneczne, za pomocą których kapłani śledzili ruchy ciał niebieskich. Ale jej cel był inny. Dymiące Zwierciadło miało reputację kapryśnego i zmiennego boga, a *koszitl* pomagał odczytać jego zamysły. Tarcza spoczywała na większym kamiennym kręgu, zdobionym znakami astronomicznymi.

Jej obrót wskazywał, z jakim zwierzęciem zmierzy się kandydat na wojownika, leżeli bogowie dostrzegli w kimś zadatki na bohatera, potrafili zesłać mu nawet górskiego niedźwiedzia z Misztli. Maczurai hodował te włochate bestie w swoim zwierzyńcu i choć starsza z pary niedawno zdechła, młodszy niedźwiedź spełniał wszelkie oczekiwania wodza. Ale najszlachetniejszym wrogiem był oczywiście jaguar, zwany też ocelotem, patron imperialnego rycerstwa. Godnym przeciwnikiem pozostawał także szary wilk oraz śmigły jeleń.

Kapłani zakręcili kołem, by obróciło się w miarowym tempie, niczym sfery niebieskie, których symbole zdobiły jego powierzchnię czerwonymi wzorami. Tennok widział że niektórzy po kryjomu obstawiają zakłady. Przełknął ślinę. Niedźwiedź, jaguar czy wilk sprawią, że zesra się ze strachu. Ale, do diabła, wielu czmychało przed niedźwiedziem. Ostatecznie nie byłaby to najgorsza...

Zgrzyt koła ustał.

Zgromadzeni wpatrywali się w kapłana, który kręcił z niedowierzaniem głową. Mamrocząc, przeliczył cyfry i oznaczenia na kole i wreszcie uniósł w górę znak wyłonionej bestii. Rozległy się chóralne jęki zawodu, przechodzące w szydercze okrzyki i śmiechy. Tennok otworzył oczv. Japok! Pierdolony japok. Jego przeznaczenie było zabawniejsze, niż sadił. Ustawione czy nie, losowania z reguły wychodziły naprzeciw oczekiwaniom sponsorów. Syn kupca dostawał jelenia syn oficera wilka. Ale żeby spadkobierca głowy klanu

trafił na tchórzliwego, bagiennego torbacza?

Cóż, może Turkusowa Włócznia nie została tego dnia złamana, ale z pewnością doznała wielkiego uszczerbku na prestiżu i dumie klanowej.

Zwłaszcza że szansa na wylosowanie akurat tego stworzenia była tak niewielka, że Maczurai nic znalazł dla japoków miejsca w swoim zwierzyńcu. Musiano zapolować na nie w cuchnących zgnilizną nadrzecznych zaroślach.

*

Kiedy dumny orszak księcia Maczuraia opuszczał Yugal, nikt z gapiów nie podejrzewał, że próżniacy ze szlachty, zmuszeni, idą zapolować na nędzną i pospolitą zwierzyńcę stanowiącą codzienne pożywienie tubylczego plemienia Druazzi. I tego, co Tennok wiedział, miejscowi nędzarze polowali na te nadrzeczne stworzenia od zawsze i wypracowali dziesiątki metod pozbawiania ich życia. Najstarsze z nich polegały na zabieganiu zwierzęcia na śmierć. Biegało się za nim całymi dniami, nierzadko w specjalnym łowieckim transie, bez żadnej gwarancji sukcesu. Bezspornie była to najgłupsza z metod.

Torbacze rażono włóczniami, strzałami i pociskami z dmuchawki. Japoki i Druazzi byli ze sobą nierozzerwalnie związani torbacze pojawiały się w żartobliwych piosenkach i bajkach Tennok niekiedy zastanawiał się, jakie miejsce oni, ludzie, zajmowali w folklorze japoków.

Nie obyło się więc bez pomocy tubylczych tropicieli. Ci mali, pokraczni ludzie byli tak samo dumni, jak biedni i nieciekawie woniejący. Tennok ucieszył się, gdy zaczęli rozpałać ogniska przed jedną z piaszczystych skarp. Z dwojga smrodów wolał cuchnący dym. Znudzony, podrzucał włócznię, zapewniając się, że co jak co, ale przerośniętego szczura jest chyba w stanie uśmiercić. Japoki dorównywały wielkością pekari i kapibarze. Kiedyś były pewnie większe, tak jak znajdowane czasami w ziemi kości pradawnych olbrzymów, leniwców i innych stworzeń. Zresztą, podobno i ludzie odznaczeni się w poprzednich Cyklach bardziej imponującą postacią, a obecną epokę znaczyły liczne symptomy uwiadu i degeneracji.

Tennok nie wiedział, co o tym sądzić. Serca, które widział podczas świąt, wyrwane z piersi odurzonych narkotykami jeńców, wydawały mu się wystarczająco duże. Z drugiej strony, niech ktoś pokaże mu Cykl, w którym te darmożjady były zadowolone ze swych czasów! Kapłani zawsze narzekają, gdyż to popłoch i poczucie zagrożenia spędzają wyznawców do świątyń.

W jego rozmyślania wtargnął kłęb gryzącego dymu, od którego rozkaszłał się jak staruch. Zaczęło się. Łowczy wybrali lokalną technikę „na dymka”, za pomocą której wypędzali z gniazd dzikie pszczoły. Maczurai wręczył mu włócznię. Najwyraźniej doświadczał ojcowskich wzruszeń, ramiona drżały mu lekko. Japok wypadł z nory na brzegu i zastygł w bezruchu. Niestety, Tennok też zmarł.

Pocieszenie przykurczony zwierzak miał wzrost dwuletniego dziecka. Według kruzańskiego systemu miar, wywodzącego się jeszcze z cywilizacji Azteków, była to długość jednej „strzały”, czyli zasięg ramienia łucznika od dłoni do jego barku, w chwili gdy prostuje ramię, trzymając napięty łuk. Inne jednostki pomiaru Kruzów także czerpały z cielesnych analogii. „Dłoń” oznaczała zasięg męskiej ręki. Natomiast „serce” było popularną jednostką wagi i oznaczało ciężar mniej więcej jednego świeżo wyrwanego serca.

Zwierzak, podparty potężnym ogonem, kolebał się na masywnych zadnich łapach. Zasłaniał pyszczek, jakby wstydził się świadków. Ale nie to było najgorsze. Metoda nie polegała na tym, by japok uciekał, bo i tak biegłby zbyt szybko by dać się trafić włócznią czy strzałą. Przeciwnie, kurzony japok zatrzymywał się, bo dym szczypał go w oczy. Tarł je łapkami i to kosztowało go życie.

Tennok zobaczył lzy ciekące po obrośniętych policzkach zwierzęcia, przejmująco ludzki gest małych dłoni. Nie mógł tego zrobić. Na szczęście Sippo zanucił coś cicho i Tennok wziął się w garść. Powtarzał sobie, że jego pech już się skończył, a przed tchórzostwem uchroni go zakłęcie Matek.

Łowiecki stupor jest częstym zjawiskiem. Doświadczony łowca wytłumaczyłby mu, że tego typu sensacje, zbyt silny duchowy

kontakt z duszą zwierzęcia, mają miejsce wtedy, gdy łowca przez pomyłkę mierzy do stworzenia, kto e jest jego totemicznym przodkiem. Zresztą, kruzańscy uczeni już dawno udowodnili, że każdy z narodów świata wywodzi się od jakiegoś gatunku zwierząt.

Nawet przekłęci Białoskórzy pochodzili od wielkich, różowych świń, znanych z okrucieństwa, żarłoczości i skłonności do tycia.

Tennok czekał. Zebrani dostrzegli jego wahanie. Ale przodkiem Turkusowej Włóczni był przecież koliber!

Chłopak zadrzał. Serce dudniło mu pod bawełnianym kaftanem jak galopujący przerażony koń. Ucieknie. Jego wzrok błądził po twarzach zebranych, prześlizgiwał się po rozpalonym niebie i postrzępionej linii bananowców i palm, wyznaczających granice polany. Wszystko, byle tylko nie spojrzeć na przerażone, skamieniałe przy skarpie zwierzątko. I nie utoczyć mu krwi.

Stał z napiętym lukiem, łomoczącym sercem i piekącymi oczami, czując, że zaraz zdarzy się coś bardzo złego.

Krew dudniła mu w czaszce, przed oczami latały czarne plamy. Oszukały go. Cokolwiek zrobiła z nim magia Matek, nie pomagało mu to teraz, wręcz przeciwnie. Przypomnił sobie dziwne drgnienie twarzy czarownicy, gdy wpila w niego wzrok. Przeczytała go. Przeczytała i doczytała się czegoś, przez co wpędziła go w pułapkę.

Właściwie nie miał wyboru. Czuł, że za moment zemdleje i cenę znowu zapłaci Sippo. Tennok widział to w gorejącym, syczącym nienawiścią spojrzeniu Maczuraia. Tym razem będzie to cena najwyższa. Czuł też, że za nic nie potrafi strzelić i zabić tego stworzenia. Już widział, jak rzyga, drżący i słaby, na oczach całego klanu. Słyszał już te docinki, ten wszechobecny śmiech. To, co do tej pory było przecuciem i groźbą, jedną z wielu możliwości, na zawsze stanie się jawnym, powszechnie wyśmiewanym faktem.

Tennok baba. Tchórz.

To wszystko przemknęło mu przez głowę, gdy dławiące się dymem zwierzę obróciło się, próbując uciec. Na szalach

zadygotały hańba i śmierć. Maczurai wrzasnął, a Tennok uświadomił sobie, że już nie panuje nad stresem. Jego ciałem targnęły mdłości. Na szczęście nie zwymiotował, tylko łagodnie osunął się na ziemię.

- Nie przejmuj się - rzucił jego wuj, Digaria, który lubił Tennoka. - Następnym razem się uda.

Chłopak pokiwał głową. Odszukał wzrokiem Maczuraia, którego twarz była ciemna jak chmura burzowa. Tennok *me* mógł zabić nawet japoka. Tak już jest, określają nas nasze emocje. A kto decyduje o emocjach? Przeznaczenie?

U Kruzów wszystko było prostsze i bardziej przerażające.

O wszystkim decydowali bogowie, z nerwami napiętymi jak postronki. Łatwo, oj, łatwo można było ich rozsierdzić. Syn wodza właśnie to zrobił.

Toporne szczęki ojca Tennoka zadrgały, jakby żuł jakieś żywe, wrywające się na wolność stworzenie. Ale Maczurai nie zaczął jeszcze zabijać. Spojrzał na syna i pomyślał o jego matce.

Jeszcze jesteś płodna, zasyczał bezgłośnie. Już niedługo. Jeszcze. Potem jego wzrok spoczął na twarzy *ursa*, który mamrotał modlitwę.

Sippo wstał tego dnia lewą nogą i od śniadania, gdy wredny kuchcik wytrącił mu miskę z kaszą kukurydzianą, wietrzył nadchodzące kłopoty. Nadzorca pchnął go brutalnie w plecy

I niewolnik poleciał do przodu.

Tacy jak on właściwie nie istnieją.

Nikt poza Tennokiem nie wiedział, że chłopiec naprawdę nazywa się Sippo i w dzieciństwie łowił ryby nad błotnistymi wodami rzeki Nush. Nikt nie znał. pieśni jego plemienia, nikt nie wiedział, jak piękna była jego starsza siostra. zanim handlarze niewolników zapędzili ją nad wysokie urwisko. Sippo poczuł się bardzo, ale to bardzo samotny. Jego plemię dawno odeszło w niebyt i coś w szarych oczach księcia powiedziało chłopcu, że wkrótce zobaczy przodków.

Zaczął się znów modlić, jak czynił to, odkąd sięgał pamięcią. Modlił się przez całe świadome życie, wzywając Kuruna od Deszczu i Fune, Królową Ryb. Modlił się, gdy bicz uderzył po raz pierwszy, modlił się w szlochu, skowycie i wtedy, gdy ciało

zaczęło słabnąć, a wycie przeszło w rzężenie i charkot. Ale jego bogowie spłonęli z wioskowym chramem i wiara jednego małego chłopca nie wystarczyła, by podtrzymać ich przy życiu. Gdy wyczerpany i rozdrażniony zapachem krwi Maczurai odrzucił bat i dobił irytujący, krwawy strzęp niedbałym ciosem włóczni, Sippo samotnie wszedł w ciemność. Nie czekał na niego nikt.

Tennok zaklął, choć wolałby teraz zapłakać. Polubił tego dzieciaka. Nagle nad głowami zebranych rozległ się skrzek sokoła. Tennok podniósł głowę i bez zastanowienia, bez jednej myśli podniósł łuk i uwolnił napiętą cięciwę. Rozległo się mokre uderzenie.

Sokół, totemiczny ptak rywalizującego z ich klanem rodu Spopielonych Serc - z którym Maczurai sam chętnie by skończył - spadł prosto pod nogi wodza. Zgromadzeni patrzyli na to, ogarnięci nabożną trwogą. To nie był zwyczajny strzał to było proroctwo. Ojciec Tennoka zdębiał i stracił rezon, byc może pierwszy raz w życiu.

Nawet kapłani nie wiedzieli, co czynić. Ale Digaria, młodszy brat Maczuraia, wiedział. Był dość dobroduszny i dość niemądry, by nie bać się brata. Rozrechał się jak dzika świnia, od której wziął swój przydomek zarażając wesołością zebranych.

- Co za szczeniak, bogowie niech będą szczerzy! Bał się szczura, a zabił lamparta!

Potem podniósł zabitego sokoła, zanurzając palce w jego krwi. Podeszedł do chłopca i zakreślił mu na lewej połowie twarzy Znak Nowicjusza, znak przejścia. Krwawa plama rozciągała się od skroni do podbródka. Zapowiadała znaki, które młodzieniec przywdzieje, gdy skończy nauki w Calmecac, kapłańskiej szkole dla szlachetnie urodzonych, z której rekrutowali się późniejsi sędziowie, generałowie i przełożeni świątyń Przymierza.

Tennok zniósł to bez słowa skargi, jego żołądek był całkowicie obojętny. Matki uleczyły go. Odnotował oszczędny, ale dumny uśmiech Maczuraia, jakim ojciec nie obdarzył go od kilku lat. Słyszał okrzyki radości, ale były odległe jak wspomnienie rzeki pośrodku spalonej pustyni. Nie miał zamiaru się śmiać. Cisnął

broń pod nogi ojca i odszedł, obiecując sobie, że kiedyś przeszyje jego czarne serce.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił po powrocie do pałacu, było wparowanie do sanktuarium Matek. Powitały go ich dobrotliwe śmiechy, współgrające z szelestem kości.

Rozwścieczony, rozrzucił po jaskini ich totemy, amulety i czaszki, a potem z całych sił kopnął zwierciadło, co nie było dobrym pomysłem. Nie mogło się zrosnąć. W przeciwieństwie do jego stopy, którą przeszedł ostry ból.

- Składasz nam ofiarę z bólu? Dziękujemy - zachichotał głos.
- Przeklęte suki! Oszukałyście mnie!
- Źle na to patrzysz. Potraktuj to jako lekcję.

Tennok zamilkł. Nie przychodziły mu na myśl wystarczająco plugawe przekleństwa. Z nienawiścią gapił się w ciemne zwierciadło, obiecując sobie, że kiedyś jego ludzie strzaskają je młotami.

- Młoty nie wystarczą. Zresztą, nikt się nie odważy.
- Jeszcze zobaczymy - mruknął.
- Skup się raczej na tym, co ci się przytrafiło, synu. Przypatrz się sobie uważnie. Władca nie może kierować się lękiem i litością. Nie pokonasz swoich słabości, dopoki nie wykorzenisz emocji. To ich zatrute źródło.

- Ten dzieciak był niewinny. - Poczuł, że pieką go oczy.
- Ten dzieciak należał do bogów. Podobnie jak królowie, wojownicy i ich żony oraz powietrze, którym oddychają. Nawet kropla krwi w twoich żyłach nigdy nie należała do ciebie. Jeżeli tego nie pojmiesz, nigdy nie będziesz prawdziwym Kruzem.

- To wszystko? Macie jeszcze coś mądrego do dodania?
- Możesz odejść. I pamiętaj, zapłacisz jeszcze dwa razy.

Przez resztę dnia nie jadł i nie wychodził z komnaty. Wstyd przyznać, ale było mu żal chłopca. Lubił Sippa, który często opowiadał o zwierzętach w jego bagiennej krainie.

Jak mawiał filozof Ichocampa, Wysysający Prawdę, niewolnik to wydalające narzędzie. A mądry człowiek nie przywiązuje się do łopat i glinianych garnków. Jeśli już, to do mocnej, kamionkowej misy ofiarnej.

Taki jest, kurwa, świat. Sippo i tak by zginął, miasto zużywało

ich szybko. Czcigodni bogowie Yugal wciąż odczuwali pragnienie, a wojny i wyprawy po ludzi napędzały koniunkturę, dawały pracę zbrojmistrzom, a także setkom poborowych. Sippo i tak by zginął, ale mimo to Tennok czuł żal że nie próbował mu pomóc. To nie miało sensu, warknął, ciskając w ścianę kauczukową piłką. Jej też nie lubił, zabawka, przypominała mu, że ojciec prędzej czy później wystawi go także do gry w piłkę.

Wieczorem poszedł się przejść. W pałacowym ogrodzie znalazł wiele cichych, spokojnych miejsc. Takich, w których nie było ludzi i słów. Słyszał kiedyś bajkę o chłopcu, który wypił magiczny napój - chyba była to krew Pierzastego Węża - i poznał mowę zwierząt. Tennok dziękował bogom, że nie zna języka ptaków i pałacowych jelonków. Był święcie przekonany, że są jeszcze głupsze niż ludzie.

Zniecierpliwiony, pochylił się na murku. Rudery oblepiały zbocza wzgórza, opadając ku błotnistej rzece Mys. Nad samym brzegiem mieszkali nędzarze i mniejszości etniczne, takie jak plemię Druazzi.

Nagle zapragnął opuścić pałac. Życie biedaków musi być prostsze i bardziej ludzkie, pomyślał. Jego zadumę przerwały krzyki dobiegające z wewnętrznego dziedzińca. Należąca do jego rodziny część Wzgórza była zryta jamami i korytarzami niczym krater. Najgłębiej znajdowały się mroczne miejsca, takie jak sanktuarium Matek oraz niesławne Doły. Teraz z kopalni dobiegały podekscytowane odgłosy, musiało się tam zdarzyć coś dziwnego.

Zaciekawiony, Tennok udał się na niższy dziedziniec twierdzy, będący właściwie jamą wyżłobioną w wapieniu Płaskiego Wzgórza. Zwykle w Dołach niewiele się działo. Nie, inaczej. Działy się tam rzeczy niewyobrażalne, ale niewiele z tego docierało do świata na zewnątrz. Mieszkający nad nimi domownicy Turkusowej Włóczni byli jak eleganccy klienci mistrza kuchni, których nikt nie oprowadza po cuchnącej, pochłapanej krwią rzeźni na zapleczu.

Kopalnie funkcjonowały jak przynosząca zysk umieralnia, zatrzaśnięta na cztery spusty. Kraina pogrzebanych.

Niewolnicy szybko umierali w nich od nadludzkiej pracy i niedostatków jedzenia. Tylko w święta, gdy każda kropla nawet najbardziej wodnistej krwi potrzebna była, by udobruchać bogów, Maczurai pozwalał kilku z nich wydostać się na powierzchnię. Ale do świąt zostało jeszcze mnóstwo czasu.

Tennok schodził schodami wijącymi się wzdłuż ścian krateru, krzywiąc się od narastającego smrodu. Jego stopy mlaskały w błocie. Na tym poziomie nie było już białego wapienia, tylko uzbierany latami gnój. Szeroką nieckę wieńczyły wyryte w skale Doły - głębokie silosy na ludzi. Po co budować więzienia, gdy można obsadzić kopalnie? I jeszcze pozyskać dzięki temu trochę srebra?

Podeksycytowani żołnierze, rzemieślnicy, nawet niewolnicy, którzy skończyli służbę w pałacu, tłoczyli się wokół wiszącej klatki.

- To demon! Właśnie go złapali! - piszczała gruba kucharka. Cieszyło ją zamieszanie, bo cały dzień gryzła się z powodu tego malca, którego ubił jaśnie pan.

- Demon! Najprawdziwszy!

- W jaki sposób uciekł? - zaciekawił się Tennok.

Strażnicy zawsze starannie dźgali włóczniami platformę z urobkiem, zanim wciągnęli ją na górę. Pasażerowie na gapę z Dołów byli przeważnie na wskroś obłąkani i nie mieli już nic do stracenia. Żaden żołnierz nie lubi się mierzyć z czymś takim.

- Musiał złapać się windy od spodu. I wisieć tak dobry kwadrans, to ponad pięćdziesiąt strzał w dół. Silny skurwiel - wyjaśnił niechętnie strażnik.

Z klatki dobiegało warczenie.

Tennok dostrzegł zarys brudnej, dziwnie bladej postaci, targanej niekontrolowanym dygotem. W kącie poruszył się ostrożny, lecz nie dość ostrożny szczur.

Więzień dopadł go nieludzkim, błyskawicznym ruchem, rozdarł jak brudny owoc i zaczął się pospiesznie posilać. Dopiero teraz Tennok spostrzegł, jaki sukinsyn jest wielki. Potem skazaniec chwycił za pręty. Bezwiednie zaciskał i rozprostowywał palce, targane jakimś potwornym tikiem. Tennok przyglądał im się, zafascynowany.

Były poskręcane i węzłowate, jakby ktoś wielokrotnie nastawiał je i łamał; brudne i pogruchotane pazury wyglądały na piekielnie ostre. Lewa ręka łuszczyła się, miała siny, jakby kamienny kolor i niepokojącą, nie całkiem cielesną fakturę. Tennok obserwował ją z ciekawością badacza. Czy to jakaś nieznana choroba? Magia, albo raczej magiczna mutacja? A może biedak zaraził się nią od zjadaczy? Nagle uświadomił sobie, jak fascynująca, przeoczana wiedza kryje się w fabryce pieniędzy jego klanu. Cóż mogły ujrzyć tam w dole białe oczy tego udreżonego stworzenia? Czego doświadczył?

Maczurai zaprzeczał wprawdzie istnieniu zjadaczy, ale o czym innym świadczyły szaleńcze wycia, rozlegające się za każdym razem, gdy do Dołów zjechał nowy transport więźniów. To było fascynujące. Przecież zjadacze występowali już tylko tu, w Yugal. W całym Odrodzonym Przymierzu stali się istotami z legend, którymi straszy się niesforne dzieci.

Więzień wzdrygnął się, szarpnął jak byk ukąszony przez gza. Aż wibrował od tłumionej i hamowanej energii. Lewa ręka zacisnęła się konwulsyjnie, drgając ścięgnami. Czy te istoty naprawdę ryły skałę gołymi rękami? Z dłoni schwytanego osobnika zwisały jakieś dziwne, nabijane kolcami rzemienie.

Miał też coś podobnego na stopach. To raki, uświadomił sobie Tennok. Dzięki nim wbił palce w deski platformy i jakoś utrzymał swój ciężar. To coś nie było zwierzęciem. Potrafiło wykonać fachowy sprzęt do wspinaczki, używany przez górskie plemiona Miszteków i Zapoteków. I Tlaszkan.

Tak, to mógł być jeden z wojennych jeńców. A może zwyczajny dłużnik. Na policzku miał coś jak zatarty klanowy tatuaż, ale mogło to być także piętnem wypalonym przez wierzyciela. Wielu dzikich trafiało do Dołów za długi. Jak mawiał Maczurai, między dwoma łyczkami luksusowego *pulque*, ci z plemienia nie chcieli się dostosować.

Od kiedy susza, szara choroba i wyrąb przegnały z ich kniei zwierzynę, nie mieli już na co polować. Ale ten typ był wyższy i bardziej umięśniony od każdego dzikusa, jakiego Tennok widział. Jakim cudem uchwycił się taki ogromny, gdy pod ziemią skazańcy zdychali z głodu?

Nie widział twarzy tej nie całkiem już ludzkiej istoty. Maskowała ją warstwa brudu, opuchlizny i krwi oraz strzecha zlepionych włosów. Tennok wzdrygnął się, gdy przez moment poczuł na sobie wzrok istoty.

Nie było w nim już nic ludzkiego. Może nie było nigdy, a może zawdzięczał to legendarnej gościnności klanu Turkusowej Włóczni. Miody, szalenie podekscytowany skryba objaśnił księciu przebieg wydarzeń. Skazaniec uczeplił się jakoś platformy z urobkiem, wyskoczył i zmylił strażę. Potem usiłował się wdrapać na mur. Ścigany, rozerwał na strzępy kilku żołnierzy.

Tennok spostrzegł trzy przykryte jutowymi płachtami ciała. Szary materiał w kilku miejscach zdążył już przesiąknąć krwią. To musiały być potworne rany.

- Sam, bez żadnej broni. To na pewno jeden z podziemnych demonów, tych co ponoć w ogóle ich nie ma! - dopowiedziała kucharka złośliwie, mrugając na stojącego w tłumie gapiów młodego, zakłopotanego kapłana.

Tennok uśmiechnął się. Zawsze lubił patrzeć na uniki i wicie się władzy, choć w teorii sam do niej przecież należał. Oficjalnie w Dołach nie było zjadaczy, a odkarmieni górnicy spokojnie dożywali swoich dni. Oficjalnie bogowie kochają nas, otaczając troskliwą opieką. Tennok też miał swoje ładniejsze, propagandowe oblicze. Czasem żałował, że nie żyje w tej lepszej wersji.

- To kara za naszą pychę - piszczła kucharka z dumą.

Kapłan skrzywił się, zirytowany. Święci mężowie wielokrotnie rytualnie oczyszczali kopalnie. Jeżeli zaległo się w nich coś złego, byłby to dowód ich niekompetencji. Spojrzał na kobietę z potępieniem, przybierając pozę zatroskanego, zażenowanego cudzą ignorancją mędrca.

- To przecież zwykły dzikus. Otomi albo inny Druazzi. Barbarzyńca, ale mimo wszystko, człowiek. A więźniowie zawsze ze sobą walczą - powiedział sucho.

- Dlaczego go nie zabiliście? - zainteresował się Tennok.

- Rozkaz z góry - w głosie strażnika zadrgała tłumiona niechęć.

- Mamy się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja na dole. Być może mamy tam mały problem..., niewielką kolonię zjadaczy. Ale trudno w to uwierzyć. Każdy wie, że zjadacze nie zbliżają się do miast.

- I co, dużo się już dowiedzieliście? - Tennok zerknął z powątpiewaniem na więźnia, w którego gardle wciąż wzbierał i bulgotał warkot.

- Niewiele. Chyba trzeba go będzie uśmiercić. Skurwysyn zabił trzech naszych, gdy próbowaliśmy go schwytać. Rozerwał im gardła jak zwierzę. Gdyby nie długie włócznie, załatwiłby nas - poskarżył się zbrojny.

Jakby na potwierdzenie jego słów, stwór zaskowyczał i mocniej natarł na kraty. Zatrzeszczały niepokojąco, Tennok przysiągłby, że w kilku miejscach dębowe pręty były zgniecione jak trzcinki.

- A jeśli wyłamie kraty? Już kazałem sprowadzić łuczników. Inaczej będzie tu kolejna jatka - ponuro obwieścił żołnierz.

Tennokiem targnęły mdłości. Odsunął się od klatki, zły na siebie, że uległ zaciekawieniu. Ugania się za bzdurami, rozprasza, zamiast poważnie planować przyszłość. Co najgorsze, niewolnik z jamy miałby w jego sytuacji pewnie większe szanse. Tennok już wiedział, że nie potrafi sprostać wymogom ojca. Może powinien zabić starego skurwysyna? Tylko jak?

Wielu próbowało, Taraskowie, Tlaszkanie, nawet Białe Diabły. Koczownicy, którzy go okrążyli, zdołali wprawdzie uszkodzić mu nogę, ale ojciec chełpił się, że żaden nie wrócił opowiedzieć o swoim sukcesie. Tennok miał takie widoki na ojcobójstwo, jak kurwa z nabrzeża na zachowanie cnoty. Ale i tak udał się na spoczynek z mocnym postanowieniem, podsycanym przez niegasnący gniew.

*

Następnego dnia Tennok wszedł do sali tronowej, ściskając potężny jadeitowy kolec. W sam raz, żeby dźgnąć nim w tętnicę szyjną. Uznał to za ironię losu i swoisto epitafrum. Oto on, tchórzliwy i nieudolny bluźnierca, złoży bogom ofiarę z

własnego ojca. Obyście się nią udławili!

Korytarze pałacu były dziwnie opustoszałe i milczące. Minał dwóch gwardzistów, którzy otworzyli mu wrota. I przeżył szok. Pleciony tron Maczuraia stał pusty. Nie było jego straży przybocznej, kurew ani pochlebców. Tylko pstrokate papugi srały na turkusową posadzkę. Teraz, gdy ślady ptasiego gówna upstrzyły piękne mozaiki, ich rola w ceremoniale stała się jasna. Nic tak nie uczy dworaków i petentów pokory, jak odrobina guana za uszami. Poza ptakami w komnacie przebywał człowiek, który na widok księcia uśmiechnął się złośliwie. Myngus był sekretarzem Maczuraia i wyręczał go w delikatnych zabiegach, które wymagały dyplomacji i taktu. Znał dobrze Tennoka, niezawodne źródło kłopotów.

- Masz mocny sen, książę - powiedział.

Tennok nie zwrócił uwagi na tytuł, jakiego użył dworak. Był nabuzowany, jak zwykle po burzliwym, męczącym dniu szukał okazji, by odplacić światu pięknym za nadobne.

Światu, albo jednemu z jego przedstawicieli.

- Oczekiwałeś, że będę całą noc szlochał ze wstydu? Pierdol się.

Myngus uśmiechnął się dyplomatycznie.

- Nie zbudziły cię race, fajerwerki i trąby, błagalne hymny, lamenty i treny? Nawet chór stu siedemdziesięciu dziewic, zawodzących do bogini księżycy? A tak na marginesie, zwróciłeś uwagę, że co roku wystawiany chór dziewic jest mniejszy?

Chłopak ziewnął. No tak. Fajerwerki. Jedną z niewielu rzeczy, które Kruzowie przejęli od Białoskórych, był proch.

Podobno Quinatzin z powodzeniem zastosował go teraz na wojnie z Tikal. Świetnie.

Wolał już, by używano go do zabijania niż bezsensownego zgiełku.

- Do rzeczy. Czego chcesz?

- Mam rozkaz przygotować cię do drogi. Wybierz ludzi, których ze sobą zabierzesz.

- Ale dokąd? - Tennok czuł się, jakby wypił jakiś odurzający wywar. Głos wibrował w jego uszach niczym muzyka trąb.

- Przyszła wiadomość z Tollan. Podpisana przez wielkiego kanclerza Raganatla. Przedwczoraj, po latach starań, roszczenia Turkusowej Włóczni do panowania nad Yugal zostały uznane przez Zgromadzenie Kruzów. Koniec z tymczasową regencją i władzą zewnętrznych namiestnikowi Powiadają - doradca ściszył głos i uśmiechnął się, napawając się własną wiedzą - że ma to coś wspólnego z tym, że Quinatzin interesuje się naszymi kopalniami. Po ostatniej kampanii ceny *braazatalu* ostro szybują w górę. Twój ojciec, Maczurai, oficjalnie obejmie panowanie nad miastem. Dlatego chce z tobą mówić.

Tennok zadrżał. Jego stary był nieobliczalny i teraz, upojony tryumfem, mógł dopuścić się wszystkiego. Na przykład stwierdzić, że skoro zakłada dynastię z prawdziwego zdarzenia, potrzebuje też dziedzica w najlepszym gatunku. Normalny ojciec w takiej sytuacji kazałby go dyskretnie i kulturalnie zadusić. Maczurai nie był normalny.

W drodze do komnat ojca Tennok zatrzymał się przy pokoju swoich młodszych braci. Dobiegały stamtąd powarkiwania. Otworzył drzwi i odruchowo się cofnął, gdy w jego stronę potoczył się prychający i warczący kłębek. Oczywiście bili się. Po długich, morderczych treningach z Cahuotlem tak właśnie spędzali wolny czas.

Tennok wstydził się do tego przyznać, ale Kazelqin i Nacetuhotl niepokoił go. Trudno uwierzyć, że mieli tych samych rodziców. Już teraz, w wieku dziewięciu i ośmiu lat, byli lepszymi wojownikami od niego. Mocno zbudowani, krwiożerczy i popędliwi, zawsze napawali Maczuraia i Irdanę dumą. Krew z krwi, i tak dalej. Jego bracia byli urodzonymi Kruzami.

Zapaśnicy rozplątali się jakoś i stali teraz, zaczerwienieni, dysząc z satysfakcji. Trudno było stwierdzić, kto wyszedł ze starcia zwycięsko. Młodszy bracia chowali się niczym wilcze bliźnięta. Przyglądali się Tennokowi z kamiennymi, nieprzeniknionymi twarzami.

Z jego płaczliwej gęby każdy mógł czytać jak z księgi.

- Pokazać ci szczura? - zapytał Kazelqin ochryple.

Często wrzeszczał i już teraz miał głos przepitego wiarusa. Urodzony przywódca, kurwa.

Tennok ruszył za nimi do zagraconego kąta, gdzie w drewnianej klatce trzymali zwierzę. Tennok także hodował kiedyś szczura. Zawsze chciał mieć przyjaciół, w końcu, z braku laku stał się miłośnikiem małych i wrednych gryzoni. Urządził nawet coś na kształt wydzielonego ogródka, ze skałkami i norami. Miał wtedy trzynaście lat i był kłębkim nerwów. Przechodził akurat mutację, jego głos stał się zdradziecko piskliwy, a ciało zaczęło generować rozmaite wstydliwie płyny, czasem w bardzo przyjemnych okolicznościach. Wciąż też wspominał krwawą próbę przewrotu pałacowego, chwalił więc sobie wszystkie, najdrobniejsze nawet enklawy spokoju i ładu. Jego zwierzątko, które nazwał Muczkin, odpłacało mu za troskę szczerym przywiązaniem. Lubił wyobrażać sobie rozmaite historie ze zwierzęcego świata, w których Muczkin odgrywał rolę herosa i zbawcy.

Wszystko układało się pięknie, do czasu gdy Irdana zorientowała się, że jej pierworodny, zamiast polować i ćwiczyc, spędza dnie w czterech ścianach. „Niepokoi mnie to” - oznajmiła z zaciśniętymi ustami, jakby wypluwała żmiję. Tennok milczał. „Rozumiem, mamó. A mnie niepokoi wszystko inne”. Nie pojmował jeszcze, że Irdana martwiłaby się o niego niezależnie od tego, co by sobie upatrzył i wybrał.

Potem Muczkin po prostu znikł. Tennok miał dość rozumu, żeby nawet o niego nie pytać.

Szczur, którego hodowali bracia, był bardzo podobny, niemal identyczny. Na pewno nie był to ten sam zwierzak, szczury przecież nie żyją tak długo. Zresztą ten szczur też nie miał przed sobą długiego życia. Chłopcy zagłodzili go prawie na śmierć.

- Ojciec mówi, że jesteśmy odważni - rzekł Nacetuhotl z dumą.

- Przywiązanie osłabia odwagę. Litość też - zawtórował mu Kazelqin.

Tennok milczał. Patrząc na swoich braci, wcale nie czuł się bardziej odważny.

- Maczurai często was chwali? - zapytał możliwie obojętnym głosem.

Chłopcy milczeli, ich małe oczka lśniły dziecięcą chytryością. Dobrze wiedzieli, kim był ich brat.

Byli jak miniaturowe kopie ojca, tyle że bez tak rozległych blizn i z nieuszkodzonymi nosami. Ciekawe, kiedy mnie zabiją, pomyślał Tennok i ruszył na spotkanie z ojcem.

Nie widział jeszcze Maczuraia tak podekscytowanego. Świeżo upieczony władca Yugal oddychał chrapliwie, nie mogąc ustać w miejscu. Słudzy przynosili mu kolejne pierzaste szaty i płaszcze, rosnące w przepyszną, wielobarwną stertę.

- Dość - warknął niecierpliwie, zrzucając z ramion czerwone okrycie z kwezala, za które można by kupić kilka wsi.

- Przynieście mi moją zbroję. Jestem Orłem, na Drogocenną Wodę!

Słudzy zakrzętnęli się, uprzedzając ewentualny gniew pana. Książę, już w czarno-złotym, szamerowanym stroju, z czerwoną przyłbicą z orlego dziobu i naramiennikami z przeplatanych jak kolczuga szponów, uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze. Stał przed jedną z niewielu osób, które tolerował.

Tennok z pewnością nie zaliczał się do tej garstki wybrańców.

Chłopak przelknął ślinę, starając się wyglądać na mniej zgarbionego niż zwykle i w rezultacie jeszcze bardziej się skulił. Nawet jeżeli udało mu się w obecności ojca uspokoić umysł, ciało i tak robiło swoje.

- Wzywałeś mnie, ojcze. A tak w ogóle, gratuluję - wydukał, wbijając wzrok w posadzkę, jakby szukał ukrytych pod kamieniami klejnotów.

Maczurai skrzywił się. Ubrany w czarne szaty, miał w sobie coś ze ścierwojada szukającego padliny.

- Tak. Zgodzisz się, że zawsze się średnio dogadywaliśmy. Może byłem za bardzo - zagłuszył końcówkę chrząknięciem - surowy. Ale martwiłeś mnie, chłopcze, i dziękuj bogom, że podczas Przejścia sprawiłeś się zaskakująco przyzwoicie. Daje to pewną nadzieję. - Patriarcha zapatrzył się na ścianę z malowidłami bitewnymi, na których uwieczniono największe wiktorie rodu.

Zupełnie jakby któregoś dnia jego syn miał zostać przedstawiony w równie epickiej scenie. „Czemu nie. *Próba męstwa Tennoka Pierwszego*. W centrum obrazu on sam, kucający w zaroślach z podkasaną szatą. Na drugim planie dogasająca bitwa, której nie zaszczycił był swoim udziałem. W lewym dolnym rogu wygrawerowana w srebrze nowa dewiza rodu: *A może skończą przede mną?*”.

Poruszył się niespokojnie. Maczurai uśmiechnął się pojednawczo, co przy jego spiłowanych zębach dawało dwuznaczny efekt.

- Zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie przekażę ci tronu?

Bogowie, dzięki wam. Zakłuję stu na śmierć, żeby tę wdzięczność wyrazić. Nie stanę się taki jak ty.

- Kazelqin i Nacetuhotl są jeszcze dziećmi, ale zgodzisz się, że sprawią się lepiej niż ty, zwłaszcza w dowodzeniu i w walce. Są najlepszymi kandydatami, zwłaszcza odkąd opuścił nas biedny Izumtli.

Tennok przełknął ślinę. To, że Izumtli, jego prześladowca z dzieciństwa, razem z równie krwiożerczą matką dał gardło w haremowych rozgrywkach, było jednym z przypadków, którym zawdzięczał życie. Maczurai przyglądał mu się spode łba. Jakby to, że Tennok przetrwał, do dzisiaj go zastanawiało. Ta iskierka zawsze kryła się w jego spojrzeniu. Niedowierzenie? Pogarda?

Jakby wciąż zadawał sobie pytanie, jakim cudem spłodził tak pocieszny pokrakę. Albo z kim musiała się pokładać Irdana, by urodzić mu coś podobnego.

Maczurai chrząknął i zazgrzytał zębami.

- Według prawa to ty jesteś moim dziedzicem. Jak wiesz, najstarszy syn każdego z książąt musi udać się na dwór Quinatzina jako... szlachetnie urodzona gwarancja. *Tlatoani* sądzi, że zapewni sobie w ten sposób lojalność wysokich rodów.

- Maczurai potarł zabliznioną pozostałość po swoim arystokratycznym profilu. Ojciec robił tak zawsze, gdy kłamał, i Tennok miał nieprzyjemne przeczucie, że właśnie wystawia go do wiatru. Jego albo *tlatoaniego*. - To królewski rozkaz. I wielki zaszczyt, dla ciebie i całego rodu. O świcie wyruszysz

więc do Tollan. Czeka na ciebie miejsce w Korpusie Jaguarów. To elitarny pułk, w którym służą szlachetnie urodzeni prowincjusze. Pamiętaj, że będziesz tam kimś w rodzaju... ambasadora. Twoja słabość i ewentualna porażka będą zachętą dla naszych wrogów - dokończył z naciskiem.

Świetnie. Nie powiedziałaś tylko, że król Kruzów odrąbie mi głowę, gdy tylko mu się narazisz. W sumie czemu miałbyś tego nie zrobić, tato? W końcu obchodzę cię tyle, co zeszloroczne pierdnięcie.

Czy ojciec przejąłby się jego śmiercią? Niekoniecznie. Tennok przypomniał sobie pochwały, jakie padały z ust Maczuraia pod adresem jego młodszych braci. To na nich mu zależało. On, Tennok, mógł być tylko celową podpuchą. Zmyłką.

No i pięknie. Na liście najbardziej idiotycznych funkcji Zastępowalny Zakładnik plasuje się bardzo wysoko. Zasiada obok Stuletniej Dziewicy, Nieśmiałego i Koleżeńskiego Boksera, Poszukującego Pisarza Nie Bardzo Obdarzonego Talentem i Brzydkiej Dziewczyny z Bogatym Życiem Wewnętrznym...

Maczurai czekał, bębniąc palcem o ramę obrazu. Tennok skulił się jeszcze, jakby mogło mu to w czymś pomóc.

A może ten męzny kretyn wreszcie pojmie, że nie nadajesz się do tyo wszystkiego, przemówił w nim hardy głos.

- Ale obiecałeś... ja... - Poczucie krzywdy i żal nad samym sobą sprawiły, że słowa utknęły mu w gardle.

Powiedziałaś mi, że nie każdy nadaje się do walki. Niektórzy książęta zostają kapłanami, astrologami i uczonymi. Poetami. Obiecałeś. To nic, że byłeś wtedy pijany i dobrotliwy, stan równie rzadki w twoim robaczywym życiu, jak gównno chorego żołnierza. Obiecałeś!

- Sytuacja się zmieniła. Król chce widzieć w stolicy mojego najstarszego syna... więc go dostanie - mruknął Maczurai i odwrócił się. Jak każdy urodzony przywódca, czy zatwardziały przestępca, nigdy do niczego się nie przyznawał. I zawsze oddawał cios. - Gdybyś nie był taką tchórzliwa cipą, podziękowałbyś mi za to. Tollan potrafi zachwycie Dziewczęta, wino i śpiew, tawerny z pieczonym ptactwem znad jeziora.

Omlety z owadzych jajeczek, najlepsze żarekko na kaca. Sam bawiłem się kiedyś w stolicy...

Maczurai uśmiechnął się do wspomnień. Na pewno były uroczę. Tennok mógł tylko żywić nadzieję, że ktos przeżył.

- Dałem już rozkazy eskorcie, wszystko jest przygotowane. - Książę uśmiechnął się na myśl o dziesiątkach istot potulnie realizujących jego plany.

Chłopak powinien teraz odwrócić się bez szemrania i odejść. Takie były zasady ich gry.

- Nie mam *ursa*. Muszę wybrać nowego cienia. Gdybyś nie zabił Sippo...

Maczurai powstrzymał go krótkim, brudnym gestem, który nieprzyjemnie kojarzył się z łamaniem ludzkiego karku. Cóż, młody miał trochę racji. Każdy szlachetnie urodzony gówniarz w stolicy będzie miał swojego *ursa*. Dzięki tym żalosnym półludziom szlachta mogła dać bogom dwa razy więcej Wody.

Łypnął na syna z niechęcią.

- Zgoda.

To był naprawdę dziwny wieczór. Po raz pierwszy od bardzo dawna - od czasu przygotowań do Przejścia - nikt nie zwracał na niego uwagi i nie usiłował go pouczać, wspierać lub gnoić.

Tennok cieszył się, że wyrwie się z Yugal, ale wiedział, że będzie tęsknił. Wiedział też, co oznacza podróż do Tollan. Miasto Trzcina było stolicą świata i wszystkich Prawdziwych Ludzi. Najwyższy Król trzymał tam dzieci swoich wasali, namiestników i zarządców jako gwarancję uległości.

Ale czy Maczurai potrafi słuchać rozkazów?

Chłopak poczuł zimno w żołądku i przelknął ślinę. Jego dalszy los nie będzie już zależał od tego, czy zdoła ukrywać swe tchórzostwo, lecz od polityki i intryg. Przynajmniej przyznali mu trochę władzy.

- Powiedziałeś, że mogę wybrać, kogo chcę? - upewnił się.

- Tak, panie. Musisz zabrać garderobianą, łaźniebnego, kucharza i wojowników eskorty. Do tego nowego *ursa*. Twój ociec kazał mi sporządzić listę odpowiednich kandydatów, i jeśli... - rozgadał się Myngus.

Tennok pokręcił głową i minął urażonego dworaka. Wiedział,

że każdy z poleconych będzie nadzorcą i szpiegiem. No, może poza Cahuotlem.

Ruszył na dolny dziedziniec i stanął przed schodami do Dołów. Zszedł po stopniach z wilgotnych kamieni, dławiąc się od smrodu. Na najniższym poziomie czekali skazani na śmierć.

Księżę stanął przed stosem trupów- i utkwił wzrok w bladej, zbryzganej czerwienią postaci. Skazaniec uniósł głowę. Posłał mu spojrzenie pełne zwierzęcej rozpaczy. I rozpoznał go. Smutek prysł, zastąpiony błyskiem, brudna twarz zadrgała nadzieją.

Tennok uśmiechnął się. Dzikus miał w sobie tyle woli życia, że można by nią obdzielić dwudziestu szlachetnie urodzonych wymoczków.

Potrzebował właśnie kogoś takiego. Do tego jego serce wypełniło miłe poczucie spełnienia dobrego uczynku. Spojrzał na niewolnika z przyjemnością. Lubił, gdy ludzie coś mu zawdzięczali. Ten osilek z pewnością będzie warował przy nim jak pies. Podobno barbarzyńcy łatwo się przywiązują. Czuł też, że zdołał coś w ten sposób naprawić. Wciąż nie opuszczało go poczucie winy z powodu tego, jak skończył jego poprzedni *urs*. Tamten dzieciak nie wyrządził nikomu nic złego. Czy można ocalić kogoś w zastępstwie? Tennok doszedł do wniosku, że owszem.

Życie za życie, Sippo. Życie za życie.

Rozdział 12

Pałac Grani zawsze przyprawiał Szaratangę o ciarki. Teoretycznie wojownik był gotów na spotkanie z Radą, w praktyce jeszcze nigdy nie czuł się mniej na miejscu. Nie podobał mu się nastrój desperacji i podejrzliwości odczuwany na każdym kroku. Dworzanie otwarcie szeptali na jego widok i żegnali się, ponurzy strażnicy wyglądali, jakby ledwo hamowali się przed zarządaniem nowo przybyłego.

Ogromny przedpokój, strzeżony przez gwardzistów w białoczerwonych strojach, przytłaczał wysokością sklepienia i tematyką fresków. Zmagania przodków, planet i gwiazd były brutalne i odmalowane z dbałością o detal, w kolorach krwawej czerwieni i słynnego majańskiego błękitu. Nic nie wskazywało na zakończenie konfliktu, zastygłego w wiecznej kulminacji.

Szar zadał głowę i przełknął ślinę, dziękując bogom, że nigdy nie spotkał stąpającej po ziemi planety. Według ocalałych, niepełnych przekazów z Kłątwy były one trudne do kontrolowania i nie odróżniały sprzymierzeńców od wrogów. Nawet Kruzowie panicznie ich się bali.

Z ulgą zwrócił wzrok niżej, ku szarej codzienności. Komnata pełna była wymęczonych, znękanych petentów i rosłych, uzbrojonych po zęby mężczyzn, którzy ich pilnowali. Nic tak dobrze nie robi na szacunek dla majestatu, jak drab z pałą. Szaratanga mijał kolejnych strażników, pozdrawiając skinieniem tych, których znał. Zwykli, frontowi żołnierze witali go z radością; wymuskani gwardziści, na co dzień służący na pokojach - już niekoniecznie. Równie dobrze mógłby pozdrawiać bryły lodu.

Potem był Korytarz Pamięci. Pod ciemnymi ścianami stały wypolerowane zbroje Dobroczyńców, z halabardami, mieczami i puklerzami. Tworzyły milczący szpaler.

Domyślał się, że zadaniem tego żelastwa było przypominanie ludziom, że wciąż wspierają ich dawni sprzymierzeńcy.

Śmiałkowie, którzy zdruzgotali hegemonię starożytnych Kruzów i przynieśli wolność niezliczonym plemionom ciemieżonym przez Pierwsze Przymierze. Z upływem wieków milczenie metalowych sylwetek stawało się coraz, bardziej szydercze.

Zdaniem Szaratangi przypominały już tylko o jednym -Prawdziwi Ludzie zostali sami i mieli przesrane. Dobroczyńcy w szalonych latach Klątwy obrócili się w proch, ich dzieło nie zostało skończone. Ze starożytnych narodów, które niegdyś stanęły do walki, już tylko Tlaszkanie stawiali opór potężnym Kruzom.

Idąc, wspominał swój ostatni pobyt w pałacu. Pokłócili się wtedy z Leyre straszliwie, jak przekupki na targu, wystawiając dyskrecję gwardzistów na ciężką próbę. Szar schował się potem i przyczaił. Wolał nie czekać na wybuch królewskiego gniewu, gdy Papan dowie się w końcu o miłostkach swojej młodej żony.

W tamtych latach marzył o Leyre nieustannie, dla niej jadł i dla niej zabijał. Nawet gdy mocował się ze śmiercią w przepelnionym, opanowanym przez muchy lazarecie, wyobrażał sobie, że głośnie jęki rannych mają inne, przyjemniejsze źródło i że to ona dyszy w jego ramionach. Jedno wydawało się pewne: to była obsesja i pozostało mu wziąć tę dziewczynę, nie bacząc na nic, lub czmychnąć.

Szar czmychnął.

Oficjalnie opuścił armię pod pretekstem wypalenia i obowiązków rodzinnych. Nie wszyscy w to uwierzyli. Wielu w Tlaszkali zastanawiało się, dlaczego wschodząca gwiazda armii opuściła dwór, wyrzekając się świetnej kariery. Spekulowano, że chodziło o konflikt z generałem Osappą albo o rany odniesione w Dolinie Czarnego Krzyku. I tylko Szar wiedział, jak było naprawdę.

Przyczyna pozostawała jedna, a na imię miała Leyre.

Kiedy się poznali, był już sławnym dowódcą, a ona najmłodszą żoną władcy Doliny, Papaną. Szar mógł uważać jego niektóre decyzje za błędne, ale pamiętał, że zawdzięcza mu wiele.

To Papan dostrzegł potencjał młodego wojownika, opromienionego sławą tego, który uciekł Kruzom. Były też inne przeszkody, które wyrastały jak ciernie z zatrutych wspomnień niewoli. Gdy miłość ogarnęła ich jak ogień trawę po zimie, Szar stanął przed gorzkim wyborem. Ocalić honor, czy złapać szczęście, ulotne jak pióro kwezala, który dawno zanurkował w chmury? Szar wybrał honor i zapłacił szczęściem. Pohamowana pokusa wracała, podmywając fundamenty jego życia. Podkopała w nim miłość do Enishy i dzieci, poczucie obowiązku i dumę. Nawet honor do reszty mu obrzydł. Żadna kobieta, którą miał, nie kosztowała go tyle, ile Leyre.

Pamiętał, że komnata, gdzie obradowała Rada Grani, miała kształt jaja i mieściła się na szczycie najwyższej wieży pałacu. Jakiś niespełniony architekt uroił sobie, że rozległy i wszechstronny widok z okrągłych okien podkreśli majestat szacownego gremium. Szaratanga miał ochotę przetrącić mu kulasy i posłać na górski patrol. Na szczęście jego kolana sprawowały się ostatnio znacznie lepiej. Szar zaczął nawet podejrzewać, że to nie z powodu nóg poprosił przełożonych o zwolnienie ze służby. Czyżby zszargane zdrowie i płacz opuszczonych dzieci nie były dla niego tylko wygodnym pretekstem? Co chciałeś ocalić, Szar?

Wdrapał się po krętych, wyslizganych schodach, zameldował podejrzliwym gwardzistom i stanął przed rzeźbioną drabiną, stanowiącą ostatni etap. To rozwiązanie dobrze oddawało paranoję panującą w Tlaszkali. Jeżeli do siedziby rządu wchodzi się przez klapę w suficie, z drabiną, którą można wciągnąć do środka, to znaczy, że władza traktuje kwestię bezpieczeństwa naprawdę poważnie.

Postanowił nie czekać na zapowiedź herolda i gwałcąc uświęcony protokół i ceremoniał, wślizgnął się do sali obrad. Chciał ich sobie obejrzeć niezapowiedziany, nim przystroją się w przewidziane na tę okoliczność grymasy i maski. Nawet z uszkodzonymi nogami Szar zachował biegłość w takich dyskretnych manewrach. Miał też odrobinę szczęścia. Rada była w komplecie i warujący niedaleko wejścia herold nikogo się już nie spodziewał. Nie spostrzegł nawet, jak Szaratanga

przesunął się w ceń kamiennego filaru.

Wspaniale udekorowana, najeżona kolumnami komnata roła się od starców, bogatych, wpływowych i wrednych. Tlaskala nie była scentralizowaną monarchią, lecz koalicją miast, z których każde miało własnych kacyków i generałów.

- ... upadek Wielkiego Tikal pociągnie za sobą straszliwe konsekwencje. Nasz wypróbowany sojusznik zaopatruje nas w bawełnę i drewno, dzikie ptactwo, kukurydzę, a także jaja: owadzie, gadzie i ptasie. Nieuchronna przegrana... - referował flegmatyczny dostojnik, ani chybi opłacany przez gildie kupieckie.

- Na rozwleczone flaki Księżycowej Suki! - Generał Bykotzin uchodził za solidnego jak skała i równie elastycznego. Czasami jego maniery, a raczej ich brak, były błogosławieństwem. Teraz zacisnął masywne szczęki, które wyglądały, jakby zaprojektowano je do kruszenia skał i żucia żwiru. - To nasze lby pospadają, a nie obroty handlowe! Przystaniesz skamleć?!

Władca Tlaskali, Papan, siedział ze smutno zwieszoną głową. Szaratanga poczuł, że na widok króla ból ściska mu serce. Daremność, to było najgorsze. Daremność. Gdy wyjeżdżał, już było źle. Pamiętał, jak energia, która zawsze przepelniała Papaną, owocując dziesiątkami projektów i usprawnień, ulatnia się i wietrzeje. Jakby ktoś przebił jego duszę ofiarnym kolcem, oddając jej zawartość, emocje, marzenia i pasje jakimś głodnym, łapczywym istotom.

Wojownik wiedział z własnego doświadczenia, że w duszy każdego człowieka są drzwiczki do takiej zachłannej otchłani. Otwierają się, wpuszczając okrutne pytania.

Kim jesteś i czego dokonałeś? Ile jesteś wart? Po co żyjesz, na Ołtarz i Krew?

Biada temu, kto ich nie pilnuje, biada temu, kto nie zabarykadował otchłani. A przecież Papan był dobrym, szlachetnym człowiekiem. Przyzwoitym i trzeźwo myślącym. Mo/e za dobrym na to gniazdo spiskujących szerszeni. Za dobrym na czasy wojny. W lepszym, sprawiedliwszym świecie zapisałby się w pamięci poddanych jako fundator akweduktów i dystrybutor ziarna. Niestety, świat, w którym żyli,

potrzebował kogoś zupełnie innego. Melancholijny, powściągliwy władca był w nim tak nie na miejscu, jak dowcipniś na uroczystym pogrzebie.

Papan brzydził się wojną i śmiercią i właśnie za to Szaratanga darzył go takim szacunkiem. Władca Grani powiedział mu kiedyś: przyjacielu, potrzebujemy siebie nawzajem. Bez ciebie moje budowle runą. Beze mnie śmiałkowie tacy jak ty nie będą mieli gdzie wracać po bitwie.

W obliczu miazdzącej przewagi Kruzów dotychczasowa defensywna taktyka ich ludu oznaczała czekanie na klęskę.

Tlaskala potrzebowała zbrodniarza, żeby przeciwstawić się złowrogiemu geniuszowi Quinatzina. Kogoś, kto rozpieczętowałby skarbcę Dobroczyńców i na czele armii strzelców, kawalerii i ciężkozbrojnej piechoty zepchnął Kruzów z powrotem na niegościnnie pustynie. Był jeszcze czas, żeby wesprzeć Wielkie Tikal, był czas, żeby poszukać sojuszków. Ale Papan nie nadawał się do śmiałych posunięć. Paraliżowały go dwie cechy, których świat nie wybacza: sumienie i wyobraźnia.

Z biegiem lat Władca Grani nauczył się cedować coraz więcej zagadnień na licznych podwykonawców. Złośliwe języki szeptały, że właśnie dlatego tolerować przy żonie Szaratanga

Po doczekaniu stosownej chwili Szar uznał, że pora się zaanonsować. Kopnął w kostkę herolda, Któremu majestat Rady najwyraźniej uszkodził struny głosowe.

- Generał Szaratanga, Bicz na Kruzów, zwycięzca z Doliny Czarnego Psa - pisnął herold i posłał Szarowi spojrzenie pokrzywdzonego kundelka.

Zebrani zrobili miny, jakby ujrzeli ducha. Niekoniecznie ducha kogoś miłego. Nic się nie zmieniło, tylko powitalny ukłon Szara, ze zwyczajowym dotknięciem posadzki czołem, trwał znacznie dłużej niż kiedyś. Nie żeby nagle wzrósł mu szacunek do władzy. Wręcz przeciwnie. To jego przekłete kulasy, raz zgięte, nie chciały zmienić ułożenia, a na wszelkie próby reagowały dokuczliwym bólem.

Ciesz się, że w ogóle wstałem, gównojadzie, pomyślał, widząc, że świątobliwy Myfosso zmarszczył brwi na ten pokaz

ślamazarności. Kapłan pełnił funkcję nadwornego kapelana i pozostawał ważną osobą w państwie.

W Tlaskali monarcha był obieralny, co zapewniało monarchii trwałość i jakość kadr w razie niedyspozycji koronowanej głowy. Szar i Myfosso nie żywili do siebie szczególnie przyjaznych uczuć. Szar zresztą zawsze był zdania, że stary kapłan je znacznie lepiej, niż pości. Imię Myfosso znaczyło w tlaszka „flaga”. Zdaniem Szara, biorąc pod uwagę niewzruszone przekonania, moralność i hart ducha jego właściciela, powinno się go nazywać Chorągiewką.

Mężczyzna w popielatej, burej szacie, zasiadający obok pawio strojnego Myfosso, powinien zaś zniknąć, przytłoczony splendorem. Było jednak odwrotnie, jakby władczy hart i poczucie siły Zergosa dodatkowo pograżały obłego, jakby napuchniętego Myfosso. Zergos był męski, przystojny i krzepki. Miał stalowe oczy i groźne, często zmarszczone brwi. Do tego dumny nos patrycjusza i zmysłowe usta niestrudzonego kochanka. Wzbudzał szacunek i instynktowne zaufanie, tak potrzebne Kretom kryjącym się przed ludzkimi oczami. Szar zawsze czuł się nieswojo w jego towarzystwie, jakby to, że podobne usta odziedziczyła po nim Leyre, zadzierzgał między nimi jakąś duszną i niezdrową więź.

Większość z pozostałych dostojników też znał, na jego widok wyciągnęli szyje z niekłamanym zainteresowaniem sępów. Ale Szaratanga patrzył już teraz gdzie indziej.

Na tle tych kreatur jaśniała jak kwiecie wyrosłe wśród ruin, jak rosa na skórze trupa. Przysięgłby, że jej oczy rozbłysły na jego widok, ale biorąc pod uwagę, w jakich okolicznościach się rozstali, równie dobrze mogła przepełniać ją furia. Oczywiście nie patrzył wprost na nią, ale też nie omijał jej wzrokiem. Wciąż była boleśnie piękna.

Mąż Leyre obejmował ją władczym gestem, przysłuchując się zajadłej kłótni swoich doradców, ministrów i dupowłazów. Szar wstał tak szybko, na ile pozwolił mu stan kolan, i wyprostował się. Był większy od każdego na tej sali i mógłby większości z tych chujów ukreścić łby jak indykom, co dodawało mu nieco otuchy.

- Szaratanga, Lew Labiryntu. Królestwo cię potrzebuje i cieszy się, iż odpowiadasz na jego wezwanie - zapiał jakiś wysmukły młodzieniec.

Tego nicponia Szar nie znał. Musieli go spłodzić w kazirodczym związku, kiedy akurat nie patrzył.

Arystokrata mówił z napuszonym, staroświeckim akcentem, jaki czasem małpowali wędrowni pieśniarze. Ale szczeniak nie był pieśniarzem, lecz pieśnią. Jebaną pieśnią przyszłości.

Wielki bohater Tlaszkali uśmiechnął się nieszczerze i zmusił do kolejnego ukłonu, tym razem bez schodzenia do parteru.

- Przybywam, by służyć Grani! - szczechnął, nienawidząc siebie za wpojona wojskową uległość. Może jeszcze zamerdasz ogonem, odsłonisz brzuch jak szczeniátko i popuścisz kropelkę albo dwie?

Oficjele pokiwali głowami. Jeden z nich, młody mężczyzna o regularnych rysach i zdrowej, pogodnej twarzy zachwyconego samym sobą kretyna, do razu wzbudził w wojowniku niechęć. Obopólną. Młody człowiek zacmokał niczym wnikliwy uczonek, który ma problem z klasyfikacją przyniesionego robaka.

- Dla tych z nas, którzy przybyli na dwór niedawno, czy nie zechciałby pan przypomnieć nam czegoś o sobie, generale?

Przez twarz Leyre przeszedł skurcz gniewu. Jej mąż uśmiechnął się mile. Szar był pewien, że to on poszczuł na niego młodzika.

Był to jakże czytelny komunikat. Nie zostawia się jaśnie oświeconego dworu i nie zaszywa w głuszy na lata. Nawet legendy wietrzeją, Szar.

- Pytanie, kto pyta - warknął.

Papan zachrzakał pojednawczo.

- Szlachetnie urodzony Ellatzin jest wschodzącą gwiazdą naszej szkoły oficerskiej. Ukończył ją z wyróżnieniem i z pewnością będzie dla kraju bezcennym nabytkiem.

Ellatzin skinął królowi - który z tego, co Szaratanga kojarzył, był jego wujem czy stryjem - i uśmiechnął się perłowymi, nieskazitelnymi zębami. Gdyby ktoś spytał Szara, dawno powinno się je wybić.

- Pańska kariera od lat stoi w martwym punkcie, generale. A i

przedtem jej przebieg nie był wolny od rażących uchybień i błędów.

Wojownik odchrząknął i z rozmysłem puścił melę na przepiękny kobierzec. To już się stawało regułą. W każdym, ale to w każdym miejscu, do jakiego trafiał, podział pracy polegał na tym, że ci, którzy nie potrafili niczego, rozkazywali pogardzanym macherom. Zarządca kuźni komenderował kowalem zarządca chłopą koordynował machnięcia motyki.

Dworak i teoretyk ma tę wielką przewagę nad praktykiem, że nie musi popełniać błędów. Gdy ty obozujesz w polu, srasz w lesie, spóźniasz się, tracisz ludzi i mokniesz na deszczu. on sący błyskotliwe, nieomyłne elukubracje prosto do ucha władcy.

- Jedenaście. Zacząłem służbę jedenaście lat temu, chłopczyku. Pewne ssałeś wtedy czyjegoś cychocha. Albo chuja - mruknął.

Ellatzin poderwał się, sięgając po stalowy mieczyk, kosztowną broń zostawioną przez Białoskórych. Wąska klinga pasowała do tego cieniasa. Szarpnięty przez Bykoczina młodzieniec zachnął się i opanował, po czym, jak gdvby nigdy nic, powrócił do indagowania Szara.

Teraz już drżącym głosem.

- Studiowałem pana osiągnięcia, generale. Zarówno całe kampanie, jak i poszczególne bitwy. - Dworzanin wsparł szlachetnie rzeźbiony podbródek na równie szlachetnych palcach. Ograniczyło to w znacznym stopniu jego drżenie. - Po pięciu latach niewoli zdołał pan uciec od wroga i mimo poniesionych kosztów niezwłocznie powrócił do armii. Dziwne. Niejeden na pana miejscu wolałby trochę odpocząć.

- Wróciłem z powodu tego, co zobaczyłem u Kruzów - powiedział Szar.

W zapadłym w komnacie milczeniu wyraźnie odcinało się bzyczenie muchy, bębnienie czyichś palców i nerwowe przetykanie śliny.

- Mianowicie?

- Ujrzałem determinację. Ujrzałem potęgę. Ujrzałem naszą klęskę.

Rozległ się zduszony szmer, nikt jednak tego nie skomentował. Oficjalna doktryna obronna Tlaskali nie przewidywała nawet napomykania o prawdzie, nie mówiąc o wykładaniu jej na ławę. To, co powiedział Szaratanga, podpadało pod paragraf szesnasty: O *szerzeniu defetyzmu i osłabianiu woli walki*. Należał mu się stryczek.

- Rozumiem, że był pan w szoku. W następnych latach zdobył sławę. To były głośne w swoim czasie zwycięstwa. Hakkadur. Prynniko. I największe, Dolina Czarnego Psa. A potem pan odszedł. Możemy wiedzieć dlaczego?

- Z powodów osobistych - głos Szaratangi był wyprany z emocji, jak twarz bankiera, który informuje klienta o przeoczonym aneksie umowy. - Moja żona nie mogła już tego znieść.

- Czego? - wtrącił Papan, podniosłszy głowę znad własnych palców, które z uporem skubał. Leyre patrzyła w okno, na tle ramy jej twarz wyglądała jak obraz. Ale obrazy nie zagryzają ust, nie muszą powstrzymywać łez.

Szar wpatrywał się w swoją prawą dłoń, tę od miecza, która drgała, jakby obdarzona własną wolą, gotowa się zacisnąć i zabić.

- Obawiała się, że polegnę. Jak to żona żołnierza, królu.

Papan chciał powiedzieć coś jeszcze, w jego spuchniętych oczach nagle zamigotał gniew. Wiedział. Szar nie pozwolił sobie na wstrętny, złośliwy uśmiezek, choć jego dusza krzywiła się już paskudnie. Miał przesrane.

- Powierzamy ci wyjątkowo wymagający odcinek. Ktoś powiedziałby, że to odcinek straceńczy, ale my wszyscy wiemy, że dla zwycięzcy z Doliny Czarnego Psa nie ma niemożliwego - zagrzmiął generał Osappa.

- Z jakimi siłami? - Szar nie unosił głosu.

- Obejmiesz dowodzenie nad Synami Śmierci - obwieścił Papan, uśmiechając się łaskawie, jakby właśnie oddawał mu rękę córki. Albo żony.

- Z całym szacunkiem... przecież to zbieranina, najjaśniejszy panie - zaprotestował Szar.

Żaden Syn nie walczył w polu od czasu niesławnej Rebelii

Etlapatli, w której odegrali tak ważną i niesławną rolę. Ale nawet ich rewolta rozstrzygnęła się głównie w spelunkach i burdelach Grani. Od tamtej pory zhańbiony pułk nigdy nie osiągnął pełnego stanu i był zdemoralizowany jak źle opłacany urzędnik.

Szaratanga podejrzewał, że jednostka nie została rozwiązana tylko dlatego, by jakiś arystokrata mógł do listy tytułów dodać sobie stopień oficera. No i pobierać żołd. Teraz pewnie zapełnili wakaty bandą zbiegłych chłopów, czeladników i niebieskich ptaków.

- Nasze oddziały doborowe obsadzają obecnie Długie Mury. To nie Labirynt. Tu nie obronimy się sztuczkami. - Była to czytelna aluzja do jego zwycięstw.

Szar ze świstem wypuścił powietrze. Cała sprawa zaczynała mu śmierdzieć. Czyżby to spóźniona zemsta urażonego męża? Pozbędą się go na głównej scenie podczas wystawiana tragedii pod nazwą Straceńcza Misja?

Szukał wzrokiem Pa'uka, ale twarz przyjaciela była nieprzenikniona jak księżyc. Bezkompromisowy generał Bykotzin gromił wzrokiem muchy bzyżące pod zdobionym sklepieniem.

Tylko Leyre zareagowała normalnie. Oburzona, zaczęła wachlować się, jakby ćwiczyła fechtunek, prawie policzkując męża. Wprawdzie Papan był spostrzegawczy niczym wypchana jaszczurka, stropił się jednak trochę na widok tej demonstracji pogardy.

- Nie odbieraj tego jako dyshonor, generale. Nasze siły są ograniczone. Ostatnio skrobimy łyżkami po dnie. Na tym arcytrudnym odcinku możemy przeciwstawić Kruzom tylko twoje wspaniałe imię. Żadne inne nie udźwignęłoby takiej odpowiedzialności.

Bykotzin chrząknął.

- Niechętnie to mówię, ale te azteckie skurwiele nikogo nie boją się tak jak ciebie, Szaratango. Utrzymasz Labirynt samą reputacją!

- Podczas gdy prawdziwa bitwa rozegra się na Długich Murach?

- Właśnie tak. - Bykotzin popatrzył na niego twardo.

A coś ty myślał, zdawały się mówić jego małe, twarde jak granit oczka. Że oddamy dowodzenie i chwałę facetowi, który „nie bawi się w politykę”? Który nagle znika na lata, by pielęgnować uschnięte rodzinne więzi? Panu „Mnie Nie Można Kupić”? Rycerzowi bez skazy, który czasem zapomina się i za plecami króla pieprzy królową? Chyba z Ołtarza spadłeś. I chyba nie masz wyboru.

Szar milczał, i wtedy odezwał się Pa'uk. Przyjaciel posłał mu pocieszające spojrzenie.

- Rozumiem wątpliwości Szaratangi. Nawet Lew Labiryntu nie może zrobić wszystkiego sam. Oczywiście, otrzymasz niezbędne wsparcie. Moje oddziały wspomogą twój pułk... przynajmniej do czasu, aż twoi żołnierze nabiorą doświadczenia.

- Podejmujesz się misji, generale? - spytał Zergos. Jego głos był wyzuty z emocji, jak to u Kreta, ale Szar nie pozwolił się zwieść. On i Zergos nigdy nie byli kumplami. Dla przywódcy Zakonu córka była bezcennym zasobem, który Szar sprzeniewierzył i zbrukał.

Szar stał w bezruchu tak długo, aż dostojnicy zaczęli się wiercić. Potem, gdy ich zniecierpliwienie wzrosło, a szelest rozmów stał się głośniejszy, posłał szybkie spojrzenie Leyre. Skinęła głową. Lekko.

Ale to musiało mu wystarczyć.

- Rozważę to, szlachetni panowie.

- Dobrze więc. Masz czas do jutra.

*

Kiedy już zsunął się po drabince sznurowej - swoją drogą ciekawe, czy gwardziści zadzierali lubieżnie łby, gdy z komnaty wyslizgiwała się Leyre - Szar poczuł się zupełnie wycieńczony. Nagle zapragnął się znaleźć w swojej dolinie. Czy on narzekał kiedyś na nudę?

Ale tam, poza spokojem kamieni, górskich dębów i nieba, czekała na niego Enisha, jego żona, wykarmiona kłamstwami i udawaną miłością. Choć były też i jego dzieci, krnąbrny,

łobuzerski Konakocz, zadający niekończące się pytania wiercipięta, kochane utrapienie. Malutka Minotli o wielkich oczach i igrającym na dziecięcej twarzyćce uśmiechu, biegnąca w jego rozpostarte ramiona jak tocząca się kula radości. Początek życia jest dobry, tylko potem coś zawsze wychodzi nie tak.

Pamiętał dreszcz, który niedawno przeszył mu serce, gdy spostrzegł, że Minotli już nie raczkuje, że pewne dźwięki i gaworzenia bezpowrotnie ustały, umilkły. Czasami dorastanie dzieci bolało Szara jak przekwi tanie radości. Tym właśnie były dla niego dzieci. Kruchymi, ufnymi kwiatkami, przy których drżał i zastanawiał się, kiedy wciągnie je i pochłonie skłębiony wir jego losu.

Po ponurym dostojęństwie gmachu Rady dziedziniec wewnętrzny przypominał wstąpienie do zaczarowanej krainy roślin i ziół. Dość pewnym krokiem skierował się w miejsce znane nielicznym: ogród warzywny i zielnik ukryty na tyłach katedry. Szaratanga lubił tutaj przychodzić, nie potrafił wysiedzieć zbyt długo w czterech ścianach. Bijące tu naturalne źródła i niewielkie poletka warzyw w razie oblężenia dawały fortocy względną samowystarczalność. Ten wiejski element w samym sercu królestwa zadziwiał cudzoziemców, lecz dla Tlaskalan był oczywisty. Górale byli praktyczni i nie marnowali nawet skrawka urodzajnej ziemi. Wojownik z przyjemnością odetchnął zapachem kolendry i szalwii i zamarł, słysząc muzykę. W katedrze Krwawego Chrystusa musiała się odbywać msza.

Nagle drgnął, czując, że ktoś stoi za jego plecami. Wytrenowanym ruchem obrócił się, dobywając noża. Ale nikogo już tam nie było. Teraz ten ktoś obejmował go już za szyję, szepcząc:

- Masz jeden jedyny odruch, Szar. To za mało. Ktos cię przejrzy i w końcu zabije.

- Nie dam mu tyle czasu. Nie skrzyżowałem z nikim ostrza dwa razy - mruknął, odsuwając się od Leyre.

Żachnęła się, wydymając usta.

- Ze mną krzyżowałeś.

Tak. I z żoną. Znał dobrze ten moment, gdy wszystkie postanowienia i obietnice wałą się jak wzniesiony na plaży zamek smagnięty błękitną falą. To tylko kwestia proporcji. A przecież obiecał, że już nigdy do tego nie dopuści. Nigdy.

- Po co przyszłaś? - zapytał, starając się na nią nie patrzeć.

- Muszę wiedzieć - powiedziała po prostu.

To było najgorsze. Mężczyźni trują o złych kobietach, ale najcelniej potrafią ugodzić te dobre. Liczył na gierki i fochy, te wszystkie babskie podchody, na które mógłby z czystym sumieniem się wkurzyć. I odejść.

W oczach młodej, pięknej kobiety, patrzącej na niego w napięciu, dostrzegał jedynie miłość. To było nie fair.

- Czekałam, kiedy wrócisz.

- Po tym wszystkim... musiałem przez chwilę być sam.

- Chwilę? Nie dawałeś znaku życia przez rok!

Szar skulił się. Wspomnienia Doliny Czarnego Psa zakłócały mu pod powiekami. Miał wrażenie, że w głowie roją mu się oszalałe żmije, wijące się w poszukiwaniu ucieczki. Zza szczęki broni, psalmów rzezi i charkotu ginących przebijały gorsze, dawniejsze błyski. Te, których nie mógł pamiętać, jeżeli chciał jeszcze żyć.

- Mam rodzinę, Leyre. I jestem im coś winien. Gdy walczę, kiedy zabijam, pozbywam się po kawałku duszy. Chciałem po prostu zachować dla nich tę odrobinę człowieczeństwa.

- Aha. Bo żeby być ze mną, już tego nie potrzebowałaś? Obywałaś się jakoś bez serca? - spytała złośliwie.

Milczał.

Wokół nich wiatr zwiewał liście z wiotkich zamkowych drzewek, ledwo co wyrosłych na niewdzięcznym, kamienistym podglebiu Miasta Grani.

Leyre odetchnęła głęboko. Na jej czole zarysowała się zmarszczka. Dziewczyna mimo wszystko zmieniła się przez te lata. Czuł, że pierwszy raz widzi w niej królową, a nie piękny kłopot. Nie żonę króla.

- Wtajemniczyli mnie, Szar. Trzy miesiące temu. Stan Papana pogorszył się, a Zakon Kretów ma obowiązek przekazywać Spuściznę siedmiu osobom świeckim spośród najważniejszych

obywateli Tlaszkali. Inaczej oskarżono by ich o kapłańską pychę.

Szar spojrział na nią, zaskoczony. To była wielka odpowiedzialność. Spuścizna, czyli tajemna wiedza Dobroczyńców, przetrwała wieki, obwarowana dziesiątkami zakazów i tabu. Była jak pudełko w pudełku, święta tajemnica zamkniętego przed światem królestwa. Spuścizna obejmowała sekrety metalurgii i rzemiosła puszkarzy oraz recepturę Szarej Śmierci, zwanej też Grzmiącym Pyłem. Leyre znowu go zaskoczyła. Dziewczyna, którą zapamiętał jako słodką i romantyczną obietnicę szczęścia - tym słodsza, że niedostępną - zaczęła żyć własnym życiem. I to jakim! Nigdy nie uważał jej za idiotkę, ale zgłębienie wiedzy Dobroczyńców było udziałem nielicznych. Nawet członkowie Rady i rodziny królewskiej często nie radzili sobie z tym zadaniem.

- Dziwi cię to? Odszedłeś, a ja miałam dużo czasu. Sądziłeś, że spędzę go na plotkowaniu i balach? - spytała z wyzwaniem w oczach.

- Skąd. Tylko kiedyś bardziej interesowały cię barwiczki do oczu niż Grzmiący Pył - roześmiał się Szaratanga.

Zgromiła go wzrokiem, ale widział dumę bijącą z jej twarzy. Zasłużoną, na Ołtarz i Krew!

- Oni jej się boją. Marnujemy ją, Szar. Teraz, gdy nasi sojusznicy osłabli, a wrogowie rosną. Rada lęka się, że Kruzowie użyją Spuścizny przeciw nam. I oskarżą o kultywowanie diabelskich kunsztów, o to, że gotowi jesteśmy znowu sprowadzić Klątwe.

- I mają rację. To akurat rozumiem, Leyre. Nie bez powodu musiałem się z nimi wyklócać o każdy drobiazg, stalowy pancerz czy miecz. Polegamy na magii Dobroczyńców, ale musimy robić to cichaczem, bo świat rozerwie nas na sztuki.

- To już nie wystarczy. Nie na Quinatзина. Czytam raporty Kretów. On kopiuje rozwiązania Dobroczyńców, buduje arsenały, odlewnie i huty. Co więcej, robi to wbrew wszelkim zakazom przodków. Wiesz, jaką to mu zapewni potęgę? Zbyt łatwo zapominamy, kim byli Dobroczyńcy i jaką władali mocą.

- Jej oczy rozbłysły.

- Może dlatego, że dla reszty ludzkości byli sforą demonów?
- Kruzowie też nimi byli. Znasz historię. Świat nie jest monolitem. Mówię ci, musimy użyć całej tej potęgi dla siebie. Żeby odeprzeć Kruzów - dodała szybko.
- Nawet gdybym uznał, że masz rację, nie pozwolą nam. Arsenale są pilnie strzeżone.
- Tak się składa, że ja dysponuję tą wiedzą, Szar. Poświęciłam jej długie noce, kosztem jedzenia i snu. I łoża.
- Uśmiechnęła się figlarne i Szaratanga poczuł, że znowu jej pragnie.
- Oczywiście, nie jestem mistrzem, ale potrafię już wytapiać żelazo i stal. Wiem też, jak Dobroczyńcy otrzymywali Grzmiący Pył. To wystarczy, by zmienić koleje tej wojny.
- Szar westchnął ciężko. Nie przekona jej. Taka już była. Argument, że użycie magii Białoskórych rozgniewa bogów i ściągnie na Dolinę ich gniew, dawno wrzuciła do śmieci. Nawet jeżeli Klątwa była tylko straszakiem sprzed wieków, władza Rady pozostawała wystarczająco realna. A oni trzymali się swojej tradycji pazurami, jak ślepy nietoperz sufitu. I nieważne, że trzeba było wisieć głową w dół, a czasem chciało się rzygać.
- Tego nie da się zrobić, Leyre. Nawet jeżeli zdobyłaś wiedzę, nie dadzą ci się nią posłużyć. Nie pozwolą ci. Zwłaszcza król.
- Pozwolą, jeżeli mi pomożesz. Wielu ludzi cię szanuje, Szar. Dla wielu jesteś legendą - w jej głosie brzmiała dziwna gorycz.
- A on poczuł smutek i na moment stracił nad sobą kontrolę. Ujął ją za podbródek, spojrzał w oczy. I sam się przeraził.
- Co ty najlepszego wyprawiasz?
- Leyre oswobodziła się. Odgarnęła włosy z twarzy zdecydowanym gestem.
- Obalimy go, Szar. Zrzucimy Papana z tronu i będziemy władać Doliną razem. Z armią, którą ci przydzielili, to możliwe. Naród pójdzie za nami, wiem to. Ludzie zawsze są spragnieni odnowy i świeżej krwi. Kraj tego potrzebuje. Mniejsza z krajem. Ja tego potrzebuję!
- Szar milczał. Za te słowa groziła im śmierć.
- To stanie się z pożytkiem dla wszystkich. Papan to głupiec. I szkodnik. Zgodziłam się wyjść za niego, bo miał wizję i chciał

zmienić ten kraj na lepsze. To były kłamstwa, w sam raz dla naiwnej panienci. Płakałam, gdy zrozumiałam, jaki jest naprawdę - syknęła.

- Papan to dobry człowiek. Nie każdy jest bohaterem - rzucił Szar twardo.

Na Krew i Ołtarz, kiedyś nauczysz się, ile bohaterstwo kosztuje naszych bliskich, dziewczyno. I ile jest warte.

- To głupiec. Jest jak strach na wróble, który stracił swoje jedyne zajęcie, odstraszenie. Nie boją się go, Szar. Te wszystkie koterie i frakcje. Kapłani, armia... Są jak kojoty kłócące się w ściernie, które dawno ogryzły do kości. W obliczu prawdziwego drapieżnika, jak Quinatzin, ci padlinożercy nie zdadzą się na nic.

- Przysięgałem mu wierność. Nie zdradzę - powiedział cicho.

- Och, ty i ta twoja przyzwoitość. Zasady. To tylko usprawiedliwienia, żebyś nie musiał żyć. Ty wolisz się mijać z życiem, Szar. Jesteś taki jak ja kiedyś, ale boisz się przyznać. Sam skazujesz się na przegraną!

Szaratanga odwrócił wzrok.

Masz rację, maleńka, ale nie do końca. Bo prawda zawsze jest gorsza. Nie wiesz, ile we mnie ciemności.

Dobrze rozumiał Papan, wiedział, z czym musi się zmagać. W każdym skrywa się jego własny wróg, prześladowca utkany z cieni i blizn. Może są ludzie, którzy mogą dopuścić się niezbędnej dawki łotrostwa i zachować kontrolę nad życiem. Gratulacje. Dla Szaratangi najmniejszy wyłom był zaproszeniem dla diabła, a jego diabły okazały się naprawdę paskudne.

- W takim razie nie przyjmuj tej nominacji. Proszę.

- Myślałem, że tego chcesz. Dobrze wiesz, że kraj jest w niebezpieczeństwie.

- To prawda. Ale jeżeli nie obalimy Rady, nie będę mogła cię przed nią chronić.

*

Gdy Leyre odeszła, Szar skierował swoje kroki do Świątyni. Właśnie spieprzył jedną z ostatnich rzeczy, które mogły nadać

jego istnieniu sens. Przypomniały mu się te wszystkie dni, gdy podróżowali we trójkę, Leyre, Papan i on. Król dbał o swoich poddanych i wybiegał myślami w przyszłość, nie dostrzegając, że żona potrzebuje czegoś więcej niż jego mądrości i troski.

Szaratanga nawet nie wiedział, dlaczego Leyre wybrała sobie na kochanka właśnie jego. Może to temperament, może płonął w nich ten sam zmysłowy ogień. Oboje nie mogli usiedzieć w miejscu, musieli wciąż sobie udowadniać, że naprawdę żyją. Tak, to mogła być wspólnota dusz. A może kobiety po prostu kochają morderców.

Została mu jeszcze jedna decyzja. Mógł wrócić do domu do Enishy, i dalej udawać, że żyje. To nie musiało nawet potrwać długo, zważywszy zbliżającą się wojnę. Być może wybierał pomiędzy śmiercią w spalonym domu a końcem na polu walki. Ale na polu walki miał przynajmniej szansę ocalić Enishę i dzieci. Dobrze wiedział, że jeśli Kruzowie zaleją Dolinę, nie zdoła ochronić bliskich.

To był chyba dobry moment, by poszukać oparcia w Bogu. Na miejscu kapłanów modliłby się, by wszyscy przeżywali jak najwięcej takich chwil.

Na progu świątyni zawahał się, ale zaraz uchylił masywne wrota i zapadł się w półmrok, duszny od woni kadzidła i uwznioślony czystymi głosami chóru. Na ogromnym krzyżu krwawił przybity do desek Wybraniec, Zabity Bóg. Jego ciało było ostentacyjnie, chorobliwie wręcz białe, jakby obwieszczało całemu światu: możecie wierzyć w co chcecie, błdzić, lecz my wiemy, że prawda jest inna. Chwała Dobroczyncom!

Szaratanga skrzywił się lekko. Cynizm był u niego nabytym, wrośniętym w duszę nawykiem, jak prawienie kobietom komplementów, trzymanie gardy i kopanie przeciwników w jaja. Pożytecznym, bo w przesyconym mistycyzmem kraju takim jak Tlaszkala realizm i trzeźwa głowa były na wagę złota. Zawsze frapowało go połączenie słabości i siły, którym cechował się kult jego przodków. Kruzowie nie czcili słabości i może właśnie dlatego to oni oblegali teraz Tlaszkalan, a nie Tlaszkalanie ich.

Lecz Bóg Tlaszkali zawierał w sobie też nieludzką, odwieczną

potęgę, która dobrowolnie skurczyła się i zhańbiła, przybierając człowieczą postać. Kosmiczny Bóg, zamknięty w więzieniu z mięsa i gnatów. Zbolały, konający człowiek, stający się wcieleniem kosmicznego Boga Zbawcy, pogromcy planet i gwiazd. Żywy-Martwy wcielał się w człowieka na tej samej zasadzie, jak rodzime bóstwa Otomi, Tarasków i Kruzów zawłaszczwały najwierniejszych wyznawców, demolując ich ciała i dusze.

Podobno w minionych czasach, gdy ludzie byli pobożniejsi, te boskie naczynia wyglądały naprawdę fatalnie. Wyrastały im pióra i zęby, a bywało, że i dodatkowe kończyny i rogi. Najgorsi byli wyznawcy pierzastego, fruwającego węża, których ukochany bóg hojnie obdarzał łuskami i upierzeniem, skąpiąc im jednak zdolności lotu, przez co pełzali po ulicach niczym groteskowe robaki.

Szar skrzywił się i splunął dyskretnie. Po tym, co przeżył, nie był szczególnie pobożny. Walczył dla swego kraju i ludzi, których kochał. Czasem modlił się o to, by Zabity Bóg dopomógł mu w tej walce. Ale modlił się również, żeby wszelkie nadnaturalne skurwiele trzymały się od niego z daleka.

Książd minął go, dymiąc kadzidłem. To także był zwyczaj Białych, te miski na sznurach, którymi machano w świątyni. Ale kadzidło było już inne. tutejsze. Szar dostrzegł, jak stara kobieta w żółtawej sukni składa w ofierze kawałek *kopalu*, przezroczystej i skamieniałej żywicy. Czasami trafiały się w nich skamieliny i cysty, owady z zapomnianych czasów. Czasami wojownik myślał, że cała Tlaszkala była takim wyrzuconym na brzeg czasu owadem, reliktem z epoki Dobroczyńców. A on, bohater, więzień i zbieg, pozostawał przecież reliktem w dwójnasób.

Kapłani w burych szatach Zakonu Kretów zbierali do pucharów krew Wisielca. Błogosławiona ciecz była symbolem tajemnej, świętej substancji Dobroczyńców, eliksiru z innego świata. Substancja ta nie występowała w naszym upadłym wymiarze. Dopiero w ustach wiernych krew Boga cudownie zmieniała się w Wino. Tym właśnie Tlaszkalanie różnili się od Kruzów, z ich masowymi ofiarami i potokami krwi, której

przepływał podczas obrzędów podtrzymywał istnienie świata.

Dla Tlaskalan krew była osobistym symbolem nadziei, jaką obdarzył ich Bóg. Nie karmili i nie przyzywali demonów, choć nadal wierzyli w gwiazdy i planety, których walki i knowania kształtowały los śmiertelników. Ciała niebieskie były nieprzyjaciółmi ludzkości, to z nimi zmagał się Żywy-Martwy, wcielony w kruchą powłokę człowieka. Magiczna ofiara z Wina wspierała go w jego zmaganiach.

Szar ukląkł i przyjął łyk świętego napoju. Jak zawsze miał słonawo-słodki smak krwi. Czy naprawdę trzeba było nadawać mu inną nazwę? Krew, wszędzie krew. I to miało być oczyszczenie?

Nagle pojął, że już zawsze będzie błędził w gęstwinie swej własnej duszy. Po co więc opuścił Labirynt prawdziwy? Cały rok udawał przed biedną Enishą, że niby odnalazł spokój. Na tym świecie nie ma i nie będzie czegoś takiego, jedyne, co nam zostaje, to skok w chaos i pokochanie jego żrącego posmaku.

I do diabła ze wszystkimi bogami.

To jest jego miejsce; podejmie się misji od Rady.

Wstał z klęczek i chwiejnie wyszedł ze świętego mroku, wynurzając się z chramu jak z posepnej groty. Dziedziniac buchnął mu w twarz zapachami, słońcem i błękitem nieba. Pochylił się nad grządką i wymiotował krew Boga na białe tyczki fasoli.

Od razu poczuł się lepiej.

Rozdział 13

*Czy można zatruć jad węża?
Czy można okłamać kobietę
i przekląć białego demona?*

Druazzi, mądrość ludowa

Nikt go nie uprzedził, że droga do zaszczytów i chwały może być tak kurewsko męcząca.

Tennok człapał, podobnie jak dzień wcześniej. I jeszcze wcześniej. Przed sobą i za plecami miał stąpających miarowo tragarzy. Sam człapał wolno, przeklinając skostniałe prawo, które zakazywało mieszkańcom Nowego Przymierza dosiadania koni, tak jak zakazywało im kół, zaprzęgów, wozów, stali i innych „diabelskich” wynalazków, które obrażały bogów. Tak jakby nie obrażały ich pęcherze na jego stopach.

Po kilku dniach ta rutyna zaczęła go jednak bawić. Przynajmniej nie musiał myśleć. Zaczął dostrzegać krajobrazy, lesiste wzgórza i suche, skąpo porośnięte równiny. Słońce prażyło, nad odświeżonymi po deszczu zaroślami unosiła się mgiełka pary i chmary roziskrzonych kolibrów. Pobożni Kruzowie widzieli w nich dusze bohaterów poległych w boju jna ołtarzu ofiarnym. Dla księcia te latające klejnoty nie miały nic wspólnego z bogami i ich odwiecznym głodem. Po raz pierwszy w życiu nikt niczego od niego nie chciał. Świat, który zastał za murami Yugal, był rozległy i wolny od lęku.

- Ocaliłeś mnie. Dlaczego to zrobiłeś?

Aż podskoczył. Niewolnik odezwał się po raz pierwszy od czasu, gdy wyruszyli w podróż. Zupełnie jakby najpierw musiało zatrzeć się w nim trujące wspomnienie Dołów. Książę zerknął na niego z ciekawością.

Mówił z akcentem Druazzi, barbarzyńskiego dialektu z rodziny języków Misztla. Ale nie przypominał ty ch krępych dzikusów. Przede wszystkim był naprawdę wielki. Ogromny. Tennok nie wiedział, czym wykarmiły go doły i nie chciał się tego nigdy dowiedzieć. Jego *ursa* przewyższał o pół głowy Cahuotla, który był najroślejszym domownikiem Maczuraia. Żółta szarfa, oznaka statusu *ursa*, wpijała mu się w potężne barki i tors. Jego twarz, zacięta i pod warstwą wżartego pyłu dziwnie blada, była młoda, ale straszliwie zniszczona. Najdziwniejsze wrażenie robiły jednak jego dłonie. Prawa była okaleczona i zdeformowana, zapewne za sprawą jakiegoś wypadku w Dołach. Tennok słyszał, że więźniowie pracowali tam, dosłownie, gołymi rękami. Ale i tak wyglądała dużo lepiej niż lewa, którą pokrywał wrośnięty, jakby kamienny nalot. *Urs* rzadko się nią posługiwał, jakby sprawiała mu ból.

- Chciałem zrobić coś dobrego. Poza tym potrzebowałem *ursa*
- mruknął.

Niewolnik parsknął śmiechem.

- Chyba pomyliłeś skazańców - głos miał chrapliwy, jakby przywykła do powarkiwań krtań z trudem wykrztuszała słowa. Wciąż mrużył oczy, chyba nie mógł się przyzwyczaić do słońca.

Tennok pokiwał głową.

Gdy dłużej o tym myślał, utrzymanie skazańca przy życiu nie wydawało się już tak dobrym pomysłem. Tam nie trafiało się za drobne kradzieże. Ale skoro już zaczął, teraz musi brnąć dalej. Jak to szło? My, odmieńcy, musimy się trzymać razem?

- W zdychalni twego starego było wielu lepszych ode mnie - zauważył barbarzyńca.

- Ale to ciebie mieli najprędzej zabić.

- Co ze mną będzie? - głos *ursa* pozbawiony był ciekawości. Dopytywał o swoją przyszłość z zapalem bywalca paskudnej speluny, który nie obiecuje sobie wiele po daniach serwowanych przez kuchnię.

- Potrzebuję kogoś, komu mógłbym zaufać. Kogoś, kto nie służy mojemu ojcu. Ani Cahuotłowi - dodał Tennok, uciszając głos.

Niewolnik pokiwał skudloną głową.

- Słyszałem, że twoi *ursowie* raczej nie żyją długo. - Wydawał się tak przejęty, jakby komentował słoneczną pogodę.

- To chyba, niestety, prawda. Ale w stolicy Kruzów na każdego czyha śmierć - poskarżył się książę.

- Król Kruzów ma najlepszych rycerzy na świecie - rzucił *urs*, niezrażony marudzeniem Tennoka. Jego oczy na moment rozbłysły. - I wciąż toczy wojny.

Książę zerknął na niego z niechęcią. Kolejny kretyn zafascynowany przemocą. Cóż, właśnie takich przyjaciół potrzebują tchórze.

- Muszę cię rozczarować. *Ursowie* nie walczą, lecz służą. Ale to chyba lepsze niż kopalnia?

Niewolnik milczał. Okaleczone dłonie zaciskały się, jakby bardzo pragnęły coś złamać. Tennok spostrzegł, że lewa, ta którą pokrywała jakby skorupa, porusza się z trudem. Książę zadrżał. To dobre, bał się własnego *ursa*.

- Jak się właściwie nazywasz? - zapytał. Dopiero teraz wpadł na to, że to stworzenie w ogóle może mieć jakieś imię.

Urs splunął i uśmiechnął się, błyskając spiłowanymi zębami. Barbarzyńskim zwyczajem ozdobił je płytkami z jadeitu, przez co wyglądały, jakby ociekały zielonym jadem.

- Kiedyś nazywałem się Haran.

- Pochodzisz z ludu Druazzi, prawda? - zapytał uprzejmie książę. Skromność, a nie wywyższanie się nad gorszych od siebie, zawsze była dla niego powodem do dumy. Nie rozumiał szlachciców, którzy traktowali swych *ursów* z pogardą. W końcu niewolnicy przelewali za nich krew ofiarną i świadczyli przed obliczem bogów.

Urs w zamyśleniu potarł piętno wypalone na prawej dłoni.

- Nie bardzo jest o czym gadać, panie. Większość mnie chyba została w Dołach. Reszta należy do ciebie.

*

Pierwszego dnia rozbili obóz w spokojnej, odludnej kotlinie, pachnącej kwiatami i sosnową żywicą. Było tu chłodniej niż w Yugal, w drodze do stolicy musieli pokonać niedostępne

przełęczę Gór Deszczu. Tennok zwałił się na ziemię jak toból i z rozkoszą rozprostował nogi. Był tak zmęczony, że prawie zapomniał o głodzie, ale nie pogardził miską fasolówki, doprawionej pomidorami, listkami dzikiej kolendry i pewnym pechowym królikiem. Gdyby była to opowieść o tym króliku, właśnie by się skończyła. Myśl była tak głupia, że Tennok roześmiał się cicho. Wojownicy z eskorty łypnęli na niego ponuro.

Młody pan już tak miał. Gdy zwykli ludzie się śmiali, milczał posepny i osowiały jak kapłan, któremu skończyli się jeńcy. Nie lubił gremialnej radości i gwaru. A jeśli się śmiał, to właśnie w ten sposób, z niejasnych powodów. Mimo to, dziwak nie dziwak, był synem Maczuraia, którego bali się bardziej niż wypraw do Labiryntu.

Siedzący obok niego *urs* poruszył się niespokojnie. Kiedy jeden z wojowników dźwignął się, by dorzucić do ognia i znalazł się blisko księcia, Haran wyskoczył w górę. Błyskawicznie obalił nieszczęśnika, wykręcił mu ramię i przyszpilił plecy kolanem. W lewej ręce trzymał dziwny nóż, gotowy zagłębić go w czaszkę mężczyzny w miejscu, gdzie głowa łączy się z szyją. Stało się to tak szybko, że ci, którzy właśnie nabierali łyżkami gulasz, zdążyli go przełknąć.

Jako pierwszy poderwał się Cahuotl.

- Ostrzegalem, że to dzikie zwierzę! - warknął, unosząc miecz.

Tennok zaklął, strzepując z ud rozlaną fasolę, i stanął między nimi.

- Haran! Tak masz na imię, prawda? Zostaw go, proszę. A ty opuść broń, Cahuotl.

Mistrz miecza cofnął się niechętnie. Barbarzyńca jedynie pokręcił głową.

- Śmiał się z ciebie. Zamierzał zaatakować.

- Wielu się ze mnie śmieje. A gdyby każdy z tych głabów chciał na mnie napaść, poległbym jeszcze w kołysce - wyszeptał Tennok.

Urs zamruczał coś pod nosem i zwolni: uścisk.

- Drwina to brak szacunku. A lekceważenie to atak - wyrecytował głucho.

- Może w Dołach Na górze jest więcej miejsca i mniej oszalałych morderców. Są też kobiety i bardziej urozmaicone jedzenie. Nie musimy się stale zabijać.

Urs nie wydawał się przekonany.

- Tak? To dlaczego wszyscy nosicie broń?

Puścił jednak swoją ofiarę, z miną psa, który oddaje panu nieogryzioną kość. Tennok uświadomił sobie, że w świecie Harana - tym, o którego istnieniu wolał nie myśleć i który stanowił dla jego klanu zionącą zgnilizną ranę wstydliwie maskowaną piórkami - życie i śmierć zespoliły się właśnie w takiej proporcji. Ze znaczną przewagą śmierci. Przypomniał sobie raporty, na które kiedyś natrafił w kancelarii starego, ich bezlitosne liczby. Proporcja zgonów podczas pierwszego roku pod ziemią sięgała osiemdziesięciu procent. Tyle kosztował kopal.

Barbarzyńca wrócił na swoje miejsce, podobnie jak wojownicy. Na szczęście ręka żołnierza nie została złamana ani zwichnięta. Poobijany mężczyzna ponuro masował ramię i splotował w ogień, unikając wzroku Harana. Cahuotl, który najwyraźniej pragnął przywrócić honor swojego wojska, czynił akurat odwrotnie.

- Wyzywasz mnie, starcze? - spytał *urs*, dłubiąc w zębach ostrym kawałkiem kości.

- Nie. Na razie usiłuję zrozumieć.

Urs wzruszył szerokimi ramionami, puszczając uwagę mimo uszu. Ale nie przestał się gapić na Cahuotla spode łba.

- Usiłuję zrozumieć, dlaczego panicz Tennok wziął coś takiego za sługę. Czy wiesz, kim są *ursowie*, dzikusie?

- Nie bardzo. Ale wiem, że lepiej utopić cię w tym kotle, nim jeszcze ufajdasz się ze strachu - odparował pogodnie Haran, sięgając po dokładkę fasoli.

Cahuotl rozśmiał się cicho.

- Będą cię smagać. Chłostać. Będą przebijać cię kolcami agawy i przeciągać sznury przez ropiejące, ledwo zabliźnione rany. A ty oddasz swojemu panu zasługę męznego znoszenia bólu. Taka jest dola *ursa*. Krwawicie dla bogów, bo szlachta straciła jaja i męstwo. Szczerze mówiąc, będziesz czymś w rodzaju

magicznej, ofiarnej kurwy. - Dłoń Cahuotla lekko opadła na wysłużoną rękojęść miecza.

- Nie jestem małostkowy. Wasz ksiązę ocalił mi życie. Zasługuje na odrobinę kurewstwa - mruknął Haran ze spokojem, którego mógłby pozazdrościć mu jeden z Beznamiętnych, sekty mędrców słynących z ascetycznych wyrzeczeń. - A te... niedogodności... nie robią na mnie wrażenia. Wierz mi, w porównaniu z Dołami to błahostki.

Druazzi odłożył miskę, czknął i spokojnie sięgnął do ognia lewą ręką, wystawiając przedramię na pastwę płomieni. Rozszedł się wywołujący mdłości swąd. Barbarzyńca przymknął oczy i zanucił cicho. Wysunął oparzone ciało, nim cała ręka zajęła się ogniem.

- Ból to tylko ból. Zagoi się. A wy nawet nie wiecie, w jakim żyjecie raju - powiedział cicho.

Cahuotl zamilkł, wyraźnie rozczarowany. Rewanżu na razie nie będzie, pomyślał z ulgą Tennok, zerkając z pewną obawą na *ursa*.

- Czasami myślę o Dołach. Jak tam jest? - zapytał po chwili Aszayacatl, młody żołnierz z nosem przebitym kościaną przetyczką.

Haran wyszczerzył zęby w czymś w rodzaju uśmiechu.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Przecież ten układ działa. Wrzucacie do jamy ludzkie śmiecie i zepsute żarcie, a w zamian dostajecie najdroższy surowiec świata. Czego chcieć więcej?

- Słyszałem, że pod ziemią zachodzi Przenikanie. Że wlewają się tam inne wymiary i światy. Podobno zjadacze to jeszcze nie wszystko. Spotkałem kapłana, który przysięgał, że pod ziemią wciąż można spotykać *mo'qun* - odezwał się z zadumą Tennok.

Cahuotl podskoczył, jakby odganiał gza, niektórzy wykonali gest odczyniania uroku. Inni z zadumą kiwali głowami. Większość Prawdziwych Ludzi obawiała się starej magii, nieludzkich ras i reliktyw Kłątwy, ale Turkusowa Włócznia, mająca od kilku lat koncesję na wydobycie *braazatalu*, była bliższa tym mrocznym sprawom niż inni. Każdy wiedział, że smaru nie wykopuje się w zwyczajnych miejscach. Tak na

dobrą sprawę nie wiedzano nawet, czy *braazatal* był kruszcem, rośliną czy minerałem, a może jeszcze czymś innym. Było tylko powszechnie wiadome, że w Dołach działo się coś niedobrego.

Właśnie dlatego Maczurai nigdy nie zdołał nakłonić zwykłych górników do zejścia do szybu.

- *Mo'qun* istnieją. Pojawiają się tam, gdzie smar - rzucił Haran.

Tennok zadrzał. *Mo'qun...* czym innym było słuchać o nich przy trzaskającym ogniu, w kłębach dymu z konopi czy świątecznego tytoniu, a czym innym słuchać kogoś, kto naprawdę widział któregoś z nich. O tych stworach niewiele było wiadomo w krainach Przymierza, poza tym że w jakiś sposób współistniały z hordami zjadaczy.

Oczywiście, wędrowni śpiewacy i lud powtarzali legendy i pieśni. Szamani podczas odświętnych spektakli udawali, że przywołują te monstra i przykładnie odsyłają z powrotem do piekieł. W jarmarcznych przedstawieniach pojmani i pokonani kanibale opowiadali zde gustowanym śledczym o swoich nadludzkich władcach i o wspaniałościach, jakimi zjadacze obdarzą wiernych, gdy już zmiotą z powierzchni ziemi ostatnie królestwa człowieka. *Mo'qun*, Wędrujący Przez Skały. Szeptano o dzieciach zamordowanych w łóżeczkach i królach, których ogryzione, wysrane ze szpiku kości wciąż zasiadały na tronach. *Mo'qun* nie zważały na strażników i mury, wieże i warowne bramy.

Na szczęście od czasu Klątwy, lat chaosu i wojen toczonych w ciemnościach zjadacze i Inni Dotknięci - wszyscy, którzy za sprawą wyboru i przekleństwa przestali być ludźmi - pojawiali się coraz rzadziej i nigdy nie zdołali poważnie zagrozić Prawdziwym Ludziom. Może zbierali siły, pomyślał książę. Może kiedyś wyleją się z piekła i jak lawa zabiją ich wszystkich. Jednak strach Tennoka zawierał w sobie coś jeszcze, domieszkę dziwnego przecucia, jak to, które podpowiada nam, na przekór sceptycyzmowi i wiedzy, że w starej rymowance dziecka czy słowach szaleńca kryje się przeoczona mądrość. *Mo'qun* i smar... jak dwie strony monety Białoskórych, jedna

przemilczana i omijana ze wstydem, i druga, zachłannie pożądana.

Urs dostrzegł wyraz jego twarzy i poważnie pokiwał głową.

- U nas w Dołach mawialiśmy, że żywica zawsze podąża za śmiercią. Żywica. Tak właśnie nazywaliśmy wasz cenny *braazatal*. Albo pleśń, bo capiała, jak gdyby coś zgniło.

Tennok zachichotał.

„U nas w Dołach”. Urocze.

Z drugiej strony, nawet on, syn arystokraty kontrolującego jeden z ważniejszych punktów wydobywczych, nigdy nie zakosztował rozpuszczonego kopalu. Cały urobek *braazatalu* zagarniało państwo i zgodnie z oficjalną propagandą sprzedawało go zamorskim kupcom, przeważnie z imperium Inka, za ogromne sumy w kruszczach, przyprawach i niewolnikach. Na terenie Przymierza pozostawały głównie załężnione pogłoski i plotki. O występnych starcach oszukujących dzięki niemu śmierć, o kapłanach przewidujących przyszłość. Lubieżnych arystokratkach, uwięzionych w wieloletnim wrzasku niemilkącego orgazmu. Jak to zwykle bywa, przeważnie słyszało się wymysły zawistnych biedaków. Oczywiście, smar przestawał być legendą, gdy na cesarskim dworze spotkało się któregoś z nieumarłych inkaskich Kościejów, ale to już zupełnie inna historia.

Głos Harana wyrwał go z zadumy. Zniszczona twarz ogromnego Druazzi zapadła się jak zbutwiałe wieko grobowca, półślepe oczy spoglądały na Tennoka, nie widząc.

- Czasami *braazatal* wrasta. Nagle zaczynamy znajdować go więcej i więcej. Chłopaki znad morza mówili, że przybiera wtedy pod ziemią, zupełnie jak przyływ. Wzbiera i ogarnia. Na początku pokrywa złotawą skorupą trupy. Potem ściany, przedmioty i skały. Kiedy zaczyna ogarniać żywych, to znak, że nadciągają *mo'qun*. Moros uczył nas, że smaru przybywa, kiedy przemienia się świat. Żywica jest jak złota forpoczta demonów. Niektórzy z nas rozpuszczali ją i zjadali z głodu, a ona naginała ich dusze i zmysły... - głos *ursa* załamał się, a oczy się rozszerzyły pod wpływem jakichś potwornych, wynaturzonych

wspomnień.

Słuchacze z niedowierzaniem kręcili głowami, wokół ognia rozeszła się fala szeptów. Cahuotl, dla którego lojalność wobec klanu była największą świętością, roześmiał się pogardliwie.

Haran rozejrzał się bezradnie. W jego wyblakłych oczach zapłonął ogień. Wyglądał na kogoś, kto uruchomił w swojej głowie lawinę słów i nie ma żadnego wyboru. Musi powiedzieć wszystko.

- Nie rozumiecie? Bywało, że miesiącami mogliśmy pracować w spokoju. Życ. Dobywaliśmy bryły kopalni, ładowaliśmy na platformy, zjadaliśmy ciskane przez was do Dołów ochłapy. Czasami było nas dużo i niektórzy polowali na nowych więźniów... ale zawsze czuliśmy, że to złe, że zaczynamy się zmieniać w zjadaczy. Wtedy Blask, nasz wódz, i Moros zarządzali wyprawę wojenne. Szukaliśmy tych skurwieli, szukaliśmy w najdalszych zakątkach. I nic A potem, któregoś pięknego dnia, na skałach pojawiał się nowy kopal. Następnego dnia zjadacze, *murgha* i *mo'qun* byli wszędzie... a my przypominaliśmy sobie, że jesteśmy w piekle i to my jesteśmy w tym piekle zwierzyną - zakończył skazaniec ponuro.

Wojownicy zerkali po sobie niespokojnie. Perspektywa, że tuż pod dumną, niezdobytą siedzibą Turkusowej Włóczni kryje się coś podobnego i pełza pod podłogami z sosnowych desek, na których baraszkuje ich dzieci, pod materacami, na których kochają żony, nie nastrajała otuchą. Tennok, który zawsze był wielkim tchórzem, cudem nie zmoczył bawełnianego kaftana. Ale wiedział, że niechybnie zrobi to w nocy, przy byle szeleście mogącym znamionować zjadacza, głodnego, o lepkich palcach.

Cahuotl, który nie został dowódcą zamkowej straży i instruktorem zabijania z racji przesadnej wrażliwości, skrzywił się.

- Pierdy. I gówno, jeśli ktoś mnie spyta.

Uważacie, że kłamie? - zapytał Haran ze smutkiem.

- Nie wiem, chłopcze. Może tylko postradałeś rozum, Jedyne, co w tej opowieści jest prawdą, to smutna rzeczywistość, że Doły to przejebane miejsce, a sukinsynom, którzy tam trafiają,

rychło zaczyna brakować piątej klepki. I dlatego smar kopią szumowiny: zdrajcy, mordercy i złodzieje. Ci, którzy nigdy nie powinni wypełznąć z powrotem na górę. A twoje teorie o *mo'qun* to stek bzdur. Dla mnie to Pomiot Klątwy, zesłany za nasze grzechy. Wymierający gatunek. Owszem, plugastwo trafia się tu i tam, sam zabiłem zjadacza w lesie Kynezatl. Zgoda, był twardy, rozerwał mi dwóch dobrych ludzi. Ale żeby pojawiali się znikąd? Każda potwora musi mieć jakieś leże. Nawet Pomioty Klątwy - warknął mistrz miecza.

- Nieprawda. Przychodzą znikąd. Przychodzi ich coraz więcej i coraz dłużej zostają. Zachowują się, jakby czegoś szukały.

- W Dołach? Pośród bandy brudnych, zarażonych skazańców? Nie jesteście szczególnie smakowitymi kąskami. Bez urazy - zarechotał Cahuotl.

Haran z uporem pokręcił głową.

- Moros twierdził, że pojawiają się akurat tam, bo Doły są odizolowane od świata. Coś w tym miejscu pozwala im przetrwać i się rozplenić. Nie chodzi im tylko o łowy i ludzkie mięso. Wiem to.

- To zwierzęta. Bestie. Polują na ludzi, to prawda, ale to sporadyczne przypadki. Nikt nigdy nie słyszał, żeby w większej liczbie atakowały powierzchnię. Do czego miałyby dążyć? - zainteresował się Tennok.

- Nie wiem. Ale to nie są tępe zwierzęta. Rozglądają się. Znaczą teren. I wierzcie mi, że szukają.

- Ale czego? - Nawet Cahuotlowi zrobiło się chyba nieswojo.

Wszyscy patrzyli na Harana wyczekująco. Barbarzyńca zaczerwienił się i bezradnie potrząsnął grzywą.

- Żebym to ja wiedział. Moros mawiał, że zjadacze szukają dla siebie lekarstwa. Szukają lekarstwa na świat.

- Szkoda, że twój przyjaciel sam nie może nam tego wyjaśnić - zauważył Tennok.

Haran uśmiechnął się szarym uśmiechem, który spelzł z jego twarzy jak złuszczonej skóry.

- Moros uciekł dawno temu, zostawiając nas wszystkich na śmierć. Tyle w kwestii bohaterów, jak sądzę.

Rozdział 14

Po kilku dniach zbiele, rybie oczy *ursa* częściowo odzyskały zdolność widzenia. Nigdy nie miał już patrzeć tak bystrze jak kiedyś, ale przynajmniej nie raniło go słońce. Dni płynęły spokojnie, podobne do siebie jak krople potu na jego grzbiecie. Do reszty zatracił się w miarowym marszu po zapyłonej drodze. Imperialny trakt wiał się po kraju Misztla, pośród lesistych wzgórz, na których wznosiły się ufortyfikowane osady. Niektóre, jak Yugal, były rozległe i pamiętały legendarną epokę Tolteków, resztę stanowiły wioski plemienne.

Po dziesięciu latach więzienia otwarte przestrzenie oszałamiały barbarzyńcę jak narkotyk. Było tu tyle powietrza, tyle wody, a mieszkańcy tego niepojętego rajku traktowali to bogactwo jak coś oczywistego. Ta niewdzięczność niepokoiła Harana. Modlił się za nich codziennie, błagając bogów o to, by groza Dołów nie wylała się w ślad za nim z ciemnych jam i nie doścignęła go tu, po słonecznej stronie świata. Modlił się za tych, co zostali.

Modlił się, by mu przebaczyli.

Wieczorami, podczas posiłków w obozie, rozprostowywał zmęczone, pokryte bąblami stopy, oddychał głęboko, wciągając powietrze i światło. Uśmiechał się jak głupiec, czasem szlochał. Był w rajku. Pod ziemią nieczęsto używał stóp, do przemieszczania się służyły raczej kolana i łokcie.

Z nabożeństwem gapił się też w parującą miskę fasoli z kaszą kukurydzianą, oczekując, aż coś go wyrwie ze snu i znów poczuje w brzuchu szarpiaący skurcz głodu. Lub przyglądał się człowiekowi, któremu poprzysiął służbę. Rolę *ursa* traktował poważnie, dla niego było to zobowiązanie na śmierć i życie.

Jego pan, słaby i chwiejny, łatwo ulegał nastrojom. Ale nawet gdyby był diabłem, to Haran zawdzięczał mu życie. Jeżeli spłaci dług jako *urs*, przelewając własną krew podczas świąt, niech

tak będzie.

Wszystko jest lepsze od Dołów.

Pod ziemią też nie żył dla siebie. Tam samotnicy ginęli pierwsi. Potem umierali wrażliwi i słabi oraz ci, którzy nazbyt często myśleli o jutrze. Egoiści, kombinatorzy i dranie ginęli później, oszustwa i zastraszanie nie dawały im dość hartu, by sprostać szarzy zgłodniałych zjadaczy.

Doły były dla niego treningiem, stał się weteranem ciemności.

Piątego dnia zostawili za sobą ziemie rządzone przez Yugal i zatrzymali się w chramie na wzgórzach granicznych. Stały na nich stare, zatarte przez wichry i deszcze posagi, porośnięte kwitnącym bluszczem. Spowijała je chmura biało-błękitnych motyli - dusze zbawionych i świętujących poległych. Mimo że była to dobra wróżba, wszyscy poczuli się jakoś nieswojo.

Kruzowie przerwali marsz i modlili się do Tezcatlipoki, pobożniejsi nakłuli sobie uszy. Haran przebił sobie kolcem policzek i nakarmił posagi swoim cierpieniem i krwią. *Urs* nawet nie pisnął. Wszyscy byli zdania, że ofiara wypadła godnie.

Dowodzący eskortą Cahuotl zatrzymywał się przed każdą z mijanych osad. Wychodził na czoło pochodu i długo wymachiwał dziwnymi proporczykami. Tłumaczył towarzyszom, że to znaki pokoju, które mogą ocalić ich skórę. Tennok śmiał się z jego obaw, ale gdy skończyła im się woda i zatrzymali się na dłużej w jednej z wiosek, zmienił zdanie.

Tubylcy zajmowali się żuciem ziarna i pluciem do mis sfermentowaną papką. Ich głowy pochylały się pod ciężarem groteskowych wisiorków, zdobiących nosy i brody, Pólnadzy i barbarzyńscy, H'upowie przypominali wojowniczych Tarasków, „plaskaczy” znanych z tego, że nie nosili przepasek biodrowych i gdy ruszali do bitwy, ich genitalia zabawnie plaskały o uda. Byli niemrawi i brzydki, ale jeszcze bardziej niemrawe i brzydkie były głowy, zdobiące chaty wodza i starszyzny.

Tennok spostrzegł, że Druazzi z eskorty bledną, rozpoznając w tych makabrycznych trofeach znajome rysy poległych i zaginionych krewnych.

Z H'upami łączyło ich odległe pokrewieństwo i znacznie ważniejsza waśń, odwieczna plemienna wróżda. Mimo to pomalowany na czerwono wódz H'upów traktował Kruzów z szacunkiem. Obchodził ich z lękiem i odprawił tyle rytuałów odczyniających, że wyglądało to jak festiwal tańca. Szacunku było jednak więcej niż lęku i czuwający nad księciem Cahuotl w końcu się uspokoił.

Poczęstowano ich flegmistym piwem tubylców, co dla Tennoka było zaskoczeniem. Kruzowie znali sfermentowany napitek z agawy, zwany *pulque*, ale prawo do upijania się nim mieli tylko zasłużeni wojownicy i starcy. Cahuotl zadeklarował, że jako weteran trunek dzikich ofiarnie bierze na siebie.

W przeciwnym razie ktoś mógłby donieść, że łamią święte zakazy. Alkohol to straszna trucizna. Osłabia wolę i ambicję, tłumaczył Tennokowi mistrz miecza, zanim zaczął wymiotować na przyzbę. Książę pokijał głową. Nie miał nic przeciwko destrukcji woli i ambicji Kruzów. Może wtedy robiliby mniej głupstw.

Opuścili wieś obładowani prowiantem i alkoholem. Następnego dnia, gdy wzgórze H'upów rozmyły się w tumanach kurzu, zrobili popas. Cahuotl poczuł się źle. Tennok nakazał swojemu *ursowi* poszukać leczniczych ziół: błękitnego powoju i mięty, fenelu, krwawnika i kminku. Potem przekonywał sam siebie, że to nie one go zabiły. Cahuotl miał swoje lata, w końcu i tak by umarł. Może nie na krwawą biegunkę, ale czy śmierć w boju lub z flakami na wierzchu jest lepsza?

Zwiadowcy H'upów obserwowali ich z lasu. Miny mieli smętne. Zapewne liczyli, że wszyscy wędrowcy połączą się na zatruty napój, tylko najbardziej pobożni Kruzowie przestrzegali zakazu spożywania *pulque*. Tennok spoglądał na dogorywającego mistrza miecza. Było mu przykro.

- Tennok, posłuchaj mnie... - Weteran zdążył złapać go jeszcze za rękę. Włosy, przycięte na kilku poziomach nad czołem i na skroniach, lepiły mu się już wtedy do czaszki. - Honor Turkusowej Włóczni jest teraz w twoich rękach. Ojciec na ciebie liczy. Musisz...

Chłopak pochylił się i zbliżył usta do jego twarzy. Chory śmierdział potem, a jego oddech cuchnął zawartością żołądka.

- Powiem ci coś w sekrecie. Otóż, stary przyjacielu, nic nie muszę. A Turkusową Włócznię możesz sobie wsadzić w dupę.

Weteran poderwał się, wsparł na łokciach. Tennok z trudem pchnął go z powrotem na ziemię. Przytknął do jego ust buklak z wodą, przerywając wiązankę przekleństw. Niewolnicy obserwowali te troskliwe zabiegi z ciekawością, czterej żołnierze Cahuotla z lękiem. Haran przyglądał się agonii mistrza miecza z nieprzeniknioną twarzą. Po policzkach i szyi spływała mu krew z głębokich błagalnych nakłuć, które wykonał w imieniu Tennoka. Książę oderwał naczynie od splekanych warg i pozwolił dławiącemu się mężczyźnie wykrztusić wodę z płuc. W przekrwionych oczach zamigotał strach.

Tennok pokręcił głową.

- Daruj sobie przemowy i rady. Nie wysłucham ich. Po raz pierwszy w życiu nie muszę robić nic, na co nie mam ochoty.

- Twój ojciec toczy wojnę. Plemiona buntują się, *tlatoni* spogląda na Yugal. Wiesz, co się stanie, jeżeli nie doczeka się zakładnika?

- Nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Napij się lepiej wody.

- Poczekaj. Chcę posłuchać. To też moje miasto - przerwał mu Haran.

- Słyszysz, książę? Nawet dzicy... i demony to wiedzą. Człowiek... człowiek nie żyje tylko dla siebie - wyszeptał Cahuotl.

- Na pewno? Jeżeli to, w co wierzyłeś, istnieje, pozdrów ode mnie bogów - rzucił Tennok.

Tak naprawdę chciał powiedzieć mu jeszcze wiele rzeczy.

O nienawiści i smutku, o życiu zatrutym przez bliskich.

O decyzji, która pojawiła się nagle w jego sercu. Może nawet chciał mu podziękować. Ale Cahuotl właśnie umarł.

Pogrzebali go w płytkim dole, ku zadowoleniu kojotów i kanibali. Ludzie z eskorty zegnali go z szacunkiem, był przecież wielkim wojownikiem.

Tennok odwrócił się, jego uwagę orzyciągnęła barwna chmara owadów, frunąca przy gałęziach drzewa morwy.

Biedny chuju. Nawet się nie zamienisz w kolibra.

Początkowo zamierzał złożyć przy starym wojowniku całą jego broń, po namyśle zabrał jednak jego miecz dwusieczny, *macuahuitl*. Była to ciężka, dwuręczna broń i nie potrafił się nią posługiwać, ale sądził, że da radę ją sprzedać. Potem zwrócił się do niewolników:

- Umarł człowiek, który sprawował pieczę nad tą wyprawą. Od teraz ja tu dowodzę i chcę, żebyście poszli precz.

- To znaczy dokąd? - dopytywał się Jupp, gruby, osowiały chłopiec ze skłonnością do modłów i onanii.

- A bo ja wiem? Mam za was myśleć? Gdzie chcecie, jesteście wolni.

Haran obserwował księcia z narastającym zdumieniem. Niewolnicy także gapili się na niego ponuro. *Urs* wprost widział podejrzliwe myśli wijące się, jak glizdy, pod ich pomarszczonymi czołami. Zabić? Obrabować? Zeżreć? Na szczęście groza imienia Maczuraia zwyciężyła chciwość. Po kolei znikali w lesie bądź mijali ich i wracali w stronę stołecznego Tollan, które ściągało emigrantów jak muchy. W końcu został tylko Haran, znudzony i niewzruszony jak skała

- Ty też. Możesz iść.

- Jestem twoim *ursem*. Powiedziałeś, że potrzebujesz wiernych ludzi.

- Już nie. Od teraz zamierzam być nikim. Odejdź.

Haran wzruszył ramionami.

- Nic z tego. Druazzi splanają swoje długi. Masz moje życie, Kruzie.

*

Gdy Haran zamykał oczy przy tłącym się w dżungli ognisku, sen zabierał go w swoją własną ciemność. W Doły. Ci, którzy stamtąd wyszli, mają zarezerwowane miejsca w odrębnych komnatach nocy. A i on czasami tęsknił za mrokiem. Brakowało mu ludzi, z którymi dzielił tamto życie, nawet jeśli skakali sobie w tym piekle do gardeł. Pod żółtym i wścibskim

słońcem czuł się bezbronny i miękki. Dlatego codziennie niecierpliwie wyczekiwał nocy, kuląc się w żółwiej skorupie, którą nosił w sercu. Zamykał oczy i znowu stał na tamtej zjeżdżającej w ciemności platformie, szczyrzył zęby i wracał do domu. Zasypiając, rozmyślał o Dołach.

Dopiero po kilku latach w ciemności zdał sobie sprawę, że gładzenie o losie, przekleństwach i klątwach zakrawa w jego przypadku na kpiny. Ci z Dołów nie mieli życia, żadna klątwa nie mogła im niczego odebrać. Wielu skazańców celowo zagłębiało się w korytarze zjadaczy, z utęsknieniem wypatrując śmierci. Inni, zatruci ciemnością, chępliwie obwieszczali, że widzą - i zadreżczali współwięźniów rojeniami o kwiatkach i węzłach, o chętnych, wijących się w złotej pleśni kobietach, których oczy syczą, a usta mrugają jak czarne źrenice. Niektórzy, przesiąknięci gryzącą wonią żywicy, przysięgali, że widzieli całe krainy kopalni, szkliste bramy wiodące do zamrożonych w magicznej pozłocie światów. Jednym słowem, dostawali pierdolca, co ich towarzysze nierzadko przyjmowali z zazdrością.

Za rządów, czy raczej dyskretnego doradztwa Morosa, klan był inny. Wojownik potrafił hamować krwiożercze okrucieństwo Blaska, brawurę Flaka i skłonność do szukania kłopotów Pełzacza. Ale Moros odszedł. Po latach Haran przestał go nawet nienawidzić za porzucenie i zdradę. Zapamiętał jako przedstawiciela rzadkiego gatunku półchujów. Kłopotliwych stworzeń, od których otrzymał coś poza upokorzeniem i bólem. I nawet porzucony przez opiekuna, żył dalej. Co więcej, z każdym rokiem rósł i przybierał na wadze, na przekór głodowi i brakowi słońca. A może oświetlało go inne, nieznanne światło?

Kiedyś Haran widział, jak prastary *mo'qun* wylania się ze ściany kopalnianego chodnika. Przybrał formę zacieków i niewielkich wirów.

Wyglądało to dość przerażająco, jakby całą rzeczywistość zaczęły porastać macki. *Mo'qun* pojawiały się tylko w miejscach, które inni zjadacze zdobyli i przygotowali. Jednym z elementów tych przygotowań był dym. Trujące opary, gryząca,

chemiczna woń przypominająca nieco żywiczne, świątynne kadzidła z kopalu, a trochę czarną, łatwopalną maź, która tryskała z ziemi na pustynnych równinach północnego wschodu. Człowiek był nim w stanie oddychać jedynie z największą trudnością. Drugim elementem był ludzki szpik, którym zjadacze wytyczyli w komnacie nieregularny pentagram. Szpik stanowił przysmak *hikku'tai* i pozostawał jedną z nielicznych substancji przyswajalnych przez delikatne organizmy *mo'qun*.

Skuleni w ciemności, zjadacze zawodzili miarową, upiorną kołysankę. Haran spostrzegł, że są wynędzniali i chorzy. Ich skóra łuszczyła się, pokrywały ją ohydne zgorzele i purchle.

Mo'qun objawił się wreszcie. Miał obłą, pozbawioną oczu głowę, która wyglądała jak kwietny pąk obdarzony paszczą. Tylko łeb stwora, podrygujący na dziwnej, quasi-roślinnej łodydze, zdecydował się na materializację, czy raczej skupienie substancji. Haranowi przypominał podwodne trzciny, które oglądał, nurkując w odmętach Mys. Czerep kołysał się, jakby unoszony nurtem, prądami z umarłych światów. Młody Druazzi zadrżał. Czuł, że patrzy na coś naprawdę obcego, coś, przy czym dystans dzielący ludzi od zwierząt, roślin i martwych skał jest zaledwie drobną różnicą.

Mo'quny bały się ludzi, zjadacze bronili ich tak zaciekle jak Tłazkalanie załomów Labiryntu. Potem z mroku wynurzyła się druga istota. Haran zamrugał i ze zdumieniem dostrzegł, że jest to kobieta. Naga i bujna, o ciężkich piersiach i krągłych, sycących biodrach. Posążek bogini płodności, jej skora była czerwona i czarna, wypalona jak glinka dopiero wyjęta z pieca. Pełzały po niej płomienie i czarne, zwęglone blizny.

Haran zadrżał. Przypomniały mu się zasłyszane pewnej nocy' słowa, wyszeptane przez oszalałego górniką, który zszedł za głęboko w ciemności i potem dogorywał, szepcząc:

*Władcy Bólu wędrują przez skórę
Piękno kroi ci duszę jak ranę
Starzy mo'qun pełzają przez góry
Strach skroplony jak rosa na skale*

*Matki Roju wędrują przez ogień
Wypłakują mm szlaki ku chwale...*

To była ona, prawdziwa władczyni Yugal. Ta, która obdarza mocą.

Potężny *mo'qun* padł na jej widok na brzuch i czołgał się z wywieszonym językiem. Nabrzmiały, purpurowy fallus, żłobił w popiele i żużlu krwawą krechę. Matka Roju podeszła bliżej, a on odwrócił się, ukazując brzuch w poddańczym dziwnie psim geście. Królowa kucnęła nad nim i ujęła jego członek, który zadrżał i rozcapierzył się. Dosiadła go, jęcząc gardłowo, w powietrzu rozeszła się zaś woń, której nie dało się z niczym porównać; korzenny, żywiczno-agonalny swąd pieczonego żywcem demona.

Mo'qun wyszczerzył zęby. Rany, zgorzele i chorobliwe znamiona na jego ciele nagle zaczęły się goić. Skóra demona dymiała, jakby sam kontakt z powietrzem palił ją i utleniał.

Po chwili na gładkiej skórze istoty pojawiły się poszarpane, bliźniacze szczeliny. Sączyła się z nich sina, oleista ciecz. Haran szarpnął się, tłumiąc wzbierające wymioty, desperacko przelknął żółć. Ohyda tego procesu była tak odstręczająca, że wykraczała poza możliwości języka i postrzegania. Podrygujący w ekstazie stwór mienił się wszystkimi kolorami rozkładu. Opalizował jak skrzydła miękkiej, kosmatej muchy, opitej krwią i gównianym sokiem.

Wydzielina *mo'qun* syczała przy zetknięciu z podłożem i niezwłocznie krystalizowała w kopal, połyskliwą, szklistą i gładką substancję, żółtawą jak wilcze ślepie. Kilka kropel prysnęło na lewą rękę Harana, która skurczyła się, dymiąc i schnąc jak liść obryzganym trującym kwasem.

Niemal krzyknął, resztką woli dławiąc zwierzęcy wrzask w krtani. Znał ten zapach. To była stężona żywica, zwana także *braazatalem* lub smarem. Idealne lekarstwo, kadzidło i opał. Najbardziej pożądany narkotyk. Mędrzy od dawna spierali się, czy kopal był skamieniałą żywicą, ekskrementem, nasieniem czy łzami, ale to on, nieuczony barbarzyński niewolnik, rozwikłał za nich tę zagadkę.

Braazatal nie był krwią, łzami ani nasieniem. Powstawał kiedy raniono *mo'qun*, a potem szybko kamieniał, przyjmując postać kopalu.

Właściwie to powinni nazywać go ropą.

Rozdział 15

Tyleż tam było wież świątyń i budowli wznoszących się wprost z wody, a wszystkie murowane z kamienia, że niektórzy żołnierze pytali nas, czy to, co widzimy, nie jest snem. Widzieliśmy bowiem rzeczy, jakich nie widziano ani o jakich nie słyszano. Dzisiaj te wszystkie cuda są zburzone, stracone i nic z nich nie zostało.

Bernal Diaz De Castillo,
Pamiętnik żołnierza Corteza

Stolica Odrodzonego Przymierza, Tollan, leżała w Dolinie Synn, najżyźniejszym i najbogatszym regionie kruzańskiego imperium, kolebce prastarych cywilizacji. Otaczała ją korona drzemiących wulkanów i górskie przełęczce porośnięte lasami iglastymi. Aglomeracja dawała schronienie, a przynajmniej jego namiastkę, pięciuset tysiącom dusz, nie licząc rotacyjnej załogi niewolników, *ursów* i jeńców ofiarnych, których cykliczna kaźń podtrzymywała życzliwą uwagę bóstw.

W poprzednim Cyklu metropolia wznosiła się pośrodku jeziora obfitującego w ryby, ptactwo i smakowite owady, przetykanego groblami i wyspami. Tamto starożytne miasto spłonęło i utonęło we krwi, zniknęło wraz z dawnym światem. Klątwa bogów ocaliła Prawdziwych Ludzi, ale dla ówczesnych władców doliny, Meszików, zwanych też Aztekami, była potworną klęską. Białoskórzy wyginęli, lecz prawdziwych Ludzi umarło znacznie więcej.

Oprócz chorób ocalałych gnębiły mroczniejsze jeszcze plagi, istoty rodem z sennych koszmarów. Według nielicznych zachowanych kronik zdruzgotany rozmiarem katastrofy Montezuma nakazał swoim poddanym rozpalić wielkie stosy

pogrzebowe i wkrótce ogołocił z lasów całą Dolinę Synn. Później rozkazał wrzucać zwłoki zmarłych wprost do jeziora. Ocalali czynili to tak długo, aż ruiny stolicy przestały być wyspą, połączone z brzegiem szerokim przesmykiem z ciał.

Krurowie, z racji swego zamiłowania do ludzkich skór, nazywani przez wrogów Kuśnierzami, byli wtedy jednym z wielu pomniejszych plemion żyjących pod hegemonią Azteków. Podobnie jak liczne plemiona przed nimi przybyli na pogranicze Przymierza z suchych północnych równin, niegościnniej kolebki ludów. Podczas wojny stanęli wiernie u boku swych władców, w przeciwieństwie do zdradzieckich Haszkan, Totonaków czy leśnych Druazzi. Wtedy też Krurowie zdobyli swój plemienny przydomek, nawiązujący do piekielnego narzecza Białych Diabłów i okrutnego symbolu karni, któremu Białoskórzy szaleńczo oddawali cześć. Krurowie przejęli od nich ten zwyczaj, masowo krucyfikując pojmanych najeźdźców.

Nazwa „Krurowie” przyjęła się, a jej szczęśliwi właściciele zapomnieli w końcu, jak nazywali się przed Kłątą. Tamta nazwa zatonała więc w odmętach historii, podobnie jak praktyka krzyżowania i inne pamiątki z poprzedniego Cyklu, gdy przysli Krurowie byli jeszcze łowcami wędrującymi po Północnych pustkowiach. Zapieklą nienawiść do Białoskórzych i ich sprzymierzeńców okazały się jedynym dziedzictwem tamtej burzliwej epoki.

Wojna i Kłątwa zdziesiątkowały zwycięskich Kruzów, lecz nie złamały ich ducha. Po latach okazało się, że Aztekowie odeszli. Dolina potrzebowała nowych panów, ktoś musiał wypełnić próżnię po wymordowanych, przetrzebionych epidemiami mieszkańcach oraz wyciętych w pień populacjach zdrajców. Kraina, o którą dziesiątki ludów toczyło zajadłe wojny, stała się ziemią przekłętą, siedliskiem zarazy i śmierci, z zielonymi muchami wielkości kolibrów i sępami wzdętymi jak wieprze. Inny, mniej pobożny naród wywędrowałby do nowej siedziby. Lecz Krurowie pamiętali, jak niegościnnie i barbarzyńska jest Północ. Dlatego skwapliwie przejęli dawne azteckie mity i uzasadnili swoją decyzję przed światem. Zaczęli opowiadać

sąsiadom, jak boski orzeł Huitzilopochtli po raz drugi wylądował na kolczastym krzewie opuncji. Kiedyś to właśnie on wskazał tułającym się po świecie Aztekom miejsce na nowe miasto.

Następcom Azteków, Kruzom, bóg także kazał zacisnąć zęby i osiąść w Tollan. Podarował im też nowe imię -Odrodzeni. Bezbożnicy dworowali sobie, że stary Huitzli najwyraźniej niczego się nie nauczył albo lubił mieć kolce kaktusa w kuprze. Jego wyznawców czekał bowiem znów ten sam los co Azteków, skoro wybrali ich miasto na swą siedzibę. Ale to bogowie śmiali się ostatni, gdy bluzniercy palili się żywcem albo chwyтали własne, dyszące serca śliskimi palcami, wykrztuszając bezczelne szyderstwa wraz z ostatnim oddechem. Kruzowie szanowali wolę bogów. Zostali, zasypane fragmenty jeziora wraz z ruinami zmieniono w ugór, a później w pocięte kanałami pola, najżyźniejsze ziemie uprawne Odrodzonego Przymierza. Imperium Meszików powstało z popiołów, silniejsze niż kiedykolwiek.

Ze wzgórz odbudowana metropolia wyglądała wspaniale. Być może równie pięknie jak w owym dniu, gdy kronikarz Białych Diabłów zachwycił się i nazwał ją bajkowym miastem ze snu. Kompleksy świątyń i pałaców o złotych dachach dostojnie prażyły się w słońcu. Błękitne wody jeziora przecinała szachownica grobli i sztucznych poletek *chinampa*, między którymi uwijały się czółna z rolnikami, myśliwymi, nosiwodami i zbieraczami jajek. Nawet Półwysep Kurhanów, niegdyś wzniesiony z ciał, po setkach lat zielenił się polami i ogrodami, które otaczały drogę wiodącą do miasta. Budynki mieszkalne obrosnięte były ogródkami, ściany miały jasne, pobielone wapnem. W centrum miasta i przy wielkim placu piramidy pyszniły się zielenią, turkusem i ochrą.

Haran długo stał, podziwiając ten widok. Radosne, nieświadome piękno tego dumnego miasta miało w sobie coś kojącego. Odwykł od takich rzeczy, tak jak odwykł od nieba i słońca.

Doły zmieniły go, wzmocniły i wyniszczyły jednocześnie. Nauczył się panować nad grozą, która u żarła się w jego duszę,

wytrawiając ją i wypalając jak drewniany szpikulec włócznie ostrzonej nad ogniskiem. Miał żalobę pod paznokciami i w sercu, a jego dłonie nawykły do rozrywania kamieni i ludzkich gardeł. Poruszał się bezszelestnie, mariwieioc przy każdym odgłosie. Na samą myśl o zanurzeniu się w rojny tłum czuł podniecenie i strach. Powierzchniowo byli dziwni, naiwni i niefrasobliwi jak dzieci. Ośmielali się chodzić bez broni, hałasować, nie dostrzegać śmierci. Mieszkali w domkach zabawkach, snując klechdy o bohaterstwie, opatrności i bogach, nieświadomi mroku, który zalegał pod ich stopami.

Przy komorze celnej, samodzielny, dostojny zameczku, w którym stacjonował oddział piechoty, gościniec rozdawał się. Szeroki, dobrze utrzymany trakt prowadził do głównej grobli, wiodącej do lepszych dzielnic, zamieszkanymi przez „starych” Kruzów; kapłanów i rzemieślników, wojowników i bogatych kupców. Druga, nieco zapuszczona odnoga, kierowała się okrężnie w stronę slumsów.

Zasady były proste. Ci, którzy mieli stolicy coś do zaoferowania - siłę i broń, pobożność i pieniądze, umiejętności, ładne ciało czy choćby kosz świeżych warzyw, szli do szacownej Bramy Południowej. Pozostali musieli się zadowolić Bramą Gnojną. Przez Południową nawet mysz nie prześlizgnęłaby się bez przepustki, złota lub przynajmniej zestawu narzędzi wskazującego na ekonomiczną przydatność przybysza. Ku przerażeniu Harana Tennok bez namysłu zignorował Bramę Południową i z entuzjazmem dołączył do sznura łotrów, straceńców i obszarpańców oblegającego Gnojną.

- Nie zamierzam się z niczego tłumaczyć - tłumaczył. Haran dreptał przy nim z coraz bardziej ponurą miną, bezskutecznie próbując się pogodzić z rosnącym wokół smrodem. - I nie, nie wiem jeszcze, co będę robił. Od dziś jestem nowym człowiekiem.

Haran chciał zaprotestować, ale ugryzł się w język, Długi należy spłacać. Tego nauczył go Moros. Wspomnienie o tych, których zostawił w Dołach, smagnęło jak karzący bicz. Porzuciłeś ich. Zostawiłeś na pastwę losu.

Przed bramą kłębił się cuchnący tłum. książę zagłębił się w

cizbę z entuzjazmem szaleńca. Haran nie odstępował go na krok, ściskając nóż i pilnując sakiewki. Za cos musieli przecież przeżyć.

Po raz setny przeklął swoją głupotę, honor, bogów i chuj wie co jeszcze. Miał tutaj marne szanse, a z tym idiotą na karku stawały się jeszcze mniejsze. Pęcherz wiedziałby, co zrobić, ale Pęcherz wystawił go do wiatru i zginął.

- Może to jeszcze przemyślisz? Pójdziemy do innej bramy i zgłosisz się do świątyni, pałacu, czy gdzie tam miałeś iść. Tu naprawdę nie jest bezpiecznie!

- Nic nie rozumiesz? Śmierć Cahuotla to zrządzenie losu. Po raz pierwszy w tym przeklętym życiu jestem wolny. I nikt ode mnie niczego nie chce! - zawołał książę, nieświadomy łakomych spojrzeń, jakimi obrzuciła go grupka ponurych głodomorów z nożami.

Haran położył znów łapę na rękojeści noża, w gardle wezbrał mu mało ludzki i mało przyjazny warkot. Obszarpańcy spojrzeli na barbarzyńcę z posępnym namysłem, jak kojoty na sparszywiałą i chorą panterę. Potem znów wbili wygłodzone spojrzenia w Tennoka. Był taki tłuściutki i miękki. Pewnie zamierzali go zjeść. Albo zgwałcić. Albo jedno i drugie. „Bo nigdy nie jest tak, że nikt niczego od ciebie nie chce, mój ciepłarniany i wymuskany przyjacielu. W najgorszym razie można cię upokorzyć i zabić dla frajdy”.

Haran zaklął pod nosem. Męczył go ścisk, w Dołach potrafił całymi dniami samotnie drażyć tunele w poszukiwaniu smaru. Tam w ogóle nie było tłumu, nie licząc dni gdy z powierzchni spuszczano w windach kolejną dostawę frajerów, czyli karmy dla *hikku'tai* i *murgha*. Podobny był za to smród i deficyt świeżego powietrza. W zawieszynie gęstej od dymu z węgla drzewnego, pary z garnków i ludzkich wyziewów kłębiły się roje much. Niektóre odpoczywały, łażąc po wzdętych trupach, usypanych w zgrabne sterty przy murze, niczym bale tekowego drewna. Haran pomyślał, że w mieście panuje zaraza, przechodnie mijali jednak ludzkie szczatki obojętnie. Ktoś wyjaśnił im, że to drobni przestępcy, których o zmroku poćwiartują na ucztę dobroczynną.

Niektóre z ciał nie miały już ramion i nóg, a ich odcięte czaszki szczyrzyły zęby na specjalnych grzędach, zwanych *tzompantli*, czyli na ścianach czaszek. Konstrukcje przypominały nieco ogromne liczydła z czaszkami w roli kamyków. Kruzańskim zwyczajem nawleczono je na poprzeczne żerdzie przez otwory wyklute w skroniach. *Tzompantli* spotykało się w stolicy dość często. Największa ściana czaszek przy Czerwonej Świątyni miała ponad sto kroków wysokości i przeszło połowę tej szerokości.

Ruszyli dalej, rozglądając się za budynkiem wystarczająco solidnym, by mógł sprostać podmuchom wiatru czy naciskowi opierającego się o niego menela. Gliniane domy były przeważnie dwupiętrowe. Z balkonów kusily piersi obnażonych nierządnic, padały zachęty i kpiny, bluzgały wyzwiska i zawartość nocników. Bruk był jednak zaskakująco czysty jak na taką ciżbę, ulice grodu sprzątała bowiem armia dwudziestu tysięcy czyścicieli, zwanych czule gównojadami. Fekalia użyźniały poletka, i tak koło życia toczyło się dalej.

Wszędzie kłębili się ludzie. Przeważnie prawie nadzy, w białych przepaskach biodrowych z taniej tkaniny *maguey*, czasami też w płaszczach *timatli*. Kobiety nosiły proste spódnice i bluzy. Niekiedy mignął ktoś z wyższej kasty, we wzorzystej spódniczce z bawełny albo w kolorowej sukni. Natrętny sprzedawca skrzeczał, zachwalając kukurydzianą papkę z czekoladą, serwowaną w podłużnych naczyniach z kory. Jakby ktokolwiek poza tęym wieśniakiem mógł uwierzyć, że nędzarz jego pokroju zdobył gdzieś prawdziwe ziarna kakaowca i sprzedawał je innym głodomorom. Haran zakupił dwie tykwy, wydając na to sporo pieniędzy. W tym tempie niedługo się skończą. Z przykrością stwierdził, że po pobycie w kopalniach Turkusowej Włóczni jedynym fachem, do którego odczuwał pociąg, jest ekspresowa podrzynie gardel.

Akurat ta nisza rynkowa była jednak w slumsach mocno obsadzona. Zwrócił uwagę na uzbrojonych gości paradujących środkiem ulicy, wdających się ze sprzedawcami w pogaduszki i przekomarzania, przynajmniej w jednym wypadku zakończone dobytciem broni i odrąbaniem dłoni krnąbrnego handlarza.

Miejscowi przestępcy wyglądali na zdeterminowanych i groźnych. Nosili wilgotne, czerwone kurtki z czegoś, co nie musiało, ale mogło być ludzką skórą.

Nawet tu, w dzielnicy biedaków i drobnych przestępców, zachował się system rodowy. Liczne rodziny i klany, pozostałości po migrujących plemionach, zajmowały całe kwartały ulic i duże, zamknięte podwórza, jak to, w którym Haran się wychował. Kilka rodzin tworzyło mniejsze dzielnice, *calpulli*, mające własne oberże, świątynie i szkoły wojowników.

W Tollan mieszkało mrowie narodów i plemion, różniących się mową, strojem i obyczajem. Z pewnością łączyło je jedno. Żadne, nawet najbardziej podupadłe *calpulli* nie chciało przenocować prowincjonalnego, kruzańskiego panicza, szwenda-jącego się ze zdziczałym, białoskórym *ursem*. Zupełnie jakby miejscowi czerpali satysfakcję z tego, że mogą odmówić czegoś jednemu ze szlachetnie urodzonych.

A czas naglił, Haran czuł, że noc na ulicy zakończy się dla nich tragicznie. Trafia w niewolę lub do klatki na ludzkie pieczone, w najlepszym zaś razie zostaną pobici i obrabowani.

Zmęczeni i głodni, dowiedzieli się, że w pobliżu murów miejskich rozlokował się klan „nieczystych”, rzeźników i masarzy. Haran podszedł do bramy ich siedziby, kompleksu budynków otoczonego parkanem. Zielonkawę, opalizujące muchy szybowały w smrodliwym powietrzu jak ohydne karykatury kolibrów. Przez otwór zobaczył rozległe podwórze, jatki, górę odpadów i flaków.

Dwóch mężczyzn ostrzyło noże na kamieniu, rozmawiając ochrypłymi głosami. Haran wzdrygnął się, zachłysnął kwaśną mieszką strachu, tęsknoty i wstrętu. Był w domu. To jego rodacy. Podejrzliwi, nieufni Druazzi. Mężczyźni spojrzeli na niego tępo, a on skulił się, chowając przed nimi twarz. Rzucił im słowa pozdrowienia. Ich rysy stężyły na dźwięk swojskiego dialektu i rozbłysły na widok pieniędzy. Starszy rzeźnik opuścił kamienny toporek.

- W porządku, możecie tu zostać.

Podziękował i wręczył starszemu woreczek płatniczych ziaren.

Skomplikowaną serią splunięć, zakłęk i uścisków dłoni przybili zwyczajową, krajańską obietnicę Druazzi. Potem Haran przywołał Tennoka, który wszedł, rozglądając się po dziedzińcu oczami krągłymi jak tarcze.

- Będziemy tu bezpieczni. Przynajmniej póki nie skończą się twoje pieniądze.

Tennok obojętnie pokiwał głową. Haran wrzucił ich tobołki do szopy, którą dostali na kwaterę. Była prawie pusta, a rozrzucone resztki skór, kopyt i ścięgien objedzono do czysta. Miał nadzieje, że przemykające po kątach karaczany i szczury nie są dość głodne, żeby polować na ludzi.

Za murem mościła się noc. Haran rozłożył swoją matę pod ścianą. Od czasu pobytu w Dołach bał się otwartych przestrzeni. Woń piezonego na wieczerzę smakołyku, pasty z owadzych jajeczek, kukurydzy i ostrej papryki, mieszała się z zapachem węgla drzewnego. Ktoś smażył kacze jaja na wyjętych z żaru kamieniach. Dobrze, że to nie jaja człowieka. Nocne życie Tollan było okrutne, intensywne i szybko się urywało. Kwiczały szlachtowane na wieczerzę świrze, w zaułkach wzywali pomocy szlachtowani ludzie. Ale na szczęście nie on. Długo nie mógł zasnąć. Zapadający na dworze zmrok dogonił go wreszcie, połączył się z czernią wspomnień. Haran przeniósł się z powrotem do Dołów i niżej), w miejsca, których nie chciał pamiętać. Pełzacz i Blask Twoich Oczu już tam byli, Blask zawiesił sobie na szyi nowe, wilgotne ozdoby. Wcisnął w dłoń chłopca małą, lepką kulkę i pokazał mu, jak się wysysa żrenice, twarde i konkretne na przekór swej poetyckiej otoczce. Pełzacz objął go mocno, chudy i obły jak korzeń wysuwający się z ziemi, którą zgłębiał i którą się karmił.

- Należysz do nas, chłopcze. I nigdy nie wyjdiesz na światło.

Sprzątający narzędzia rzeźnicy wzdrygnęli się, słysząc krzyki, i podeszli, aby się przyjrzeć przybyszowi. Patriarcha klanu jęknął i przeklął dane oszustowi słowo. W promieniach księżyca szara, zatęchła obcość tej twarzy była przeraźliwie widoczna, jak obelga wymierzona bogom. Ale gorszy okazał się chrapliwy, zduszony jęk i szponiaste palce kurczowo drapiące ziemię.

Szary człowiek śnił jak ktoś, kogo właśnie zasypują żywcem.

Rozdział 16

Sekwoje wznosiły się ogromne, smukłe i proste, kolumnada w zielonych pałacach bogów. Wierzchołki drzew wbijały się w chmury, Cítlali nie potrafiła dosięgnąć ich wzrokiem. Ale musiała się wspinać.

Jasna kora była gładka i twarda, dotyk drzewa sprawiał dziewczynie przyjemność. Wczepiała palce w zagłębienia i rowki w korze, wspierała się kolanami. Gdyby mogła, skrzyżowałaby stopy na pniu, jak kobieta krzyżuje nogi za drgającymi plecami kochanka. Siedemnastoletnia Cítlali nie była jeszcze z mężczyzną, ale w pałacu krużańskiego króla widuje się różne rzeczy - a raczej niewielu się nie widuje.

W górę.

Wspinaczka wymagała od niej ogromnego wysiłku, ale każdej nocy docierała odrobinę wyżej. Przy całej zmysłowej imersji, Cítlali wiedziała, że to nadal sen. Promienie słońca przecinały listowie jak klingi i muskały pieczętą skórę. Powietrze wypełniały zapachy, których nigdy nie czuła na jawie. Zbutwiała, wilgotna woń, ale bez tropikalnej domieszki, znaczone chłodem i mgłą. Za każdym razem, zdumiona, na nowo rozpoznawała to miejsce i przypominała sobie Poprzednie wizyty.

Są sny, które rozbudowują opowieść, jak kolejne piętra zamczyska wzniesionego z kryształów, lodu i chmur. To siedziby bezdomnych na jawie. Rozprasza byle podmuch, ale nic nie zdoła ich zburzyć. I zawsze czekają na tych, którzy znaleźli w nich dom.

W górę.

Cítlali zadarła głowę i spostrzegła nad sobą zbitą pokrywą chmur. Wiedziała, a może pamiętała, że poza warstwą oparów znajdują się korony tych drzew. To stamtąd biła woń kwiatów, to stamtąd dobiegała muzyka. To tam wznosiły się utracone pałace Osanków.

Citlali wiedziała to wszystko, ale nigdy nie zdołała się przebić przez kremową pokrywę mgły. I zawsze, gdy była już blisko, budziło ją coś błahego i trywialnego, całkowicie pozbawionego znaczenia...

- Wstawaj! - warknęła matka. - Nie lubię tych twoich drzemek za dnia! Ile można spać?

- Czego chcesz? - wyszeptała dziewczyna.

Opuszki palców wciąż pamiętały rozgrzaną korę, lecz materia snu rozpraszała się jak kropla wody na rozpalonej blasze. Zamiast chmur widziała nad sobą pochmurne oblicze Kysy.

- Za godzinę zaczyna się przyjęcie! Dziewczyno! Co ty tu jeszcze robisz?!

Był wczesny letni wieczór i nawet tu, w leżącym nieopodal gór Tollan, powietrze pozostawano nagrzone i parne. Przyjęcie w pałacowych ogrodach dopiero się rozkręcało. Doskonale ubrani goście przechadzali się alejkami, wachlowani przez piękne tancerki i milczących *ursów*.

Ta zapobiegliwość służby była właściwie zbyt duża, jako że ogrody władcy wznosiły się na rozległym, spłaszczonym szczycie Piramidy Królów, owiewanym delikatnym wiatrem. Szlachetnie urodzonych gości nie trapiły niedogodności zwykłych mieszkańców Tollan: choroby, wyziewy i skwar. Ogromny gmach, właściwie góra wzniesiona ludzką ręką, miał za zadanie przytłaczać. Nie sposób zapomnieć o władzy, której siedziba góruje w ten sposób nad codziennością miasta. Trudno też zabrać się do obalania takiej władzy.

Nikt nie wiedział, czy reprezentacyjna budowla była wyższa niż słynna piramida Czerwonej Świątyni, zwana też Górą Szkarłatną. Złośliwi szeptali, że ludzie *tlatoaniego* i słudzy kapłanów rywalizują, usypując nocami kolejne piętra swoich gmachów. Rozpowiadali, że budulcem pałacu króla były wydarte biedakom towary: zlepione codziennym potem bele bawełny i worki kukurydzy. Ci ze świątyni lepili ją z kłamstw ludzkich czaszek i krwi.

Podobni plotkarze, malkontenci i dowcipnisie zdarzają się w

każdym mieście, poznacie ich po wydartych językach.

Na górnym poziomie tego ludzkiego kopca także toczyła się walka. Uzewnętrzniała się w pozornym chaosie i beztrzesce przyjęcia, w rozmowach, tańcach i flirtach. Grupki dworaków gromadziły się wokół kilku wpływowych osobistości. Piękne kobiety obsiadły Nehannę, pierwszą faworytę *tlatoaniego*, który od śmierci pierwszej żony konsekwentnie odmawiał politycznego ożenku. Faworyta miała znużoną, napiętą twarz i nerwowy uśmiech spełzający z zaciśniętych warg.

Koterie wojowników, kapłanów i kupców skupiały się wokół wybitnych przedstawicieli swoich kast. Czerwony Kapłan, Szurukan, nie zaszczycał swą obecnością królewskich zgromadzeń, ale na żadnej imprezie organizowanej w kruzańskiej stolicy nie mogło zabraknąć przedstawicieli kleru. Najodważniejsi i najbardziej ambitni z gości przysłuchiwali się dyskusji między *tlatoanim*, z bogów zrodzonym Quinatzinem, jego starym przyjacielem, szanowanym generałem Tizokiem.

Niebezpiecznie już było się śmiać z ich wzajemnych przytyków i żartów, braterska więź między nimi zaczynała niebezpiecznie przypominać nienawiść. Władca przysłuchiwał się opowieści żołnierza, który żywo gestykulując, pokazywał w jaki sposób konni wojownicy z północy ścigają woły periove. *Tlatoani* milczał i tylko zmarszczka na jego czole pogłębiała się, dając upust rosnącej irytacji. Wszyscy wiedzieli że Quinatzin nienawidzi trwonienia czasu na pogaduszki bardziej niż tlaszkalańskich górali.

Na uboczu, pod rozłożystym mahoniowcem przysiadł dobrotliwy, senny staruszek w splóviałych szatach kapłana. Nie trzymał przy sobie *ursa*, wyglądał jak porzucony tobołek. Miał w sobie coś z pomarszczonego noworodka, z ust ściekała mu strużka śliny.

Wrażenie było mylące, w ogrodach Quinatzina nie było ludzi przypadkowych.

Uważny obserwator mógłby nawet nabrać przekonania, że pustka otaczająca starca wynika raczej ze strachu niż z rezerwy czy lekceważenia. Ale większość uważnych obserwatorów nie dysponowała wiedzą, która pozwoliłaby im przejrzeć starego

Chimalpopokę. Nie wiedzieliby więc, dlaczego nagle stanęła przed nim zaaferowana, bardzo czymś przestraszona dziewczyna. Na dodatek śliczna.

- Potrzebuję twojej pomocy, panie - powiedziała, poprawiając długie, rozpuszczone włosy, typowe dla niezamężnej kobiety.

- Pomyliłaś mnie z kimś, dziecko. Proszę, pozwól mi spać - szepnęła dziadek.

Intruzka nie ruszała się z miejsca.

- Słyszałam, że pan potrafi zapewnić ludziom ochronę. Proszę mnie wysłuchać, błagam! Chcą mnie oddać komuś wstrętnemu. Nie mam już nic do stracenia. Zrobię wszystko. Mogę dla was pracować, mogę kraść. Nawet umrzeć. - Dziewczyna mówiła coraz głośniej.

Starzec uniósł jedną powiekę i tak ją już zostawił. Opadła mu za to szczęka.

Citlali nie była piękną, ale jej młode, kształtne ciało emanowało siłą i zdrowiem. Miała w sobie subtelny erotyzm, ponętny zwłaszcza dla ludzi wpływowych, których znudziły, wszechobecne na dworze, poza i epatowanie seksem.

Świeżynka, pomyślał Chimalpopoka i napotkał nieustępliwe spojrzenie dziewczyny. Zimne, zadziwiająco bystre oczy staruszka lustrowały ją spod ospałych powiek. A więc tak wygląda udręczona narzeczona Myskanto. Od lat przyglądał się młodym zakładnikom z pałacu i potrafił wyłowić obiecujący narybek. Oczywiście, nie dał po sobie nic poznać. Zastanowił się, czemu plotki o jego wpływach tak przybrały ostatnio na sile. Pewnie służba, ci zawsze mielią jęzorem. Ale to też mogło być na dłuższą metę korzystne. Nikt rozsądny w nie przecież nie uwierzył. A nierozsądni mogli im się przydać.

- Uwierz mi, to naprawdę pomyłka - szepnęła.

I zasnął, łagodnie puszczając wiatry. Citlali odeszła, przeklinając głośniej, niż było to przyjęte.

Miała niewiele czasu i właśnie zmarnowała tę odrobinę na dzieciinnego ramola, który wyglądał na nikogo. Jej źródło informacji okazało się mętną kałużą. Pilcetuhtli się mulił, albo

celowo wprowadził ją w błąd. Albo bardzo chciał ją przelecieć. Wskazał jej tego dziada jako zwierzchnika Tysiąca Oczu, czyli świątynnych szpiegów. Nawet nie mogła rozpoznać, któremu bogu służył stary. Pewnie był jednym z nieszczęśnika zapomnianych zarówno przez bogów, jak i własny kult.

Czasami znajdowano ich w opuszczonych celach, porzuconych i zagłodzonych albo zmumifikowanych za życia. Już prędzej pomoże jej pijany Druazzi.

Matka pomachała Citlali z tłumu. Pewnie się nią chwaliła, Kysa zawsze się nią chwaliła, nie miała zresztą innych atutów. Na szczęście dziewczyna nie widziała przy niej Myskanto. Czyżby nie został zaproszony? Nagle popadł w niełaskę króla? Ucieszyła się, że może dzisiaj uniknie jego widoku.

Kysa była starzejącą się kobietą o jasnej cerze i wyczerpanych oczach, w których powoli dogasała nadzieja. Pochodziła z peryferyjnego, plemiennego królestwa z północnego zachodu. Często opowiadała córce o domu, który w jej relacjach przestawał być zapyziałym, porośniętym sosnami i sekwojami kraikiem znad oceanu, a stawał się centrum świata. Przywiązana do ceremoniałów i form, każde prywatne upokorzenie przekuwała w kolejne oczekiwania wobec córki.

Obok jej matki stała młoda kobieta, którą Citlali musiała, niechętnie bo niechętnie, uznać za swoją najlepszą przyjaciółkę. W Domu Kobiet - bo tak nazywał się pałacowy kurnik, w którym hodowano najlepsze partie Przymierza - nie mężczyzn. W relacjach między kobietami twardsze dziewczyny szybko przejmowały męskie role. Z Mynque znały się od dziecka i przyjaciółka nauczyła jej się słuchać we wszystkim. Czasem podporządkowanie i uległość tej dużej piersiastej dziewczyny sprawiała Citlali przyjemność. Czula satysfakcję że istota silniejsza od niej fizycznie, którą natura lepiej przygotowała do znoszenia trudów życia, uznaje ją za mądrzejszą i lepszą. Ale potem pojawiał się gniew, gdyż w hierarchii Domu duża, niemądra Mynque plasowała się niewiele wyżej od szorujących podłogi niewolnic.

Dzisiaj Mynque zachowywała się niezrozumiale radośnie. Citlali zlustrowała jej zarumienioną, rozpromienianą twarz, gdy

przyjaciółka przepychała się do niej przez tłum, zostawiając w tyle zasapaną Kyse.

- Ty kretynko! Zakochałeś się! - Oskarżycielsko dźgnęła ją palcem.

W normalnych okolicznościach w oczach Mynque pojawiłyby się łzy, ale dziś wszechogarniająca radość tłumiała jej zdolność odczuwania bólu. Gorliwie pokiwała głową i obciągnęła suknię. Bogowie! Ta idiotka trzeci raz zmieniła dziś suknię i jeszcze ściągnęła ją pasem wzorzystej tkaniny, uwypuklającej piersi. Citlali już miała zachichotać, lecz z przykrością dostrzegła, że zabieg wyszedł przyjaciółce na dobre.

- No już! Gadaj, co się stało?

- Jest ktoś. Szlachcic... - szepnęła Mynque.

Citlali uszczypnęła się, żeby się zbudzić.

Bogaty, zakochany do szaleństwa młodzieniec wydawał się jedyną szansą młodych kobiet o tak niejasnym statusie jak one. Były córkami królewskich zakładniczek i nałożnic. Do osiągnięcia pełnoletniości pozostawały własnością pałacu. Traktowano je lepiej niż zwykle niewolnice, ale w przeciwieństwie do swoich matek nie miały żadnego politycznego znaczenia. Najładniejsze zostawały nałożnicami wielkich panów. Inne znikwały. Z tego, co Citlali wiedziała, najczęściej znikwały te, które zapomniały o tym, że nadal należą do króla.

- Musisz bardzo uważać - ostrzegła przyjaciółkę.

Na samą myśl, że mogłaby ją stracić, przeszły ją ciarki. Nie wyhoduje już sobie nikogo takiego jak Mynque.

- Może ty też kogoś spotkasz - zaszczebiotała przyjaciółka.

Citlali ponuro potrząsnęła głową. Taaa, na pewno. Kogoś dość bogatego i potężnego, żeby nie spłoszył go ten wredny Myskanto.

Nagle dostrzegła w tłumie charakterystyczną, barczystą postać. Jej samozwańczy narzeczonny przepychał się, torując sobie drogę uśmiechem i łokciem. Z czasów, gdy był wędrownym kupcem, zachował dziarską sprężystość chodu, z którą klócił się pokaźny brzuch sybaryty. Zdaniem Citlali prezentował się po prostu ohydnie.

Miał złuszczoną skórę, a tłuste maści, które powinny przywrócić jej gładkość, nadawały ciału kupca opuchłą fakturę padliny. Na dźwięk jego głosu nawet sępom i kojotom zbierało się na torsje. Odstępujący w zalotach, pozbawiony był wdzięku także w okrucieństwie. Na jego widok ciało Citlali spinało się, gotowe do walki, a żołądek zamieniał w supeł. Jednak jej odczucia i wykrzykiwane pod adresem matki pogrożki nie miały żadnego znaczenia. Myskanto był najbogatszym człowiekiem w mieście i uroił sobie, że ją zdobędzie.

Nie był nawet Meszikiem! Kudły kręciły mu się jak obsrana słoma. Mógł mieć domieszkę demonicznej krwi, był jednak dość bogaty, by nie obawiać się plotek. Cechowała go beztroska buta człowieka, który może kupić wszystko. Nosił długi, bawełniany strój wojownika, co w otoczeniu wojskowych mogło okazać się dla niego niebezpieczne. Myskanto pochodził z kasty kupców, a ludzie miecza zazdrośnie strzegli swoich przywilejów. Mimo to Citlali zwróciła uwagę na atencję, z jaką traktowali go członkowie armii. Chudy, posepny oficer z zakonu Orłów, pocący się obficie w pierzastym kombinezonie, tłumaczył mu coś gorączkowo. Bogacz poklepał go uspokajająco po ramieniu, rozglądając się bacznie po ogrodach. Na samą myśl kogo i po co szuka, Citlali zrobiło się słabo.

Nie, nie będzie uciekać. Wyprostowała się dumnie i czekała z uniesionym podbródkiem, ciężarem ciała na wysuniętej lewej nodze. Handlarz powitał ją prostacką imitacją ukłonu, pozdrowił też Mynque. Szybko znalazł się przy niej, usłużny i pełen galanterii.

- Nie cieszysz się na mój widok?

- Zgadnij - odparła zimno.

- Chyba nie. Ale to tylko kwestia c/asu. Dobrze wiem, że jeszcze do niedawna byłaś głęboko przekonana, że twoje pochodzenie zapewnia ci specjalne względy na dworze. Że w pajęczynie pałacowych intryg nie jesteś zwykłą muchą, lecz drogocennym motylem. Otóż, młoda damo, mylisz się. Twojego barbarzyńskiego królestwa już nie ma. Położyła mu kres jedna

zaraza była dość przypadkowa koalicja kilku chimeckich plemion.

Słuchała go, blada jak papier. Myskanto skrzywił się z litością. Położył jej rękę na ramieniu.

- Oczywiście, żadne dynastyczne małżeństwo nie wchodzi teraz w grę, podobnie jak urząd świątynny. Twoja biedna matka powie ci co innego, ale tak wygląda rzeczywistość. Normalną koleją rzeczy trafiłabyś do burdelu. Na szczęście możesz poślubić mnie.

- Musiałabym chyba oszaleć.

- Musiałabyś tylko dorosnąć. Wszystkie te piękne, pochmurne dziewczyny, które kochają się w wojownikach i tancerzach, bo gardzą uczciwym pieniądzem, któregoś dnia dorastają. A wtedy w ich życiu pojawiają się porządni, zapobiegliwi mężczyźni, tacy jak ja. Zastępujemy marzenia. I spłacamy długi.

Nie zdążyła mu odpowiedzieć, bo pojawiła się przy nich jej matka, którą Myskanto powitał z przetrenowaną dystynkcją starego alfonsa. Kysa rozpromieniła się jak papuga, której pan wciska do dzioba orzeszki. Tak, Citlali wiedziała, że jej matka ma długi. Podobnie jak większość dworzan w pałacu. Zręczny lichwiarz mógł trzymać w garści ich wszystkich.

- Ja nie! - powiedziała głośno.

- Co nie, mój skarbie? - Jakimś cudem uśmiech kupca zrobił się jeszcze bardziej fałszywy.

- Nie jestem ci nic winna, sukinsynu !

Zapadła cisza. Kupiec pobladł, potem spurpurowiał. Matka, przerażona, milczała.

- Nie wiem, co sobie myślisz, ale pożałujesz tego - zaczął, ale Citlali przerwała mu.

- Nigdy nie będę twoja. Po moim trupie.

Kysa wtoczyła się między nich jak skrzydlaty galeon Białoskórych, jej bujny biust falował, oczy ciskały iskry.

- Natychmiast przestań. Jak mogłaś? - zasyczała, odciągając ją na bok.

- Tak bardzo pragniesz mnie sprzedać?

- Nic nie rozumiesz. On za nas płaci, od dawna. Twoje suknie, lekcje, nawet jedzenie. Rok temu obcięli nam fundusz, leżeli go

rozniewasz, Myskanto odbierze nam wszystko. Będziemy musiały opuścić pałac i żyć pośród plebsu albo stanie się coś jeszcze gorszego!

Mimo wszystko zachciało jej się śmiać. Matka nie opuszczała pałacu, odkąd trafiła tu jako dziewczynka. Była jak utuczony ptak, który tył i tył, dopóki nie zaklinował się w swojej złotej dziupli.

- A teraz ukłoń się ładnie i przeproś - syk matki świdrował jej w ucho. Pachniała strachem i gnijącymi kwiatami.

Citlali stała bez ruchu, pozwalając się obejmować, prowadzić, popychać...

- Nie możesz tego uniknąć. Zresztą, nawet miłościwie nam panujący *tlatoni* darzy szlachetnego Myskanto szacunkiem. Słyszałam, że przyklasnął już waszemu związkowi.

Citlali zaczęła płakać, nienawidząc się za to. Pulchne ramię Kysy objęło ją z ukrywaną niechęcią, jakby matkowała jakiejś odrażającej istocie, która nigdy nie powinna wypełznąć na słońce.

- Taki jest los kobiety, córucho - przemawiała z cierpiętniczym patosem godnym kwoki uwięzionej w kojcu. Citlali ze wstrętem wyłapała w jej głosie nutkę ohydnej satysfakcji. - Moja młodość wyglądała zupełnie tak samo, a byłam znacznie ładniejsza do ciebie i bardziej o siebie dbałam. Moim zdaniem spotkało cię szczęście, więc nie dramatyzuj i nie zadreńczaj się tak. W gruncie rzeczy każde małżeństwo wygląda mniej więcej w ten sposób.

Nigdy. Prędeż przejdę przez ogień i wodę i wykapię się w oceanie krwi. Nie poślubię tego psa i zrobię wszystko, by tego uniknąć. Zapłacę każdą cenę. Niedoczekanie wasze. Citlali, choć nigdy nie dbała o bogów, odmówiła modlitwę, czarną jak cisza, która zapadła w jej sercu. A potem, w chwili krótkiej i strasznej jak moment, gdy człowiek przypomina sobie prawdę o własnym końcu, ciemność odpowiedziała.

Rozdział 17

Gdy nosi się przydomek Czerwonego Kapłana i przyjmuje gości na dachu niebotycznej, szkarłatnej piramidy, której stopnie codziennie spływają krwią, a wierzchołek łaskocze Boga Słońce, nikt nie oczekuje spotkania z łagodnym i miłym człowiekiem. Mimo to czcigodny Szurukan wywierał na ludziach właśnie takie wrażenie. Szpakowaty i sterany wichrem, z kanciastą, pociąglą twarzą, zaopatrzony został przez bogów w duży i miękko zarysowany nos oraz łagodne, mięsiste usta. Robił wrażenie, że jest surowy dla siebie, a wyrozumiały dla innych. Bezcenne w jego profesji.

Czerwony Kapłan spoglądał na rozmówcę współczującym, rozumiejącym wzrokiem, w którym zależnie od sytuacji przeważały figlarne iskierki albo smutek zbitego, mądrego psa, ciężko doświadczonego przez los i dzięki temu rozumiejącego ból i błędy maluczkich. Nic dziwnego, że różne znękanе dusze, takie jak druh Quinatзина, Tizok, z jego obsesją moralizowania i historyczną tęsknotą, dawały się nabrać na to ojcowskie współczucie i inne sztuczki łapacza dusz.

Quinatzin nie miał w tej kwestii złudzeń. Jego ojcem był swego czasu *tlaton* Przymierza, który dokonał karkołomnej sztuki i rozślawił się zarówno w służalczym posłuszeństwie jak i w odwadze bitewnej. Gdy Azgatlin nie włożył w dupę kapłanom, wywlekał flaki z barbarzyńców, Tlaskalan i Majów. Był w tym wszystkim tak doskonale na miejscu, że Quinatzin już dawno porzucił nadzieję, że mu dorówna w czymkolwiek. Ale zniweczenie jego życiowych dokonań i tak zwanego dziedzictwa, schedy i innej biedy to już było coś. Twoje zdrowie, tato.

Wiał wiatr, poruszając piórami kwezala i orła, tkwiącymi w majestatycznym nakryciu głowy kapłana. Quinatzin pociągnął nosem i rozmarzył się. Może któregoś dnia zwieje dziadygę na

dół?

Od kilku minut wpatrywali się w siebie jak gracze w kości albo ludzie szczujący koguty do walki. Ich ptactwem były argumenty i groźby. Rozmawiali w cztery oczy, bez ochroniarzy, siedząc przy małym, marmurowym stole, rozstawionym na szczycie najwyższego tarasu świątyni. Pod nimi toczyło się życie wiecznego Tollan, nieświadomego, że jacyś mądrale znów knują i i kształtują los maluczkich.

- Sugerowałbym, żebyś rozważył tę decyzję. To wszystko - powiedział święty mąż, spoglądając na króla z nieklamany smutkiem.

- Czyli nie uważasz, że zaciąg nowych oddziałów i przyciśnięcie Termitów to dobry pomysł?

- Nie potrzeba nam więcej wojsk. A już zwłaszcza rekrutowanych wśród *hagundo*. Niższe kasty nie powinny się panoszyć w armii, to racja stanu. Nasze kruzańskie pułki wystarczą, by bronić imperium.

Chyba ciebie. Quinatzin zagryzł usta. Szurukan od dawna torpedował w Radzie jego wysiłki zwiększenia liczebności wojsk. Bez wiernej armii nawet nowa, cudowna broń nie pozwoli na zrealizowanie jego planu. A właśnie najlepsze, zawodowe oddziały, złożone z rycerskiej kasty Kruzów, mogły być powoływane jedynie przez Zgromadzenie Przymierza, czyli przedstawiciele miast związkowych, kapłanów, kancle rzy i tabun innych nudziarzy, których praca polegała chyba jedynie na corocznym wetowaniu jego ambitnych zamierzeń. I tylko Kruzowie mieli prawo służyć w regularnej kruzańskiej armii. Tym samym jego wielkie marzenie - zaskoczenie Tlaszkali błyskotliwą, nieprzewidzianą w Tablicy Wojen kampanią, nie mogło się ziścić. Szurukan rozumował tak, jak ich wrogowie.

Quinatzin domyślał się, jak skrybowie opiszą kolejny rok jego rządów w swojej Odwiecznej Kronice. *W tym roku, po zapytaniu wyroczni, Kruzowie ruszyli do walki przeciwko bezbożnikom z Wielkiego Tikal. Splądrowali kilka miasteczek, zdobyli łupy i jeńców, podpisali korzystne traktaty handlowe. Niech żyje Odrodzone Przymierze.* Lecz tak naprawdę, mimo że kilka tysięcy ludzi zginęło w polu i na ołtarzach ofiarnych,

imperium nie osiągnęło niczego, zadowolając się odegraniem kolejnego zgranego spektaklu. Żalodne.

Bogowie, przecież Szurukan to mądry człowiek. Nie zostaje się najwyższym kapłanem za głupotę. Musi się ugiąć przed rzeczowymi argumentami. *Tlatoani* zaczerpnął powietrza i zaczął mówić, starając się brzmieć na tyle sympatycznie i przyjacielsko, na ile było to w jego wypadku możliwe:

- Jesteśmy wielkim imperium tak? Co dwa, trzy lata atakujemy Tlaskalę... tracimy wojowników... zdobywamy jeńców. Rok później Termity nadal tam są i śmieją się z nas. Uważasz, że coś osiągnęliśmy?

Szurukan spojrział na niego zimno.

- Równowaga to też osiągnięcie, Quinatzinie.

- Aha. Czyli już osiągnęliśmy szczyt i siedzimy sobie na nim wygodnie, napawając się naszą słuszną przewagą nad światem?

- Nie rozumiesz. Tlaskala to idealny przeciwnik. Otrzymuje naszych szlachetnie urodzonych siepaczy w ryzach i stosownej bogobojności. Ćwiczymy się, hartujemy, ale nie popadamy w rujnującą obsesję przemocy. Jednoczy nas wspólny wróg. To właśnie jest silne państwo.

- Gadasz jak kapłan, Szurukanie. Bez urazy. Zaślepiea cię jakaś nieziemska wizja. Ja wolę myśleć liczbami. Zwycięskie wojny to więcej zhołdowanych miast. To trybuty, kontrybucje i korzystne umowy handlowe. A w rezultacie bogactwo naszego narodu i jeńcy na twoje ołtarze.

- Zdobywamy dość jeńców. Naprawdę. Musisz pojąć, że od wojny totalnej nie ma już potem odwrotu. Wystarczy, że przekroczy się pewien próg. Bogactwo i siła korumpują tak samo, jak nędza. Pamiętaj o dawnych imperiach, które upadły, dopiero gdy zwyciężyły, a nie kiedy jeszcze zmagaly się z wrogiem.

- Skoro wróg szczeł, to co mogło je zniszczyć? - powątpiewał król.

Czerwony Kapłan uśmiechnął się smutno i zapatrzył w dal, co było dość oczywistym wyborem, zważywszy na jego miejscówkę. Patriarcha. Łapacz dusz.

- Tamte państwa zapadły się pod własnym ciężarem, bo wojna

skorodowała ich szkielet. Przewlekłe działania wojenne zawsze rujnują kraj. Szczególnie cierpi rolnictwo, bo to chłopci masowo giną na wojnach. Po zwycięstwie i tak pojawia się głód, zwłaszcza jeśli zmagania trwały wiele lat i nie ma już z czego ograbić pokonanych. Wtedy okazuje się, że jedynym zdobytym skarbem są hordy zdeprawowanego, pijanego przemocą żołdactwa. Zwycięstwo nagle się zmienia w wojnę domową. Z drugiej strony, sam pokój również osłabia kraj, czyni go potencjalnie bezbronnym. Dlatego uważam, że Tlaskala jest idealnym, długofalowym wrogiem, którego przetrwanie leży w interesie imperium.

Quinatzin milczał. Czuł, że przy całej belferskiej gadatliwości Szurukan nie mówi mu wszystkiego. *Tlatoani* miał w tym wprawę. Najwyższy Kapłan wychowywał go w trudnym okresie regencji i zdaniem Quinatzina ani razu nie był z nim w pełni szczery.

- Każda cywilizacja lawiruje między tymi skrajnościami. Z jednej strony masz kosmopolityczne, oparte na handlu państwa pokroju Federacji Wielkiego Tikal. Światłe i wyrafinowane, ale bez duszy i krwi. Bez tożsamości. To wyperfumowane trupy, skorupy, ruiny ludzi i światów. Tam każdy chwali bogów przy pomocy *ursa*, a ludzie spędzają lata na pławieniu się w soku śluzowca. - Szurukan dotknął dłonią serca, na znak, że wolałby osobiście wykroić je nożem, niż pozwolić mu się obrócić w podobną duchową ruinę. - Tych państw nikt tak naprawdę nie broni, ich ludność straciła już wolę istnienia. Stąd konieczność sprowadzania przybyszów, najemników i siły roboczej. Aż okazuje się, że śludzy nie czują już żadnej więzi z władcami i krwawo zajmują ich miejsce. Pamiętaj o tym, gdy będziesz zaciągał barbarzyńców. - Czerwony Kapłan pogroził *tlatoaniem* palcem.

Quinatzin pokiwał głową.

Będę pamiętał, a jakże. I bądź pewien, że zrobię to mądrze.

- Drugie ekstremum to obłąkane, siejące zniszczenie imperium, które panicznie obawia się wszystkich i wszystkiego. Żeby daleko nie szukać, nasi tajemniczy Aztekowie, zaginionieni w trujących oparach Kłątwy. Byli najsilniejsi i najdzielniejsi, ale

ich największym wyczynem było to, że zrazili do siebie wszystkich sąsiadów. Wszystkich. Gdy przyplłynęli Białoskórzy, Aztekowie zostali po prośbie zlincowani. My, Kruzowie, zapamiętaliśmy tamtą ponurą lekcję. Nie bijemy się już ze wszystkimi. Dążymy do równowagi, stanu, który ma szansę trwać wiecznie. Co roku tracimy dokładnie tylu ludzi, ilu powinniśmy tracić, żeby skutecznie zamrozić procesy społeczne. Zabijamy większość jeńców, bo gdyby trafili na plantacje niewolników, wyrugowaliby z nich naszych dobrych chłopów. A to bogobojni, kultywujący tradycję chłopci, a nie niewolnicy, stają w obronie ojczyzny!

Quinatzin w zadumie pokiwał głową.

- Jest jedno ale, Szurukanie - mruknął. Czerwony Kapłan popatrzył na niego z uprzejmym oczekiwaniem. Na prawym policzku miał świeżą ranę po kolcu, na której pojawiło się już delikatne, różowe zabliznienie. Quinatzin przełknął ślinę. Był pewien, że Szurukan rozora dzisiaj kolcem tę bliznę... taki rodzaj ofiary uchodził wśród kleru za akt największego oddania. - Aztekowie także zmagali się z Tlaszkałanami i również nie próbowali ich dobić. Ich króla też przekonywał do tego jakiś wygadany kapłan. Ba, nawet wiem, co mówił: „Zostawmy sobie ten dokuczliwy cierń, jest potrzebny jak kolec z agawy. Co z tego, że utkwiał nam w boku? Przecież łączy i powstrzymuje przed letargiem. Pozwala nam szkolić młodzież”.

- Król wbił płonący wzrok w Szurukana, który porzucił swoje charyzmatyczne uśmiechy i słuchał z czołem przeciętym głęboką bruzdą. - Tylko potem, gdy Białoskórzy stanęli pod ich murami, okazało się, że ci nieszkodliwi Tlaszkałanie walczą ramię w ramię z wrogami. I nagle tych oszczędzonych, hodowanych do ćwiczeń poczciwców zrobiły się nieprzebrane rzesze. Dlatego Aztekowie przegrali. Zabiło ich głupie niedbalstwo.

- Zapominasz się, synu. Aztekowie zostali ocaleni. Właśnie na tym polegała Klątwa - boska kara i zguba dla wrogów Prawdziwych Ludzi...

- Och, przestań z tym religijnym bełkotem. Przede mną nie musisz się spinać. Ocaleni? To pokaż mi swoich Azteków. Ja

nie chcę, żeby mój lud został zniszczony przez zdradę. Dlatego zamierzam wygrać prawdziwą wojnę, a nie odgrywać wasz wieczny, kapłański teatrzyk. Dlatego trzeba usunąć naszych rywali. Wszystkich, po kolei. Na początek zniszczymy Tlaszkalę i sprowadzimy tutaj Lwa Labiryntu w pętach. Teraz, gdy pokonaliśmy Tikal i nasze embargo naprawdę zaczęło działać... to może się udać! Po tylu latach!

Wątpliwość, po raz pierwszy Quinatzin zobaczył na dostojnym obliczu wątpliwość. Pochylił się do rozmówcy i poszedł za ciosem.

- Naprawdę nie chcesz przejść do historii jako Szurukan Wielki, który po setkach lat zemścił się na Tlaszkali za wszystkie grzechy i zbrodnie? Który ofiarował bogom ten zdradziecki, czczący demony naród? Naprawdę nie chcesz żyć wiecznie?

Przysięgłby, że w oczach starego zadrgała jakaś zapomniana, latami tłumiona namiętność. Kapłan obliznął usta, przeżuując kuszący kąsek. Po chwili jednak na twarz Szurukana powróciły zaduma i troska. Nawet oczy zrobiły się jakby psie, ciemne, wilgotne i smutne.

- Z ciężkim sercem, lecz nie. Oczywiście, to jeszcze o niczym nie przesądza. Wbrew temu, co głosi twoja propaganda, my, kapłani, nie sprawujemy w imperium tyrańskich rządów. Porozmawiaj z generałem Tizokiem. Jego armia jest wierna, bitna i właśnie wróciła z północy. Jesteście przyjaciółmi, prawda? Może ci pomoże.

- Tizok? Nawet uliczne dziwki wiedzą, że je ci z ręki. Już widzę, jak mnie słucha.

Szurukan odwrócił głowę, demonstrując młodemu królowi profil, który - co Quinatzin przyznawał z ciężkim sercem - był znacznie bardziej królewski niż jego.

- Zaiste. Generał Tizok uważnie słucha moich rad. W przeciwieństwie do innych. I może dlatego bogowie sprzyjają jemu - powiedział cicho.

Nad ich głowami przesunął się cień ptasich skrzydeł. Mógł to być święty kruzański orzeł, na którego nikt na ziemiach

Przymierza nie ważył się nigdy polować, ale Quinatzin miał nieprzyjemne wrażenie, że w roli boskiego omenu pojawił się tutaj sęp.

Dość tego. Popatrzył na Czerwonego Kapłana zimno.

- Igrasz z ogniem, klecho. I dobrze wiesz, że nie dysponuję jeszcze odpowiednimi siłami. Pytam ostatni raz - czy poprzecz mój wniosek o zwiększenie armii polowej w celu zaatakowania Tlaskali?

- Twoja kampania w Tikal skończyła się wielkim sukcesem. Tlaskalanie także tam byli, prawda? Odpłaciłeś Termitom zawiązką za Dolinę Czarnego Psa. Sprowadziłeś nam cztery tysiące jeńców, ich Drogocenna Woda nasyciła bogów. Uważamy, że to wystarczy.

Quinatzin poderwał się z furją. Gierki gierkami, ale po raz pierwszy przywódca kasty kapłańskiej tak otwarcie pokazał władcy, jak mało znaczy i jak niewiele może.

- Lubisz to, stary kutasie? Wielką władzę w przebraniu mądrości i troski? Mnie nie nabierzesz.

Popatrzył na Szurukana z pogardą i z rozmysłem splunął na posadzkę zdobioną turkusową mozaiką. Plwocina bryzgnęła na kosztowne, zdobione frędzlami buty, których miękkość znamionowała najszlachetniejsze, humanistyczne tworzywo, skórę z ofiar Czerwonej Świątyni.

Kapłan poczerwieniał, wreszcie godny swojej nazwy. Stary kabotyn grał dobrze, lecz przez te wszystkie lata sprzyjało mu oddanie i zwykły psi lęk Kruzów. Co ty na to, pierdolony mądralo, pomyślał Quinatzin z satysfakcją. Chyba dawno ci się nikt nie postawił. Ale gdy Szurukan przemówił, w jego oczach było znów tylko kpiące i syte poczucie panowania nad sytuacją.

- Spokojnie. Zawsze możesz wszcząć wojnę na własny koszt. Ze swoją osobistą gwardią i powiedzmy, oddziałami Jaguarów. Oni od dawna nie wojowali, prawda? Nie będziemy cię powstrzymywać. W końcu to ty jesteś królem.

Rozdział 18

Citlali leżała w swojej sypialni w pałacu, w dusznym lomieszczeniu pełnym pamiątek z Północy: niedźwiedzich skór, fiszbinu i rogów łosi, rosochatych jak sochy baśniowych mieszkańców puszczy. Jej przodkowie, Osankowie, byli rybakami. Mieszkali w długich, drewnianych domach, w niezwykle bogatej krainie. Obfitość wszelkiego dobra sprawiła, że rozkochali się w zbytku i zamiast walczyć ze sobą o jedzenie, kobiety i ziemię, zmagali się, na cześć bogów niszcząc szczególnie cenne przedmioty. Kysa często wspominała, co dany wódz spalił w takim a takim roku. Citlali nie mogła pojąć tych opowieści. Całym sercem czuła, że jedynym darem godnym bogów jest krew. Czy mogą się karmić futrami i drewnem?

Musiła jednak przyznać, że Osankowie byli utalentowanymi rzemieślnikami. Niektóre pamiątki wyglądały pięknie. Znajdowały się wśród nich choćby rzeźby z czerwonego drewna sekwoi - niezwykle trwałego, doskonałego na tarcze. Niestety broń jej rodaków, uległych i pokojowo nastrojonych, ograniczała się do łuków myśliwskich i proc. Nigdy nawet nie ścinali tych sekwoi, zadowolając się drewnem, które powalił czas. W korzeniach największej z nich wznosił się ponoć dwór jej dziadka. Może gdyby wybudował go wyżej, obroniłby swój kraj przed Kruzami? Wtedy bawiłaby się w wiecznie zielonych lasach i zamiast kukurydzianych placków jadła suszone mięso. O tej porze roku lepiałaby kule śniegowe i soliła ryby, zamiast czekać jak jeniec na rzeź.

Kiedy była mała, matka często opowiadała jej o starym kraju. W tamtych czasach w głosie Kysy słyszało się mniej goryczy, a więcej tęsknoty. Córeczka słuchała, a pod jej zamkniętymi powiekami odciskały się wzgórza i szczyty porośnięte jodłami zbocza i jeziora, porzrzucane w dolinach niczym łyzy

przechadzającego się boga. Tu, w Tollan, Północ kojarzyła się z niekończącą się wojną z plemionami równinnych nomadów. W czasach dzieciństwa jej matki wojny Kruzów były dla Osanków równie odległe, jak drugi brzeg oceanu.

Potem Przymierze podporządkowało sobie zachodnie wybrzeża kontynentu, aż do zimnych wilgotnych i śnieżnych krain, gdzie nawet najtwardsi namiestnicy zbyt szybko umierali na płuca. Kraj Osanków wyznaczył granice podbojów. Granice z niczym, gdyż dalej znajdowały się już tylko wilgotne, wiekuiste puszcze, wilki, komary i grzmiące ponuro rzeki. Osankowie ocalili za niewielką cenę. Ot, kilkoro dzieci wpływowych rodów jako gwarancja rozsądku, plus coroczna danina z fiszbinu, bobrowych skórek i czerwonego drewna. Meszikowie zawsze odbierali ujarzmionym narodom dzieci, które pewnego dnia wracały na czele armii, przynosząc krewniakom wojnę.

Im bardziej czuła się ubezwłasnowolniona w pałacu, im rzadziej ktokolwiek dawał jej odczuć, że jest potrzebna i ważna, tym częściej fantazjowała, jak mogło wyglądać jej życie, gdyby jej rodacy nie byli tchórzami. Kiedyś jeden wojownik, Jaguar, z niechęcią, a nawet wstydem, opowiedział jej o pokonaniu Osanków. „To nie była wojna. Po pierwszej przegranej potyczce zaczęli się kryć przed nami jak glizdy pod zgniłą korą. Zatrzymały nas tylko śniegi”.

Pogardliwe słowa wryły jej się w serce. Citali nosiła je i pielęgnowała jak karmiący jej dumę amulet. Przysięgła, że nigdy nie okaże się słaba, nie dokona plugawych wyborów. Meszikowie byli zupełnie inni niż jej pełzający przodkowie. Nie szanowali życia za wszelką cenę, byli wojownikami, których ofiary i trudy oddały zwycięstwo ciemności. Bogowie wspomagali bohaterów, nie troszcząc się o ślepe glizdy przemykające pod korą.

Potrzebowali odważnych.

Gdyby urodziła się chłopcem, mogłaby udowodnić bogom, że choć pochodzi z ujarzmionego narodu, ma serce bohaterki. Ale obyczaje Ludu Słońca rozgraniczały role płci. Kiedy rodził się chłopiec, ojciec zabierał na pobojuwisko jego odciętą pępowinę

i zakopywał ją w ziemi splulchnionej krwią wrogów. Jeżeli noworodek miał zostać kapłanem, smarowano go czarną sadzą i zostawiano na noc w sanktuarium świątyni, zadzierzając sekretną więź dziecka z domeną bóstw. Pepowiny dziewczynek zagrzebywano w kuchni, w palenisku. Citlali nie godziła się z takim losem.

Nie zamierzała się pętać przeznaczeniem kobiet, rodzących i bolejących, które swą rozkosz, ból i bezsilność wyrażały w tych samych gardłowych jękach. Skazanych na wieczną uległość. Nie chciała także należeć do Osanków i pełzać pod mokrą korą, daremnie czmychając przed światłem. Najchętniej w ogóle nie byłaby człowiekiem, tylko czymś bardziej strzelistym, jasnym jak promień wracający ku słońcu.

Citlali przeciągnęła się i wstała z posłania. Obrzuciła pogardliwym spojrzeniem kamienną, jadeitową misę na codzienną ofiarę z papieru i krwi. Dziewczyna od dawna nie odprawiała modłów, pobożność była takim samym więzieniem, jak pochodzenie i płeć. Od religii nie oczekiwała już niczego. Mimo to naczynie nie było puste. Czując, że popełnia świętokradztwo, wydobyła z niego papierowy zwitek. W czarze ofiarną dawna nie powinno być krwi, ale ktoś użył czerwonej ciecicy do nakreślenia wiadomości.

Pokorni idą na żer, ich kości to dywan zwycięzców. Pokaż nam, na co cię stać.

Citlali zadrzała. Ludzie, z którymi szukała kontaktu, odezwali się! Wiedziała, że teraz czeka ją próba i czuła się na nią gotowa. Decyzja dojrzewała w niej od dawna, mocna i dumna jak drzewa z jej snów.

Nie będzie niczyją żoną, nie będzie niczyją matką. Bezsilną, bezbronną i słabą jak Kysa, jak plemię Osanków. Za nic. Ale najpierw musiała oszukać bogów.

Gdy tylko podjęła decyzję, spłynął na nią spokój.

Wyszła z komnaty, kierując się do pomieszczeń dla służby. Po chwili skręciła w surowe, źle oświetlone schody, którymi wnoszono posiłki. Stopnie były śliskie, wygładzone tysiącami kroków i Citlali zdumiała się, jakim cudem choć część posiłków dociera na stoły dworzan. Usunęła się z drogi, przepuszczając

dwóch spoconych mężczyzn dźwigających kamienny gar gotowanej fasoli. Buchająca z naczynia para sparzyła jej delikatną skórę i dziewczyna jęknęła cicho. Niewolnicy nie zwolnili, zza pleców dobiegł do niej urągliwy śmiech. Ruszyła w dół, pospieszno stawiając kroki i podsycając wzbierający w sercu gniew. Wygląda na to, że wszyscy uważali ją za kretynkę.

Kuchnia powitała ją piekielnym żarem, na otwartych paleniskach obracały się indyki, ryby i dzikie kaczki znad jeziora. Uwijający się jak w ukropie półnaczy kucharze nie zwracali na nią uwagi. Ledwo wyrabiali się z robotą. Tłum pracowników sortował, dzielił i mył przyniesione z targu wiktuały. Nadzorował ich wysoki mężczyzna z twarzą oszpeconą czerwoną zgorzelą i wzdętym, sterczącym jak piłka brzuchem. Kiedy była mała, matka straszyla ją opowieściami o tym, jak demon Tazitl chwyta i pożera niegrzeczne dzieci, myszkujące po jego królestwie. Na szczęście kuchmistrz nie zauważył jej. W jednym z garów kipiała kukurydziana polenta.

Mężczyzna wielkimi susami dopadł do miejsca katastrofy, a Citlali odetchnęła głęboko. Luźny płaszcz maskował jej ciało, długie włosy zaczesana na twarz. Wrażenie, że wszyscy na jej widok umilkli, było mylne. Nie wyróżniała się aż tak bardzo. Wprawdzie większość kobiet była gruba i stara, ale widziała tu też młodszych niewolników. Odczekała, upewniła się, że nikt na nią nie patrzy. Pod kilkoma bulgocącymi kotłami płonął ogień, ale największe palenisko było puste. Citlali skierowała się tam na kolanach i brudząc sukienkę sadzą, rozgrzebana gorący popiół w kące.

Stary krużański zwyczaj nakazywał zakopać pępek dziewczynki w kuchni. Citlali wiedziała, że kiedy przyszła na świat to właśnie tutaj krużańskie kobiety zakopały w popiele jej pępownię. To tutaj magicznym, pradawnym aktem zatrwały jej przeznaczenie.

Citlali przesiewała palcami pył, resztki jedzenia i drewna, szepcząc i zawracając modlitwy, którą kiedyś wypowiadała w tym miejscu położna odbierająca jej poród. Wieczne credo bezimiennych wyrobnic Przymierza.

Nie dla ciebie włączęga i wolność.

A dlaczego nie?

Będziesz pracować dla swego męża i dzieci i zawsze będziesz posłuszną.

Guzik.

Będziesz dawać i chronić życie.

Zależy czyje.

Wymacała podłużny, skręcony kształt, przypominający prosięcy ogonek, jest! Nie dbała o to, że skrawek ciała nie mógł należeć do niej, że rytuał odprawiono przeszło szesnaście lat temu. Nieważne. To był symbol, a w Mesziku symbole były wymowne jak śmierć. Wydobyła z popiołów coś, co stanowiło też jej daninę, pogrzebany los. Czuła, że w tym wypadku liczy się przede wszystkim intencja i że bogowie dobrze ją odczytają. Bo czy mogli ją za to winić? Chciała należeć do Słońca, a nie mrowia bezsilnych, bojących się światła robaków.

Czym prędzej uniosła pępowinę i podeszła do jednego z płonących palenisk. Czuła, że coś ją spowalnia, a z ciemnych kątów wpatrują się w nią surowe oblicza przodków. Dziewczyna szeptała, mamrocząc bezgłośnie zaklęcia. To był akt odrzucenia, odcięcia. Gdy ciskała niechciany los w ogień, z płomieni buchnęły iskry. Szybowały wysoko, wolne jak nieziemskie drzewa z jej snów.

*

Następny dzień nie przyniósł jej żadnych zmian. Kysa dalej gderала o kobiecych powinnościach i ślubie, ale Citlali nic sobie z tego nie robiła. Wiedziała, że płaczliwe wyrzuty matki tylko maskują jej bezsilność.

Wieczór spędziła sama. Marzyła o różnych rzeczach, z których żadna nie zyskałaby aprobaty statecznych, porządnych ludzi. Z zadumy wyrwał ją chrobot. Cos ruszało się pod zdobioną tkaninami ścianą. Poderwała się i szarpnęła draperię, oświetlając mur lampą. Skała była lita i nieruchoma. Nagle oddech dziewczyny przyspieszył. Ktoś tu był, i w dodatku znów cos dla niej zostawił.

Citlali podeszła do naczynia ofiarnego. Wyjęła z niego kulę zmiętego papieru i rozprostowała ją drżącymi palcami.

Czerwona perła cicho stuknęła o dno, złowieszcza jak przekrwione oko. Z bijącym sercem dziewczyna odczytała wiadomość.

Zaintrygowałaś mnie. Jeśli wciąż potrzebujesz pomocy, wyjdź dziś w nocy kuchennymi schodami.

Citlali uśmiechnęła się. W pałacu szeptano o groźnych wpływowych ludziach, dla których pracował senny starzec Czy byli to Tysiąc Oczu? Dziewczyna o to nie dbała. Liczyła się tylko ich siła. Sprawiali, że ludzie znikają, a właśnie tego pragnęła.

Włożyła luźny płaszcz i należąca do matki maskę balową. Po namyśle na wskazujący palec prawej ręki wsunęła też srebrny pierścień. Znalazła go kiedyś na jednym z ukrytych dziedzińców, wciąż nasunięty na zakrwawiony, oderżnięty palec. Kimkolwiek był właściciel przedmiotu, nawet jeśli żył, nie zostawił po sobie żadnych innych śladów, a zresztą Citlali nie zależało, by go odnaleźć. To nie była zwyczajna ozdóbka, srebrny drut odginał się, kryjąc niewielkie ostrze.

Na wszelki wypadek upięła też włosy w dwa krótkie, sterczące warkocze, żeby wyglądać jak meszickie mężatki. Tylko kobietom zamężnym wolno było spacerować ulicami bez opieki męża czy krewnych. Zasłoniła twarz plecioną maską i ruszyła w stronę pałacowych kuchni.

Przemykając dyskretnymi przejściami, zagłębiła się w gwarne wnętrza pałacu. Wokół niej toczyła się codzienna krzątania, smród i znój podtrzymywał iluzję dworu. Minęła sypialnie służby i kuchnie. Krępy kuchcik zniknął w korytarzu, przygięty ciężarem kosza z odpadkami. Citlali pobiegła za nim.

Na małym dziedzińcu sługa uwolnił się od swego ciężaru, a czekający na resztki żebracy rozpoczęli gwałtowną bitwę. Minęła ich, przeklinając bryzgające na łydki nieczystości, odprowadzana rozbawionymi spojrzeniami strażników.

Ta część podzamcza nie przypominała paradnych bram, którymi zazwyczaj wychodziła z pałacu, jeśli udawało jej się pokonać opór Kysy, panicznie reagującej na świat poza pałacem, i wyprawić z koleżankami na zakupy lub do świątyni, zawsze w asyście służby. Nawet zachodzące słońce wydało jej się inne, drapieżne i natarczywe, uwolnione od konwenansu

lektyki, parasolki i piór, którymi wachlowali ją słudzy.

Ohydne chatynki nędzarzy oblaży zaplecze pałacu jak groteskowe liszaje. Domy przytulone do murów były popękane, ich dachy z trzciny i kukurydzianych liści spłwiała niczym stare marzenia. Na sieciach suszyły się owadzie jaja, z rumianych, skwierczących na ruszcie bekasów apetycznie skapywał tłuszcz. Chuda kobieta z nosem zalotnie przebitym kurzą łapką przesiewała kosze smażonych insektów. Citali rozejrzała się niecierpliwie i krzyknęła, gdy niepozorny człowiek w kapturze, którego przed chwilą minęła, chwycił ją mocno za ramię.

Lawirując w tłumie, pobiegła za nim na ukryte, zasłane śmieciami podwórze. Przewodnik zatrzymał się i podsunął jej pod nos ciężką, opalizującą muszlę.

- Oby ucieszyło cię to, co odnajdziesz - wyszeptał, uwalniając ukrytą we wnętrzu czerwoną pertę. Potem cofnął się i obrzucił ją taksującym spojrzeniem zmrużonych w szczeliny oczu.

- Pracuję dla Tysiąca Oczu. Twój wczorajszy wyczyn przyciągnął naszą uwagę. Nie każdy by się na to odważył. Ale ten strój... Musiał robić wrażenie jakieś dwadzieścia lat temu. I jeszcze ta stara, niemodna maska. Przecież nie chcemy się wyróżniać, prawda? - zachichotał.

Dziewczyna zaczerwieniła się. Staroświecka maska pamiętała pewnie bale z czasów młodości Kysy. Jej matka od dawna niczego nie wyrzucała, na starość zamieni się pewnie w oszalałą na punkcie śmieci zbieraczkę.

- Wiesz o mnie wszystko, prawda? A masz pewność, że nie zacznę krzyczeć? - warknęła.

- Krzyk to tchórzliwa reakcja. Tchórzy zaś nie zatrudniamy. Raczej podrzynamy im gardła. - W rękę nieznanomego błysnął krzemienisty nóż.

Citali cofnęła się szybko. Musiał dojrzeć w niej tyle strachu, ile potrzebował, bo po raz pierwszy uśmiechnął się szeroko i szczerze.

- Ale ty zdałaś egzamin, maleńka. Już wczoraj. Masz dobry szpik, jak powiadają Otomi. Nasza organizacja potrafi to wykorzystać.

Citlali rozpromieniła się z ulgą. Od dawna nikt jej nie chwalił. Rozluźniła się i wtedy nóż tamtego zanurkował do jej brzucha, jak dziób spragnionego ptaka.

Większość ludzi straciłaby po takim ataku życie, ale Citlali odgięła się instynktownie. Usunęła się z linii ciosu i automatycznie ustawiła z boku, na zgiętych nogach, panując nad sytuacją. Nie czuła lęku. Los nie chciał, żeby umarła, nie po to go przecież zmieniała.

Nieznajomy opuścił broń.

- Bardzo dobrze. Ale po zejściu powinnaś skrócić dystans i kontratakować. W końcu i tak bym cię zabił - mruknął.

Citlali podeszła bliżej, nóż nieznajomego dotykał teraz jej brzucha. Lekko. Widziała popękane naczynka krwionośne na nosie mężczyzny, sugerujące, że nielegalnie, bo nie był chyba bohaterem wojennym, a już na pewno nie starcem, raczył się sfermentowanymi trunkami. Na szczęście prawie nie śmierdział. Wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w usta. Prawą dłonią chwyciła za krocze. Lekko. Mężczyzna przełknął ślinę i steżał.

- A to? Czy to też niewłaściwa reakcja?

- Lepsza. - Skwapliwie potrząsnął głową, rozchylając usta w głodnym uśmiechu. Miał ładne oko. Prawe. Jego lewe kryło tylko cień, chyba ktoś mu je kiedyś wybił. Tłumaczyło to - nieco - obsesję mrużenia oczu. Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Dobrze, że to tylko gra. A tak przy okazji, mamy remis.

Lewą dłonią, którą masowała mu plecy, wysunęła ukryty kolec z pierścienia i zarysowała nim jego szyję. Mężczyzna skrzeknął i odepchnął ją, tak że poleciała na ścianę. Pomacał skaleczenie, jego jedyne oko rozszerzył strach.

- Tam nic nie było. Przysięgam - powiedziała szybko.

Przewodnik przyglądał jej się uważnie, a po chwili roześmiał z widocznym przymusem. Pojednawczo poklepał ją po ręku. Uśmiech miał niemal sympatyczny, ale jego spojrzenie pozostało zimne jak podłoga lochów.

- Na przyjęciu poprosiłaś nas o ochronę. Mówisz, Ale nic za darmo.

- Co mam zrobić?

Citlali była gotowa na wszystko. I wszystko było dla niej lepsze niż znienawidzony Myskanto.

- Masz być dobra. Tysiąc Oczu zajmie się twoją nauką. Ale na razie zostajesz w pałacu i czekasz na dalsze instrukcje.

Dziewczyna bała się podskoczyć z radości. W Odrodzonym Przymierzu nie było nic bardziej intrygującego, nic bardziej zabójczego niż oni.

- Czyli zostałam przyjęta?

- Ja nie przyjmuję. Czasami puszczam z życiem - burknął tamten.

Dziewczyna zgromiła go wzrokiem.

- Umieć rozpoznać mordercę - mruknęła.

Nieznajomy uśmiechnął się szpetnie.

- Właśnie po to włożyłem ten kaptur. Daliśmy ci szansę. A gdybym miał ciepłą, spokojną twarz? Bez nerwowych grymasów? A może nawet przystojną? Pamiętaj każdy może cię zabić. Zawsze. Nie tylko wredni faceci w czarnych opończach.

Spojrzała na niego, zdumiona. Nawet złość gdzieś z niej wyparowała.

- Jeżeli tak patrzysz na świat, to jak masz czas na cokolwiek innego?

Po raz pierwszy wydawał się rozbawiony. Odprowadził Citlali z powrotem do kuchennej bramy. Dziewczyna drżała od wieczornego chłodu. Chyba nigdy widok pałacu tak bardzo jej nie ucieszył.

- Dobrze, że to już koniec - szepnęła.

Jej towarzysz uśmiechnął się dziwnie i nie wiedząc kiedy otulił jej ramiona płaszczem. Ruch był szybki i nie miał w sobie nic opiekuńczego, przywodził na myśl ruchy szermierza, który zarzuca przeciwnikowi opończę na twarz, albo dusiciela zaciskającego pętlę. Z wszystkiego, co spotkało ją tego dnia, ten szorstki gest najbardziej ją zaskoczył. Był... miły. Po chwili Jednooki oderwał Citlali od siebie i z napięciem popatrzył w jej oczy, mrugając tym swoim wylupanym kraterem.

- Wybacz. Od dawna nie spotkałem się z kimś, kogo nie musiałem... - urwał zakłopotany i uśmiechnął się smutno.

- Jesteś w porządku, mała. Cokolwiek się zdarzy, nie bój się.

Nawet gdy... - mężczyzna urwał, jakby zawiodły go język i wyobraźnia.

Chciała mu coś powiedzieć, lecz jej towarzysz znikł. Bijący od pałacu blask przepędził go niczym ducha.

Rozdział 19

*Łap namiętność, kiedy na nią pora.
Inaczej gotowa się zepsuć.*

*Kukatzin,
Trzy kosze miłosnych porad*

Apele i odprawy nie powiedzą wiele o morale w armii, co najwyżej pokażą, jak bardzo żołnierze się boją swoich sierżantów. Dlatego Szaratanga odwiedził obóz Synów Śmierci incognito. Odprawił zaskoczoną eskortę, zastępców i ordynansa, owinął się w jutowy płaszcz szeregowca, po czym udał się na przespjegi.

Zapadał zmierzch i przy niezliczonych ogniskach przyrządzano wieczerzę. Nozdrza Szara chłoneły znajomą woń dymu i przypalonych tortilli z fasolą. Nie czuł krwi, nie brakowało za to potężnego smrodu latryn, w których srało kilka tysięcy chłopa. W górach rowy zawsze były zbyt płytkie, przekleństwo kamienistej ziemi. Szar skrzywił nos z miną wytrawnego kiperka i stwierdził, że jak na razie nie mieli tu dyzenterii. Niepokoilo go coś innego. W jego poprzednim oddziale stale wybuchały awantury. Ludzie, którymi dowodził, nawet trzeźwi chodzili jak zaczadzeni, pijani krwią i gotowi do bójki.

Łatwość zadawania śmierci osadza się mocno w człowieku.

Tutaj panował nastrój rezygnacji. Poborowi najwyraźniej nie słyszeli o buńczucznej reputacji swego pułku. Byli niedożywieni i zahukani, nawet w kości grali tak, jakby bali się zbudzić rodziców. Szaratanga szybko zorientował się, czego im brakowało. Wszystkiego. Ubrań, żywności i broni. Oraz, przede wszystkim, weteranów. Mężczyzn, którzy nie mylą włóczni z

grabiami i wykonując manewr, nie potykają się o własne nogi. Mężczyzn, którzy stoczyli chociaż jedną walkę groźniejszą niż burda na festynie i pranie żony po powrocie z gospody.

Każde porządne wojsko musi mieć bezczelnych samochwałów i pyskaczy, którzy powiedzą zielonym gałązkom, co i jak, ustawią, dodadzą otuchy. Weterani stwarzają kojące wrażenie, że na wojnie można kontrolować sytuację, że da się uniknąć śmierci. Przeszli już chrzest bojowy. A jak trzeba, to nie pozwolą się zabić, wytrzymają szarżę.

Zabijanie to nie przelewki, nie mówiąc o gotowości na bycie zabitym. Armia, która ma się tego dopiero nauczyć, zazwyczaj nie ma szans w bitwie. Właśnie takimi siłami dysponował Szar. Jego zielone wojsko można było co najwyżej rozstawić w widocznym miejscu i modlić się, by przeciwnik przestraszył się samych liczb. Niestety, miazdząca przewaga w ludziach była zazwyczaj domeną Kruzów. Szar wiedział, że i tym razem tak będzie. Co z tego, że Rada dała mu cztery tysiące żołnierzy, skoro żaden z nich nie umiał walczyć? Zupełnie jakby pozbywali się niepotrzebnych odpadków.

Czuł się tak, jakby dowodził teatrykiem cieni. W przypadku hałastry, jaką dostał pod swoją komendę, odległość, z której wciąż wyglądałoby groźnie, musiała być ogromna. Taniej wyszłoby umieszczenie na zboczach Labiryntu kukieł i strachów na wróble. I to się Szarowi nie podobało. Bo skoro już miał zginąć w walce, niechże to będzie prawdziwa bitwa, taka, o której kronikarze nie zapomną następnego dnia.

Jego namiotu strzegło kilkunastu doborowych, uzbrojonych po zęby strażników, lecz to nie Szar ich tutaj rozstawił. Zmarszczył brwi i upewnił się, że jego miecz jest gotowy do użycia. Cokolwiek knuł dwór, nie pozwoli im się aresztować.

- Ma pan gościa. - Jego adiutant, młody oficer Zaukas, nerwowo poprawiał swój dopiero co wystrzyżony czub.

- To dama... - wyszeptał poufnie. Szar zauważył, że jego policzki poczerwieniały, jakby młodzieniec dopiero co odkrył frapujące istnienie kobiet. Zaukas był niezdarnym, pucułowatym chłopcem. Dobrze chęci i brak jakichkolwiek zdolności toczyły zajadłą walkę o jego duszę.

Szar stawiał na brak zdolności.

- Dałem jej... wody. I suchary... - Chłopiec brnął, coraz bardziej czerwony na twarzy.

Szaratanga uśmiechnął się ciepło.

- Doskonale. Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o chłości?

Adiutant spojrział na niego z taką zgrozą, jakby dowódca właśnie zaproponował mu, żeby na spółkę przelecieli jego siostrę. Albo matkę.

- Ta dama to nasza królowa, panie. Oczekuje pana w namiocie!

Leyre stała, przeglądając dokumenty, ubrana w skromny podróżny płaszcz.

Spokojnie skinęła mu głową, a Szaratanga uśmiechnął się do niej swym niezawodnym, szarym uśmiechem, który uwierał mu twarz jak odkształcone obuwie. To spotkanie nie mogło się udać.

Tak już jest z byłymi kochankami. Jeżeli wciąż wyglądają dobrze, stary ból ponownie rozrywa trzewia. Jeżeli wyglądają źle, co jest bardziej prawdopodobne na tym najlepszym ze światów, człowiekowi chce się rzygać z litości. Nie ma nic gorszego niż marzenie, które zwiędło wraz z tobą, pomyślał obserwując Leyre. Dostrzegł w niej piętno zgryzoty i zgorzknienia, znużenie, którego kiedyś nie było. Z drugiej strony, kiedyś już by na siebie wrzeszczeli. Albo się pieprzyli.

Taaa... Poprawił pozycję na krześle i pogratulował im obojgu dojrzałości. Postęp. Zdecydowany postęp.

- Mamy wojnę. Nie powinnaś podróżować z tak małą eskortą. Czy oni cię w ogóle pilnują? - warknął, chroniąc się za szorstkim, rzeczowym profesjonalizmem, swym ulubionym puklerzem.

Wzruszyła ramionami.

- Przede wszystkim słuchają rozkazów. Nie chciałam ściągać na siebie uwagi - odparła chłodno.

- Po co przysłaś? - zapytał, siadając na stolku. Postanowił ułatwić jej patrzenie na niego z góry.

Kiedyś to pytanie nie miałyby sensu, a oni nie mieliby już na sobie ubrań. Uprzejmość nakazywała wstać, ale...

- Może w to nie uwierzysz, ale dobrze ci życzę. Szar powiedziała, siadając naprzeciw niego. Przełknął ślinę. Przez ostatnie lata niemal codziennie marzył, żeby mieć ją przy sobie tak blisko.

- Jeżeli o to ci chodzi, to nie pomogę ci w żadnych gierkach. I nie zabiję twojego męża. Ani nikogo innego. Skończyłem z tym.

Leyre bez słowa dotknęła jego prawej dłoni, w której wnętrzu mieścił się znak jego generalskiej rangi, ledwo co zagojony, nowiutki tatuaż *ilhali*.

- Zrobili ci go - powiedziała głuchym, grobowym głosem.

Szaratandze zachciało się śmiać.

- A skąd ten ponury ton? Czy ja słyszę zazdrość?

Ale dziewczyna milczała i Szar ze zdumieniem wyczytał w jej oczach strach. To było co najmniej dziwne. Owszem, każde *ilhali* pulsowało magią. W końcu wyobrażało i zapisy-Labirynt, który sam w sobie był w Tlaskali obiektem czci. W całym królestwie tatuaż nosiło może pięć osób, sami oficerowie polowi. Nawet Papan nigdy nie dostał i nie dostanie *ilhali*.

Ale dlaczego Leyre się go bała? Wszak otrzymanie *ilhali* było wielkim zaszczytem.

Dziewczyna dotknęła jego dłoni, wodząc palcami po szyfrowanych znakach. Wzor Labiryntu, najpilniej strzeżony sekret królestwa, wił się na skórze Szaratangi jak pajęczyna ciemności. Tatuaż miał być gwarancją, że nawet podczas odwrotu i klęski w płataninie wąwozów i korytarzy wojownicy odnajdą drogę. Stanowił oznakę szacunku, a także najwyższego zaufania. Żaden nosiciel *ilhali* nie wpadł jak dotąd w ręce wroga. Trzysta lat temu generał Orygatł Szary Ząb odrąbał i spalił w łasną dłoń, gdy jego wykrwawioną armię okrążyli zwycięzcy Kruzowie.

- Wiesz, że nigdy go nie widziałam? - szepnęła Leyre.

Szaratanga pokiw ał głową. W Tlaskali obowiązywał zakaz sporządzania jakichkolwiek map Labiryntu. Chroniło to jego sekret przed kruzanskimi szpiegami, ale także podtrzymywało jego nadprzyrodzona auro. Labirynt miał pozostać tajemnicą. W Zakonie zawsze służyło kilku Mistrzów Pamięci, którzy potrafili za sprawą wizualizacji i innych szamańskich technik

spamiętać fragmenty w zoru. To oni mu go wytatuowali, wkrótce po tym jak zgodził się wykonać misję zleconą przez Radę. Nikt z dostojników nie wiedział, że Lew Labiryntu nigdy nie pragnął dla siebie *ilhalli*... ale Szaratanga trzymał swoje powody dla siebie.

- Uważaj na siebie. Szar. Jeszcze możesz im odmówić. Wycofać się.

- Nie mam takiego zwyczaju - mruknął cierpko, mierząc ją znużonym spojrzeniem.

Bolało go serce. I jaja. Jego nadzieje rozwiewały się właśnie niczym jesienna mgła. Kiedyś też tak było. Zamiast się kochać, zadręczali się wyrzutami. W romansach rycerskich i pieśniach te sprawy wyglądały lepiej. Czy już nikt nie pamiętał o tradycji zagrzewania bohatera do walki gorącym kobiecym ciałem?

- Wystawili cię. Jesteś przynętą na końcu pajęczej sieci. Ochłapem dla Quinatza, jego wymarzoną zabawką. A ty idziesz w przepaść, merdając ogonem, taki chętny, taki cholernie odważny - mruknęła.

Szar wzruszył ramionami.

- Mówisz, że jest jakiś spisek? No tak, na dworze to uwielbiają. Twój ojciec bierze w tym udział?

- Zakon doradza Radzie i koordynuje jej zamierzenia. - Leyre zawahała się na moment. - Sam wiesz, jaki jest Zergos. Nie wybaczył ci tamtej historii.

Tamtej historii. A więc dla ciebie to już historia? Niech będzie.

- Oni nie chcą, żebyś zwyciężył! To dlatego dostałeś taką gównianą armię. Masz zginąć, zabierając do grobu jak najwięcej Kruzow - wybuchła.

- No to ich rozczaruję - wyszczerzył się Szar. - Ale najpierw muszę choć trochę wzmocnić moją zbieraninę. Kruzowie niedługo tu będą, a nam brak doświadczonych oficerów. Potrzebuję podpisów Rady pod tym dokumentem. Na początek od ciebie i Pa'uka. Moi ludzie muszą dostać porządną broń - suchy głos Szaratangi brzmiał, jakby składał raport.

Leyre podpisała dokument i oddała mu go bez słowa. Szar

uśmiechną! się z satysfakcją. Spojrzała na niego zdumiona.

- Myślisz, że sobie poradzisz? Bo zbierzesz parę podpisów? Uwierzyłeś we własną legendę?

- Do braku najmniejszych szans zdążyłem się przyzwyczaić. Choć chętnie doświadczyłbym kiedyś odmiany - zaczął, ale Leyre przerwała mu, chwytając go za ramiona.

- To nie są żarty. Przychodząc tu i mówiąc ci o tym, wystawiani się na ich cel. Myślisz, że mnie nie śledzą? Że sama nie ryzykuję?

Szaratanga popatrzył na nią badawczo.

- O czym ty mówisz, Leyre? O dowodzeniu na trudnym odcinku? O swoim lęku i trosce, jakże pochlebnych dla mnie? Czy może w tym wszystkim kryje się coś więcej? Bo tego, że szanse są marne, nikt z Rady przede mną nie taił. A nie zdezerteruję z powodu twoich paskudnych przeczuć.

Odwróciła wzrok.

- Powiedziała ci wszystko. Nie ma już nic, do czego chciałabym teraz wracać.

Uśmiechnął się cierpko. Słodka dziewczyna, którą zabawiał żartami, zmieniła się w tajemniczą i zagadkową kobietę. Nie był pewien, czy nadal ją lubi.

- Czy to wszystko? Wybacz, ale mam dużo do zrobienia - warknął.

Leyre z niedowierzaniem pokręciła głową i zsunęła z włosów swój diadem królowej. Oswobodzone pukle opadły zmysłowo. Szar przełknął ślinę. Patrzył na jej usta, szyję i piersi. Bogowie, jak on za nią tęsknił.

Rozsądek wycofał się na z góry upatrzone pozycje. Odezwał się do byłej kochanki z nonszalancją, którą psuło chrapliwe, ciut rozpaczliwe brzmienie głosu.

- Chcesz wyświadczyć mi ostatnią przysługę? Ostrzegam, że wszystko mnie boli. Pieszczoty zostaw więc...

Uszczypnęła go z okrucieństwem nie pozbawionym czułości.

- Przestań pieprzyć.

- Jeszcze nie zacząłem.

Uśmiechnęła się. Szar pomyślał, że jej oczy są jak niezgłębione jeziora.

- Może wcale nie muszę umierać, Leyre. Mam tutaj cztery tysiące ludzi. Jak wielki jest garnizon w stolicy? Obalę dla ciebie Papana...

Kobieta odsunęła się. Spojrzała hardo, wysuwając delikatny podbródek.

- Nie, Szar. Nie zostawię go. I nawet jeżeli on zginie, poślubię innego władcę. Kogoś, kto zapewni Tlaszkali nadzieję i silne sojusze. Muszę ochronić mój lud.

Jej spojrzenie było aż nadto wymowne, przesycone litością. Moje serce może należeć do ciebie, ukochany. Ale moje ciało jest strategicznym zasobem. Szaratanga zszarzał i skurczył się w sobie. Głupiec! Miał swoje pięć minut i przegapił je, A teraz rozmawiał już z inną Leyre.

- Rozumiem. To tylko polityka i zdrowy rozsądek. I dużo kurewstwa - warknął ochryple.

Leyre cofnęła się jak smagnięta.

- Dorosłam do swojej roli, Szar. Nie miałam innego wyjścia - powiedziała cicho.

Mężczyzna roześmiał się.

- I pomyśleć, że kiedyś ponaglałaś mnie. Żeby o ciebie walczył. „Obalimy Papana”, dobre. Powtarzałaś to tyle razy, że musiałem rzucić dwór i zaszyć się na pustkowiu, a teraz...

- Bo kiedyś chciałam tego od ciebie. Czekałam na jakiś twój nich. Ale teraz... Czas nie stał w miejscu. Zmieniłam się, bo musiałam.

- Więc teraz jesteś wielką i mądrą królową. A ja? Schorowanym zbirem, który nie umie już nawet biegać po górach? Którego należy wykorzystać, zanim do reszty zaśmierdnie?

- Ośmieszasz się - powiedziała twardo.

Szar poczuł, że ogarnia go furia. Wiedział, że kochanka ma rację, ale chciał jej dopiec tak, żeby poczuła.

- Rozumiem, że moja śmierć użyźni twą polityczną karierę? A ta nieszczęsna wizyta ma ci ukoić sumienie? - szydził, wkładając w te słowa tyle jadu, ile mógł zaczerpnąć z zatrutego serca.

Leyre wzruszyła ramionami.

- Opowiadałam ci o Eizaachu? Chyba nie. To paskudna historia, pogrzebana w piwnicach mojej rodziny. Jak sądzę, ojciec utajnił akta. To był stary, doświadczony żołnierz, służył mojej rodzinie, odkąd pamiętam. Nawet kuśtykał jak ty. I też mu strzykało w kolanach.

Jej twarz stała się zamyślona i odległa. Była tak piękna, że Szar poczuł, że jego niechęć słabnie. Nie umiał jej nienawidzić.

- Gdy miałam dwanaście lat, w podróży napadli na nas zjadacze. To było w Labiryncie, blisko północnej granicy - Leyre urwała, na jej chłodnej twarzy pojawił się grymas bólu.

Szaratanga w milczeniu dotknął jej dłoni. Znał te istoty lepiej niż ktokolwiek w Tlaszkali. Lepiej, niż ktokolwiek by chciał.

- Ludzie z orszaku uciekli. Cała eskorta. Słyszałam, jak *hikku'tai* ścigają ich pośród wzgórz, pohukując jak puszczyki z piekieł. Moje służące... Nawet teraz słyszę krzyki tych kobiet. - Leyre zadrżała, jej piękna twarz pociemniała. Eizaach został. Zastawił przesmyk na skałach i sam zatrzymał watahę, do czasu gdy zjawiał się patrol wojska. To dzięki niemu tu jestem. Nikomu o tym nie opowiadam, ale wciąż się zastanawiam, czemu to zrobił. Takie poświęcenie.

- Twój ojciec wisiał mu żołąd?

Uśmiechnęła się smutno i dotknęła ramienia Szaratangi. Jak kiedyś.

- Był naznaczony. Pewnie dlatego przeżył. Słyszałeś o takich ludziach? Nieostrożni wędrowcy, zabłąkani w pobliżu ich gniazd, nie zawsze zostają pożarci. Czasami zjadacze robią im coś gorszego. Naznaczają ich w środku. Taki człowiek wygląda jak inni, nie cuchnie zepsutym mięsem, nie reaguje odrazą na światło. Ale wysyłają go, by zaganiał Rojowi zwierzyne.

- I Eizaach...

- Był naszym przewodnikiem, Szar. Odpowiadał za wybór trasy. Mój ojciec przesłuchał go metodami Kretów. To nie było piękne, ale Eizaach wyjawiał, co mu się przytrafiło. Kiedy nas zaatakowali, zmienił zdanie. Po prostu. Nagle człowiek przemógł w jego duszy zjadacza. Biedak został, bo myślał, że w ten sposób odkupi swe winy. Największa odwaga łączyła się z największą winą. - Leyre urwała i zapatrzyła się gdzieś w

przestrzeń wspomnień. Szaratanga uznał, że było jej z tym do twarzy. - Gdy wróciliśmy, Eizaacha oczywiście uwięziono, Zergos ostateczną decyzję zostawił mnie.

Powiedział, że kiedyś zostanę królową i już teraz powinnam się uczyć.

- A wyrok królowej brzmiał... - Szar popatrzył na jej chłodną, doskonałą twarz, wąski nos z delikatnym grzbietem, pełne usta zarysowane chłodnym konturem. Pomyślał, że zna odpowiedź.

- Nie ułaskawiłam Eizaacha, choć Bóg jeden wie, że wciąż wracam do tego myślami i pytam, czy dobrze zrobiłam. Uznałam, że podjął walkę, bo poczuł, że może się pozbyć swych mocodawców, zjadaczy. Wyzwolić się od wszystkiego. Przez niego zginęli niewinni ludzie. Bohaterstwo nie odkupuje wszystkich win. Nie chcę, byś skończył jak Eizaach, lecz jeżeli zbuntujesz się teraz... jeżeli otwarcie złamiesz rozkazy, wtedy zostaniesz sam. Dlatego radzę ci, zniknij.

- Rozumiem - chrząknął.

Zachnęła się.

- Nie patrz na mnie jak skrzywdzony chłopczyk. Muszę uważać, Szar. Inaczej zginiemy oboje. Moja pozycja w Radzie jest niepewna, a Papan przestał już wierzyć w zmiany. Zdał sobie sprawę, że jako marionetka dłużej pozostanie przy życiu. I chyba pasuje mu taki układ.

- Czyli mi nie pomożesz?

- Nie mogę.

- To co tutaj robisz? Dlaczego ze mną rozmawiasz? To przecież strata czasu. Nie lepiej spiskować z łajdakami z Rady w jakimś arystokratycznym salonie? W końcu tak to się robi, prawda? - zapytał z goryczą.

Jej palec wylądował na jego ustach jak motyl.

~ Nie zamierzam cię pocieszać, Szar. Nie stanę się drugą Enishą. Króliczą mamą, która co roku wydaje na świat bobaski i czeka na ciebie w norze. Która żyje tylko po to, by leczyć twoje chwalebne rany. To nie ja.

- Dlaczego nie? - warknął i złapał ją mocniej. Jego stwardniałe palce dotknęły jej piersi, Leyre jęknęła, jakby to było rozpalone żelazo. Syknęła i pociągnęła go na siennik,

siadając na nim okrakiem. Wpiła się w niego pocałunkiem, który bardziej przypominał ukąszenie.

- Bo to ja jestem raną, głupku. Jestem ogniem. Ukojenia poszukaj gdzie indziej - wydyszała.

Szaratanga zadrżał. Leyre cofnęła się jak przed żarem i zaczęła rozpinać suknię. Po co, wyszeptał w swym sercu, a potem przetoczył się na nią. Jego ciało wiedziało, co robie. Z ulgą powitał rejteradę myśli, zastąpionych przez wściekle pulsowanie krwi.

Przyjęła go, już gotowa, ale on wyswobodził się i przycisnął ją twarzą do muru, ugniatając rękami jej małe, dziewczęce piersi. Wciąż jej pragnął, bardziej niż kiedykolwiek, ale nic chciał oglądać jej twarzy.

Kochali się gwałtownie i rozpaczliwie. Szaratanga zatracił się cały. Nie wiedział już, kogo ściga: kobietę czy samą namiętność. Wymykała mu się, nie dawała się uchwycić i posiąść. Nie dawała przeżyć.

Nie odzyskam jej już. To koniec, pomyślał jakimś odległym impulsem. Koniec.

Nie wiedział, jak bardzo się mylił. To nieprawda, że rozkosz przemija bez śladu. Piersi Leyre, ogrzewające jego dłonie, gładkość jej skóry i wypukłe, boleśnie delikatne posiadł o kształcie jabłek miały dręczyć jego zmysły już zawsze.

Rozdział 20

*Oko za oko, ząb za ząb? Bzdury!
Zabierzemy wam wszystko od razu.*

Pełzacz

W porównaniu z ośleplą grozą Dołów podworze klanu Rzeźników było krainą czekoladą i miodem płynącą. Haran powinien się cieszyć, że ma co jeść i nikt nie dybie na jego życie. On jednak nienawidził tego miejsca.

Ciążyło mu bycie *ursem* i to jeszcze *ursem* takiego sromotnego mazgaja jak Tennok. Cena za ocalenie życia okazała się wysoka. Czuł, że przebywa w tym mieście nie z własnej woli, a podwórze jest takim samym więzieniem, jak Doły. Albo gorszym, bo wszystkie kajdany i kraty nosi w sobie jeden człowiek - jego nieszczęsny książę.

Nawet jeżeli ktoś szukał młodego zakładnika z Yugal, nikt nie znalazł ich w labiryntach tej chaotycznej, rojącej się od cudzoziemców dzielnicy. Czasem Haran rozważał ucieczkę albo pozbycie się swego płacznego dobroczyńcy, ale szybko się mitygował, trzęsąc głową z pogardą do siebie. Jeżeli Doły nauczyły go czegokolwiek poza bezlitosną walką o przetrwanie, była to lojalność wobec towarzyszy oraz własnego honoru. Moros wpoił mu, że raz utracony honor spycha człowieka do poziomu zjadaczy i bestii.

Obejrzawszy kamienne kalendarze, wyryte na frontonie świątyni Tezcatlipoki, Haran obliczył, że minęło już dziesięć lat od dnia, w którym Pęcherz zrobił interes życia, dorzucając swój pusty łeb w charakterze premii. Dopadła go groza zmarnowanego czasu, bezpowrotnych lat pozbawionych kolorów i słońca. Mrużąc wyblakłe, wrażliwe na światło

żrenice, siedział markotny na cuchnącym podwórzu rzeźników, w daremnym poszukiwaniu inspiracji, gapiąc się w ścianę.

I właśnie o to chodziło. Na powierzchni wszystkiego było za dużo. W Dołach polubił pustą, niezakłóconą ciszę, nic szybciej niż ona nie pozwalało zapomnieć o duchocie górniczych chodników i cel, nie przywracało powietrza.

Jego pan wstał dzisiaj późno i wyglądał tak świeżo, jak zdeptana, gnijąca na ścieżce ropucha. Wcielenie zbołałych bóstw kaca. Odkąd dotarli do Tollan, wykańczał się pijaństwem i narkotykami. Wnet skończą mu się pieniądze na szaty, łapówki, ekwipunek i broń, w które hojnie, jak przystało na dumnego tyrana, zaopatrzył go Maczurai. Coś wysysało z niego nadzieję i wolę. Książę nie umarł, ale przestał żyć.

Po kilku tygodniach takiego zawieszenia jego bezczynność dorobiła się pewnych stałych zwyczajów i form. Książę grał w kości, pił nielegalny alkohol i zażywał dozwolone narkotyki. Czasem słuchał wykładów mędrców i świętych mężów, co zdaniem Harana wpływało na umysł tak samo niekorzystnie, jak wcześniej wspomniane czynności. Robił wszystko, by zapomnieć, że jest pogubiony i nieszczęśliwy, oczywiście osiągając zgoła odmienny rezultat.

Nagle w chłodnym, porannym powietrzu podwórka, którego nie sprofanował jeszcze smród codziennej roboty i krwi, rozpanoszył się nowy, ostry zapach. Haran odwrócił się od ściany i zobaczył dwóch uzbrojonych mężczyzn, podchodzących do Tennoka. Nosili czerwien i nie był to arystokratyczny szkarłat kwezala.

- Dobrze, że wstałeś - zagadnął mniejszy z nich.

Drugi, w groteskowej masce zasłaniającej zniekształconą, poharataną przez jakieś zwierzę głowę, nic nie mówił, wyglądał jednak tak, że butni Druazzi obchodzili ich szerokim łukiem. Syndykat Czerwonych Koszul miał paskudną reputację. I powiązania.

- Przypominamy o dzisiejszej partyjce - oznajmił mniejszy z szyderym uśmiechem złodzieja, który okrada cię, ale jednocześnie zapewnia o swojej przyjaźni.

Czarne kontury ich sylwetek zawisły na tle słońca i

niebieskiego nieba, które raz było zniszczone, obumarłe oczy Harana, jakby ktoś dmuchał w nie chilli. Żałował, że tak rzadko padał tu deszcz, a na niebie prawie nigdy nie zalegały chmury.

Mimo to wygramolił się z szopy i stanął przy Tennoku. Idąc, potknął się, czego Czerwone Koszule nie omieszkaly skwitować wdzięcznym rechotem. Speq'alnie dla nich potknął się jeszcze raz, nie spuszczać wzroku z ich rąk, pałek i noży ukrytych w wysokich butach. Ten w masce nosił pod kurtką ochronny bawełniany kombinezon, co sugerowało, że kiedyś służył w wojsku. Potknął się kolejny raz. Pełzacz zawsze kaszlał i kwękał, gdy w ich celi pojawił się ktoś nowy. Mówił, że zawsze warto ich trochę rozzuchwalić, inaczej czają się po kątach jak podstępne, zatroskane pluskwy.

- Naprawdę chcesz z nimi iść? - zapytał Haran księcia.

- Mam u nich drobne długi. Nic, czego bym nie kontrolował - zapewnił go Tennok.

Unikał jego wzroku, ale tak naprawdę to każdy go unikał. Od słońca oczy Harana szybko robiły się czerwone i wyglądał jak królik, wyjątkowo smutny i mało ruchliwy.

- To twój niewolnik? Strasznie wielki. Musi dużo żreć! - zapiął mniejszy z Koszul.

Ten w masce nadal podrzuczał pałkę. Maran zastanowił się, czy ćwicz, gdy nikt na niego nie patrzy. Powoli ogarniał go gniew, to chyba przez to cholerne słońce. Było zbyt jasno, a ruchy tamtego zbyt zamazane i szybkie. Chyba nigdy nie przyzwyczai się do tego pieprzonego blasku.

- To mój *urs* - odparł Tennok cicho.

- Uważaj, bo jak znowu nie będziesz miał szczęścia, on też przejdzie na własność szefa - zaśmiał się mniejszy.

Maska złapał pałkę w locie i zaczął masować nią kark, eksponując ogromne łapska, mięsiste i wytatuowane w węże. Cokolwiek wgrzzło mu twarz, musiało być ogromne i wredne.

- Nie mogę się doczekać - szepnęła Haran. Ale cicho, tak że Maska, przechodząc, zadowolili się szturchnięciem go barkiem.

Zostawili Tennokowi bukłak z czymś, po czym powinien się poczuć lepiej, a przynajmniej księżę święcie w to wierzył.

*

Jeszcze w Dołach którejś nocy obudził go koszmar. Typowa, dusząca zhora, ciężar demona na piersi, krzyki i gwałtowne chwytanie powietrza. Pod ziemią takie przebudzenia były szczególnie paskudne. Nie oznaczały powrotu do świata, lecz/ do innego, trwalszego koszmaru. Człowiek uświadamia! sobie, że wrażenie duszności nie ustępuje i nie stanie się tak w jakiegokolwiek sensownej przyszłości, strop zalega jak ogromne brzemie, a głodne demony są blisko, na pewno bliżej niż słońce. Leżący nieopodal Moros zachrzakał współczująco. Nie spał, Haran zorientował się już, że starszy mężczyzna często nieruchomieje i czuwa, a może tylko rozmyśla. Nie miał pojęcia, jakie to ważne sprawy go niepokoją, żaden z nich nie był rozmowny.

- Trudno się przyzwyczaić, prawda?

Haran pokiwał głową i zganił się za ten gest, dobry dla głupiego powierzchownca. Od roku nie widział słońca.

- Tu nie ma światła - wyszeptał.

- Chyba że przed śmiercią oślepi cię *murgha*. Nie ma też prawie powietrza, a nad głową zalega dławiąca skała. Ale wiesz, co powiedział kiedyś pewien mądry człowiek? „Szukaj wolności w tym, co możesz zmienić, a nie w tym, co leży poza twoim zasięgiem”.

Chłopak nie czuł się przekonany. Te słowa śmierdziały mu kapłańską szkołą i zbutwiałym papierem, straganem księgarza z dzielnicy zagłodzonych mędrków.

- Czyli co? Mam sobie ją wyobrazić, tę wolność? Bo tu, kurwa, nie mogę zmienić niczego. Chyba że przestanę jeść albo sam rzucę się na spotkanie *hikku'tai*.

- Mówię o świetle wewnątrz. - Moros szturchnął go palcem w bok. - O tym, czy masz w sercu nadzieję, radość i spokój, czy raczej nienawiść i strach. Czy troszczysz się o innych, czy tylko o własny brzuch.

- I co, powinienem się o takie światełko pomodlić? - Haran nie ukrywał wzgardliwego niedowierzania.

Moros roześmiał się cicho.

- Żaden bóg nie załatwi tego za ciebie. Przecież mówię, że

światło jest tu. Pozwala nam trzymać kierunek. Jest jak łańcuch, który utrzymuje człowieka przy zdrowych zmysłach. W każdej, nawet największej ciemności wypatruj tego srebrnego łańcucha i trzymaj się go. Nawet jeżeli miałbyś go sobie, kurwa, wyobrazić.

Chłopak przypomniał sobie tę historię, czekając na podwórzu na Tennoka. Książę był dupkiem i Haran zastanawiał się, dlaczego wciąż przy nim tkwi. Niewolnik mógł szukać pomsty na zabójcach ojca albo zacząć wyć, toczyć pianę i polować na ludzi na wzgórzach. Czuli, że krwawe szaleństwo jest bliskie, wystarczy uchylić mu drzwi. Mógł zabić jakiegoś durnia w zaułku, zabrać mu mieszek, a potem utopić się w *pulque*. To Gruzowie mianowali go *ursem*, a prawa Kruzów miał w dupie. Ciemniej Tennok ocalił mu życie. Ze wszystkich możliwych kierunków, takich jak zemsta na Maczuraiu i Yorze, służenie młodemu księciu wydawało się najbardziej, jakby to powiedział Moros... zasadne. Zawsze zdąży zająć tamtych skurwielu, a Tennok bez niego ani chybi zająć się sam.

Za murem rozwrzeszczał się sprzedawca prażonych owadów, przekrzykując targujące się kobiety. Obok uganiały się dzieci, słychać było też zawodzenie kaznodziei. Powierzchniowcy robili dużo hałasu. W Dołach głośny dźwięk zdarzał się rzadko i zwykle znamionował śmierć. Haran potrzęsnał grzywą i przymknął oczy, wsłuchując się w poszum własnego oddechu i krwi. Gdzie był jego łańcuszek ze światła?

Tennok nie wracał przez cały dzień, pewnie znowu lajdaczył się w jakichś spelunkach. Wieczorem barbarzyńca uznał, że jednak jest przeciwnikiem hazardu. Postanowił odnaleźć swego pana, zanim będzie za późno. Gdy szedł przez podwórze, rzeźnicy patrzyli na niego wilkiem. Odkąd Tennok zaczął grać, przestał płacić gospodarzom za jedzenie i nocleg, więc teraz obciążał go już pokaźny dług. Poza tym Haran z jego dziwnymi ruchami, wysokim wzrostem i jasną skórą budził w nich instynktowną niechęć, podobnie jak w wielu ludziach. Bo kto by tam lubił „bładowych”? Jego rodacy tacy już byli, ich prostota często przechodziła w niechęć. Nienawidzili wszystkiego, czego nie mogli zrozumieć - czyli większości

rzeczy.

Bitą swinią szamotała się, uwiązana do palików. Różowa, o wrażliwych oczach, była chyba jedyną pozostałością po Białoskórych, którą przejęli miejscowi. Wierzgając, trąciła miskę z krwią swoich świńskich braci. Gospodarz, Mangcza, złapał naczynie, zanim zrobił to najstarszy syn, który posepnie wpatrywał się w *ursa*, mamrocząc pod nosem przekleństwa i groźby, jakby naradzał się z własnym tasakiem. Haran zdrzął, wspomnienia chlusnęły mu w duszę jak opróżniony nad rynsztokiem nocnik. Bał się. W Dołach za takie spojrzenie już by zabił albo sam skonał. Tutaj zasady były inne. Właściwa decyzja wydawała się odległa i często jak gdyby rozmyta. Tak samo niebo, które zasklepiało się nad głową wyżej i zimniej niż strop.

Odetchnął. Opanował zawroty głowy. Na szczęście zawsze pozostawał mu sekret. Wyjawił mu go Pełzacz, dożywotni, zrodzony w Dołach skazaniec, w geście opiekuńczej deprawacji przytykając mu do ucha zaropiałe wargi: „Pamiętaj, więzienie jest wszędzie”.

Pomogło. Ruszył dalej, mamrocząc maksymy potępieńców, niczym bluźniercze inkantacje. „Na górze wyroki zapadają w każdej chwili. I każdy może okazać się winny”.

Dobrze. Pamiętaj, między losem twoim i powierzchniowców nie ma żadnej prawdziwej różnicy. Bo nikt nie uniknie końca. „Kat mości się w twoim ciele, zetnie cię ostrze choroby. Czekaj”.

- Nie wracaj tu, cudzoziemcze! Sprowadzisz na nas nieszczęście - zawołał za nim najstarszy z rzeźników. Ten sam, który pierwszy okazał im gościnność.

Teraz Haran dostrzegł w jego uciekającym spojrzeniu mieszaninę agresji i wstrętu. Klasyk, specjalność zakładu. Barbarzyńca nie wiedział, czy odpowiadało za to coś mrocznego i obcego słońcu, co wywłókł, wychodząc z Dołów, czy coś starszego, będącego z nim zawsze.

W Haranie coś pękło. Odwrócił się do prześladowców.

- Jestem Druazzi! Jestem jednym z was!

Spojrzeli po sobie z konsternacją, którą szybko zastąpiło

oburzenie. Znał to, przerabiał u innych i w sobie. Pomocna, uzdrawiająca moc słusznego gniewu, który zmiata współczucie, zrozumienie i kłopotliwe niuanse.

- Twój język kala naszą mowę, odmieńcie. Powinno się go wyrwać.

- Mówić nauczył mnie ojciec. Nazywali go Pęcherz, bo z jednym rybim pęcherzem przepłynął rzekę Mys w pełnym rynsztunku, i to w delcie. Do rana ukrywał się w trzcinach przy brzegu, a potem zabił otomskiego króla, gdy ten skończył przemawiać do wojska i polazł się odlać w krzaczory. Dowodził Leśnym Kontyngentem z Yugal, może słyszeliście.

Tym razem na dobre zamilkli. Ruszył do wyjścia, rozpychając się bezceremonialnie. Któryś z parobków uniósł topór, demonstracyjnie zważył go w dłoni. Przechodząc, chłopak złapał go za drzewce miękkim, łagodnym ruchem. Ustąpiło z chrupnięciem, Haran uśmiechnął się słodko. Trening, jaki przeszedł w Dołach, czasami się przydawał. Czerepy pękają łatwiej niż skały.

Jego pierwszym odczuciem, gdy wymknął się z podwórza na ulicę, była ulga. Owiały go zapachy, które po monotonii wyziewów z rzeźniczych jatek wydały się aromatyczne jak wonie z ulicy Perfumiarzy.

Haran sycił wzrok kolorami, podziwiał pióra kwezali i warzęch zdobiące wojowników. Eskortowali wychudłych, długowłosych kapłanów w ciągnących się jak krucze ogony habitach, z twarzami białymi od wapna. Pożerał wzrokiem upadłe dziewczęta z Domu Pieśni, z ubarwionymi na żółto twarzami, ślinił się na widok pieczonych owadów i placków z owadzych jajeczek. Dopiero potem pojawił się strach.

W Yugal ludzie także spoglądali na niego wilkiem, wyczuwając obcość. Ale w Dzielnicy Leśnej wszyscy się znali. Zawsze rozpościerał się nad nim parasol ochronny Pęcherza i szacunku, jakim otaczało go plemię. Lata spędzone w lochach nauczyły Harana, jak walczyć i zadbać o własną skórę, ale przyzwyczyliły też do niemalże stadnych hierarchii. Ludzi w Dołach dzieli się podług jasno określonych kryteriów. Byli tacy, którzy mogli go zabić albo zgwałcić, oraz tacy, którym to on

mógł zrobić krzywdę. Na szczęście spotkał na swojej drodze Morosa i Pełacza, Flaka i Blask Twoich Oczu, którzy zapewnili mu ochronę. Przez jakiś czas cieszył się pozycją członka gangu i nabierał sił, karmiąc się jedzeniem odbieranym słabszym. Nawet łupanie skał da się znieść, gdy człowiek ma dość pożywienia. Potem Moros odszedł, a w podziemiach wybuchła wojna.

Wspomnienia odbiły mu się w żołądku falą mdłości, przełknął kwaśną żółć i odetchnął głęboko, uspokoił oddech. Po chwili był w stanie podejść do koryta z wodą i jak gdyby nigdy nic, jak ktoś zasługujący na miano człowieka, opłukać sobie twarz. Pewne sprawy muszą zostać zapomniane i pogrzebane, jeżeli chcesz dalej żyć. Przyspieszył kroku. Bacznie obserwował przechodniów, odczytując kryjące się pod ich minami intencje. Niektórzy przyspieszali i rzucali mu zdziwione albo niechętne spojrzenia. Płaskie, brązowe twarze, jedyne, jakie tu widział, wyrażały to samo odczucie. Nie powinno ciebie tutaj być, psie.

Haran już wcześniej zastanawiał się nad zagadką swojego wyglądu. W dzieciństwie Pęcherz i Heza wpajali mu, że był chory, ale szybko przestał im wierzyć. Jeżeli nie zapomniał o wywarach maskujących, swojej drugiej skórze, wszystko było w miarę w porządku. Ale do dziś pamiętał, jak dzieciarnia zareagowała, gdy w upalny dzień zbyt długo moczył się w rzece i wyszedł, strasząc dziwnymi plamami. Najpierw rozpierzchli się jak stado kaczek, w które ktoś cisnął kamieniem. Potem sami zaczęli rzucać. Po tamtej lekcji nacierał się dużo sumiennie.

Czasem czuł, że ojciec waha się i zaraz wyjawi mu sekret „choroby”. Niestety, tajemnica przepadła wraz z nim. Zapomniał o niej w Dołach, w ciemności nie miała znaczenia. Odkąd wyszedł na powierzchnię, ludzie znów gapili się na jego skórę, niezdrową i zszarzałą od wżartego pyłu. Jakaś dziewczyna roześmiała się, przestraszona, gdy ją mijał, ale towarzyszący jej mężczyzna, na oko alfons, warknął coś do Marana, pieszcząc głowicę sztyletu. Haran wyszczerzył spiłowane kamieniem zęby.

Tłum coraz bardziej przytłaczał, zbyt wiele twarzy dookoła i

od razu chłopak zaczynał się gubić. Sam dorastał na obrzeżach miasta, ale skala jego rodzinnego Yugal była zupełnie inna.

Mury Tollan były tak ogromne, że człowiek mógłby paść z głodu, próbując je obejść. Nędzarze sprzedawali pod nimi dobytek, z nadzieją otwarcia interesu albo najęcia się na służbę. Miasto nie potrzebowało jednak służących, miało niewolników. W slumsach wszystko, co posiadało jakąkolwiek wartość, natychmiast przyciągało drapieżców. W tłumie zgromadzonym przed szynkiem dosłownie się od nich roiło. Co najgorsze, kręciły się tam też osławione Czerwone Koszule. Ci mordercy starym, jeszcze azteckim zwyczajem nosili wygodne stroje ze skóry człowieka.

W gangu nie ustawała rotacja. Niczym krwiożerczy dandysi Czerwoni często zmieniali ubranie. Wszyscy zdawali się odurzeni, lecz nie wszyscy byli pijani. Alkohol wciąż pozostawał w Tollan towarem ekskluzywnym, od czasu niesławnej reformy Quinzina tylko weterani mogli spożywać go jawnie. Popularne na ulicach konopie zazwyczaj działały łagodząco na zwykłą ludzką krwiożerczość. Ale można było też trafić na kogoś, kto zjadł taką liczbę spiczastych grzybów, że przed oczami tańczyły mu demony i bestie. Po czymś takim może ci zupełnie odpierdolić. Grzyby mogą kazać ci wyjadać mózgi albo nawlekać na nitkę wyłupione oczy. Albo ubierać się w strój z dopiero co zdartej ludzkiej skóry, ale nie w imię tradycji religijnej, lecz dlatego, że sprawia ci to frajdę.

Któryś z Koszul plunął mu na buty. Haran nie odwrócił się i przyspieszył kroku, czując wokół siebie słodkawy odór krwi. Musieli niedawno pracować, ich kaftany były lepkie i lśniące. Wzbudził ich zainteresowanie, niedobrze. Instynkt i doświadczenie zdobyte w Dołach podpowiadały, że ma przerąbane. On sam kontra miasto wrogich istot, on, *urs*, bez *calpulli*, klanu i gangu - w tej konfiguracji mógł równie dobrze zwalić planszę ze stołu. Ale trzeba grać. Haran nie odwrócił się, nie skulił i nie okazał strachu. Po prostu szedł przed siebie, odliczając sekundy. Koszule nie poszły za nim. Zaulek Filozofów nie miał im nic do zaoferowania.

- Tylko człowiek, który nie ma niczego, jest szczęśliwy! -

zawołał przejęty głos.

- Tak? To oddawaj flaszkę! - zażądał ochryply bas. Zawtórowały mu pijackie śmiechy filozofów, z których wielu różniło się od bezdomnych żebraków jedynie umiejętnością przeplatania wulgaryzmów uczenie brzmiącymi terminami.

Ulica Filozofów, przeważnie nazywana Zaułkiem, mieściła się na tyłach świątyni Nazahuolcoyotla, boga mądrości. Zaułek pasował do Dzielnicy Czerwonych Snów, w której poszukiwanie rozkoszy towarzyszyło poszukiwaniom wiedzy, a świętość i rozpusta zaglądały sobie nawzajem przez ramię albo razem organizowały imprezę. Ta część miasta obfitowała w wygłodzonych artystów: poetów, malarzy i tancerzy. Ludzie ci głosili, że tylko piękno jest wieczne, a jego twórcy i odbiorcy są zasadniczo nieistotni. Przez piękno dotykamy wieczności. Byli tu samozwańcy, odrzuceni przez oficjalne struktury kapłani, magowie i asceci, którzy dręczyli i przekształcali swoje ciała z fantazją niespotykaną w świątyniach.

Nawet na tle wszechobecnej bohemy i awangardy Zaułek wydawał się jednak zaniedbaną i smrodliwą dziurą. Głównie dlatego, że radykalni zwolennicy wolności załatwiali swe potrzeby, praktycznie nie ruszając się z miejsca. Utwierdzało to okoliczną ludność w popularnym poglądzie, że tak zwana mądrość niebezpiecznie sąsiaduje z szaleństwem. Haran mijał zatopionych w stuporze filozofów, rozglądając się z zacięciem.

Mądrość potrafiła być groźna, o czym przekonał się na własnej skórze. Odkoczył, gdy nacinający sobie przedramię czarownik skierował w jego stronę tańczące strumyki krwi, oplatające jego kończyny jak węże. Podobno magowie potrafili czarem krwi spętać i obalić biegnącego wroga. Albo udusić go swoim płynnym sznurem.

Słyszał, że niektórzy z tutejszych mędrców byli już prawdziwymi Wcieleniami i osiągnęli swój status nie za pomocą karnawałowych kostiumów, lecz subtelnych zmian w duszy i w ciele. Widział kiedyś, jak paru łobuzów usiłuje obrobić świętego męża, którego twarz natychmiast przybrała węglowy kolor Dymiącego Zwierciadła. Facet wyszeptał do nich

coś o nicości, którą podszyte jest wszystko, a oni uciekli w popłochu, widząc, że bóg rzeczywiście przydymił mu skórę, zęby i białka oczu. Ścieżka Wcieleń była zwalczana przez oficjalne kultury, gdyż obywatela się bez intratnego pośrednictwa świątyni.

Haran śmiało torował sobie drogę w tej doborowej kompanii, a terminy, takie jak „absolut”, „fenomeny” czy „jaźń”, nieszkodliwie odbijały się od pancerza jego ignorancji. Zobaczył przedziwną scenę.

Pogrążeni w dyspacie dwaj rozmówcy siedzieli naprzeciwko siebie. Jednym był Ygootl, kultowy w pewnych kręgach abnegat, bluźnierca i zatwardziały bezbożnik. Złośliwi twierdzili, że miał zakaz opuszczania Zaułka, a jego legendarna obojętność była w istocie przymusowym wygnaniem. Rozzochrany i brudny, robił za przewodnika i mistrza tej szkoły szaleńców. Drugim rozmówcą był Tennok.

Jego dobroczyńca był znużony i wynędzniały, nosił bawelniany płaszcz studenta wiązany na lewym ramieniu. Haran założyłby się o miskę totonackiej pasty z dzieci, sezamu i miodu, że nie o takie nauki chodziło Maczuraiowi. Po odpowiedzi rozzochranego Tennok wzruszył wąskimi ramionami i oddał mu butelkę.

- Wszystko mi jedno.

Ygootl wybuchnął śmiechem. Zręcznie złapał wesz sunącą mu po splątanych kudłach i połknął owada ze smakiem.

- Naprawdę? Człowiek musi jeść.

- Nie potrzebuję niczego - odparł Tennok.

Od czasu przybycia do Tollan wychudł, zwięzione źrenice błyszczały mu dziwnym uporem. Było pewne, że odurza się jakimś świństwem.

- To oddawaj buty, płaszcz i ten ładny pierścień. Razem z palcem. Potem Dwa Kły wyrucha cię w dupę. - Mędrzec wskazał na ziewającego włóczęgę. - Albo ten miły Druazzi ugotuje twoją głowę i zrobi z niej amulet łowiecki czy inny barbarzyński talizman. Nadal ci wszystko jedno?

Tennok skinął głową. Ygootl roześmiał się znowu.

- Naćpałeś się *ololiuqui*? Grzybów? Czy może ropuszej skórki? Twój dostawca jest lepszy, niż myślałem. A tak serio, to jeszcze za mało. Tak bardzo chcesz stać się wolny od pragnień, że zniewalasz się tym właśnie pragnieniem. Musisz przekroczyć tę sprzeczność. Cała sztuka to nie pragnąć zupełnie, ale to zupełnie niczego. Nawet wolności. Niczego nie mieć, ale też nie próbować niczego się pozbyć.

Rozmowa toczyła się dalej, lecz Haran już jej nie słuchał. Robiło się późno, chyba przy żadnej czynności czas nie marnował się tak szybko, jak przy bezsensownych dyskusjach mędrków. Druazzi, których kultura przeważnie zawężała się do ostrzy oszczepów, mieli na takich książkowych trutni specjalne określenie - *iszmule*, czyli „słowojebcy”.

Barbarzyńca westchnął z politowaniem i dopchał się do Tennoka, który z zapalem wykladał mędrcom swoją interpretację starego mitu o ciekawości. Bogowie zabili pierwszych ludzi za karę, że odważyli się wynaleźć ogień. Przed śmiercią zmienili ich w psy. Szczurzy człowieczek podsunął księciu dzban trunku, w którym zbutwiała, ziemista woń grzybów wieszała się z ostrym odorem wieszczych powojów, bielunia i chyba sporyszu.

- I o to chodzi. Kapłani myślą, że jesteśmy ich psami. Ale w takim razie jesteśmy psami psów, bo oni łaszą się do bogów!

Ktoś syknął ostrzegawczo. Nawet w Zaulku nie poruszano kwestii nieistnienia bogów w sposób tak bezczelny. Tennok wytłumaczył kiedyś *ursowi*, że mędrzy tacy jak Ygootl woleli alegorie. Haran długo sądził, że alegoria to odmiana egzotycznej ryby, ale ksiązę wyprowadził go z błędu.

- Musimy iść!

- Zaraz... a tak w ogóle to po co... - zblazowanie Tennoka było tak silne, że wkrótce odechce mu się oddychać. Haran miał tego dość.

- Nie po to tu przyjechałeś. Masz obowiązki wobec klanu. I ojca!

- Co ty wiesz o moim ojcu, dzikusie! - głos księcia zmienił się jak las w senne popołudnie, gdy przy wodopoju pojawia się wielki kot. Nie był już obojętny i zgrzytał nienawiścią jak ostrze

sunące po szkle.

Haran wytrzymał jego spojrzenie.

- Coś tam wiem. Zabił mojego starego. Nie mówiłem ci?

Tennok wytrzeszczył oczy i skulił się, jakby spodziewał się ciosu. Szczur, jego praprzodkiem z pewnością był jakiś gryzoń. Haran popatrzył na niego dziwnie i roześmiał się.

- Żartowałem. Idziemy do domu. Wykończysz się tu.

Jego pan nie zareagował. Wyglądał jak bukłak, z którego wyciekła woda. Jakby cała jego życiowa energia wynikała z oporu przeciwko ojcowskiej presji, a gdy ten bodziec ustąpił - pierzchnął.

Haran widział już takie rzeczy w Dołach. Pardon, nie widział, w Dołach nie widział niczego. Ale słyszał sporo bełkotliwych opowieści i histerycznych skarg, a także dziwnych monologów, spowiedzi i klątw, które poprzedzają katastrofę.

Doły miały w sobie coś, co prowokowało do zwierzeń, podobnie jak rozżarzony nóż w rękach kata. Haran pomyślał, że Tennok zapewne potrzebuje kogoś, kto zastąpi mu ojca. I nieźle nim potrząśnie, a nawet rzuci o mur. W Dołach bywało to czasem jedynym lekarstwem. Przypomnieć, że coś może cię jeszcze zabołec, że jeszcze chcesz czegoś uniknąć. Trup nie cierpi.

Książę ślaniał się i potykał, aż Haran zarzucił go sobie na ramię. Są plusy narkotycznego nałogu - jego ofiary nie tyją i ważą mało. Tennok wrywał się, ale bez szans powodzenia. Barbarzyńca ruszył przez tłum protestujących próżniaków. Wiedział, że nikt tutaj nie zdoła go powstrzymać... dopóki drogi nie zastąpiło mu dwóch wielkich typów w czerwonych bluzach, z głowami otoczonymi bzyzącą aureolą much.

Wyglądali groźniej niż członkowie gangu, których napotkał wcześniej. Cuchnęli tak źle, jak wyglądali, a wyglądali naprawdę paskudnie. Nawet jak na Czerwone Koszulo. Ten ohydniejszy nie miał połowy twarzy, zastąpionej przez kamienną maskę, której wyszczerzone, toporne rysy nie dorównywały brzydota ocalałym fragmentom lica. Na jego tle drugi, o regularnych, tępowych rysach kobieciarza, sprawiał wrażenie anioła. Dopóki się nie odezwał.

- Kurwa, ćwoku, przystopuj. Książę Tennok dopiero zaczyna, no. Ma na dziś umówioną partyjkę kości, no - szczeknął, spluwając pod nogi Harana ciemnobrązową pianą.

- Żujemy sobie gówienka? - zainteresował się barbarzyńca, ostrożnie opuszczając Tennoka na ziemię.

- Uważaj, bo sam będziesz żuł i to, kurwa, ziemię - zripostował anioł, nerwowo oblizując usta.

- Zostaw chłopaka i spadaj - powiedział ten bez połowy twarzy. - Albo cię, kurwa, potnę.

Haran uśmiechnął się pojednawczo.

- Nie ma potrzeby. Poniosę go wam na metę. W sumie nie mam dziś nic do roboty.

Zbójcy łypnęli po sobie, ale typowe dla przestępców lenistwo zwyciężyło. Zaprowadzili ich do obskurnej piwnicy, która wgrzała się jak pasożyt w uliczny bruk. Anioł wyběbnił na drzwiach szyfr, po chwili ktoś odryglował drzwiczki. W przypadku tej szulerni określenie „nora” było komplementem na wyrost. Salka okazała się mała, niewypowiedzianie smrodliwa i prawie tak gorąca i parna, jak Doły.

Haran zaczerpnął powietrza i wgramolił się od środka, unikając nabicia sobie guza o zgarbiony ze starości strop. Ochroniarze przeszukali go starannie i w końcu znaleźli na nim ostrze, mały nożyk do otwierania skorupiaków. Miał gdzieś ich lekceważenie i zde gustowane miny.

Przeliczył gości i starannie zlokalizował trzy dymiące pod niskim sufitem pochodnie. Potem ostrożnie ułożył Tennoka w kącie obok pochrapującej dziewczyny z rozmazanym makijażem i podkasaną spódnicą. Niech ma chłopaczyna coś z życia. Sam siadł naprzeciwko tłustego jegomościa, którego wszyscy - troje gości, dwie dziewczki służebne, karczmarz, no i cztery buzujące agresją Koszule - traktowali jak herszta. O, pardon, była jeszcze jedna Koszula. Ten trzymał gotowy do rzutu atlatl, miotacz dziryków, i wyglądało, że umie się nim posłużyć. Celował w Harana, który odruchowo się spiął.

- Mam sprawę - zaczął chłopak.

Herszt łypnął nań wzrokiem pełnym urazy.

- Zabierasz mój czas. A pomyłki kosztują, synu.

- Oto moja oferta. Nie zapłacę długów tego gościa. Zostawicie go w spokoju, żadnych kości, dziwek i chlania, żadnych fikcyjnych naliczeń. Odpierdolcie się, a będziecie żyć. To zajebista oferta.

Herszt podrapał się po prawym boku. Miał znękaną minę człowieka cierpiącego na chroniczną niestrawność.

- Powinieneś jeść więcej warzyw - poradził mu Haran.

- Przyszedłeś tu ze swoim towarzyszem sam? - upewnił się wódz.

- Dlatego mnie wpuściliście, co nie?

- I to był twój błąd, synu.

Haran nie panował już nad własnymi dłońmi, które zaciskały się i rozwierały kurczowo, jak łapy szalonego kreta. To ten zapach coraz bardziej przypominał mu dom. Głupcy mówili, że Doły to potworne, nieludzkie więzienie. Nie zdawali sobie sprawy, że jedyna granica jest w górze, że stare kopalnie Turkusowej Włóczni, starsze niż sam klan i Kłątwa, sięgają niżej, do ruin pogrzebanych przez Kłątwę. Do świata niesamowitych zjadaczy. Okrutnego, lecz jakże pięknego.

Świata widmowych pałaców i grobowców, w których szczury tłuste jak owce raczyły się mięsem królów. Ulubiona maksyma Pełacza brzmiała: „Pamiętaj, sklepienie nie zawsze jest w górze”.

Czasami czuł, że tam, pod ziemią, żył pełniej. Strażnicy bali się zawracać im głowę. Skazańcy musieli tylko kopać. Dopóki wyrabiali normę w nasiąkłych smarem skałach, byli wolni. Podobno żołnierze czują to samo, kiedy wracają z frontu do swoich sennych, bielonych wapniem miasteczek, a damy o wyskubanych sercach i brwiach wachlują się, krzywiąc noski na spowijający ich odór krwi. Czasami czuł, że oszalał, a może to oszalał świat.

- Zobaczcie, ten też odplywa. - Herszt szturchnął go grubym paluchem w policzek.

Haran otworzył oczy. Bogowie, jaki był głodny.

Nagle przypomniał sobie pierwszego człowieka, którego przyprowadził mu Pełacz. Wtedy też był głodny. Pełacz

zawsze znajdował Przyczajonych, wystarczały mu wąskie tunele i jamy, chyba nigdy nie stawał na nogach. Barbarzyńca strasznie za nim tęsknił, tak jak tęsknił za Morosem, Flakiem i Blaskiem Twoich Oczu. Pamiętał, jak Flak uplótł mu coś w rodzaju koszuli, śliskiej i wilgotnej, ale niezłe chroniącej przed chłodem.

W Dołach nie było zdrajców i tchórzy, konfidentów zjadano najpierw. Nikt go nie pytał, skąd jest, i nikt nie wyzywał od dzikusów. W Dołach nikt nie pamiętał, co to twarz, jej tanie, przeszacowane grymasy; w mroku szantaże i groźby nie miały znaczenia. Człowiek szybko uczył się, że światło jest rzadkim luksusem, podobnie jak żywność i odzież. Usta jadły, dupa srała, ręce zabijały. A twarz? Inne części ciała miały w sobie więcej mięsa. I pomyśleć, że teraz te żalotne rzezimieszki uważały, że są strasznie groźne. Dla niego byli bandą pozerów. Czerwone, kurwa, Podomki.

Gruby herszt musiał wyczytać coś w jego twarzy, bo pstryknął tłustymi palcami. Przypominały kiełbaski i Haran prawie się oblizał. W Dołach facet nie paradowałby długo z tym sadłem. Zrobiliby z niego pochodnię. Dziewczyna leżąca obok Tennoka, która do tej pory pasowała do scenerii, wyglądając na odurzoną dziwkę, raczej po pracy niż przed nią, wyprostowała się, błyskając obsydianowym ostrzem. Trzymała je przy gardle księcia.

Haran zeszywniał, herszt przysunął się bliżej. Odebrał mu nóż. Jego oddech woniał rzeczami, przy których czosnek był nektarem kolibrów.

- Myślisz, że nas załatwisz? Nic bardziej błędnego. My nie jesteśmy bandytami - zionął.

- Od razu się domyśliłem. Za dużo w was wdzięku. - Chłopak pokiwał głową.

Herszt syknął ze złością, Koszule przesuwały się wokół dziwnego gościa, węsząc przemoc.

- Jesteśmy kruzańskimi patriotami. Rdzennymi. Pracujemy dla Szurukana z Czerwonej Świątyni - obwieścił grubas z dumą.

Haran roześmiał mu się w nos.

- Robicie dla niego pióropusze? A może kadzidelka? Świątynie, będące tak naprawdę cyrkami i teatrami, zatrudniały tysiące scenografów i kostiumologów, nie mówiąc już o treserach.

Koszula wyprostował się dumnie.

- Strzeżemy dla niego tradycji. Przed przybłędami, takimi jak ty.

Barbarzyńca pokiwał głową. Strasznie raziło go światło. Znów sięgnął w stronę najbliższej pochodni. Ale człowiek z atlatlem też się poruszył, czujny jak leśny ocelot. Dziewczyna z nożem wciąż przyciskała ostrze do gardła zakładnika, który chrapał z głową odrzuconą w tył i był bardzo kuszącym celem.

- Tennok wisi wam ziarna, tak?

- Tu już nie chodzi o długie. Szukają go możni ludzie. Bo, jak mawiają, wpadł w oko. Przekrwione oko Tysiąca.

Twarz Harana nie zmieniła wyrazu, co chyba rozczarowało opryszka. Zasycał na barbarzyńcę złowieszczo.

- Twojego pana już nie ma, synku. A tym, co jeszcze oddycha, zajmie się Czerwona Świątynia.

- Jestem jego *ursem*. Skoro tak szanujecie tradycję, ukarżcie mnie zamiast niego.

Koszule spojrzały po sobie niepewnie. Kruzańska tradycja rzeczywiście dopuszczała posługiwanie się *ursem* jako swego rodzaju zmiennikiem, na którym egzekwowano chłostę, darcie skóry i inne drobniejsze kary. Szurukan wspierał ten zwyczaj, gdyż wiedział, że gdyby nie on, kupcy i miejska szlachta jeszcze bardziej omijałoby stare prawa. Bojówkarze zdawali sobie z tego sprawę. Ale jeszcze żaden *urs* nie żądał od nich, by mu łamali palce. Trudna sprawa.

- Tak ci spieszo do bólu i krwi? Dobrze. - Herszt uśmiechnął się i nie był to miły uśmiech.

Jego ludzie unieruchomili Harana.

- Wsuńcie mu rękę!

Wywiązała się lekka szamotanina, ale chłopak wyciągnął przed siebie lewą.

- Tylko nie prawą. Muszę jakoś zarobić na życie - poprosił.

Wódz Koszul podejrzliwie zmarszczył nos, przyglądając się

oszepeconej, pokrytej dziwnym nalotem lewej kończynie. Ze zdeformowanymi palcami wyglądała jak fragment ożywiono gargulca, koszmar manikiurzysty. Ale nawet najgorsza kanalia lubi czasem poczuć się jak dobroczyńca. Herszt Koszul nie był wyjątkiem. Skinąwszy łaskawie, przysunął do dłoni barbarzyńcy pochodnię.

Zaskwierczało, Druazzi szarpnął się, wrzeszcząc. Trzymali mocno. Po chwili wrzask przeszedł w zwierzęce, nieartykułowane wycie. Tennok ocknął się i siadł prosto.

- Mięso się przypala - mruknął i zwymiotował przed siebie. Dziwka z nożem przestała już dawno zwracać na niego uwagę. Jej nozdrza drgały, podobnie jak piersi, nagie uda ocierały się o siebie z rozkoszą. Widać lubiła cierpienie dużych, silnych mężczyzn.

Gdy Haran zwiotczał i osunął się, tak jak wszyscy przed nim, herszt z pogardą przykopał mu w żebra.

- Myślałem, że Druazzi są twardsi. Zabijcie ich - mruknął. Haran uniósł na niego płonący wzrok. Najbardziej wymęczył go hałas, ogłuszył własny krzyk. Z niechęcią wbił wzrok w odganiającą cienie pochodnię, znów zatęsknił za mrokiem i ciszą, Ludzie myśleli, że Doły były potworne. Nie wiedzieli, że tam, pod ziemią, największym potworem był on. Uśmiechnął się do wspomnień i przerwał krępujące milczenie, chwytając płonąca żagiew.

Blask Twoich Oczu nauczył go gasić w ten sposób łuczywa i wrywać z rąk noże. Lewa, okaleczona ręka Harana, którą kiedyś spryskał stężony *braazatal*, nie przypominała już zwykłego ludzkiego ciała. Ani żadnego innego. Ale za to rozpostarł się przed nią wachlarz uroczych technik bojowych. Przede wszystkim wspaniale wchłaniała żar.

Wódz Koszul zamachnął się krótkim toporkiem. Za wolno. Wystarczyło ucapić go za nadgarstek, parząc. Herszt zawył gdy skleiły, przeniknęły się tkanki. Wypuścił broń. Haran wybił mu zęby i rozpruł efektownie policzek, ale nie to było jego celem. Przede wszystkim pragnął zasięgnąć języka. Złapał wodza za śliski, zeszywniały jeźor, zaskakując jego ludzi bardziej, niż gdyby dobył noża. Mężczyzna chwycił oburącz jego ramię, a

Haran poderwał go od stołu, rozrzucając naczynia i dzbany.

Najprzytomniejszy z ochroniarzy uderzył chłopaka w łokieć, cios obliczony był na ból i paraliż kończyny, a nie zgruchotanie stawu. Błąd. Łokcie Harana miały wrażliwość drewnianych pniaków i adekwatną twardość. Najlepiej było je łamać, lecz do tego potrzebny był łom.

Zrewanżował się, łapiąc faceta za nozdrza i wprawiając jego ciało w gwałtowny i zgubny dla niego ruch. To był Anioł, lecz ksywka, którą go obdarzył, właśnie przestała pasować.

A potem pogasił kolejne pochodnie.

Gdy już było po wszystkim, znalazł herszta i ocucił go. Ochroniarze w większości zginęli, w ciemnościach byli bardzo powolni. Zabijanie ich było jak zabijanie dzieci - dużo krzyku, niewiele satysfakcji.

Haran, którego słońce raziło nawet przez mgłę i który preferował księżyc, nie musiał przyzwyczajać wzroku, a cenne sekundy przewagi przeznaczył na walkę.

- Po raz drugi proponuję ci życie. Wciąż myślisz, że to była niedobra oferta? - zagadnął, puszczając spuchnięty język tamtego.

Gruby upadł na blat, ohydny ochłap mięsa, który kiedyś miał tak wiele do powiedzenia. Przemoc uczy pokory, pomyślał barbarzyńca. A życie jest kurewsko nietrwale. Jedyne, na co możemy liczyć, to by okazało się trwalsze od życia innych.

- Powiesz swoim mocodawcom, że Tennok znikł. Bo to prawda - mruknął.

Wytarł ręce o rękaw herszta i podał kwilącemu mężczyźnie ocalały ze zniszczeń dzban *pulque*. Oferta pozostawała aktualna, Koszule odpierdolał się i zachowają skórę - swoją i swoich ofiar. Nie oczekiwał natychmiastowej odpowiedzi, ale spodziewał się niechętnego szacunku. A potem zabrał swojego pana do domu.

*

Następnego ranka obudził go ryk szlachtowanego jelenia albo innego bydłęcia. Czasami myśliwi sprowadzali do miasta żywą zwierzynę, by dogodzić podniebieniom bogatych smakoszy.

Haran jęknął, daremnie czepiając się ulatującego snu. Było już jasno, a niebo różowiło się jak pióra flaminga. Ohyda. Zajrzał do szopy i zorientował się, że posłanie Tennoka jest puste. Zdziwił się, paniątko nie wyglądało na rannego ptaszka. A może nie mógł zasnąć na trzeźwo? Haran zastał go siedzącego na murze, zapatrzonego we wschodzące słońce.

- Lepiej uważaj, od tego można oślepnąć - przestrzegł.

Książę wzruszył chudymi ramionami. Dopiero teraz Haran dostrzegł, jak bardzo był wynędzniały. To głupie, pomyślał. Ludzie codziennie umierają z głodu albo z lęku przed głodem robią głupie rzeczy, jak Pęcherz. A ten rozpieszczony gnojek nie najada się z własnej woli.

- W Calmecac Jaguarów dostalibyśmy porządne śniadanie. Tutaj najwyżej dostaniemy w łeb - rzucił, rozglądając się z niepokojem po podwórzcu. Znowu nie przygotował kamuflażu i jego szarawa karnacja biła w oczy.

Tennok w dalszym ciągu gapił się na słońce, jego twarz była ściągnięta udręką, wstydem i jakąś potworną tęsknotą.

- My, Kruzowie, jesteśmy Narodem Słońca. Mamy nim być. Tylko po to przychodzimy na świat. Zdobywamy na wrogach Drogocenną Wodę, poimy Głodne Słońce, odwlekamy zwycięstwo ciemności. Bez nas bogowie przepadną - wyrecytował Tennok, zaciskając pięści. Haran wzruszył ramionami. Jak dla niego, ciemności już dawno wygrały. - Ale jak mam im w tym dopomóc, skoro dali mi serce tchórza? Na widok kropelki Wody słabnę jak mała dziewczynka. I nie mów mi, że to bezwarunkowe odruchy, które dają znać u każdego!

Haran podrapał się po głowie. Nie znał słowa „bezwarunkowy”, ale w ponurym głosie Tennoka po raz pierwszy usłyszał tyle udręki. Nie sądził nawet, że wychuchane książątka mogło być do niej zdolne. Widząc, że nie zanoszą się na to, żeby jego młody pan zszedł, podciągnął się i usadowił na murku. Poklepał go po ramieniu.

- Na pewno nie jest tak źle. Ojciec zawsze powtarzał mi, że tylko głupcy niczego się nie boją. To nie hańba - pocieszył księcia.

- Tak? A rzygał na widok krwi?

- Nie pytałem. Ale wiem, że wymiotował po *pulque*. Przestań biadolić - zachichotał Haran.

Tennok spojrział na niego wściekle.

- Nie jestem przyzwyczajony, żeby zwracano się do mnie w ten sposób. Jesteś moim *ursem*, nie matką! - zawołał piskliwie.

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić - rzekł sentencjonalnie Haran, oglądając dłonie. Coś na ten temat wiedział, a ból uszkodzonych kości nie pozwalał mu o tym zapomnieć.

Lewa dłoń bolała go zawsze od czasu, gdy plunął na niego *mo'qun*. Na szczęście pamiątka po *braazatalu* miała też dobre strony. Jego rany goiły się szybciej i nigdy nie lęgło się w nich robactwo. Teraz dodatkowo obił sobie paluch prawej na czaszce kolesia w masce. Musieli polatać go kamieniami i brązem, trudno było roztrzaskać mu łeb.

Książę zeskoczył z murku. Z twarzą trupa, któremu zbiera się na pawia, zbliżył się do pniaka, gdzie rzeźnicy zabierali się do szlachtowania jelonka. Haran ruszył w ślad za nim. „I po co te nerwy? Twarz ma bielszą niż ja. Biedny dzieciak”.

Tennok stanął przy rzeźnikach, wpatrzony w zwierzę szamoczące się przy palikach. Jeden z mężczyzn zamachnął się, jasna krew popłynęła na ziemię. I nie tylko ona. Książę zzieleniał i osunął się miękko. Haran ukłęknał przy nim, nie mogąc ukryć zdziwienia. Poklepał go po policzku. Tennok otworzył oczy i uśmiechnął się szyderczo.

- Nadal myślisz, że Jaguarowie czekają na kogoś takiego jak ja? Jak już robić z siebie pośmiewisko, to od razu przed całym imperium, nie?

- Nadal tak myślę. Myślisz, że *tlatoani*, ot tak, zapomni o zakładniku z Yugal? A twój ojciec? Gniew króla spadnie na twoją rodzinę - ciągnął Druazzi.

Na wzmiankę o Maczuraiu Tennok skrzywił się, jakby ukąsił go podstępny owad.

- Walić go - pisnął.

- Nie będzie łatwo. To potężny człowiek. A teraz do naszych wrogów dołączył jeszcze Szurukan. Czerwone Koszule to jego patriotyczna bojówka. I rozkazał im, by dostarczyli mu ciebie.

Tennok ponownie zzieleniał. Barbarzyńca w zadumie potrząsnął grzywą. Właściwie to był zadowolony. Godny wróg to powód do dumy.

- Tylko jeden człowiek nie boi się Czerwonego Kapłana. Wiesz, o kim mówię, książę?

Tennok skrzywił się, jakby ktoś podarował mu żabę duszoną w occie.

- Quinatzin. A Jaguarowie stoją po jego stronie. - Książę pokiwał rozczochną, bardzo nieschludną głową. W jego oczach pojawiła się rezygnacja.

- Dobra. Każdy musi wychylić swoją czarę. Uraczyć się szczyną losu. Odpowiedzialność, obowiązek, mundur. Racja stanu i stanika. Prowadź do tych cholernych koszar.

Rozdział 21

Leyre przechadzała się kruzgankami wewnętrznego dziedzińca królewskiego pałacu w Grani. Architektura tego miejsca zdradzała wpływy Białoskórych. Arkady i kolumnienki zdobił subtelny liściasty wzór, przedstawiający egzotyczną, zamorską roślinę, której nazwa zniknęła w pomroce dziejów. Podobno robiono z niej wino, podobne do trunku uzyskiwanego z liści palmy. Ornamenty robiły wrażenie pochodzących z innego świata. I może rzeczywiście tym były, w końcu nikt -ani uczeni, ani kapłani - nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, dokąd odeszli Białoskórzy. Nawet jej ojciec nie znał odpowiedzi na to pytanie, choć kiedyś, gdy jako mała dziewczynka zaczytywała się w kronikach pełnych opisów ich starożytnych tryumfów, wyznał Leyre coś niepokojącego.

- Gdyby mieli powrócić i nas pomścić, zrobiliby to dawno temu - mruknął.

Potem unikał tego drażliwego tematu, w końcu wiara w powrót Dobroczyńców była częścią oficjalnej religii Grani.

Z zamyślenia wyrwało ją głośnie chrząknięcie. Dworzanin, układny, młody i gładki, dawał jej mało dyskretne znaki, stojąc przy wielkiej fontannie. Ellatzin chepił się swoją zręcznością, ale zdaniem królowej był głupcem. Jednak Leyre ceniła go za przewidywalność. Uwodzicielskie sygnały, które niekiedy mu posyłała, lechtwały próżność młodego fircyka i zaskarbiały jej jego lojalność.

Leyre zbliżyła się, wciąż udając, że kontynuuje przechadzkę. Mijając go, upuściła chusteczkę. Ellatzin podniósł ją i wręczył Leyre z głupawym uśmiechem, który mógł być elementem maskarady, choć wcale nie musiał.

- Zgodził się. Papan nareszcie się zgodził - szepnęła. - Myfosso odwołał się do jego sumienia. Powiedział królowi, że wiedniesz z nudów w pałacu, a odkąd blokada została uszczelniona, nie

masz już żadnych rozrywek, gości, zabawek ani książek. Weźmiesz więc udział w spotkaniu z tikalskim posłem.

*

Papan nie robił wrażenia zaniepokojonego jej obecnością w sali audiencyjnej. Zamyślony i odrobinę znudzony, przyglądał jej się wzrokiem sytego kota, który zjadł już za dużo słoninki. Leyre z trudem ukrywała przed nim ekscytację. Zgodził się! Negocjacje z bogatym, kupieckim państwem, będącym najważniejszym sojusznikiem Tlaszkali, zawsze były skomplikowane i wymagały delikatności. Dlatego jej mąż wolał je prowadzić osobiście.

- Poseł z Wielkiego Tikal już czeka - oznajmił strażnik.

- Niech wejdzie - rozkazała Leyre.

Był to krępy mężczyzna o prostym, majańskim nosie i rozbieganym spojrzeniu. Leyre słyszała, że bogate rody Tikal starożytnym zwyczajem deformują swoim oseskom nosy, nadając im pożądany kształt. Zdeformowany wydał jej się także chód mężczyzny, namaszczony, przesadnie ostrożny-Gdy stąpał, wysoki filcowy kapelusz kołysał się nad nim jak grzyb. Po każdym roku służby urzędnicy państwowi mieli prawo dodać do niego jeden „słój”. Z takim trofeum na głowie człowiek musi być opanowany. Złośliwi Tikalczycy żartowali, że miało to i funkcje praktyczne. Dzięki kapeluszom dygnitarze byli łatwi do zlokalizowania i powolni w ucieczce ze skradzionymi pieniędzmi.

Poseł ruszył do tronu i zgiął się w kunsztownym ukłonie, przytrzymując chybotliwe okrycie głowy. To było naprawdę coś. Tikalczycy przywiązywali ogromną wagę do form. W porównaniu z ich wyrafinowanymi miastami oblężona Tlaszkala była wielkim obozem wojskowym, obsadzonym przez nieokrzesanych prostaków. Leyre marzyła o tym, by kiedyś odwiedzić stolicę Federacji, bajecznie bogate Tikal, słynące z uniwersytetów i sklepów, akweduktów, teatrów i łaźni. Tikalczycy byli wolnomyślicielami. Tolerowali Białoskórych, a ich starożytne, sięgające czasów sprzed Kłątwy miasta-państwa nie toczyły ze sobą wojen, wypracowawszy wiele kulturalnych

namiastek rzezi.

Najważniejszą z nich była gra w odbijaną biodrami kauczukową piłkę, ceniono też rozmaite astrologiczne loterie i wszelkie formy hazardu. Cudzoziemców najbardziej dziwiła specyficzna dla tamtej kultury rywalizacja na wystawne, nierzadko rujnujące gospodarzy uczty, na które miasta-państwa spraszały tysiące gości. Z perspektywy zmilitaryzowanej Tlaskali było to śmieszne, ale Leyre słyszała o miastach, które naprawdę upadły, zastawiając się na uroczystości.

Federacja była bogata, cyniczna i kosmopolityczna. Jedyne elita miast-państw uważała się za obywateli, potomków starożytnych Maya. Resztę mieszkańców stanowili pracownicy najemni ze wszystkich zakątków świata. Pola uprawiali niewolnicy, nie istniała zaś kasta średniego chłopstwa, która w innych krajach najchętniej podejmowała zaborcze wojny o ziemię. Rezultatem była militarna powściągliwość. Tikal polegało na najemnikach i choć wszczynало wojny w obronie interesów handlowych, zwykle zabiegało o pokój. Bogactwo, błyskotliwość i sytość miały poważną konsekwencję: w tym kraju szczęśliwych ludzi nikomu nie chciało się walczyć.

- W imieniu Wielkiego Tikal pragnę zapewnić dumną Tlaskalę o naszej wiecznotrwałej przyjaźni - oznajmił poseł, gdy już wyprostował się po ceremonialnym ukłonie.

Niewolnicy złożyli przed tronem dary: naręcza drogocennych piór, worki z kakao i zapieczętowane dzbany rzadkich narkotyków, pozyskiwanych w dżunglach Kontynentu Południowego. Papan łaskawie skinął posłowi głową.

- Nasza przyjaźń pozostanie bez zmian. Przekaż swym przełożonym, że transport metalu Białoskórych zostanie...

- Co z dostawami kukurydzy? - Leyre weszła mu w słowo.

Papan zmarszczył brwi, poseł poruszył się, zakłopotany.

- Pragnę zauważyć, że po ostatniej kampanii... granica została odcięta przez Kruzów.

- I dlatego zamiast ziarna przywozisz nam pióra? Przydałby się przepis, jak je najlepiej przyrządzić.

Posel zacerwienil się i poslal Papanowi urazone spojrzeenie.

- Jeżeli powątpiewasz w nasze najlepsze intencje, *khe... khe...*

- Ależ rozwiej te wątpliwości, drogi pośle. Tak przy okazji, nazywasz się Kirkuk, prawda? Kiedyś sam handlowałeś ziarnem. Nie wierzę, że nie wiesz, jak je przemyścić przez góry.

- Być może... zbyt pochopnie daliśmy za wygraną, pani. - Poseł wziął się w garść. W jego oczach niechęć sąsiadowała z niechętnym szacunkiem. Papan nie dostarczał im takich wrażeń.

- A teraz najważniejsze. Obawiamy się, że nie będziecie w stanie się wywiązać ze zobowiązań sojusznicznych. Przypominam ci, że wasze armie muszą być gotowe do działań przeciwko Kruzom.

Poseł poruszył się niespokojnie i pokręcił głową, jakby wypatrywał podsłuchujących uszu. Kapelusz zakołysał się niebezpiecznie, mężczyzna musiał przytrzymać go pulchną dłonią. Leyre uśmiechnęła się słodko.

- Ależ pani...

- Królowo - poprawiła go Leyre.

- Królowo, na mocy postanowień rozejmu zapłaciliśmy Kruzom rujnąjącą kontrybucję. Musieliśmy też rozpuścić większość wojsk.

- Znam mechanizm waszej maszyny wojennej. Niech myślą, że zbankrutowaliście. Wy tymczasem powinniście zbierać fundusze na zaciąg. Na mój rozkaz zgromadzicie najemników.

Poseł wyprostował się. Leyre uprzedziła jego protest.

- Sami ocenicie, czy moment do podjęcia walki jest słuszny. Zaręczam ci, że będziecie zdziwieni. Nie chcielibyście raz a dobrze pozbyć się kłopotu z Przymierzem?

Poseł zamierzał coś powiedzieć, lecz urwał i tylko wpatrywał się w nie\ posepnie. Przy całym bogactwie i rozległym terytorium Wielkie Tikal potrzebowało Tlaszkali i jej bitnych, zdeterminowanych obrońców. Ostatnia wojna udowodniła, że gdyby nie zagrożenie z Ilaszkali, pułki Kruzów już dawno podbiłyby całe Tikal.

- Główny atak skupi się na nas, wiesz to. Quinatzin nas nienawidzi. Wasze wystąpienie będzie miało na celu zawiązanie części jego sił. Przełamanie zostawcie nam. Tylko tyle oczekuję od tikalskiego męstwa.

- Ale odwet! - Poseł zapomniał się i nerwowo wycelował w nią palec. Strach w jego głosie niebezpiecznie graniczył z paniką. Zmarszczki na czole i rozbiegane oczy wskazywały, że gorączkowo kalkuluje. Ile Quinatzin dałby im za informację, że Tlaskala szykuje coś dużego?

- Jeżeli wszystko się uda, raz na zawsze zażegnamy groźbę ze strony Krwiopijców. Oczywiście możecie nas zdradzić. Quinatzin rozsierdzi się i przestraszy. Pomyśli nad zmianą planów. Jak myślisz, kogo będzie mu łatwiej zniszczyć? Naszą twierdzą czy wasze kramiki? Obawiam się, że składy bogactw skuszą go prędzej niż najeżone pułapkami wąwozy.

Ucięła jego gadaninę stanowczym gestem. Poseł oddalił się w ukłonach. Papan patrzył na nią zbyt zdumiony, żeby okazać gniew.

- Mógłbym wiedzieć, co ty najlepszego wyrabiasz?

- Nazywają to polityką, mężu.

- Za mego panowania nie rozmawialiśmy z sojusznikami w ten sposób.

- Może właśnie dlatego giniemy - zauważyła Leyre.

- Wciąż wierzysz w plan, który przedłożyłaś Radzie?

- Tylko to nas ocali, mężu.

- Nawet jeśli to twoje szaleństwo się uda, co wtedy? Nasze wojska opuszczą dolinę? Wyruszysz na Miasto Trzcina?

- A czemu nie? Nie widzisz tej sposobności? Aż tak zaślepilo cię bycie ofiarą?

Papan powstrzymał ją, gniewem maskując bezsilność.

- Nie takim królem miałem być. Przysiągłem, że przyniosę Tlaskali pokój!

- Pamiętam twoją wizję. Kiedyś, za sto lat, ktoś zapisze ją i doda do księgi bajek. Dla dzieci będzie w sam raz! - wypaliła Leyre.

Papan poderwał się. Myślała, że ją uderzy, ale królewski małżonek, zrezygnowany, bezsilnie osunął się na tron. Mebel był miękki i wygodny. Leyre osobiście zadbała o to, by tapicer wymościł go nowymi poduszkami.

Tlaskala tolerowała wyznawców Martwego Boga, popularnego zwłaszcza wśród starej arystokracji. Nie znaczyło to jednak, że zamorski kult zdominował kulturę krainy. Większość mieszkańców pozostała wierna religii przodków, która poza interpretacją niektórych historycznych wydarzeń, nie odbiegała od wyznania Meszików. Tyle tylko że Tlaskalanie prześlągiwali bóstwa własną krwią, nie wykrwawiali jeńców.

Myfosso, Najwyższy Kapłan, nie przepadał za ofiarami i bólem. Będąc jednak człowiekiem sumiennym i pragmatycznym, wykształcił w sobie nawyk regularnego upuszczania krwi. Mechanizmy ewolucyjne faworyzowały go, przynajmniej na polu rywalizacji o zaszczytne godności kapłańskie. Był masywnym, umięśnionym mężczyzną o ciężkich, opadających powiekach. Miał więc mnóstwo ciała do przebijania i rzeki krwi do upuszczania, poił zatem bogów hojnie.

Wieczorny obrzęd różnił się od teatralnych, zbiorowych ceremonii, pełnych uniesienia i wrzasków. Miał w sobie coś bardzo intymnego, nieledwie erotycznego. Myfosso z przyjemnością patrzył, jak strzykająca z płatka ucha krew napełnia jadeitową miseczkę.

Nie należał do osób przesadnie religijnych, co nie jest zresztą wskazane w żadnym kulcie, zwłaszcza na kierowniczych stanowiskach. Fanatycy i zeloci sprawiali same kłopoty. Myfosso był dopóty przywiązany do bogów, dopóki uosabiali jego pozycję społeczną i jego spokój, kojącą rutynę rytuałów, modlitw i postów. No, postów w miarę możliwości unikał. Dziś jego myśli zaprzętała kłótnia królewskiej pary. Papan był chwiejnym i histerycznym idiotą, co czyniło go idealnym monarchą dla kapłanów, lecz niekoniecznie idealnym mężem. Jeżeli sprawy nie pójną w dobrym kierunku...

- Strasznie się opierdalasz, Myf - oznajmił słumiony głos.

Kapłan podskoczył, przewracając miseczkę z ofiarą.

Marnotrawstwo wzbudziło w nim gniew.

- Kim jesteś? - zapiszczał, desperacko szarpiąc bawełniany sznur przyzywający eskortę.

Niestety, linka została mu w ręku. Myfosso zamarł i nie poruszył się, aż intruz wyłonił się wreszcie z mroku. Bawił się obsydianowym nożem. Kapłan znał go, co nie przyniosło mu ulgi.

- To ty. Jak mogę ci pomóc, synu - zaćwierkał, uśmiechając się łagodnie.

Szaratanga podrzucił nóż i zbliżył się, rozmazując wylaną krew na kamiennej posadzce.

- I to ma być ofiara? Bogowie dadzą nam popalić, jeżeli nasi kapłani aż tak się nie przykładają.

- Czego chcesz? - Myfosso darował już sobie syna.

Szar zacmokał i pomachał mu przed nosem arkuszem drogiego papieru.

- O, to kwestia raptem kilku podpisów. Cała Rada musi się zgodzić na wyekwipowanie i wzmocnienie mojej armii - głos Szara był tak obojętny, jakby kupował warzywa.

- Nie mogę tego zrobić. Decyzja nie należy do mnie - zakwiczal kapłan.

Szaratanga z troską pokręcił głową.

- Nie lubisz mnie od tamtego incydentu z jeńcami. Wciąż pamiętasz, że wtedy ich wypuściłem - poskarżył się.

W oczach zwierzchnika świątyni zamigotała uraza.

- Nie oddałeś pojmanych wrogów Świątyni. Jakim prawem? - pisk Myfosso był dziewczęcy i prosiący jednocześnie. W sumie raczej irytujący.

- Nie zrobiłem tego z litości i dobroci serca. Brakowało jedzenia, a połowa z tych nieszczęśników była chora. Przyszło wam kiedyś do głowy, że Kruzowie tylko marzą o wywołaniu tu wielkiej zarazy?

- Nie będziesz mnie uczył moralności. Zapomnij o moim podpisie! - wrzask Myfossa mógłby obalać mury, ale na razie skruszył tylko opanowanie Szara, który doskoczył i oderznął mu prawe ucho.

Kapłan zatoczył się, wyjąc, a krew buchnęła z rany, ochlapując ściany i sufit. Szaratanga zrobił krok w tył i przyjrzał się krytycznie swemu dziełu. Prawa połowa szaty Myfossy była bardziej zakrwawiona niż lewa. W czerwieni i bieli wygląd jak

chodzący sztandar Tlaszkali.

- W odciętym uchu jest coś bardzo malarskiego, wiesz?
- Ty chuju... zgnijesz w lochu...

- Najpierw podpis, chyba że pragniesz ofiarować bogom także kutasa i jaja. Jestem pewien, że złamałoby to serce niejednego młodego kleryka - szepnęła Szar i z obrzydzeniem uniósł w dwóch palcach ucho. - A tak w ogóle, powinienes się częściej myć.

*

Generał Osappa stacjonował w obozie nieopodal Grani, przygotowując najlepsze pułki do wymarszu na front. Z natury był człowiekiem czujnym i podejrzliwym. Nigdy nie zwalniał ze służby strażników. Pod koniec pracowitego dnia zawsze upewniał się, że przed wejściem do jego namiotu stoją uważne sylwetki. Historia uczyła, że nóż zamachowca mógł osiągnąć ważnego człowieka wszędzie. Zwłaszcza w obozie wojskowym, gdzie nie brakuje ostrzy i ludzi, którzy potrafią nimi władać.

Zaburezało mu w brzuchu. Osappa był kościstym, zasuszonym mężczyzną, który bardzo niewiele wydalął, zarówno odchodów, jak i emocji i słów. Nie rozładowywał napięcia. Organizm odpłacał mu wrzodami żołądka, ale nawet one były powściągliwe.

Generał zzuł sandały i wyciągnął się na materacu, który był twardy i niewygodny. Po co człowiek zostaje generałem, jeżeli nie może się porządnie wyspać? Ale w Tlaszkali od dawna brakowało wszystkiego, w tym także bawełny na materace. Jeżeli kampania w Tikal nie powiedzie się i Kruzowie uporają się z ich pożałowania godnym sojusznikiem, zabraknie nawet ziarna, fasoli i kukurydzy.

Osappa traktował swoją misję poważnie. Właśnie dlatego zostawił temu oszustowi Szaratandze najgorsze ochłapy. Nie lubił go za efekciarstwo i niepotrzebną brawurę oraz za to, że w młodym wieku przyćmiewał lepszych od siebie. Ludzi Powściągliwych i skromnych, skupionych na dobrej robocie, a nie na powierzchownej sławie. Chuj ci w dupę, pomyślał.

Bohaterska sława musi ci teraz wystarczyć, parsknął, zagłuszając świerszcze.

Gdy przestał się śmiać, zorientował się, że świerszcze nie podjęły koncertu. Bezszelestnie spelzł z łóżka i z trudem powstrzymał lęk, gdy jego stopa plusnęła w zimnym nocniku. Jeżeli już masz wdepnąć w gówno, to najlepiej własne, odpowiedział mu wewnętrzny głos, w którym z trudem rozpoznał maskowaną panikę. Na szczęście przed namiotem nadal stał jego ochroniarz. Generał zlecał tę służbę garstce najbardziej zaufanych żołnierzy, ten tam to był chyba Szypul, małowówny, zwalisty gość, świetny w miotaniu oszczepów. Generał zbliżył się do niego i spostrzegł, że ochroniarz wygląda jakoś inaczej. Biedak wyraźnie schudł. Jakby to nie był...

Uderzenie w kręgosłup odebrało mu dech, drętwiejące dało ledwo odczuło kolejne puknięcia. Napastnik uderzał końcówkami palców, wygrywając na Osappie jakąś morderczą melodię. Jego ciało zwiotczało, kompozycja zakończyła się efektywnym omdleniem. Ocknął się w końcu, ale jakby połowicznie. Nie czuł własnego ciała, które - i to było najgorsze - znajdowało się na zewnątrz niego.

Mógł tylko patrzeć, jak zwinna sylwetka w czerni dźga sztyletem wyciągniętą na łóżku kościstą sylwetkę w mundurze. Trysnęła krew, mnóstwo krwi. Osappa poczuł strach i zaczął się modlić. Uznał, że już nie żyje, a jego pośmiertna kara obejmuje oglądanie własnej bolesnej śmierci. Ciekawe, który to bóg, pomyślał, a wtedy człowiek z nożem kucnął przed nim i uderzył go w węzeł chłonny na szyi. Dopiero wtedy zdjął maskę.

- Szar! - wychrypiał generał, nareszcie odzyskując mowę.

Zdrajca złapał go za gardło i zacisnął palce.

- Nie zamierzam cię zabić, Osappo, ale nie pozwolę ci krzyczeć. Morda w kubek.

- Czego chcesz?

- Prosić cię o przysługę. A ponieważ nie zwykłeś czynić nic bezinteresownie, pozwoliłem sobie przygotować tę małą... prezentację.

- Ja żyję... w takim razie kto...? - Generał zadławił się własnym bełkotem i wymierzył drżącą dłoń w stronę

broczącego na posłaniu trupa.

Szar zachichotał i efektownym gestem zerwał z ciała koc, odsłaniając zwinięty w ludzki kształt drugi koc i rybie pęcherze z krwią.

- Chciałem ci dać do myślenia. Nadal uważasz, że twoja obstawa zdoła uchronić cię przed tym? - Pomachał mu nożem przed nosem.

Osappa ponuro pokręcił głową.

- Zrób to, a będziesz ściganym człowiekiem

- Naprawdę? Przecież nikt nie wie, że tu jestem. Nikt mnie nie widział. Co więcej, nie wiesz, którzy z twoich ludzi dali się uciszyć i obezwładnić, a którzy zgodzili się przymknąć oko. To rzeczywiście chujnia. Ćwiczyłeś ich długie lata, a oni dali się podejść. I ani jeden nie oddał za ciebie życia.

- To spisek wymierzony w państwo! Zapłacisz głową!

- Nie sądzę. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuje królestwo, jest proces jej najwierniejszej tarczy.

Generał wtulił rozczochraną głowę w ramiona. Co racja, to racja.

- Ba, ty sam, będąc patriotą, nie masz ochoty na taki krok. I nie chcesz osłabiać kraju. Dlatego zrobisz, co ci każę. I może nikt nie zginie.

- Mów.

- Twoje życie kosztować cię będzie pięć setek wyszkolonych i wyekwipowanych żołnierzy. Nie chcę twoich najlepszych wiarusów, nie mam ochoty na bunt. Ale niech nie będą zieloni jak trawa. Reszta moich sił ma także otrzymać wszelką pomoc i zaopatrzenie.

- A jeśli się nie zgodzę? - Osappie zależało już tylko na ocaleniu odrobiny godności.

- Wtedy koszmar - Szaratanga objął gestem namiot i krwawy bałagan na łóżku - brutalnie zamieni się w jawę.

Rozdział 22

Citlali była wykończona. Jej trening u Tysiąca Oczu okazał się morderczy i czasochłonny. Od ćwiczenia przetoczeń i padów bolała ją każda kosteczka. Na szczęście miała mnóstwo czasu. Teraz, gdy zaczęła naginać zasady dworu, wymykać się z pałacu i beczelnie odsypiać nocne wyprawy, odkrywała, że poza Myskanto i matką nikogo tak naprawdę nie obchodzi.

Patrząc na swoją wdzięczną się rutynowo matkę, coraz jaśniej zdawała sobie sprawę, że dwór hodował ją jak sezonowy kwiatek i głupiutkiego motylka, jak jednodniową jętkę. Igraszkę dla starców. Wkurzało ją to, ale gniew dodawał sił. Miała swoją sekretną taktykę.

Nie była typem dworskiej ślicznotki. Miała duże piersi i twarz... hm, egzotyczna było określeniem, które najczęściej słyszała. Ale miała też silne uda biegaczki i bary szersze ; od niejednego dworskiego fircyka. Kruzowie, którzy przy całym blichtrze wciąż pamiętali o swej koczowniczej przeszłości, okazywali przesadny, zabarwiony hipokryzją wstręt dla takich barbarzyńskich przymiotów. A Citlali miała ich naprawdę sporo.

Zęby, może białe i zdrowe, ale wielkie jak jakieś łopaty. Jej oczy i rzęsy mogły uchodzić za piękne, starała się ich jednak nie pokazywać. Na lewym policzku nosiła kropkowany tatuaż Osanków, który nadawał jej dziki, odpychający wygląd. Po żmudnych staraniach i obserwacjach przeprowadzonych w tawernach nauczyła się chodzić jak żeglarz. Szeroki, posuwisty krok dobrze się komponował ze spluwaniem i gromkim, rubasznym rechotem. Ćwiczyła go w pocie czoła, przysłuchując się pogaduszkom tragarzy, szulerów i dziwek. Maskowała też piersi specjalnym bandażem, choć rosły jak utrapienie. Ale nie dla psa kiełbasa.

Teraz, kiedy skontaktowali się z nią Tysiąc Oczu, miała już co

do tego pewność. Nie stanie się zabawką głupców z pałacu. Nie zagospodarują jej.

Na razie trenowała. Wspinaczkę i duszenie, stąpanie po skrzypiących podłogach. Szermierkę i trucicielstwo, heraldykę i język migowy. A także trudniejsze rzeczy. bycie niepozorną i bezszelestną, uważną i nierzucającą się w oczy. Najważniejszy okazał się seks. Umiejętność uwodzenia jako zmysłowa piękność i tajemnicza, fascynująca kobieta. Umiejętność uwodzenia jako niewinna gąska z prowincji albo jako słodka idiotka. Stopniowo dochodziła do wniosku, że mężczyźni nigdy nie trzymają w ramionach prawdziwej kobiety, że każdy spółkuje z urojonym widmem. Raz spytała swoją mistrzynię, znużoną kokotę o ciężkim spojrzeniu, czy istnieje technika wkurwionej brzyduli. Nagrodą był rechot, łyk wina i słodkie ciasteczko.

Robiła szybkie postępy, ale nie była tym wcale zdziwiona. Citali miała kompleksy, ale łączyły się one z wysoką samoocena. Był w niej też narcyzm, a jakże. Ten, który tylko czeka, by ujawnić się i szepnąć uwodzicielskim szeptem: „A nie mówiłem? Jesteś najpiękniejsza i to tylko kwestia czasu, żeby dostrzegli to inni”.

W głębi serca zawsze spodziewała się wyróżnienia, czując, że jej los nie może być kreślony szarą kredą, że to ścieżka barwna jak skrzydła kolibra.

*

Po kilku tygodniach postanowiła troszeczkę odsapnąć, procesja Tezcatlipoki i doroczna śmierć jego Wcielenia zawsze była jej ulubionym dniem w roku. Lubiła kuszący dramatyzm tego święta, w którym tryumf i klęska splotały się w jeden tragiczny węzeł.

Citali przechadzała się w tłumie ze zmarszczonym czołem, co chwila pociągając nosem. Niestety, trening robił swoje i tłumne ulice były mniej pociągające niż kiedyś. Przenikliwość okazała się przykra. Czuła więcej smrodów i czytała więcej emocji, co często budziło to samo uczucie przykrości.

Powtarzalność tych namiętności: strachu, żądzy i gniewu,

było przytłaczająca. Nie chciała na to patrzeć. Nie chciała oglądać dziwek, które właśnie okradły siwego, przykurzonego tragarza, który na moment, pijany jak bydlę, umknął jarzmu codziennej harówki. Ani żony strzygącej oczami do kochanka pod nosem własnego męża. Jeżeli takim widzi świat czeladnik jej niecnego bractwa, to co musi oglądać mistrz?

Spostrzegła, że obserwuje ją chłopak w mundurze kadeta. Korpus Jaguarów. Citali skrzywiła się odruchowo. Jaguarowie nie byli szanowaną jednostką, a typ robił wrażenie niedojdy, co gorsza, niedojdy pełnej pretensji. Zaciskał szczęki, zażawione oczy spoglądały z góry na świat z jakimś niejasnym, zamglonym wyrzutem. Wyglądał jak sokół krótkowidz. Te pretensje zahaczały też o nią; chłopak wpatrywał się w nią chciwie i pokrzepiał się, obgryzając paznokcie. Na pewno nikt nie wybrałby go na symbol Tezcatlipoki, Pana Wojny.

Biedacek miał ładną, delikatną twarz, zupełnie nie w jej typie. Citali preferowała wyraziste i męskie rysy, najlepiej zdobione bliznami. Zwróciła jednak uwagę, że miał też inteligentne oczy i wypisane na twarzy wrażliwość, upór i dumę. Dzieciak. Ale w sumie to już coś. Młodzi szlachcice na dworze nie uznawali jedynie arogancji - mieli jej zdecydowanie w nadmiarze.

Gdy chłopak poczuł na sobie jej spojrzenie, udał, że patrzy gdzie indziej, ściśle mówiąc, na grupkę kobiet odprowadzających dzieci ze szkoły. Parsknęła śmiechem, biedak zaczerwienił się jeszcze bardziej, ale w wziął się w garść i spojrzął na Citali wyzywająco. Po chwili zorientowała się, że on wciąż za nią idzie. Tak niezdarnego „ogona” nie sposób przegapić. W dodatku wraz z nim kroczył naprawdę dziwny *urs*. Miał dziwną, szarą twarz, niepodobną do żadnej, taką Citali widziała. Takich dryblasów nieczęsto się spotykało, nawet wśród rosłych Zabójców Gwiazd.

*

Od pierwszego spojrzenia. Nie istnieje zwrot bardziej wyświechtany, nadużywany i bezczelnie fałszowany przez poetów i uwodzicielskich nicponi żyjących z naiwności kobiet.

Mimo to ludziom, którym taka miłość naprawdę przypadła w udziale, wcale nie bywa do śmiechu.

Od chwili, gdy ją zobaczył, Tennok nie zwracał już uwagi na nic poza swoją boginią. Podziwiał sposób, w jaki odgarniała włosy oraz bezwiedny ruch nerwowych dłoni, gdy myślała o czymś z czołem przeciętym zjawiskową zmarszczką. Nie wybrzydzał, zachwycał się wszystkim jak leci.

W końcu go zauważyła, jej wzrok przemknął po nim obojętnie, jakby hołdy plebsu nic dla niej nie znaczyły, i zatrzymał się na idącej krok w krok za Tennokiem postaci.

Barbarzyńca był tak wybujały, że nawet obrzucenie go lustrującym spojrzeniem zajmowało trochę czasu. Po dłuższej chwili uśmiechnęła się lekko, odwróciła ciemnowłosą główkę i obdarowała ich widokiem egzotycznego profilu. Jakiś miody, podpity wojownik skoczył do niej, wirując w tańcu, a w dłoni trzymając puchar konopnego piwa. Powiedziała mu coś, od czego uniósł się na moment i czmychnął, z twarzą czerwoną ze wstydu. Tennok przełknął ślinę i zanurkował w decyzję jak topielec w głęboką strugę.

Tylko co ja jej powiem? No co? Zapytam, czy szuka dziś towarzystwa? A co, jeśli nie?

Kiedy otworzył oczy, dziewczyna zniknęła, oddzielona korowodem tancerzy. Księżę - teraz młody rekrut Jaguarów - nabrał powietrza w płuca i zdecydował się. Jak śmigły okręt, nagle uwolniony od kotwicy, balastu i tchórzliwego kapitana na mostku, Tennok z klanu Turkusowej Włóczni ruszył w pościg za swoją zdobyczą.

Siedziała na stopniach szerokich schodów, z kolanami podciągniętymi pod brodę, oplatając szczupłe kostki dłońmi wiotkimi jak liana. Jej piękna twarz wyrażała znużenie i irytację. Tennok z przykrością spostrzegł, że na jego widok te negatywne odczucia raczej się nie rozwiały.

- Chyba się nudzisz - zagaił z niedbałą miną światowca. Chciał, żeby to zabrzmiało, jakby on, Tennok, oferował skuteczne remedium na całe bezguście świata.

Dziewczyna spojrzała nań jak na dokuczliwego owada.

- Nudzę? Uwielbiam spocony motłoch. Rozmawiałam dziś

nawet z pijanym Taraskiem i ciekawi mnie, co będzie dalej. Niewolnik? Małpa? A może ty?

W Tennoku wezbrała fala irytacji i słusznego gniewu. Zawsze, gdy dawał upust oburzeniu, emocje niosły go zwycięskiego jak niepowstrzymana fala. Gorzej było, gdy fala opadła.

- Jestem Tennok z rodu Turkusowej Włóczni. Nie sądzę, bym zasługiwał na drwiny, pani.

Po raz pierwszy po jej twarzy przemknęło coś, co przy odrobinie dobrych chęci można by uznać za emocje niebędące pochodną odrazy. Zagryzła wargi, na jej gładkich policzkach zatańczyły zawód, znudzenie i cień. Mimo to Tennok przyglądał jej się z zachwytem. Urzekła go ta pochmurność sugestii ukrytych głębi.

- Mieszkasz w pałacu, prawda? - zagadnął i odetchnął jakby właśnie pokonał ogromną przeszkodę.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

- Może... A ty? Jesteś wojownikiem? - spytała z obojętną miną.

Zaczerwienił się.

- A co, nie wyglądam? - wychrypiął, odrzucając do tyłu przekłety kosmyk chłopiństwa, jaki musieli nosić pechowi, tchórzliwi i mało krwiożerczy mężczyźni, którzy nie pojмали dotąd jeńca. Nazywano ich pogardliwie Skąpcami, bo nie karmili bogów, albo Sitkami, bo nie umieli przynieść im Wody. Niektórzy zamożni kupcy obchodzili prawo, wykupując przywilej zmiany fryzury. Istniały też uczesania dostępne niektórym zamkniętym stanom, na przykład kapłanom. Jakkolwiek by było, każdy młody chłopak cierpiał z powodu długiej kitki, o czym wiedziały wszystkie dziewczyny.

Po chwili Tennok rozpozgodził się.

- Powiesz mi, co się tutaj dzieje? W moim mieście nie obchodzi się chyba takiego święta.

Citlali ziewnęła, wdzięcznie zasłaniając usta.

- Na pewno przybywasz z daleka...

- Urodziłem się w Yugal. Niedawno wstąpiłem do Jaguarów - pochwalił się.

Nie zrobiło to na niej wrażenia, za to Tennok zauważył, że

dziewczyna odprowadza handlarza placków wzrokiem, który wyrażał żywotne zainteresowanie.

- Może zjesz ze mną kolację? Nikogo tu nie znam a strasznie nie lubię jadać samotnie.

*

Chciała. Tennok przechadzał się z nią po wypełnionych tancerzami i muzykami ulicach. Ledwo rozumiał, co dziewczyna do niego mówi, nie wspominając o błyskotliwych odpowiedziach, uwodzeniu i słodkich słówkach. Dobrze, że się nie potykał i nie rozdziawiał ust. Kiedy już zebrał się na odwagę, żeby ją zagadnąć, nie zdążył zaplanować co dalej. Dziewczyna onieśmielała go bardziej niż służebne dziewczki w pałacu Turkusowej Włóczni.

Od czasu opuszczenia Dzielnicy Rzeźników Tennok przestał się odurzać i bardziej dbał o higienę ciała i umysłu. Teoretycznie był teraz szeregowym Jaguarem, członkiem sławnego Korpusu. Przynajmniej kiedyś, bo sława Jaguarów była jak wspomnienie urody na twarzy cuchnącej staruszki w żebraczych lachmanach. Wielu o niej słyszało i tym bardziej drażnił jej obecny upadek.

Z tego, co książę zdążył się zorientować, reputacja formacji doznała uszczerbku, gdy Quinatzin zaczął wcielać do oddziału prowincjonalnych arystokratów - zakładników, wodzów barbarzyńskich plemion i w ogóle cudzoziemską hałastwę. Nawet synów zamożnych kupców. Jaguarem przypięto łatkę pupilków króla.

Szybko, w miarę narastania konfliktu *tlatoaniego* z Czerwoną Świątynią, związana z kapłanami krużańska generalicja zaczęła traktować Korpus po macoszemu. Od dawna nie brali udziału w prawdziwych walkach, zmieniwszy się w coś w rodzaju szkółki dla zepsutych synalków bogaczy.

Nie to było jednak najgorsze. Jak można się było spodziewać, Tennok nie cierpiał wszystkiego, co wiązało się ze służbą. Mundurów, capstryków i musztry, ćwiczeń, stopni i popijaw w kantynie. Unikał więc Szkoły Wojowników jak ognia. Na szczęście dyscyplina w Korpusie Jaguarów była już tylko

cieniem minionej świetności, podobnie jak wszystko inne. Tennok mógł zniknąć na całe dnie i nikogo to nie obchodziło.

Czasami ludził się, że jego skaza tchórzostwa już zniknęła, ale bał się sprawdzić, czy nadal się boi. Na samą myśl o kolejnych upokorzeniach, które czekały w Calmecac, robiło mu się niedobrze.

Mimo to jakimś cudem odważył się z nią rozmawiać. Okazało się, że jej złośliwość, zmysł obserwacji i komentowania są mu bardzo bliskie. Odwdzieczył jej się opowieściami z Yugal, po których śmiała się tak, że musiał jej kupić tykwę z napojem. Rozumieli się i mieli wspólne tematy - najwyraźniej prowadzili podobne życie. Ich statki mogły rozpocząć bitwę.

W pewnej chwili Tennok zorientował się, że dziewczyna go nie słucha.

Wpatrywała się w sunącą ulicą procesję. Podobnie jak otaczający ich tłum, żołnierze, wieśniacy i handlarki sprzedające kukurydziane *tamalę*. Wszyscy wpatrywali się w idącego między kolumnami mężczyznę, którego otaczał barwny orszak kapłanów i pięknych kobiet.

- To Wcielenie Tezcatlipotli - szepnęła Citlali z podziwem, jakby ulicami stąpał Pan Wojny we własnej osobie.

Wcielenie przytknęło do ust flet i zagrało wesołą melodię, podszytą dziwną tęsknotą i smutkiem. Tłum słuchał w nabożnym skupieniu. Niektórzy intonowali pieśń. Dziewczyna szeptała coś w uniesieniu, Tennok obserwował ją, zdumiony. Naprawdę to przeżywała.

- Jest najpiękniejszy i najdzielniejszy ze wszystkich. Góruje nad tłumem, jak dumny orzeł nad łąką. Chcę być taka jak on.

Tennok pomyślał, że mężczyzna wcale nie gra aż tak dobrze, ale zachował to spostrzeżenie dla siebie. Wolał obserwować nieznaną. W jakiejś mierze był nawet wdzięczny tamtemu - dostarczył mu klucz do jej serca. A że chyba nie było w nim miejsca dla kogoś tak zwyczajnego jak on? Cóż.

- Cztery żony? To chyba wesołe życie - mruknął. Procesja podeszła wyżej i z tej odległości mógł zobaczyć, że wszystkie żony Wcielenia były naprawdę ładne.

- Wesołe? - Spojrzała na niego ostro. - Powiedziałabym

raczej, że pełne, tragiczne i wzniosłe.

- Nie rozumiem... - Od czasu dni spędzanych w Zaułku Filozofów Tennok nie czuł się tak skołowany.

- To bóg młodych wojowników. Tego, co w ich losie najlepsze i najgorsze. Każdy wojownik jest królem pola walki jedynie przez chwilę. Dlatego jest taki piękny. To los.

- Ty naprawdę lubisz wojnę. - Księżę bez przekonania pokiwał głową, starając się, aby wyglądało, że dzieli jej zachwyty. Nagle spopielił go smutek, przecucie przeszkody i końca. Dziewczyna uwielbiała to wszystko, czego najbardziej nie znosił.

- Za moment porzucą go jego żony. Zabiorą go do Świętym Nocy, gdzie samotnie będzie się wspinał na górę. Wiesz, czasem myślę, że łatwiej jest sunąć w tłumie jeńców, oddychać ich strachem, odurzeniem, ciepłem. Wcielenie umiera samotnie. Jak jaguar. Jak bóg - Citlali urwała nagle, zdmuchnęła z czoła niesforną grzywkę. - Nie wiem, czemu ci to wszystko mówię. Chyba czuję, że możesz zrozumieć - wyznała speszona.

Tennok słuchał dziewczyny, zadumany. Jej tęsknota wydawała się szczerą, a przecież dotyczyła zaniku i śmierci. Citlali była taka piękna... nie, to złe słowo. Tak żywa, silna i pociągająca, tak pełna uwodzicielskiej energii. A przecież usilnie chciała rzucić się w ogień, bo czuła, że ten splendor jest tylko na chwilę, a dalej czai się mrok. Tak samo, jak wszyscy Kruzowie.

- Śmierć to marzenie młodych. Jest piękna, póki odległa, uwodzi tylko z daleka. Z bliska jej śpiew zamienia się w jazgot - wydeklamował.

Citlali zaśmiała się głośno.

- Powiedział stuletni starzec. To jakiś filozof?

- Tak.

- Nie znałam tego.

- Tennok, syn Maczuraia. Straszny smutas. Niewielu o nim słyszało - wyjaśnił księżę z przekąsem.

Citlali zaśmiała się znowu i bezwiednie - czy nie? - przesunęła się w jego stronę.

Iskierki w jej zuchwałych oczach przeskoczyły na niego i Tennok spostrzegł, że także zaczyna się tlić. Poczłł nagły przypływ odwagi. Nie tak dużej, by od razu ją pocałować... ale było w tym trochę nadziei.

Na schodach świątyni Wcielenie przybrało wdzięczną pozę i pozdrawiało tłum, chłonąc jego wzruszenie i aplauz, jak drzewo wiosenny deszcz. Księżę otrząsnął się, wzdrygnął. Złapał Citlali za rękę.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne? Powiedz szczerze, nie obchodzi mnie, co ci wytłumaczyli kapłani.

Dziewczyna spojrzała na niego zdziwiona, na jej wargach pojawił się lekki uśmiech.

- Lubisz swoich rodziców?

Tennok wzruszył ramionami. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Właśnie. Moja matka jest głupia i wiecznie zmęczona, płacziwa i pozbawiona godności. Kysa wszystkiego się boi, każdemu się chce przypodobać. Wygląda jak zgniła, spuchnięta ryba, dawno temu wyrzucona na brzeg. Myślę, że jest już po prostu zużyta. Gdy pomyślę, że kiedyś stanę się taka jak ona... - Citlali urwała i zmarszczyła brwi.

- To co? - Tennok z trudem powstrzymał uśmiech.

- Umrzeć w południe, a nie w szarym zmierzchu. W rozkwicie urody i sił. Zając się jasnym płomieniem i zachować w sercach bogów... jak pieczęć odcisnięta w lawie. Jak kwiat uwieczniony na fresku. To piękne - szepnęła cicho.

- Wciąż umrzeć. Nie potrafisz myśleć o niczym innym. - powiedział Tennok i zgaśnił się za gburowatość. Ale Citlali chyba nie była urażona.

- Wszyscy umrzemy. Pytanie tylko jak. Naprawdę myślisz, że powolne konanie jest lepsze?

Tennok milczał. Sunące po stopniach Wcielenie drgnęło, gdy muzyka nagle stała się cichsza. Kapłan odrzucił w tłum jakiś przedmiot, którego księżę nie mógł z tej odległości rozpoznać.

- Na każdym stopniu łamią jeden z fletów, na których grał w chwilach swojego szczęścia. Gdy muzyka umilknie, umrze - powiedziała Citlali z zadumą.

- To okrutne - szepnął zszokowany.

- Okrutne i prawdziwe. Jak życie - powiedziała.

Potem posłała ostatnie spojrzenie Wcieleniu, i nagle wspięła się na palce i mocno pocałowała Tennoka w usta. Zakrztusił się, zdumiony, dziewczyna spojrzała mu w oczy z uśmiechem.

- Chodźmy coś zjeść!

Pobiegli do kramu z musem kukurydzianym i plackami z ostrą, czerwoną pastą. Tennok poczuł się na tyle pewnie, że jadł z apetytem. Oczy łzawiły mu od piekącego chilli, kwas cytryny wykrzywił usta. I dobrze, przynajmniej czuł, że jest żywy.

- Zobaczmy się jeszcze? - zapytał, gdy tylko przełknął potężny kęs.

- Po co? - odpowiedziała pytaniem, najokrutniejszym, jakie może zadać mężczyźnie kobieta.

Książę poczerwieniał.

- Podobasz mi się - szepnął.

Jej uśmiezek miał ostrość garoty.

~ A mnie podobają się wojownicy. Mężczyźni, a nie chłopcy. - Dotknęła jego gładkiego policzka i z czułą drwiną Musnęła przekłętą kosmyk. - Musiałbyś bardzo urosnąć.

Chciała odejść, lecz Tennok znalazł w sobie dość śmiałości, złapać ją za ramię.

- Posłuchaj, nie musisz być taka. To święto pieśni Wojowników. Mogę być tej nocy twoim Tezcatlipoką - zamruczał, pożerając ją wzrokiem.

Citlali oswoodziła się z wdziękiem zniecierpliwionej żmii.

- Myślałeś, że chwilę porozmawiamy i zaraz ci w skoczę do łóżka? Wpadnij po mnie, jak zgubisz ten śmieszny ogonek, dzieciaku - syknęła, patrząc na niego roziskrzonym wzrokiem.

Tennok milczał bezradnie. Czy rozczarował ją jego niewczesny zapal? Nie miał zielonego pojęcia i zwiesił ponuro głowę. W jego sercu zapadał zmierzch, a na zewnątrz także robiło się ciemno. Kątem oka rejestrował, że wokół szwenda się coraz więcej podejrzanych typów, zapewne polując tu spóźnionych paniczyków z pełnymi trzosami, papierowymi piąstkami i ostrzami z kauczuku. Takich jak on.

Dotadł go lęk, ale tym razem zdusił go w sobie szybko. Był wojownikiem i synem księcia i wylał na sali treningowej słone

jezioro potu. Stawię im czoło, pomyślał. Wyprostował się groźnie, ale na stojących nieopodal mężczyznach nie zrobiło to większego wrażenia. Wiatr zawiał z ich strony i Tennok poczuł bijący od nich smród. To były Czerwone Koszule. Musiało im się ostatnio powodzić, bo ich druga skóra mieniła się mokrą czerwienią.

Było ich trzech, dość, żeby zrobiło się nieprzyjemnie. Nagle opuściła go wiedza i umiejętności. W książkach często używa się określenia „skamieniał”, ale kamienie chyba nie są tak drżące i miękkie. Nie dygoczą, nie czują, że zaraz narobią pod siebie. Nie mają ochoty zemdleć.

Podeszli bliżej, wężąc strach i okrutną zabawę. Jeden mrugnął do Citali znacząco i zrobił obleśny gest. I nagle, po chwili dość długiej, żeby dziewczyna na pewno dostrzegła jego lęk cofnęli się, zjeżeni i czujni. Tennok odetchnął z ulgą i przelknął ślinę. To pewnie mój mundur. Przestraszyli się.

Za jego plecami wyrósł znajomy cień.

- Tennok! Zrobili ci krzywdę?

Książę często nie cieszył się na widok Harana, który miał w sobie coś z namolnej, nieprzejednanej kwoki. Jego troskliwość potrafiła upokorzyć. Dziś miał ochotę rozplakać się w jego objęciach.

- Wszystko gra - powiedział drżącym, łamiącym się głosem.

Haran uśmiechnął się, odsłaniając garnitur zielonych, spiłowanych zębów. Zaostrzone, wszystkie wyglądały jak kły.

- Myślałem, że już sobie to wyjaśniliśmy, chłopcy - zagadnął.

Koszule wahały się. Pewnie w końcu zaatakowałyby nawet dwóch szlachetnie urodzonych gówniarzy. Ale Haran nie był szlachetnie urodzony, a jego wyżarte w kopalniach blizny sugerowały, że jest w stanie przyjąć sporo uderzeń. Książę po raz pierwszy pomyślał, że część z nich to ślady zębów. Chyba ludzkich.

Koszule nie były głupie. Nie w tym wieku, ulica nie wybacza chybionych posunięć. Przywódca przesunął palcami po szyi, ot tyle, by nie stracić twarzy, i odwrócił się, aby poszukać drobniejszej zwierzyny.

- Nie musiałeś się fatygować - warknął Tennok, który zdążył

już odzyskać animusz. - Miałem to pod kontrolą.

Barbarzyńca milczał. Nigdy nie oceniał swego pana, a przynajmniej nie artykułował swoich ocen. Tennok nauczył się jednak dostrzegać drobne gesty irytacji i skrywanego niesmaku. Gdy on kłamał, Haran lekko unosił brwi.

Citlali odsunęła się od niego, w jej oczach wyczytał zawód. Barbarzyńca skinął dziewczynie i jak na niego gest był dziwnie nieśmiały. Citlali uśmiechnęła się lekko i poprawiła włosy.

- Dzięki. Nie znoszę takich typków - powiedziała.

Patrzyli na siebie ponad księciem i chyba poprzez niego, a powietrze nagle zrobiło się ciężkie. Tennok czuł, że równie dobrze mógłby teraz znajdować się po drugiej stronie Przesmyku, na szczytach inkaskich gór.

Miał dość.

Wykonał zdawkowy gest ni to przeprosin, ni podziękowań i powłókł się do ulicznego sprzedawcy *pulque*. *Tlatoani* uchylał ostatnio zakazy picia, na razie podczas najważniejszych świąt. Kapłani oczywiście grzmieli, że rozpija naród, ale książe był mu szalenie wdzięczny. Naprawdę musiał się napić.

Zamówił następną kolejkę i zaczął analizować porażkę. Żałował, że nie zostawił Harana w lochach ojca. Żałował, że jest tym, kim jest. Czas jakby zwolnił, oddech płynął przez jego płuca ospale i bezlitośnie.

Nic nie szkodzi. Wrócisz do koszar i gruntownie sobie to wszystko przemyślisz. To tylko uliczna dziewczka. Pewnie nisko urodzona.

- Och zamknij się wreszcie! - warknął ze złością.

- Przecież ja nic nie mówię - obruszył się znajomy baryton. Tennok obejrzał się, zaskoczony.

Haran stał przy nim z miną zbitego psa, a książe nigdy nie widział go tak przygnębionego. Chyba podryw nie bardzo się udał, pomyślał ze złośliwą radością. Nie widział nigdzie Citlali.

- Ta dziewczyna... - *Urs* urwał i machnął ręką, jakby bardzo miał ochotę coś rozbić. Potem wzdrygnął się i potrząsnął włosami, jakby dopiero co wyszedł z zimnej kąpieli. Tennok patrzył na niego chłodno. Równie dobrze mógłby współczuć życiowym dramatom wszy.

- Co tak zbaraniałeś, tłumoku? Zbierajmy się stąd - warknął, popychając barbarzyńcę, który ocknął się i łypnął na niego z niechętnym namysłem. Tennok często zastanawiał się, jakie są granice tego dziwnego paktu, który kazał Haranowi chronić jego nędzną skórę. Teraz poczuł, że chyba się do nich zbliżył.

- Niezła czapla - zazgrzytał zębami Haran. Tennok uniósł brwi. - No co, u nas się tak mówi na ładną dziewczynę. Czapla.

Książę wzruszył ramionami.

- Nawet nie wiem, jak miała na imię - poskarżył się barbarzyńca. - Powiedziała, że mieszka w pałacu, jest zakładniczką *tlatoaniego*, tak jak ty. Trochę mi o sobie opowiedziała - w głosie Harana pojawiła się nutka wyzwania.

Tennok zacisnął pięści. Żałował, że nie ma pretekstu, by zafundować swojemu *ursowi* prawdziwie epicką chłostę.

- Sporo się dowiedziałeś, psie - warknął. Na twarzy Harana nie drgnął ani jeden mięsień.

Książę czasami podejrzewał, że jego *urs* jest nieco upośledzona. Może dlatego tak dobrze wytrzymał ból?

Zwłaszcza teraz wielki Druazzi nie wyglądał za tego. Twarz miał chmurną, pełną goryczy i gniewu. Po chwili zmięgował się, odetchnął i popatrzył w niebo, czarne i wystrzępione od gwiazd, które kiedyś, gdy zabraknie Drogocennej Wody, pokonają bogów i zeskoczą na ziemię, by ujarzmić i pożreć ludzi. Wreszcie barbarzyńca westchnął i przemówił głosem posępnym jak niewolnicze sztolnie:

- Powiedziałem jej, skąd jestem i co tutaj robię. Spytałem, czy chce zatańczyć. Powiedziała, żebym się odpierdolił. Że nie tańczy z psami i niewolnikami, a już na pewno nie z *ursami*.

Rozdział 23

Nasza kultura szczególnie ukochała nietrwałość. Tragizm życia i jego ulotną urodę lepiej wyraża połysk ptasiego pióra czy miękkość kobiecej cery niż wieczna buta diamentów i zimnych kruszców, których tak pożądali Białoskórzy. My, Prawdziwi Ludzie, pamiętamy, że świat jest wytłaczany na bieżąco, jak twaróg przepychany przez sito. Oka sita wpływają na konsystencję budulca. Wypełniane nim formy determinują naturę i kształt stworzeń z poszczególnych Cykliów. Tworzenie jest bowiem procesem bez końca, a nie jednorazowym czy siedmiodniowym aktem. W każdym ułamku czasu Pustka na nowo przyjmuje Kształt.

Niestety, nasz świat jest upadłym wymiarem wygiętego sita i strzaskanej formy. Klątwa ocaliła nas, ale i zarazem zniszczyła. To przez nią Niebo, Ziemia i Piekło przestały być rozdzielone. Klątwa poluzowała ontologiczne zawory i śluzę, zmieniając przy tym subtelną strukturę tłoczni. Uwolniła demony i bestie.

Yagazpin, *Ontologia Klątwy*

Tamując gniew, generał Tizok poddawał się idiotycznym rytuałom dworu. Z niechęcią zdjął zbroję i płaszcz i przebrał się w skromny strój z juty, w jakim stawało się przed obliczem władcy Przymierza.

Drażniła go paplanina zniewieściałego dworaka, który prowadził go do pokojów władcy. Czy to prawda, że koczownicy chadzają nago, splatają cięciwy z ludzkich włosów i zmuszeni są pokładać się z psami, bo prawie nie mają kobiet? Ignorując monolog sługusa, żołnierz wodził oczami po ścianach.

Starożytne freski, czerwień i błękit, wyobrażały walkę bogów z żarłocznymi gwiazdami. To był przekaz kruzańskiej religii, jej pulsujące sedno. Odrodzenie nie dokona się samo. Świat wymaga od nas wyrzeczeń i walki, lecz nie po to, by go ujarzmić i zmieniać, lecz aby go ocalić.

Ideał równowagi jest znacznie trudniejszy do urzeczywistnienia niż dążenie do zysku i wzrostu. Niestety, lata cudzoziemskiego podboju zrobiły swoje, zakorzeniając w mentalności meszickich ludów obce, zachłanne wzorce.

Gaduła spostrzegł jego zainteresowanie i z dumą zauważył, że freski autorstwa samego Maczupina Starszego są jednym z najwspanialszych zabytków Mesziku. Zaczął pieprzyć coś o planach rozbudowy pałacu i Tizok posłał mu specjalne spojrzenie zarezerwowane dla dezertarów i tchórzy, po którym dworzanin zachłysnął się śliną i zamilkł. Nie cierpiał takich ludzi. Bezmyślni i powierzchowni, a przy tym wyrachowani i sprytni. Dorobkiewiczze, którzy uosabiali toczący kraj trąd.

To były nowe zwyczaje, nowy styl. Nowe pokolenie.

Mimo że kalendarzowo sam się do niego zaliczał, Tizok zawsze wolał towarzystwo starszych. Ludzi z pokolenia jego dziadka, których nie osłabiła dekadencja, cynizm i gnuśność charakteryzujące panowanie Quinatзина i jego ojca. Gdy był młodym chłopakiem, opowieści weteranów przenosiły go w baśniowe dni prawdy i bohaterstwa. To pod ich wpływem zdecydował się zostać żołnierzem i piał się w skomplikowanej hierarchii zależnej od liczby pojmanych jeńców i ofiar. Dziś te stare wilki już pomarły, a Tizok został z głową pełną cudzych wspomnień. Nie dociekał, czy tamte czasy naprawdę tak wyglądały. Jakiegokolwiek były, nie mogły być gorsze od obecnych.

Quinatzin poszerzył Przymierze o nowe kraje związkowe. Popierał małżeństwa między kruzańską arystokracją i ważnymi cudzoziemcami, ignorując, że obce zwyczaje osłabiają religijność Przymierza. Jednocześnie świadomie umacniał najniższe kasty. W jego oddziałach służyli ubodzy, wydziedziczeni przybysze, w których widział załążek klasy zawodowych wojowników, dyspozycyjnych i niezadających

zbędnych pytań. Jednocześnie wspierał instytucję *ursów*, odciągając krużańską szlachtę od kapłańskich rytuałów, religii i świętej wojny.

Tizok coraz częściej nie poznawał swego kraju.

Dotyczyło to zwłaszcza stolicy. Owszem, bogaciła się, aie odnosiło się to tylko do kupców i rzemieślników, wielkomijskich próżniaków o podejrzanych zawodach. Urzędników i biurokratów, spekulantów i wędrownych pisarzy. Ludzi, którzy niczego wartościowego nie tworzą. Wolne chłopstwo, rybacy i myśliwi, odwieczny rdzeń jego ludu, z każdym rokiem stawali się mniej liczni.

Co gorsza, w pędzie do zmian, bogactwa i dobrobytu zatraciła się gdzieś dumna, rogata dusza narodu. Wojna i krew nagle straciły na znaczeniu, zmieniając to, co kiedyś było treścią i fundamentem ich życia, w jakiś tandetny ornament. Zanosiło się na to, że następnym celem reformatora będzie religia. Quinatzin nie ukrywał, że uroczystości jest zbyt wiek i odciągają ludzi od pracy.

Tak naprawdę chodziło mu o to, że częste rytuały przypominały mieszkańcom Tollan, że służą nieśmiertelnym bogom, a nie śmiertelnemu królowi, który wnet przeminie.

Dla Tizoka taka ignorancja, taka ślepotą były niepojęte. Z religią jest jak z instynktem - masz go albo nie. Nigdy nie potrafił zrozumieć bezbożników, którzy oskarżali religię o marnotrawstwo i okrucieństwo, nie mogąc pojąć jej bezspornego sensu. Coroczne wyprawy po jeńców i pulsujący krwią cykl kalendarzowych świąt stanowił przecież mityczny Wzór, który każdy ziemski władca Przymierza powinien jak najwierniej odtworzyć! Jak mawiało stare powiedzenie: „Nie żyjemy tu tylko dla siebie”.

Na widok *tlatoaniego* Tizok jak zawsze poczuł bezradne niedowierzanie. To chyba kpina. Czy tak może wyglądać król?

Quinatzin był szary i niepozorny. Z tych, którzy nie wyróżniają się w tłumie. Nosił proste, szarawe szafy z nietarbowanej bawełny, kolejny policzek wymierzony starożytnej, jeszcze azteckiej tradycji. Dla rozmilowanych w pierzastym przepychu Kruzów taka wizualna asceza była

równie dziwaczna jak paradowanie nago albo w pancerzu z błota. Nawet dworzanie i popiecznicy króla nie potrafili się z tym pogodzić choć chętnie powtarzali frazesy o marnotrawstwie. Zwłaszcza gdy dotyczyły kapłanów lub starej szlachty.

Król karmił właśnie mięsem chudego jaguara, zamkniętego w klatce. Dwa inne koty krążyły po pomieszczeniu, nerwowo bijąc ogonami o boki. Specjalny gwizdek na szyi Quinatzina pozwala! je wezwać w razie zagrożenia. Gdy Tizok wszedł i uklonił się sztywno, *tlatoani* zamrugał i posłał mu, zdawałoby się, prawdziwie rozradowane spojrzenie. Król patrząc, wytrzeszcza! wypukłe oczy, przez co przezywano go pogardliwie „Puchaczem”. Krótkowzroczność zawdzięczał studiowaniu starych zwojów, z którymi ponoć nie rozstawał się nawet w łóżu.

W jego komnatach księgi piętrzyły się wszędzie. Za to nigdy nie było broni, choć nie brakowało dyskretnych i niewidocznych strażników. Inaczej chudy kark *tlatoaniego* aż prośby się o szybkie skrócenie. Nawet tu, w zwierzyńcu, na dołach leżały posegregowane raporty i kodeksy - Quinatzin chętnie pracował w towarzystwie swoich zwierzęcych ulubieńców. Był też pedantem i kochał liczby. Studiował nawet w Kolegium Kapłańskim, ale opuścił je, gdy tylko nauczył się liczyć. Religia nigdy go nie interesowała. Podobne jak astrologia i ruchy gwiazd. Ale dopiero od niedawna zaczął otwarcie zwalczać wiarę i świętych mężów.

Tizok nie potrafił go zrozumieć. Gdy byli młodymi chłopakami, połączył ich gniewny bunt przeciw tępemu porządkowi świata. Obaj byli idealistami i obaj pragnęli zmiany. Nowe Przymierze za czasów Azgatlina VI, ojca Quinatzina i wuja Tizoka, znalazło się w opłakanym stanie. Kryzys religii okazał się kryzysem wszelkich społecznych więzi, cyniczni władcy, wspierani przez wielkowiejskie elity, bez skrupułów eksploatowali ludność, która odpowiadała buntami.

Podczas tłumienia jednej z rebelii przyjaciele trafili do zhołdowanego majańskiego państewka z buforowych terenów pomiędzy Przymierzem a Wielkim Tikal, rządzonego przez

króla Wakan Tua. Gdy siły porządkowe dotarły na miejsce, z pałacu pozostały zgłiszcza, a zbuntowana ludność zbiegła do lasu. Wakana zastali przyszpilonego do tronu jak ohydneho motyla, stan zwłok wskazywał, że zgon był zwieńczeniem kilku dni tortur. Buntownicy często karali swoich królów w ten sposób, ale tym razem przybili do rzeźbionych krzeseł także królewskich ministrów, doradców i urzędników. Wszystkich, którzy oddawali się bezkarnemu łupiestwu. Rebelianci okazali też pogardę całej kulturze imperium, nie zagrabili bowiem bezcennych kadzideł i piór, symboli statusu i czci, sprofanowali je tylko i spalili.

Na ścianie pałacu ktoś nabazgrał: „Złodziej”.

Ten dzień odmienił ich obu. Przysięgli sobie, że nie dopuszczą do zagłady własnej cywilizacji. Tizok miał odwagę i wrodzoną prawość, wzbudzającą zaufanie prostych ludzi. Quinatzin potrafił wyczarować pieniądze nawet z gówna, którego zbiory dla rolnictwa prędko opodatkował. Był geniuszem, urodzonym administratorem, wolnym od jakichkolwiek przesądów tamujących postęp.

Kiedyś powiedzieli Tizokowi, dla żartu, że jako król chciałby poddawać ludność imperium corocznym testom przydatności i likwidować każdego, kto obleje. Ich pakt położył kres długiej rodowej waśni i wydatnie wzmocnił Nowe Przymierze, które zaczęło zwyciężać w bitwach i odzyskiwać grunt w rywalizacji z Tikal i hordami koczowników z północy. Zbiegło się to z odrodzeniem kruzańskiej religii pod egidą charyzmatycznego Szurukana, który po kilku latach niepokoju został Pierwszym Kapłanem i zreformował religię imperium, przywracając jej dawną surowość i dumę. Quinatzin nigdy za nim nie przepadał, ale Tizok zdołał jakoś połączyć ze sobą tych dwóch i zainicjować triumwirat oręża, świątyni i złota.

I wszystko szło dobrze, dopóki w niedostrzegalny sposób nie rozdzieliły się ścieżki ich sumień i serc.

Szurukan coraz bardziej się skłaniał ku czemuś, co Quinatzin pogardliwie określał jako archeologia polityczna. Szukał harmonii, zwartości i prostoty, korzeni kruzańskiej duszy, hartu z czasów, gdy to oni byli surowymi, twardymi

koczownikami. Utraconej chwały pogrzebanej przez Białoskórych i Kłątę.

Quinatzin coraz śmieiej domagał się zmian. Tizok przez kilka lat balansował na linii kompromisu i mediował między nim a Szurukanem. Potem, po śmierci żony i dzieci podczas epidemii czerwonej gorączki, nawrócił się i został uczniem Pierwszego Kapłana. Uwierzył, że imperium musi najpierw odzyskać duszę, a dopiero potem może się bawić w podboje.

Rok po dotkliwej porażce w Dolinie Czarnego Psa, gdzie Kruzowie nauczyli się bać i nienawidzić Szaratangi, zwanego Lwem Labiryntu, Quinatzin odbudował niewielką, na poły prywatną armię i uderzył we wrogów Przymierza. Zaatakował i upokorzył majańską Federację Wielkiego Tikal, która z racji bogactwa i sojuszu z zamorskim imperium Inka oraz z fanatykami z Tlaszkali uchodziła za niepokonaną. Tikalczycy stracili w tej wojnie tysiące najemnych żołnierzy.

Lepsza, wielkoduszna część Tizoka była dumna z sukcesów dawnego przyjaciela. Ale prawdę powiadał Król-Kojot, pokpiwając, że nic nie osłabia męskiej przyjaźni tak bardzo, jak sukces jednego z druhów. W ostatnich latach Quinatzin wyprzedził Tizoka, który przy całej swojej bogobojnej pokorze, nie mógł się z tym pogodzić. Poza tym jego zwycięstwa były tak mało kruzańskie.

A wszystko to po to, by... właśnie, co odnalazłeś? Dlaczego zachowujesz się jak chciwy, bezbożny gnojek? Dlaczego wbrew naszej umowie rozwijasz własne armie, dlaczego opodatkowałeś świątynie? Dlaczego zacząłeś traktować mnie jak chłopca na psyłki?

Patrząc w jego chłodne, wyzute z emocji oczy, których martwota zadawała kłam radosnemu powitaniu, Tizok nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jego król niczego nie odnalazł. Tylko stracił.

Jaguary i pumy hałasowały, warcząc na widok obcego, więc *tlatōani* zaprowadził go do znacznie cichszej ptaszarni. Tizok po raz kolejny poczuł, że nie umie się porozumieć z Quinatzinem. Nie pomagało, że dawny przyjaciel przyjmował go w pomieszczeniu, w którym wielobarwne ptactwo literalnie

srało człowiekowi na głowę. Tizok szanował tradycyjne wyroby z piór, w których mieszkało największe piękno tego świata, ale wolałby, żeby cholerne ptaszyska rodziły się już oprawione.

- Jak tam nasze postępy w Tlaszkali? - spytał król, zwracając się raczej do siedzącego mu na nadgarstku ptaszka niż do generała.

- Dobrze. Zdobyliśmy wielu jeńców - chrząknął Tizok z godnością.

- Nie interesują mnie jeńcy. Masz wygrać - rozkazał *tlatoani*, wpatrując się w niego z naciskiem.

Generał wzruszył ramionami.

- Łatwo powiedzieć. Te góry to jedna wielka pułapka. Można w nich ugrzęznąć, tam, gdzie w ogóle da się przejść, Tlaszkalanie pobudowali fortece. Cholernie mocne, jeśli chciałbyś mnie zapytać.

- Z każdej strony są tak dobrze bronieni? - pytanie Quinatzina niosło ze sobą nutkę niedowierzania.

- Wyobraź sobie, że tak. Z jakichś powodów nasze armie nie podbiły ich od siedmiuset lat - burknął Tizok.

- Trochę długo. Wiem, że jesteś przywiązany do tradycji, ale akurat z tą pora już zerwać. Na przykład frontalnym atakiem. Ich wojska bronią zapewne granicy z Tikal, czyż nie? Mam raport, że wysłali im spore posiłki. Labirynt musi być pusty - dodał Quinatzin.

Tizok poczuł, że krew napływa mu do twarzy. Uwielbiał krytykę ze strony rozpartych w fotelach głupców. Szczególnie gdy taki głupiec był jego przemądrzałym przyjacielem.

- Labirynt to piekło. Tlaszkalanie przejmują tam bitwy wojen kwietnych, jak nakazuje tradycja, ale tylko obrzeża są łatwo dostępne. Im dalej w głąb, tym więcej pułapek, zasadzek i magii. - Tizok zatrzęsł się na wspomnienie świszczących znikąd strzał. Był jednym z nielicznych, którzy uszli z Doliny Czarnego Psa.

- Sugerujesz, że to oni kontrolują sytuację? Że w zmaganiach Przymierza i bandy odszczepieńców to Przymierze jest w defensywie? - *Tlatoani* uniósł brwi. Jak w dzieciństwie, gdy nie mógł pojąć, że Tizok nie dostrzega czegoś równie szybko jak on.

- Tak, kontrolują. Właśnie po to wybudowali to miejsce - burknął Tizok.

Quinatzin roześmiał się niewesoło.

- Popatrzmy. Skupiliśmy się na zmasowanym ataku przez terytorium Tikal, nakładając drogi i ponosząc dodatkowe straty. Partyzantka Tikalczyków stale nas szarpie, a tlaszkalańska granica to jedna wielka forteca. Może popełniamy błąd...? _ szepnął.

- Nie sądzę. Labirynt jest niedostępny. Możemy tam szkolić ludzi, ale to wszystko - z uporem powtórzył Tizok.

- Tlaszkalanie jakoś się tamtędy przemieszczają. Wciąż napływają raporty o szpiegach i łupieżczych bandach, kontrabandzie bawełny i soli. Mieliśmy ich odciąć i zagłodzić, a zamiast tego tolerujemy ten zbójcecki proceder. Pod moim własnym nosem, na Dym i Zwierciadło!

- Dlatego otoczyliśmy pogranicze siecią fortów i cały czas chwytny bandytów - tłumaczył mu coraz bardziej zirytowany Tizok.

- Znowu defensywa? Przecież to nas jest więcej. Czasem myślę, że armia nie chce wygrać - zasugerował Quinatzin.

To było poważne oskarżenie i Tizok świadomie puścił je mimo uszu.

- Może gdybym miał więcej żołnierzy, byłaby szansa. Może gdybyś przywrócił powszechną służbę wojskową ta armia coś by znaczyła - rzucił generał ponuro.

- Sam wiesz, że nie stać nas na wielkie mobilizacje. Utrzymanie armii i bez tego pożera nasz skarbiec jak szarańcza.

- Mimo to zwiększyłeś oddziały złożone z zakładników. Oni też słono kosztują - zauważył cierpko Tizok. Nie mógł przeboleć, że Korpus Jaguarów zmienił się w przechowalnię dla darmozjadów, i to w dodatku obcych. Armia Mesziku powinna być armią Mesziku, na Wodę i Kwiaty.

- Są mi potrzebni. Bardziej niż sto pułków, których utrzymanie pochłania ponad połowę budżetu.

- Gdyby nie te sto pułków, nie zobaczyłbyś nawet piórka daniny - prychnął Tizok.

- Może. Ale gdyby każdy z trybutariuszy imperium wiedział, co go czeka, gdyby zobaczył klęskę tak potworną, że wyczyny dawnych Białoskórych to przy tym niewinne igraszki, nie ociągałby się. Nie dajesz mi takich zwycięstw.

- Jak śmiesz! - Tizok drgnął, jakby miał zaraz wyjść. Nie mógł sobie na to pozwolić, ale wiedział, że Quinatzin ma go za impulsywnego głupca. Trzeba było podążać za scenariuszem.

- Zadaniem armii jest walczyć i zdobywać Drogocenną Wodę - wykrztusił oburzonym tonem. - To cel naszej polityki, misja zlecona przez bogów. Gdy to stracimy, nic już nie będzie miało znaczenia. I ja realizuję ten cel.

Tlatoani nie był przekonany.

- Przesady, w dodatku szalenie kosztowne. I co z tego mamy? Gdybyśmy zmiażdżyli Tlaskalę raz, a dobrze, zamiast otaczać ją kordonem militarnym, zyskalibyśmy oddech i pole działania. Wtedy kampania na północy mogłaby się wreszcie rozstrzygnąć. Pokazalibyśmy światu naszą wielkość. Inkowie nie walczą na tyłu frontach - przypomniał.

Tizok skrzywił się pogardliwie. Inkowie byli pokrakami, tępyimi, zapobiegliwymi robalami, rządzonimi przez zasuszone mumie. Jego wojownicy zmiażdżyliby ich w jednym uderzeniu.

- A potem co? Wszyscy wracamy do domów? Nie ma już więcej wojen? Skąd weźmiemy Wodę? - Skąd weźmiemy uzasadnienie naszej władzy, pomyślał, nie wypowiadając tego.

Ale król za dobrze go znał.

- Nie wierzę w wojnę dla niej samej, bracie. To marnotrawstwo. Meszikowie muszą się zmienić i walczyć o coś wartego krwi, a nie o przypodobanie się klechom. Stawiać cele i osiągać je!

Tizok roześmiał się cicho. Quinatzin gadał jak Białoskóry. Generała martwiła obsesja dawnego przyjaciela na punkcie skuteczności. Przecież tak samo ważny był styl. Nie rozumiał takiego podejścia do wojny. Jako wojskowy, Tizok podziwiał błyskotliwe kampanie Quinatzina, jako człowiek i Kruz - gardził nimi. Ich przodkowie walczyli inaczej. Nie próbowali fizycznie wyniszczyć wrogów. Nawet Tlaskalan. Zależało im na

indywidualnych popisach, chwale bitewnej i jeńcach.

Dla *tlatoaniego* liczyło się tylko zwycięstwo. Stał się pragmatyczny i zimny jak górskie powietrze, które być może orzeźwia i poszerza perspektywę, lecz nie wzrastają w nim plony i obumiera zwyczajne, godziwe życie.

Sam władca zapewne powiedziałby, że wyzwolił się od krępujących schematów i wahań.

- Wciąż nie rozumiem, czemu uparłeś się na tych Tlaszkałan. Oni zawsze tam byli. Wolę mieć do czynienia z wrogami, których znam - mruknął generał z uporem.

Quinatzin pokiwał głową i zaklaskał. Służące pojawiły się bezszelestnie. Były smukłe, półnagie i pachniały jak wiosenny zmierzch. Ach, to życie cywilów, pomyślał ponuro generał, biorąc awokado ze srebrnej tacy. Nawet nie zauważył, kiedy zdążył tak zgłodnieć.

- Niezłe - zamruczał z pełnymi ustami.

- Półtora raza większe niż normalne - oznajmił z dumą Quinatzin, jakby sam spulchnił ziemię i podlewał grządkę. - A wiesz skąd? Z Tlaszkali. Ich dolina jest żyzna jak łono bogini. Dzień drogi stąd marnuje się najlepsza ziemia uprawna na kontynencie i wiedza, jak ją uprawiać. Za rok zamierzam osiedlić tam kolonistów. Tlaszkała ma być do tego czasu bezludna. Pusta. I ty ją dla mnie zdobędziesz, przyjacielu.

- Nie mogę tego zrobić. Moje siły stacjonują na północy.

I mają pełne ręce roboty. Powiniennem tam teraz być - warknął generał.

- Rozumiem. Zatem nie będziesz miał mi za złe, że sam obejmę dowództwo? - zapytał Quinatzin uprzejmie.

Tizokowi zadrgała szczęka.

Król znany był z głodu władzy i miłości do skupiania jej w swych wypielegnowanych dłoniach. Dotychczas koncentrował się jednak na administracji i handlu, nie ingerując w kompetencje armii.

Głód rósł.

- Brak ci doświadczenia - zaprotestował. - Poza tym nie mamy dość wojsk...

Tlatoani uciszył go niedbałym, lecz stanowczym gestem.

- Ustal rozejm z koczownikami. Na jakichkolwiek warunkach, Możesz oddać ich wodzom jakieś ładne kurewki, na dworze jest ich na pęczki. A potem ruszaj z wojskami do stolicy. Wspomożesz moją ofensywę.

- Ależ panie... to moje... to nasze najlepsze oddziały. Kto zabezpieczy nas przed koczownikami? - zapytał ochryplym głosem. Pozycja obrońcy północy była jedną z najbardziej zaszczytnych. To mogło być odstawienie na boczny tor, pierwszy krok do dymisji.

- Generał Hurupa wystarczy. Ciebie potrzebuje do ważniejszych bitew. A teraz wybacz. Czeka tu wielu wodzów.

Tizok uklonił się i oddalił, nie odwracając się do króla plecami. Już w przedpokoju skrzywił się, coś zazgrzytało mu w ustach. Wypluł ząb i cisnął ogryzionym owocem w służącego.

- Pestkę też ma dwa razy twardszą niż zwykle - wymamrotał.

Gdy opuszczał pałac, ciemne myśli krążyły mu nad głową niczym kruki. Jak wielu zostało wtajemniczonych w te plany? Ile się domyślali? Głowa Tizoka szybko puchła od wątpliwości. Był tylko prostym żołnierzem, mianowanym przede wszystkim dlatego, że dawny przyjaciel mu ufał. Może się mylił, nie dostrzegając tego co Quinatzin?

Gdy tylko opuścił siedzibę króla, z czcią spojrzął na bryłę Wielkiej Świątyni - czuwającej nad tą siedzibą intryg, moralnej zgnilizny i blichtru - jak mądry, troskliwy ojciec. Tizok był tylko prostym żołnierzem. Potrzebował rozmowy z Szurukanem, jego modlitwy i mądrości.

Szurukan przeważnie przebywał w majestatycznej Czerwonej Świątyni, ale czasami wypuszczał się w teren, by nie stracić kontaktu z wiernymi. Generał znał dobrze jego zwyczaje. Dzisiaj duchowny przyjmował uczniów w niewielkiej, mrocznej świątyni Tezcatlipoki, leżącej na skraju dzielnicy kapłańskiej.

Tizok poczuł, że na sam widok mistrza ogarnia go spokój. Uwielbiał ten kpiący, pobłażliwie współczujący wyraz zmarszczonej, łagodnej twarzy, z jakim kapłan przyjmował jego zwierzenia i skargi. „To nieważne”, zdawało się mówić jego doświadczone, wszystkowiedzące spojrzenie. Wojskowy zawsze miał po tych spotkaniach wrażenie, że ktoś zdjął mu z barków

worek niepokoju i obaw, zastępując wahanie pewnością siebie. A może wynikało to z tego, że wołał wypełniać czyjeś rozkazy, niż samemu podejmować decyzje?

Na powitanie Szurukan okadził generała żywicą, upewniając się, że nie przeniósł przez próg przybytku złych duchów i złych intencji. Tizok odetchnął kojącym, słodkawym zapachem węgla i zaschłej krwi, której gruba skorupa lśniła na płytach ołtarza po mszy. Nakłuł płatek lewego ucha prostym kolcem z agawy i z czcią rozsmarował ofiarę po chropawej powierzchni ołtarza. Potem złożył obie dłonie na czarnym obliczu kamiennego zwierciadła, wypatrując w tłustej sadzy swojego odbicia. Czasami, gdy bóg zsyłał wiernemu łaskę, osobiście pojawiał się w lustrze.

Gdy już odmówił modlitwę, opowiedział Szurukanowi o audiencji.

- Nie może, ot tak, podbić i skolonizować Tlaszkali. To nasi święci wrogowie. Z kim będziemy toczyć kwietne wojny? - Szurukan uderzył małą, wyschniętą pięścią w stół i wbił w Tizoka wzrok zimny i ostry jak sople. Zlepione włosy sterczały mu na głowie jak kolce rozgniewanego jeżozwierza.

- Odtworzyliśmy równowagę. System, w którym bogowie dostają tyle Drogocennej Wody, ile trzeba. W którym wrogowie szanują się nawzajem i znają reguły gry. W którym populacje nie rosną aż do przeludnienia, a przyroda nie wyczerpuje zasobów. Powinniśmy dziękować Tlaszkali, a nie ją niszczyć. Czy ten dureń nie może tego pojąć?

Tizok pokręcił głową. Wiedział, że Quinatzin nigdy nie uzna filozofii, którą Czerwony Kaptan nazywał Mozaiką. Jego dawny przyjaciel zaczynał myśleć jak Białoskóry. Kochał zmianę dla samej zmiany, a nowe zawsze wydawało mu się lepiej niż stare. Licząc na szybkie rezultaty, podejmował pochopne, nieprzemysłane działania, które często przynosiły szkody. Zdaniem Tizoka jego reformy były tańcem nad krawędzią.

Szurukan był przeciwnikiem władcy - kapłan odrzucał jakiegokolwiek zmiany. Głosił, że po mrocznych stuleciach po Kłatwie, pełnych głodu, wyrzeczeń i waśni, ich kraj może w reszcie odbudować zniszczoną przez Białych kulturę. Chciał

wiecznej równowagi i wojny religijnej, która odsieje słabych, upora się z przeludnieniem i tumultami spóśtwa. Systemu, który dzięki kontrolowanej przemocy wyeliminuje zaburzenia i nieprawidłowości. Generał popierał go w tym całym sercem, ale wciąż liczył, że królowi wróci rozsądek.

- Wyprawa na Tlaszkalę to coś więcej niż mała wojenka z Tikal. To polowanie na niedźwiedzia, a nie na wykastrowane kocury. Szczeniak będzie potrzebował środków, ale nie dostanie ich bez zgody Zgromadzenia. A to kontroluję ja - mruknął kapłan już spokojniejszym tonem.

Tizok pokręcił głową.

- No nie wiem. Znam go, Szurukanie. Quinatzin brzmiał tak, jakby był pewny swego, jakby ktoś miał mu to wszystko sfinansować. Myślę, że ma jakieś źródło. Na mieście także mówi się, że *tlatoani* będzie zaciągał ludzi.

Szurukan zamyślił się. Potem pobłogosławił Tizoka i nakreślił na jego czole Znak Słońca.

- Bogowie są ci wdzięczni, generale - oznajmił.

Gdy Tizok wyszedł, Czerwony Kapłan trwał jakiś czas zamyślony. Upuścił sobie krwi, odrobinę, tyle, żeby jego namysłowi sprzyjali bogowie. Potem naszkicował wiadomość dla zaufanego człowieka w szeregach Tysiąca Oczu. Była krótka i właściwie niewinna, przypominająca rozkaz dla zarządcy farmy.

„Zasyp studnię”.

Rozdział 24

Szczupły, żyłasty mężczyzna oderwał wzrok od swoich notatek i przeciągnął się na krześle. Otaczała go cisza podziemi, kamienna koldra tysięcy ton murów i skał.

Tlaszkalanie nazywali to miejsce Skarbcem, bo właśnie tu członkowie Zakonu Kretów, uczeni, podróżnicy i szpiedzy, kultywowali Spuściznę. Były to ezoteryczne nauki i materialna magia Dobroczyńców, zamorskich sprzymierzeńców i nauczycieli Tlaszkalan, którzy odeszli za morze. Każdy mieszkaniec górskiego królestwa wiedział, że to właśnie starożytna wiedza Dobroczyńców była, obok Labiryntu, puklerzem i ostrzem Tlaszkali. Choć ściany twierdzy Zakonu też pozostawały tak masywne, że najbieglejsi współcześni kamieniarze nie mogliby pokusić się o wzniesienie podobnych. Warownia była rówieśnicą Labiryntu, obie konstrukcje powstały w legendarnej epoce Kłątwy, gdy „niebo i ziemia zamieniły się miejscami, a ogień wypełnił rzeki”. Najwyraźniej była to także doniosła epoka murarki.

Grube mury skutecznie tłumili dźwięki, ale człowiek z celi słynął niegdyś z wyostrzonego słuchu. Usłyszał kroki w korytarzu nad sobą. Żołądek podpowiadał mu, że z szybu w suficie zjedzie parujące wiaderko. A nuż podadzą mu dziś - jakoś nie lubił słowa „spuszczą” - tlaszkalański specjał, sfermentowane, płukane w strumieniu ziemniaki z limonką i jajkiem na twardo?

Kret Kiliretha - numer legitymacji 347 - nie był zwyczajnym więźniem. Z szacunku do samego siebie oraz nawykowej powściągliwości, którą wyniósł ze służby dyplomatycznej, wolał nazywać to „internowaniem” albo „czasową izolacją polityczną”. Ewentualnie „przymusowym stypendium badawczym”. Jego lokum było nader wygodne, bez zgniętej słomy, łachmanów i głodnych szczurów.

Wyglądało jak połączenie alchemicznego laboratorium, warsztatu i biblioteki. Wyposażone tak, że nawet w pełnej resztek pradawnej wiedzy Tlaskali mędrcy żółkliby na ten widok z zazdrości.

Związek słynnego agenta i lokum przypominał losy niektórych małżeństw. Połączeni obcą wolą i niefortunnym przypadkiem, z początku zupełnie do siebie niepasujący, w końcu odkryli, że znają się naprawdę dobrze i nie mogą bez siebie żyć. Najdziwniejsze było w tym wszystkim to, że Kiliretha przeważnie czuł się tu całkiem szczęśliwy. Uznał, że wreszcie spotkał go długo zasłużony odpoczynek. A że związany był z niełaską zwierzchników? Nieufnością przywódcy Zakonu, Zergosa? Trudno.

Pogodził się nawet z reumatyzmem spowodowanym wilgocią kamiennych murów. W porównaniu ze szczękaniem zębami w lasach dalekiej północy, w chacie z drzewa zasypanej śniegiem po kalenicę i komin, łupanie w kościach to pestka. Raz zasypało ich tak, że musieli z Oretlem wryć korytarz, żeby mieć dostęp powietrza. No a potem, kiedy wracali do domu, wtedy także musieli uścić bogom zamieci i mrozu ich myto. Zostawił w lasach Północy trzy odmrożone palce u lewej nogi, przyjaciela i prawe ucho. Pamiątką było też upodobanie do wymyślnych fryzur - od tamtej zimy czesał się na bok.

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo, potrząsając głową, jego kwadratowa twarz ściągnęła się i przybrała zagadkowy wyraz. Przysiągł sobie nie wspominać nigdy tamtej ostatniej misji. Wspominanie zakłócało mu spokój, a Kiliretha już dawno zrozumiał, że tylko spokój uchroni go tu przed oblędem. Nie wyfrunie przecież przez okienko w celi, nie wykopie podkopu w kamieniu, nie wysłizgnie się przez wywietrznik w suficie.

A spokój jakoś tam w sobie wykształcił. Opierał się na braku daremnej szamotaniny. Kiliretha nie tęsknił nawet za światem, przez lata służby wywiadowczej poznał go lepiej, niż chciał.

Przemierzył go, zgłębił i zbadał, przejechał na zaprzężonych w psy saniach, przepłynął dłubankami i kanu ze skór, podeptał w raketach śnieżnych. Od niebotycznych gór Kontynentu Południowego, po bezkresne równiny i knieje dalekiej Północy.

Gdy jeszcze miał z kim rozmawiać, żartował, że żaden Kret nie widział tyle, co on.

I teraz, po wszystkich egzotycznych obrazach i kształtach, uwielbiał niezmienną kamienią ścian, na którą gapił się, gdy akurat nie pracował. Nie posunął się jeszcze tak daleko, żeby przedkładać liszaje i zacieki na suficie nad panoramę niebotycznych, inkaskich szczytów, ale był tego bliski. Najpiękniejszy w tym wszystkim był spokój. Zwłaszcza odkąd uwolnił się od podejrzeń, czy wiadro na jedzenie i wiadro na nieczystości nie jest przypadkiem tym samym naczyniem. Kiliretha uwierzył, że pragnie tu być i w tym chyba tkwił klucz do jego poczucia wolności.

Mimo to samotność miała na niego wpływ. Pozbawiony terażniejszości i przyszłości, coraz częściej zanurzał się w przeszłość. Zamiast pracować, coraz częściej zapadał się w fotel - tak, miał prawo do wygodnego siedziska - i myślał o tamtej zakutej w lód zimie spędzonej na odległym wybrzeżu z Oretlem. Ich zadanie miało w sobie coś z pielgrzymki i religijnego nakazu. Posłano ich tam, bo Dobroczyńcy musieli powrócić. To był dogmat, aksjomat i filar Tlaszkali. Gdyby nie wiara w powrót tych dumnych, potężnych istot, które niegdyś starły w pył pychę Azteków i przywróciły Tlaszkalanom ich dumę, gdyby nie nadzieja na odsiecz i odmianę losu, rodacy Kilirethy już dawno daliby za wygraną.

Poznał kiedyś zamorską legendę Termopil i wiedział, że Termopile Tlaszkali trwały już setki lat. Trwały, bo ginący w Labiryncie obrońcy wierzyli w powrót Dobroczyńców, ich białoskórych mścicieli. Mężów w stalowych pancerzach i oczach jaśniejących jak lód, mężów w łabędzich statkach z brodami utkanymi z płomieni i złota. Dlaczego milczeli? Dlaczego wciąż nie wracali?

By to przyspieszyć, rodacy Kilirethy z ogromnym wysiłkiem wyprawiali za morze absurdalnie kosztowne statki, zbudowane według ocalałych okruchów skutniczego kunsztu Dobroczyńców. Jednak nie mogli posyłać ich z portów znajdujących się pod kontrolą Odrodzonego Przymierza, a Przymierze kontrolowało już znaczną część świata.

W praktyce oznaczało to, że agenci, tacy jak Kiliretha i Oretl, wędrowali naprawdę daleko. Na północy imperium Kruzów sięgało bagiennego półwyspu Seminoli, sekretne przystanie Tlaszkali musiały się znajdować jeszcze dalej. Oczywiście, mogli wyprawić się na południe, do tajemniczego imperium Inka. Ale ludzie z fortet uli, których władcy drobiazgowo kontrolowali poddanych i składali dziewice w ofierze świętym góróm, od dawna wydawali się całkiem szaleni. Nie tylko z powodu koki.

Ich oniryczne, skąpane w obłędzie włości rozdzierała krwawa wojna domowa, której nie mogły rozstrzygnąć zamach, trucizna ani skrytobójstwo. Większością inkaskich królestw władały szeleszczące mumie dawno umarłych monarchów, kościarni, rozkładający się władcy, z oczodołami pełnymi odwiecznej ciemności. Ich słowa interpretowali zawodzący, skamlący kapłani, ale Kiliretha był zdania, że mumie były normalniejsze niż oni. I nieważne, że Inkowie wypełniali te zionące otchłanie klejnotami i złotem, że okrywali pomarszczone czaszki maskami z kutego złota. Zwyródnienie przeżarło ich całkowicie i nawet wspólny wróg, jakim było Odrodzone Przymierze, nie skłonił Inków do sojuszu z Tlaszkalą.

Ukryty przed światem port Kretów znajdował się na ziemiach, które zaludniały wędrownie, łowieckie plemiona. Kruzowie nie lubili zimna, a Tlaszkalanie, może dzięki domieszce krwi Dobroczyńców, znosili mróz lepiej niż oni. Port był niewielką faktorią, do której co kilka miesięcy trafiały kupieckie karawany.

Kacykowie sprzedawali Tlaszkalanom skórki bobrów, niedźwiedzi i kun, choć nie futra stanowiły cel istnienia osady. Chodziło o wyglądanie powracających okrętów, które pod kierunkiem tlaszkalańskich inżynierów, takich jak Kiliretha, budowali tutejsi skutnicy.

Tamtej zimy na placówce było ich tylko dwóch, gorączka, gruźlica i wilki przetrzebiły tlaszkalański garnizon. Dni wypełniało im podsycanie ognia w latarni i spoglądanie w chmurną, burzową pustkę, wymoszczoną żarliwą nadzieją ich

rasy. Na zmianę wspinali się po oblodzonej drabinie do latarni morskiej wybudowanej w koronie starego świerku, który trwał na wysuniętym cyplu, nie poddając się burzom i szkwałom. W wierzchołku drzewa wielkie ptaki karmiły na wiosnę pisklęta, w tym wypadku „bocianie gniazdo” nie było marynarską przenośnią.

Północ. Kiliretha na samo wspomnienie dostawał dreszczy. Zupełnie odmienny świat, niepodobny do niczego, co znał wcześniej. A przecież widział tak wiele. Wypełniał obowiązki machinalnie, myśląc tylko o wiosnie, powrocie i zmianie, aż do dnia, w którym Oretl znalazł na plaży Rozbitka.

Posiłek jednak nie zjechał i Kret uznał, że pora wracać do pracy. Analizował dziś próbki nowej odmiany prochu znalezionej przy kruzańskich żołnierzach, z którymi siły ekspedycyjne Tlaszkali starły się tej zimy na terytorium Tikal. I z tego, co mówiono, czy raczej nie mówiono, dostały tęgiego łupnia. Co gorsza, wraz z klęską Federacji Tikal, którą Kruzowie zmusili do zawarcia haniebnego traktatu i zapłacenia kontrybucji, kraj Kilirethy stracił najważniejszego sojusznika.

Kiliretha rozumiał panikę zwierzchników. Kruzowie uzbrojeni w broń palną, koszmar. Wojowniczy i fanatyczni, nieustraszeni i pyszni, ci militarystyczni kretyni byli, Martwemu Bogu dzięki, zacofani i konserwatywni. Człowiek wiedział, czego się po nich spodziewać.

Do czasu.

Nowy *tlatoani*, Quinatzin, zerwał z dotychczasową tradycją. Wprowadził do armii łuki, nowe zbroje, a teraz to. Jak tak dalej pójdzie, za rok najedzie Tlaszkalę na czele strzelców konnych.

Lakoniczna notka z centrali naświetliła po trosze sytuację. Podobno strzelców z bronią palną walczyła w Tikal tylko garstka, ale i tak w wojskowych kręgach Grani zapanował popłoch. Przewaga Tlaszkali opierała się głównie na zapóźnieniu Kruzów i Labiryncie. Nowa broń to nowe wyzwane dla Kretów, a Kiliretha, który zetknął się z dziesiątkami egzotycznych substancji i trucizn, był ich najlepszym ekspertem.

Gdy tylko zbadał kruzańską strzelbę, od razu poczuł znajomą

woń. *Braazatal*. Smar. Krurowie wymyślili rodzaj zamku lontowego, z *braazatalem* jako zamiennikiem prochu. Podobny mechanizm stosowali w swoich arkebuzach Dobroczyńcy. Tlaskanie znali muszkiety i arkebuzy, ale prawie nie używali broni palnej, głównie z powodu trudności z pozyskiwaniem prochu. Akurat ten kunszt Dobroczyńców został praktycznie zapomniany, w przeciwieństwie do metalurgii.

Kiliretha uważał, że zawiniła tutaj geografia. Jego odcięty od świata naród skazany był na samowystarczalność.

Kultywował sztuki, które nie wymagały importu. Tymczasem złoża siarki znajdowały się na Przesmyku, który kontrolowali Krurowie, kopalnie saletry zaś w odległych, północnych krainach, które także kontrolowało Przymierze. Dlatego Rada Grani pilnie strzegła strategicznych zapasów prochu trzymany na czarną godzinę. Która, jak wszystko wskazywało, nadciągała zresztą wielkimi krokami.

Kiliretha zamyślił się. Za młodu uchodził w Zakonie za eksperta od smaru. Za młodu zjechał nawet do opuszczonych podziemi na południu Tlaskali, siedziby wymarłej kolonii zjadaczy, i pobrał starożytnie próbki.

Badał legendy z czasów Klątwy, kodeksy Totonaków, Miszteków i Zapoteków, a także przekazywane ustnie podania Otomi, Druazzi i innych barbarzyńców. *Braazatal* był rzadką substancją, wydobywaną na większą skalę jedynie w prowincji Yugal. Bogacze cenili go za właściwości przeciwbólowe i uśmierzające, był także poszukiwanym kadzidłem.

Teraz okazał się bronią.

Znaleziony przy Kruzach smar wyglądał inaczej niż znane mu próbki. Miał mocny, gryzący zapach, coś z cyjanku, migdałów, słodkiej owocowej zgnilizny i obcej, zwierzęcej domieszki. Szary kolor nabrał turkusowego, zielonkawego poblasku i jarzył się w wieczornym świetle. Kiliretha przełknął ślinę, kręgosłup nagle przeszył mu chłód, jakby połknął lodowy szpikulec. Niektóre teorie zakładały, że smar był substancją organiczną, rodzajem lądowej meduzy. Czy mógł ożyć? Przypomniał sobie raport, mówiący, że w metropoliach

Przymierza niektórzy bogacze i wysokiej rangi kapłani, znani ze specyficznych upodobań, rozsmakowali się w jego narkotycznych właściwościach. Jak wiele skrywał jeszcze tajemnic?

Kiliretha widział w życiu wiele dziwnych, niepoddających się rozumowi rzeczy. Widział duchy pijane ofiarnym winem i strachem, wirujące w burzy, zrzucające ludziom z głów czapki, a z latami papierowe lampiony. Iskrzyły się w mrokach nocy na poły słyszalnym śmiechem, od którego Kiliretha zapłakał, bo zrozumiał, że to duchy dzieci. Widział słynne inkaskie mumie, przemawiające do wiernych wprost z otchłani śmierci, i człowieka z wyrwanym sercem, który pełźnie po śliskich stopniach świątyni, podążając za swoim panem.

Jarzący się smar był gorszy. Wyczuwał w nim stężoną kwintesencję obcości, zwyrodnienia, do którego niezdolny był człowiek.

Na widok fosforyzującego jak upiorne próchno diabelstwa w jego sercu zbudził się najgorszy rodzaj lęku, na który człowiecza miara, rozsądek i rozum nie mają odpowiedzi. Taki lęk niejednego nawrócił, ale Kiliretha zawsze miał problem z wiarą. Za dużo przeczytał ksiąg o religiach świata.

Braazatal. Żywica. Smar. Kiliretha wspomniał wszystko, co wiedział na temat kruzańskiego kopalni, i z całą stanowczością nakazał sobie zostawić to diabelstwo w spokoju. A potem odmówił modlitwę i szybko polizał palec. Odrobinę.

Kret nie zamierzał czymkolwiek zakłócać swojego cennego spokoju. Lata służby i zmagania były już daleko za nim. Mimo to pokusa badacza okazała się zbyt silna. Za młodu nigdy nie trafił na tak świeżą próbkę. Miał teraz niezwykłą sposobność sprawdzić, co widzieli w tej substancji ci wszyscy kruzańscy bogacze.

Smakował dziwnie. Jakby zmobilizowana naprędce armia kubków smakowych nie mogła go skwalifikować. Ale działał, natychmiast przyprawił go o tytoniową słabość w kolanach, doprawioną pulsowaniem energii wędrującej po kręgosłupie. Kiliretha zakołysał się na miękkich nogach i przezornie siadł na sienniku. Zdążył jeszcze zerknąć na klepsydrę i starannie

zapisał godzinę intoksykacji. Przy takich eksperymentach dobrze wiedzieć, ile wrażeń nas jeszcze czeka.

Draństwo rozkręcało się szybko, szybciej niż większość znanych uczonemu substancji. A miał bazę porównawczą. Żaden narkotyk ani halucynogen nie miał prawa zaskoczyć go w trakcie misji, trening Kreta wymagał znajomości ich wszystkich. Od starożytnych odmian alkoholu, warzonych przez Dobroczyńców, po wydzielinę z gruczołów śluzowych pewnej bagiennej żabki, którą zresztą Kiliretha dość lubił. Smar był inny.

Nie przypominał powojów i szaławii, sporyszu ani pnączy yage, którymi raczą się w dżunglach Południa. Ani rozmaitych kaktusów i grzybów, ziemisto-roślinnego, dudniącego basowo psilocybe czy lekkiego, jasnego, lecz gorzkiego jak nieszczęście peyotla, po którym chciało się rzygać. Nie była to także kojąca, matowa senność opiatów ani krystaliczna, świetlista energia liści koki. Ba, nie było to nawet niebezpieczne połączenie ich obu, po którym włosy stawały ci dęba, jakbyś cwałował na niewidzialnych rumakach.

Braazatal był... pusty.

Mężczyzna postanowił zapisać kilka notatek. Ledwo dotknął rysikiem glinianej tabliczki, gładka płaszczyzna wchłonęła go z cichym sykiem, falując kurtyną ciemności. Jak Dymiące Zwierciadło. Pieprzony Tezcatlipoka, pomyślał Kiliretha, a potem jego ręka zlała się z głodną ciemnością. I z bielą.

Policzki smagał mu ziąb, wszystko zniknęło w zamieci. Uczony rozdziawił usta i zachłysnął się kłębem kurzawy. Wizja była intensywna, fizyczna, angażowała wszystkie zmysły. Przed sobą widział tobogan, a na nim owinięte w futra wychudłe ciało Rozbitka. Z przodu, w tumanie, niknęła barczysta sylwetka Oretla, który ciągnął sanie, powoli pokonując zaspę. Gdzieś w puszczy zawodziły wilki, blisko, stanowczo za blisko. Kiliretha znowu się zachłysnął.

Nie pamiętał tej części podróży. Pamiętał tylko, że razem z Oretlem podjęli trudną decyzję o opuszczeniu przystani i przetransportowaniu Rozbitka dalej, przed oblicze przywódców Zakonu, którzy mieli wysłuchać beładnej spowiedzi szaleńca.

Gorączka, wycieńczenie i głód zamieniły ich podróż w koszmar.

Pamiętał morderczą przeprawę przez puszcze, góry i śnieg, przeprawę, która nie mogła się udać. Dni i tygodnie majaków, dreszczy i desperackiego przedzierania się naprzód. Ocknął się dopiero w tipi ze skór, cuchnącym palonym bizonim łąjnem. Daleko na południe od ukrytej przystani, w której wraz z Oretlem czekali na wracające okręty. Już na równinach wolnych koczowników, najeżdżających północne prowincje Przymierza. Potem przedostał się do Tlaszkali i złożył w ręce Zergosa szczątkowy raport, po którym jego życie stało się zupełnie inne.

Tego jednak nie pamiętał. Rozbitek rozchylił futra, Kiliretha zobaczył wychudłą twarz żywego trupa, rękę jak wyschlą gałąź.

Szeptał coś, zagłuszany przez zamieć, i Kret padł kolanami w śnieg, żeby chwytać te cenne, zatrute słowa. Przecież to właśnie po słowa Zakon wysłał ich na tę przeklętą Północ.

- Wróć. Oni wrócą i zmienią ten świat.

Bogowie, to nie miało sensu. Przecież wcześniej, w przystani, stary wariat powiedział im coś zupełnie innego, co Kiliretha zawarł w swoim oplakanym, brzemienym w następstwa raporcie. Dobroczyńcy nie mieli powrócić. Czy gdyby pamiętał późniejsze wydarzenia - prawdziwe czy urojone pod wpływem narkotyku - jego relacja wyglądałaby inaczej? Rozbitek tymczasem mówił dalej, ale wizja rozmyła się, być może zakłócona szaleńczym wzburzeniem Kilirethy. Śnieg szerniał, a on wynurzył się, desperacko łapiąc powietrze w swojej celi.

Bolała go głowa i chyba był poważne zatruty, jednak nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Odczuwał przede wszystkim ciekawość... nie, palącą potrzebę prawdy. Przed jego oczami pojawiła się pobladła twarz Oretla smagana północnym wichrem. Znowu stali nad wzburzonym morzem, dźwigając wychudłe ciało Rozbitka, który wciąż mówił, kłując ich sztyletami słów. Krzyki w obcych, zapomnianych językach, urywki gorączkowych wizji i bełkotliwych prorocstw, w które nagle wplatały się przytomne, okrutnie klarowne fragmenty. Chwile, gdy rozpoznawał w nich swoich rodaków i braci z Zakonu.

- Stamtąd nie będzie ratunku. Lepiej się z tym pogódźcie. Ujrzałem to na własne oczy. Odnalazłem ich - szeptał, podtykając im dowody swojej podróży: sprowadzone zza oceanu owoce, figi, migdały, pistacje, które nigdy nie przyjeły się na Pierwszym Kontynencie i tylko wspominały o nich kroniki.

Niedowierzenie, strach. A teraz i to. „Dlaczego zmieniłeś zdanie? I czemu tego nie pamiętam?”

- Czy ty w ogóle powiedziałeś nam prawdę? - szepnął. - Czy da się to jeszcze sprawdzić?

Spojrzał na leżącą na stole próbkę i skrzywił się. Zwyczajny dzień był już tylko wspomnieniem. Po raz pierwszy Kiliretha odniósł wrażenie, że jego spokojne internowanie może się stać prawdziwą katogą.

Rozdział 25

Citlali była zła. Czekwała na wiadomość od Tysiąca Oczu przez tydzień. W ciągu ostatnich dwudziestu dni - właśnie tyle trwał słoneczny tydzień *haab* - zaloty Myskanto nabrały impetu. Co gorsza, wciąż piął się po szczeblach dworskiej hierarchii. Widziano go w towarzystwie pułkownika Jaguarów, było tajemnicą poliszynela, że ambitny kupiec wzbogacił się na kontraktach dla wojska, plotkowano też o intratnym handlu ludzkimi odpadami ze świątyn.

Podczas wczorajszego przyjęcia handlarz słał jej obleśne i zadufane spojrzenia, wiedząc, że moment, gdy ją dostanie, jest tylko kwestią czasu. Dlatego tym razem potraktowała go ostro, dozując uwodzenie, pokusę i wzgardę w proporcjach, które sprawiły, że mężczyzna wybiegł z jej komnaty purpurowy, kipiący od żądz. Rankiem Citlali dostała od niego list z terminem wesela. Podobno Quinatzin osobiście wyraził na nie zgodę, co oznaczało, że przyszła panna młoda nie miała już nic do gadania.

W nocy znów wywołała ją papierowa kula i znów mrukliwy przewodnik oczekiwał, gdy wyszła z pałacu przez kuchnię. Powstrzymując drżenie, ruszyła z nim przez parną, tollańską noc. Po godzinie dotarła do ubogiej, poprzecinanej kanałami dzielnicy, gdzie liczni przybysze z prowincji mieszkali na przycumowanych barkach. Powietrze pachniało gnijącą roślinnością, gdzieś blisko znajdowały się żyzne poletka *chinampa*. Citlali nigdy tu przedtem nie była.

Zatrzymali się w sieni jakiejś opustoszałej rudery cuchnącej jak wygasły piec. Towarzysz pokazał Citlali większy, oświetlony pochodniami budynek, leżący po drugiej stronie ulicy. Cały czas wchodzili tam i wychodzili ludzie wszelkich możliwych narodowości: krępi Maya, hardzi koczownicy, spoglądający spode łba Druazzi ze spiłowanymi zębami. Zobaczyła też

masywnego wojownika z niesławnego plemienia Otomi, którymi kruzańskie matki straszyły niegrzeczne dzieci. Przetyczki z kłów, zdobiące mięsiste wargi, nadawały mu wygląd rozjuszzonego pekari.

- To jeden z lepszych burdeli w mieście. I najdroższych. Wielu tutaj wchodzi... trudno każdego upilnować. Czasami wychodzi ich mniej - rzucił jej towarzysza, ciągnąc ją na górę po spróchniałych schodkach. - Jeszcze coś. Człowiek, którego zaraz spotkasz, jest jedyny w swoim rodzaju. Maszta nie toleruje sprzeciwu. Ma też łatwość ferowania wyroków, bo tym się właśnie zajmuje. Lepiej się z nim nie spieraj.

Citlali wzruszyła ramionami. Jej świat składał się z samych takich ludzi. W tym sensie pałac i Piramida Królów nie różniły się od tej rozległej rudery. Mijała pomieszczenia pełne przestępców, dzieci i wynędzniałych kobiet. Obszerna sala na piętrze nabita była mężczyznami i kobietami, którzy popijali *pulque*. Murrok zaśmiał się, widząc jej oburzenie, i popchnął ją lekko przez drzwi. Znalazła się w przytulnej alkwie, którą wypełniał ogromny, tłusty mężczyzna w bawełnianym kaftanie wielkości sporego żagla.

Siedział przy ścianie, z tłustym policzkiem przyciśniętym do muru. Na widok Citlali poklepał się po brzuchu, zatapiając pulchne, zaskakująco drobne łapki w piernatach własnego sadła.

- Dobrze, że przyszłaś. Chodź!

Zbliżyła się ostrożnie. Grubas posadził ją sobie na kolanach. Ciało miał obłe i sflaczałe, oddech słodki. Dysząc, sapał jej prosto do ucha. Nie mogła uwolnić się od wizji długiego, ruchliwego jęczora, który nurkuje w jej zmartwiałym z obrzydzenia wnętrzu jak węgorz w zatopionej czaszce. Wzdrygnęła się, ale łapki trzymały ją mocno.

Nie była na to gotowa. Ale wiedziała, że poślubiona, u boku czcigodnego małżonka, będzie jeszcze bardziej przestraszona, bezsilna i wściekła. Dlatego uciszyła serce, przywołała z powrotem uśmiech i zaczęła słuchać.

- Murrok cię przepuścił, gratulacje. Trenowałaś. Pora na pierwsze zlecenie.

- Już? Ale ja jeszcze... niewiele umiem - zaproponowała.

Grubas westchnął jak trapiiony zaparciem mors. Małymi łapkami podparł jeden z podbródków, który osuwał się żałośnie w stronę torsu, stęskniony towarzystwa równie obwisłych cycków.

- Szkoda, bo to nie jest szkoła. Ani hotel. Cóż, Murrok się tobą zajmie.

Zabójca mrugnął do niej pustym oczodołem. Już wcześniej zauważyła, że środek obumarłej tkanki zdobi wytatuowana żrenica.

- Przykro mi - szepnął, podrzucając nóż.

- Nie, poczekajcie. Pójdę. - Ze zdenerwowania plątał jej się język.

Murrok schował nóż, a grubas uśmiechnął się.

- Zuch dziewczyna. To nie jest aż tak trudna misja. Potrzebna jest nam twoja młodość i wdzięk. Wystarczy.

Citlali zacisnęła usta.

- Jak mam się do ciebie zwracać? - spytała, gorączkowo poszukując w nim ludzkiej słabości. Jakichkolwiek szczelin w tym monolicie sadła. Ten człowiek przytłaczał ją. Grubas posmutniał, składając potworne usteczka w parodii dziecięcej podkówki.

- Ci wszyscy okropni ludzie mówią na mnie Grubas, koteczku.

- Co mam zrobić?

- W sąsiednim... przybytku bawi pewien człowiek. Wpływowy w niektórych kręgach. Ostatnio wdrapał się całkiem wysoko. Za wysoko, jeśli mnie spytasz. Zbiera przysługi u ludzi, których wierność, dyspozycyjność i prawomyślność muszą pozostać niekwestionowane. W ten sposób wszedł w posiadanie cennych dokumentów, które dla nas odzyskasz.

- Dlaczego ja? - spytała, patrząc w ścianę.

Obok zaparowanego wizjera znajdowało się dziwne pokrętko. Tłuste ramię szpiega objęło ją niczym fala.

- Szukałaś kontaktu z nami. Spotkałaś się z agentem operacyjnym. Poznałaś nasze sekretne techniki. Po czymś takim musisz zostać sprawdzona i udowodnić przydatność. Murrok twierdzi, że masz duży potencjał.

- Co mam zrobić?

- Człowiek, o którym mówiłem, bawi się. Jest już pijany, zadbali o to nasi ludzie. Ale nie zdołasz wyprowadzić go na ulicę. Jest na to za dobrze chroniony i zbyt podejrzliwy. Dopuszcza do siebie tylko młode kobiety. Zabawki. I właśnie tym masz dla niego być.

- A potem? - Citlali pilnowała się i głos jej nie zadrżał. Choć przyszło jej to z trudem.

- Dosypiesz mu tego proszku do wina. Twój klient lubi popijać przy pracy. - Szpieg wręczył jej kryształowe pudzderko.

- Bądź przy nim, gdy straci przytomność. Przy sobie ma pewien dokument. I właśnie o ten drobiazg nam chodzi.

Citlali zżerała ciekawość, ale zdołała się opanować. Grubas uśmiechnął się lekko.

- To lista jego klientów i popleczników na dworze. Ciekawe świadectwo korupcji. Chroni ją szyfr, ale umiemy go złamać.

- Ilu ma ochroniarzy? - Citlali zwilżyła wargi językiem.

- Przynajmniej czterech Otomi. Uważaj na nich. To zwyrodnialcy. Odszczepieńcy, których wyrzekło się plemię. Szkoda, że nie zwerbowałeś ich pierwsi - w głosie szpiega zabrzmiał nieklamany smutek. - A teraz pokażę ci teren. Spójrz. - Wskazał jej dziurę w murze.

Citlali niepewnie przysunęła oko do szybki i prawie krzyknęła, zdumiona widokiem, który się przed nią odsłonił. W mur lupanaru musiał zostać wmontowany system luster, zapewniający dokładny ogląd komnaty w sąsiednim budynku. Na stosie wilgotnych poduszek kłębiły się nagie postacie. Kilka kobiet i chyba tylko jeden mężczyzna. Grubas pokręcił galką, sprawnie regulując ostrość. Ciekawe, jak długo tu siedział. To było naprawdę chore.

Uczestnikom orgii nie wystarczały ich ciała. Nie brakło tam wyuzdanych przedmiotów, zaopatrzonych w kauczukowe obręcze i pióra, ohydne wypustki i kolce. Widziała też wielką, rzeźbioną muszlę monstrialnego ślimaka. Nie wiedziała, czy był to fotel... czy raczej plugawa namiastka kobiety.

Choć Citlali nie była jeszcze z mężczyzną, dorastała na dworze, który nie sływał z pruderii. Widziała niejedno, ale

nigdy nie przypuszczała, że można to robić w ten sposób. Zadrżała, przeklinając swój idiotyczny rumieniec.

- Widzisz człowieka w masce tukana? To nasz ptaszek. Na szczęście w komnacie właśnie zamaryły igraszki.

Mężczyzna z zakrytą twarzą gestykulował, wzburzony. Zaczął wyganiać protestujące kobiety. Ptasia maska zakrywała mu twarz. Był ciężki, ale dobrze zbudowany, dość otyły, ale nie sflaczały. No, może z wyjątkiem, obwisłego fallusa. Z jego nerwowych, energicznych ruchów przebijał ledwo hamowany gniew. W kącie skuliła się naga dziewczyna, okry~ ta tylko rozpuszczonymi włosami. Bardzo, za bardzo młoda. Jej szczupłe plecy znaczyły pręgi. Mężczyzna podszedł, spluwając z pogardą. Mocnym szarpnięciem poderwał ją na nogi i pociągnął w stronę drzwi.

- Biedactwa, rozczarowały go. Widzisz, on wcale nie lubi zepsutych kobiet. Bo już nie może ich zbrukać - zachichotał Masztla. - Już myśli o lepszym mięsku.

Citlali oderwała się od wizjera. Nie miała ochoty znaleźć się z tym człowiekiem sam na sam.

- Pan Tukan jest bardzo wybredny. Musisz się czymś wyróżnić. Przyciągnąć uwagę... ptaszka. - Grubas mlasnął i zarechotał oblesnie, widząc jej zakłopotanie. - Nie powiem, że ci zazdroszczę.

- A potem? Czeka mnie jakaś nagroda? Awans? - spytała.

Pewnie nie powinna grymasie, ale czuła, że gdy będzie tu zbyt pokorna, to ją zjedzą. Szpieg delikatnie odsunął jej rękę.

- Trzy rzeczy. Zostaniesz pełnoprawną agentką Oczu. Do tego zapewnimy ci pieniądze i ochronę przed każdym człowiekiem w Mesziku, z wyjątkiem *tlatoaniego*. I bogów.

- A trzecia rzecz?

- W naszym fachu nie ma starości, podobnie jak rodziny, krewnych i uciążliwych przyjaciół. To oszczędza smartwień.

- Grubas uśmiechnął się smutno. - Zapewnimy ci brak przyszości.

Pomalowali jej twarz żółtą ochrą i indygo, ulubionymi barwicznymi nierządnic. Włożyła zwiewną, prześwitującą suknię, na której widok jej matka dostałaby apopleksji. W

rozpuszczonych włosach miała złote pasemka, w tykwie z winem skrywała usypiający narkotyk. Żałowała, że nie może ukołysać nim własnego serca. Pachniała lawendą i piżmem. Na pożegnanie Grubas poklepał ją w pośladek ruchem subtelnym jak machnięcie szuflą.

Potem opuściła rudere i ruszyła do sąsiedniego budynku. W sieni Murrok przytrzymał ją delikatnie i popatrzył z troską.

- Zaczekam tutaj na ciebie. Będzie dobrze - warknął.

Spojrzała na niego chłodno.

- Oko sobie popraw.

Chude ciało zabójcy zatrzęsło się w obszernych zwojach szaty. Pomyślała, że on łka, ale po chwili usłyszała zduszony chichot. Chcąc nie chcąc, uśmiechnęła się z przekąsem.

Murrok zastukał do drzwi zamtuza skomplikowanym, urwanym rytmem i schronił się w mroki kaptura. Z budynku wyłonił się rosły mężczyzna z pałąką. Dziewczyna poprawiła suknię, odsłaniając piersi. Może nie miała tak dużych cycków jak Mynque, ale umiała je pokazać.

Odźwierny przyjrzał jej się uważnie. Mniej interesował go Murrok, którego najwyraźniej uznał za alfonsa. Uniósł z aprobatą kciuk i zacmokał oblesnie. Citlali nagle poczuła się zbrukana. Pohańbiona. Nie tak to miało wyglądać. Odszukała spojrzeniem Murroka, który wzruszył ramionami i wsparł się o ścianę z niewzruszonym spokojem grabarza. Dalej musiała iść sama.

Na parterze bawiono się hucznie. W sali zdobionej lubieżnymi freskami zmieściło się przeszło trzydzieści osób. Przeważnie tańczyli i pili. Panowała rotacja, goście znikali za drzwiczkami do bocznych pomieszczeń, gdzie sądząc po odgłosach, działo się to, po co tam naprawdę przyszli.

Bogowie seksu byli po stronie Citlali, zdążyła na czas. Człowiek w ptasiej masce zszedł na dół. Ubrany we wzorzysty, pierzasty szlafrok, przechadzał się po zatłoczonym pokoju, po którym elipsami i trajektoriami godowego drobienia dreptały półnagie kurwięta. Niektóre nosiły maski, te mogły być znudzonymi mężatkami albo odgrywały tę właśnie fantazję klientów.

Z bliska okazały się jeszcze ładniejsze. Bogowie, niektóre były młodsze niż ona. Śniade, czerwone i prawie czarne. Była tu nawet piegowata, złotowłosa Białoskóra, ale nie wyglądała za dobrze. Musiała się cieszyć szczególnymi względami szczególnie odrażających gości. Pod nosem zaschła jej struzka czerwieni i drogiej koki sprowadzanej aż z krajów Inki. Klienci także nosili maski. Kilku sprawiało wrażenie zdegenerowanych arystokratów, kilku wyglądało na przestraszonych młodzieńców bezskutecznie szukających odwagi w modnej tego sezonu narkotycznej mieszance. Nie zwracała na nich uwagi.

Zobaczyła ochroniarzy Tukana, trzech czujnych, wytatuowanych w roślinne motywy wojowników z fantazyjnie spiętrzonymi czuprynami i spiętym wzrokiem ludzi, którzy źle się czują w czterech ścianach. Dwóch Otomi skupiło się na bezpieczeństwie Tukana. Facet z kłami, którego widziała już wcześniej przed domem, warował przy schodach na górę. To tam ptaszek uwił miłosne gniazdko.

Byli dobrzy. Kiedy z jednej z klitek wytoczył się pijany, umalowany facet z czupryną splecioną w warkoczyki krużańskiej mężatki i ruszył w stronę Tukana, przybocznicy odsunęli go, zanim Citlali zdążyła mrugnąć. Cały czas trzymali się blisko szefa, najwyraźniej nie zabierał ich tylko do łóżka.

W sali było też kilku zwyczajnych żołnierzy, ich płaszcze zdobiły cętki, zapowiedź przyszłego statusu. Kadeci od jaguarów. Citlali przyglądała im się z obojętnością, którą nagle zastąpił lęk. Jeden z nich, niski, bardziej przypominał smętnego bibliotekarza niż wojownika. Zza jego pleców wyglądał drugi, wysoki jak drzewo, przepasany żółtą szarfą, odznaką niewolnika - *ursa*.

Citlali odwróciła się szybko. Tylko ich tu brakowało.

Każdy młody człowiek musi w końcu odwiedzić burdel. W przypadku dobrze urodzonych młodzieńców, robiących oficerską karierę w stolicy, potyczka z kurwą była ważnym bojowym chrztem - bardziej pewnie nieodzownym niż ten na polu bitwy.

Tennoka namówili na tę eskapadę jego nowi koledzy z pułku - istna śmietanka rozpieszczonych paniczków ze wszystkich

zakątków imperium. Kadeci zabrali ze sobą *ursów* z pochodniami, w nocy miasto spowijała ciemność. Nie mieli problemu z wymknięciem się z Calmecac. Dyscyplina była tam tak słaba, że książe podejrzewał, iż władcy Przymierza celowo deprawują zakładników, osłabiając w ten sposób ambitne lokalne rody.

Tennok zgodził się na wyprawę od razu, nie chcąc znowu ustawiać się na pozycji odludka. Co więcej, tym razem poddał się żołnierskiej tradycji z prawdziwą, niekłamaną ochotą. Miał powód.

Bo Tennok nadal pamiętał ją. Egzotyczną, dobrze zbudowaną ślicznotkę z pałacu, którą spotkał na święcie Tezcatlipoki. Panoszyła się w jego myślach i snach. Nie chciała się od niego odczepić, nie poddawała się logice i cynizmowi, modlitwom i innym, bardziej manualnym praktykom. Była to miłość giętka jak wiklina i wytrzymała jak kauczuk, uporczywa jak twardy pasożyt skóry. Jednym słowem, ich urojony związek miał przyszłość. A teraz znowu ją spotkał. To musiał być jakiś znak.

Na jej widok zapomniał, że znajduje się w gwarным burdelu, pod baczynymi spojrzeniami ludzi, od których pewnie zależy jego kariera. Zapomniał, że ma na sobie szary mundur kadeta, z żółto-czerwonymi insygniami Korpusu Jaguarów, za którym panny podobno wodziły oczami. Na razie to on się gapił, ze skamieniałą twarzą i członkiem niczym rażonym piorunem.

Dziewczyna przysiadła na ławie. Zdawała się nieświadoma spustoszenia, jakie szerzyła, niewinna i czysta jak wydestylowana trucizna. Suknia szczelnie opinała jej ciało, giętka jak brzozowa witka. Jej koci wdział smagał męskie zmysły niczym jedwabny bicz. Była wyższa niż kobiety Kruzów i miała inne rysy, przywodzące na myśl otwarte przestrzenie i huczące rzeki, z ciemnymi, tajemniczymi oczami jak niezgłębiony las.

Tylko co, na wszystkich podziemnych bogów, jego muza robiła w burdelu?

Fakty były bezlitosne. Ponętne kobiety zajmują się w lupanarach tylko jednym, cnotliwe sprzątaczkami zaś, szczwane burdelmamy, znachorki i powiernice występują w tych

przybytkach w zdecydowanej mniejszości. Oczywiście, żaden zakochany młodzieniec nie może się pogodzić z myślą, że jego ukochana jest kurwą. Miłość i kurewstwo wykluczają się i umysł prędzej dozna halucynacji, niż pozwoli sobie na taki dysonans. Nie inaczej było w przypadku Tennoka, który od razu uznał, że jego słodka, boleśnie niewinna dziewczyna odbywa tu jakąś szlachetną, awanturniczą misję. Ratuje zbłąkaną, upadłą krewną. Na pewno.

Przyglądał jej się, zdumiony. Zrobił nawet krok, bluznierczy krok w stronę swojego bóstwa, ale zaraz zatrzymał się i dla niepoznaki spojrzął na zdobiący ścianę fresk. Przedstawiał noc poślubną Legyotla, Pana Chuci, i setki jego Niebiańskich Zon. Wszystkie postacie na fresku obdarzone były nadmiarową liczbą genitaliów, języków, sutków i mniej jednoznacznych, acz dobrze zagospodarowanych narządów. Książę zaczerwienił się. Tęsknota, którą zdążył podważyć i wykpić, wróciła jak nawrót choroby, otwarta, ledwo zabliźniona rana. A przecież jego wybranka była zwykłą dziewczyną, podobną do setek innych. Tyle że na jej widok zamierał, jak zwierzę przeszyte włócznią.

Tennok nie śmiał drgnąć. Za nic w świecie nie chciał jej spłoszyć.

*

Citlali działała szybko. Podeszła do Tukana, który na jej widok zastygł wyczekująco. Powinieneś mieć maskę sępa, pomyślała, preżąc się przed nim powabnie. Tukanowi zadrgała grdyka, przez chwilę wydawał się naprawdę zdumiony. Aż tak mu przypadła do gustu? Najwidoczniej, bo złapał ją palcami zakrzywionymi jak szpony i zaciągnął w stronę strzeżonych schodów. Ochroniarze zostali na dole.

Komnata Tukana cuchnęła, jakby coś tam umarło. Pewnie stracone złudzenia. Citlali zmarszczyła nos. Na myśl o tym, że Grubas podkreca teraz swoje plugawe gałki i ślini się z rozkoszy, zrobiło jej się niedobrze. Potem drzwi za nimi zatrasnęły się, a Tukan powoli zdjął maskę.

Kiedyś, gdy Citlali była mała, wiele dni męczyła Kyse pytaniami, czy dostanie na urodziny prezent niespodziankę. W

wyznaczonym terminie matka zabrała ją, nic nie podejrzewającą, do kuchni i mimo jej protestów, uwiązała na godzinę nad ogniem. Żeby podwędzanie było skuteczniejsze, Kysa nie omieszkła wrzucić do ognia gorącego chilli. Jak mawiali Meszikowie, złe humory wyciekają wraz ze łzami. Do dziś Citlali pamiętała szok, jakim był dla niej widok przygotowanego do zabiegu paleniska, odczucie strachu, upokorzenia i, przede wszystkim, dojmującego wstydu.

Tak właśnie wyglądał jej narzeczony bez swojego rozpustnego przebrania. Twarz Myskanto objawiła serię gwałtownych, niekiedy sprzecznych impulsów: żądzy, gniewu, zawodu. Citlali była pewna, że jej własne oblicze wyraża nie mniejsze zdumienie. Była też przekonana, że w swójej plugawej kanciapie Masztla zaśmiewa się teraz do łez. I reguluje ostrość.

- Co ty tu robisz? - wybełkotał.

Citlali wzięła się w garść. Już wiedziała, dlaczego dostała tę robotę. Uśmiechnęła się słodko i położyła mu palec na ustach.

- Biedny chłopczyk. Zakochał się w niewinnej, czystej dziewczynie i bardzo się rozczarował. Ale zaraz zobaczy, że to zupełnie nie tak. To nic złego, że dziewczyna na siebie zarabia.

- Przecież wszystko już... przygotowania... twoja matka... - Myskanto nie dawał za wygraną.

Citlali zrzuciła suknię. Podniosła nagie ramiona i zaplotła je wdzięcznie nad głową, dając piersiom okazję do przedstawienia swoich argumentów.

- Chciałeś nudną, porządną żonę, a dostajesz cudowną kochankę. Przeważnie bywa odwrotnie.

Wewnętrzne zmagania, które toczyły się w duszy kupca, rozstrzygnęły się na korzyść rozpusty. W pośpiechu zdejmował okrycie, ze zdenerwowania płacząc się w bawełnianych rękawach. Citlali prawie parsknęła śmiechem. Tacy są najgorsi. Potrafią prześladować dziewczynę z całą bezwzględnością, a gdy już złamią jej opór, zaczynają grać rolę lirycznych kochanków. Wydobył się wreszcie z szat i zamarł, wpatrując się w nią z napięciem. Kiedy zsunęła całkiem suknię, piersi podskoczyły jak drapieżne, nieokiełznane zwierzątka. Jej sutki

stężały w oczekiwaniu. Uszczypnęła je, karząc za radość, którą sama zaczęła odczuwać, wbrew sobie, rozsądkowi i logice chwili. Kołysząc kanciastymi jeszcze, dziewczęcymi biodrami, zbliżyła się do skamieniałego Myskanto.

- Musimy się napić - szepnęła, sięgając po tykwę z *pulque*.

Zasłoniła ją tak, by nie spostrzegł, jak wsypuje do naczynia proszek. Był to usypiający ekstrakt z jadu węża. Murrok twierdził, że mikstura powali nawet szarego niedźwiedzia.

Przechyliła tykwę i pozwoliła, by trunek spłynął po jej szyi i niżej. Potem dosiadła Myskanto. Jęk bólu, którego nie musiała udawać, tylko go rozochocił. Dziewczyna podsunęła mu piersi. Chłęptał z nich doprawione *pulque*, jakby to była woda życia. Po chwili jego oczy zmętniały. Ciotlali odprężyła się. Poszło lepiej, niż się spodziewała.

Przeszukała zdobiony, wzorzysty pas kupca i podszewkę leżącego na krześle płaszcz. Nic. Myskanto nie był tak głupi i na pewno nie ufał dziwkom. Zwróciła uwagę na masywną bransoletę, która zdobiła jego lewy nadgarstek. Wymacała pod nią niewielki, podłużny kształt. Był to papierowy rulonik, zapisany nieznanym jej pismem. Zadowolona, ruszyła w stronę schodów, zastanawiając się, co powie Otomi.

Coś kazało jej się zatrzymać. W komnacie za jej plecami było cicho, zbyt cicho. Powodowana jakimś natrętnym przeczuciem, cofnęła się i jeszcze raz spojrzała na chrapiącego mężczyznę. Jego pierś nie poruszała się.

Myskanto nie żył.

*

Tennok leżał w małej, cuchnącej klitce w jednym z bocznych pomieszczeń burdelu. Był nieszczęśliwy, nieszczęśliwy dużo bardziej niż zwykle. Tej nocy zrobił wszystko, by dobrze się bawić. Dopiero teraz, w przygnębiającej atmosferze lupanaru, kołysany chrapliwym oddechem zakatarzonej, krępej dziewczyny, która zbyt skwapliwie zapewniała, że jest przystojny i zbyt szybko zaczęła udawać rozkosz, na chłodno ocenił swoje położenie.

Ponuro przesunął dłonią po plecach ladacznicy, którą posiadał,

i porównał tę szorstką, jakby wyświechtaną od zbyt licznych dotyków skórę z kremową doskonałością tamtej.

Przyzwoite, trudniej dostępne dziewczyny wydają się w łóżku bardziej nagie, bo na co dzień zakrywają swe erotyczne sanktuaria. Nakłonienie takiej obwarowanej, fukającej na fiuta panienki do rozłożenia nóg nosiło miłe znamiona podboju. Bogowie, przecież te najpiękniejsze ulepione były z zupełnie innej substancji, jedwabistej jak spienione światło.

I właśnie tego w chwili obecnej nie doświadczał. Czar prysł, spod woni potu i perfum wydostawały się zastarzałe wyziewy seksu i niedomytych ciał. Pochrapująca dziewczyna wciąż lepiła się od jego nasienia. Nie miało to żadnego znaczenia. Nadal był zakochany w Citlali.

Poczuł przypływ senności i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że poranek w tym kurwim barłogu będzie przygnębiający, podobne jak cena, której dziewczyna zażąda. Przez chwilę zmagał się z opadającymi powiekami, gdy nagle zwykle odgłosy zamtuza, stękania i jęki oraz charakterystyczne plaskanie brzucha o nagie pośladki rozdarł ryk rozjuszonego mężczyzny, łomot i tupot nóg.

W sekundę później do klitki Tannoka wpadł Haran, którego zostawił pochrapującego w korytarzu, zawiniętego w obszerną opończę z kapturem. Barbarzyńca dobył noża, oczy płonęły mu dziko.

- Wstawaj!

*

Pierwszym odruchem Citlali na widok zwłok niedoszłego męża była chęć natychmiastowej ucieczki. Stała już w progu, gdy do stłumionej świadomości przedarło się ostrzeżenie: „Myśl albo po tobie!”.

Przypomniała sobie trzech ochroniarzy Otomi, którzy warowali w holu, czekając na powrót pana.

Zawróciła i poprawiła suknię, jakby prześwitująca tkanina mogła ją uchronić przed głodnym spojrzeniem trupa. Z oczu Myskanto wyparowały już podziw i żądza. Teraz, gdy zgon rozluźnił butną linię ust i wydatnej szczęki, kupiec wydał jej się

wręcz sympatyczny.

Usiadła obok niego na łóżku. zamknęła jego ciężkie powieki. Na schodach ktos nasłuchiwał, zaniepokojony przedłużającą się ciszą. Dziewczyna otarła łzy i dzielnie zmieniła wzbierający w gardle szloch na przeciągły jęk. Aby oczekiwaniom wścibskiego strażnika stało się zadość, dodała dźwięki ugniatanego materaca, wybijając rytm jędrnymi pośladkami. Jej spektakl trwał może piętnaście minut, na tyle wyceniała możliwości krzepkiego mężczyzny w wieku dzielnego Myskanto.

Potem skuliła się na łóżku, modląc się do bogów. Po drugim kwadransie wstała i ruszyła do drzwi. Zanim dotknęła zamka, poprawiła włosy i wysunęła nieco lewą pierś, aby strażnicy mieli się na czym skupić.

Na sali trochę się przeredziło. Sądząc po stłumionych odgłosach, większość par przeniosła się do bardziej intymnych klitek. Ochroniarze Myskanto czekali przy schodach i chyba doskwierała im nuda. Jak przystało na członków dumnego narodu myśliwych, karmili okruchami tłustego, zagonionego w kąt szczura, który łykał je z podejrzliwą miną, nie wierząc własnemu szczęściu.

Gdy weszła, Otomi poderwali się. Gapili się na Citlali z zimną czujnością zwierząt. Powitała ich zmęczonym uśmiechem dziewczyny, która uczciwie zarabia na chleb. Otomi odpowiedzieli jej ponurymi minami psów, którym nawet nie rzucają resztek. Typ z kłami poderwał się, ruszając do komnaty pana. Zatrzymała go wdzięcznym gestem, modląc się, by był tak tępy, jak wyglądał.

- Twój pan jest zmęczony. Bardzo... - dodała, uśmiechając się znacząco. Popatrzył na nią uważnymi oczami jaszczurki. - Będzie naprawdę niezadowolony, gdy go zbudzisz, wiesz?

Otomi wzruszył ramionami i uśmiechnął się z drwiącą pogardą. W sukurs przyszli jej jednak pozostali ochroniarze, którzy trwożliwie zatrzymali kolebę.

Ruszyła dalej. W przedpokoju drzemało kilku *ursów* do noszenia pochodni. Jeden z nich, wysoki chłopak zawinięty w płaszcz, łypnął na nią spod rozwichrzonej grzywy. Przypomniała sobie adoratora z festynu, ale nie zatrzymała się.

Gdy wybiegała na zewnątrz, usłyszała zaskoczony, urażony pisk nadeptanego szczura.

Z ulgą odetchnęła chłodnym powietrzem nocy. W porównaniu z tłokiem, jaki tratował okolicę za dnia, noc była swobodna i czysta. Z oddali dobiegały stłumione dźwięki muzyki. Po chwili sprofanował ją dziki wrzask oburzenia i strachu.

Ochroniarz jej nie posłuchał. Zły pies.

Pobiegła, jak mogła najszybciej, w stronę przechodniów i światła. Świadków.

Zatrzymała się, dezorientowana, skręciła w wąską uliczkę.

I zobaczyła, że węszący, zgarbieni Otomi suną za jej plecami, a jeden z nich, z napiętym łukiem w ręku, który jakimś cudem zdołał ją wyprzedzić, zagradza jej drogę od frontu.

Myślała, że chcą ją zabić, ale z ulgą, która zaraz przeszła w odrazę, zorientowała się, że odkładają broń. I rozpinają spodnie. Rzucili się na nią, obalili w błoto. Jej ślubne łożo. Strzaskane usta dziewczyny wypełniła krew, płynęła też z dołu, z miejsca, gdzie dłoń o długich, brudnych pazurach brutalnie ugniatała jej uda. Citali zignorowała ból i uderzyła gwałciciela kolanem w jądra, zrewanżował się jej policzkiem, po którym prawie odpadła jej głowa.

- To kara, suko. Wcale nie będzie przyjemnie! - dyszał mężczyzna z kłami. Był ciężki, tak ciężki, że prawie nie mogła oddychać. Gniotący zebra kałdun odbierał powietrze i dusił krzyk w jej pokąsanych piersiach, mokrych od śliny i krwi.

Gdy jakiś ciemniejszy kształt poderwał go z niej i podniósł wierzgającego w górę, wirując w półmroku jak upiorny niedźwiedź, odraza, przerażenie i ból wydobyły się z jej uwolnionego ciała dzikim, nieludzkim wyciem. Walczący podrygiwali i obracali się dziko, jak zarażone wściekłą kukły. Citali z tępym zdziwieniem rozpoznała w jednym z nich ogromnego barbarzyńcę z festynu.

Otomi z łukiem odwrócił się, zdumiony, macając wbity w bark nóż. Tennok zaklął. Celował w szyję. Rozglądał się za jakąś bronią, dygocząc jak galareta. Wtedy ujrzał rozlewającą się po płaszczu tamtego krew. Od razu poczuł, jak zdradziecko wiotczącą mu nogi, a całe ciało zastyga i tężeje. Roztrzęsiony,

nagle zamrożony glut. W sukurs przyszedł mu jego *urs*. Na przekór swej masie, Haran poruszał się bardzo szybko. Cisnął tym z kłami o bruk, rozbryzgując niewielki mózg na kamieniach i kopnięciem w pachwinę obalił rannego łucznika.

Wtedy trzeci ochroniarz potężnie zdzielił barbarzyńcy pałką. Normalny człowiek by upadł, ale Haran tylko przykląkł zasłaniając przedramieniem twarz. Drugi cios uderzył go w głowę. Otomi splunął na obalonego wroga i ruszył na zastygłego w strachu Tennoka. Skupiony na swojej ofierze, Otomi nie zauważył, jak zza węgła wylania się bezszelestna, owinięta w ciemną opończę postać. Ochroniarz uniósł oburącz maczugę i szeroko rozstawił nogi, szykując się do tryumfalnego rozstrzygnięcia. Przerwało mu impertynenckie chrząknięcie. Dzikus odwrócił się i umarł, gdy sztylet Murroka zapoznał się z jego sercem.

Zabójca rozejrzał się z niesmakiem i splunął.

- Bogowie, co za rzeźnia. Tyle krwi, a jak mało trafień.

Szybko okrył dziewczynę płaszczem i bez widocznego wysiłku poderwał ją na nogi. Odeszli z miejsca walki, mijając jej nieoczekiwanych wybawców. Tennok nadal dygotał. Jego wysoki towarzysz miał szeroko otwarte oczy. Gdy Citlali mijala go, otworzył oczy i spróbował wstać. Twarz zalewała mu krew, jego głos zadudnił w krzepnącej ciszy jak gong:

- Podziękowania bywają zbyteczne. Ale Haran prosi cię o imię
- rzekł.

Citlali zatrzymała się. Gdyby nie to, że przed chwilą omal została brutalnie zgwałcona, pewne spieklaby raka. Tak, tylko uśmiechnęła się słabo.

- Cit... la... li - szepnęła, układając rozbite usta w coś, co kiedyś znów będzie uśmiechem.

Rozdział 26

- Zabiliście go! Wy zdradzieckie, bezczelne psy! - głos Quinatzina niknął w zionącej na dachu piramidy pustce. Tłumił go wiatr, ale furii, która gorzała w sercu władcy, nie zgasił.

Wcześniej dosłownie wbiegł na najwyższe piętra Czerwonej Świątyni, ignorując mijanych strażników. Nie mogli go powstrzymać, chyba żeby chcieli wywołać wojnę domową. I to właśnie jest ich słabość, pomyślał. Kapłani mogli posunąć się do intryg i skrytobójstwa, ale mieli zbyt wiele do stracenia. Dbali o interesy kasty, konfraterni i państwa, a także o tajemnicze widzimisię bóstw. Quinatzin kierował się własnym dobrem... i szybciej podejmował decyzję.

- Tu jestem, imperatorze - zduszony głos Szurukana dobiegł z drugiego końca tarasu.

Zobaczył go tam, drobną sylwetkę w prostej, czarnej szacie, z rozpuszczonymi włosami i nogami skrzyżowanymi na udach. Wyglądał jak stary posążek. Na dachu nie było już żadnych strażników.

Ku jego zaskoczeniu, Szurukan medytował na zwykłym, zgrzebnym kocu, przy glinianej miseczce na papier i krew.

Obok naczynia leżał zakrwawiony kolec z agawy, a głos kapłana sugerował, że Szurukan przekłubał niedawno język. Kto jak kto, ale Czerwony Kapłan nie wyręczał się bólem *ursów*.

- Zaskoczony? Myślałeś, że w prywatnych pieleszach zabawiam się z młodymi niewolnicami? Albo, co gorsza, z chłopcami?

Quinatzin milczał. Wstyd przyznać, ale właśnie tego oczekiwał. Jak mawiają, pierwsze wrażenie utrwała się. Zwłaszcza to niekorzystne. Dla niego duchowni zawsze byli przede wszystkim bandą obleśnych, unikających uczciwej roboty pedałów o śmiesznych, fałszywie intonujących głosach.

- Jak widzisz, na szczycie świata jest zimno - w głosie kapłana nie było uzalania się nad sobą, tylko proste stwierdzenie faktu.

- Za to wzrok sięga daleko. Co sprowadza tutaj mojego pana i władcę?

- Zdrada - wycedził Quinatzin, wypatrując przy Szurukanie broni. Nie było jej, podobnie jak ochroniarzy, Tysiąca Oczu, żadnych kapłanów z zatrutymi dmuchawkami. Stary chuj musi naprawdę ufać bogom, pomyślał.

- To poważne oskarżenie. Dopraszam się konkretów - powiedział Szurukan spokojnie.

- Myskanto. Dostojnik z Gildii Kupców, który zgodził się finansować moją wyprawę przeciwko Tlaszkali. Dziś w nocy został podstępnie zabity. Zabiliście go! Wy zdradzieckie, bezczelne psy!

- My? Ja osobiście czy któryś z moich kapłanów?

- Och, przestań. Obaj wiemy, że to ty rozkazujesz Tysiącu Oczu. Przecież nawet ulica śmieje się, że Oczy są często przekrwione, bo służą Czerwonej Świątyni.

- Błąd. Tysiąc Oczu są po prostu apolityczni, co zawsze będzie solą w oku tyrańskiej władzy. Kierują się interesem imperium, podobne jak reszta jego instytucji. Odrodzone Przymierze nie stało się jeszcze tyranią, na przekór twoim wysiłkom. Nie rozkazuję szpiegom. A Oczy mogły odkryć coś, co skłoniło ich do takiej, a nie innej decyzji. Na mieście mówi się, że ów Myskanto prowadził interesy w Tikal.

Quinatzin zastanowił się. Jeżeli Szurukan nie kłamał, to musiał uwzględnić ten czynnik. Samodzielna decyzja wywiadu? Ale każdy wiedział, że Myskanto znajduje się pod królewską opieką. Stary Chimalpopoka, szara eminencja pałacu i szef Tysiąca Oczu, nie miał ambicji politycznych. Brakowało mu woli na rozgrywanie własnej partii o władzę. Tacy ludzie najlepiej czuli się w cieniu, podobnie jak karaluchy i wszy. Albo bardzo starali się wywierać takie wrażenie.

- Może masz rację. Sposób dokonania zbrodni sugerował osobistą zemstę. Daleką od typowej dla naszych szpiegów finezji. To była barbarzyńska jatka, wokół lupanaru walały się sterty trupów.

Na twarzy Szurukana pojawiło się zaskoczenie. Trwało to zaledwie moment, ale Quinatzinowi tyle wystarczyło. On wiedział!

Znał pierwotny plan operacji, a teraz zaskoczyło go odstępstwo. Tak, czarnym koniem musiał się okazać tutaj człowiek, który wymordował ochronę Myskanto.

Quinatzin odwrócił się do Czerwonego Kapłana plecami, stając przy krawędzi dachu. Odezwał się zduszonym głosem:

- To musieli być szpiedzy z Tikal. Mają swoich ludzi wśród ludności napływowej, od dawna to podejrzewaliśmy.

- Przykro mi z powodu twojego bankiera - rzekł Szurukan pojednawczym głosem. Jego grube rysy krzywiły się w wyrazie smutku. Gdyby Quinatzin nie znał go tak dobrze, bez trudu uwierzyłby, że uczucie jest prawdziwe.

- Tyle przygotowań... starań. Bez Myskanto Gildia Kupców cofnie nam swoje poparcie. W tym roku nie poprowadzę wyprawy.

Szurukan podniósł się zgrabnie i stanął tuż obok władcy. Pociuszając położył mu dłoń na ramieniu. Jak w dzieciństwie, gdy ojciec przebywał na jakiejś dalekiej, wojennej wyprawie, a mądry Szurukan łaskawie objaśniał mu tory gwiazd i zawiłe genealogie bóstw. Była w tym jakaś intymność, jakiś zwodniczy spokój.

- Poradzimy coś na to, Quinatzinie. Obiecuję.

Quinatzin odwrócił się nagle i uderzył Czerwonego Kapłana łokciem.

Trafił w zęby. Pełne wargi Szurukana pękły jak rozdeptane robaki. W jego oczach pojawiło się bezbrzeżne zaskoczenie. Quinatzin odwinął się, upojony tym nagłym tryumfem. Widział już ciało starca, zgruchotane, osuwające się z dachu i spadające po stopniach, po których latami spływała krew ofiarna. Roztrzaskane o uliczny bruk.

Uderzył go znowu, ale tym razem jego pięść nie dotarła do celu. Szurukan odwrócił się miękko. Jego ciało wiło się już wokół zdumionego Quinatzina jak kauczuk, palce wybijały rytm. Władca poczuł mrowienie na przedramieniu, koło łokcia. Potem był splot słoneczny i miejsce z boku głowy, gdzie szczęki

zbiegają się z czaszką. Kolejne ciosy, ba, wymierzane od niechcenia klapsy, uderzały w ośrodki nerwowe, paraliżując i zsylając potworny ból. W chwili gdy młody król runął na ziemię, był już płonącym kłębkim podrażnionych nerwów. Nie wiedział, że mapa bólu jest taka wielka.

W końcu Szurukan uklęknął przy nim, ocierając chustką zakrwawioną twarz. Nawet się nie zadyszał.

- Widzisz, kiedy ty zabawiałeś się z dziwkami albo snuleś rojenia o sławie, ja nauczyłem się obserwować i milczeć. Zgłębiłem cudowny gmach Duszociała, w którym wiemy nasze oślepie istnienie. Studiowałem ból.

Quinatzin jęczał.

- Wiem, o czym myślisz, królu. Nie zrzucę cię z tego dachu. To załatwiłoby wiele spraw, ale byłoby także przyznaniem się do słabości. A ja naprawiam to, co osłabione i chore. Mierzę się z tym, nie uciekam w marzenia. Twoi przodkowie wiernie służyli imperium, a my, kapłani, nie odrzucamy pochopnie symboli, które legitymizują nasz ład. Dlatego, krnąbrny młodzieńcze, postaram się ciebie wychować.

Czerwony Kapłan klasnął w skrwawione dłonie.

Na dachu pojawiła się kobieta w obcisłej, wężowej sukni, z odsłoniętymi piersiami. Wokół niej załamywał się czas, jej ruchy miały dziwny, rwany rytm, od którego mętniał wzrok i robiło się niedobrze. W ramionach tuliła niewielką istotkę, która wyglądała jak głodny kłębuszek cienia. Niewidzialne, ostre kły wpiły się Quinatzinowi w duszę i szarpały ją, jak kotek wędzoną rybę. Nigdy nie czuł tak potwornego bólu. Złowieszcza, duchowa energia rozrywała mu umysł na strzępy, powodując przy tym namacalne, fizyczne cierpienie, przy którym ciosy Szurukana zakrawały na słodką pieczęotę. Ból jak ocean ognia.

Szurukan zaklaskał i koszarne odczucia Quinatzina nieco zelżały. Otworzył oczy. Jego kat wyglądał na zadowolonego.

- To Zeira. Służy w Zakonie Matek. Jej *doggen* potrafi dużo, dużo więcej. To był dopiero przedsmak tego, co potrafi. Obyś wyniósł naukę z dzisiejszej lekcji. I jeszcze jedno.

Na znak Czerwonego Kapłana ból zmalał jeszcze bardziej i

Quinatzin przestał szlochać. Wbił w prześladowców zażawione, szalone spojrzenie.

- Nie chcemy, żebyś posyłał kruzańską młodzież na śmierć. To egoistyczne i podle, Quinatzinie. Radzę ci po raz ostatni, zapomnij o wyprawie przeciwko Tlaszkali. Inaczej Zeira znowu do ciebie przyjdzie.

Quinatzin miał wiele kaprysów i jeszcze więcej słabości, z których zaledwie kilka mógł uznać za nieszkodliwe. Pożywiał się późno w nocy i niechętnie nakłuywał się publicznie, przerywał starszym i nie wierzył w bogów. Lubił patrzeć na pomysłowe tortury i odsyłać nałożnice po jednej upojonej nocy. Ot, zwykle, imperatorskie kaprysy. Ale akurat z tego dziwactwa był dumny, bo nieraz podsuwało mu nowe pomysły.

Wymykał się z pałacu w stroju żebraka, oczywiście w dyskretnej eskorcie Oczu. W ten sposób mógł obserwować swoje ulice z dystansu, którego napuszeni starcy pokroju Szurukana zupełnie, ale to zupełnie nie znali. Przynajmniej tak sądził.

Było to szczególnie dobre, gdy targała nim bezsilna furia. Dziwne, że odkąd oficjalnie został *tlatoanim*, te eskapady zdarzały się częściej. Jakby trudnej mu było chronić swoją dumę zwykłymi środkami, takimi jak wino, ofiary czy dziewczki.

Razy Szurukana były bolesne, to spotkanie z *doggenem* wypaliło w nim trwały ślad. Nie mógł spać ani przełknąć choć odrobiny pieczeni i już tylko *pulque* z miodem i jelenim mlekiem zasilalo jego udręczony organizm. Ale po tygodniu strach zelżał, a wraz z nim ustąpił ból. Quinatzin zjadł przyzwoity posiłek i zaczął na poważnie planować zemstę.

To przyspieszyło rekonwalescencję. Gdy tylko doszedł do siebie, od razu postanowił się udać na przechadzkę.

Wybrał swoje ulubione miejsce, kupiecką uliczkę nieopodal Zaułku Filozofów. Zwykła, ruchliwa dzielnica, ale dość blisko slumsów, żeby poczuć prawdziwe nastroje Tollan. Jego ludzie oczyścili dla niego bramę i teraz obserwowali dyskretnie, jak sadowi się tam, owinięty w łachmany. Strój o tyle dobry, że nikt z mieszczan nie krępował się przy nim, jakby był tylko cuchnącym powietrzem.

Handlował tu sprzedawca żywności. Oferował kacze jaja i małe jajeczka owadów, ryby z jeziora i warzywa pochodzące z mulistych poletek *chinampa*. Jego klientelę stanowili lokalni mieszkańcy. Quinatzin widział przystrojoną żonę kruzańskiego pióropusznika i kudłatego farbiarza z poplamionymi palcami. Był też tragarz z plemienia Otomi i targująca się długo Kruzanka.

W południe przed kramem pojawił się zawodowy wojownik. Kruz, i to starej daty. Nosił szeroki kapelusz z palmowych liści, chroniący głowę przed słońcem. Sandały miał całe w kurzu i błocie, musiał przejść na piechotę po grobli, idąc od strony stałego lądu. Zapewne był drobnym właścicielem ziemskim. Bardzo drobnym, bo nie towarzyszył mu żaden sługa. Ale jego *macahuitl* wyglądał na używany i ostry, a wyprostowana, żołnierska sylwetka i sprężysty krok sprawiały, że przechodnie szybko usuwali mu się z drogi.

Gdy zdjął kapelusz, w cieniu wielkiego parasola, który osłaniał stragan, każdy mógł ujrzeć jego dumny czub wojownika, przetyczkę w nosie i zestaw chwalebnych blizn.

Był to szlachcic starej daty, ale na ulicach bujnie plenił się teraz zupełnie inny typ ludzi. Lepiej odżywiony i lepiej ubrany. Ci „nowi ludzie” używali mniej słów, traktując je z nonszalancką pogardą. W końcu przemawiały za nich klejnoty i drogie stroje. Najwięcej widywało się ich pośród kupców, ale Quinatzin zaobserwował, że Kruzowie z kasty wojowników też przejmowali ten styl. W końcu jedna z kast biegnie po palmę pierwszeństwa, z reguły takie uśpione konflikty rozstrzygała krwawa wojna domowa.

Właśnie tacy ludzie wierzyli Szurukanowi. I przywilejowani. Wierzyli, że walczą w imieniu Boga Słońca i podtrzymują jego wędrówkę po niebie.

- Sprzedałeś mojej żonie zepsute nasiona - powiedział Kruz do sklepikarza, który zbladł i tłumaczył się cicho. Po chwili znikł na zapleczu i wrócił w towarzystwie właściciela. Jeszcze tłustszego i odzianego bogaciej. Jego skora miała lekko marchwiowy odcień, charakterystyczny dla amatorów kąpieli w soku śluzowca.

Quinatzin pokiwał głową. Pomarańczowy kolor stawał się powszechnym wyznacznikiem statusu. Sok służowca był bardzo drogi i bardzo uzależniający. Podczas kąpieli dostosowywał się do temperatury ciała i stymulował zmysły. W połączeniu z innymi narkotykami stanowił na terenach Przymierza najtańszy bilet do rajów.

- Oszukałeś ją - krzyknął wojownik.

Handlarz wytrzymał jego spojrzenie.

- Zalegacie z rachunkami od tygodni, Koteotlu. Jak można oszukać oszusta?

Wojownik sapnął z wściekłości i uderzył miłośnika służowca, który ciężko runął na zakurzoną ziemię. Ale zamiast błagać lepiej urodzonego o litość, zrobił coś, co zaskoczyło Quinatzina. Sięgnął po mały gwizdek i dmuchnął co sił.

Tlatoani myślał, że kupiec przyzywa psy, lecz z bramy wybiegło trzech ludzi z krótkimi pałkami. Dwaj nosili nastroszone fryzury Otomi, a trzeci, w szerokim kapeluszu z kukurydzianej słomy, mógł być tylko jednym z wędrownych *Druazzi*. Barbarzyńcy.

Ruszyli na Kruza, który zawahał się, lecz presja honoru okazała się dla niego zbyt silna. Dobył staroświeckiego *macahuitla* i stawiał czoła napastnikom.

W chwili gdy połała się pierwsza krew, Quinatzin oddalił się. Takie miał zasady. Król jest dla poddanych jak ojciec. Powinien pozostać neutralny i trzymać się z dala od krwawych burd swoich pociech. Kruz był bez wątpienia świetnie wyszkolony, Quinatzin poczuł dumę, że wywodzi się z tego dumnego narodu. Ale niestety przyszedł sam i choć powalił na ziemię pierwszego z atakujących, w chwili gdy władca odchodził, motłoch pastwił się już nad nim jak kojoty nad ścierwem niedźwiedzia.

Quinatzin pogrążył się w myślach. W dzisiejszych obserwacjach zaskoczyła go skala nienawiści. A gdyby wojownicy i kupcy dali jej upust i otwarcie wystąpili przeciw sobie? Zanosilo się na to od dawna i mądry *tlatoani* potrafiłby to wykorzystać. Władza kapłanów opierała się na starej, kruzańskiej szlachcie i na pewno była słabsza, niż powszechnie

sądzono. I nie zmieniają tego wszystkie czarownice świata i ich służebne demony. Przymierze stało na krawędzi wojny, nawet bez jego sporów z Czerwoną Świętynią.

Która grupa okaże się lepsza w walce? Quinatzin kiedyś postawiłby na staroświeckich, surowych świętoszków, ale teraz nie był już taki pewien.

Wygrają ci, których jest więcej.

W pałacu przywołał do siebie Mazatlana i Alvaratla.

- Zamierzam ogłosić zaciąg - oznajmił.

Spojrzeni na niego, zdziwieni.

- Ale przecież bez środków Myskanto... Zgromadzenie uparło się. Żadnych nowych jednostek - zaproponował Mazatlan.

- Nie będzie nowych. Zwiększymy zaciąg do już istniejących formacji. Jaguarów. Gwardii. Reformy, a nie rozrzutność.

- A potem? Jaki jest cel zaciągu?

Quinatzin wzruszył ramionami.

- Ile mamy strzelb? - zapytał martwym, jakby spopielałym głosem.

Uczony popatrzył na niego z lękiem.

- Działających? Na dziś sześćdziesiąt cztery.

- Mało. Za mało - szepnął ponuro król.

- Mało... na co? - zapytał z troską Mazatlan.

- Na to, com sobie zamierzył. Powiadam wam, módlmy się, bracia, bo owa drobina będzie musiała nam wystarczyć.

Rozdział 27

Po krwawej nocy w burdelu Tennok i Haran postanowili kontynuować imprezę. W końcu nie mogli stawić się na apelu w takim stanie. Brudni i pijani w sztok, ten miły stan postanowili celebrować gdzie indziej, najlepiej w ustronnej speluncie.

Wrócili do koszar dopiero następnego dnia rano, jeszcze bardziej zakrwawieni i poobijani, zawinięci w podarte płaszcze, poplamione wymiocinami i błotem. W niczym nie przypominali wymuskanych żołnierzy swego pułku. Nawet sekretne wizyty w burdelu nie kończą się zwykle w ten sposób. Być może wreszcie wyglądamy jak bohaterowie, pocieszył się Haran, soczyście spluwając krwią.

Żołnierze przy bramie przyglądali im się bacznie, jakby Korpus obawiał się zbrojnej napaści. Ciekawe, kto chroni strażników, zachichotał barbarzyńca, puszczając z objęć Tennoka, który zwałił się jak wór mąki. Młodszy żołnierz zadarł głowę, żeby spojrzeć *ursowi* w oczy, po czym cofnął się, w dalszym ciągu taksując go wzrokiem. Nie był to żaden z tych, do których Haran zdążył się przyzwyczaić.

Do tej pory służba w Korpusie Jaguarów nie należała do przesadnie uciążliwych i z łatwością wymykali się na nocne eskapady. Sierżant po prostu wyciągał łapę, w którą wrzucali kilka kości płatniczych, a dystyngowany pułkownik Otometl jedynie strofował ich potem żalonym głosem człowieka, który pięknie mówi i niewiele może. Ten typ wyglądał inaczej.

Strażnik nosił nieregulaminowy, wysłużony ekwipunek, w tym zdobyczny łuk z rogu i kości, ani chybi będący robotą północnych koczowników. Jego cętkowany mundur Jaguara miał nieprzyjemny, rdzawy odcień, jakby właściciel regularnie pluskał się we krwi. Nawet jego oczy były kocie i wredne. Haran pomyślał, że zaraz dostanie łomot, ale miał to w dupie.

Szturchnął stopą Tennoka, który jęknął i znów zaczął rzygać.

Młodszy wojownik wytrzeszczył oczy, ale starszy, z fantazyjnie wygolonym czubem siwiejących włosów, sterczącym jak zapowiedź kłopotów, roześmiał się ostrym, szczekliwym śmiechem, który brzmiał, jakby kroił kamienie. Z szyderczym ukłonem uchylił przed nimi wrota garnizonu.

Gdy tylko przestąpili próg, rozbawiona twarz weterana zmieniła się błyskawicznie. Trafił Harana w nos szybkim ciosem, który rozkwaśił go, ale chyba nie złamał. Tennok wywrócił się zaraz po *ursie* i, w przeciwieństwie do niego, nawet nie próbował wstać, jęcząc z bólu. Druazzi się stawiał. Podstępny cios wkurzył go tak bardzo, że prawie nie poczuł mocnego kopniaka w żebra. Poderwał się, warcząc i prychając, ale gdy tylko stanął na nogach, facet z czubem obalił go jakimś chwytem.

- Wreszcie jakieś pizdy z jajami. Mazacatl - rzucił do swego towarzysza.

- Ostatnio przysyłają tu samych szlachetnie urodzonych - wyjaśnił im ten młodszy. - Tak szlachetnie, że spora część to kretyni. Wiecie, z chowu wsobnego. Ten tu Yzatlin uważa, że do niczego się nie nadają. Ale on jest *cuachiqueh*, szturmowcem. Za często bił się bez kasku.

- Mam rację, na cztery strony Zwierciadła. Zasmarkane, rozpieszczone pizdy, obraza dla Jaguarów. Macie coś przeciwko, pizdy? - warknął Jaguar z czubem.

Tennok i Haran spojrzeli na nich, zdumieni.

Korpus był hierarchiczną strukturą, której dół wyznaczali *ursowie*, strażnicy i obozowe ciury, środek rekruci, a górę nieliczni weterani, zasługujący na noszenie futer tych szlachetnych kotów. Żaden mityczny Jaguar wyższej rangi nie zaszczylił ich dotąd rozmową. Do tej pory nikt nie próbował też wdrażać dyscypliny. Zachowanie nowych strażników było dla nich przykrym zaskoczeniem.

- Też kiedyś załałem pałę. I dostałem wpierdol - zwierzył się Yzatlin. - A teraz słuchać. Jestem waszym nowym dowódcą. Nasz pan, Quinatzin, miał już dosyć tego, jaki w tym pułku

panuje burdel. Nie obchodzi mnie, co tu się działo wcześniej. Bumelactwo i Leserstwo, korupcja i lizanie dupy. Wypadki na miasto. To już przeszłość, zamknięty rozdział. Puszczamy wszystko w niepamięć i zaczynamy jeszcze raz. Stara kadra już powędrowała na front. Niedługo ich tam spotkacie, ale najpierw trzeba was trochę ogarnąć. A zatem, raz jeszcze witamy w Korpusie. Kapłani mogą mówić wam różne rzeczy o liczbach, kalendarzach i innych chujach-mujach, ale dla nas, wojowników, to są wciąż jebane koszary. Jeśli o tym nie zapomnicie, może nie zginiecie za szybko. - Jaguar obrzucił ich surowym spojrzeniem, skupiając świdrujące oczy na Haranie.

- Jak skończysz się wylegiwać, wielkoludzie, zabierz swojego *ursa*, zanim skopię go jeszcze raz. Cholerne pasożyty. A jutro znajdź magazyniera i skompletuj pełny frontowy rynsztunek. Standardowa bawelniana zbroja. Dwa płaszcze, kociołek, miotacz strzał, miecz według wagi i siły. Tobie dałbym nawet dwuręczny.

- Kiedy to ja... to ja jestem *ursem* - próbował im wyjaśnić Haran.

Ale oficerowie już poszli. Poirytowany, wzruszył ramionami i napotkał dziwne, świdrujące spojrzenie Tennoka. Jego pan nagle otrzeźwiał i gapił się na niego, zdumiony.

*

Następnego ranka Tennok zasugerował Baranowi, że mogliby się zamienić. Barbarzyńca wyśmiał ten pomysł od razu.

- Jestem Druazzim, a w dodatku *ursem*. To o jedną złą cechę za dużo - warknął, zeskakując z pryczy.

Tennok posłał mu urażone spojrzenie i opadł z powrotem na materac, z którego wkrótce poderwał go sierżant.

Tego dnia Haran bezczelnie migał się od pracy, przyglądając się wysiłkom ćwiczących na dziedzińcu kadetów. Wiatr niósł klekot drewnianych mieczy po koszarach, magazynach i kuchniach. Obok jacyś *ursowie* sortowali paki z zaopatrzeniem i objuczeni, wnosili je do szopy. Haran splunął i podrapał się po głowie.

Bycie *ursem* było nudne i upokarzające, ale nie czuł, że splącił

już swój dług. Lecz walczyć za Kruzów, tych imperialnych chujków? Mrugając, spojrział na idących od bramy wojowników w cętkowanych kombinezonach i raz jeszcze strzyknął śliną.

„Pamiętaj, więzienie jest wszędzie”.

Po południu przejadła mu się beczynność i zaczął oporządzać ekwipunek Tennoka. Natarł oliwą dwuręczny miecz Cahuotla i sprawdził obsydianowe ostrza, które łatwo się kruszyły. Każdy miecz składał się z wielu płytek, tylko tak można obrobić to delikatne tworzywo. Mimo kruchości wulkaniczne szkliwo było piekielnie ostre, a Kruzowie stosowali je nawet w chirurgii. Haran nie mógł się powstrzymać od pomachania bronią na próbę. Ot tak, na rozgrzewkę.

Oczywiście naruszył w ten sposób regulamin. Inni *ursowie* usiłowali na niego nie patrzeć. Mieli w sobie coś psiego, jakąś ohydłą wierność. Ich towarzystwo nie sprzyjało budzeniu w sobie inicjatywy i woli działania.

Służą i nie buntują się, ponieważ bardziej się boją śmierci niż stęchłej, codziennej hańby swojego psiego istnienia, pomyślał. Ja spłacam odsetki honoru i nie mam z tym nic wspólnego. *Ursem* jestem tylko na zewnątrz.

Odłożył broń.

Później wyciągnął się na przydzielonej mu pryczy i uśmiechał pobłaźliwie do myśli, dopóki przed oczami nie stanęła mu smukła dziewczyna z pałacu i jej chłodna, paląca wzgarda.

„Z tobą, *ursie*? Księżniczki nie tańczą z psami”.

*

Drewniane miecze i maczugi odbijały się od siebie, stukocząc jak zagubione dzieciocy. Tennok bez przekonania sparował uderzenie miecza. To było nudne.

Nadchodził wieczór, ćwiczyli już cały dzień. Cahuotl swego czasu zdołał wpoić mu podstawy szermierki, więc książę nie miał wiele kłopotów z parowaniem ciosów. Z drugiej strony, lęk przed bólem był tu głównym motywatozem. Jego uparty *urs* nie dał się przekonać do podmiarki i dzisiejszy dzień okazał się jeśli nie najgorszy w życiu Tennoka, to przynajmniej najpodlejszym od bardzo dawna.

Nowi oficerowie w niczym nie przypominali dotychczasowej kadry, zdecydowanie zależało im na zaprawieniu kadetów w bólu i agresji, a za tym Tennok nigdy nie przepadał. Oficer zamarkował zmyłkę i uderzył podstępnie i szybko. Jego przeciwnik, chudy chłopak z haczykowatym nosem i lekkim zezem lewego oka, krzyknął i zatoczył się po bolesnym uderzeniu w lewą stronę głowy. Ból był zawsze podobny, różnił się tylko natężeniem. Był nudny.

- Auuu! - ryk księcia poderwał z gałęzi przestraszone ptactwo.

Nauczyciel uderzył z góry, nieoczekiwanie zmieniając kombinację ciosów, którą Tennok wykonywał w transowym, zautomatyzowanym rytmie. Na szczęście książę miał na sobie bawelniany ochronny hełm. Gdyby nie on, jego czaszka pękłaby po tym ciosie jak zdeptany żuk.

Poderwał się, wściekły, napotyając sztych ćwiczebnego miecza i bezczelny uśmiezek Yzatlina. Jak większość psychopatów na kierowniczych stanowiskach, oficer był zawsze zadowolony z siebie.

- No, teraz przynajmniej się ruszasz. Dobrze. Nie krępuj się, uderz.

Tennok zaatakował go z furją. I znów, jak zawsze w starciu z kimkolwiek poza kalekami, starcami i dziećmi - najlepiej przybitymi do ściany - uświadomił sobie, że żaden z niego wojownik. Nie miał do tego talentu. Jego ruchy były nieskoordynowane i powolne, a na twarzy - o czym wiedział z ponurych raportów i pouczeń Cahuotla - decyzja o wyprowadzaniu ciosu objawiała się komiczną pantomimą, poprzedzającą jego parady i finty niczym ostrzegawczy werbel.

Prawdziwe kłopoty zaczęły się, gdy trener go trafił. Tennok usiłował się cofać bez nadmiernej paniki, lecz kolejne celne uderzenia potęgowały jego pomieszanie i narastający lęk, w miarę jak stawały się coraz bardziej bolesne.

- Ej, co jest? - zawył, gdy miecz boleśnie uderzył go w wewnętrzną stronę uda.

Z bólu poplątały mu się kroki i Yzatlin wykorzystał to, uderzając ponownie, tym razem z góry. Tennok opadł na

kolana.

- Już jesteś jeńcem, młody. Tłaskanie prowadzi cię po stopniach piramidy i wyjmują serce, a przedtem ruchają w dupę. Fajnie?

- Fajnie - burknął książę.

- Fajnie to by było zobaczyć, jak te tłaskalańskie chuje szydelkują twoimi flakami, lamusie!

Nagle uderzenia wokół ustały. Tennok łudził się, że miało to coś wspólnego z jego upokorzeniem i hańbą. Że może współczuli mu w imię braterstwa broni. Ale tu nie chodziło o niego. Wszyscy patrzyli na nowego wojownika, który pojawił się na placu.

Widzieli go już, jak pracował w kuchni i nosił pakunki. Nie powinno go tutaj być. Był *ursem*. Ale to nie wszystko. Tennok, którego skłonność do współczucia dorównywała wrodzonej odwadze i hartowi ducha, poczuł litość. Widział ptaka, któremu podetną skrzydła.

- Młody, wypad stąd - prychnął Yzatlin.

Haran wzruszył ramionami.

Nosił się jak leśni wojownicy Druazzi, ale na jego szarej, pokrytej wojenną farbą twarzy kryło się coś dziwnego. Weteran zadrżał. Poczul instynktowny, zalękniony wstręt, który szybko zastąpił gniew. Należał do elitarnego pułku najlepszej armii świata i nie miał powodów do obaw.

- Chcę walczyć. Sprawdźcie mnie.

- Nie szkolimy *ursów*. Może jeszcze kurwy zaczną tu z nami fechtować? - warknął Jaguar, nagrodzony chichotem podwładnych. Przemilczał prawdziwy powód. Na obcym terytorium *ursowie* często buntowali się, zabieranie ich na kampanie było proszeniem się o kłopoty. Na wojnie pałacowe pieszczoszki musiały sobie radzić same.

- Chcę walczyć! - powtórzył z uporem niewolnik.

- Marzy ci się wojaczka? Poszukaj szkółki dla rezerwistów w swojej dzielnicy, jeżeli jakąś masz. Albo zostań hyclem - rozkazał weteran i poklepał go pojednawczym gestem.

Trochę mu go było szkoda. Chłopak wyglądał na twardszego niż połowa rekrutów.

- Nie będę się uczył z piekarzami, ogrodnikami i handlarzami piór. Zabilem więcej ludzi niż ty - warknął Haran.

Jaguar uniósł wymyślne blizny, które zastępowały mu brwi.

- Nawet jeśli, to nasz Korpus nie przyjmuje kandydatów z ulicy. To miejsce dla arystokratów. Albo dla bohaterów.

- Dobrze się składa. Mój ojciec...

- Dość. Pochodzenie *ursów* naprawdę nikogo nie obchodzi.

Haran zakolysał się tępo, a potem, rozwścieczony, odepchnął Yzatlina na bok. To znaczy próbował to zrobić. Ludzie nie byli przyjmowani do Jaguarów za to, że wolno się ruszali. Yzatlin zszedł w bok, uderzając go w plecy, żeby posłać niespodziewanego napastnika na ziemię. Ale chłopak zdołał ustać na nogach i odwinął się karkołomnym ruchem.

Zaskoczony Yzatlin nie uniknął ciosu pięścią. Po raz pierwszy od lat poczuł w ustach smak własnej krwi. Splunął w piach i uśmiechnął się, poprawiając czub. Ci z rekrutów, do których dotarły plotki o jego reputacji oraz zarzutach szaleństwa i okrucieństwa, cofnęli się ze strachem. Pozostali też się cofnęli, na wszelki wypadek. Głupcy. Nie był zły, skądże, ale zamierzał dać szczeniakowi lekcję. Właśnie tego brakowało mu tu, w tej szkółce dla rozpieszczonych pizdusiów. Nie mógł demonstrować swego kunsztu, nie mógł hartować silnych i łamać słabych. Kiedyś co roku zabijał pierwszego rekruta, jaki mu podpadł... ale wtedy Jaguary były prawdziwym oddziałem, a nie zabawką w rękach karierowiczów i dworskich lizusów.

Sędziwy Jaguar skrzywił rozbite wargi w uśmiechu.

Uniósł swój miecz ćwiczebny. Był człowiekiem starej daty i lubił egzemplarze dwuręczne. Skinął asystentowi, który obdarował podobną bronią *ursa*. Wokół zebrali się już wszyscy rekruci i kilku instruktorów'. Giza, długowłosego kapłana, który prowadził zajęcia z astronomii i botaniki, skrzywił się i gniewnie zaplótł na chudej piersi poszatkwane bliznami ramiona. Yzatlin znał jego święte fochy.

- Jeżeli utrzymasz się na nogach przez kwadrans, będę cię szkolił, gówniarzu - obiecał.

Urs skinął głową i przegapił nadlatujący kij.

Weteran myślał, że jest po wszystkim, ale chłopak dźwignął

się na nogi. Sprawiał wrażenie człowieka, którego zmysł bólu nie funkcjonuje za dobrze. Rozbryzgując kropelki krwi, pokręcił głową, jakby budził się z drzemki.

A potem oddał.

Walka mieczem, którą praktykowali Meszikowie, bliższa była szermierce dalekowschodniej niż europejskiej. Wojownicy niemal nie stosowali bloków. Oszczędzali obsydianowe ostrza, piekielnie ostre, lecz kruche. Najbardziej cenili punktowe uderzenia w nogi. Pozwalały sparaliżować jeńca, nie odbierając mu życia. Kruzowie mawiali, że jeśli zasłali pole walki trupami wrogów, znaczyło to, że prawie przegrali bitwę.

Styl ataku wpływał na ich taktykę obronną. Przed ciosem w łydkę łatwiej jest uskoczyć, niż go zablokować. Kiedy opuścisz miecz, możesz nie zdążyć go podnieść, gdy wróg wyprowadzi uderzenie w głowę czy bark. Wszystko to sprawiało, że pojedynki Kruzów były bardzo wyczerpujące i szybkie.

Już po kilku złożeniach Yzatlin uświadomił sobie, że *urs* jest zręczny i bardzo silny. Postanowił puścić trochę pary z garnka i uderzył w lewe przedramię chłopaka, w bolesny punkt nieco poniżej łokcia. I bardzo się rozczarował.

Niewolnik syknął, lecz nie wypuścił broni. Jego ciało było najwyraźniej twardsze od miecza. Yzatlin cofnął się, poirytowany. Odpadały techniki, które paraliżowały nerwy, szczył bił się, jakby zakuwała go stalowa zbroja przodków. Do tego wcale się nie bał, co więcej, był dwadzieścia lat młodszy od swojego przeciwnika. Ale mimo to dał weteranowi walkę, za jaką ten tęsknił od lat.

Kuźwa, polubił gnoja.

Wspaniałomyślnie zdecydował, że nie złamie mu nogi i zamiast w kolano, uderzył chłopaka w udo, ciosem, po którym nawet bizon nie utrzymałby się na nogach. *Urs* nie blokował ani nie uskakiwał. Zamiast tego zrobił krok w przód, skracając dystans i osłabiając siłę ciosu. Yzatlin miał baczenie na jego ostrze, ale Druazzi niespodziewanie przesunął obie dłonie bliżej środka broni, zakręcił nią i uderzył z dołu. Rękojeść dosięgła szczęki instruktora.

- Bardzo ładnie, synu. To jak się nazywał twój stary? -

zapytał, dźwigając się z ziemi.

W ustach zgrzytał mu piach. Grunt to nie pokazać reszcie, jak bardzo poczuł ten cios. Białoskóry hardo spojrzął mu w oczy.

- Wołali na niego Pęcherz.

Yzatlin rozdziawił gębę.

- Bogowie, znałem go. Ale przecież on nigdy... - Gęba nie chciała się zamknąć.

- Co on?

- Wielu bało się go bardziej niż wygłodniałych zjadaczy. Kawał drania. Nie sądziłem, że może mieć takiego syna.

- Yzatlin popatrzył na Harana dziwnie. Pamiętał, z jaką zaciekłością Pęcherz tępił pozostałości po Białoskórych. - Oczywiście synowie naszych dawnych oficerów otrzymują prawo służby. Zresztą, już wkrótce będzie nam potrzebny każdy miecz. Jutro opuszczamy koszary, przygotujcie ekwipunek do wymarszu.

Weteran popatrzył na zdumione miny arystokratów.

- O co tu chodzi? Tak konkretnie - zapytał oficera niepewnie Tennok.

- Wojna. Chodzi o wojnę, panienki. *Tlatoani* już oficjalnie ogłosił mobilizację. Za tydzień jedziecie na front! Dokonacie czegoś, o co jeszcze nie pokusił się nikt. Zdobędziecie dla imperium Tlaszkalę! - zawołał Yzatlin.

Kadeci odpowiedzieli mu okrzykami, które z każdym powtórzeniem nabierały mocy. Wojna to zajebisty narkotyk.

Tylko Tennok nie poddał się entuzjazmowi. Dopadły go ponure przeczucia. Wieczne słońce, chowające się za kontury świątynnych piramid, przybrało barwę szkarłatu. Podobny kolor miało gorzące w oczach jego kolegów patriotyczne szaleństwo.

Rozdział 28

Gurkho, wódz tlaszkalańskiej Gromady zjadaczy, zsuwał się w dół jaskini. Szedł na czworakach, sklepienie obniżyło się już tak bardzo, że szorował grzbietem o skały. W korytarzach zalegał gruz, w wielu miejscach z góry osuwał się piasek. Kiedyś mieściła się tu nekropolia, lecz porzucono ją jeszcze przed Klątwą. Zdaniem Gurkha nawet trup nie zasnąłby w takich warunkach.

Hikku'tai rzadko odwiedzali najgłębiej położoną część podziemi, zwaną Salami Starszych. Od dawna byli zmuszeni zerować na powierzchni, na pustkowiach i w leśnych ostępach. Za czasów ojca Gurkhi, Yr'appy, zdarzyło się to kilkakrotnie. Będąc dzieckiem, wódz Gromady miał szczęście towarzyszyć mu w takim spotkaniu. Oczywiście, dla Starszych jego ojciec był tylko tymczasowym regentem. Lecz Yr'appa nie uskarżał się na swoją pozycję.

- Jesteśmy sługami Szlachetnych - mawiał. - Przyjęliśmy u nich schronienie.

Yr'appa był bezgranicznie oddany Starszym i wpajał tę wierność synowi. Ich rodzina służyła im od czasów Zstąpienia.

Ale inni *hikku'tai*, łowcy i łowczynie, rozkochani w pogoni i bitwie, drwili z jego czołobitości.

- Nie wychodzą na zeeew-nątrż! - pohukiwali, iskając się i kąsając.

- Ich kły stęęęepiaaały, a ich węże zwięęędy. Kto służyłby maaaartwym paaanom?

- Nasi bracia i siostry się mylą - wyjaśniał cierpliwie ojciec, gdy Gurkho wracał pokrwawiony po kolejnych utarczkach z rówieśnikami, opluty i zwyzywany od ludzi.

- Nie pojmują, że bez tych śniących, pogardzanych *murgha* staniemy się tylko zwierzyną - utyskiwał ojciec, a z jego

posiwiącej piersi wydobywał się głuchy, rżący warkot.

W tych dniach był już słaby i Gurkho czuł, że zbliża się dzień, gdy któryś z młodych spróbuje go zabić.

Jego władza słabła, aż pewnego dnia łupieżcza wyprawa młodzików wróciła do jaskiń zdziesiątkowana, z pogonią Tlaskalan na karku. Prowadził ich młody, ale już rozslawiony przywódca, Szaratanga, którego Termity nazywały Lwem. Odkąd pojawił się w górach, zasłynął jako bezlitosny nieprzyjaciel ich rasy. Wielokrotnie zaskakiwał *hikku'tai*, zapuszczając się w pogoni za nimi aż do ich grobowców i jaskiń i wydając im wojnę w ciemnościach. Tym razem zrobił coś naprawdę strasznego. Wyprzedził watahę i odciął jej drogę ucieczki, i to w ich własnym tunelu!

Plemię musiało uciekać, a Szaratanga, kierowany instynktem, z którego tak słynął, bezlitośnie zagroził im drogę, zmuszając do wyjścia na powierzchnię, pod znienawidzone słońce.

Dopadł ich w dolinie bez drugiego wyjścia, w skalnym kotle idealnym na śmiertelną pułapkę. Ojciec Gurkho i elita doborowych łowców stawiała mu wtedy czoła. Do walki stanęły nawet kobiety i dzieci, choć większość z nich kłębiła się tylko beczynnie daleko za wojownikami. Gurkho wspinał się na palce i wyglądał zza barków dzieciaków wyższych od siebie. Potem jego przyjaciel, Smosh, przewrócił się ze strzałą sterczącą z oka, a matka narzuciła na Gurkho starą, skórzaną tarczę, przeklinając z bezsilnej grozy. Nieprzyjacielscy łucznicy rozstawili się na zboczach i bezkarnie szyli do Gromady ze słynnych tlaszkalańskich łuków.

Gurkho walczył u boku matki i widział, jak umierała. Potem padł ojciec, ostatkiem sił dusząc górala, który przebił go włócznią. Gurkho nie miał już siły unieść maczugi ani zacisnąć kłów, gdy nagle w jaskini rozbryzła się woń, przemożna i natarczywa, oblepiając im twarze, oczy i rozwarte w okrzykach usta. Zapach cyjanku, wanilii i siarki, doprawiony odorem słodkawej zgnilizny. Słodycz i śmierć, śmierci słodycz.

Widząc, jak ojciec pada, Gurkho zaryczał i uzbrojony w lichą maczugę z kości, runął prosto na najeżony włóczniami czworobok doborowej piechoty. W chwili gdy od ostrzy dzid

dzieliły go ostatnie dudnięcia serca, długie, szarawe ramię delikatnie odsunęło go na bok. Kątem oka zobaczył, jak istota posyła mu spojrzenie, w którym przysięgłby, że dostrzega współczucie i żal. Widział, jak patrzy na ciało jego ojca i wydaje z siebie krótki, wyzywający ryk.

A potem *murgha* zdjął maskę.

Za nim nadeszli inni. Siedmiu, ale zaatakowali oddziały Szaratangi, jakby było ich siedem setek. Gurkho nie wiedział, co ich przywołało. Ciała *murgha* lśniły, czerwone źrenice płonęły pradawną furją.

Władcy Bólu, arystokracja zjadaczy.

Wszystko w zarysie i fakturze ich ciał, od geometrii po kolor i dotyk, budziło w nim zachwyt i grozę. Ludzie uważali jego lud za demony i diabły, ale dla *hikku'tai* to Władcy byli grozą z piekielnych otchłani, mateczników majestatu i grozy. Oglądający ich mieli wrażenie załamywania się światła, zamglenia albo migotania... „Jakbyś patrzył w ciemne słońce”. Słowa ojca, wypowiedziane z miłością, przypomniały mu się, gdy zobaczył ich w walce. Dla Tlaskalan *murgha* byli jak słońce, z którego wychodzą węże. Zabijali z bezlitosną precyzją

Ich kończyny zginały się pod dziwnymi kątami, zaskakując przeciwników kauczukową, zwodniczą płynnością ruchów. Władcy Bólu nie nosili zbroi, bo nie musieli ich nosić.

Braazatal chronił ich, dymiąc pod bezlitosnymi promieniami słońca. Na ich widok w *hikku'tai* wstąpiły nowe siły. Wtedy *murgha* ściągnęli maski, ukazując niewiernym *A'ghai Thrun*, Oblicze Strachu. Wobec swoich poddanych stosowali Oblicze Piękna, *A'ghai Thrun* była ich twarzą do podporządkowania i walki.

Na ich widok ludzie, przerażeni, padali na kolana. Rzucali włócznie i tarcze, ale najpierw porzucali nadzieję. Zabijanie ich było samą radością. Gurkho do dzisiaj żałował, że nie dopadł tamtego dnia Szaratangi. Generał rozkazał swoim użyć metalowych tarcz jako zbroi, starożytny rynsztunek z powodzeniem zastąpił lustra. Dzięki nim przebił się przez Władców Bólu i uszedł jaskiniami na czele niedobitków swojego oddziału.

Dla *murgha* było to pyrrusowe zwycięstwo. Dwóch z nich zostało zabitych, stracili też ponad połowę wojowników z Gromady. Starsi rozkazali ocalałym za wszelką cenę chronić Królową i znaleźć jej nową siedzibę. Nawet na pustkowiach Keral nie było to łatwe.

Od tamtej pory lud Gurkho wystrzegał się rajdów na fermy i wioski. Zamiast czynić to, do czego się urodzili, *hikku'tai* wegetowali, żywiąc się mięsem jeleni i kóz, niezdolni nawet właściwie nasycić swojej Królowej, która zapadła w letarg, z każdym rokiem bardziej podobny do śmierci. Bez Królowej obumierali także kapłani Gromady, tajemniczy *mo'qun*, rzadko objawiający się reszcie ludu. A przecież to właśnie widmowe ciała Wędrujących Przez Skały, podobno wciąż połączone z dalekim Drzewiskiem, wydawały z siebie bezcenny *braazatal*.

W takich warunkach zarówno Królowa, *mo'qun* i *murgha*, jak i cała arystokracja plemienia pogrążali się w głębokim śnie, zwalniając do minimum procesy gasnącego życia. Tylko *hikku'tai* z najniższych kast zdolni byli polować i walczyć. Horda Gurkho nieuchronnie cofała się do poziomu zwierząt; ich los był nawet gorszy od zwierzęcego, bo doprawiony nikczemną goryczą hańby. To wszystko musiało się zmienić.

Gurkho przypomniał sobie rymowany zapis drogi i pomrukując pod nosem, odnalazł ukryte przejście. W tym miejscu skalną ścianę zajmowała skóra pokryta wyschniętą gliną. *Hikku'tai* nigdy nie byli mistrzami rzemiosła.

Po chwili odnalazł leża *murgha* i podszedł do pierwszego z nich. Pamiętał, że ten Władca nazywa się Yngram. Kroczący w Płonącej Radości. Nie, ten był zbyt żywiołowy, przebudzony przez zwykłego *hikku'tai*, gotów by jeszcze go zabić, ot tak, z czystej radości życia. Breg'Tan, Ten, Który Tarza się w Swojej Krwi, z kolei zawsze przerażał Gurkho, który nie ośmieliłby się nazwać go szalonym, ale omijał Breg'Tana nawet wtedy, gdy tamten spał. Odsunął się także od Ghoiry. Trzy Razy Krzyczącej w Noc. Była zbyt nieprzewidywalna.

Za to czwarty Władca, Wijące Się Mrówcze Ślady, dla Gurkho zawsze pozostał wybawicielem. To on ocali! go w tamtej kotlinie. Teraz zjadacz miał ochotę zapłakać, widząc, jak

wynędniałe jest jego wysmukłe ciało.

Wódz ukląkł przy jego łożu, które z bliska okazało się konstruktem złożonym z martwych i żywych owadów zlepionych własnymi wydzielinami. Gurkho słyszał, że razem z władcami przybyły one z Drugiego Miejsca, utraconych zaświatów ich rasy. Wybawiciel śnił, nawet we śnie nie ściągnął swej maski. Jaką twarz przybierał, gdy śnił? I jakie miał sny? Jego skóra była wysuszona i szara, osypywał się z niej gryzący pył. Nawet pasożyty, które odżywiały letargujących *mo'qun*, nie chciały się po nim wic, zresztą, ku przerażeniu Gurkho, było ich bardzo mało. Dużo mniej niż podczas ostatniej wizyty.

Na samą myśl, że te szare, rozsypujące się mumie strzegły ich świętych *mo'qun* oraz cudnej Królowej Cieni, w sercu Gurkho rozżarzył się nagły gniew. Gromada ma rację, nie mogli tak dłużej żyć.

Podsunał pod nos śpiącego palec, na którym była szczypta wysuszonego proszku. Pośród wielu chemicznych substancji proszek zawierał też coś, czego zjadacz łaknął jak ognia i krwi. *Braazatal*, smar. Niknący powab ich życia.

- Przybył posłaniec z darami, panie. Chce, byśmy ruszyli na wojnę. Potrzebuję wskazówek Władców Bólu. Musimy znać wolę Królowej.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Potem na nadgarstku Gurkho zacisnęła się dłoń o długich, zbyt długich palcach. Towarzystwo jej coś ciepłego i szorstkiego, co przypomniało Gurkho widok jego najmłodszej małżonki, Shorony, teraz karmiącej ich młode ku chwale Gromady.

Język. *Murgha* ssał palce Gurkho jak dziecko, a jego wynędniałym ciałem wstrząsał zduszony szloch.

Rozdział 29

Kruzańskie obozowisko cuchnęło, nie ulegało to kwestii. Tworzyło je kilka tysięcy ludzi stłoczonych na niewielkiej przestrzeni, na skalistym terenie, gdzie trudno o wkopanie palika, nie mówiąc o przyzwoitej latrynie. Brakowało wody do mycia, opału, cienia. Skaliste pogranicze Odrodzonego Przymierza i Tlaszkali było biedną i niegościnną krainą, która dawała armiom Kruzów przedsmak czekającego je koszmaru.

Quinatzin nie zamierzał powtórzyć błędu ze swojej pierwszej kampanii, gdy cała chwała spłynęła na nieustraszonego Tizoka. Generał słynął z tego, że dzielił ze swoimi ludźmi marsze i kiepskie żarcie, skwar i trudy obozowego życia. Znali go i kochali, podczas gdy *tlatoani* pozostał dla nich mało ciekawą, ignorowaną abstrakcją. Dlatego Quinatzin robił teraz dokładnie tak samo. W asyście dwóch gwardzistów, okutany w zwykły wojskowy płaszcz, przechadzał się po obozie, żeby dzielić z wojakami prostą, niewyszukaną strawę i jeszcze prostsze żarty.

To była katastrofa.

Zapomniał, jak źle znosi ludzi. Z nieszczerem, kruszącym się na wargach uśmiechem, zaschniętym jak resztki jedzenia, wzdrygał się przy każdym muśnięciu, nie mówiąc o ściskaniu rąk czy klepaniu po plecach. Krztusił się przypalonymi plackami i rozgotowaną kukurydzianą papką. Dławiły go wyziewy obozowiska, mdlący smród niemytej skóry i fasolowych pierdów. Niechęć okazała się obopólna, wrodzona i spontaniczna. Zrozumiał, że ci ludzie prędzej zobaczą w nim boga, spowitego w majestat i grozę, niż równego chłopą, który je to samo, co oni, i tak samo mocuje się z losem. Ale za co właściwie ludzie kochają bogów?

Do tego dochodziła kwestia etnosu. Zwiększony Korpus Jaguarów w większej części nie składał się z Kruzów. *Tlatoani*

właśnie dlatego hołubił ten mieszany pułk. Od dawna nie ufał starej, kruzańskiej szlachcie, ich przesądom i psiej wierności, z jaką adorowali kapłanów.

Zgromadzenie, dla którego rzucanie mu kłód pod nogi było jak racja stanu, odmówiło mu zgody na powołanie nowych oddziałów Kruzów. Quinatzin znalazł sposób na obejście jego zakazów. Przede wszystkim zabrał ze sobą Zabójców Gwiazd. Od czasu incydentu w Kraju Totonaków *tlatoani* pilnie rozbudowywał swoją gwardię, która liczyła teraz dwa tysiące doborowych żołnierzy. Poza tym skorzystał ze starego zwyczaju, który pozwalał na zaciąganie cudzoziemców do Korpusu Jaguarów. W ten sposób zwiększył jego liczebność do ośmiu tysięcy ludzi, zgrupowanych w oddziałach posiłkowych. I nie złamał żadnego zakazu Zgromadzenia.

W rezultacie otaczała go zbieranina ludów. Quinatzin usiłował cieszyć się z tego bogactwa kolorów, języków i woni, lecz tkwiący w nim młody dandys wzdragał się przy każdym oddechu, przesyconym kwaśnym odorem ich ciał. Niestety, tak naprawdę była to zbieranina odpadków, plemiona zawsze pozbywały się elementów niespokojnych i oto one zaciągnęły się do jego oddziałów. Barbarzyński tłum, z jego plemiennymi tatużami, spiłowanymi zębami i przetyczkami na języki i nosy, które wydawały się prostackie i tandetne w porównaniu z kunsztowną biżuterią rdzennych Kruzów.

Armia, którą stworzył, była hordą zrujnowanych biedaków.

Dzień po wymarszu, wymęczony, ale w jakiś sposób pogodzony ze swoją formą i losem, przeprowadził odprawę połową z doradcą Mazatlanem, skarbnikiem Varaputlem, wynalazcą Alvaratlem i pierwszym inżynierem Tamazatlem. Przybył też jego kuzyn, szlachetnie urodzony Aczekin, odpowiedzialny za ściąganie podatków. *Tlatoani* poświęcił wiele starań i intryg, żeby ci najbliżsi wykonawcy jego zamierzeń byli na tyle godni zaufania, na ile to było możliwe. Jednego mógł być pewien, każdy z nich nienawidził Szurukana i jego świętoszków. Dla Quinatzina było to podstawowe kryterium doboru współpracowników, ważniejsze niż kompetencje i pochodzenie.

Doradcy nie byli przyzwyczajeni do cuchnących gównem obozów wojskowych. Ich skwaszone miny wyrażały tęsknotę za mgiełką fontann i wachlarzami niewolnic. Król klasnął w dłonie i uśmiechnął się rozbrajająco, pokazując im krwawą, włochatą muchę.

- Czujecie ten smród, panowie? Ten brud i ubóstwo? Na co dzień ci ludzie żyją tak samo. A to większość populacji naszego państwa!

- Chcesz, żeby żyli w pałacach? - parsknął Aczekin.

Zawtórowały mu nieśmiałe, złośliwe śmieszki. Quinatzin zmarszczył brwi.

- Chcę, żeby mnie kochali - powiedział krótko. - Gdy powrócę do domu z tej wojny, chcę, żeby każde slumsy napływowej biedoty w stolicy doczekały się świątyń, wodociągów i szkół. Wybudujcie im domy. Mają żyć nie gorzej niż rodowici Kruzowie.

- To nas zrujnuje. Nie rozumiem. Po co? - Varaputl bezkrwisty i wysuszony księgowy, szcekał beznamiętnymi półsłówkami, jakby nie umiał odróżnić ludzkiego języka od liczb.

- Chcę uszczęśliwić moich poddanych. Czyż nie to jest zadaniem króla?

- Ależ dzicy i inna hołota zawsze mieszkali w ten sposób. Są przyzwyczajeni.

Quinatzin uśmiechnął się do niego jak do tępego dziecka. Nalał sobie *pulque* i sięgnął po kolec z pirytu, który pamiętał czasy sprzed Klątwy. Jego przodkowie kłuli się nim po dupskach od czasów Montezumy.

- To dopiero początek. Kapłani myślą, że imperium można zbudować na strachu, bólu i krwi. Przeciwstawię im wygodę. Zadowolenie. Komfort. W ten sposób odbiorę im wiernych.

Nie zrozumieli go. Tylko Maz z uznaniem pokiwał swoją szczurzą głową.

- To może ożywić handel - mruknął.

- Wolność od religii? Świetny pomysł. Pytanie, czy bogowie się zgodzą - rzucił Aczkin.

Nikt się nie zaśmiał. Król wyprostował się i pokazał im swoje

dziedzictwo, rytualny artefakt z pirytu. Takie cacka, pamiętające lepsze czasy sprzed Klątwy, gdy ziemia bez problemów rodziła owoce, a w jaskiniach nie mieszkały demony, stanowiły bezcenną schedę. *Tlatoani* mrugnął i przełamał swój kolec z pogardą.

- To, że coś jest stare, nie oznacza, że musi być wieczne. Kapłanom już dziękujemy. Natura nie znosi próżni, panowie, i coś zawsze będzie człowiekiem władać. Ja im dam kajdany rozkoszy.

Kiedy doradcy wyszli z królewskiego namiotu, Mazatlan padł przed nim na kolana, całując go w rąbek szaty. Oczy błyszczały mu ekscytacją.

- Po raz pierwszy widzę, że twoje szaleństwo może się ziścić, panie - powiedział z nieczęstą u niego szczerością. Quinatzin uśmiechnął się.

- Ci, którzy słuchają kapłanów, myślą, że są szlachetni i bogobojni. Znajdują oparcie w mieszance urojonej otuchy i lęku. Ich nie da się łatwo odmienić. Ale reszta? Widziałem jacy są głodni. Będziemy rozdawać im chleb. Damy im narkotyki, których jeszcze nie znają, i dziwki tańsze niż słoma, jutro należy do nas, Maz.

Quinatzin położył dłonie na ramionach doradcy i z naciskiem popatrzył mu w oczy.

- Nie guzdrajcie się. Kiedy zdobędę Labirynt chcę, żeby każdy dziki Otomi i każdy niedomyty Druazzi w Tollan modlił się do mnie jak do wsiowego totemu. Wystarczy im jeden bóg.

W przeciwieństwie do swych rywali Orłów, Jaguary nie były jednostką frontową. Członkowie Korpusu operowali za linią wroga, wykonując misje zwiadowcze i ratunkowe. Każdy ich oddział potrafił zaskoczyć i rozbić znacznie liczniejsze siły wroga. Tak było kiedyś i zgodnie z wolą króla ta tradycja miała się teraz odrodzić.

Wchodzący w górski, sosnowy las kadeci byli podekscytowani. Wyruszyli na pierwszą samodzielną misję. Tennok, któremu nie udzielił się ich buńczuczny nastrój, starał się ignorować narastający lęk. Powietrze było tu zimniejsze niż w dolinach. Nawet szum sosen i trzeszczenie majestatycznych dębów

wydały mu się złowieszcze, jestem na terytorium wroga, uświadomił sobie. Na pograniczu świętej ziemi Tlaszkalan, której nigdy nie podbili Aztekowie, Kruzowie czy Białoskórzy - nawet zamorscy najeźdźcy woleli się z nimi sprzymierzyć. Książę odwrócił się, żeby nacieszyć oczy krzepiącą bryłą twierdzy granicznej, ale od strony zbiicza wyglądała niepozornie. Garnizon Kruzów przycupnął w górach jak znużone zwierzę, niemające siły ani odwagi iść dalej.

Kannatzin Trzy Psy, przywódca ich dwudziestoosobowego oddziału, zatrzymał podwładnych krótkim gestem. Podobnie jak wielu Jaguarów, był kruzańskim szlachcicem z prowincjonalnego klanu, osiedlonego w jakiejś zapadłej dziurze. Tacy jak on nie mieli łatwego życia. Szlachta z Tollan traktowała ich z góry i może dlatego byli jeszcze bardziej ambitni i bezwzględni, wściekle dążąc do wybicia się w plemiennej hierarchii.

Kannatzin był niskim mężczyzną, z odgryzionym uchem i kawałkiem twarzy. Tym ładniejszym. Zbuntowani Otomi wrzucili go kiedyś do dołu z głodnymi psami, bez broni. Podobno rozerwał trzy czworonogi na strzępy, a reszta stada uznała go za zbyt niestrawnego i zajęła się pożeraniem kumpli.

Wszyscy kadeci przypadli do ziemi. Tennok dzielnie zignorował tężejące w zimny supeł wnętrzości i przesunął się do przodu. Widziana z zarośli wioska Tlaszkalan wyglądała na małą i biedną, w imperium byłby to folwark jednego klanu, i to nędzny. Z drugiej strony, bogaci Tlaszkalanie nie musieli szukać szczęścia aż tutaj, po gorszej stronie gór.

Słońce stało pośrodku nieba i wioska cieszyła się sjeścią. Nie była chroniona murem czy palisadą. Na zewnątrz krzątały się tylko dwie kobiety, jedna z nich była młoda i całkiem ładna.

Naszin, zwany Małym Ocelotem, który w ich małej armii grał wdzięczną rolę narwańca i zgrywusa, wyszczerzył zęby i wykonał wulgarny gest biodrami. Właśnie takich miejscówek szukali.

I co teraz? Myśli księcia pracowały jak oszalałe. Polityka *tłatoaniego* zakładała pustoszenie, nękanie i wojnę na wyczerpanie, w której ludne Przymierze siłą rzeczy musiało być

górami. Chłopak rozejrzał się po górskim lesie, porośniętym sosnami i karłowatymi dębami. Jego *urs* siedział kilka strzał dalej, oparty o zielony dąb. Był równie niewzruszony, co porastający pień porost. Albo jakiś inny pasożyt, pomyślał z niechęcią Tennok.

Nie mógł pogodzić się z tym, że Haran został zrównany z nim w prawach - przynajmniej prawach armii. A jeśli odznaczy się i zostanie oficerem? Czy oficer może być *ursem* szeregowca? Było to tyleż absurdalne, co skomplikowane.

- Ładnie tu - rzucił, widząc, że niewolnik przypatruje mu się spod zmrużonych powiek. Nieruchome oblicze skrzywiło się.

- To kiepski las. Przebrany. Za mało poszycia. Za sucho. Nie znajdziesz tu jagód, grzybów ani nawet ptasich jajek. Ci ludzie muszą być zdesperowani. Uprawiają nawet wysokie partie gór, drzewom zostawili za mało miejsca. Nie, brzydko tu.

Tennok nadstawił uszu. Pogłoski o makabrycznym głodzie w Tlaskali docierały do nich od lat. Wglądało na to, że przeludniony kraj zmuszał biednych i zdesperowanych do osiedlania się w pogranicznych górach, poza ochronnym buforem Labiryntu. Ludzie ci uprawiali rolę na kamienistych zboczach, narażeni na napaść i grabież. Mimo to nie słyszało się o uciekinierach, którzy porzuciliby tożsamość swojego plemienia i wtopili się w morze Meszików. Pograniczni osadnicy pozostawali Tlaskalanami, nawet za cenę życia.

Po godzinie obserwacji Trzy Psy zostawił kilku żołnierzy na czatach i zaczął z resztą okrążyć wioskę. Szczególnie uważnie przyglądali się koronom dębów, na których często kryły się platformy łuczników. Tennok był zły, bo ambitny dowódca kazał mu zostać, jakby z góry zakładał jego nieprzydatność. Pewnie miał rację, ale zabolowało go, że tak szybko to sobie wyklarował. Książę poczuł złośliwą ochotę, by zaalarmować Termity jakimś przypadkowym hałasem i obciążyć buca konsekwencjami porażki.

Na niekorzyść tego planu przemawiało to, że w razie klęski trudno będzie zabezpieczyć własny tyłek. Tennok trwał więc nieruchomo. Przez następne kwadransy poznał na własnej skórze, co znaczy skrywać się blisko mrowiska. Zrozpaczony,

popatrzył na Harana, który usadowił się ze skrzyżowanymi nogami jeszcze bliżej przekłętej trasy owadziej wędrówki. W przeciwieństwie do księcia, barbarzyńca nie wiercił się i nie drapał. Szeroka na długość palca owadzia wstęga po prostu sunęła po jego łydce. Druazzi miał przymknięte oczy, ale gdy Tennok jęknął z bólu, uśmiechnął się kpiąco, Książę syknął i stracił z siebie mrówczych zwiadowców, którzy zdążyli już nawiązać kontakt z wrogiem.

- Atakują z powodu strachu. Nie doprowadzaj ich do desperacji, szlachetny - szepnął *urs*.

Tennok skrzywił się z odrazą.

Przypomniawszy sobie, jak dwa dni temu, gdy opuszczali Dolinę, *urs* znalazł koło obozu mrowisko wysokie jak człowiek, zbudowane z traw i sosnowego igliwia. Kiedy wszyscy grali w kości albo nucili wojenne pieśni, Haran oznajmił, że pójdzie i da mrówkom pić. W tym celu zabrał znad ognia kociołek wrzątku.

Zaintrygowany Tennok zakradł się za nim. Zobaczył, jak *urs* kuca przed wielkim mrowiskiem. Nie spieszył się. W końcu kopniakiem zburzył budowlę owadów i rozgrzebywał ją, aż znalazł komorę królowej, w której robotnice w panice ratowały zagrożone jajeczka. Nawet jeżeli ukąszenia owadów sprawiały mu ból, wielki Druazzi nic sobie z tego nie robił. Na jego twarz wypełził jadowity uśmiech, lewa, okaleczona ręka zaciskała się kurczowo. Potem Haran chlusnął kipiącą śmiercią w to jądro mrówczego świata.

Książę wybałuszył oczy i westchnął, skazaniec odwrócił się do niego. Nieludzkie, jasne oczy błyszczały złowrogą radością. Uśmiechnął się, odprężony.

- Królowe zjadaczy też żyją w najgłębszej komorze kolonii. Zawsze, kiedy to robię, wyobrażam sobie, że palę te piekielne dziwki.

Tennok zrozumiał wtedy, dlaczego jego *urs* nigdy się nie modlił. Wolał samemu udawać gniewie, okrutne bóstwo, by dokonać na świecie zemsty za swoje potworne i zmarnowane życie. Książę miał nieprzyjemne wrażenie, że mrówki to dopiero rozgrzewka.

W końcu Trzy Psy wrócił, zostawiając siedmiu ludzi po drugiej stronie osady. Sygnał piszczałki dał znak do ataku. Kadeci wpadli do wioski z kilku stron, wywlekając ludzi z chat. Gwałtowność natarcia sparaliżowała wieśniaków, którzy nie stawiali oporu. Po legendarnej bitności Tlaskalan nie zostało tutaj nawet śladu.

W normalnych okolicznościach zwróciliby uwagę na niepokojącą nieobecność mężczyzn, ale wybiła im to z rozpalonych, młodych głów uroda tutejszych kobiet. Tennok odetchnął z ulgą. Czuł się pewniej, nawet kopnął w żebra ociągającego się na sienniku starca, który miał czelność udawać obłożnie chorego, jego nastoletnia córka, a może raczej wnuczka, patrzyła na księcia wilkiem i było jej z tym szalenie do twarzy. Dziewczęca pierś falowała, a kłębiące się w oczach emocje, upór i nienawiść zawierały też jakiś niechętny szacunek i gotowość. Tennok uderzył starucha płazem jednoręcznego miecza. Oręż po Cahuotlu pożyczył swojemu *ursowi*, nie miał zamiaru się męczyć z tym nieporęcznym rupieciem.

Gdy starzec zabulgotał czerwienią i umilkł, księżę rzucił swoją zdobycz na łóżko i pomyślał, że pęczniejąca mu w portkach pasja ma wiele wspólnego z odwagą. Jeszcze nigdy nie czuł się tak bardzo mężczyzną. Tylko dziewczyna była trochę za bardzo uległa, wręcz przeciwczona. Powoli zsunęła koszulę, odsłaniając drobne, ale już kształtne piersi z brodawkami stwardniałymi ze strachu i podniecenia.

Nagle, ku swej irytacji, Tennok poczuł, że nie jest sam. W drzwiach chaty stał ich główny zwiadowca, Hezop, który wpatrywał się w smukłe uda dziewczyny oczami rozwartymi równie szeroko jak one. Wybałuszyl je mocniej, gdy z gardła wyrósł mu grot wypuszczonej z zarośli strzały. Tennok pisnął i przypadł do ziemi, cudem unikając kolejnego pocisku.

Dziewczyna z krzykiem stoczyła się z łóżka. Gliniany dzban eksplodował na stole, wszędzie wbijały się strzały. Z wioski rozległy się krzyki jego towarzyszy.

Tlatoani dopiero pod koniec kampanii zapoznał się z raportami o nowej taktyce obronnej Termitów. Leśne

platformy, które łatwo było wypatrzeć wprawnemu zwiadowcy, zastąpili ukrytymi ziemiankami. W tej zmieściło się pospolite ruszenie z przynajmniej trzech okolicznych osad, prowadzone przez garść zawodowców. Ofiary przygotowały zasadzkę.

Gdy każdy z kadetów, który nie zdążył się schować, zmienił się w naszpikowanego pociskami trupa, Tlaskalanie zawyli i ruszyli do ataku. Trzy Psy skrzyknął resztę oddziału - jakichś siedmiu ludzi - i dzielnie stawiał im czoła. Książę był zdania, że on sam dobrze się tego dnia sprawił. Nie cisnął miecza, nie narobił w gacie. Jakimś cudem nie zdał się na instynkt, który kazał mu natychmiast uciekać. Udał przed samym sobą, że to tylko kolejne ćwiczenia. I nieważne, że kolega obok właśnie dał sobie rozplatać czaszkę, obryzgując Tennoka czymś białym i miękkim. Powiedzmy, że to był kleik.

Książę dołączył do kolegów, broniących się przy chacie wodza. Nie było tak źle, jego ciało reagowało zgodnie z wpojonymi technikami. Bawełniana zbroja chroniła przed ciosami maczug, a miecz raził odsłonięte kończyny Termitów, którzy daremnie kryli się za skórzanymi tarczami. Kamienne *macuahuitle* Kruzów dawały przewagę nad włóczniami i maczugami. Parując uderzenia, Jaguarzy cięli wrogów po łydkach, obezwładniając ich i raniąc.

Nagle Tennok aż krzyknął z uniesienia. Zobaczył, że wojownik, któremu wytrącił oszczep, poddaje się, unosząc ramiona. Na Ołtarz i Krew! Udało się, złapał pierwszego jeńca! On, Tennok, syn Maczuraia, dziedzic Turkusowej Włóczni. Nagle poczuł się jak mężczyzna i było to naprawdę nietuzinkowe uczucie.

Rozejrzał się, jak gdyby oczekiwał, że świat wokół się zmienił. Niebo ma głębszy kolor, słońce świeci goręcej, a zewsząd rozlegają się tryumfalne fanfary konch. Przyjaciele poklepują się po plecach, dziewczyny wyciskają pocałunki wargami słodkimi jak owoc papai. Niestety, nic takiego nie miało tu miejsca. Przyjaciele, czy raczej tolerujący go jako tako koledzy, walczyli i umierali, a jedyna dziewczyna, jaką widział, charczała na progu domu, obejmowana przez ojca, którego on pobił. Tennok zamrugął jak pokrzywdzone pachole. To było

niesprawiedliwe. Dopiero teraz zauważył, że Jaguary ponoszą klęskę.

Byli lepiej wyszkoleni, to prawda, lecz w zasadzce zaczęło się zbyt wiele Termitów. Ich przewaga liczebna dawała o sobie znać. Już trzech Jaguarów dogorywało, kilku broczyło z ran. Kilkunastu wojowników nie zdoła pokonać trzydziestki, bawiąc się przy tym w branie jeńców i inne bitewne kurtuazje. Można to zrobić, jeżeli wyeliminuje się wrogów jak najszybciej, wykorzystując każdy dostępny atut.

Jak Haran.

Jego ruchy były szybkie, oszczędne i bardzo brutalne. Najpierw wypatrzył i zdjął trzech pozostawionych w zaroślach łuczników. Potem dał nura w sam środek bitwy. Walczył tam wódz napastników, ani chybi wojskowy osadnik. Tacy ludzie często zostawali wójtami po skończonej służbie, choć obdarowanie ziemią na tym pograniczu było raczej naganą niż nagrodą.

Szpakowaty, brodaty weteran miał dumną, upartą twarz. Nosił na włosach biało-czerwoną opaskę oficera, miał też dobrą maczugę i zbroję z utwardzanych jelenich skór. Zabił już jednego Kruza i właśnie przyparł do muru Kannatzina. Trzy Psy uderzył oburącz, celując w głowę Termita, który sparował cios tarczą. Inkrustujący ją cenny jodeit rozprysnął się, Tlaskalanm bluzgnął z wściekłości. Taka tarcza była warta majątek, musiała być trofeum albo nagrodą za służbę.

Odwinął się i mocno pchnął Kannatzina tym, co mu zostało w rękę. Dowódca Jaguarów uderzył głową w mur, tracąc przytomność. Jego wróg uniósł maczugę do ciosu.

Ostrze zatoczyło szeroki łuk i wtedy zablokował je Haran. Barbarzyńca uderzył z boku. Obalił weterana kopniakiem w kolano i odwrócił się, by stawić czoła jego eskorcie. Rozproszył ich i zastopował potężnymi, zamaszystymi cięciami. Potem sięgnął po nóż, w dalszym ciągu władając prawą ręką ciężkim *macuahuitlem*.

Tlaskalanie cofnęli się, zaskoczeni, dając Kruzom czas na złapanie oddechu. Im samym nie został on dany. Haran był dobry, Tennok musiał niechętnie to przyznać. Kto, na

Zwierciadło i Dym, nauczył go walczyć w ten sposób? Nie chodziło tu o barbarzyńskie ryki, deptanie rannych i plucie wrogowi w twarz. Chodziło o poetycki efekt, szermierczy oksymoron. Jego *urs* zdołał połączyć w płynnej formie dwa przeciwstawne style, rąbankę i finezyjną szermierkę.

Potężny, dwuręczny miecz wylapywał wrogów na dalszym dystansie, górując zasięgiem nad zwykłą maczugą i strzaskując drzewce włóczni. Pierwszy przyboczny zamarł jak bezgłowy kurczak zaszlachtowany na rosół. Przez chwilę wyglądał, jakby rozważał wykonanie rundki po obejściu. Zamiast tego osunął się na ziemię miękkim, spiralnym ruchem. Drugi Termit, łysy mężczyzna z purchłami oparzeń na czaszce, zawył i przeskoczył nad jego bezgłowym trupem.

Wylądował i schylił się szybko, wielkie ostrze z furkotem przecięło powietrze nad jego głową. Uderzył z bliska, celując w barbarzyńcę kościaną włócznią. To nie było głupie, typa z dwuręcznym mieczem najłatwiej załatwić w ścisku i szybszą bronią. Ale ten typ z dwuręcznym mieczem poruszał się niczym kot. I miał sztylet.

Krótkie ostrze śmignęło jak kłuszący ofiarę grzechotnik. Poparzony wybałuszył oczy i wypuścił włócznię, z wyrzutem zerkając na swój rozpruty brzuch. Haran obrócił ostrze, uwalniając wnętrzności i życie. Jego prawe ramię właśnie wyprowadzało cios z góry. Tlaskalanin zasłonił głowę przed cięciem, a wtedy miecz przeciął jego przedramię i twarz. Mokry kawałek brody opadł na ziemię jak skalp, rozrębana szczeka osunęła się na piersi.

To nie była ucziwa walka, normalny człowiek nie miał takiej siły. Pozostali wrogowie musieli dojść do analogicznych wniosków, bo po prostu odwrócili się i uciekli.

Trzech chłopów, zapędzonych pod ścianę, od razu rzuciło broń. Barbarzyńca dobił ich oszczędnymi ruchami rzeźnika, Kruzowie gapili się na to ze zgrozą. Tennok zobaczył, że Druazzi podchodzi też do jego jeńca, i rzucił się naprzód, zasłaniając własnym ciałem rozbrojonego górala. Haran odepchnął go na bok, nie zwalniając, i przebił wojownika sztychem.

- Człowieku, tak się nie robi! To byli jeńcy - zabalgotał ksiązę.
- Sreńcy. Ich kumple tu wróca, a wy pierdolicie się z nimi jak cipy.

- Jak nas nazwałeś? - krzyknął Tennok, nie panując nad sobą. No tak. Zamiast bitewnego szału dopadła go pobitewna histeria. Znakomicie. Barbarzyńca uśmiechnął się kpiąco i wręczył mu bawełnianą chustkę.

- Cipy. Pizdy. Zastrane bachory. Oplułeś się, wytrzymaj ryj.

Tennok gapił się na Harana w osłupieniu. Jego *urs* nigdy nie odzywał się do niego w ten sposób. Potem pojawił się gniew.

- To był mój jeńiec, kurwa! Mój pierwszy. Pojmałem go sam. Nikt nie wierzył, że jestem do tego zdolny. Każdy miał mnie za tchórze, zawsze. Właśnie pozbawiłeś mnie czegoś, na co czekałem przez całe życie - powiedział Tennok cicho.

Druazzi spojrział na niego uważnie, w nieludzkich, jasnych oczach nagle błysnęło współczucie.

- Martwemu by ci się nie przydał. Martwi w ogóle średnio dbają o to, co pieprzą inni. No chyba że chodzi o wdowy po nich. O honorze, odwadze i zasadach więcej pierdola nie ci, którzy giną, lecz ci, którzy posyłają na śmierć. Chcecie tu zostać, droga wolna. Ale beze mnie. Niech każdy ratuje się sam.

Tennok zamilkł. Poranek był chłodny, powietrze szczypiące i rześkie. Pachniało gównem i krwią. To było coś nowego. Tysiące jeńców, których śmierć oglądał podczas festynów i świąt, musiało umierać na czczo. Stawiało to też w innym świetle kwestię kosztownych kapłańskich kadzideł.

Spojrział na Harana, który buszował po jatkach w poszukiwaniu furazu, napychając sakwę kolbami kukurydzy, które zrabował poległym. Nagle poczuł, że jego nienawiść słabnie. Nie chodziło w tym tylko o to, że ten potwór ocalił im życie. Tennok przypomniał sobie gruzłowate, nieludzkie łapska Harana. Lata górniczej mordęgi przy braku odpowiednich narzędzi zmieniły je w szpony potwora. I jeszcze ta ohydna skorupa na lewej dłoni, szary, nieschodzący strup. Jak okaleczona musiała być jego dusza?

Dobra robota, tato. Właśnie tym zajmujemy się w naszych sztolniach, wydobywamy klejnoty i bestie. Maczurai jest

świetnym trenerem. Mistrzem. Tennok poczuł jakąś kuriozalną dumę.

A potem zwiesił głowę. Nagle pomyślał o sobie.

- Tchorze! Przez was nie wzięliśmy jeńców! - wrzasnął Trzy Psy, gdy tylko go ocucili. Może to był błąd?

Haran skrzywił się. Dopiero teraz dotarło do niego, że dowódca to kretyn. A jeszcze niedawno go lubił.

- Pozwól, że się upewnię, dowódco. Wkurzasz się, bo nie daliśmy się zabić i pozabijaliśmy wrogów, tak?

Trzy Psy zatrzymał się, z pasją gestykulując rękoma. Marnował się, powinien tańczyć.

- Rozliczają nas z jeńców, to oni potwierdzają naszą odwagę i honor! Chowalesz się w jakiejś dziurze?

Tak, miał ochotę od warknąć mu Haran, ale zamilkł. Nauczył się już, że kiedy Kruz zaczyna mówić o honorze i odwadze, najlepiej obserwować obłoczki albo ptaki. Przeczekać, po prostu przeczekać. I nie dyskutować, tak jak nie dyskutuje się z histeryzującym niemowlakiem.

- Przecież wygraliśmy! To się dla ciebie nie liczy?

- Ale w jakim stylu! Straciłem połowę ludzi i nie mam żadnego jeńca!

- Masz jednego - bąknął Haran, wskazując na pelzającego po krwawym błocku jakiegoś konusa. Ranny właśnie dygotał nogami w agonii. - Tam, gdzie uczyłem się walczyć, nie zostawialiśmy rannych. To zapraszanie zarazy - mruknął.

- Gdziekolwiek to było, teraz jesteśmy wojownikami Przymierza. Żaden pieprzony dzikus nie będzie mi odbierał awansu!

- Było samemu się bić - burknął pod nosem Druazzi, budząc zduszony chichot żołnierzy. - Jak dla mnie, możesz gromić Tlaskalan nawet gołymi rękami.

Albo dupą.

Na popasie Tennok podczytywał, jak zwykle, zabraną jeszcze z Yugal książczynę. Był to zbiór legend i awanturniczych romansów pióra Mykotla Starszego. Czytał ten zwój dziesięć lat temu, gdy wysłany przez żonę Maczuraia zabójca usiłował go zabić, podczas próby pałacowego przewrotu. Od tamtej pory

uważał tomik za coś w rodzaju amuletu. Książka przypominała mu, że zawsze musi być czujny i że jednak jakimś cudem, miewa szczęście. Ale dzisiaj nie mógł się na niej skupić.

Przeszkadzało mu, że wszyscy fetują i chwają Harana, który przyjmował to, jak to on, z obojętnością medytującego pniaka. Wszyscy skupili się na tym parszywym *ursie*, a jego nikt nie zauważał. A przecież prawie wziął jeńca!

Tennok wstał i zbliżył się do żartujących kolegów. Oczywiście nie dał po sobie nic poznać, nie zamierzał też samemu poruszać tematu. Nie zwykł zabiegać o poklask. Przechadzał się z obojętną miną, lecz jego dusza kipiała. Buzował, oczekując pochwał i dowodów sympatii, rezonansu ze strony otoczenia. Przełomu, wyraźnej zmiany. Dopiero po jakimś czasie uświadomił sobie, że żadnych reakcji nie będzie, że pojmanie jednego wieśniaka, który zaraz zginął, nie wyróżnia go w żaden sposób z szarej żołnierskiej masy.

Książę spochmurniał i siadł na uboczu, nagle osowiąły. Dziwne. Kiedy żył pogodzony z tym, że niewiele może, był w jakiś sposób szczęśliwszy. Teraz, w miarę jak otwierały się przed nim kolejne możliwości, każda stawała się źródłem udręki i niepewności.

Kiedy odurzał się słowami w Dzielnicy Filozofów - nie, żeby odurzał się tylko nimi - wysłuchał wielu tyrad o jałowości dumy i pragnień. Każdy z tamtejszych mędrców *zalecał*, że trzeba się ich pozbyć. Szczególne chętnie Tennok dyskutował z Kuinim, żółtoskórym przybyszem z zachodu. Kuini był niewolnikiem, domowym nauczycielem rachunków. Wraz z rodzicami wylądował na zachodnim wybrzeżu na tratwie pełnej uciekinierów zza morza. Żółtoskórzy niechętnie opowiadali o tym, co stało się z ich utraconą ojczyzną, ale można się było domyślić, że Klątwa szalała tam w pełnym rozkwicie.

Tennok słuchał uważnie, lecz mimo wszystko czuł bunt. To były rady dla słabeuszy i obawiał się, że dlatego jest idealnym słuchaczem.

Ambicja, siła i seks... Sława i podziw tłumów. Łatwo jest zalecać porzucenie tych ziemskich skarbów, gdy pierdzisz w zapchlone łachmany w jakiejś parszywej uliczce. Wyrzeczenie.

To właśnie drażniło go w naukach kapłanów i mędrców. Obiecywali złote góry, lecz i tak zawsze radzili ci, żebyś powstrzymał się od robienia tego, co naprawdę lubisz, i wbił sobie w kutasa kolec z kaktusa. Różnili się tylko rodzajem szpikulca. Osobiście wolałby przeżyć te wszystkie rozkosze... zanim z nich zrezygnuje.

Dziś słowa dziadów z Zaułka brzęczały mu w uszach szyderstwem. Może mieli rację?

Od czasu pierwszej zwycięskiej bitwy czuł się naprawdę podle. Zobaczył, że może coś zdziałać. Że mogłoby coś z niego być. Nagle zaczęło mu na czymś zależeć, ten stan był nie do zniesienia. I jeszcze ten przekłety *urs*.

Haran stał w centrum grupy rozbawionych kadetów, śmiejąc się z własnych żartów. Miał tubalny śmiech, który udzielał się wszystkim; Tennok zastanowił się, czy słyszał go kiedykolwiek wcześniej. Druazzi się zmienił, choć czasem wciąż zapadał w przygnębienie, podczas którego zagadkowo zaciskał i prostował swoje okaleczone łapska.

Nikt już nie przejmował się tym, że do niedawna był *ursem*. Może wynikało to z tego, że kpiny na ten temat i tak nie przynosiły skutku, a może z tego, że kiedyś odpowiedział na żart chłopaka imieniem Myzolpin, który napluł mu do miski, wrzuceniem pechowca do studni i splunięciem do niej. Trudno śmiać się z kogoś, po kim to spływa. A teraz, po ich pierwszej bitwie, jego notowania najwyraźniej jeszcze wzrosły.

Tennok musiał to przyznać i jego niechęć wzrosła jeszcze bardziej.

Spokój ich popasu zakłóciło stłumione, coraz głośniejsze dudnienie. Maszerowały kolejne kruzańskie pułki. Kadeci przyglądali się, zdezorientowani. Nawet na paradach nie widziało się tyłu zbrojnych. Jaguarzy siedzieli, nagle skurczeni, obserwując sunące po drodze mrowie. Nagle stanęła przed nimi znajoma, niedźwiedziowata postać, z dumnym czubem sterczącym jak kogut. Albo kutas.

- No chłopcy, dość odpoczynku. - Yzatlin obrzucił ich oddział ojcowskim spojrzeniem, pod którym Tennok skulił się jak zdeptana żaba. Trzy Psy pokiwał głową, jakby jego zgoda miała

jakikolwiek znaczenie. Znowu stali się częścią większej całości.

- Zapomnijcie wszystko, co słyszeliście na odprawie. O taktyce lotnych oddziałów, pustoszeniu granicznych dolin i utrzymywaniu równowagi. Zapomnijcie o Wojnach Kwietnych. *Tlatoani* uznał, że pora przycisnąć tych drani do muru. - Dowódca powiódł po nich podekscytowanym wzrokiem i wyszczerzył zęby. - Żołnierz nie kwestionuje rozkazów. Ale jeżeli spytacie mnie o opinię, powiem: najwyższy, kurwa, czas! Zbyt wiele razy Termyt śmiały nam się w twarz, tocząc wojnę na swoich warunkach. Teraz podyktujemy je my! Ludzie mówili o was „przybłądy”, wytykali was palcami. Bo nie jesteście Kruzami czystej krwi albo pochodzicie z egzotycznych, dalekich prowincji. Znam ten ból, chłopcy. Mówiłem wam, że mój dziadek urodził się w pustynnej osadzie Tarasków?

Odpowiedziała mu cisza. Yzatlin wyprostował się, obrzucił ich dumnym, wyzywającym spojrzeniem. Książę zrozumiał, że nie znalazł ich przypadkowo.

- Nie przeszkodziło mi to zdobywać Drogocennej Wody. Dwunastu jeńców powiodłem na ołtarz Pana Tego, Co Tutaj i Teraz. Bo jestem prawdziwym synem Przymierza. Tak jak wy! I niech żaden zafajdany paniczyk nie śmie wam tego odbierać. Bo to wy tutaj dotarliście, nie oni! Idziemy na prawdziwą wojnę, chłopcy, zrobić to, na co nie zdobył się żaden prawdziwy Kruz. Zdobędziemy pieprzony Labirynt!

Wśród słuchających zapadła grobowa, bezlitosna cisza, w której pełne pole do popisu miała samotna pszczoła i krople kapiącej ze skały wody. Tylko Yzatlin przyglądał się swoim podopiecznym z twarzą ściągniętą w uśmiechu jak skóra na bębnie.

Wiedział, że nie byli gotowi. Ale to nie miało znaczenia. W Labiryncie nikt nie jest gotowy.

Rozdział 30

W latach Klątwy niebiosa runęły na ziemię, a Planety i Gwiazdy stapały pomiędzy ludźmi, żeby nasycić swój głód. Oczywiście, sceptyk zaskrzeczy, że to przecież baśń! Ale tylko do czasu, aż jeden z reliktyw Klątwy rozpruje ściany jego domu i porwie go do wyjących piekieł. Klątwa zakłóciła proces tłoczenia i modelowania stałej substancji świata, pogubiła i powgniatła foremki. Wiele plemion straciło mowę, wiele obszarów padło plagą dogłębnych mutacji. Kapłani nazywają je Fragmentami - funkcjonują tam dziwne, chybione formy.

Wszystko ma swoją cenę, a co dopiero metafizyczny kataklizm, który ocalił cywilizację. Kapłani i wróżbici, grzebiący w krwawych zwojach jelit i księgach dymiących serc, są pewni, że Klątwa ocaliła nie tylko Meszików, lecz całą planetę, przed dominacją niszczycielskiej, obłąkanej odnogi gatunku. Wy, którzy bluźnicie bogom, powinniście o tym pamiętać. Białoskórzy przynieśliby światu śmierć. Targujecie się o cenę ocalenia?

Yagazpin, *Ontologia Klątwy*

Szaratanga dwoił się i troił. W asyście kilkunastu przybocznych objeżdżał ukryte fortece, zastanawiając się, z której strony uderza Kruzowie. Połowę swoich sił rozlokował po górskich tortach. Reszta armii, złożona z silniejszych i szybszych jednostek, miała krążyć między nimi, wspierając zagrożone odcinki.

Zatrzymali się na noc w kołysce, niewielkim zamku, w którym Szar kiedyś stacjonował. Była to zagrożona flanka, nieopodal

bronili się oddziały Pauka. Po uzupełnieniu garnizonu przez jego nowe oddziały, na placówce stacjonowało stu łuczników i sześćdziesięciu włóczników. W nocy wojownik długo nie mógł zasnąć, bez końca ustawiając taktykę. Roztrząsał możliwe scenariusze, analizował przyczyny dawnych porażek i zwycięstw.

Teoretycznie sytuacja nie była jeszcze stracona. Jeżeli Szaratanga utrzyma fort, a inni dowódcy obronią swoje pozycje, Kruzowie wykrwawią się i wymęczą. A potem nadejdą posiłki.

Szar musiał przyznać, że strategia Rady, w której wyczuwał bezlitosną logikę Zakonu kretów, miała bezsporne zalety. Imię i sława Lwa Labiryntu sprawiły, że naprędce przeskoleni rekruci zmienili się może nie w doborowych, ale całkiem przyzwoitych żołnierzy, tym samym odciążając weteranów Osappy, którzy bronili teraz Długich Murów. Dzięki temu, że Szaratanga zmusił generalicję do wydania mu porządnego rynsztunku, jego ludzie naprawdę dawali radę.

Sąsiedni odcinek Labiryntu obsadził Pa'uk. Wielu nie lubiło tego szorstkiego tłuściocha z niewyparzoną gębą, lecz Szar znał go i kochał niczym brata. W końcu bili się ramię w ramię w Dolinie Czarnego Psa. największym zwycięstwem Tlaszkalan od czasów klątwy, a po bitwie dzielili się antałkami wina i względami ponętnych i bardzo zobowiązanych wieśniaczek.

Szar czuł jednak, że sytuacja jest poważna. Quinatzin był bardziej zdeterminowany niż poprzedni kruzańscy dowódcy, którzy traktowali Labirynt jak arenę upiornych igrzysk. Skurwysyn naprawdę chciał wygrać i było to, wbrew pozorom, możliwe. Mimo przewagi, jaką dawał Labirynt, Kwietne Wojny nie zawsze były dla jego obrońców zwycięskie. Kruzowie górowali nad obrońcami uzbrojeniem i liczbą, a rekruci z obłożonej embargiem Tlaszkali często stawali do walki niedożywieni i słabi. Szaratanga podejrzewał też, że niektóre porażki mogły być celowe, ustawione przez generalicję i Radę.

Arystokraci już dawno temu uznali, że ciągle upokarzanie Przymierza przyniesie Tlaszkali zgubę. Wystrzegano się tortur i poniżania wroga. Dbano też o to, żeby po każdej kampanii

Kruzowie mogli z dumą popędzić na swoje ołtarze przynajmniej kilkudziesięciu jeńców. Przy całej niepodległościowej retoryce, jego lud płacił ukrytą daninę.

Chcesz przeżyć? Postaraj się być przydatny.

Zanim Szar pojawił się na arenie zmagają, potyczki w Labiryncie stały się monotonne i przewidywalne. W miarę upływu lat Kruzowie zapuszczali się jednak coraz dalej, spychając i krusząc obronę Tlaskalan, którzy w przeciwieństwie do swoich wrogów nie dysponowali nieprzebranymi rezerwami rekruta. Ciąg remisów i odwrotów musiał w końcu skumulować się w klęskę.

Szaratanga odwrócił ten trend. Wiedziony specyficzną mieszanką brawury, pomysłowości i szczęścia, przypomniał swoim rodakom, czym był naprawdę Labirynt. Czym mógł być. Nie tylko ciągiem starożytnych umocnień i bunkrów, lecz uśpionym sprzymierzeńcem, który dawał przewagę inicjatywy i zaskoczenia wojownikom, znającym jego sekrety. Udowodnił to, atakując z zasadzki wracających z łupami wrogów i rozbijając ich w pył. Szar zaczął zwyciężać i uraził tym dumę Kruzów. Jego zwolennicy twierdzili, że uchronił Tlaskalę od nieuchronnej klęski.

Jego przeciwnicy byli zdania, że podrażnił kruzańską dumę, niepotrzebnie zaognił konflikt.

Obecna wojna była inna niż wszystkie, Szar musiał zgodzić się z Radą. Kruzowie zalali góry, jakby zamierzali je zdeptać, podczas gdy reszta ich armii pustoszyła ziemie Wielkiego Tikal i szturmowała Długie Mury. Szaratanga na własne oczy widział majańskich uciekinierów, którzy ze swymi spłaszczonymi czołami i nosami w kształcie ptasich dziobów przypominali mu nerwowe czaple, brodzące we własnej krwi.

Nowy *tlatoani* łamał wszelkie reguły wojny.

Szar słyszał, że gdy rozbici Tikalczyzy zostawili Kruzom obóz niewolników, co z reguły kończyło zmagania, ten wariat kazał wyciąć ich na miejscu w pień. Zaraz potem jego generał, Tizok, forsownym marszem dotarł do Akarikan, stolicy północnych prowincji Tikal, wziął ją szturmem i dopiero stamtąd odesłał

transporty jeńców.

Sam Quinatzin najechał Tlaszkale. Pułki Kruzów posuwały się tak szybko, że Szar nie miał wyboru. Musiał wydać im bitwę albo wkrótce zagrożą stolicy. Postanowił jak najszybciej zaopatrzyć najważniejsze punkty obrony. Skala korupcji, na jaką natrafił, kazała mu się obawiać o ich gotowość do walki. Postanowił, że zablokuje trudny odcinek na wysokości wodospadu Ysacan. Kruzowie będą szli pod górę, wystawieni na strzały i włócznie. Właśnie tam ich porządnie wykrwawi.

Tylko czy Quinatzin potulnie da się wprowadzić w zasadzkę?

- Twój plan jest do dupy, królu - oznajmił Gurkho i zaśmiał się pogardliwie.

Zapachniało zepsutym mięsem.

Gurkho był krępy, ohydny stworzeniem, bardzo na bakier z higieną. Miał też przykry zwyczaj prychnania rozmówcy w twarz drobinkami śliny. Każda z tych rzeczy stanowiła powód do wyzwania sukinsyna na pojedynek.

Quinatzin niczego żadnemu człowiekowi nie puszczał płazem. Wiedział, że dowódcy, którzy tak robią, prędzej czy później płacą za swoje uchybienie włócznie w plecach. Było tylko jedno „ale” - Gurkho nie był człowiekiem. Był wysłannikiem zjadaczy.

Rozmawiali w płytko położonej jaskini. Zjadacze nie lubili przebywać zbyt blisko powierzchni, a światło słońca było dla nich zabójcze.

Quinatzin patrzył, jak stwór wybija na ścianie rytm, przyzywając kogoś lub coś. To było ohydne, jego ruchy, zapach każda sekunda istnienia tego stwora budziła w *tlatonim* grozę i żądzę mordy. Przebywanie z tym czymś w jednym pomieszczeniu nagle wydało mu się występne. Grzeszne. Poczul, jak w gardle gromadzi się żółć, a żołądek zwija się w lodowaty, wilgotny kłęb przerażenia i wstrętu. Po nitce do kłębka, pomyślał i uśmiechnął się do własnej odrazy z pogardą. Nie chcesz się ubrudzić, synu? To było zostać kwiaciarką.

Tlatonani poruszył się, niespokojnie rozejrzał po cuchnącej jamie. To ponure miejsce pasowało nastrojem do opowieści o wiecznie głodnych demonach, którymi w dzieciństwie raczyła go niania. Quinatzin wspominał ją mile, choć rodzice nie byli

zadowoleni z jej usług. Któregoś dnia ojciec odkrył, że opowieści piastunki sprawiają, że następca tronu moczy się w nocy. Nawet nie pamiętał, w jaki sposób starowinka została zabita. Usiłował przypomnieć sobie, co wiedzano o tlaszkalańskich zjadaczach.

Stanowili relikw Kłątwy. Wymierali od wielu stuleci i na ziemiach Przymierza stali się makabryczną legendą. Mimo to w górach Miken-Itza na pograniczu Tlaszkali, a także przy granicy z krainami Tikal, wciąż żyło ich stosunkowo wielu. Tamtejsze pustkowia zawierały bowiem tak zwane Fragmenty, wynaturzone obszary, szczególnie dotknięte przez Kłątwę.

Podobno kiedyś Termity tępiły ich bezlitośnie, ale okazało się, że tereny, na których grasują głodni kanibale, dają skuteczną obronę przed forpocztami Kruzów. Dlatego Rada Tlaszkali tolerowała te stwory, wierząc, że stanowią dodatkowe zabezpieczenie Labiryntu. W końcu rozszarpywali zapuszczających się tam Kruzów tak samo chętnie, jak kogokolwiek innego. Według raportów Tysiąca Oczu Rada Grani celowo zaniżała ich liczebność, żeby nie niepokoić poddanych.

Operujący na pograniczu żołnierze wiedzieli, jak omijać zmienione Fragmenty. A i *hikku'tai* woleli nie narażać się bitnym góralom. Między obiema rasami istniało więc coś na kształt kruchego rozejmu. Na szczęście dla ludzkich mieszkańców Tlaszkali, poruszanie się zjadaczy po powierzchni świata obwarowane było ograniczeniami, których natura do dziś stanowiła dla ludzkich uczonych zagadkę. Wielu z nich nawet nie podejrzewało, że z *hikku'tai* dawało się porozumieć.

Choć oszczędzeni, zjadacze nigdy nie zostali prawdziwymi sojusznikami górali. Quinatzin postanowił wykorzystać ten błąd. Zjadacze, których wypaczone apetyty preferowały dietę z ludzkiego mięsa - tak zwany humanitarizm - zostaną oficjalnie przywrócenie na łono Przymierza, pod warunkiem, że swój głód nasycą kosztem Tlaszkan.

- Nigdy nie przyszło was aż tylu. Zostaniecie, prawda? - Stwór łypnął na niego chytrze i z furkotem wciągnął do nosa ścieżkę sinego proszku.

Quinatzin zachnął się. Nie dość, że musi układać się z taką cuchnącą poczwarą, to jeszcze bydlę czytało w nim jak w księdze. Był aż tak przewidywalny? Ciekawe, jak wiele z jego planów domyślają się już Tlaszkalanie.

- Jeżeli wygram tę wojnę, twój lud nigdy nie będzie głodny - obiecał.

Przynajmniej dopóki nie upolujecie ostatnich niedobitków Tlaszkalan. Wtedy was wytępię, bydlaki. Zadrzał, przypominając sobie swoją ostatnią wizję. Kolejną zapowiedź końca.

Czy to nie ironia, że słynny bluźnierca, wróg religii i kapłanów co noc drżał pod wpływem objawień jak jakiś pustynny prorok? A teraz sprzymierzał się z demonami, największym zagrożeniem ludzkości. Ale Quinatzin może i miał wizje, nie miał jednak złudzeń. Jeżeli nie ujarzmi Tlaszkali, koczowników i Tikal i nie zdobędzie starożytnej broni Białoskórych, jego kraj pozostanie kolosem na glinianych nogach. A przecież, według wizji, Przymierzu zagrażało coś strasznego. To że widzenia wciąż nie zdradzały mu tego fragmentu, tylko potęgowało grozę.

Poza tym wódz zjadaczy udowodnił już swoją przydatność. Na początku negocjacji zaprowadził Quinatzina do małej kotlinki, gdzie czekało dwadzieścia tlaszkalańskich łbów. I to nie łbów zwykłych wieśniaków. Sądząc po hełmach, były to oddziały doborowe. Tylko zjadacze byli w stanie urządzić na Tlaszkalan zasadzkę w Labiryncie.

Powstrzymując wstręt, *tlatoani* uścisnął ogromną, błoniastą prawicę potwora. Gurkho ryknął z uciechy i plasnął łapami o uda.

- Ostatnia wojna? Twoja oferta warta jest czasu mojego pana.

Król uśmiechnął się z trudem. Kanibal budził w nim instynktowny lęk, kropelki potu łaskotały plecy. Dla dodania sobie otuchy pomyślał, co Szurukan powiedziałby na jego szalony sojusz albo fascynację metalurgią. Potępiając dzieła Białoskórych, stary głupiec potępiał siłę. Uwierzył w iluzję świata, w którym nie zachodzą zmiany. Quinatzin zamierzał rozbić ten pogład w pył.

Po chwili z czeluści tunelu wychynęła istota, na której widok

Quinatzin wstrzymał oddech. *Murgha*. Quinatzin nie widział jeszcze władców *hikku'tai* i zdumiał się, jak bardzo *murgha* odbiegają od szeregowych wojowników. Zwykli zjadacze przypominali pokracznych, wykrzywionych cierpieniem ludzi. Mieli potężne, szponiaste dłonie, z gruzłowatymi palcami. Zmutowane zęby i zgarbione plecy. Jeżeli zwykły *hikku'tai* przywodził na myśl potępienie i karę, ich elita sugerowała nagrodę.

Stwór był wysoki, smukły i ciemnoskóry. Umięśnione kończyny miał jakby za długie w stosunku do reszty ciała. Nie nosił żadnej odzieży, z wyjątkiem ozdobnej maski z polerowanej kości, rzeźbionej w zawile, niepokojące wzory. Miała żółtawy kolor trupiego tłuszczu.

Quinatzin przypomniał sobie, że skóra tych istot była niezwykle wrażliwa na bodźce. Mimowolnie zerknął na obnażone genitalia zjadacza i przez twarz przemknął mu skurcz irytacji. No tak. Są od nas więksi, silniejsi i mają ogromne członki. Ciekawe, dlaczego ich nie lubimy?

Przed tym spotkaniem *tlatoani* odkurzył sobie wszystko, co czytał na temat *hikku'tai* w czarnorynkowych, zakazanych źródłach. Kwestia zjadaczy zawsze go fascynowała, podobnie jak temat Kłątwy.

Przeczuwał, że kryje się tam coś ważnego, a jego wrodzony cynizm domagał się czystej prawdy, nieważne, jak będzie gorzka. *Hikku'tai* czaili się w mroku historii, w którym zwaśnieni Białoskórzy, Aztekowie, Tlaskalanie i przodkowie Kruzów poczęli Odrodzone Przymierze. Podobno zjadacze uważali się za dzieci obecnego Cyklu, za pełnoprawnych mieszkańców świata. To ludzie, na których polowali, byli relikdami poprzedniego porządku, które nie szczyły wraz z nim. *Hikku'tai* nazywali ich obelżywie *ennari*, czyli „minieni”.

Kapłani zabraniali o nich rozmawiać, lecz nie całą wiedzę o nieludziach zdołali zniszczyć. Quinatzin odkrywał ją w okradzionych świątyniach i w księgach, za których posiadanie kapłańscy cenzorzy posyłali heretyków do klatek na mięso.

Na osmalonych murach ruin znajdował strzępy legend wybazgrane przez przerażonych ludzi, których spotkała

zagłada. Najciekawszy fragment zakazanej *Ontologii Klątwy* objawił się wytatuowany na policzkach obłąkanego, przykutego do muru skazańca, zamurowanego w więziennej celi jeszcze za czasów jogo ojca. Wszystkie źródła zgadzały się co do jednego. Na tle hord *hikku'tai murgha* byli bardzo nieliczni.

Starożytno kroniki przechowały wiedzę o plugawej morfologii tych istot. Plemiona zjadaczy dzieliły się ponoć na kasty, czy nawet odrębne, ewoluujące w odmiennych kierunkach rasy, z których jedna była już formą skończoną. Według ewolucjonistów mutacja *hikku'tai* w Przeistoczonego następowała po przynajmniej sześciu pokoleniach od pierwszej metamorfozy. Była rodzajem demonicznego awansu, nagrodą za przetrwanie plugawej egzystencji zjadacza.

Jeżeli zwykli *hikku'tai* byli pośród zjadaczy robalami i poczwarkami, to *murgha* stanowili mroczną arystokrację motyli. Nagrodę za całe zło.

Stwór przez chwilę porozumiewał się ze swoim podwładnym. Szwarzotali dziwną, syczącą mową, w której węszenie było chyba równie istotne jak mlaszczące, plugawe i siorbiące dźwięki. Nie licowały one z dumną postawą potwora. Tak mogłaby brzmieć mowa plwociny i smarków, gdyby te wydzieliny stworzyły upadłą cywilizację, pomyślał Quinatzin.

Gdy przywódca zjadaczy na powrót przybliżył się, jego ciałem wstrząsnął urwany kaszel. *Tlatoani* przyglądał mu się uważnie. Teraz dostrzegł w nim symptomy choroby i wycieńczenia. Przypomniwał sobie słyszane tu i ówdzie pogłoski, rozpowszechniane przez podróżników, traperów i kupców. Zjadacze nie stali się nagle pustelnikami. Oni wymierali, i to od wielu stuleci.

Murgha rozkaszlał się znowu, na jego skórze perliły się krople potu. Wyglądał, jakby stał jedną nogą w grobie, uznał król ale poprawił się. On mieszkał w grobie.

Quinatzin przedłożył swoją ofertę, a stwór długo naradzał się z tłumaczem. W końcu pokiwał głową.

- Dobrze. Pomożemy wam, ale nie za darmo - rzekł *murgha* w chropawym, archaicznym dialekcie, będącym mieszaniną *nahuatl* i zapotECKiego.

Król zdziwił się, że zna ludzką mowę, ale zaraz się zmytygował i nie dał po sobie nic poznać.

- Gdy wygramy, pozwolę wam zabić każde dziecko w dolinie - kusił Quinatzin.

Przeistoczony powoli pokręcił lśniąca, podłużną głowa.

- Nie. Dasz nam pyszności, władco ludzi. Dasz nam dużo.

- Pyszności?

- Nazywacie ją *braazatal*. Używacie do napelniania ognistych rur.

Twarz Quinatzina pociemniała, patrzył na *murgha* ponuro.

- Skąd wiesz, co wysypuję do strzelb, skalny diable? - warknął.

- Twój gwardzista ma taką broń. A my wyczuwamy pyszności nawet przez grube kamienie. Daj nam dużo, słyszysz?

- Po co wam ona, zjadaczu? Zamierzacie się uzbroić w strzelby?

Stwór wzruszył smagłymi ramionami, w tym wymijającym geście było coś bluźnierczo i wstrętne ludzkiego. Nerwowo poprawił maskę. Widać było, że kalkuluje. Myśli.

- Powiedzmy, że to nasz przysmak - zasyczał.

- Myślałem, że wolicie jeść wrogów - głos Quinatzina był zimny jak górski śnieg.

Nie zamierzał się dzielić *braazatalem* z kimkolwiek. A już zwłaszcza z potencjalnie zdradzieckim demonem.

Zjadacz zasepił się i znów poprawił maskę. Zdawało się, że ją zdejmie, ale warujący w cieniu Gurkho powstrzymał go, sycząc coś tonem bardzo unizonego i przestraszonego padalca. Spierali się, aż wreszcie *murgha* odprowadził wodza *hikku'tai* i zwrócił się do Quinatzina:

- *Braazatal* obudzi *mo'qun*. Bo one chorują, istotko. Są słabe, jak krótkie korzonki traw. Przestały rodzić, rani je zimne światło. Śnią teraz kamienny sen. A bez *mo'qun* nie pomożemy wam w walce. Są oczami, są uszami i węchem. Są korytarzem w ciemności. Wędrują trzewiami skał, przeklętym Labiryntem górskich ludzi. Daj nam coś, co ożywi ich krew.

Quinatzina znów ogarnął wstręt. Czuł, że słowa demona kryją coś więcej. Coś bardzo, ale to bardzo groźnego. Prastary, łowiecki instynkt jego pustynnych przodków nakazywał mu

zniszczyć to bezceństwo niezwłocznie, dla dobra własnego gatunku. Ale Quinatzin od dawna nie kierował się instynktami. Sojusznik wewnątrz Tlaskali był dla niego bezcennym atutem.

- Ilu wojowników dostanę? - zapytał zimno.
- Setki. Tylu, ilu pomieści ziemia. Tylko daj nam lekarstwo, królu. Daj nam dużo. Daj nam dziś.

*

Po spotkaniu Quinatzin zaszył się w swoim namiocie i wezwał dowódcę Zabójców Gwiazd, Hirikana.

- Alvaratl wyda ci trzy skrzynie smaru do strzelb. Dostarczysz je do ich siedziby.

- Tak, panie - szczechnął oficer, jakoś mniej dźwięcznie i energicznie niż zwykle. On także postarzał się tego dnia.

- Tysiąc Oczu nie może się o tym dowiedzieć. Nigdy. Za coś takiego kapłani upiekliby nas żywcem. Już widzę ich nowe odezwy i hasła. *Tlatoani* bluźnierca spiskuje z wrogami rodzaju ludzkiego. To nie brzmi dobrze.

- Święte słowa, panie. - Rekini pysk Hirikana przybrał proszący wyraz, który zafrapował Quinatzina. Wojownik nigdy go o nic nie prosił. Ale nawet on czuł się chyba niepewnie po spotkaniu z poselstwem zjadaczy. - Zawsze możemy się cofnąć. To jednak nasi wrogowie... - Tym razem rekin niemalże zaskamlał.

Quinatzin popatrzył na niego z niesmakiem. Nie tolerował u swoich ludzi mazgajstwa.

- Droga została wytyczona, Hirikanie. Nie możemy się teraz zatrzymać. Zjadacze są przeciwnikami naszych śmiertelnych wrogów. Poza tym czy garstka wymierających stworów może zagrozić ludzkości?

Zabójca Gwiazd nie wydawał się przekonany.

Większość kapłańskich tabu funkcjonowała w ten sposób. Odnosiła się do realiów sprzed wieków, zdezaktualizowanych. Martwych. To skaza każdej religii. Bo skoro poprzedza ją objawienie, to nie można potem, ot tak, zmienić go wraz z duchem czasów, prawda? A przecież za każdym dogmatem stoi tylko niedoskonały, błędzący człowiek, uwarunkowany przez

miejsce i czas, swoja osobowość, pochodzenie i psychikę. I jego objawienie może się zwyczajnie zestarzeć.

Quinatzin od dawna o tym rozmyślał. Bo niby dlaczego religia naszych prymitywnych, koczowniczych przodków, wędrujących po nieurodzajnych pustyniach z rozpaczliwym poczuciem wyjątkowości i misji wielkiego podboju, obwarowana dziesiątkami tabu, które miały umożliwić przetrwanie, ma pasować do obecnych czasów? Do starego, bogatego i już tyjącego imperium?

Religie powinny się odnawiać jak księżyc. Albo jak chramy i totemy z barwnego drewna, które tubylcy z północnego zachodu odbudowują co pokolenie, gdy zniszczą je korniki i wichry z nad morza.

Może już czas, by Przymierze zapomniało o dawnych przesądach.

Rozdział 31

Szar zbudził się, czując w brzuchu bolesny skurcz. Nerwy, kolejne zbyteczne przecucie. Albo dorobił się wrzodów żołądka. Przegrywali, w Labiryncie nic nie szło tak, jak powinno.

A jak miało iść? Nie z takim zielonym wojskiem, nie z taką nawałą Kruzów. Dlatego właśnie zamknął się wraz z częścią oddziałów w Kołysce, niewielkim, lecz dobrze obwarowanym forcie, który stanowił dodatkową linię obrony w tej części Labiryntu. Liczył, że tutaj porządnie wykrwawi Kruzów, podczas gdy na tyłach żołnierze walczący wcześniej odpoczną i wyliżą się z ran. Mimo wszystko Labirynt w dalszym ciągu spowalniał i rozpraszał najeźdźców.

Pa'uk zaakceptował jego plan i współdziałał z Szaratangą jak kiedyś. Wciąż mieli jakieś szanse. Jeżeli Szar utrzyma fort, a inni dowódcy obronią swoje pozycje, zatrzymają Kruzów. A potem nadejdą posiłki.

Wczoraj późnym wieczorem Szaratanga zgromadził swoich oficerów na murach i pokrótce przedstawił im sytuację. Nie było to łatwe, od początku zmagał się z niechęcią do własnych podkomendnych, która nigdy nie wróży nic dobrego. Szar wiedział o tym, ale i tak brakowało mu jego dawnych, zahartowanych żołnierzy. Weteranów z Doliny Czarnego Psa, którzy byli jak dobrze leżąca w dłoni, wypróbowana broń. Nie spodziewał się weteranów, ale tym razem naprawdę przydzielili mu dzieci.

Adiutant Zaukas, młodzik z elegancko przyciętym czubem, przypominał Szaratandze jego synka, Konakocza. Ten sam zapał, odwaga... oraz umiejętności. Z pewnością nie zbraknie mu okazji do wykazania się, pomyślał. Jeżeli przeżyje. Szar z trudem przekonywał sam siebie, że Zaukas, który po nim był najwyższym rangą, sprawdzi się jako jego zastępca. Z drugiej

strony był przyboczny Szara, rekomendowany przez Pa'uka milczek imieniem Hoppe. Krępy i kanciasty, z ewidentną domieszką krwi Białoskórych, miał za sobą już kilka poważnych kampanii. Był także weteranem z Doliny Czarnego Psa, chyba jedynym z dawnych żołnierzy Szara, jakiego mu przydzielono.

Szaratanga nie ufał zbyt wesołemu Zaukasowi, który pękłby przy najlżejszym nacisku. Skurwiel był taki szczęśliwy. Z tych samych powodów nie ufał jednak także posepnemu Hoppe, który rozchmurzał się tylko na widok martwego wroga. Któregoś dnia przyboczny wyznał mu, że zdegradowano go ze stopnia kapitana za pobicie wysokiej rangi Kreta, komisarza do spraw uzbrojenia w ich pułku. Szar nie uważał się za kogoś, kto sam za bardzo ceni wojskową hierarchię, ale skoro podniosłeś raz rękę na oficera, czemu nie miałbyś tego uczynić ponownie?

Może chodziło o to, żeby nie mógł liczyć na swoje własne oddziały?

- ... panowie, utrzymamy się, jeżeli Kruzowie nie zbudowali machin oblężniczych... i jeśli oddziały Pa'uka wytrwają na swoim odcinku - zakończył odprawę.

- Dużo tych „jeśli” - mruknął Hoppe.

Szar skrzywił się, potarł bolące kolano.

- Damy radę. Nie mamy wyboru - rzekł z mocą, dodając otuchy podkomendnym, którym zaświeciły się oczy.

Szaratanga wytrzymał ich spojrzenia, zachował na twarzy uśmiech. W końcu był Lwem Labiryntu, nie? Może powinien zaryczeć?

Cóż, wkrótce się przekonasz, ile są warci, westchnął. Napił się wody i wyszedł, żeby się odlać. Nogi bolały go po wczorajszym marszu, ale na murach wszystko wyglądało, jak trzeba. Zameczek wykorzystywał naturalne wgłębienie w skale i zamykał je pierścieniem murów i kwadratową wieżą, na modłę północnych plemion Zumi. Nie blokował drogi, ale pozwalał obrońcom na ostrzeliwanie nieprzyjaciół. Jeżeli Kruzowie przejdą tędy, zmuszeni będą zdobyć fort albo narażą się na dodatkowe straty.

Stał na sosnowym pomoście dla łuczników, wychylił się za

kamienne blanki i wbił wzrok w ciemność. Noc była już głucha i niema, w Labiryncie żyło niewiele zwierząt. No, może poza licznym pogłowiem padlinożerców, karmiących się ofiarami wojny. Ale cisza nie była spokojna. Szar miał przez chwilę wrażenie, że jakaś czujna istota zamarła nad jego głową, wstrzymując swój czarny oddech, machając błoniastymi skrzydłami. Przypomniwał sobie zasłyszane w dzieciństwie opowieści o Planetach nawiedzających świat ludzi, materializujących się na twarzy nocy jak krople diabelskiego potu. Niebo jest czarną zagadką, powiadali starożytni Toltekowie. E tam. Toltekowie zjadali za dużo grzybów. Miał poważniejsze problemy niż...

Coś pełzło po skalnej ścianie.

I jeszcze jeden kształt. Jakby twierdzą oblazła horda pajaków. Najpierw błysnęły ich oczy, potem kły. Ciemny kształt spadł z góry na wartownika, drzemiącego na niskiej wieżycze. Zduszony krzyk przeszedł w trzask miażdżonych kości i odgłos zucia. Za pierwszym cieniem podążyły następne, miękki grad śmierci i krwi.

Potem niebo zaczęło wyć.

Szaratanga zatoczył się w szoku. Zamek by! otoczony i odcięty, ale co z oddziałami Pa'uka, które miały obsadzić wzgórze? Jakim cudem wrogowie operowali tak swobodnie?

Nie było jednak czasu, żeby to teraz roztrząsać. Kilka stworów dotarło do bramy i zaczęło otwierać masywną zasuwę. Dopiero teraz Szar uświadomił sobie, że nie atakują ich ludzie. Strażnicy ginęli szybko, zbyt przerażeni, żeby stawić opór. Nic nie przygotowało ich na równie ohydny grzę. Zjadacze nie grasowali w miastach, zniszczone przez nich farmy i samotni wędrowcy nie przynosili świadectwa. Teraz legendy wróciły, niosąc Tlaskalanom cuchnącą, rozwrzeszczaną śmierć.

Prowadzący wojowników Gurkho zabijał z bolesną rozkoszą. Pławił się w strachu i krwi. Ludzie byli słabi, pierzchali na jego widok, gdy ryknął i wyszczerzył kły. Czuł dumę, że jest zjadaczem. Przewyższał przeciwników siłą, drapieżnością i odwagą. Z przyjemnością zatopił zęby w policzku kwilącego wroga. Nie przeszkadzało mu, że chłopak się zmoczył, nawet

lubił tak doprawione mięso. Gdy zamek padnie, pójdziemy po ich dziewczyny, pomyślał z upodobaniem, żując. Stał mu, zawsze mu stawał, kiedy wygrywali.

Brama zaczęła trzeszczeć i nagle w przyzwyczajonych do mroku ślepiach zjadacza błysnęła błękitna stal. Wódz Gromady sapnął, zaskoczony, a ostrze rozpołowiło mu czoło rozblaskiem jasnego światła. A potem runęło na jego wojowników. Zjadacze zatrzymali się, zdumieni.

Ten wojownik był inny, w swych reakcjach nie przypominał człowieka. Choć poruszał się sztywno, utykając i kulejąc, wydawał się czytać w ich myślach. Z nonszalancką pogardą wyprzedzał i udaremniał typowe sztuczki *hikku'tai*: plucie żrącą, zatrutą śliną czy kopnięcia stóp zakończonych ostrymi pazurami.

Umierali zbyt szybko, by myśleć, lecz w ich małych mózgach pojawiło się mętne przecucie. Ten powierzchniowiec ich znał.

I nie bał się. Tłaskalanie, którzy wyroili się na dziedzińcu jak mrówki z rozdeptanego gniazda, patrzyli na to z podziwem, odzyskując nadzieję i dumę. Śmierć trzymała w rękach błękitną stal Starożytnych i była tej nocy po ich stronie. U boku Szara czujnie warował Hoppe, strzegący jego pleców niczym zjeżony wściekłością wilk.

Szyki zjadaczy zafalowały. Wyglądało na to, że obrońcy odzyskali inicjatywę, ale wtedy od skały oderwał się inny, smuklejszy kształt. Szybki i gibki, w kombinezonie ze skór jego ludzkiej zwierzyny, zabijał po cichu jak wąż. Poruszał się z nieludzką koordynacją i gracją, spadając na ciężkich, niezdarnych ludzi z precyzją pikującego jastrzębia. Rozbijał ich i rozpraszał, kluczył, unikał i zwodził, wirując w balecie śmierci. Kiedy zadawał ciosy zakrzywionymi ostrzami krótkich mieczy, wstęgi i płaty tkanek powiewały wokół niego niczym upiorne proporce.

W miejscu, gdzie wylądował demon, Tłaskalanie cofali się, zdziśiatkowani, na krawędzi paniki. Ale nie wszyscy. Grupa zdeterminowanych żołnierzy zbiła się w gęsty szyk, wystawiając przeciwko demonowi las włóczni. Wtedy istota zdjęła srebrzystą maskę, a z obrońcami zaczęło się dziać coś

dziwnego. Zwalniali, kolebali się na miękkich, bezsilnych nogach, a ich omdlałe ramiona zadawały ciosy z siłą anemicznego dziecka. Młody żołnierz miał demona na odległość włóczni, lecz w ostatniej chwili opuścił broń z poczuciem winy na oszołomionej twarzy. Bestia rozpruła mu gardło.

Szaratanga wiedział, co widzą i czują ginący. Pamiętał to aż za dobrze. Twarz *murgha* uwodziła, wchłaniała, usypiała. Nie można go było zabić. Emanował czymś gorszym niż groza, najsilniejsza odraza i wstręt. Przeistoczony, wyrażał wszystko, za czym tęsknili i czego kiedykolwiek pragnęli. Największe powaby życia, jego celowość i godność.

Był roznamiętnioną kochanką, miotającą się po skotłowanym posłaniu, bezwstydnie rozchylającą przed tobą uda, i starym, steranym ojcem, który patrzy na ciebie z surową wdzięcznością i dumą, gdy wreszcie dokonałeś czegoś wartościowego. Bezbronnym dzieckiem, którym się zaopiekowałeś i które usypia bezpieczne w twoich ramionach, i ciepłą, karmiącą matką, z jej szczodłą i bezgraniczną miłością. Kto podniósłby rękę na kogoś takiego?

Murgha krążył wokół swych zastygłych, łkających ofiar, od niechcenia zadając śmierć zakrzywionymi ostrzami sztyletów. To było już tylko sprzątanie. Jego prawdziwą bronią były ludzkie umysły i zakodowana w nich wieczna tęsknota, którą tylko podsycą obojętna, nieczuła natura świata. Był Prawdą.

I Dobrem. I Pięknem.

- Cofnąć się! Nie patrzcie na jego twarz! - ryknął Szar i z trzaskiem opuścił kratę na hełmie, zawężając obraz do prostokątnej szczeliny wizury.

Ruszył do ataku, przykurczony i zbity w sobie jak dzik, skupiony wzrok, nogi mocno wczepione w ziemię. I żadnych snów, kurwa. Żadnych marzeń.

- No, chodź, ty podziemna dziwko. Jak z tobą skończę, wydupczę twoją Królową, trupojebco! - ryknął, ściągając uwagę przywódcy zjadaczy.

Murgha ruszył na niego w milczeniu. Był szybki. Pierwszy cios celował w ścięgniętej nogi Szara, dokładnie pod lewym

kolanem. Uderzenie miało go tylko spowolnić. Władcy Bólu preferowali taktykę kotów, z lubością igrali z każdą broczącą ofiarą. Szaratanga wiedział, że nie ma większych szans. Przed oczami stanęły mu cuchnące piżmem i żywicą wspomnienia. Wypełzały, jak wijące się pijawki i węże z wypchniętego, przemilczanego fragmentu życia, o którym nigdy nie mówił nikomu, nawet Enishy. Nawet Leyre. Z czasu pogrzebanego jak trup, który nawet pod ziemią wciąż wrzeszczy, bluzga na ciebie śmierzącymi rozkładem zaklęciami i ani myśli umierać. Z czasu, który go uformował i stworzył, za który po dziś dzień płacił. Wtedy także polowali na niego w ten sposób.

Murgha był szybki, cholernie szybki. Dużo silniejszy niż człowiek. Jego technika walki nie przypominała żadnego ze znanych stylów, raczej zwierzęce, ptasie ataki dwóch ostrych dziobów, instynktowny, wściekle gwałtowny rytm, nie spowalniany przez rozum. Szar wiedział, że dostaje łomot. Żaden człowiek nie pokonał jeszcze *murgha* w starciu jeden na jednego, na te stwory chodziło się z łukiem albo nie chodziło się wcale. Na szczęście były niezwykle rzadkie.

Bogowie, jak on ich nie lubił.

Szerokim zamachem uwięził dwie klingi tamtego i wciąż unikając patrzenia w trujące oblicze stwora, zakręcił się na pięcie, wystawił do potwora plecami i uderzył w tył ręką. Wystawił do potwora plecami i uderzył w tył ręką.

Zwykle miecze kończą się głowicą, którą można co najwyżej wybić wrogowi zęby. Broń Szara była jednak inna. Została przekuta w posępnej epoce Klątwy, właśnie po to, żeby zabijać demony. Siedmioletnie, uwalniane ostrze wbiło się w tułów potwora w miejscu, gdzie powinno się znajdować serce. Stwór zaskowyczał, po raz pierwszy wydając odgłos, a Szaratanga obrócił ostrze we wnętrzościach. Oddech *murgha* pachniał przetrwoną żywicą, krótkie ostrza upadły na ziemię.

To była frajda czuć, jak poczwara wije się równie bezsilnie jak jej niezliczone ofiary. Szar zastanawiał się, czy zaklęcia działają na każdego tak samo, czy każda ofiara zjadacza widzi echa własnych tęsknot, rozkoszy i marzeń.

Jego demon był trochę podobny do Leyre.

Zjadacz zaskrzeczał i skonał, piskłą z piekieł nabite na cierń

przez dziedziniec. *Hikkku'tai* rzucili się do ucieczki, ścigani przez obrońców.

- Spalić mi zaraz to ścierwo. *Murgha* nie tak łatwo ubić - wymamrotał Szar, wspierając się na zboczonym krwią mieczu. Ktoś klepał go po plecach, ktoś krzyczał, zagłuszając strach.

- Lew! Lew!

Szaratanga pozwolił rozbitym zjadaczom przebić się do bramy. Nigdy nie odcinaj wrogom drogi ucieczki, jeśli nie chcesz ich zmienić w śmiertelnie groźnych desperatów.

Zza desek dobiegł go tupot dziesiątków stop. W ostatniej chwili zawarł wrota i z powrotem umieścił na nich poprzeczną belkę. Za murem rozległ się ryk, nacierający Kruzowie z wściekłością rąbali bramę i podstawiali drabiny. Na skałach nad głowami obrońców pojawiły się kolejne ciemne sylwetki. To nie było ostateczne słowo zjadaczy.

- Oficerowie, do mnie. Czyścimy zamek z plugastwa. Reszta na mury, ruchy. To się dopiero zaczyna!

I wtedy uświadomił sobie, że Kruzowie nie przestraszyli się demonów. To była pieprzona współpraca.

Straty Tlaszkalan były wysokie. Wyjący, wściekle szybcy i niewrażliwi na ból zjadacze okazali się trudnymi przeciwnikami, poborowi Szara często pękali psychicznie, zanim w ogóle zdążyli się z nimi zewrzeć w walce. Z kolei mur szturmowało mrowie kruzańskiej piechoty.

Druga fala skaczących, odrywających się od skał *hikkku'tai* zadała obrońcom ogromne straty i uczyniła poważne wyrwy w obronie, lecz nie zdołała otworzyć wrót, których osobiście bronił Szaratanga i jego przybocznicy. Walczyli w ścisłości, przyparci do dębowych desek, zza których dobiegały wrzaski nacierających Kruzów.

Na szczęście łucznicy Szara szyli do napastników z luków, a z koszar wybiegali kolejni zaspani żołnierze. Zjadacze poszli w rozsypkę, dziedziniec twierdzy stał się dla nich śmiertelną pułapką.

Załamał się także szturm z zewnątrz. Drabiny oblegających pękały, obrzucane głazami i kłodami drewna, a obrońcy, gdy minął już pierwszy szok, stawiali Kruzom czoła w szyku

najeżonym włóczniami i z łatwością eliminowali pojedynczy ch desperatów.

W końcu Szaratanga wspiał się na mur, gratulując swoim ludziom. Nie byli już zielonym zbożem, jakiś chłopak krzyczał, rozradowany i nagle strzała trafiła go w usta. Obok ze świstem wbijały się inne pociski. Tlaskanie pochowali się za blankami, zdumieni siłą ostrzału. Kruzowie nigdy nie mieli aż tylu łuczników, żeby zapewnić swojej piechocie osłonę. Świat się zmieniał.

Potem przed szyki Kruzów wystąpił niewielki oddział wojowników z dziwnymi rurami z metalu. Szar pomyślał, że przypominają starożytne arkebuzy Dobroczyńców. Jego ludzie wciąż kryli się za blankami, lecz nie zdało im się to na wiele, gdy nastąpiła salwa. Dziwna broń wypaliła z hukiem, błyskając zielonkawym światłem. Grad kul uderzył w umocnienia, rozłupując drewno i ciała Tlaskalan.

Pod nimi, osłaniana strzałami, ruszyła właśnie ciężka piechota Quinatzina, dodatkowo chroniona wielkimi, szturmowymi pawężami z plecionki. Było ich wielu, bardzo wielu, ale obrońcy też mieli dobre łuki. Szar skrzywił się w wilczym uśmiechu i odwrócił do swoich strzelców. Zobaczył chłopięce, przerażone twarze, w których duma zmagą się z chęcią ucieczki.

- Szyć celnie, chłopcy, to nie sięgną was szpony i ostrza!

Pierwsza salwa Tlaskalan utkwiała w tarczach atakujących, teraz bezużytecznych i czarnych od wbitych strzał. Szaratanga kazał swoim łucznikom czekać. Gdy Kruzowie byli już tak blisko, że widział białka oczu w ich pomalowanych twarzach, dał znak do kolejnego wystrzału. Tym razem szyk napastników rozpadł się, zostawiając pod drewnianymi murami chaotyczne kopczyki ciał. Tylko że było ich za mało, stanowczo za mało. Szaratanga zmarszczył brwi. Panczerze kruzańskich szturmowców wyglądały niepokojąco znajomo. Żołnierze nosili żelazo, skurwysyn ubrał ich w metal! Coś takiego nie zdarzyło się, odkąd sięgała pamięć.

Mały, może dwudziestoosobowy oddział tych nieprawdopodobnych żołnierzy, osłonięty znów wielkimi tarczami, ruszył na bramę Kołyski, celując w nią prowizory-

cznym taranem. Szli zbici ciasno jak ceglany mur, w dziwnym, chrzęszczącym szyku. I byli nie do ruszenia, o czym wnet przekonali się obrońcy na murach.

Szturmowcy przerzucili przez rów fosy prowizoryczny pomost i ruszyli, bujając ciężkim pniem. Ci w pierwszych szeregach chronili się dodatkowo pod daszkiem z desek i palmowych liści. Wrząca smoła, którą chlusnęli na nich górale, tylko zaimpregnuje tych drani przed ogniem, pomyślał Szar i zaklął w bezsilnej furii. Atak był dobrze przygotowany. Wrota jęknęły, a kłębiąca się masa zjadaczy dopingowała Kruzów, wyjąc i ujadając w ciemności. Stojący obok Szara łucznik wypuścił ostatnią strzałę w okryty żelazem tłum przy bramie i wkurzony, cisnął w nich łukiem.

- Gówno, strzały nie mogą ich zranić.

Szaratanga, znużony, pokiwał głową.

- Przydałby się wrzątek albo kamienie. Inaczej nas mają.

Z góry, ze skalnych kryjówek, kryjący się w mroku zjadacze skowycieli jak stado wyjców. Stojący na murze Zaukas, z resztką uciętego czuba na osmalonej czaszce i z barkiem poharatany zębami, przeżegnał się w imię Krwawego Chrystusa i ponuro splunął w ciemności.

- Jak przejdą mur, już po nas - szepnął, nerwowo obserwując wysiłki ciężkobrajnych.

Kolejne uderzenie wyrwało z bramy drzazgi, a z piersi obrońców trwożliwy jęk. Szaratanga wychylił się, pochłonięty nowym pomysłem. Obliczał coś w myślach, po czym sięgnął do kotła z wodą i starannie oplukał twarz.

- Hoppe, Zaukas, posłuchajcie mnie. Jeżeli mój plan nie wypali, wyprowadzicie stąd ludzi tunelem. A potem dokładnie go zasypcie. Użyjcie Szarej Śmierci, powinno jej tu trochę być.

Nie lubił odpraw przed walką, zawsze czuł się niczym ostatni chuj. Nieważne, że większość z was zginie, że dogonią was i zaszlachtują w ciemności. Rolą dowódcy jest dodawanie otuchy.

- Ale panie... - Zaukas skulił się pod ciężarem trafnych przecuć.

- Zatrzymajcie ich nad wodospadem Karał, zgodnie z planem.

I pchnąć mi posłańca do Pa'uka! Musi odzyskać zbocza. Przynajmniej teraz wiemy, którędy idzie największy atak. Jak ruszą te zwierzojebce ze zboczy, strzelajcie - zwrócił się do stojącego obok łucznika.

Ten skinął głową i przekazał informację dalej. Brama jęknęła głośniejszy, skowyt zjadaczy narastał.

- A broje?

- Nie mówię o tych tu, tylko o głównej hordzie. Tymi zajmę się ja! - krzyknął Szar, wychylając się przez mur.

Milczący dotąd Hoppe zatrzymał go, chwytając za ramię.

- Dowódco! Oszalałeś? Co robisz?! - wrzasnął, przekrzykując odgłosy walki. W jego oczach migotało coś dziwnego... coś, czego Szar wcześniej u niego nie widział, a może zobaczyć nie chciał. Groźba? Bunt? Śmiechu warte. Ale nie było czasu na analizę psychiki podwładnych. Rozliczy go z tego później.

Mocno odepchnął krępego oficera, złapał wiadro z kipiącą smołą, odbił się od muru i skoczył prosto na daszek ochronny napastników. Przebiegł po nim lekko i wpadł na solidne sklepienie z tarcz połączonych nad głowami szturmowców.

Gdyby jego wrogowie rozpierchli się i rozluźnili formację, sprawiliby, że wpadłby między nich i byłoby już po nim. Ale wśród wrzasku setek zjadaczy i krzyków obrońców, dudnienia bębnow i łomotania tarana, nie spostrzegli, co się właściwie stało. A Szar nie czekał, aż się w tym wszystkim połapią.

Podrzucił wysoko w górę naczynie z gorącą smołą i odbił się od ciężkich tarcz, jak zamorski mistrz walki z Kitaju od zmarszczonej powierzchni strumienia. Zeskoczył na pomost za plecami ostatnich żołnierzy, unosząc do ciosu miecz.

Dwureczny miecz to straszliwe narzędzie we wprawnych rękach. Ciężka broń Szara była wyważona jak klasyczny *macuahuitl*, tyle że do jej wykonania nie użyto obsydianu, lecz przedniej, hartowanej stali. Głównie wykuto ponoć przed wiekami w zamorskim mieście Toledo. Była znacznie cięższa niż rapier czy nawet klasyczny miecz Białoskórych. Posługiwanie się takim ostrzem wymagało siły, niewielu wojowników było w stanie w pełni wykorzystać potencjał drzemiący w tej broni.

Szar wyzwolił w swoim sercu i duszy siły, które zawsze ryglował w najgłębszym lochu i które miały swoje źródło w ciemnych podziemiach. I poszczuł je na wrogów.

Trzech padło, zanim zdążyli się odwrócić i zobaczyć kto zacz. Kolejny wojownik puścił taran i patrzył na Szara w zdumieniu, nawet gdy krew już bulgotała mu w ranie w brzuchu. Kolejni wzięli się jakoś w garść... ale właśnie wtedy rozległ się ryk bólu. Wrząca smoła rozlała się w końcu po rozszczelnionych tarczach, formacja rozpełzła się, wyjął. Szar rąbał, siekł i ciął zaskoczonych szurmowców. Dalsze szeregi nie dały się jednak bezkarnie szlachtować, żołnierze ruszyli na niego z pikami i mieczami. Jego brzeszczot zatrzymał się na ostrzu *macuahuitla*, ale wtedy Szaratanga celowo skrócił dystans i zanurkował w sam środek wrogiego szyku, dźgając przeciwników krótkim, wysuwającym z rękojeści ostrzem.

Powietrze świszczało, czarne od śmiercionośnych pocisków, jego łucznicy robili użytek z tego, że nad Kruzami nie czuwała już zbita ochrona tarcz. Za sobą słyszał ryki zjadaczy, ucinane furkotem strzał. Ktoś ciął go po udzie. Szaratanga zrobił wypad, płynnie skręcił w bok i rozpruł brzuch mężczyzny w stalowej kolczudze. A potem kruzański oddział rozpadł się jak krwawa bańka na ustach człowieka z przebitym płucem.

Rozdział 32

Spółeczeństwo potrzebuje bohaterów, podobnie jak geniuszy, szaleńców i wielkich głupców. Jak przyprawę dodającą smak zupie. W codziennym życiu ci ludzie są jednak nie do zniesienia. Nikt nie pożywi się samą papryką chili.

Ykszuppin,
Baśnie o Krainach Ludzi

Oblężenie ustało, wrogowie wycofali się w nieładzie. Kiedy medyk opatrywał mu rany, Szar wydawał rozkazy Zaukasowi, który wpatrywał się w niego jak w obrazek. Szaratandze wcale nie było to w smak.

Bohaterskie wyczyny zawsze owocowały czymś w rodzaju kultu, a nie o to mu przecież chodziło. Chciał zostawić tutaj jednostkę zdatną do walki. Podejrzewał, że Kruzowie ponieśli tak ciężkie straty, iż na jakiś czas zwolnią atak. Sam także najchętniej by zwolnił. Był zmęczony, poparzone przedramiona bolały i wydzielały smakowitą woń smażonego mięsa. Wieprzowina, pomyślał Szar, wachając własną ranę. Albo drób. Był potwornie głodny, jadł tyle, ile jego ludzie, taką miał żelazną zasadę. Czyli tyle, co nic.

Wiedział, że znowu miał szczęście.

To, co zobaczył, uprzytomniło mu, że Tlaskala jest już stracona. Może to kwestia lat, niechby nawet i dekad ale rezultat mógł być tylko jeden. Wojny Kwietne dobiegły końca, to było coś zupełnie innego. Nagle poczuł, że musi zobaczyć się z rodziną, może zdoła ocalić chociaż ich.

Potrafił się przecież o nich zatroszczyć. Znał tunele, w których mieściły się zapomniane, zasnuite pajęczynami spichlerze, znał

schrony, czekające na dawno pogrzebanych królów. Pod ziemią będą bezpieczni. Czasami miał wrażenie, że Labirynt jest jego własnym krwiobiegim. Bezszelestnie wymknął się z wieży i czym prędzej ruszył przez pobojuwisko. Kolana zaprotestowały bólem. Szar truchtał, zaciskając zęby. Niedaleko stąd znajdował się świetny skrót.

*

Kiedy w końcu tam dotarł, jego przeklęte kulasy zmieniły się w sztywne pręty, które płonęły, jakby niedbały kowal zostawił je na noc w rozpalonej kuźni. Bał się o los swoich ludzi, ale wiedział, że nie ma wyboru.

Słońce stało już wysoko na niebie, lecz ich dolina była cicha jak grób. Zbyt cicha jak na gust Szaratangi. Ale z domu dolatywał dym i smakowity zapach pieczonych placków. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmordowany i głodny, Enisha dawała pewnie dzieciom obiad.

Szar już miał ruszyć drogą wijącą się w dół, gdy nagle spostrzegł na gałęzi błękitnika. Wesoły krzykacz milczał, dziwnie przekrzywiając łepki. Szar podziękował stworzonku skinieniem i szybko zboczył ze ścieżki. Odezwał się instynkt, ten sam, który pozwolił mu odznaczyć się na wojnach. Był zawsze o krok przed napastnikiem, wyprzedzał jego zamiary.

Pierwszego zdjął, nim tamten zauważył nadchodzącą śmierć. Pa'uk powiedział kiedyś, że Szaratanga nabija ludzi szeptem. Nawet jego gniew, ten bitewny, był cichy jak tchnienie zarazy.

Zabity nie nosił znaku żadnego oddziały i wyglądał na najemnika. Tikalczyk albo nawet Maya czystej krwi, z charakterystycznie wgniecionym czołem.

Szar zmarszczył brwi. Na chroniącym posiadłość murze dostrzegł wartownika i był dziwnie pewien, że nie jest to żaden z jego ludzi. Dwaj następni wrogowie też mieli pecha, stali tuż przed wejściem do jednego z zamaskowanych tuneli. Szaratanga, jeżeli nie miał opracowanej drogi ucieczki, czuł się jak zaszczute zwierzę. Musiał dysponować przewagą, dlatego wyżyłobił w pobliżu domu niewielki kompleks tuneli i przejść. Czasami rechotał i pokpiwał z samego z siebie, że zwolniejszy

się ze służby w piekle, mozolnie sporządził jego miniaturową replikę. Na zawsze ryjec, oddany ziemi jak glizda. Cóż, nasze powołanie przeważnie jest naszym przekleństwem.

Krótki tunel, niewiele lepszy od zwyczajnego podkopu, zaprowadził go do piwnicy jego domu. Podłożone nitki i pajęczyny tkwiły na swoim miejscu. Kimkolwiek byli wrogowie, nie odkryli jego wszystkich sekretów. Bezszelestnie uniósł klapę i znalazł się w ciemnościach skrzyni z podpiłowanym dnem, w której Enisha czasami trzymała jabłka.

W spiżarni panowała cisza. Ostrożnie uchylił wieko i wyszedł szybko z kufra. Płomień pochodni z furkotem przeleciał przed jego twarzą. Szaratanga zamknął oczy, zegnając spalone rzęsy i brwi.

Usłyszał kroki i ciche sapnięcia, w pomieszczeniu roilo się od ludzi. I broni. Wiedział, że ktoś zaraz spróbuje go trafić, więc rzucił się w bok, zasłaniając głowę. Za wolno. Zabrakło mu ułamka sekundy. Zabrakło zdrowego kolana.

Zarzucili na niego jakąś siatkę, nawet rybak by się w tym zaplątał. Kopali go metodycznie, ciężki bucior przydeptał mu rękę, Szaratanga wypuścił miecz. Kiedy zwiotczał, któryś z nich kopnął jego czaszkę niczym piłkę.

*

Nie wiedział, jak długo leżał i śnił, przemierzając senne komory mogił, zakręty zwidów i snów. Kiedy się ocknął, rozchylił osmalone powieki i z ulgą stwierdził, że jednak nie stracił wzroku. Zobaczył, że ktoś przy nim kuca. Czyżby bezcześcił zwłoki? Ależ skąd.

To był jego najlepszy przyjaciel, Pa'uk.

- Dlaczego wiedziałem, że tak zrobisz? Znam cię, to nie tylko kwestia twego wrodzonego warcholstwa. Ty ich kochasz, Szar, w gruncie rzeczy jesteś poczciwym facetem. Niby tak na nich narzekasz, utyskujesz na jarzmo i brzemię, babskie gderanie i hałaśliwe bachory. Ale jak przyjdzie co do czego, w podskokach lecisz do domu, ratować tę swoją okropną rodzinę. Enisha nie ma z tobą lekkiego życia.

- W przeciwieństwie do niektórych, próbuję być przyzwoity -

mruknął Szar.

Korpulentny mężczyzna roześmiał mu się w nos.

- A idź mi z tym. Rzygać się chce, tyle wielkich rzeczy zmarnowało się przez tę przeklętą przyzwoitość.

- Gdzie oni są? Jeżeli coś im zrobiłeś...

- Są bezpieczni. Chronię ich jak własnej źrenicy przed wszystkim, co mogłoby im zaszkodzić. Także przed twoim szaleństwem. Zapomniałeś, co grozi za porzucenie pola walki?

- Skąd znałeś rozkład moich domowych tuneli? Nie mówiłem ci o nich.

- Wiem, te gadki o przyjaźni zawsze były trochę na pokaz. Nigdy mi nie ufałeś - poskarżył się Pa'uk. - Ona mi powiedziała. Racja stanu.

Leyre.

Szar spuścił bezsilnie głowę. Słowa Pa'uka dobiegały do niego stłumione, jak zza kłębow otępiającego oparu.

- Twoja rodzina zostaje. A ty tam wracasz - syczał Pa'uk.

Szar przymknął oczy.

- Rada wie, że ich pojmałeś?

- Rada? Nie rozśmieszaj mnie.

- Czyli to pomysł Zergosa? Kolejna „tragiczna konieczność” Zakonu? Wycofałeś swoje wojska i przepuściłeś zjadaczy do Kołyski. Po co? Chcieliście, żebym tam zginął? Odpowiedz mi, na Ołtarz i Krew!

Pa'uk wzruszył ramionami. Małe oczka lśniły w jego okrągłej twarzy jak guziki na szmacianej lalce. I tyle mniej więcej miały wyrazu.

- Myślałem, że jesteś kimś innym, Pa'uk...

- Myślałeś? To ty w ogóle zaprzątałeś sobie głowę moim istnieniem? Ty, słynny Szaratanga? Wiesz, to nie było łatwe, tyle lat pławić się w twoim blasku. W takim jaskrawym świetle wygląda się dziwnie szaro.

- Zazdrościłeś mi? - Szaratanga patrzył na niego zdumiony.

Oficer poderwał się, gestykulując w zapale.

- No tak, nawet tego nie dostrzegłeś! Ty zawsze byłeś ponad to. Swojej Leyre też nigdy nie dostrzegłeś. Król, jego rycerz i dama, typowy dylemat. Dałeś dupy, nie obalając Papana.

Rogacze są pamiętliwi, nie wiesz o tym?

- To nie jest zwykła zawiść. Nienawidzisz mnie. Ale czemu? - Słowa Pa'uka oszołomiły Szara bardziej niż ciosy.

Zamrugął, zdumiony, strząsając płynącą z czoła krew. Twarz tego zagadkowego człowieka kryła się za kurtyną czerwieni. Pa'uk splunął i nachylił się do przyjaciela.

- Powiedzmy, że nigdy nie lubiłem być drugi. Zawsze uważałem, że pozostawanie w cieniu fatalnie wpływa na cerę. A teraz posłuchaj uważnie, bo nie będę dwa razy powtarzał. Wrócisz na stanowisko i wykonasz rozkazy, generale. W przeciwnym razie... nie chcemy chyba, żeby coś złego spotkało Eniszę? Albo słodką Minotli i Konakocza? Przecież byłem dla nich jak wujek - poskarżył się Pa'uk.

Szaratanga szarpnął się wściekle. Pa'uk patrzył beznamiętnie, jego okrągła, dobroduszna twarz była pozbawiona wyrazu.

- Wracaj, bohaterze. Moje wnuki będą dumne z naszej wspaniałej przyjaźni. Jak kurz opadnie, zabiorę je pod twój pomnik.

*

Odnalazła go dwa dni później, gdy Szar opatrywał rany w forcie, ignorując nerwowe pytania podwładnych. Wyłoniła się z mroku wieczoru, cicha i blada jak ćma. Na jego zniecierpliwione syknięcie adiutanci bez słowa opuścili komnatę. Leyre przybyła sama, bez eskorty i sług. W dyskretnym podróżnym stroju wyglądała jak młoda szlachcianka spragniona przygód i dreszczyku emocji.

W takim razie, dobrze trafiłaś. To właśnie ja. Szaratanga, generał z papieru. Prosimy uważać z ogniem.

Musiał wzdrygnąć się na jej widok, bo spojrzała na niego z przeraźliwym smutkiem.

- Musiałam, Szar. Jesteś naszą ostatnią nadzieją. Tylko tobie wierzą wojownicy... tylko w ciebie. Najpierw próbowałam cię ostrzec. Przekonali mnie, że to najwyższa konieczność. Myliłam się.

Szar zastanawiał się tylko, skąd Leyre czerpie pewność, że nie będzie próbował się mścić. Przecież mógł ją teraz spokojnie

udusić. Pewnie uważała go po prostu za ostatniego frajera. Co gorsza, mogła mieć rację.

- I co? Znowu przychodzisz mnie ostrzec? - zakpił.

Nie spuściła wzroku.

- Nie. Przepraszam - powiedziała królowa z prostotą.

Szar nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Najbardziej boli mnie to, że od początku o wszystkim wiedziałś, Leyre - wymamrotał. Dziewczyna skuliła się.

- Wiem wiele rzeczy, Szar. Takie jest brzemię władzy. A ty za bardzo ufasz ludziom. Zawsze taki byłeś, mierzyłeś ich własną miarą.

- Ufałem jednej dziewczynie. Teraz nie wierzę nikomu. Zrobię to, czego chcę, a potem odnajdę rodzinę. Ochronisz ich, dopóki nie wrócę?

- Nic nie rozumiesz. Ty nie wrócisz. Przeczuwałam to i usiłowałam cię zniechęcić. Ostrzec. Ale nie mogłeś darować sobie kolejnego bohaterskiego wyczynu, prawda? Nie mogłeś stracić twarzy, tak jak nie mogłeś zostawić dla mnie swojej grubej żony. Bohaterom to nie uchodzi, prawda?! - wy bu cliła.

Zdziwiony Szar dał się zepchnąć do defensywy.

- O czym ty mówisz?

- Mogłeś się wycofać, Szar. Albo, wcześniej, obalić Papana i rządzić u mego boku. Masz wielki dar unikania decyzji i pakowania się w otchłań. A teraz jest już za późno.

- Wciąż mogę wygrać... - Szar zrobił wszystko, żeby jego głos brzmiał nonszalancko. Nawet wzruszył ramionami, co z tego, że ciężkimi i twardymi jak głązy.

- Masz zginąć, jesteś ofiarą, Szar. Ofiarą dla Głodnego Słońca. Rada wierzy, że tylko schwywanie legendy, Lwa Labiryntu, nasyci głód Quinatza. Jego nienasyconą ambicję. Powiedzieli: „Podarujmy mu symbol zwycięstwa. Oddajmy wilkowi Lwa”. To złożona operacja Zakonu, kryptonim „Ostatni Plan”. Bez tego Tlaskala zginie.

Szaratanga ryknął i kopnął stół - wielu mebli najczęściej używał właśnie w ten sposób. Na delikatnej twarzy Leyre odbiła się cała gama wspomnień, które nie były przyjemne.

- Gniew tutaj nic nie pomoże - skwitowała kwaśno. General

warknął i wypadł z namiotu jak kula czerwonej furii. Bał się, że skreśli jej kark.

Oślepiło go światło, ogłuszył gwar rozkazów i przekleństw. Na placu uwijali się jego żołnierze, niedożywieni i zdeorientowani. Zbędni. Byli tam młodzi chłopcy i znużeni ojcowie rodzin, biedacy i starcy bez doświadczenia. Najgorsza armia świata, której jedyną nadzieją był on - oszukany, powłóczący nogami kretyn.

Armia skazana na śmierć.

Kiedy ochłonął i wrócił do namiotu, jego miłość nadal tam była. Zdradziecka, ale na swój sposób oddana i wierna. To trzeba jej przyznać, pomyślał, nalewając sobie hojną miarkę *pulcjue*. Leyre stała milcząca, smukła i jasna jak płomyk świecy. Mógłby zdmuchnąć ten płomyk albo otulić go dłonią. Jego wierny towarzysz, gniew, nagle uleciał, zastąpiony przez smutek i pustkę.

- To jeszcze nie koniec, prawda? Nie powiedziałaś mi wszystkiego - stwierdził.

Leyre odwróciła głowę. Bogowie, jak on ubóstwiał ten profil.

Dotknął jej podbródka i delikatnie odwrócił do siebie jej twarz. Niechętnie spojrzała mu w oczy. Zobaczył w nich poczucie winy i strach, oddanie, namiętność i żal. Idealne składniki miłości. Szaratanga uśmiechnął się gorzko i pokiwał głową. Czuł się jak człowiek, którego majowy wietrzyk właśnie rozbijał na stryczku.

- Słyszałeś o Koniu z Troi? - spytała surowym tonem, unosząc palec w profesorskim geście, który musiała podpatrzeć u swoich rodziców, Kretów. Miała czerwone usta i zielonkawę oczy, spadek po zamorskich przodkach. Dyskretny dołeczek w brodzie, ładnie zarysowany, wąski nos. Czy piękna kobieta może być mądra? A czy mądra potrafi być piękna? To nie był najlepszy moment... i właśnie dlatego dobry. Nagle bardzo zapragnął się z nią kochać.

- Nazywają mnie Lwem Labiryntu, pamiętasz? Jestem specjalistą od zamorskich stworów. Zwłaszcza tych, których nigdy nie było.

- Lwy akurat naprawdę istniały, ale to nieważne. Koń z Troi

pojawia się w pieśni Dobroczyńców, jednej z naprawdę starych. Krety wciąż przechowują odpisy, ojciec czytał mi ją, kiedy byłam mała. Koń z Troi był wydrażoną pułapką, którą celowo oddano w ręce nieprzyjaciół.

- No i?

Leyre wspięła się na palce i musnęła wargami jego usta. Policzki miała zarumienione, oddychała szybciej.

- Wciąż nie rozumiesz? Kon z Troi to ty - powiedziała. Szaratanga westchnął, otoczył jej kibić dłońmi i uwięził biodra. Wychodzi na to, że naprawdę zrobili mnie w konia, pomyślał.

- Mów dalej, Leyre. Albo potem.

Rozdział 33

Labirynt miał wiele wejść. Rozpościerał się na ogromnym obszarze, zmieściłoby się tam kilka grodów wielkości Tollan. Nikt tak naprawdę nie wiedział, w jaki sposób Termitom udało się go stworzyć, zmieniając graniczne góry w pułapkę. Niektórzy twierdzili, że pomogli im bogowie wulkanów. Bardziej prawdopodobne wytłumaczenie wskazywało na Białoskórych, którzy schronili się w tych górach przed piekielnym chaosem Klątwy i zemsty Prawdziwych Ludzi. W jej pierwszych latach, gdy uwolniona groza zmroziła przedwczesną radość ze zwycięstwa, a bestie żywiły się ludźmi, Tlaszkanie i niedobitki ich zamorskich sojuszników zeszli do swoich gór. Wiedzieli, że wrogowie nie okażą im łaski.

Mieli rację. Mściciele wkroczyli na ziemie górali, gdy tylko ruiny ich świata przestały dymić, dogasając na równi z zarazą zesłaną przez bogów. Ale dopiero tam, w górach, przekonali się, czym jest piekło. Kraj Tlaszkan zawsze był niedostępny i niegościnnie, to dlatego jego mieszkańcy przetrwali tak długo w sąsiedztwie potężnych wrogów. Ale widok, który ukazał się atakującym Kruzom, nie przypominał niczego, co znali. Wąwozy i przepaście rozmnożyły się i skłębily, ich odnogi wily się między skałami jak węże. Ziemia otwierała się pod stopami zdobywców, a niebo smażyło ich ogniem. Niektóre z tuneli i jam potrafiły zniecka plunąć lawą z pobliskich wulkanów, spopielając ludzi jak suche liście. W nowych warunkach przewaga tlaszkańskich łuczniczków, która kiedyś pozwoliła im zachować niepodległość, okazała się przytłaczająca.

Wszystko to podziałało na dumnych Kruzów jak czerwona płachta na byka. Skoro wrogowie stali się silni, my musimy być jeszcze silniejsi. Jeżeli trudniej ich pokonać, tym większy zaszczyt spłynie na ich pogromców. I tak, wbrew nadziejom Tlaszkan, Labirynt, który miał ich ochronić, zadziałał na

wrogów jak magnes. Wśród Kruzów tytuł Haru' Tan Yataniego, Walczącego na Przekłętej Ziemi, szybko stał się powodem do dumy.

Podjmując decyzję o wyrwaniu tlaszkalańskiego ciernia, Quinatzin pamiętał o dawnych porażkach. Liczył na to, że wrogowie przyzwyczaili się zwalczać niewielkie, lotne oddziały i zaskoczy ich natarcie tysięcy wojowników. Siły inwazyjne wyposażono w duże tarcze, na nowo wymyślając formację, którą w dawnym Rzymie nazywano *testudo*, „żółwiem”. Taktyka zakładała posuwanie się pod ostrzałem wroga i masakrowanie go tam, gdzie zdecyduje się zagrozić Kruzom drogę. Wąwozy odbijano krok po kroku i trup po trupie. Labirynt był prawie zdobyty...

Prawie.

Stłoczony w tłumie wojowników Tennok zadzierał głowę, wypatrując sztandaru swojego pułku. Dowódcy nosili je na specjalnych wiklinowych stelażach, przytroczone do pleców skórzanymi paskami. Znak Jaguara, dumnie płonący żółcią, cynobrem i złotem, towarzyszył im przez cały ranek. Aż przestał. W wąwozie zapanował straszliwy ścisk. Chwilami księżę czuł, że jego stopy odrywają się od ziemi, a ludzka fala niesie go bezwolnego jak dryfujący patek. Ogromna dłoń Harana chwyciła go wtedy raz po raz, niczym harpun.

Oddziały i pułki tłoczyły się, przemieszane jak różnokolorowe ziarna fasoli, mielone w zakrytych czeluściach wąwozu, skąd dobiegały stłumione odgłosy walki. Tennok widział Jaguarów w złocie, czerwieni i czerni, a także dumnych Orłów generała Tizoka z twarzami ocienionymi dziobatymi okapami hełmów. Wiele rodzajów ziarna, weterani i nowicjusze, arystokraci i chłopcy z poboru.

Widział kapłanów z czarnymi twarzami i strąkami długich, zlepionych krwią włosów, jak zagrzewają wojowników pieśnią. Kiedyś łudził się, że kariera duchownego uchroni go przed przemocą, ale noże tych księży były tak samo zbroczone Drogocenną Wodą, jak innych. Takie było oblicze jego świata.

Potknął się, kolano przeszył mu ostry ból, ścisk odbierał nadzieję i dech. Przez chwilę zapragnął śmierci, szybkiej,

rozstrzygającej, lekkiej. Byle nie na ołtarzu ofiarnym. Jak żyć wśród ludzi, których wyborów i marzeń nie można zrozumieć, a co dopiero powtórzyć?

Każdy poza nim przybył tu z własnej woli, każdy pragnął zdobyć Drogocenną Wodę i Kwiaty Bogów na tlaszkalańskich wrogach, napoić bóstwa Przymierza. Dać im siłę, by odpędzili mrok. Lecz na razie to oni krwawili.

Harcownicy i zwiadowcy Kruzów ścierali się z łucznikami Tlaszkalan, spędzając ich z pozycji strzeleckich. Każda strzała kosztowała nacierających wiele, a barwne stroje wojowników stanowiły łatwy cel dla kryjących się, półnagich obrońców, brunatnych jak skały ich Labiryntu.

Tennok nigdy nie pojął, dlaczego władcy Przymierza nie wyposażyli swojej armii w łuki. Jednym z powodów były na pewno trudności logistyczne. Armia broniąca domu wyrabia swoje strzały na miejscu. Armie Przymierza przeważnie walczyły daleko od metropolii. Kruzowie nie uznawali koni, zakazanych prawem Kłątwy, podobnie jak inne zamorskie wynalazki. W kampaniach za Przesmykiem, czy na suchych równinach Północy, napotkaliby poważne trudności z transportem i aprowizacją. Wojownik z mieczem i tarczą, ewentualnie włócznią i miotaczem małych dziryków, był wszechstronniejszą jednostką niż objuczony strzałami łucznik. *Macuahuitl* Kruzów stanowiły najlepszą ciężką broń świata. W teorii.

Trach! Kolejny harcownik odkleił się od skalnej półki i runął na ziemię, miażdżąc imperialny sztandar w kształcie osadzonego na tyczce zielonego kosza z wikliny, papieru i piór. Tlaszkalanie kryli się za głazami i wypelzali z ukrytych tuneli, którymi te góry były zryte jak stary stół przez komiki. Tennok przelknął ślinę i pomyślał, że wolałby szturmować Długi Mur na wschodnich rubieżach górskiego królestwa. Co prawda fortyfikacje zbudowane przy pomocy Białoskórych były potężne jak ich przekłeta magia, ale tam biedni skurwiele tacy jak on przynajmniej widzieli, gdzie idą. W Labiryncie śmierć wyskakiwała z najmniej oczekiwanych miejsc, jak diabeł z pudełka.

Termity rozpełzły się wszędzie, większość harcowników nie miała szansy ich dopaść. Księżę zobaczył wojownika, który podbiegł do tlaszkalańskiego łucznika w szarym pancerzu. Odskoczył z urwanym wrzaskiem, przybitym do bulgoczących ust przez wystrzeloną z bliska strzałę. Ściany wąwozu robiły się coraz bardziej strome i coraz bardziej przypominały Tennokowi rozkopany grób. Na dalszych, wyższych półkach wąwozu kolejni łucznicy zajmowali pozycje strzeleckie.

- Przydałby się tutaj Leśny Kontyngent - zamruczał Haran, podnosząc tarczę.

Albo Blask Twoich Oczu i Pełzacz. Wykurzyliby ich z tych jaskiń w trymiga, Termity nie zdążyłyby nawet pisnąć.

Pociski zastukały o pawęż jak wiosenny deszczyk. Jeden z grotów przebił warstwę sklejki i skór i zatrzymał się, dygocząc, o dłoń od prawego oka barbarzyńcy.

- Nawet zaszrani Otomi byliby lepsi od tych patałachów.

- Bez obaw. Ciężkobrojni przebijają się - uspokoił go Tennok, choć wcale nie był tego taki pewny. Zachował jednak, ku swemu zaskoczeniu, wpajaną od dziecka wiarę w supremację oręża Kruzów i w to, że elitarna piechota Przymierza nigdy nie oddaje pola. Chyba że na nim zostaje.

- Najpierw muszą się dostać do wrogów. - Barbarzyńca wzruszył ramionami, co w panującym wokół nich ścisku było wyczynem nadludzkim.

- Na płonącego chuja Toteka! Powinniśmy tam być! - ryknął rozjuszony głos.

Tennok obejrzał się. Nie widział jeszcze płonącego chuja. No, chyba że z całą resztą.

Yzatlin stał w tłumie rozbitych, rejterujących żołnierzy jak głąz splukiwany ściekami. Czub włosów sterczał mu z czaszki niczym wyzwanie i zapowiedź kłopotów, w bezmyślnych, płonących odwagą oczach nie było miejsca na strach. Tennok w nagłym błysku zrozumiał to, co zawsze kołatało mu się pod czaszką, gdy symulując nadwerężone ścięgno albo grypę, migał się od polowań i opuszczał męczące treningi szermierki.

Bohaterowie to młotki. Debile, głupki, szaleńcy. Tylko tępak machałby ostrym narzędziem tak wiele godzin każdego dnia.

Tylko tępak dobrowolnie zabijałby ludzi. Są lepsze rzeczy do roboty. Normalny człowiek w obliczu niebezpieczeństwa krzyczy, że nie chce umrzeć, i nie pcha się tam, gdzie go za moment zabiją. Księżę rzucił się do ucieczki, ale w panującym toku było to niemożliwe.

Z nadzieją zerknął na Harana, lecz olbrzym słuchał przemowy dowódcy z flegmatyczną miną, mrużąc zaczerwienione oczy. Nadal źle znosił słońce, co sprawiało, że przypominał wzruszonego albinosa.

- Nasza kolej! Każdy z was winien jest bogom życie! Dziś możecie spłacić ten dług! - zagrzewał dowódca. Tennok wołał przyznać się do bankructwa. - Jesteśmy Jaguarami, na Wodę i Gwiazdy! - zawołał wojownik, grzechocząc amuletami z kości i trofeami z zaschniętą krwią.

Tatuaze wiły się po jego zylastym ciele jak kręte drogi do piekła. Tacy jak on *cuachiqueh*, weterani z dwunastoma jeńcami na koncie, często walczyli nago, okazując pogardę dla wrogów.

Kadeci spojrzeli po sobie. Byli szczupli i pozbawieni blizn. Bez większych tryumfów ani jeńców na koncie. Żaden nie był jeszcze pełnoprawnym Jaguarem. Mimo to Yzatlinowi odpowiedziało kilka okrzyków, co prawda niezbyt entuzjastycznych.

Tennok pogodził się z tym, że szaleńcza odwaga nie leży w jego naturze. Nie mogąc się wycofać, zaczął się przesuwać w bok wąwozu, gdzie wały się trupy. Nagle zatęsknił za towarzystwem ludzi zimnych, powściągliwych i cichych. Baran złapał go za ramię i wskazał na skały. Żołnierze w szarych zbrojach znaczyli je jak wzbierająca łuszczyca.

- Niedługo zamkną kocioł. Ci, którzy tu zostaną, zginą.

- A ci, którzy pójdą do ataku, przeżyją? - zaskamlał piskliwie Tennok.

- Paru tak - oznajmił barbarzyńca łaskawie.

Księżę jęknął.

- Niedługo nadejdą posiłki. Widziałeś, ilu wojowników ma Tizok. Wtedy się przebijemy.

- Na razie ich tutaj nie ma - mruknął barbarzyńca.

Tennok popatrzył na niego błagalnie. I znów porwał ich ludzki nurt.

Odgłosy uderzeń i krzyki były coraz głośniejsze. Proszę, tylko nie to, pomyślał Tennok. I oczywiście poślizgnął się.

Zerknął w dół i zorientował się, że ziemia pod jego stopami zmieniła się w krwawy strumyk. Tym razem nie widział cofających się, rozbitych oddziałów, zupełnie, jakby ukryta gardziel wąwozu stała się głodną i zachłanną paszczą jakiejś pradawnej poczwary, Planety czy upadłej Gwiazdy. Twarze jego kolegów były prawie tak białe jak morda Harana. W parowie czekała śmierć. Mimo to kadeci ruszyli naprzód niczym kłody wsuwane do pieca.

*

- Wydałeś rozkaz wymarszu? Bez konsultacji z Oczami? Nad wyraz pochopna i krótkowzroczna decyzja. Jakby nas tutaj w ogóle nie było - poskarżył się gruby mężczyzna.

Tizok przyglądał się mistrzowi szpiegów, usiłując ukryć narastającą irytację. Niecierpliwił się, gdyż wywiad, który miał zapewnić im przewagę taktyczną, jak zwykle sromotnie zawiódł. Jeżeli wszyscy agenci wyglądali jak Masztla. to nic dziwnego, że dali ciała. Drugi Mistrz Szpiegów był taki opasły, że mógłby dupskiem zatarasować Labirynt. „Może to właśnie z nim zrobię”.

Obok dyszało ośmiu tragarzy, którzy skwiercząc w promieniach słońca, dźwigali to monstualne cielsko. Tizok przypomniał sobie jedną z wielu dyskusji między Quinatzinem i Szurukanem. Dlaczego nie zalegalizować zwierząt pociągowych, które zostawili po sobie Białoskórzy? Ich świń, wielkich wołów i koni. Quinatzin podawał monotonne wykresy i liczby, a Szurukan czekał. Miał dla młodego króla tylko jedną, lecz wystarczającą replikę. Bo tak mówiły Kodeksy Kłątwy. „Nie będziesz używał ich sprzętów, broni i zwierząt, nie będziesz kroczył ich diabelskimi ścieżkami”.

Tizok przeważnie zgadzał się z Kodeksami, lecz brak zwierząt pociągowych potrafił zaleźć żołnierzom za skórę. Każdy musiał dźwigać na własnym grzbiecie prowiant na wiele dni. Właśnie

dlatego Kruzowie najchętniej bili się z wrogiem mieszkającym blisko. Jak Tlaszkanie.

- Myślałem, że się rozumiemy - powiedział Masztla, oblizując wagi, mięsiste jak płaty surowej wątroby.

To, co istotne, nie zostało wypowiedziane. W obawie przed królewskimi szpiegami z Zabójców Gwiazd, którzy z pewnością czuwali nad tym spotkaniem. Przyglądał się generałowi, maskując nagle ukłucie podejrzliwości. Tizok czcił Szurukana, ale nadal poczuwał się do lojalności w stosunku do Ouinatзина.

- Zgodziłem się czekać, aby nie uderzać na ślepo i nie narażać moich ludzi bez potrzeby. Ale czekamy zbyt długo. Podobno Korpus Jaguarów ponosi ciężkie straty. Żołnierze się burzą. Ich nie obchodzi polityka ani spory możnych. I czują, że coś jest nie tak! Nasi bracia walczą tam, w górach, o życie, a moi zbijają bąki!

- Ci chłopcy to ludzie króla, generale! - syknął Masztla.

- A jednak to wojownicy Przymierza - głos Tizoka był zimny jak korona starego wulkanu Popo.

Na okrągłym obliczu szpiega nie drgnął ani jeden mięsień.

- Niektórzy myślą, że Król Dzieciak się pogubił. I przydałaby mu się lekcja pokory - szepnął szpieg, spokojny i zimny jak księżyc.

W pojedynku na beznamietność nie mam szans, pomyślał Tizok. Krew napłynęła mu do twarzy. Pochylił się, coraz bardziej wściekły.

- Mam rozumieć, że Szurukan mnie także uważa za zdrajcę? Tak po prostu?

- Najwyższy Kapłan uważa cię za człowieka honoru, generale. Ale wiedz, że jeżeli Quinatzin zwycięży i wróci stąd w chwale zdobywcy, motłoch przykłaśnie wszystkiemu, co potem uczyni.

- Zgodziłem się, że Tlaszkala nie może upaść, bo potrzebujemy jej do trenowania młodych. Zgodziłem się z tym, że Przymierze nie potrzebuje nowych wojen, że plany Quinatзина to niebezpieczna mrzonka. Ale nie będę siedział i patrzył beczynn timer, gdy giną żołnierze Przymierza!

- Jeżeli Quinatzin wygra, zniszczy cię. Tak po prostu.

- Słowa. Jadowite od waszej nienawiści. Quinatzin jest moim

przyjacielem. Ufa mi.

Szpieg uśmiechnął się, krągły i dobrotliwy jak melon. Sięgnął za pazuchę i wydobyl zwinięty w rulon dokument.

- Proszę.

Tizok wziął to z obrzydzeniem, jak zdechłego węża. Pieczęć była autentyczna, cały tekst składał się z listy imion.

- Co to jest?

- Lista osób na najwyższych stanowiskach, które *tlatoni* zamierza w najbliższym czasie zastąpić własnymi ludźmi. Przejęliśmy ją od pewnego lobbysty, który miał się zająć przekupstwem, korupcją i wpędzaniem tych ludzi w długi, romanse i hazard. Z pewnością znajdziesz tam wielu znajomych.

Generał wpatrywał się w papier, jakby miał nadzieję spopielić go samym spojrzeniem. Nie dało się. Z dołu listy wciąż krzyczało na niego „Tizok, generał Armii Północnej”. To, że krótka notka wyrażała wątpliwość, czy da się go łatwo przekupić, skompromitować lub złamać, było wątpliwą pociechą.

- Pójdę już. - Szpieg skłonił się w tryumfalnym geście, będącym zaprzeczeniem pokory. - Zatrzymaj listę, to kopia. Z pewnością chcesz teraz wiele przemyśleć.

- Skąd mam wiedzieć, że to nie jest fałszywka? Działacie tak samo jak oni. Posługujecie się tymi samymi brudnymi sztuczkami - wybuchną generał i zgniótł papier w potężnych łapskach. Na czole pulsowała mu żyła.

- Być może. Ale my czynimy to w imię dobra.

*

Szaratanga patrzył na dolinę, stojąc na murach Kołyski. Kruzowie cofnęli się, nie było też widać zjadaczy. Już pochowali poległych. Ciężkie walki toczyły się teraz na wschód od fortu i wkrótce musiał wyruszyć i wspomóc obronę. Na razie odwlekał wymarsz i rozkoszował się ostatnią chwilą spokoju. Usiłował o niczym nie myśleć.

Dzień był pogodny i chłodny, przejrzyste, górskie powietrze pozwalało podziwiać krajobraz. Znad lasu unosiły się ranne

mgły, jakże inne od dymów pożarów i trupich stosów. Splugawiona przez wojnę kraina na moment znów stała się czysta. Żegnający się z nią Szar czuł się jak mąż, który całuje zmęczone powieki żony. Jego dom leżał w bardzo podobnej dolinie.

Po tylu latach wciąż kochał swoją ojczyznę. W ich życiu na krawędzi zagłady było coś poetyckiego, a jednocześnie brutalnie pragmatycznego. Górale byli silni, bo wieczna wojna regulowała liczbę mieszkańców i odsiewała zbytecznych. Czuwali nad tym sami Tlaskalanie. Niejeden tlaszkalański ojciec zostawił kalekie dziecko na pustkowiach, nawiedzanych przez chmary zjadaczy. Ich rasa nie mogła skarleć. Z drugiej strony, do ukrytego królestwa nie docierała krew z zewnątrz.

Rozprostował dłoń, wciąż czując pieczenie.

Tatuż z mapą, *ilhalli*, pozornie przypadkowa kombinacja zawijasów i kresek, wciąż bolał go od czasu do czasu. Początkowo ten dowód największego zaufania, jakie Tlaskala mogła okazać żołnierzowi, byłby dla Szaratangi powodem do dumy. Dziś myślał tylko o swojej żonie i dzieciach.

- Ma pan gości. - Zaukas uklonił się dziarsko, podniecony nadchodzącą bitwą. Szar zdziwił się. Czyżby ostatnie instrukcje od Rady?

Enisha nigdy nie umiała czekać. Odsunęła adiutanta niecierpliwie i ruszyła w stronę męża z zaciśniętymi pięściami. Myślał, że go uderzy, ale ona zarzuciła mu ręce na szyję i mocno pocałowała w usta. Jej oczy były mokre od łez.

- Wypuścili was? Ale jak...

- Z rozkazu królowej. Ale wciąż obserwują nasz dom.

Musiał mieć głupią minę, bo Enisha roześmiała się. Ale w jej spuchniętych oczach nie było nawet cienia radości.

- Wiem, kim ona dla ciebie jest. A czy ty wiesz, jak się czulam, zmuszona dziękować jej za ratunek, mężu? - spytała drewnianym głosem, który Szarowi zawsze kojarzył się z głosem karcącej go matki.

A potem się dziwił, że facet nie może usiedzieć w domu.

Twarz Enishy złagodniała, wygładziły się zmarszczki w kącikach oczu i bruzdy ściśniętych ust. Pogłaskała go czule po

włosach.

- Gdy to się skończy... gdy wrócisz... pamiętaj, że do ciebie przyszedłem - szepnęła.

Szar zarumienił się. Nie zasługiwał na wiele rzeczy... a z pewnością nie zasługiwał na nią.

Już po wszystkim Enisha skończyła zawiązywać mu na plecach pancerz. Tego dnia osobiście uda się w bój i skończy to szaleństwo na dobre. Odetnie wężowi głowę. Albo zginie. Na głowie nosił opaskę w tradycyjnych kolorach Tlaszkali, biało-czerwoną jak jego tarcza i sztandar. Był to kolor niezłomności, odwagi... a może zaślepienia i uporu? Zawsze, gdy schodził na bitewne areny Labiryntu, towarzyszyła mu myśl, że jego ludzie w końcu, prędzej czy później, przegrają. Muszą przegrać.

- Wrócisz, prawda? - szepnęła Enisha, delikatnie całując go w usta. Oddał pocałunek i mocno wtulił się w żonę, zapamiętując jej zapach. Może uchroni go przed smrodem gówna i krwi, pachnidłami wojennej chwały.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił ją.

Spojrzała na niego uważnie, a Szaratanga poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Enisha słyszała te słowa od lat, lecz pierwszy raz miała wrażenie, że skłamał.

Rozdział 34

Śmierć od stali to tylko w Tlaszkali.

powiedzenie kruzańskich wiarusów

Tlaszkalanie bronili się na murze z porozrzucanych kamieni, grodzącym gardziel wąwozu. Tennok nie wiedział, czy fortyfikacja od początku tak wyglądała, czy był to efekt działań wojennych. Nie wiedział i miał to gdzieś, bo zaprzętała go dużo ciekawsza kwestia.

Jakby tu nie dać się zabić.

Doszedł do wniosku, że najczęstszym błędem, jaki popełniają żołnierze, jest zbliżanie się do wrogo nastawionych ludzi, wymachujących niebezpieczną bronią. Prawdopodobieństwo, że ktoś taki cię okaleczy lub zabije, jest bardzo wysokie. Właśnie ten błąd popełniali teraz jego koledzy. Szarżowali z szaleńczą odwagą, musiał to przyznać. Nieuprzejmi Tlaszkalanie postanowili ostudzić ich zapał.

Przywitali ich salwami pocisków z proc, śmiertelne kamienie zachręściły na czaszkach najeźdźców jak grad. Żołnierz biegnący obok niego, szczupły chłopak imieniem Estre, który w wolnych chwilach lubił majstrować przy misternych pióropuszcach i innych ozdobach z piór, potknął się i osunął na ziemię.

Tennok zrobił to samo. W chmurze nadlatujących pocisków wielu gubiło rytm i szukało osłony przy ziemi. Ale Estre nie wstawał. Gmerał w ohydny pęknięciu, znaczącym jego niewielką głowę, jakby była rozłupaną skorupą orzecha, zwinne palce pobrudzone miał czymś białym i gęstym, co chyba powinno pozostać w środku. Tennok chciał mu to wszystko powiedzieć, ale nie zdążył, bo ciało kolegi odczuło chyba ubytek

tej białej gliny i nagle znieruchomiało.

Zorientował się, że został z tyłu, w gronie innych potłuczonych szczęśliwców. Co prawda nie był ranny, ale na jaja bogów, nikt nie musiał o tym wiedzieć, prawda? Nie musiał nawet przesadnie udawać, krew kolegów spryskała go wystarczająco obficie. Na murze trwała zaś walka, która wcale nie była dla Kruzów zwycięska. Ich długie, szerokie miecze z obsydianowymi ostrzami były wspaniałą bronią, lecz niekoniecznie sprawdzały się w ścisku.

Historyk minionych światów, pogrzebanych w popiołach i zbrodniach Kłątwy, mógłby pokusić się w tym miejscu o zręczne uogólnienie. Kultury nastawione na indywidualny kunszt i osobisty heroizm, takie jak celtycka, japońska czy polska, cenily wymagającą szerokiego zamachu broń sieczną, szable i długie miecze. Walcząc taką bronią, można się było wykazać wyszkoleniem, odwagą i brawurą. Imperialiści z kolei zawsze ustawiali swe masowe, mrówcze armie w gęstym szyku i dźgali: mieczami legionistów pod Telemonem czy Vercellae, bagnetami Anglików pod Cullogen i jegrów na służbie Moskwy. Nie dla nich poezja swobodnego fechtunku i cięcia.

Kruzowie byli kulturą nastawioną na jednostkowe bohaterstwo, ich miecze świetnie nadawały się do dynamicznych, widowiskowych wymachów. Tłaskalanie kiedyś też tacy byli, ale po setkach lat służenia za chłopców do bicia wkurzyli się i zwrócili po radę do zawodowców. Nie obnosili się z tym jednak i używali przeszkolonych na nową modłę oddziałów jedynie w specjalnych sytuacjach, nie zostawiając świadków.

Takich jak ta.

*

Wojownicy Korpusu Jaguarów bardzo się zdziwili, gdy szeregi cofających się pod ich naporem wrogów rozstały się, odsłaniając chronionych metalowymi tarczami wojowników zakutych w zbroje z zakazanego metalu, władających ciężkimi rapierami ze stali, które z łatwością przebijały pikowaną bawełnę Kruzów. Ta barbarzyńska broń nie atakowała ramion i

nóg, lecz zadając perfidne rany, od razu szukała śmierci. Tłaskanie dźgali, tak jak robiły to Białe Diabły przed setkami lat, i ta bluźniercza, zapomniana taktyka przyniosła szybkie efekty. Kruzowie stracili impet.

Yzatlin był oburzony.

Był tak wściekły, tak rozjuszony, że w swoim rozsierdzeniu zapomniał o wszystkim, co umiał, i niewiele brakowało, a dałby się zabić. Wysoki wojownik w stalowym napierśniku odepchnął tarczą jego miecz i zadał mu pchnięcie w pępek. Na szczęście oficer zdążył odgiąć tułów i cienkie ostrze smagnęło go tylko po żebrach. Wróg cofnął się i uderzył raz jeszcze, Yzatlin widział tylko jego tryumfujące oczy zza hełmu w kształcie ptasiego dziobu, metalowego, ale zaprojektowanego w zgodzie z estetyką Tłaskali. W tym momencie u boku dowódcy wyrósł Haran, który złapał ostrze lewą ręką, tą szarą i dziwnie zmarszczoną, która zawsze wydawała się Yzatlinowi okropna. Ale nie była uschniętym badylem, o nie. Broń Termita trzasnęła z głośnym chrupnięciem, a barbarzyńca uderzył go w udo płazem własnego miecza. Ciężkie drewno jęknęło, a Tłaskalanin poleciał na pysk. Haran z dumą powłókł swojego pierwszego jeńca.

- Zostaw go, synu. - Yzatlin szarpnął nim jak troskliwa wilczyca szczeniakiem i bezceremonialnie poderznął jeńcowi gardło. - To nie parada. Jak się zagapisz, sam będziesz jebanym trofeum! - warknął.

Haran zamrugał. A potem wyszczerzył się swoim spiłowanym uśmiechem. W końcu ktoś przemówił do niego językiem, który zrozumiał w lot.

- Odwrót, odwrót! - Yzatlin wyrwał trębaczowi konchę z muszli i zadał w nią, co nie było łatwe, zważywszy na dopiero co odniesioną ranę. Quinatzin musi się o tym dowiedzieć. To dlatego odcięte podczas kampanii oddziały tak łatwo dawały się zniszczyć. Dobrze, że ci dranie nie mają diabelskich rur z ogniem. Jeszcze nie.

Tennok, który z bezpiecznej odległości ostatniego szeregu miotał już ku wrogom strzałę ze zdobycznego łuku - ściśle mówiąc, posłał już ku nim aż dwie - zobaczył, że jego oddział

odrywa się od szeregów wroga, ponurej ściany, która kłuła, zabijała i raziła pociskami. Yzatlin ślaniał się, zbryzgany już krwią jak nieboskie stworzenie. Odniesiona rana była widać poważniejsza, niż się początkowo wydawało. Ktoś ściął mu połowę czuba, spłaszczona resztką kleiła się do czaszki jak zaczesana pożyczka. Stary popędzał ich, byle dalej od wroga. Tennok odetchnął z ulgą.

Ruszyli ciasno słoczeni, z tarczami chroniącymi głowy. Ci z tyłu na odcho-dnym z kilku kroków posłali na wrogów ostatnie lekkie oszczepy miotane *atlatlami*. Tłazskalanie zignorowali ich, tylko szczelnej zbili szeroki mur tarcz.

Tym razem to Tennok musiał odciągać Harana, który najwyraźniej uznał, że właśnie zaczęli wygrywać. Równie dobrze mógłby odciągać sekwoję. Na szczęście wrogowie nie ścigali ich, zresztą najpierw musieliby przeskoczyć przez stertę rannych i trupów.

Tennok starał się nie myśleć, ilu ludzi stracili. Nie myśleć o rannych kolegach, którym deptał twarze. O tym, że wkrótce będą musieli tam wrócić.

Za zakrętem oddział stanął jak wryty. Drogę odwrotu zagradała im sterta skał. Wysoka i stroma, sięgała nawisów skalnych, spinających wąski w tym miejscu wąwóz. Niektóre wyglądały na obrobione ludzką ręką.

Zostali odcięci.

Inny dowódca załamałby się. Yzatlin miał na to za mało wyobraźni. Przez chwilę wodził oczami od jednego końca wąwozu do drugiego, wypatrując łuczników nad nimi. Zostało mu około dwustu pięćdziesięciu żołnierzy. Może to za mało, by przełamać obronę wroga, lecz na pewno dość żeby się bronić. Na szczęście zwiadowcy odkryli nieopodal samotną ścieżkę, prowadzącą w boczną odnogę wąwozu do rozległej, pustej kotlinki porośniętej lebiodą i górskim mchem, w której płuskał nawet niewielki strumyk. Nigdzie nie było też widać Tłazskalan. Yzatlin kazał dokładnie przebadać kotlinę, rozesłał też wartowników. Wtedy Tennok zrobił coś, czego nierobienie było jego fundamentalną zasadą.

Zgłosił się na ochotnika do oddziału, który Yzatlin zdecydował

się wysłać na zwiad.

Panicznie bał się gór i ciemności. Ale jeszcze bardziej bał się nieuchronnej śmierci z rąk Tlaszkan.

Na szczęście Yzatlin się zgodził. Ich patrol miał odbyć „rekonesans” i szukać jakichś przeoczonych przejść. Mieli też, w miarę możliwości, sprowadzić posiłki. Tennok rozumiał to jednak inaczej. Liczyła się tylko ucieczka.

Jak każdy tchórz, poważnie traktował swoje przecucia. Ich źle dowodzony pułk zmierzał prosto ku zgubie, a on nie zamierzał czekać, aż skończy im się prowiant i woda.

Wyruszyli składającą się z dwóch dwudziestek drużyną, prowadzeni przez Kannatzina Trzy Psy. Haran, którego wzrok w świetle dnia pozostawiał wiele do życzenia, człapał obok niego jak poirytowany niedźwiedź. Oczywiście przyłączył się do bohaterskiej wyprawy, jak gdyby to była błahostka.

- Nie trzeba było się cofać, tylko zdobyć tamten murek, patałachy - zamruczał.

Nagle zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Przyłożył ucho do ziemi, a potem zamarł i węszył jak piesek preriowy. Wyglądało to dość pocieszenie, ale Tennokowi od dawna nie było do śmiechu.

W końcu za płachtą ciernistych zarośli znaleźli coś na kształt łagodnego żlebu, który Trzy Psy postanowił zbadać. Książę też wychodził z założenia, że Termyty łatwiej przeoczą ich garstkę niż resztę tych głupców, którzy zostali. Po półgodzinie ostrożnego marszu zapadła noc. Gdy zaczęli się potykać o własne nogi, Haran zatrzymał się.

- Robimy rumor jak jakaś przekłęta lawina.

- Idziemy dalej. W nocy przynajmniej nas nie spostrzegą - warknął Kannatzin.

Od czasu starcia w wiosce nie przepadał za wielkim Druazzi. Głupiec, chyba rzeczywiście żałował, że zwykły *urs* uratował mu życie.

Haran dał za wygraną i zapadł w posępne milczenie. Po kilku minutach znowu zatrzymał dowódcę.

- Pod nami są ludzie. Bardzo wielu.

Tennok chciał coś powiedzieć, zawrócić i ostrzec Yzatlina, ale

nie było już czasu. Sekretne przejścia na zboczach otworzyły się i góry plunęły rojem tlaszkalańskich wojowników, którzy kryli się w skalnych tunelach jak chmara szerszeni w gnieździe. Zaatakowali zaskoczonych Kruzów ze wszystkich stron, zasypując ich gradem strzał. Tak wielu, zdążył pomyśleć Tennok. Tak wielu.

I zaczęło się zabijanie.

Jednak nie wszyscy Jaguarowie zginęli po pierwszym ataku. Grupa wojowników pod dowództwem oszalałego z gniewu Kannatzina zdołała się przebić z zasadzki i uformować szyk.

Odparli pierwszy atak Termitów, którzy cofnęli się, ostrzeliwując ich z łuków, po czym skupili się na zabijaniu pojedynczych, rozproszonych żołnierzy. Była to główna zasada tlaszkalańskiej doktryny wojennej - „wielu przeciwko nielicznym”. Przymierze zawsze miało nieubłaganą przewagę i niewyczerpaną zdolność uzupełniania wojsk. Dla górali wyrównane, sprawiedliwe starcia - jakkolwiek głupio by to brzmiało - kończyły się zawsze sromotną klęską. Zwycięstw musieli szukać gdzie indziej.

Tennok nie znalazł się w zwartej grupie obrońców. Nikt też nie chronił mu pleców. Haran gdzieś przepadł, zapewne próbował drogo sprzedać skórę. Większość jego kolegów właśnie tym się obecnie zajmowała. Skulony za głazem księżę widział, jak kolejni otoczeni przez wrogów Kruzowie padają przeszyci strzałami i włóczniami. Kannatzin Trzy Psy ryczał, oparty plecami o ścianę, niczym niedźwiedź zaszczuty przez wilki, tocząc walkę, o której marzył przez całe życie. Tennok założyłby się, że jego sierżant walił konia, odtwarzając przed oczami takie epickie sceny. Kto z oficerstwa nie walił?

Jak często bywa, życie zrewidowało jego roszczenia. W tym wypadku pod postacią krępego, włochatego chłopca, który zaszedł go z boku, gdy Trzy Psy wychylił się po którymś heroicznym wymachu, Termit wbił mu w szyję coś błyszczącego, co mogło być bardzo kiepską szpadą lub starannie wypucowanym różnem. Wojownik rzucił broń i zatoczył się, daremnie wpychając palce w broczącą tętnicę, jak pijak próbujący zaspuntować beczkę. Śmierć od stali to tylko

w Tlaskali.

Tennok trząsał się jak młody pęd kukurydzy, lecz umysł miał beznamiętny. Głupcy. Życie ludzkie jest przecież bezcenne, pomyślał, chwytając od tyłu jakiegoś niefrasobliwego górala i podcinając mu krtań. Tłumiąc torsje, przykrył się drgającym truchłem niczym ciepłym, cuchnącym płaszczykiem. Nie bardzo miał plan, co dalej. Bohaterską śmierć zostawiał lepszym od siebie. Choć taktyka udawania trupa także nie rokowała za dobrze, bo Termity skrupulatnie dźgały każdego powalonego wroga niezależnie od tego, czy pełzał, dygotał, czy zastygł. Jedno trzeba było im przyznać - byli metodyczni. Zapewne nauczyli się tego od Białych.

Na razie usiłował pozostać niewidoczny. I żywy. A nie było to łatwe. Ludzie wokół wrzeszczeli i umierali, ich broń wydawała nieprzyjemne, zgrzytliwe dźwięki. Jakiś młody arystokrata. w hełmie z czerepu jaguara, powalił starszego górala cięciem w ścięgna podkolanowe i krzyczał coś tryumfalnie. Cisnięta z bliska włócznia, wzmocniona miotaczem *atlatl*, zdławiła w gardle jego okrzyk. Kruz zatoczył się i usiadł z niemądrą miną, a z pleców sterczało mu ostrze. Jego niedoszły jeniec poderwał się i kulejąc, zdzielił go w głowę maczugą.

Musiał być osłabiony, bo młody Kruz przetoczył się tylko z przekrzywionym hełmem i ze zwierzęcym uporem popełnił między kamienie na zboczu. Termit kuśtykał za nim, powłócząc strzaskaną nogą. Tennok wtulił się głębiej w ciemność i własną hańbę. Kruz był już blisko, książę mógł poczuć ciężar jego rwanego oddechu. Gdy wojownik zdjął hełm, wzrok Tennoka napotkał jego oszołomione, błagalne spojrzenie, w którym pojawił się błysk nadziei. Tennok zadrżał. Pamiętał go, miły chłopak, pochodził bodajże z kolonii nad Zachodnim Morzem, z rodziny osadników wojskowych, podobnie zresztą jak on. Rozmawiali. Pili.

Książę rozejrzał się i wychylił spod trupa, kurczowo ściskając włócznię i tarczę. Mógł zaryzykować i przyszpilić Termita, gdy ten tu dotrze. Byli sami, potyczka przeniosła się dalej, ale wiedział, że to tylko złudzenie. Znajdą go. Czuł dziwną słabość, miał wrażenie, że jego wrogowie są wszędzie. Wystarczyło, że

tylko drgnie, zdradzi miejsce swojego ukrycia, a znajdą go i zabiją. Kolana miał miękkie jak ciasto, serce czujne, skulone i zimne. Nie mogę ci pomóc, szepnął i odpełznął z powrotem, cofając się z pola widzenia rannego. Po chwili kamienie zachrzęściły, zagłuszył je wstrętny, jak gdyby mdły odgłos pękającej czaszki.

Książę zapłakał bezgłośnie. Czuł wstręt do siebie, tak silny, jakby miał zaraz umrzeć. Chciałbyś. Jego serce rozszalało się i zamarło, pod czaszką jazgotał wzdorczywy szepot.

„Zapłacisz trzy razy”. To był drugi. Ciesz się.

*

Ocknął się, gdy odgłosy walki zdążyły już dawno umilknąć. Nie wiedział, ile tak leżał. Był ranek, blady i jasny jak ścierwo Białoskórego. Tennok czuł się świetnie, był pokrzepiony i głodny, jakby wyspał się za wszystkie czasy. Jakim cudem, dzięki jakim kaprysom niepoznanych bogów wciąż żył? Czemu nie zginął, skoro był takim tchórzem?

Niektórzy mówią, że wszyscy stoimy na barkach naszych przodków. Książę był innego zdania. To przodkowie, ich dokonania i winy, wybory i zbrodnie, układają się na naszych grzbietach niczym upiorne chomąto. A my orzemy ten ugór.

Zwycięscy górale odeszli, rozplynęli się jak duchy w jednym z ukrytych tuneli. Tennok słyszał odgłos walących się skał i domyślił się, że górale właśnie spuścili kontrolowaną lawinę, zagradzając ten fragment wąwozów stertami skalnego gruzu. Na wypadek, gdyby jacyś Kruzowie przeżyli. Była to jedna z taktyk, której Tlaszkalanie zawdzięczali swój przydomek, Termity. Te inteligentne owady także potrafiły замуrować i odciąć oddziały nieprzyjacielskich mrówek w wydzielonych fragmentach swoich obronnych twierdz. Powoli docierało do niego, jak plastyczny był Labirynt, jak wiele zapewniał manewru. Górale dawali się czasem pokonać, dostarczali imperium treningu, adrenaliny i jeńców. Ale to były pozory. W tym miejscu mieli nad wojownikami Przymierza całkowitą kontrolę.

Nagle z ciemności wyłonił się znajomy kształt, otoczony

znany obłokiem smrodu. Na wojnie Haran się nie mył, twierdząc, że to zabezpiecza skórę przed insektami. Wielki Druazzi przejawiał wiele cech psich, podobnie jak inni dzicy. Miał obsesję szacunku i stadnej hierarchii, stale się iskał i czochrał po przyrodzeniu. Jadł zgniły pokarm i wszystko wskazywało na to, że w wolnych chwilach najchętniej się tarza w padlinie.

Ale Tennok i tak go lubił. Zwłaszcza teraz.

- Nie spieszyłeś się - skarcił go.

Haran wyszczerzył zielonkawę zęby wyłożone nowiutkim nefrytem. Musiał wyrwać te barbarzyńskie ozdoby ze szczęki jakiegoś biedaka. Kontrastowały z krwawą czerwienią jego oblicza. Tennok musiał przyznać, że jego *urs* nie żałował krwi. Wyglądał, jakby wykapał się w jakiejś kadzi rzeźniczej.

- Nie wylegaj się tak, synu Maczuraia, nie warto. Ominęła cię piękna bitwa - oznajmił.

- Jak przeżyłeś? - zainteresował się książę.

Paranoiczny umysł podsuwał mu już obrazy oszustwa i zdrady. Barbarzyńca wzruszył ramionami. Zaczął czyścić paznokcie z kawałków skóry i mięsa, które tam utkwily.

- Po prostu pobiegłem w przeciwnym kierunku. Miałem szczęście. Widzę, że nie ja jeden.

Tennok nie rozumiał, więc zniecierpliwiony *urs* zaprowadził go w górę zbocza. Przez chwałę węszył i obmacywał głązy, wreszcie znalazł to, czego szukał. Kilka kolczastych ostów i płaski, starannie dopasowany kamień broniły dostępu do ukrytej grotty.

- Tędy przyszli, na Ołtarz i Krew! Ale pilnowało go tylko trzech ludzi - mruknął tryumfalnie.

- Jak to znalazłeś? - zdumiał się Tennok. Barbarzyńca wzruszył ramionami.

- W Dołach można się było stać żywym szczurem albo zjedzonym człowiekiem. A każdy porządny szczur wyczuwa węchem dwie rzeczy: wyjście z matni i smakowitą przynętę.

Zagłębili się w czeluściach tunelu. Tennok złapał się na tym, że mamrocze pod nosem inkantację do Tepeyollotla, Serca Góry, boga zwierząt, echa i mrocznych jaskiń. Uśmiechnął się z

zażenowaniem. Gdyby mędrzy z Zaułku Filozofów mogli go teraz zobaczyć! Bezbożność Tennoka zawsze mijała jak ręką odjął w obliczu porządnego strachu. Cóż, bogowie, jeśli w ogóle, obawiają się tylko od ważnych ateistów. Takich jak jego *urs*, choć czy ten bydlak w ogóle zastanawiał się nad tym, w co wierzy?

Haran opowiadał mu kiedyś o religii swojego plemienia. Druazzi wierzyli, że po śmierci dusza człowieka zmuszona jest pełzać przez bardzo podobne przejścia. Oczywiście śmierć jest jedynie powrotem, a matczyne łono - pozorem. Przed narodzinami nasze dusze wyczekują głęboko pod ziemią. Nie była to anegdota podnosząca na duchu. Na samą myśl o niekończących się latach pod ziemią, przed śmiercią, po śmierci lub w trakcie życia, nieważne, zrobiło mu się dziwnie w żołądku.

Tłazskalenie zdawali sobie oczywiście sprawę, że Labirynt może zostać użyty przeciwko nim. Wiele przejść było więc jednokierunkowych: wiele dróg można było zatrzasnąć od wewnątrz, aby zatrzymać pościg. Najlepsze zabezpieczenie zapewniał jednak sam układ przestrzenny. Labirynt był spletanym, mrocznym chaosem, układ korytarzy i przejść nie rządził się żadnym czytelnym porządkiem. Przynajmniej dla księcia, Haran jakoś wynajdywał drogę.

Przeważnie sunęli w ciemności, ale w niektórych miejscach niewielkie otwory w sklepieniu przepuszczały powietrze i blask księżycy, a w ciągu dnia pewnie światło słoneczne.

Połykający na skałach osad nieprzyjemnie przypominał zaschniętą ślinę czy śluz, w nozdrzach księżę czuł duszny, jakby zwierzęcy zapach. Ta myśl sprowadziła nań przerażenie, które pogłębiło się, gdy w jednej z szerszych komór odkrył ślad ogromnego kła.

- Kłątwa - mruknął barbarzyńca spokojnie, gdy Tennok podzielił się z nim swymi spostrzeżeniami. Księżę syknął ze złości.

Głupcy od stuleci tłumaczyli wszystko Kłątwą i niczego nie mogli się przez to dowiedzieć. Wkrótce poczuł jednak wdzięczność, że Haran jest z nim. Labirynt stworzony był tak,

by każdy śmiałek natychmiast się w nim zagubił. Czuł, że za moment udławi się, przygnieciony ciężarem gór. Czuł, jakby ktoś wsywał mu do gardła całą ziemię świata. Podczas gdy Haran...

Podczas gdy Haran rozkwitał.

Barbarzyńca szedł pewnie, z instynktowną orientacją mieszkańca Dołów. Węszył, opukiwał skały. Poruszali się teraz wolniej, bezszelestnie, jeżeli nie liczyć szczękania zębów Tennoka. Aż wpadli na drzemiącego strażnika. Na ich widok wybałuszył oczy, w które Haran niezwłocznie wbił rozcapierzone palce prawej ręki, lewą miażdżąc mu gardło. Książę pisnął i spostrzegł, że zabity ma biało-czerwony mundur. Byli tu Tlaszkalanie.

Ruszyli do przodu. Po kilku chwilach ciemność wypełniła się nikłą poświatą. Haran zaczął się skradać, a Tennok sunął za nim w ślimaczym tempie. Gdyby mógł, sam zmieniliby się też w ślimaka, te szkaradztwa przynajmniej są ciche.

W niewielkiej, oświetlonej łuczycami komorze stało czterech Tlaszkan. Pochylali się nad niskim stołem z mapami, na którym paliła się skwiercząca tłuszczem lampka. Krępy, mocno zbudowany wojownik o ostrych, kanciastych rysach Białoskórego spierał się właśnie z roslym oficerem w płaszczu w biało-czerwonych barwach Tlaszkali i wspaniałej, pierzasto-stalowej zbroi z jakimś zwierzęcym znakiem. Zamknięty, srebrny hełm z kratą zasłaniał mu twarz. Krępy zasypywał go istną litanią narzekania. Ten w hełmie słuchał cierpliwie, rozmasowując sobie kolana. W końcu przerwał mu, unosząc dłoń. Jego stłumiony, dudniący spod hełmu głos dodatkowo zniekształcała kratowana przyłbica.

- Ja już skończyłem, Hoppe. I tak poprowadzę ten atak. Na razie ja tu dowodzę, a ty jesteś tylko przybocznym. Decyzja nie należy do ciebie.

Potem spostrzegli intruzów. Powietrze momentalnie stężało, zgęstniałe przecuciem śmierci. Tlaszkalanie nie sięgnęli jednak po bron, jakby odwołując rzeź. Tennok, jak to miał w zwyczaju, cofnął się, żeby ocenić sytuację. Żałował, że w pomieszczeniu nie ma biurka. W takich chwilach zawsze warto

czegoś pod nim poszukać. Albo wytrzeć kurze.

To Haran przełamał impas. Zrobił krok naprzód, złapał pierwszego z Tlaskalan w pól i gwałtownie dźwignął, rozbijając mu głowę o strop. Trup zadygotał i zanieczyścił powietrze, a Druazzi cisnął nim w pozostałych. W komnacie zakotłowało się, zabójcze ostrza ze świstem przecięły powietrze. Jedna z pochodni zafalowała i zgasła. Tennok słyszał ryk Harana i przekleństwa tamtych. Druazzi złapał jednego z Termitów za gardło i razem turlali się w pyłe. Tymczasem niski mężczyzna z włócznią zaszarżował na księcia jak dzik.

Nie było już dokąd wiać. Tennok pisnął, desperacko rzucając się w bok. Niechący podciął faceta z włócznią, który uderzył o ścianę i zmarł. Potem, dziwiąc się samemu sobie, książę ruszył na ostatniego z Tlaskalan, oficera w zamkniętym hełmie.

Facet kulał, co dodało Tennokowi sił. Nic tak nie uskrzydła, jak zdecydowana przewaga, najchętniej walczyliby tylko z kobietami i dziećmi. Niestety, supremacja okazała się złudna. Wróg bez trudu sparował jego przewidywalny zamach i silnym ciosem prawie wytrącił mu miecz. Tennok zorientował się, że typ jest znakomitym szermierzem. Jego broń też była nie byle jaka, ogromna, złowroga i metaliczna, z pewnością pamiętała odległe czasy sprzed Kłatwy. Gdy książę cofnął się dalej w korytarz, co miało spowolnić wroga, kuternoga ujął dwuręczny miecz poniżej jelca i pchnął nim jak włócznią.

Tennoka ocaliła tylko trzymana w kieszeni na piersi książka, zaczytany do zszargania tomik fantastycznych powiastek Mykotla. Na szczęście spisano ją na mocnym papierze *amate*. A mówią, że czytanie nic nie daje.

To było jednak odroczenie, a nie kasacja wyroku. Jego wróg nieustępliwe parł naprzód, spychając Tennoka do kolejnej, tym razem większej komnaty. Na podłodze stały zwinięte maty do spania. Tutaj też paliła się dziwna lampka. W przyłbicy groźny szermierz naprawdę wyglądał jak Termit, złowrogi demon bez twarzy. Na pewno zabił już wielu ludzi. Wygląda na to, że zginę z rąk specjalisty, pomyślał książę. I nagle opuścił go lęk.

- No, dalej. Zrób to. Miejmy to już za sobą - warknął dużo bardziej piskliwie, niż chciał. A jednak bez strachu spojrzął na

przeciwnika.

Ulga po ustąpieniu lęku jest wspaniałym uczuciem. Termit stał przed nim z mieczem z diabelskiego metalu, jego szpic wydawał się tak ostry. Książę był przygotowany. I wtedy kątem oka dostrzegł, jak jakiś skłębiony kształt z impetem uderza Termita w bok, posyłając go na ścianę. Haran. Szermierz odbił się i zaklął, zawracając w stronę nowego wroga.

To była inna liga, poruszali się bardzo szybko. Cięcie, zastawa, krok. Haran zarobił cios w żebra, wyprowadził mocne, obszerne cięcie, rozpruł powietrze i potknął się, więc przykleknął, żeby do końca nie stracić równowagi. Termit sprzedał mu kopa w twarz i doskoczył do powalonego, unosząc nad głową miecz.

Barbarzyńca zabulgotał krwią. Uśmiechnął się, błyskając zielonkawymi zębami, i zawarczał jakieś puszczańskie wyzwanie. Tennok stawiał na „Spotkamy się w piekle”. Potem Druazzi zemdłał.

Zwycięzca oddychał ciężko. Potarł kolano i zamierzył się do kończącego rzecz ciosu. Książę zamknął oczy. Gdy je otworzył, zobaczył, że Tlaszkalanin cofa ostrze. Oficer wpatrywał się w Harana, jakby go nagle rozpoznał. Powtarzał coś jak mantrę, niczym ktoś, kto odgania urok lub przebłaguje demona. Tennok bał się odetchnąć. Typ miał ich jak na widelcu, rannych i bezbronnych. Ale nie zabijał, prawda? Nadzieja zapiszczała mu w sercu, drapiąc je pazurkami jak szczur. Oczy wypełniły się łzami, pewnie przez górską pogodę. Albo kurz.

Wtedy oficer roześmiał się i zasalutował Haranowi ostrzem. I odszedł. To znaczy, zrobiłby to, gdyby Tennok nie podniósł się szybko i nie uderzył go kamieniem w tył głowy. Nie dowierzał kaprysom morderców.

Tlaszkalanin zachwiał się, ale nie upadł. Z jego ust wydobył się jęk bólu stłumiony przez hełm. Zaatakował księcia niskim pchnięciem, tym razem obliczonym na zabicie, a nie obezwładnienie. Była to mordercza technika z repertuaru Białoskórych. Tennok wiedział o tym, bo Stary Cahuotl, jego sadystyczny mistrz miecza, poświęcił rok zajęć szermierczym sztuczkom stosowanym przez tlaszkalańskich fechmistrzów.

Książę był tak zaskoczony, że zamiast kombinować, zastosował prawidłową obronę. Desperacko wygiął brzuch, przyklejając go do zapadłego kręgosłupa, dzięki czemu uniknął stalowego ostrza. Pchnięcie przeszło pustkę. Termit osunął się w niskim wypadzie, niemiłosiernie eksploatując kolano sfatygowanej przedniej nogi, która zatrzeszczała i zachybotwała się groźnie. Rzepka. Syknął z bólu i cofnął się, ostrożnie stawiając kroki.

Syn Maczuraia obserwował go podejrzliwie. Był dobry w wylapywaniu słabości, na dworze ojca każdy miał coś z wężących krwotoki piranii. Albo ich posiłku.

Czasem ofiara tylko udawała słabość, ale tym razem to nie była podpucha. W ciele wroga, jego ruchach i tempie, zaszła istotna zmiana. Przedtem poruszał się z gracją fechmistrza. Teraz, złachmaniony potwornym bólem, był jak osłabione zwierzę, znaczące swe ścieżki krwią. Jego prawa noga stała się sztywna i chwiejna, stawiał ją, nie zginając. Na szczupłej twarzy księcia zagościł tryumfalny uśmiech.

Zaatakował, zasypując tamtego błyskawiczną lawiną ciosów. To umiał. Tennok nie był nawet w ćwierci tak skuteczny jak Haran ani specjalnie wytrzymały. Ale miał elitarną, wyszlifowaną technikę, wpojona i wryta latami znienawidzonej mordęgi. Maczurai katował go od piątego roku życia i choć książę ćwiczył mniej niż ktokolwiek w jego rodzinie, i tak przewyższało to trening zawodowego żołnierza.

Termit zachwiał się pod lawiną ciosów, po czym przyjął kolejne uderzenie na miecz i zderzył się z Tennokiem, który zastawił się tarczą. Przez chwilę trwali w klinclu, a potem wróg cofnął się gwałtownie. Tennok nie zdążył nawet zakląć. Poleciał do przodu, a miecz wroga przejechał mu po żebrach, jak smagnięcie lodowym biczem. Na szczęście broń uderzyła płazem.

Oficer obrócił się, gotowy do następnego ataku. Książę nieporadnie zasłonił się *macuahuitlem*, tak jak obrażone dziecko zasłania spleknaną buzię. Wpojone przez lata odruchy zakwiliły i rozłożyły rączki. Przegrywał. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Opuszczony przez księcia miecz bezradnie

zastukał o ziemię. Tlaskalanin ruszył na niego szybko, w jego oczach nie było litości.

Wtedy coś chrupnęło. W porównaniu ze szczękiem i klekotem broni, jękami, wyciem i innymi odgłosami, jakie wydają konający i mordujący się ludzie, chrupnięcie zdezelowanej łąkotki to pryszcz. Jęk bólu, jaki wydobyl się z zagryzionych ust oficera, też był raczej zduszony i cichy. Dla Tennoka brzmiał jak gromka muzyka bogów.

Do trzech razy sztuka.

Rzucił okiem na Harana. Barbarzyńca był nieprzytomny. Kuśtykający oficer zniknął za zakrętem. Tennok poderwał się. Pokonał dzielącą ich odległość i dopadł go w chwili, kiedy się obracał. Syn Maczuraia wymierzył i wytrenowanym ruchem, którego tym razem nie wytrąciła z rytmu żadna natrętna myśl, uderzył oficera w nogę. Lewą, zdrową. Termit osunął się na ziemię i roześmiał zgrzytliwie, jakby chrzęścił swoim ostrzom o skały.

- Niedoczekanie, skurwiele - mruknął.

W jego ręce nagle pojawił się sztylet. Skierował go w stronę własnego serca, zapukał w blachę napierśnika i przesunął ostrze do gardła. Tennok kopnął go w głowę. Termit przeturlał się, przez kratę przyłbicy plując krwią, od dołu popatrzył na wroga.

- Gratuluję, synu. Właśnie pojmałeś Szaratanga - zahuczał ponuro spod hełmu.

Tennok poczuł, że płoną mu uszy. Ten herb... Napierśnik wojownika zdobiła figura przysadzistego jaguara z ogromny grzywą. Szaratanga... zwany Lwem Labiryntu. Nawet ksiązę, cynik i skrajny ignorant, znał to nazwisko. Nawet wśród Kruzów kojarzyło się z odwagą, honorem i dumą. Bywało, że puszczał wolno pokonanych rycerzy Przymierza i obdarowywał ich kosztownościami. Szaratanga.

Samotnie bronił przełęczy, prowadził zwycięskie szturmy. Na jego słowie polegali szlachetni mężowie. Upokorzył kruzańskie armie w Dolinie Czarnego Psa, sam generał Tizok umykał przed nim jak kojot. Podobno był niepokonany... Aż do dziś. Teraz legendarny bohater leżał, obalony podstępem jednego

małego człowieczka. Czekają na to całe imperium.

Jakiś hałas wyrwał go z zamyślenia. Krępy Tlaszkanin, któremu Tennok tak fartownie podstawił nogę, właśnie szarżował na niego z włócznią. Na szczęście wciąż był oszołomiony i poruszał się tak niezbornie, że księżę bez trudu trafił go mieczem w udo, prawie przecinając mu nogę na pół. Chyba się rozkręcał. Wróg osunął się, lecz wciąż pełznął, daremnie wyprowadzając ciosy. Tennok zmarszczył brwi. Coś było bardzo, ale to bardzo nie tak.

I nie chodziło tu tylko o to, że żołnierz, któremu rozpruł aortę, upuszczając mu małe jeziorko krwi, wciąż usiłuje go trafić, choć dawno powinien umrzeć. Tennok słyszał o takich rzeczach. Lecz nie to go zdumiało najbardziej. Pchnięcie, które księżę odruchowo sparował, wymierzone było w Szaratangę.

Tennok zaklął i wykopał Termitowi broń z ręki. Przyklęknął w kałuży krwi.

- O co tu chodzi, kurwa. Gadaj! - warknął, łapiąc Haszkanina za kołnierz.

Ale ten zadygotał tylko, przebijając nogami jak wykopany, zdychający na ziemi kret. I umarł.

Tennok zadrzał. Na włóczni trupio zielenił się jad. Kojarzył takie rowki na ostrzu. O co tu chodziło? I nagle zrozumiał. Chcąc nie chcąc, na dworskich podchodach niestety się znał. Wdepnął w intrygę, w którą wplątany został nieszczęsny Szaratanga, najwyraźniej otoczony skrytobójcami. A teraz on, Tennok Nie Całkiem Odważny, stał się częścią tego pięknego szaleństwa.

Kątem oka spostrzegł, że klęczący jeniec wykonuje karkołomny ruch mieczem, kierując mniejsze, ukryte w rękojeści ostrze w stronę własnego gardła. Księżę z roztargnieniem wytrącił mu broń z rąk. Tego jeńca nie wydrze mu śmierć. Tennok odnalazł w sobie żądzę sławy, silniejszą nawet niż strach.

Kiedy ocucił Harana, ten jęknął i zwymiotował na ścianę. Gdy skończył, otarł usta i jęczał dalej, masując głowę. Musiał mieć wstrząs mózgu, czy tego, co tam hodował między uszami.

Księżę z satysfakcją stwierdził, że jego *urs* wygląda fatalnie,

na pewno gorzej niż on sam. Cóż, przynajmniej raz. Opatrzył mu rozbity łeb, na szczęście rana nie była groźna. Na razie zostawił Harana, żeby doszedł do siebie, i zajął się swoim jeńcem.

Następne chwile były dla Tennoka jak sen. Starannie skrępował Szaratangę i złapał się za swój kosmyk gówniarza, który wciąż powiewał mu koło karku. Niedługo cię tu nie będzie. Niedługo wszystko się zmieni. Już widział iskrzące się oczy Citlali, wpatrujące się w niego z zachwytem.

Potem pociągnął za sobą spętanego Termita. Chciał zbadać ich centrum dowodzenia. Gdy Haran doczłapał tam za nimi, Tennok stał nad niskim stolikiem z mapami. Wyglądał, jakby znalazł tam zatopione wszystkie kosztowności starożytnych Azteków.

- Co to jest? - zapytał jeńca, wskazując pochodnię na planszę z rozstawionymi pionkami, która jakimś cudem przetrwała kataklizm i czekała, jakby zapraszając do podjęcia przerwanej rozgrywki. Makieta zamku ozdobiona była flagą ze szkarłatnym krzyżem i miniaturową koroną. Otaczało ją kilka oddziałów Termitów.

Oficer wzruszył ramionami.

- To... to taka gra, chłopcze - zadudnił spod pociętego hełmu. Próbował go zdjąć, lecz musiał dać za wygraną.

Nie przejmuj się, sukinsynie. Będziemy cię karmić glizdami, akurat przepelzną przez tę szczelinę na oczy.

Tennok przyjrzał się rozkładowi kolorów i pól, rozejrzał i policzył wyloty tuneli, rozchodzące się promieniście z komnaty.

- Kłamiesz. Myślę, że to wasze plany bitewne.

Rozdział 35

Sztab Quinatza mieścił się w jednym z niedawno zdobytych zameczków blokujących drogę przez Labirynt. W miarę jak ofensywa nabierała tempa, zagarniając tlaszkalańskie osady na pograniczu, tragarze znosili do namiotu władcy kobierce i kosztowności, ptasie pióra i bele bawełny oraz liczne, kurewsko zawadzające mebelki. Quinatza irytował się i kłął, a dwór robił swoje. Rozrastająca się w tempie pleśni kamaryła karierowiczów, lizusów i gnid była uzależniona od blichtru jak bogowie od ludzkiej krwi. Każdy z tych trutniów zjadał kukurydzę, którą mogli jeść jego żołnierze.

Zdegustowany monarcha odwrócił się plecami od tego mrowia i wyglądał przez okno wieży przez zdobyczną lunetę. Płatanina wąwozów, przepaści i górskich dolin okazała się najtrudniejszym terenem, na jakim przyszło mu toczyć kampanię. Nie było tu linii frontu, tylko dziesiątki nagłych utarczek. Co dziwne, siły Szaratangi okazały się gorzej wyszkolone i wyekwipowane niż pułki, które Lew wystawił w Dolinie Czarnego Psa. Mimo to zdołały odeprzeć połączony atak zjadamy i Kruzów. Dwa dni później Szaratanga opuścił Kołyskę, ale partyzanckie, szarpane ataki zbieraniny miejscowych rolników wciąż spowalniały zmasowaną ofensywę Przymierza. Co gorsza, wojska Kruzów coraz bardziej się rozpraszały.

Oficerowie, których Quinatza wysłał w głąb Labiryntu po wiadomości z linii walk, nadal nie wracali. Co gorsza, realizacja ustalonego z Tizokiem planu połączenia kruzańskich oddziałów, co miało przełamać patową sytuację, opóźniła się. Sprzeczne, chaotyczne meldunki szpiegów miały jedną cechę wspólną. Tizok natrafił na silny opór. *Tlatoani* niechętnie wysłał mu posiłki, co dodatkowo osłabiło królewską armię. Teraz mógł już tylko czekać. Nerwowe wyczekiwanie dłużyło się

Quinatzinowi jak gderanie kobiet.

W południe, gdy słońce zaczęło naprawdę prażyć, królowi zachciało się pić. Ruszył do przytulnego półmroku namiotu, który kazał rozbić na dziedzińcu twierdzy. Komnaty Tlaskalan uznał bowiem za plugawe, obskurne i nędzne. Zdumiał się, widząc swojego gwardzistę leżącego bezwładnie na ziemi.

Jego drugi ochroniarz, Mocohoatl, zrobił krok naprzód, zasłaniając monarchę własnym ciałem. Król krzyknął, wołając Hirikana, ale przypomniał sobie, że dowódca Zabójców Gwiazd znajduje się na misji szpiegowskiej na tyłach wroga. Półmrok skłębił się nagle za jego plecami. Dwie zamazane sylwetki zwarły się w gwałtownej walce. Jedną z nich był Mocohoatl, drugą tajemniczy napastnik, który dorównywał gwardziście posturą.

Królewski ochroniarz nie mógł użyć miecza, potężny *macuahuitl* byłby na niewielkiej powierzchni namiotu zagrożeniem dla jego pana. Zamiast tego zasypał intruza ciosami kolan i łokci, oszołomił i złapał za kark, szukając palcami krtani. Quinatzin, który widział już swoich Zabójców Gwiazd w akcji, skrzywił się w oczekiwaniu na charakterystyczne, ohydne chrupnięcie kręgow. Ale Mocohoatl równie dobrze mógłby ścisnąć kamienną kolumnę. Intruz złapał go lewą ręką za głowę, celując palcami w oczy. Przyboczny ryknął z bólu i opadł na kolana z twarzą czerwoną od krwi.

Gdy do namiotu wpadło czterech kolejnych gwardzistów z mieczami, napastnik stał już przy Quinatzinie, który prawie obeszczal szatę.

- Odstąpcie, bo zrobię waszemu wodzowi krzywdę. Nie jestem wrogiem, walczyłem w Korpusie Jaguarów.

- Która drużyna? Stopień! - zaszczekał łysy gwardzista o twarzy fretki.

Wielkolud puścił króla i z namysłem podrapał się w głowę. Quinatzin spostrzegł teraz, że człowiek ten nie nosi munduru czy zbroi. Ubrany był w zwykłą przepaskę biodrową i płaszcz bez żadnych dystynkcji. Na głowie miał brudny opatrunek.

- Chyba tylko obozowy pacholek. *Urs*. Poszedłem za moim

panem. Przykro mi za waszego kolegę, ale nam obu wpojono paskudne odruchy. Facet próbował mnie zabić - mruknął z barbarzyńskim akcentem Druazzi.

- Czego chcesz? - wycharczał król.

- Jesteś Quinatzin, prawda? Widziałem cię na freskach. Tlaszkalanie zaplanowali pułapkę. Czekali, aż odeślesz część wojsk. Zaraz zaatakują. Wszystkim, co im zostało.

Gwardziści zaczęli mówić jednocześnie, ale barbarzyńca uciszył ich krótkim warknięciem.

- Morda w kubeł, bo boli mnie głowa. Jeszcze was nie odcięli. W obrębie wałów jest przejście ukryte pod pniakiem sosny. Prowadzi do Labiryntu. Chcę, żebyś szybko tam wszedł. Możesz zabrać te swoje piastunki.

Z obozu doleciały ich nagle przeraźliwe okrzyki i wrzaski, szcęk broni i odgłos wyłamywanej bramy. Trębacze dęli na alarm. Intruz uśmiechnął się.

- Chyba że wolisz zaczekać tu na Termity.

*

Tennok popędzał Szaratangę, który kuśtykał z trudem, z rękami zawiązanymi na plecach. Książę też był potwornie zmęczony. Zwłaszcza że taszczył nieporęczną broń Szaratangi, którą postanowił czołobitnie ofiarować królowi.

Zanim się rozdzielili, Haran wyprowadził ich na powierzchnię, ale to był wciąż przeklęty Labirynt. Urs zarzekał się, że blisko stąd są Kruzowie, choć nie mówił, skąd czerpie tę pewność. Czyżby odnajdywał drogę wśród skał jak jakieś podziemne zwierzę? Bitewne plany pojmanego Tlaszkalanina nie zawierały żadnej porządnej mapy. Książę żałował, że odesłał Harana, by ten pomógł królowi. Mógłby teraz ponieść jeńca na swoim grzbiecie. Tennok nie czuł się zbyt pewnie, popychając przed sobą Lwa Labiryntu; miał nieprzyjemne wrażenie, że ten utykający mężczyzna mógłby zabić go samymi nogami. Albo jedną.

- Ej, ty. Nie masz zamiaru uciekać? - zapytał ochryłym głosem.

Jeniec odwrócił się do niego gwałtowne i zaśmiał, gdy Tennok

podskoczył, wystraszony.

- Nie jesteś zwykłym żołnierzem, prawda? - zadudnił tubalnie spod hełmu.

Książę pokręcił głową. Aż tak rzucało się to w oczy?

- Nie, na pewno nie. Jesteś tchórzem, jakich mało, widzę to po oczach. - Oficer zbliżył się nagle i mimo kontuzji przykucnął. Gibkim, niemal niehumanicznym ruchem przeniósł związane na plecach ręce do przodu.

- Powiedz... twój kolega porusza się po Labiryncie równie dobrze?

Tennok zbladł i nabrał przykrego przeświadczenia, że od tej odpowiedzi może zależeć jego życie.

- Lepiej. Porusza się po nich jak nietoperz i kret. W tej chwili ostrzegł już pewnie naszego króla, a potem nasze oddziały dobiorą się wam do tyłka. Cokolwiek planowaliście, nie wyszło. I nawet jak uciekniesz, znajdzie cię.

Jeniec pokiwał głową i zawahał się.

- Obawiam się, że możesz mieć rację. Mimo to spróbuję.

Zrobił szybki krok w jego stronę, a Tennok poczuł zalewającą go czerwoną falę strachu. I wściekłości.

Pierdolę to. Znowu mdlejesz? Nie dasz się załatwić bezbronnemu, związanemu facetowi, warknął jego wewnętrzny głos.

Tennok posłuchał.

*

Quinatzin dreptał za Haranem, rozglądając się z ciekawością po tunelach, które w świetle ich jednej pochodni wylaśniały się z mroku. Trzech gwardzistów osłaniało tyły.

- A więc tak funkcjonuje legendarny Labirynt...

- No. - Jego przewodnik nie był przesadnie rozmowny, ale poruszał się po podziemiach zaskakująco pewnie.

- To dzięki takim przejściom Tłaskalanie wodzą moich żołnierzy za nos. Dobrze zobaczyć to diabelstwo na własne oczy. Zasłużyłeś na nagrodę, żołnierzu.

- Z nagrodami poczekaaj, aż wyjdiesz stąd żywy - rzucił Haran.

Quinatzin uśmiechnął się.

- Zawsze mówisz to, co myślisz, co?

Haran pokręcił głową.

- Nie. Raczej staram się nie myśleć.

Przez chwilę szli w milczeniu. Barbarzyńca nasłuchiwał i węszył, jego zmysły musiały być wyostrzone jak po świętych kaktusach czy grzybach. Nagle zatrzymał się i obnażył zęby.

- Gdzieś blisko grasują zjadacze. Czy to prawda, że walczą po naszej stronie?

- Przynajmniej na razie - mruknął król.

- Te bestie nie dotrzymują umów. Znam je - warknął Haran.

Quinatzin spojrzał na niego uważnie. Było to kłamstwo albo świadectwo obiciu. Ludzie nie znali zjadaczy, tak jak nie znali wilków.

- Żyłem w miejscu, gdzie było ich pełno. Z każdym rokiem więcej. I ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jak kruche jest ich panowanie nad tym posranym światem - wyjaśnił barbarzyńca, spluwając.

Quinatzin zadrżał.

Nie dzielił z nikim swoich wizji zagłady. Nawiedzających jego koszmary obrazów kolejnej zmiany Cyklu - i przyspieszonej zagłady starego świata.

Dla kapłanów były herezją, a dla filozofów i mędrców - zabobonem. Uświadomił sobie, jak bardzo potrzebuje tego dziwnego, nieokrzesanego człowieka. Jego wiedza mogła się okazać bezcenna. Jeśli była tak wielka, jak jego arogancja.

- Ja wiem, czym są zjadacze, i nie lekceważę tej groźby. I to ja ich powstrzymam i zniszczę. Ten dzień nadejdzie. Obiecuję - rzekł król.

Barbarzyńca pokiwał głową.

- To dobrze. Kruzowie i bez tego byli wystarczająco szaleni. Przynajmniej ich król nie jest głupcem - mruknął.

Quinatzin nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

- Dlaczego są twoim zdaniem szaleni?

- Marnują za dużo krwi - mruknął Haran.

- W sensie, że zabijamy w świątyniach za dużo ludzi?

- W sensie, że oddajecie ich bogom, których nikt poza

kapłanami nie widział. My, Druazzi, karmimy przodków kośćmi zwierząt i ciepłym popiołem. Mięso zjadamy sami. A w Dołach... - Barbarzyńca urwał i skrzywił się, jakby nagle rozboleł go ząb.

Po kilku próbach uzyskania odpowiedzi Quinatzin dał za wygraną. Rozglądał się z ciekawością po zasnutym pajęczynami przejściu.

- Nie wygląda, żeby chadzało tędy wielu ludzi. Za długo by to trwało. Celem tego miejsca jest łączność. Choć są tu komnaty - schrony, w których mogłyby się ukrywać całe pułki.

- Na pewno dzięki tym wszystkim przejściom mogą załatwić każdą armię - mruknął Haran.

- A teraz załatwili mnie...

- Robią tak od setek lat - parsknął Haran i skrzywił.

- Żaden kruzański król nie odniósł walnego zwycięstwa w Labiryncie. Żaden.

- Któryś musi - warknął Quinatzin, odsłaniając zęby.

W oddali zamigotało światelko. Quinatzin wyminął Harana i pierwszy wy dostał się na ciepły, wieczorny blask. Powietrze pachniało paskudną, żołnierską fasolą i przypaloną *tortillą*. Gdzieś blisko nawoływali się wartownicy Przymierza.

Quinatzin miał ochotę krzyknąć i śpiewać z radości, czuł się jak nowo narodzony. Barbarzyńca spoglądał na niego posepnie.

- Wynagrodzę ci to, żołnierzu. Obiecuję - powiedział po chwili *tlatoani*. - Po pierwsze, wstępujesz do mnie na służbę. Poruszasz się po tym podziemnym kurewstwie jak jakiś cholerny nietoperz. Przydasz mi się.

Haran uśmiechnął się lekko i skłonił przed królem głowę.

- Moje życie należy do kogoś innego. To dług - powiedział i pobiegł w kierunku obozu.

Quinatzin chciał wydać rozkaz gwardzistom, ale zmienił zdanie. Dzikie stworzenia tak mają, oswajać je trzeba stopniowo.

I tak go znajdzie.

Rozdział 36

Quinatzin powracał zwycięski. Na ulicach stolicy Kruzów zapanowała szaleńcza, karnawałowa wręcz radość. Notowania *tlatoaniego* szybowwały. Ludzie czuli, że w przeciwieństwie do toczących się gdzieś na odległych rubieżach starć, to była naprawdę i c h wojna, toczna przez poborowe wojsko. Lubili młodego króla, który grał na nosie możliwym, dbał o dostawy żywności i ograniczał przywileje tak zwanych „starych Kruzów”. W mieście, do którego w poszukiwaniu pracy ściągali przedstawiciele wszystkich plemion Przymierza, taka polityka gwarantowała popularność. Przeciwnicy, których nie brakowało wśród kapłanów i starej arystokracji, głosili jednak, że Quinatzin to papierowy jaguar, który nigdy nie sprawdził się w boju. Że bogowie utrą mu nosa w pierwszej poważnej kampanii.

Ulica śledziła więc losy jego tlaszkalańskiej ekspedycji z wielką uwagą.

Teraz nawet w wojsku pojawiły się głosy, że pomysły Quinatzina mają sens. Wystarczyło zerwać z tradycją niewielkich oddziałów i rytualnych potyczek i od razu pojmano wrogiego wodza.

Ile jeszcze można było osiągnąć w ten sposób?

Malkontenci zwracali co prawda uwagę, że Kruzowie znowu zostali odparci, i to na obu frontach, w Labiryncie i na Długich Murach, gdzie Termyty wystawiły dużo silniejszą armię, nie to się jednak liczyło. Quinatzin prowadził wszak pojmanego Szaratangę, najsłynniejszego z tlaszkalańskich wodzów. Coś takiego nie zdarzyło się za ludzkiej pamięci. Ludzie zastanawiali się już, jaką wymyślną kaźń szykują dla niego kapłani.

Citlali także obserwowała paradę. Patrzyła, jak młode kobiety na plecach puszczają i całują bohaterów, a dzieci ciskają w nich

kwiatami, plackami i papierowymi kulami, gromadząc się na zarośniętych dachach domów w takim ścisku, że groziło to zawaleniem.

Młode matki, obarczone niemowlętami w chustach przewieszonych przez plecy, podsuwały je królowi, by uzdrowił je boskim spojrzeniem. Citlali myślała o tym, jak inne są ciche zwycięstwa jej tajemniczej konfraterni, która choć także zajmuje się zabijaniem na wielką skalę, nigdy nie jest z ich powodu fetowana.

Jej własne życie nie miało w sobie teraz nic burzliwego. Zarzuciła treningi, a po złożeniu przez nią krótkiego, pisemnego raportu z „Operacji Myskanto” zdawało się, że Oczy o niej zapomniały. Po swoim pierwszym morderstwie po prostu wróciła do domu.

Wydawało się, że nic się w jej życiu nie zmieniło. No, może poza nieobecnością Myskanto, jego olejków i perfum, jego zalotów i natrętnego uporu. Przez kilka dni korytarze i sale Piramidy Królów, tego świata w świecie, huczały od plotek, a niektórzy dworzanie mieli trudności z ukryciem ulgi, z jaką przyjęli zniknięcie potężnego lichwiarza. Oficer gwardii zadał jej kilka pytań i nie wyglądał na zainteresowanego odpowiedzią. Za to Kysa przeżyła to bardzo; łkała po nocach w poduszkę i wstawiała z zaczerwienionymi oczami królika.

Potem do pałacu przybyła grupa tancerzy z wysp oraz treser przezabawnego niedźwiedzia i matka chyba zapomniała o wszystkim. Za to Mynque pocieszała Citlali długo, z nieudolnie skrywaną radością, że przyjaciółka nie wyprzedziła jej w wyścigu o męża. Dziewczynie to nie przeszkadzało. Zaletą ostatnich wydarzeń było to, że na ich tle zwykłe, nudnawe życie wydało jej się całkiem powabne. No, może gdyby nie pełgające w jej sercu poczucie winy.

Citlali czuła, że zasługuje na karę, w końcu przyczyniła się do śmierci nieszczęsnego kupca. Myskanto był draniem, ale nie zasługiwał na śmierć. Nawet jeżeli to planował, to jeszcze nie zdążył jej skrzywdzić. Potem w sercu dziewczyny znów odezwała się pustka. Jej własne, zgłodniałe słońce. Nie byłaś dość dobra, szeptał głos. Gdyby nie tamci dwaj, spieszyłabyś

to koncertowo. A myślisz, że czemu Oczy przestały się do ciebie odzywać?

Niestety, to była prawda. Straszni ludzie, których sama odszukała i którzy okazali jej zainteresowanie, nie odezwali się więcej. Citlali obwiniała się, że oblała jakiś tajemniczy sprawdzian. Szukała sennego starca z przyjęcia, ale bez powodzenia. Chimalpopoka miał jedną niezwykłą cechę - nie było w nim nic niezwykłego. Wyglądał jak sobowtór każdego starego, zakurzonego i porzuconego dworaka, reliktu po zapomnianych koteriach, układach i frakcjach. Pałac roił się od takich ludzi, bo Quinatzin miał dobre serce.

Odbyło się Święto Słupa i młodzi Kruzowie, nowicjusze z niezliczonych świątyń, czeladnicy i uczniowie szkół wojowników, prześcigali się, wspinając się na otłuszczone pale. Potem powrócił król.

*

Nazajutrz po tryumfalnym przemarszu zwycięskich wojsk na szczycie Czerwonej Piramidy odbyło się uroczyste wręczanie nagród dla najdzielniejszych uczestników kampanii.

Citlali słyszała, że Quinatzin celowo wybrał akurat to miejsce, matecznik swojego rywala. Chciał pokazać się ludowi jako ktoś, komu Szurukan zmuszony jest oddać hołd. Wyprawa przeciwko Tlaszkali miała bowiem rangę Kwietnej Wojny, stoczonej w imię kruzańskich bogów, a szczególnie ich plemiennego bóstwa, Głodnego Słońca.

Gtlali zdziwiła się, gdy rozkaz Oczu nakazał jej się stawić na ceremonii. Otrzymała stosowną przepustkę z rzeźbionej płytki nefrytu i wraz z tłumem wystrojonych dostojników, ponętnych kobiet i dworzan wspięła się na szczyt piramidy po głównych, zewnętrznych schodach, zwykle zarezerwowanych dla kapłanów i ofiar Głodnego Słońca.

Z zamyślenia wyrwało ją wołanie dawno niewidzianych znajomych. Obok niej dwie młode mężatki, które kojarzyła z pałacu, z demonstracyjną lubością raczyły się czekoladą. Każdy miał widzieć, że stać je na luksusowy napitek szlachty. Ziarna kakaowca często zastępowały u Kruzów pieniądze, człowiek z

naparem w dłoni wyglądał, jakby pił czyste złoto. Dziewczyna przelknęła ślinę. Jedna z młodych kobiet, która - jak przypomniła sobie - wyszła za bogatego ptasznika, zachichotała, zasłaniając usta. Na pewno słyszała o odwołanym weselu. Citali dumnie uniosła podbródek i popatrzyła jej w oczy.

- Witaj, Palinatzin. Wiesz, jak mówi na coś takiego ulica?

- Niby skąd? W przeciwieństwie do ciebie nie mam znajomych wśród uliczników - odparła Palinatzin, sącząc brunatny napój.

- Kakałko za kakałko - dokończyła dziewczyna i odeszła, zostawiając kobietę czerwoną ze złości.

Citali czuła, że odniosła moralne zwycięstwo. Mimo to zaburzało jej w brzuchu. Była wściekła, że wciąż nie ma własnych pieniędzy, choćby tyle, żeby kupić najtańszy placek od ulicznego sprzedawcy. O czekoladzie nie wspominając.

Żołnierze uformowali dwa szeregi, tworzące szpaler, którym kolejni szczęśliwcy wstępowali po schodkach piramidy do kapłańskiego tronu, teraz zajętego przez promieniejącego Quinatзина. Szurukan, który obsługiwał kadzidła z kopalu i święte oleje, stał nad królem, jakby zamierzał zepchnąć go z tego siedziska. Niestety, protokół nakazywał zasiadać tu zwycięskiemu wodzowi. Temu, Który Karmi i Poi.

Wierzchołek Czerwonej Świątyni był dość duży, by pomieścić całą arystokrację królestwa, pięciuset gwardzistów króla oraz grupę nagrodzonych śmiałków. Znajdował się tam rozległy taras z ołtarzem, a także święty chram, w którym rezydowali najważniejsi kruzańscy bogowie. Ilu diabłów mieści się na paznokciu boga, zastanawiała się Citali, spoglądając z dachu świątyni na miasto. Pod sobą widziała tłum, nieprzeliczone mrowisko ludzi.

Oblepiali stopnie Czerwonej Piramidy, jakby kapłani oblewali je miodem, nie krwią. I pomyśleć, że całe Tollan zazdrości mi, że tu jestem, i nie wie, że jestem nikim, pomyślała, wystawiając twarz na orzeźwiający powiewy, które tutaj, na ogromnej wysokości, były znacznie przyjemniejsze niż na zatłoczonych ulicach. Ale dzisiaj nie czuło się wiatru, a wnętrzości

przeszywał jej głód.

I właśnie taką, zbolałą i zamyśloną, wysubtelnioną przez jakieś tajemnicze uczucie, zobaczył Haran, wstępujący na piramidę wraz z innymi weteranami kampanii mającymi odebrać odznaczenia.

Spostrzegła, że barbarzyńca przystaje, odwraca głowę w jej stronę. Ich spojrzenia spotkały się, krzesząc iskry pożądania i złudzeń. Musiała przyznać, że młody wojownik wygląda wspaniale w cętkowanym, jaguarskim mundurze. Dumny, ozdobny stelaż wznosił się za jego plecami niczym zwycięska chorągiew. Już nie wygląda jak *urs*, zaszeptał w niej ochrypy głos. Czar przysł, gdy barbarzyńca potknął się, a Citlali parsknęła śmiechem.

Popatrzył na nią ze złością, a dziewczyna poczuła przyjemne mrowienie w brzuchu. Do diabła z tym, pomyślała. Nie będzie dziś spać w swoim łóżku. A już na pewno nie sama.

*

Tlatoani, ogromny w pierzastej koronie, z majestatycznym imperialnym sztandarem za plecami, zasiadał na przenośnym wiklinowym tronie, zdobionym w bezcenne piór kwezala. Wolałby zasiąść na starym, kapłańskim tronie Szurukana, rzeźbionym ze świętego drzewa *fir*, ale tego mebla dziwnym trafem nie udało się dzisiaj odnaleźć. Musiał więc zadowolić się siedziskiem w kształcie rozwartej paszczy skrzydlatego węża. Wyglądało to niestety tak, jakby bestia usiłowała go połknąć, niemniej był to najlepszy z tronów, jakie dopuszczał na taką okazję protokół.

Szurukan powinien był usiąść niżej i asystować w ceremonii. Powinien, lecz uparty klecha wolał stanąć przy rzeźbionym, kamiennym ołtarzu, na którym jeńców pozbawiano serc. Otaczała go czereda kapłanów, z kadzielnicami, bębenkami i ostrymi kolcami z agawy. Czerwony Kapłan zdążył już złożyć ofiarę z jednego z tlaszkalańskich jeńców. Zainicjował też uroczyste nakłuwanie w podzięce dla bóstw i towarzyszący przybyłym tu dostojnikom *ursowie* mieli pełne ręce roboty.

Humor króla poprawił się, gdy ujrzał czekających na

odznaczenia wojowników. Nie brakło wśród nich Jaguarów, w cętkowanych przyłbicach z łbów patronujących im kotów, z pierzastymi pióropuszcami i barwnymi, odświętnymi tarczami. Sprawili się lepiej, niż oczekiwał, jeszcze zrobi z nich swoje niezawodne narzędzia. Ale teraz trzeba naoliwić je honorami i dumą. Kogo tu mamy... aha, wpływowa rodzina z prowincji, klan tego słynnego szermierza... jak mu tam... władca kraju związkowego Przymierza. Miasto Yugal, Kraj Zapotecki. Jego kopalnie kopalny.

- Tennok, syn Maczuraia. Godnie krocysz chrobrymi ścieżkami swojego rodzica - zagrzmiał król. - Dla ciebie mam coś wyjątkowego!

Młody człowiek powoli podszedł do tronu. Uniform ze skóry jaguara wisiał na nim w cokolwiek zabawny sposób. Popatrzył na Quinatzina niepewnie, ale *tlatoni* uznał, że to nie zakłopotanie, lecz skromność. Dobrze. W jego armii nie ma bufonów... tych ludzi nie zepsuły jeszcze niezасłużone sukcesy.

- Weźmiesz udział w corocznej Ofierze Kamienia. Twój jeniec, Lew Labiryntu, złoży życie ku czci Szipe Toteka. Ufamy, że stoczy nie lada walkę! A ty, młody bohaterze, godnie staniesz pośród śmiałków Kroczących w Skórze! - obwieścił *tlatoni* donośnie.

Wśród oblepiającego piramidę tłumu rozległy się szalone wiwaty. Większość obstawiała, że z racji wysokiej rangi Szaratanga zginie z sercem wyrwanym z piersi podczas składania masowych ofiar ku czci Głodnego Słońca, które w ten sposób uświetni. Taki kres przeważnie spotykał schwytych wodzów i królów. Z pewnością byłby znakomitym podarkiem dla Słońca. Jednak każdy mieszkaniec Tollan uwielbiał Ofiarę Kamienia.

Szipe Totek, nasz Pan Obdarty ze Skóry, był bogiem wiosennych zbiorów i wspierających je wojen. Jednak jako patron Wojen Kwietnych uchodził za aspekt Tezcatlipoki i to ku jego czci celebrowano Ofiarę Kamienia.

Kruzowie nie mieli w repertuarze potworniejszego i bardziej widowiskowego spektaklu, choć poprzeczka zawieszona została wysoko. Ale nic, ani Dzień Dziecięcego Ciasta, którego tak się

lękali krużańscy rodzice, ani Spalenie Młodej Kukurydzy, ani nawet Agonia Tezcatlipoki nie dorównywały epickiemu okrucieństwu Kamienia. Było to połączenie rytuału i widowiskowych zawodów, podczas których czempioni Kruzów zmagali się z najdzielniejszymi spośród pojmanyh jeńców.

Po zwycięskich pojedynkach Kruzowie - bo zawsze zwyciężali, z pomocą bożej łaski i dobrze dobranych reguł - poświęcali wrogów aspektowi Tezcatlipoki. Odzierali ich żywcem ze skóry, którą potem wkładali na własne ciała, w tajemniczym misterium zjednoczenia łowcy i jego zwierzyny. Przywdziewali je ci, którzy dostarczyli jeńców. Ofiara i jej kat, człowiek i spragniony bóg, wszystko stawało się krwawą jednością.

Tennok milczał. Pokłonił się królowi z wdziękiem pijaka i cofnął na miękkich nogach, stając wśród innych gości. Podczas marszu z Tlaszkali do Tollan miał dość czasu, żeby marzyć o czekającej go chwale. Ale Ofiara Kamienia? W rytuale brali przecież udział tylko najdzielniejsi z dzielnych, księżę nie nauczył się jeszcze myśleć o sobie w ten sposób.

Teraz przeklinał swą ignorancję, tępotę godną ćwoka z zapadłej dziury. W prowincjonalnym Yugal nie obchodzono Ofiary Kamienia, Maczurai odbył swoje krwawe tryumfy w stolicy. Tennok nie przewidział tego, co dla ludzi z Tollan musiało być całkiem prawdopodobne.

Wyobraził sobie siebie na wielkim stadionie, pod tysiącami spojrzeń. Kapłani pasami zdzierają skrwawioną skórę którą on, Tennok. z godnością i hartem przywdziewa. I wcale, ale to wcale nie mdleje, zhańbiony na oczach świata.

Bogowie, tylko nie to.

Przerażenie sprawiło, że teraz stał się dziwnie bezmyślny. Tępo przesuwiał wzrokiem po rozradowanych obliczach, sztandarach, trofeach i podgolonych czuprynach wojowników. Nigdy nie będzie jednym z nich, jakim cudom w ogóle się tu znalazł? Nagle natrafił oczami na Harana, gotującego nad tłumem jak zapomniana kolumna.

Choć po policzku spływała mu krew po bolesnym rytualnym nakłuciu, przy którym przed chwilą zastąpił Tennoka, twarz ogromnego *ursa* wyrażała tyle przejęcia i zainteresowania

ceremonią, co pysk wilka obserwującego dorodne poletko warzyw. Wskażcie mi wrogów, to ich zabiję, ale nie zmuszajcie mnie, bym słuchał tych waszych bzdur. Był idealnym wojownikiem, tępym i pozbawionym wyobraźni... nie, to było krzywdzące. Barbarzyńca na pewno miał wyobraźnię, ale jego urojenia, koszmary i obsesje tylko podsycaly wrodzoną żądze krwi. Krwawy obłęd zdecydowanie mu służył. Powinieneś być mną, pomyślał nagle książę. Gdybyś urodził się mną, Maczurai nosiłby cię na rękach i wszyscy byliby szczęśliwi.

- Powiedz im, że to twoja zdobycz - warknął Tennok, przysuwając się bliżej.

Barbarzyńca uniósł brew.

- Wiem, że właśnie tak myślisz. To ty go załatwiłeś! Powiedz to! - warknął Tennok.

Haran niechętnie potrząsnął grzywą.

- Nie lubię tłumów. Poza tym już na to za późno - mruknął.

Tennok skrzywił się wściekle.

Czekał na dobry moment. Jakiś sędziwy oficer zapomniał języka w gębie i stał przed królem z uśmiechem krety. Tennok zaczerpnął powietrza i zrobił coś, czego nie przewidywał dworski protokół. Powoli pokonał dziesięć strzał, dzielących go od królewskiego podium, modląc się, żeby żaden gorliwy Zabójca Gwiazd nie uznał go za zamachowca idiotę. A potem przezornie padł na kolana, kładąc rozpalone czoło na czerwonym kamieniu wyślizganym od śladów stóp. Quinatzin popatrzył na niego zdziwiony.

Boskie czoło przecięła zmarszczka irytacji i Tennok wiedział już, że musi działać szybko, w przeciwnym razie jego szczęśliwa gwiazda zgaśnie, zanim wzejdzie. Poczekał na niechętny gest przyzwolenia i ostrożnie podźwignął się z ziemi.

- Synu Słońca, muszę ci coś wyznać. Nie odniosłem sam tego zwycięstwa. Ktoś inny bardziej zasługuje na twoją nagrodę. General Szaratanga nie został pojmany tylko przeze mnie, lecz głównie przez Harana, syna... syna...

- Zapewne syna Pęcherza, ale tego nie mogę być pewnym - wtrącił Haran, budząc zakłopotane uśmieszki. Uciszył wesołków ponurym grymasem i dumnie potrząsnął grzywą.

- Nie jestem szlachcicem. Nie należę do żadnego z waszych wysokich rodów. Imiona moich przodków niczego wam nie powiedzą.

Tlatoani popatrzył na niego z rozbawieniem, pod którym trwała wnikliwa kalkulacja. Quinatzin miał oko do ludzi.

- Dla ciebie przewidziałem inne zaszczyty, mój synu - rzekł Quinatzin ostrożnie.

Barbarzyńcy nie byli mile widziani na najświętszym z kruzańskich obrzędów. Szurukan zaplułby się na coś takiego z wściekłości. Potem *tlatoani* spojrział na rozdygotanego Tennoka. Czy to naprawdę syn Maczuraia Bez Nosa? Chłopaczyna był zielonkawy na twarzy.

- Zataiłeś to przede mną, Haranie? Dlaczego?

- Nie pytałeś - mruknął barbarzyńca.

Królewscy goście szemrali, skonsternowani.

Arystokraci łypali na parweniusza z pogardą, jednocześnie taksując go fachowo wzrokiem. Quinatzin uwielbiał prostaków, łotrzyków i barbarzyńców. Ciskał te ludzkie odpadki w twarz starym kastom, jak wyzwanie do wojny domowej. Jak wysoko ten intruz wdrapie się na kolumnę władzy? Ile jest wart, za ile można go kupić? *Tlatoani* wstał z tronu i zrobił krok w stronę wojownika.

Potem zdjął własny naramiennik i wsunął go na prawe ramię olbrzyma. To znaczy chciał. Ale nie mógł. Arystokraci nie zdążyli jednak nawet zarechotać, bo Haran już wyjął podarunek z palców władcy i rozgiął go swobodnie, jakby to była obręcz z pszczelego wosku. Włożył ją sobie na biceps i z godnością uklęknął przed tronem.

Kruzowie zaszemrali na tę barbarzyńską odzywkę, lecz władca był dziś w łaskawym nastroju. Uśmiechnął się wyrozumiale, po ojcowsku.

- Zwykle przy nagradzaniu żołnierzy muszę zawierzyć moim oficerom i relacjom świadków, twoje czyny widziałem jednak na własne oczy. Gdyby nie twoje poświęcenie, nie skończyłoby się na tych ranach. - Monarcha zrobił efektowną przerwę i zademonstrował zebranym cienką szramę, znaczącą jego dłoń i

przedramię. Malkontenci twierdzili, że rozdrapywał ją co wieczór, by uzyskać imponującą bliznę, ale byli w zdecydowanej mniejszości. - Twoje bohaterstwo musi być nagrodzone. Jest dowodem na to, że odwaga i honor mieszkają w sercach wszystkich moich poddanych. A nie tylko tych, którzy bezpodstawnie uważają się za lepszych. - Quinatzin twardo popatrzył na Tizoka i jego oficerów, którzy przysłuchiwali się im z kwaśnymi minami. - O wartości puklerza decyduje to, jak sprawia się w zetknięciu z orężem wroga, a nie to, jak pięknie się mieni i błyszczy. Niniejszym mianuje cię królewskim gwardzistą, żołnierzem Zabójców Gwiazd. Weźmiesz też udział w tegorocznej Ofierze Kamienia jako zdobywca najcenniejszego skazańca. Czy ktoś zgłasza sprzeciw? - pytanie było oczywiście retoryczne. *Tlatoani* był przekonany, że w dniu tryumfu nikt nie ośmieli się kwestionować jego decyzji.

- Hm, hm, chyba ja zgłaszam... - odezwał się generał Tizok. - Chłopak jest dzielny, bez wątplenia. Ocalił ci życie i za to zawsze będziemy mu wdzięczni. Ale to przecież Druazzi, barbarzyńca!

Przez tłum szlachetnie urodzonych przeszedł szmer. Dekorowanie dzikich odznaczeniami to jedno, każdy władca robi takie rzeczy. Ale wcielanie ich do królewskiej gwardii? Dla tych ludzi, zajadle walczących o dworskie przywileje, było to aktem bluźnierstwa, podważającym ich pozycję. Quinatzin piłował gałąź, na której siedział.

Król milczał. Jego bystre oczy szacowały rosłą postać Harana, który milczał z pogardliwą obojętnością posągu.

- Z jakiegokolwiek pochodzi szczepu, plemiona są częścią imperium! Przymierze przyznało im wolność! Moi najlepsi oficerowie pochodzą z dzikich krajów i są dzielnymi, honorowymi ludźmi - rzucił zimno. - Każdy wolny człowiek może służyć Przymierzu!

- Ale ja jestem *ursem*, *aszkatli*. Niewolnikiem. Nie chciałbym wprowadzać cię w błąd - wtrącił Haran.

Zebrani zdumieli się. Ludzie, szczególnie bogaci i wpływowi, otaczali się groźnymi *ursami*, zwiększając w ten sposób swój

prestiz i rangę zastępczych ofiar. Ale takiego *ursa* nikt jeszcze w stolicy nie widział. Nawet Quinatzin zamilkł i tylko patrzył na niego badawczo. Wreszcie chrząknął i wbił wzrok w odległy horyzont.

- To dobrze. W moim państwie nie będzie dawnych podziałów. Musimy iść dalej, zmieniać się i rozwijać, bo świat znowu zostawi nas w tyle, a koczownicy, Termity albo inka-skie mrowisko zaleją nas jak morze. Ale jest jeszcze coś - głos Quinatzina stwardniał. - *Ursowie* nie mogą służyć w armii. Wiem o tym dobrze, gdyż sam uchwaliłem to prawo. Armia uzbrojonych niewolników jest dla kraju większym zagrożeniem niż zewnętrzny wróg. I doprawdy nie wiem, kto pozwolił mu wziąć udział w tej kampanii. - Władca spojrzał surowo na oficerów Jaguarów.

Yzatlin nerwowo potarł sterczący czub, znów porządnie wyszczotkowany, i jękając się ze zdenerwowania, wypalił:

- To moja wina, najjaśniejszy panie. Ale chłopak walczy jak demon *tzitimitl* na sam koniec Cyklu. Wybacz, królu, ale ten chłopak jest tak dzielny, że nigdy nie powinien zostać *ursem*.

Oblicze Quinatzina odzyskało swą dawną łaskawość.

- Nawet bogowie nie są nieomylni, a co dopiero prawa ustanawiane przez ludzi. Podejdz tu, żołnierzu.

Haran powstał, zbliżył się i spojrzał na króla hardo. Czy zdecydował się go ukarać?

Postanowił, że za nic w świecie nie da się odesłać do Dołów.

- Niniejszym przestajesz być *ursem*. Odszkodowanie zostanie wypłacone poprzedniemu właścicielowi z królewskiego skarbu. Jesteś teraz żołnierzem mojej Gwardii. Ale zanim wrócisz do służby, chcę, żebyś zabawił się za wszystkie czasy. Wiem, co przeszedłeś, żołnierzu.

Zebrani zaczęli wiwatować. Quinatzin uznał, że to najlepszy moment i łaskawie dał znak, że oficjalna część uroczystości dobiegła końca.

Heroldowie zadęli w ogromne trąby z muszli i odznaczeni wojownicy, stojący jak kamienne posągi, ruszyli, żeby przywitać się z rodzinami. Młodzikowie, którzy biegli do smukłych i wystrojonych narzeczonych, wydawali się bardziej

ochoczy i dziarscy niż weterani, spieszący do grubych, wiecznie zatroskanych żon i żarłocznych dzieci. Ale nawet ci ostatni oddali się nieklamanej radości.

Król uśmiechnął się melancholijnie. Radość prostaczków miała w sobie szczerłość, którą jego wystawny dwór tylko nieudolnie małpował.

Właśnie o to walczę, o ich małe szczęście.

Pocieszył się myślą, że choć jego ostatnio pozyskana nałożnica, delikatna Muleu, nie jest w nim szczerze zakochana, nadrabia to pomysłowością i wdziękiem. Poprzedzany przez torujących mu drogę gwardzistów, ruszył odwiedzić swój harem.

Ścisk na dachu świątyni jeszcze zgęstniał, gdyż wielu mieszkańców Tollan chciało obejrzeć Harana z bliska. Nawet sławny mistrz miecza, Szary Czapla, uprzejmie mu gratulował. Nie zabrakło też Jaguarów, takich jak szczyjący się nowiutkimi bliznami Yzatlin.

Oszołomiony wiwatami Druazzi przyjmował hołdy z miną zakłopotanego dzieciaka, któremu ktoś wręcza skomplikowane zabawki. Mamrotał i odkłamał się niezdarne, jakby sam nie wiedział, czy czuje radość. Przypomniawszy sobie, jak w dzieciństwie przyglądał się wojskowym kolumnom Kruzów, maszerującym opłotkami jego wioski lub brodem przez rzekę Mys. Marzył, że kiedyś stanie się jednym z nich, dumnym zdobywcą świata. Ale to było przed Dołami. Czy to jego marzenia wyblakły, czy ciemność zepsuła mu wzrok? Od czasu wyjścia z podziemi wciąż miał wrażenie, że świat pozbył się części kolorów, zubożał i zszarzał na kość.

Tennok podszedł do niego ostatni. Ucisnął mu dłoń ręką wilgotną jak żaby, które Haran łowił za młodu nad rzeką. Mimo panującego na szczycie miłego chłodu, księżę wyraźnie się spocił.

- Gratuluję - wycedził przez zęby.

- A mówiłeś, że twoi *ursowie* nie żyją długo. Teraz sam musisz na siebie uważać - rzucił Haran, na co Tennok wyraźnie się skrzywił.

Druazzi uniósł go i mocno ścisnął mu żebra w uścisku. Nie

żywił wstrętu do płazów.

Gdy barbarzyńca już schodził po schodach świątynnej piramidy, spostrzegł wpatrzoną w niego Citlali. Na jej widok drgnął jak człowiek zbudzony ze snu. Czy to możliwe, że czekała właśnie na niego? Zaczął przepychać się do niej gwałtownie. W końcu spotkali się w tłumie.

Jej oczy błyszczały, oddychała szybciej niż zwykle. Spojrzała na niego wyzywająco i próbowała się odsunąć, ale fale tłumy spychały ich na siebie.

- Jeżeli wciąż potrzebujesz kogoś, kto by pokazał ci miasto...
- Zgłaszasz się na ochotnika? - Haran obserwował jej usta.
- Może warto mnie o to poprosić - odparła.

Druazzi się zaczerwienił. Była to zadziwiająca reakcja, w tym świecie zastrzeżona dla Białoskórych. Prawdziwi

Ludzie czystej krwi nie rumienili się tak. Citlali już otwierała usta, ale na widok jego zmieszania urwała. Twarz dziewczyny złagodniała, musnęła wargami jego policzek.

- Proszę.

*

Spędzili wieczór, włócząc się po świątecznych, rozradowanych ulicach i karmiąc się ciepłem i światłem jak dwie głodne, oszronione ćmy. Czuli, że coś ich łączy, coś na poziomie oddechu i rytmu, skojarzeń i instynktownych reakcji. Jakby otaczała ich świetlista bańka, do której nic złego, czy choćby nudnego i zwyczajnego, nie znajdowało dostępu.

Haran był w siódmym niebie, gdy Citlali oznajmiła mu, że dzisiaj nie wraca do pałacu. Powiedziała, że akurat tej nocy, podczas obchodów zwycięstwa, gdy nawet dziewczyny z porządnych domów mogły flirtować z młodymi wojownikami, a prostytutki świątynne ofiarnie podsycaly w nich ogień świętej wiary, nikt nie zauważył jej nieobecności.

Za resztki żołądu wynajął im pokój w taniej, ale dość porządnej gospodzie. Gdy oboje pijani wspinali się na górę po ciemnych schodach, dziewczyna przywarła do niego blisko. Odpowiedział jej mocnym, niewprawnym pocałunkiem. Wtoczyli się do izby, oświetlonej glinianą lampką na olej ze słonecznych kwiatów.

Prawie pozbawiona mebli, z matą do spania obszytą króliczą skórką, z wielkim dzbanem i stertą kolorowych poduszek, wydała im się tak piękna, jak ogrody króla.

Citlali rozpuściła włosy, spoglądając na wielkiego Druazzi wymownie. Ale on nie zbliżył się, został w miejscu. Wiedzona kobiecym instynktem wyczuła, że coś jest nie tak. Beztrouski, pijacki spokój Harana zmienił się w udręczone, trwożliwe napięcie. Citlali natychmiast otrzeźwiała. Sama była zdenerwowana, to naturalne, ale to z nim było coś ewidentnie nie tak. Nagle wydał jej się jakby pomniejszony i spięty. A przy tym dziki, zapomniała już, że to barbarzyńca. Udręczone, skatowane półzwierzę z jakiejś odległej prowincji. Jak wiele niósł w sobie bólu?

Przypomniała sobie szare twarze niektórych żołnierzy, w których sercach wciąż szczykały twarde echa wojny. A także opowieści o pechowych dziewczynach, które znajdowano pobite, pocięte i uduszone w izdebkach tych strzaskanych kalek. Nagle zapragnęła uciec, tknięta złowieszczym przeczuciem. I zawstydzila się. Skoro mogła usidlać cele wybrane przez Tysiąc Oczu, to czy mogła się teraz wycofać? Uciec przed jednym biedakiem?

Patrzyła, jak niedoszły kochanek dopija *palque*, i nagle w jej sercu zakiełkowało podejrzenie, że wielki Druazzi udaje.

Mam myśleć, że upił się w sztok.

Citlali była urażona, ale starała się ukryć uczucie zawodu. W takich sytuacjach litość jest gorsza niż drwina i żadne słowa nie brzmiały w uszach mężczyzny życzliwie. Citlali miała dość rozsądku, żeby milczeć.

Zasnęła, wsłuchana w ciężki, urwany oddech Harana. A w nocy zbudził ją jego chrapliwy krzyk, który szybko zamienił się w skowyt.

Zbliżyła się do dygoczącego mężczyzny, przywarła do jego napiętych pleców. Wzdrygnął się i nastroszył jak nieufne zwierzę, takie, które wciąż nosi blizny po strzałach i wnykach. Zacisnął palce na jej ramieniu i wykręcił je boleśnie. Citlali krzyknęła, ale to jej zapach, tak odmienny od smrodów podziemnego świata, zatrzymał jego odruchy. Wpatrywał się w

nią nieprzytomnie, wężąc i rozszerzając nozdrza, usiłując zorientować się w sytuacji. Przeszłość przekrzykiwała się ze snami, jawa mocowała z koszmarem. Sen nie chciał go puścić, nadal przenikał go cień. Majak miał w sobie zabójczą, elektryzującą realność, przesywał jego duszę jak piorun.

Kiedy Haran rozbudził się wreszcie, od razu ogarnął go wstyd. Spostrzegł, że cały dygocze i zmusił się, żeby uspokoić ciało i wyrównać oddech. Odetchnął, potarł oczy i napił się wina. Potem obrócił się do Citlali, która cofnęła się, bardziej zraniona niż zła. Haran westchnął z rezygnacją, do której zdążył się przyzwyczaić.

Prawda była żałośnie banalna. Pobyt w Dołach nie przygotował go na kobietę, nie przygotował też żadnej kobiety na niego. Pod ziemią wszystko było inne, jak w cudzoziemskiej krainie. Niekonieczne zamieszkaney przez ludzi. Ciało było czymś, co się brało lub jadło, a nie czymś, co ktoś chciałby oswajać i pieścić. Nie istniała taka potrzeba. Gesty nosły odmienne znaczenie i najczęściej zapowiadały śmierć. W jego świecie niezbywalnym, najbardziej szanowanym prawem człowieka był dystans. Tak trudny do utrzymania w stłoczonej, przesyconej przemocą ciemności. Przyjaciele zapewniali sobie przestrzeń, wrogowie ją odbierali. Człowieka dotykał tylko ten, kto chciał go zamordować lub zgwałcić.

Wino palmowe i *pulque*, które wlał w siebie tej nocy, wcale nie pomagało. Miał wrażenie, że znowu tam jest. W miejscu, gdzie stropy zwieszają się stanowczo za nisko, a twarz innego człowieka, pojawiająca się zbyt blisko twojej, jest ostatnią rzeczą, jaką oglądasz w tym życiu. Szukał słów, żeby jej wytłumaczyć, ale dał za wygraną. Doły nie miały nic wspólnego z jej światem. Dlatego była cudowna, dlatego go nie zrozumie. Schował twarz w dłoniach i kołysał się w ciepłej ciemności.

Tej, która była z nim zawsze.

- Powiesz mi, co się dzieje? - szepnęła, tym razem zachowując ostrożny dystans.

Roześmiał się chrapliwie. Nie wiedział, który język wybrać, warczenia czy jęków, a może monotony kod dudnienia czaszką o skalę? To, że uniknął losu „mięsa” na starcie, już było

wielkim szczęściem. Pełzacz i Moros chronili go przed większością wrogów, ale nawet oni nie mogli osłonić go przed grozą Dołów. Minał miesiąc, gdy znowu zabłądził. Zjadacze starli złożenia, którymi jego klan zaznaczał swoje tunele.

Pamiętał, że zaalarmował go smród, a potem drogę zatarasowały mu jakieś ohydne szmaty, przepierzenie z jedyne go dostępnego w Dołach tworzywa, skóry zaludniających je ludzi. Mokra, zboczona krwią płachta oblepiła mu twarz i chłopiec wzdrygnął się, czując znajomy smak. Jeszcze zanim trafił do Dołów, w dni świąteczne dostawał do wypicia odrobinę słodkawe j ludzkiej krwi, jak nakazywała tradycja, ale jakoś nie mógł się przyzwyczaić. Potem ciemność eksplodowała wrzaskiem.

Przez długie minuty walczył ze stadem ohydnych, dyszących ciemnością stworów. Sporo nowo przybyłych padało ich ofiarą. *Hikku'tai* także bywali żerem, pożerani przez te niebezpieczne istoty, które podobnie jak oni, wtargnęły do świata podczas Kłątwy. W Dołach mówili na nie cieniokrwieści, plugacze i mrówce.

W mrocznych latach Kłątwy, kiedy Planety i Gwiazdy lądowały na przerażonej ziemi z łopotem swych mrocznych skrzydeł, zwiastując zakończenie Cyklu, a pokonano Słońce opuściło nieboskłon, na ziemi pojawiło się wiele stworzeń. Kiedy świat wrócił do normalności, albo też ograniczył dozowanie szaleństwa, Dzieci Kłątwy spełzły z powrotem w mrok, a kopalnie, sztolnie i magiczne blizny, takie jak tlaszkalański Labirynt, Las Maztemotl czy północna pustynia Rig'Vaas, stanowiły ich ostatni azyl.

Cieniokrwieści nie zamierzali go zgwałcić - byli zbyt wygłodzeni. Próbowali rozerwać jego ciało na sztuki, Haran myślał, że już po nim, gdy wymacał kość udową, należącą do jakiegoś dobrze zbudowanego pechowca. Przydały się lekcje Pełcherza. Gdyby zdarzyło się to w pierwszych tygodniach, gdy nie umiał się poruszać w czerni, zginąłby. Teraz przebił się do ściany i przyłgnął do niej, chroniąc plecy. Potem bronił się przed powarkującymi bestiami, tak długo, aż Moros, Pełzacz i Blask trafili na jego ślad.

Jego przyjaciela Pełzacza obawiały się całe Doły. Chudy i obły, z krótkimi kończynami kreta, poruszał się szczelinami, w których ginęli inni, bezszelestny i nieunikniony jak śmierć. Blask Twoich Oczu był najgorszy ze wszystkich i często uzupełniał swój lśniący, wilgotny naszyjnik z oczu, które zabierał wrogom. To on przewodził gromadzie. Moros stanowił jego przeciwieństwo. Wysoki i silny, mówił w *nahuatl* z cudzoziemskim akcentem górala i nienawidził ich kruzańskich panów.

Podczas zamieszek, kiedy zdesperowani więźniowie próbowali zawalić i zalać kopalniane szyby, Moros zabił zabląkanego strażnika i zabrał mu dobry stalowy nóż, zapewne zdobyty na Białoskórych. Uśmiercił nim więcej ludzi niż ktokolwiek w podziemiach. Czasem tygodniami nie musieli polować na ludzi. A potem Moros odszedł i naprawdę zrobiło się paskudnie. Ten czas do dziś kojarzył się Haranowi z potwornym głodem i wstrętną słodyczą ludzkiego mięsa.

- O czym myślisz? - spytała dziewczyna i dotknęła go z delikatnością, od której zamarło w nim serce.

Nie był jej wart. Sunęła ustami po jego barku, podskakując na ranach i bliznach. Miała miły głos. Cała była miła. Tylko dlaczego chciał uciec?

- Gdy mnie dotykasz... wracają różne rzeczy. Nie chcę o tym mówić - mruknął. Bał się, że jeśli zacznie, to już nigdy nie skończy. A gdy skończą się słowa, zastąpi je wyciem i wrzaskiem. - Już dobrze. To tylko koszmar. Musiałem się otrząsnąć. - Roześmiał się, zbyt chrapliwie i desperacko, by mogło ją to uspokoić.

- Niepotrzebnie się tak odgradzasz, Haran. Może jeśli przestaniesz być taki... chroniony... to poczujesz ulgę.

Parsknął świszczącym, żalonym śmiechem, który brzmiał, jakby nie mógł już złapać powietrza. W sumie tak było. Ludzie zawsze brali jego wypalenie za spokój.

Citlali podeszła do okna i rozchyliła tanie koce imitujące kotary. Upewniła się, że księżyc skapał ją mleczno-srebrną pianą, niewiele ustępującą krzykliwym promieniom dnia. I że przeświała ją całą, każdą krągłość, strzelistość i smukłość.

Haran podziwiał jej piersi, pośladki i uda, napięty łuk pleców i bezwstydną skórę. W tym momencie myślał już tylko, jak bardzo jej pragnie. Musiała odczytać to w jego wzroku, bo jej twarz złagodniała. Złapała go za rękę i pociągnęła z powrotem na łóżko, tak żeby leżał na plecach.

- Nic nie mów - szepnęła.

Wyłuskała jego męskość i dosiadła go, zanim spostrzegł, że to już, że to właśnie to.

Rozpuszczone włosy zasłoniły jej twarz, piersi wabiły go niczym dojrzałe owoce. Gdy skończyli, nie dał jej spokoju i nie ufając swoim zniszczonym, oszalałym dłoniom, powoli całował jej skórę.

Wytyczał językiem spiralne szlaki, sunął po niej alfabetem muśnięć. Zaklinał jej drżące ciało niewidzialnymi znakami. Potem, gdy ich umysł opuściły myśli, te dobre, te złe i te dziwne, Haran zapomniał o wszystkich obawach. Ugniatał jej piersi, gwałtownie rozchylił uda i zadarł je w górę, kładąc sobie jej łydki na barkach. Wszedł w nią i uderzyło go doskonale dopasowanie ich ciał. Ta kobieta została ulepiona przez bogów specjalnie dla niego. Citlali zaczęła krzyczeć, a on sprawił, że długo nie milkła.

- Lubię sposób, w jaki to robisz - powiedziała po wszystkim i przeciągnęła się bezwstydnie, splatając ręce za głową. - Ci, których spotkałam wcześniej, traktowali mnie jak kruchy kwiatek. Niektórzy pieścili tak długo, że robiłam się senna... albo głodna. Kobieta woli być owocem niż kwiatem. Czasami trzeba ją zjeść - mruzczała, szarpiąc jego zlepione potem włosy, gdy Haran zanurkował ustami pomiędzy jej uda.

Jego dłonie były zachłanne, jednocześnie uważne i rozkiełznane. Same wybierały drogę, jakby czerpiąc z jakiejś odwiecznej wiedzy. Gdzieś w głębi duszy Harana pojawiło się wrażenie powrotu, szlak pokoleń nanizanych na czas. Aż do pierwszych promiennych duchów, kochających się w chaosie ognistej lawy. A potem i tak przyszedł mrok.

Citlali od razu usnęła. Haran leżał, wsłuchany w jej oddech. W myślach wyjawiał jej wszystko, czego nie mógł i nie umiał powiedzieć.

*

Uważasz, że jestem dziwny? Rzeczywiście, często mają mnie za odmieńca. Wiesz, kiedy ostatni raz widziałem nagą kobietę? To było w Lasach Kościanej Pieśni. Wiesz, co za miejsce, Citali?

Lasy są częścią Dołów. Sprawiają, że reszta to plaża. Są także metodą hodowli, w ten sposób zjadacze przetrzymują ludzi. W bezruchu i zarazem przy życiu, przywiązanych do skalnych kolców, stalaktytów i stalagmitów. Chodzi o zachowanie świeżości.

Widziałem tam smukłe dziewczęta z włosami rozpuszczonymi jak wierzby. Krzepkie kobiety zahartowane od pracy. Staruszki jak konające purchawki. Dzieci liczne jak krwawe borówki. Wybacz mi styl sformułowań, ale to przecież Lasy. Ludzkie, czerwone, czarowne. Niewielu znajdziesz tam mężczyzn. Trudniej ich schwytać, zjadacze wolą kobiety. Ich zdaniem są dużo smaczniejsze.

Unieruchomiony, uziemiony człowiek naprawdę przypomina drzewo. Przeważnie wystarczy odciąć mu stopy w kostkach, ale do tego potrzeba mieć opał. Nie opalisz kikutów, to wykrwawi z siebie życie.

Śmierć to fuszerka, marnotrawstwo. Władcy Lasów wolą hodować żywych. Taki człowiek to świetny kapitał. Można zjeść z niego nawet duże fragmenty, a on wciąż żyje, choć z czasem przestaje być ludzki. To, co zostaje, jest już chyba czymś nowym. Innym. Niekoniecznie lepszym.

Gdy wieje podziemny wiatr, krew spływa płytkami kamieni, a kości palców kołaczą. Starsze partie Lasu nazywa się czasem Grzechotką. Nie znajdziesz tam wiele mięsa, zostały już tylko szkielety. Jest takie miłe słowo, Kościotrup. A przedtem odwrotnie, Mięsożyw.

Podziemia są większe, niż wiecie, większe, niż się boicie. Nasze Doły to tylko przedsionek. A dzieci wciąż rosną, Citali, rosną i muszą jeść. Dzieci zawsze są głodne, zwłaszcza one. Te, które nas zastąpią.

Spotkałem ludzi, którzy twierdzą, że znają zjadaczy. Ale to

tylko zalążki. Myślą, że poznali jaguara, bo spotkali małego kociaka.

Czarne Łono wciąż rodzi, testuje nowe modele. Wystawia Prawdziwym Ludziom rachunek za śmierć Białoskórych. Ceną pokonania najeźdźców była Klątwa, odroczone na stulecia zagłada, nawet jeśli Ludzie myślą, że odnieśliśmy wielkie zwycięstwo. Nie wiedzą, jak strasznie się mylą.

Zagłady nie można odwołać, odwieczne cykle Słońca muszą wybrzmieć i wypalić się na popiół. Że bogowie na koniec każdego Cyklu uchylają złowrogie wrota, przez które przechodzą demony, by oczyścić i pogrzebać świat. Planety i Gwiazdy, tzitzimitl, czerwie toczące trupa. Z rozwianymi włosami i głodnymi wężami wypelzającymi spomiędzy okrwawionych ud.

Przybędą tu wkrótce, zobaczysz.

Jesteś śpiąca? Powieki ci opadają. Spij, będę czuwał nad twoim oddechem. Lecz strzeż się, dzieci są głodne. Nie mogą już dłużej czekać. Kiedy będą gotowe, popelzną w górę do Słońca i zgaszą je raz na zawsze. Na razie tylko ćwiczą i rosną. Dmuchają w piszczalki z naszych kości, dmą w kobzy z żołądków i bijących serc. Grzechoczą tamburynami zębów, kołatkami szczęk. Posłuchaj, muzyka jest piękna. To pieśń ostatniego człowieka.

Rozdział 37

To nie był dobry dzień na eksperymenty. Taki stary koń jak on powinien już o tym wiedzieć. Za murami szalała wiosenna burza, tak potężna, że nawet tu, w najgłębszym lochu Skarbca, czuło się furię żywiołów. Kamienne mury jęczały i dygotały od wichru, gdzieś blisko, z łoskotem uderzył piorun. Tortille na śniadanie zjechały dziś przypalone, a w powietrzu unosiła się atmosfera rozpacz. Izolowany od świata Kiliretha nie mógł tego wiedzieć, ale w twierdzy panowała tej nocy żaloba, podobnie jak w całej Tlaszkali. Nawet zahartowane Krety opłakiwały pojmanie Szaratangi. Bo i one czuły się teraz bezbronne. Jakby bez Lwa Labiryntu sam Labirynt był już tylko skomplikowaną robotą ziemną. Roztrzaskaną skorupą, z której nagle wylała się dusza.

W dodatku po wczorajszej narkotycznej sesji stary szpieg czuł się naprawdę podle. Jakby zamiast głowy miał jajko, które ktoś zdeptał i zostawił na słońcu. Nie był w stanie nic przelknąć, na widok miski z parującą fasolą, która właśnie zjechała z otworu w suficie, chciało mu się jedynie rzygać.

I wyć. *Braazatal* go wykańczał. Gdy tylko Kruzowie najechali Tlaszkalę w ramach corocznej wyprawy po jeńców, Kiliretha otrzymał kolejną porcję trucizny. Był pewien, że nie było to łatwe, Quinatzin z pewnością chronił swoich bezcennych strzelców, jak mógł. Przełożeni Kilirethy naprawdę się postarali... albo naprawdę lękali się tego gówna. W każdym razie, oficjalnie nakazali mu ćpać je dalej.

No to ćpał. I albo towar kiedyś był świeższy, albo on sam powoli zaczynał się psuć. Czy obsesja zdążyła się już stać nałogiem? Kiliretha wiedział, że dużo ryzykuje. Nawet w kręgach kruzańskich bogaczy *braazatal* był narkotykiem rzadkim i potwornie drogim. Nikt nie wiedział, jak wpływał na długotrwałych użytkowników. No, może poza nieszczęsnymi

górnikami z Dołów, ale oni nigdy nie powracali do świata.

Kiliretha z ochotą rzuciłby okiem na któregoś z nich, przebadał niechybne mutacje i zwyrodnienia. Niestety, na razie jedynym królikiem doświadczalnym w tym wiekopomnym badaniu pozostawał on sam. Szczur, któremu wmusił niewielką dawkę smaru, zdechł, a na pyszczku miał wypisany wyraz prawdziwej grozy. Jakby przed śmiercią bezskutecznie modlił się do swoich szczurzych bogów, władców ziarna, słoniny i sera.

Mimo to Kret czuł, że nie ma wyboru. Musiał się dowiedzieć, czy Oretl poświęcił życie na darmo. W głowie wciąż dźwięczały mu słowa: „Wrócą. Oni wrócą i zmienią ten świat”.

Nigdy nie był religijny, a przecież tak bardzo chciał wierzyć. W słowach z wizji chodziło o Dobroczyńców. Kiliretha desperacko uczeplił się nadziei, że wtedy, wśród śniegów, Rozbitek nie powiedział im całej prawdy albo oni jej nie zrozumieli. Tymczasem przekaz z wizji mówił wyraźnie, że Dobroczyńcy powrócą, a zaszczyty, zgnębiony naród Tlaskali nadal ma przed sobą przyszłość.

Drżącymi rękami usypał ścieżkę trucizny, swoją dróżkę zbawienia i prawdy. Wciągnął ją, jakby wbijał w mózg rozżarzony sztylet. I znów stopił się z ciemnością. Którą przemierzał, płonąc w locie przez czarne kryształy, w istocie będące bramami, a może oczami bogów. Na szczęście nie trwało to długo. Najwyżej trzy ćwiartki wieczności.

Ocuciło go donośne dudnienie. Kiliretha zamrugał, z powiek posypały mu się kawałki żwiru. Gdziekolwiek dotarł, na pewno nie była to Północ. Panował tu upał, na skórze czuł suchy, gorący wiatr. Całe ciało przeszywał mu ból, a co gorsza to wielkie, cuchnące rozkładem cielsko na pewno nie było ciałem człowieka. Czyżby jakiś złośliwy bóg zafundował mu karną reinkarnację? Rodzice zawsze ostrzegali, że alkohol i narkotyki go zgubią, i Kiliretha po raz pierwszy pomyślał, że mogli mieć trochę racji.

Stracił głowę. Literalnie, chyba że to ciężkie, bezkształtne coś, jakby skalne, lecz nadal bolesne, kapiące plugawą wydzieliną, glutami, a może krwią, mógł nadal nazywać swoją głową. Przeczyły temu proporceje i subiektywne odczucia, ale Kiliretha

nie był w nastroju do kłótni. Zamiast włosów miał kępy krzewów i biegł po rozległej, czerwonej od Drogocennej Wody równinie, cwałując ciężko niczym ożywiona góra.

Którą był.

Przed sobą miał miasto obronne, wybudowane na jeziorze przetykanym białymi groblami. Obrońcy powiewali flagami sygnałowymi. Nie były to proporce Kruzów, Tikalczyków ani Tlaskali. Nie należały do żadnego ze znanych mu państw.

Równinę znaczyły okopy i szańce. Sądząc po trupach, kościach i resztkach broni, czasem wciąż lśniącej od krwi, a czasem omszałej, zaśniedziałej i rdzawej, zmagania toczyły się tutaj od lat. Reduty obrońców szturmowały dziwne, nieludzkie istoty. Niektóre stwory, niezdarne i wygłodzone, wstrząsane dzikim skowytym, od razu przypomniały mu *hikku'tai*. W ich oczach płonęła ta sama szalona żądza i głód. Nieludzka... a może arcyludzka? Od znanych mu zjadaczy różniły się jednak kilkoma szczegółami. Niektóre nosiły łachmany i resztki zbroi, a ich broń, włócznie, maczugi i nieliczne kamienne miecze wyglądały na zrabowane ludziom.

Pozostałe istoty w ogóle nie przypominały *hikku'tai*, były na to zbyt dostojne. I piękne, uświadomił sobie, gdy jedna z nich, oficer, sądząc po czerwonym płaszczu, zdjęła chroniący twarz hełm i przemówiła do oddziału obdartych niewolników z włóczniami. Nieludzkie oczy Kilirethy, osadzone pod skalnymi nawiasami łuków brwiowych, pokrywała jakaś chorobliwa wydzielina i nie bardzo mógł skupić wzrok. Ale nawet z tej odległości jego ludzkie wspomnienia krzyczały w upojnym zachwycie na widok tej niewielkiej twarzy. Podejrzał, że mniejsze istoty musiały być spopielone z ekstazy.

Były też chore. Jedna z istot potknęła się i ciężko upadła w piach. Kaszlały tak samo jak on. Tyle że on był trzypiętrowym gigantem z żywego kamienia.

Nagle obok niego coś zadudniło. Niewielki, kwadratowy domek z bielonymi wapnem ścianami i ogródkiem warzywnym na dachu zapadł się w chmurze pyłu. Kiliretha od razu zrozumiał, że celem był on. Katapulta obrońców musiała być ogromna, miotała gązdy większe od kamiennych olmeckich

głów. Kiliretha kluczył, utrudniając im celowanie, ale w płucach miał coraz mniej powietrza, w kończynach coraz mniej sił. Zwalniał. Może i był potężnym gigantem, ale tak szybko się teraz męczył.

Przed nim, bliżej wysuniętych posterunków obrońców, rozległ się nieludzki ryk. Kiliretha obrócił się w tamtą stronę. Nie do końca panował nad ruchami. Jak we śnie, kiedy przebieg wydarzeń wydaje się ustalony, a każda chwila ma coś z odgrywanej, z góry rozpisanej scenki. Płonący słup wydawał się drzewem, lecz nie, to paliła się żywa skała. Ogień w jakiś sposób lepił się do ciała drugiego giganta. Jego pobratymiec tarzał się, ale to nic nie dało. Opadli go lekkobrojni żołnierze z młotami, rozsadzając i podważając kamienne płyty pancerza. Kret nie wiedział, czy pod nimi znajduje się ciało. Nagle przypomniał sobie starożytne malowidło Dobroczyńców, przechowywane w Skarbcu. Ogary i niedźwiedź. Brakowało tylko myśliwskich rogów i łowczych na koniach.

Wrogowie, stojący na blankach muru, musieli polać jego towarzysza czymś, co trawiło i niszczyło kamień. Nie jesteśmy niezniszczalni, pomyślał Kiliretha i szybko ruszył na mur.

Ten drugi olbrzym zmienił się już w niekształtny, dymiący stos. Nad blankami bastionu coś rozbłysło mosiądzem, a może złotem. Kocioł. Ani chybi wypełniony roztopionym ołowiem i jakąś piekielną mieszanką, wytworzoną do niszczenia jemu podobnych. Jeżeli zbliży się bardziej, zginie. Ziemia u stóp Kilirethy zafalowała. Zobaczył deformujący się kształt, odcisnięty na piasku jak pieczęć. Delikatny owal pięknej, nieludzkiej twarzy.

Królowa, pomyślał z żarliwością, której źródła niknęły w otchłani tego nieludzkiego snu. Nadeszła Królowa Roju.

Krzew rosnący obok wygiął się. Rozchyłał pąki jak głodne, niewinne pyszczki, dzioby piskląt, pulchne usteczka dziecka. Dotykał Kilirethę z krzepiącą, budzącą otuchę tęsknotą, przekazując mu echa Myślozbioru, wspólnej jaźni wszystkich istot czujących. Tak kojące. Tak dobre, rozległe, uwolnione z ciasnego więzienia „ja”. Gdzieś w tle Kiliretha człowiek zadrzał, szlochając z rozpacz, że przeżył swe ludzkie życie z dala od

czegoś takiego. Ludzie byli tacy osobni, tak szaleni. Tacy smutni.

Kiliretha olbrzym nie miał takich problemów. Zalała go fala zapachów: wonna, korzenna żywica kopalu, wanilia i echa siarki. Starsza *mo'qun* wspominała ich dom. Zalała go fala zwierzęcych, bezkształtnych wspomnień Drzewiska. Niektóre z nich były piękne, tak piękne, że człowieczeństwo Kilirethy, uśpione w zakamarkach mózgu ogromnej istoty, znów załkało z bolesnego zachwyty.

Bo dom to nie tylko zagłada i głód, kolejna stacja odwiecznej tułaczki Roju, pięknych *mo'qun* i Tysiąca Dzieci. Dom to Myślopnącza, smagające skórę wędrowca kąśliwym zarem.

Dom to purpura nieba i falowanie traw, czerwono-czarne odcienie widłaków i topaz morza, gdzie pluskają się nieme syreny i wędrujące po ich skórze inteligentne skorupiaki, które przenoszą ich myśli. Codzienne zmagania gatunków, ich ewolucja, zagłada i walka, przeoczane erupcje piękna.

Dom to powietrzne dżungle Saaratha Ka'ron, w których żył, odkąd wykuł się ze skórzastego jaja, krążącego wraz z innym drobiazgiem przez wieczną Pustkę i Czerń.

Królowa była teraz wszędzie wokół, spowiła Kilirethę niczym szepcząca mgła. Jej twarz falowała w trawie i błękitniła się niebem, kłębiła się bielą obłoków, oczy miały głęboką barwę bursztynu, kopalu z nasyconej żółci. Mgła musnęła jego usta i skórę, wtoczyła mu w płuca moc. W ustach poczuł aromat migdałów, znajomy, przekłety smak. To był *braazatal*. Smar. Zastryk energii, szpryca płynnego ognia, wzbudzająca postronki ścięgien i żył.

A teraz idź. Płyn.

Kiliretha posłuchał i runął na mur, napierając nań całą powierzchnią ciała. Nad głową poruszył się kocioł. Chlusnęła nań mieszanka palącego ołowiu, doprawionego łatwopalnym fosforem, ale Kiliretha prawie nie poczuł bólu. Wtopił się w mur i przeszedł na drugą stronę, odmieniony, nowy. Teraz jego ciało składało się z rdzawych cegieł, z jego barków spadali wrzeszczący ludzie. Zobaczył flagę z nieznanym godłem, z drzewcem strzaskanym jak trzcinka.

Ocalali z rumowiska, w które obrócił bastion, zaatakowali go ze straceńczą odwagą. Wojownicy w pikowanych pancerzach, ze stelażami na plecach, atakowali długimi włóczniami i dwuręcznymi młotami. Ruchliwi harcownicy próbowali spętać mu nogi sznurami.

To była paskudna walka. Kiliretha wznosił się nad nimi jak leśny żuk nad rojem malutkich mrówek. Zabijał, miażdżył i darł, nieustępliwie przemieszczając się w stronę miasta. Za nim wlewała się horda *hikku'tai* i nieludzkich wojowników w maskach. Przed nim brama grodu otworzyła się, wypuszczając żołnierzy z długimi pikami. Chcieli odzyskać bastion!

Odchylił łeb i zaryczał, ciskając we wrogów wyzwanie z parnych lasów Saaratha Ka'ron. W których segmentowe pijawki, długie niczym węże, potrafią wysysać myśli, a w ich szczękach można by zbudować zamek. Naprawdę myśleli, że przestraszy się tego robactwa? Tej nędznej, dwunożnej mierzwy? On, który niegdyś oddychał mrokiem najdalszych piekieł?

W sercu - jeśli teraz w ogóle miał serce, a czuł instynktownie, że amorficzny, kamienny stwór, którym się stał, nie odpowiada anatomicznym schematom świata ludzi - w sercu czuł wzbierającą pogardę dla tego, co zamknięte i miękkie, tego, co płacze i krwawi, nie znając bezkresu Czerni, nie znając powabu Pustki.

Ruszył gwałtownie naprzód i nagle coś uderzyło go w pierś. Kiliretha olbrzym zawył z bólu i ciężko usiadł na ziemi. Coś uderzyło go w masywną, toporną nogę, coś, czego nigdy nie widział. Po chwili znów rozległ się huk i potężna pięść rozłupała skałę tuż obok jego głowy. Teraz pamiętał. To była kula armatnia. Załoga miasta dysponowała artylerią.

Musieli tam być Dobroczyńcy. Nawet Tlaszkalanie nigdy nie nauczyli się porządnie odlewać armat. To musi być przeszłość, pomyślał Kiliretha człowiek, mrugając powieką grubości grobowej płyty.

Albo przyszłość.

Próbował się skulić, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Okazało się, że kamienne olbrzymy nie znały kolan. Kiliretha

zawahał się, rozważając pełen gracji upadek na twarz. Przez ten czas puszkarz wziął sobie do serca poprzednie pudło. Tym razem wycelował lepiej, trafiając go prosto w pierś. Wbrew pozorom, nie było to aż tak trudne.

Eksplodując, Kiliretha pomyślał jeszcze, że wreszcie przypomniał sobie, skąd zna flagę tajemniczych obrońców grodu.

*

Obudził się, oszołomiony, jakby jego roztrzaskane dało w całości składało się z fantomowego cierpienia. Dzikiego, skowyczącego bólu, którym spowity był ktoś ogromny. Wrażliwa, targana agonią góra. Gdyby to była jedna kończyna, odgryzłby ją, podobnie jak język. Gdyby to były oczy, wydłubałby je z czaszki jak strupy albo wydmuchał jak smarki. Ale nie mógł nic poradzić na upiorne odczucia w całym ciele. *Braazatal* wciąż w nim wirował, sprzęty w celi wydawały się groteskowo skrzywione, a sama komnata dziwnie skurczona, ścieśniona. Tylko ból bezustannie narastał, osiągając kolejne etapy, aż Kiliretha, internowany członek Zakonu Kretów, ponownie zapadł się w ciemność.

Opadając, dostrzegł Rozbitka na saniach i warującego przy jego wezgielcu Oretla, boczną uliczkę wizji.

- Oni wrócą - powiedziały poważnie oba trupy.

Kiliretha chciał się zatrzymać, przecież to ich szukał, lecz wir nieubłaganie porywał go dalej.

Nigdy więcej, pomyślał po przebudzeniu. Nigdy więcej. Za drugim razem bolało go mniej, co znaczyło, że czuł się jedynie paskudnie. Nigdy więcej.

Na piersi, w miejscu, gdzie kamienną bestię trafiła kula armatnia, rozlał mu się okropny, rozległy siniec. Jakby został kopnięty przez brodatego byka z równin. Rozkaszał się i z ulgą stwierdził, że w ślinie nie widać krwi. To nie był krwotok... chyba.

Na stole wciąż stała miska z wieczerzą, fasola była zupełnie zimna. Podejrzywał, że leży tak od wielu godzin, może nawet doby? Napił się wody z dzbana i ochlapał twarz. Miło znowu

mieć dłonie, pomyślał. Strzępy wizji tańczyły w jego pamięci i czuł, że jednego może być pewien. Żaden narkotyk nie powodował takich snów jak *braazatal*, nawet *yage* z wilgotnych lasów Południa.

Usiłował odtworzyć w pamięci topografię tamtego dalekiego świata, kształt gór i krajobraz obleżonego miasta. Leżało na środku jeziora. Potem przed oczami stanęła mu flaga obrońców i Kiliretha Kret roześmiał się obłąkańczo.

To była flaga starożytnych, wymarłych przed stuleciami Azteków.

Braazatal pokazał mu legendarne zmagania z czasów Klątwy... tylko co u boku Azteków robili Dobroczynicy? Ich najwięksi, śmiertelni wrogowie? Dlaczego zjadacze, którzy w znanej mu historii ludzkości byli tylko nędznymi ścierwojadami, uciążliwymi szkodnikami z podziemi, gnieźdzącymi się jak karaluchy w ruinach, oblegali w tym śnie metropolię, wydając rozkazy pomniejszych demonom ze snu? I kim była ta bezcielesna, władająca materią istota? Ta, którą olbrzym nazywał Królową Roju?

Kiliretha złapał za pierwszą z brzegu kartkę i zaczął gorączkowo spisywać wizje. Chciał przeczytać zapiski, gdy już dojdzie do siebie, porównać z dawnymi mitami. Chciał uwierzyć, że to tylko narkotyczne rojenia. W głowie wciąż szumiały mu słowa: „Oni wrócą!”.

Cokolwiek wyrządził mu smar, jego wizje z pewnością były kłamstwami.

Musiły być nimi, prawda?

Rozdział 38

W każdym sercu jątrzy się jakaś wina. I całe szczęście.

Panacotl Młodszy, *Kapłani.*
O profesji lekarza dusz

Pierwszą reakcją Tennoka na nieoczekiwane wyzwolenie i wyniesienie jego *ursa* był niesmak. Takie rzeczy nie powinny mieć miejsca. Imperium znało przypadki niesamowitych karier, a władcy chętnie otaczali się barbarzyńskimi wojownikami, nieuwikłany mi w klanowe zależności, mniej podatnymi na intrygi, korupcję i spiski. Ale tradycja zakładała, że niewolnik nie jest w pełni człowiekiem, mianowanie *ursa* na gwardzistę *tlatoaniego* z pewnością było czymś nowym.

Rozpacz pojawiła się później i miała na imię Citali. Jako jeden z ostatnich zszedł z opustoszałej piramidy, odprowadzany czujnymi spojrzeniami kapłanów. Nie chciał, nie mógł, ot tak, wrócić do swojego nędznego życia. Dlatego ominął koszary i bez końca włóczył się ulicami Tollan, zanurzając się w rozochocony, świąteczny tłum, jakby próbował się w nim utopić. Ale ludzie rozstępowali się przed jego mundurem Jaguara, dobitnie okazując, że podupadła jednostka właśnie odzyskała prestiż.

Dziewczęta uliczne uśmiechały się do niego rozkosznie, błyskając zabarwionymi na czerwono zębami, i obciągały suknie, dźgając wzrok Tennoka piramidami swych piersi. Chwała bohaterom! Kiedyś dałby wiele za takie uznanie. Dziś w każdej z nich widział Citali, wzruszoną i delikatną, jak nieśmiało, z podziwem, dotyka rękawa Harana. Gdyby przynajmniej ten barbarzyński kutas okazał się chamem. Ale skąd. Poznajcie imć Harana z Chujwiegdzie, herbu Chujwieco.

Żywy dowód na to, że dzicy potrafią być szlachetni. Sympatyczni.

Każdy dryblas, wystający z tłumu jak fasolowa tyczka, przypominał mu o zniechęconym rywalu. O tym, że barbarzyńca go przewyższa, dosłownie i w cholernej przenośni. Co chwila widział pociągłą, obcą twarz Harana, tak szczerą, że zasługującą na kopa.

I ten wyraz prawdziwej skromności w tępych oczkach, za który mógłby je wybić.

Tennok zadrżał. Upajał się nienawiścią i gniewem, coraz bardziej wściekły, a dziki, czerwony obłok unosił go i porywał. Był wściekły i, jak każdy tchórz, kochał ten stan, który razem ze skrupułami, sumieniem i rozsądkiem usuwał też największego wroga - lęk. Nie wiedział, że mamrocze pod nosem, budząc pełne politowania spojrzenia. Miał wszystko w dupie, był sobie sterem i okrętem, a także sędzią i katowskim pniakiem.

I pomyśleć, że ocalałem mu życie! Drań, cham i bandyta, pierdolony oszust. Tylko czemu ona się zgodziła?!

Podjął decyzję.

Na powieszenie się był jednak za mało zdesperowany, postanowił się więc upić.

*

Tydzień po defiladzie Haran pojawił się w koszarach Jaguarów, skacowany i zmarnowany jak nieszczęście. Tennok wolał nie myśleć, czym tak bardzo się zmęczył. Powitał go, czując się wyjątkowo niezręcznie. Jak gadać z byłym sługą, który nagle znalazł się wyżej od ciebie w hierarchii wojowników? Usiłował zachowywać się naturalnie, ale uświadomił sobie, że ich dotychczasowe rozmowy polegały na tym, że rozkazywał barbarzyńcy coś przynieść, wylać albo zabić. Nie mieli innych tematów.

W milczeniu ruszyli do pobliskiego szynku, mijając grupę zdyszanych rekrutów, okładających się ćwiczebnym drewnem pod okiem obrzucającego ich obelgami Yzatlina. Nowi'usze gapili się z podziwem na Harana, a weteran powitał ich niemal wylewnie. Wszystko się zmieniło. Haran był teraz Zabójcą

Gwiazd, choć jeszcze nie rozpoczął służby. Dobry król dał mu kilka tygodni wolnego, podobnie jak reszcie uczestników zwycięskiej kampanii.

- Chciałbym, żebyśmy pojechali do Yugal - rzucił barbarzyńca, gdy znaleźli się w chłodnym półmroku urządzonej w piwnicy gospody.

Usiedli na przysadzistych ławach, zrobionych z pojedynczych drewnianych bali, rzeźbionych w kształty pekari i szopów. Tennok odnotował, że jego niegdysiejszy *urs*, który przedtem zazwyczaj kuczał na matach, najchętniej rozłożonych przed domem, zachowuje się teraz inaczej. Haran rozsiadł się po pańsku, krzyżując obie stopy na ławie i rozchylając kolana, na modłę wielkowiejskich Kruzów.

Wyrabia się, pomyślał ksiązę z niechęcią.

Oberżysta przyniósł dwie tykwy i postawił je na niskim stoliku. Jako odznaczeni, weterani mogli legalnie napić się piwa z prosa, chociaż byli najmłodszymi weteranami w historii królewskiej armii.

- Powinienem pojechać od razu, jak mnie wyzwolili, ale sam wiesz. Kobiety.

Tennok miał ochotę wrzasnąć, ale ugryzł się w język. Widział pobielające kostki własnych placów, zaciśnięte na uchu glinianego dzbana. „I co, teraz przyjebiesz mu w łeb? To już nie jest twój *urs*, frajerze. Może oddać”. Odetchnął kilkakrotnie w odmierzonym, miarowym rytmie. Zbastuj. Jest dobrze.

- Pierdolisz ją, prawda? - zapytał i ukrył czerwoną twarz za naczyniem z piwem.

Druazzi uniósł brwi i wyszczerzył spiłowane zęby.

- Pewnie. Ale to nie twoja sprawa.

- Serio? Wzięłeś sobie dziewczynę, którą kocham, traktujesz ją jak kurwę i szmatę, i to nie jest moja sprawa? A teraz zapraszasz mnie na pierdoloną wycieczkę? Ochująłeś do reszty, kolego.

- Nie wiedziałem, że umiesz tak kłąć.

- W wojsku się mężnieje, słyszałeś? Przynajmniej niektórzy tak mają. Co ty w ogóle zamierzasz z nią zrobić? Citali to porządna dziewczyna.

Haran parsknął piwem, które pociekło mu z nosa. Przez chwilę łapał powietrze, wreszcie spojrzął na towarzysza zażawionymi oczami.

- Gadasz, jakbyś był jej bratem, chłopie. Nic dziwnego, że woli spać ze mną. A co ty byś zrobił na moim miejscu? Poprosił ją o rękę?

- Tak - odparł Tennok i wyprostował się na ławie.

Rodzina Citlali pochodziła co prawda z jakiejś zapadłej dziury, ale dziewczyna była, mimo wszystko, córką wodza. Maczurai jakoś by to przełknął.

Wolał nie myśleć o ojcu. Zamiast tego zmarszczył brwi i groźnie zapatrzył się na Harana. I poczuł się jak głupek. Ten człowiek jadł kanibali na śniadanie, pomyślał. Równie dobrze mógłbym straszyc zjadacza klappsem.

- Daję ci słowo, że ja także myślę o Citlali poważnie - rzekł Haran. - Ale najpierw muszę sprawdzić, co dzieje się w Yugal. Moja matka została zupełnie sama. Chciałbym się o nią zatroszczyć. Przez ten czas wiele mogło się zdarzyć, a twoja rodzina rządzi miastem. Mam tam niewyrównane rachunki. - Oczy barbarzyńcy załśniły złowrogim blaskiem.

- Może będę potrzebował pomocy.

Tennok odchylił się na krześle i wbił wzrok w zakopcone, kamienne sklepienie. W jego głowie krystalizował się plan. Cieszył się, że Haran nie widzi teraz jego twarzy.

- Pojadę z tobą - powiedział cicho. - Rachunki trzeba wyrównywać.

*

Quinatzin stapał ostrożnie po pokładzie dużej, wiosłowej łodzi. Był to zgrabny, malowany na złoto statek, którego dziób wyrzeźbiono w kształt orlej głowy. Odkąd na pokład wszedł drapiący się Masztla, całość wyraźnie straciła na stabilności. Opasły szpieg zajął całą rufę statku, który choć mógł pomieścić ośmiu wiosłarzy, króla i jego eskortę, nie został zbudowany z myślą o takich grubasach.

Na stołecznym jeziorze Texcoco zawsze panował ruch. Dłubanki, szerokie tratwy i czółna przewoziły do Tollan

warzywa z wydartych jezioru poletek *chinampa*, suszone ryby i towary z sąsiednich kruzańskich miast. Inne łodzie wywoziły posłańców pocztowych, pielgrzymujących kapłanów i wyroby słynnych tollańskich rzemieślników. W imperium pozbawionym zwierząt pociągowych leżące w jego sercu jezioro z siecią kanałów i śluz stanowiło ważną arterię handlową.

Minęło ich jednoosobowe kanu, z którego nagi, brunatny od słońca rybak zarzucał właśnie specjalną, gęsto utkaną sieć. Quinatzin uśmiechnął się. Od dziecka lubił obserwować połowy jadalnych insektów. Zwano je „wodnymi gzami”. Fascynowało go, jak śmigają po wodzie, muskając odnóżami lustrzaną taflę. Kruzowie najchętniej spożywali ich smakowite jajeczka, lokalny odpowiednik kawioru, ale nie gardzili też drobnymi ciałkami tych stworzeń. Obfity owadzi plon był, zaraz po kukurydzy, głównym źródłem aprowizacji stolicy.

Po wysuszeniu mielono je na specjalną mąkę, z której pieczono potem pożywne *tortille*.

Masztle podrapał się znowu, niebezpiecznie chybocząc łodzią. Quinatzin skrzywił się z irytacją. Chciał przetrzymać szpiega wyniosłym milczeniem, ale Masztla coraz bardziej się wiercił. Oczywiście jego szef, stary Chimalpopoka, musiał przy śląc swego monstualnego zastępcę. *Tlatoani* żałował, że na razie nie może utopić tłuszciocha w głębokich wodach Texcoco. Jego i reszty Oczu.

- To nie jest nadmierna ostrożność, Synu Słońca. Szaratangę trzeba skrupulatnie przesłuchać - nudził Masztla, ocierając czoło łapskami przypominającymi jelenie szynki. Stojące w zenicie słońce dawało mu się we znaki.

- Przecież on będzie walczył podczas Ofiary Kamienia. Mam pokazać ludowi strzęp człowieka? Znam wasze metody przesłuchań - syknął król.

Mówił prawdę, w końcu jego Zabójcy Gwiazd wzorowali się na Tysiącu Oczu we wszystkim. No, może poza całowaniem po tyłkach kapłanów.

- Nie, jeśli potraktujemy go wodą. Podtopienie albo pieszczota kropel. Do tego zwyczajny brak snu. Zaręczam, że po tym bez trudu dojdzie do siebie - skwapliwie zapewnił Masztla.

Quinatzin milczał. Jego ludzie wypróbowali już na jeńcu wszystkie z wymienionych metod. Skurwysyn okazał się na nie tak podatny, jak skała na łaskotanie.

- On nosi tatuaż *ilhalli*, Władco Świata. Nie budzi to twoich podejrzeń?

- Myślisz, że Termity nie dają ich takim jak on? - prychnął król.

Masztle pokreślił głową.

- Mówię tylko, że za łatwo nam poszło. Tłazkowanie powinni dużo lepiej go strzec. Od wieków atakujemy Labirynt i ile *ilhalli* zdobyliśmy? A tu wpada w nasze ręce sam Lew

Labiryntu, z nowiutką mapą na rękę. W dodatku schwytyany przez żółtodzioba i *ursa*.

- Marudzisz - zachnął się Quinatzin.

Osobiście uważał, że źródłem sukcesu było przede wszystkim jego szczęście, które udzieliło się całej wyprawie. To, że nikomu wcześniej nie udało się podobny wyczyn, było dlań zupełnie naturalne.

- Zgodzisz się ze mną, Czcigodny, że dali mu słabe oddziały. Znacznie gorsze niż te, które prowadził w Dolinie Czarnego Psa. A przecież Szaratanga był ich najlepszym wodzem.

- Uważasz, że ktoś go wystawił? - zainteresował się król.

Masztle rozłożył ręce, znowu wprawiając łódź w drżenie.

- Mówię tylko, że musimy być czujni - rzekł.

Quinatzin zastanowił się. Nie chciał się użerać z protestami kapłanów i Oczu. Nie był jeszcze gotowy na rozprawę ze swoimi wrogami. Ale nie zamierzał też oddawać im cennego jeńca.

Z wizerunkowego punktu widzenia Ofiara Kamienia z udziałem Szaratangi liczyła się jak tuzin bitewnych zwycięstw. Lud oszaleje, to pewne. Quinatzin będzie w nim rzeźbił jak w wosku. Już teraz go uwielbiali. *Tlatoani* podejrzewał, że właśnie z powodu zawiści Szurukan przysłał tu Masztłę. Wszystko inne było mydleniem oczu.

- Przesłuchają go moi Zabójcy Gwiazd. Jeśli chcecie, ktoś od was może to obserwować. A co do *ilhalli*... tylko tchórzliwy głupiec zmarnowałby taką okazję.

Szpieg uklonił się z trudem, gest przypominał konwulsje

meduzy. Quinatzin pogrążył się w myślach. *Ilhalli* było autentyczne, co do tego miał pewność. Jego ludzie zdołali rozpracować chroniący ją szyfr. Z ornamentu kresek i tajnych symboli wyłoniła się czytelna mapa. Wskazywała na korytarze i schrony, sekretne przejścia i miejsca, w których Termity miały na nieprzyjaciół lawiny.

Co i tak okazałoby się argumentem niewystarczającym, gdyby nie to, że *tlatoani* najbardziej ufał swoim wizjom. A te wciąż ukazywały mu Labirynt i mury Skarbca, siedziby Zakonu Kretów. Musiał podbić Haszkagę i zdobyć moc Białoskórych. Z mapą Labiryntu miał na to realne szanse. Zgłębił tajniki metalurgii i Szarej Śmierci, dzięki której Termity kruszyły największe góry. Potem uzbroił nieprzeliczone legiony w swoje ogniste strzelby. Bez Spuścizny jego kraj nigdy nie ruszy z miejsca. Ale Quinatzinowi chodziło nie tylko o to.

Od czasu ostatniej kampanii Labirynt stał się jego obsesją. Udowodni całemu światu, że można i trzeba tam wygrać. Nawet przy pomocy zjadaczy.

Nagle dobiegł go krzyk. Łowiący owady rybak zapierał się, jego kanu gwałtownie wyrwało do przodu. Mięśnie mężczyzny napięły się jak postronki, ledwo trzymał swą sieć.

Chyba złapał w nią coś znacznie większego, niż zamierzał.

Epilog

- Nazywasz się Szaratanga? Znany też jako Lew Labiryntu?

- Jakbyś nie wiedział, psie.

Cios, zniecierpliwione prychnięcie. Szar mruga, uspokaja umysł. Dopiero co został wyrwany ze snu, oni lubią przesłuchiwać, gdy człowiek jest skołowany. Snu zawsze było za mało, tak samo jak jedzenia i wody. Unosi wzrok i przez opuchnięte oczy patrzy na bijącego go gnojka. Widzi chudą, spoconą, spođe łba patrzącą pokrakę.

Na pewno ma małego i dlatego tak skacze. Niedobrze.

Szar skuliłby się jakoś, przykurczył i ukrył przed tamtym, i ale ktoś rozpostarł go na zimnej, kamiennej ścianie. Jest jak żagiel łapiący wiatr, struna, która za moment pęknie. Stawy ramion i nóg naprężają się niebezpiecznie, ale jeszcze mu trochę brakuje do zwierzęcego skowytu. Kiedyś w pełnej zbroi zawisnął na rękach nad górską przepaścią, kryjąc się przed pościgiem Kruzów. Wrażenie było podobne.

- Dlaczego dałeś się złapać? Co ukrywasz?

Nie odpowiada, bo zdaje sobie sprawę, że tylko zmarnowałyby ślinę. Wymoczek klaszcze w dłonie i Szar wie już, że ma przed sobą kogoś ważnego. A może to sam Quinatzin? Wzrost mikrusa tłumaczyłby obsesję podbojów, nie spotkał jeszcze dryblasa z taką ambicją. Wystrzyżony, nie wygląda mu na kapłana, a słyszał, że to oni naprawdę rządzą Przymierzem.

Zaraz potem pochyła się nad nim szpicel, tłusty facet z obwisłym podgardlem indora, zwisającą spod podbródka moszną. Pewnie eunuch złakniony krwi, na dworach szalonych królów zawsze szwendają się tacy. Nienawistni, zlak-nieni cudzego bólu. Oprawcy ciągną więźnia jeszcze mocniej, Szaratanga ryczy z bólu, resztką woli powstrzymując moc.

Cóż. Wszystko dopiero przed nami.

- Czy pracujesz dla Zakonu Kretów?

- Co ukrywasz?

- Jakie są wasze plany?

Znak dłoni i ból ustaje. Eunuch uśmiecha się słodko. Podsuwa mu kubek z wodą, Szar pije chciwie, choć wie, że płyn może zawierać narkotyki.

- Nie chcemy cię tutaj zamęczyć. Szaratango. Daj nam odpowiedzi, a ból ustanie. Potem czeka cię już tylko Ofiara Kamienia i godna śmierć. Na pewno szybsza niż to.

Szaratanga ostatkiem sił pluje mu w twarz. W dupie ma obrzędy Kruzów, nie zamierza dawać im tej satysfakcji. Quinatzin nie wycisnie już nic z jego śmierci. Jeśli rzucą go na piasek areny, po prostu nie ruszy się z miejsca. Mogą go zaszlachtować jak zwierzę, przynajmniej na koniec ich wkurwi.

Oprawca ociera twarz. Wczytuje się w oczy Szara i wykrzywia w ohydny grymasie. Znowu pada cios.

Szaratanga skowyczy, bełkocze, a potem milczy. Pytania powtarzają się, mechanicznie i monotonicznie, wypowiedane spokojnym głosem. Czasami Lew odpowiada, odmierza proporcje kłamstw. Wie, że zacięte milczenie zawsze się kiedyś kończy. Na razie kupuje czas.

Oprawcy także się męczą, brak snu i przemoc potrafią wykończyć każdego. Coś takiego mówiła Enisha, gdy Minotli budziła ją w nocy. Zobaczycie ich jeszcze?

Cios, cios, cios.

Cios za coś.

Coś za cios.

Leyre? Jaką miała skórę? A sutki? Jak smakowała jej ślina, oddech?

A może go jednak kochała?

Nie pamięta.

Cios, cios, cios.

Jaki mieli plan?

Na co naprawdę liczyli?

Cios.

I znów naciągają powrozy. Stawy trzeszczą. Szar czuje, że więcej nie zniesie. Daje znak, mruga i bełkocze coś na granicy słyszalności. Wielki oprawca pochyla się nad nim, w oczach ma

chciwość, daremną ciekawość ślepeca. Nachyla ucho i wtedy Szar rzuca się naprzód i gryzie. Nie ucho, tylko pojeb odgryzałby ucho. Wpija zęby w podgardle eunucha i wygryza mu chrząstkę grdyki. Mięsista i twarda, przypomina żołądek pieczonej kaczki.

Śledczy pada, charcząc i sikając krwią, w celi Szara rozlega się tupot. Opuszczają go, zrzucają bezwładne ciało na ziemię.

I cios, i cios, i cios, pięści i buty, i pałki. A potem nagle przestają, odpinają uprząże, pozwalają mu paść na posadzkę.

Po orgii cierpienia ta zimna, splugawiona wymiocinami i gównem powierzchnia jest jak najmiększa kołdra. Ktoś klnie, rozlega się ostre plaśnięcie policzka. Głupcze. To Lew Labiryntu. Chciałeś zabić go tutaj, w tym chlewie? Ktoś kuca, pochyla się nad nim. Mało brakowało, kurwa. Prawie się wymknął, mądrala. Umyć to ścierwo, opatrzeć. Tylko żywi reagują na ból. Szar wtula policzek w kamienie i próbuje się oprzeć na poranionym łokciu. Patrzy na dalekie, rozpaczliwie niewielkie okienko. Jebać łokcie.

Umysł Szara wyfruwa nad dachy, z ich zielenią warzywnych ogródków. Szar chłonie panoramę miasta i jego zapachy. Oddycha mulistą wonią kanałów i poletek *chinampa*. Jedzenie. Kukurydziane placki, jak w domu. Dzieci się bawią, ich czysty śmiech wibruje w słonecznym powietrzu niczym dzwonki. Młodzieńcy grający w piłkę odbijają biodrami i karkami ciężkie bryły lanego kauczuku. Tak, aby było im trudno, aby bolało ich bardziej. Śmiech.

Uczniowie w szkółce osiedlowej, nauczyciel w białej szacie podparty pod drzewem jak król. Liczby i trudne słowa, obce prawdy wtłaczane do chłonnych umysłów. Tak, aby było im trudno, aby bolało ich bardziej.

Tancerze na słupie krzyczą, wirując karuzelą ciał. Niedługo kolejne święto. Dziewczyny w długich tunikach, ze skromnie upiętymi włosami, dźwigają na smagłych ramionach pękate dzbany na wodę, lawirują między kolumnami w kolorze majańskiego błękitu i ochry. Z jednego z trzypiętrowych, bielonych domów dobiega gardłowy jęk. Szaratanga wznosi się, ciekawie zagląda do izby.

Nowożeńcy, pomieszczenie przystrojone kwiatami. Płatki zwiędły, wesele musiało się odbyć kilka dni temu. Skotłowane, ciężko pracujące maty wyszywane niebieskimi piórami papug i białym króliczym futerkiem. Kobieta przeżywa rozkosz, Szaratanga spogląda w otchłań jej oczu, a ona dostrzega coś, wzdraga się, krzyczy. Szar śmieje się cicho i patrzy, jak nadchodzi kolejna fala skurczów. Zdziwiony mąż podnosi głowę znad jej ud, na podbródku perli mu się wilgoć.

Szar płynie dalej.

Ptaki. Zapach żółto-rdzawego kopalu, śliskie stopnie Czerwonej Piramidy. Czy to tutaj zakończy się jego opowieść? No, dalej, stąd jest już blisko do nieba.

Duch Szara unosi się, wspina po krwawych stopniach piramidy, zmierzając do sanktuarium na szczycie. Gdzieś w oddali, w wilgotnej katowni Zabójców Gwiazd, ktoś potrząsa zmaltretowanym, wyniszczonym łachmanem jego ciała, oblewa je wodą, kopie. Wracaj, ścierwo, przyzywa go ból. Szar walczy, nie daje się ściągnąć. Czuje się teraz rozpaczliwie nietrwały i lekki. Jak latawiec, którego w grubym, cielesnym świecie zmysłów i mięsa trzyma już tylko cienka linka. To dusza jest linką, głupcze, to ona ściąga cię w ból. Musisz się uwolnić, rozwiać. Ale Szar ignoruje ten głos.

Nagle słyszy głosiki swych dzieci. Ich ufność, która zawsze szarpała mu serce. Czuje, że za nim tęsknią. Przez mgłę widzi płaczącą Eniszę, czuje w sercu ciepło jej dobrych oczu. Za żoną kołysze się Leyre z jej wabiącym, zagadkowym uśmiechem. Śmiech dzieci przechodzi w krzyk i straszne, nieludzkie wycie. W kłębach czerwonych oparów czai się jeszcze ktoś, znajoma twarz z grzywą skudlonych włosów, błyskając zielenią zębów. Pokryta szarawym osadem dłoń sięga ku niemu przez mgłę. Szar wie, że to jego śmierć. Chciałby jej coś powiedzieć, przebłagać, ale upiory są nieme.

Przerażenie wyrzuca go z tamtej wizji, duch wraca nad stopnie świątyni. Zbryzgany krwią dach piramidy przyciąga jego duszę jak kamienna odskocznia do nieba. Nagle schody Czerwonej Świątyni się kończą. Odwieczna stolica Przymierza rozlewa się wokół morzem świątynnych kopuł i platform

piramid, kanałów i ogródków na dachach. Pomidory, ziemniaki, papryka, godny mieszczański trud.

Tutaj na górze jest wietrznie, kolorowe gałganki i wstążki, pasemka skóry i flagi dziarsko łopocą na wietrze. Powiewają wydarte podbitym ludom sztandary, proporce i włosy skalpów.

Szar poznaje kolory Tlaskali i krzyczy z bezsilnej furii. Nie patrzy na głowy zatknięte na włóczniach, bo czuje, że poznałby twarze.

Czy dusza odarta z ciała może się rzucić w otchłań? Czy może się obmyć, czy może ugasić pragnienie?

Szaratanga, szarpany w dół, krzyczy, odbija się i mknie, i spada przez niebo i chmury w kierunku Głodnego Słońca.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Spis ważniejszych postaci

W starym Yugal, krainie deszczu i mgły

- Cahuotl - mistrz miecza, nauczyciel Tennoka
- Pęcherz - weteran, niegdyś oficer Leśnego Kontyngentu
- Druazzi
- Heza - jego żona i pani domu
- Haran - jego przybrany syn
- Hon - towarzysz broni Pęcherza
- Yora - syn Hona, ma żyłkę do interesów
- Maczurai - głowa rodu Turkusowej Włóczni, pretendent do tronu Yugal
- Mirante - jedna z ambitnych żon Maczuraia i matka Izumtli
- Tennok - nieudany syn Maczuraia
- Irdana - matka Tennoka
- Sippo - *urs*
- Hanuszkin, Stary Książę - obecnie panuje w Yugal
- Matki z Tollan - naprawdę, lepiej nie wiedzieć

W Tollan, Mieście Trzcina, stolicy Odrodzonego Przymierza

- Chimalpopoka - zwierzchnik Tysiąca Oczu, świątynnego wywiadu imperium
- Citlali - zbyt ładna córka królewskiej zakładniczki
- Hirikan - Zabójca Gwiazd, osobisty ochraniarz Quinatzina
- Kannatzin Trzy Psy - Jaguar, dowódca dwudziestki Tennoka i Harana
- Kysa - zakładniczka z krainy Osanków
- Mazatlan, zwany też Mazem - doradca *tlatoaniego*
- Myskanto - człowiek wpływowy, kupiec
- Quinatzin - *tlatoani*, Cesarz Nowego Przymierza, zwolennik dogłębnych reform

Szurukan - Czerwony Kapłan, głowa imperialnego kultu Tezcatlipoki i nominalny zwierzchnik wszystkich kruzańskich świątyń

Tizok - szanowany generał Kruzów, dowódca Armii Północnej i oddany przyjaciel króla

Murrok - najchętniej pozostaje w cieniu

Yzatlin - weteran korpusu Jaguarów, instruktor

W odgradzonej od świata Tlaszkali

Szaratanga - bohater wojenny, zwany też Lwem Labiryntu

Enisha - żona bohatera

Zaukas - oficer, zastępca Szaratangi

Hoppe - oficer, przyboczny Szaratangi

Kiliretha - uczonec, czarownik, łotrzyk, internowany członek Zakonu Kretów

Konakocz - synek Szaratangi

Minotli - córeczka Szaratangi

Leyre - młoda i piękna królowa

Myfosso - Najwyższy Kapłan Tlaszkali, głowa kultu Zabitego

Boga

Osappo - pierwszy generał tlaszkalańskiej armii

Pa'uk - oficer, przyjaciel Szaratangi

Rayla - członkini Zakonu Kretów, matka królowej Leyre

Zergos - Przywódca Zakonu Kretów, ojciec królowej Leyre

Podziękowania

Gdy powieść powstaje latami, nieoceniona jest pomoc kumpli, których można zasypać pytaniami i wątpliwościami. W tym wypadku dziękuję przede wszystkim Władkowi Wójcikowi za ryzyko pierwszej lektury, cenne uwagi i wy myślenie tytułu. Tudzież Konradowi, Mateuszowi i innym zacnym duszom, za wszystkie owocne rozmowy.

Dziękuję też Michałowi Cetnarowskiemu i Kasi Sienkiewicz-Kosik za wnikliwą i kreatywną redakcję oraz za decyzję o wydaniu tej książki. Wszystkim ludziom z pracy, od których miałem sposobność uczyć się fachu. Oraz, oczywiście, Hiromi Kajto, Anice i Yumiko za znoszenie moich pisarskich humorów. Na koniec składam podziękowania osobom zaangażowanym pośrednio; Maćkowi, Małgosi, Zbyniowi i Morycowi. Szkoda, że Was już tu nie ma.

W tekście wykorzystano fragment z *Narodu Słońca* autorstwa Alfonsa Casa



powergraph